

W 1992 i 1993 roku Wydawnictwo PRIMA proponuje m.in.

Isaac Asimov

William Cane John Fowles

Payne Harrison Jack Higgins

Stephen Hunter

Alistair MacLean

A. MacLean/S. Gandolfi

Ross Macdonald

A.W. Mykel Trevanian

**GWIAZDY JAK PYŁ PRĄDY PRZESTRZENI SZTUKA POCAŁUNKU MAGGOT MANTISSA ZDOBYĆ *INTREPIDA!***

**GRA DLA BOHATERÓW WSTĄPIĆ DO PIEKŁA KONFESJONAŁ EXOCET**

**DZIEŃ PRZED PÓŁNOCĄ MINUTA KĄTOWA STRZELEC WYBOROWY BEZKRESNE MORZE ŻŁOTA DZIEWCZYNA**

**ODSZUKAĆ OFIARĘ NAZYWAM SIĘ ARCHER MRO CZNY TUNEL**

**DZIEDZICTWO STRACHU SPRZYSIĘŻENIE SALAMANDRY SHIBUMI**

**SANKCJA NA EIGERZE OSTATNIA SANKCJA**

Sprzedaż książek Wydawnictwa PRIMA prowadzi

**INTERNOVATOR**

ul. Grochowska 341, Warszawa, tel. 19 68 78, tei/fax 19 66 65

# *WREPÌDA!*

Przełożył BOLESŁAW ORŁOWSKI

*PRIMA*

Tytuł oryginalny **STORMING INTREPID**

Copyright © Payne Harrison 1989 This edition published by arrangement with Crown Publishers, Inc.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo PRIMA 1992

Cover illustration © Edwin Herder Used by arrangement with Ballantine Books, Inc.

ISBN 83-900658-3-5

*Pauli,  
przewodniczce wspólnych spacerów po Long March*

## ***Podziękowania***

Wielu pracowników biur prasowych sił zbrojnych, NASA oraz środowiska naukowego dostarczyło mi uprzejmie danych do tej książki. Już samo istnienie osób zajmujących się zawodowo informowaniem o sprawach wojskowych i kosmicznych nasuwa myśl, że szeroki przepływ wiedzy na ten temat stanowi raczej siłę niż słabość społeczeństwa amerykańskiego.

Pragnę też wyrazić wdzięczność Neilowi i Judy Robinsonom oraz Donowi Davisonowi i Lee Deanowi za pomoc w początkowej fazie pracy nad rękopisem tej książki, Mike'owi Reedowi i Margie Cruse zaś za wysiłki, by coś z tego wyszło.

Craig Covault i Bruce Nordwall z „Aviation Week” wspaniałomyślnie poświęcili mi wiele czasu, odpowiadając na liczne pytania. To nadzwyczajne szczęście, że mieli mnie w swej pieczy tak znakomici fachowcy jak mój agent Jan Miller i mój wydawca Jim Wade. Niezwykle cenną i pożądaną była też pomoc, jaką okazali mi Tom Clancy i Stephen Coonts.

Specjalne podziękowania winien jestem Tomowi McElmurry'emu, byłemu zastępcy dowódcy wojskowej szkoły oblatywaczy i weteranowi NASA, który przyczynił się do realizacji programów „Skylab” oraz wahadłowców kosmicznych. Profesor McElmurry zechciał laskawie przejrzeć mój rękopis. Wszelkie błędy techniczne, które mimo to pozostały w książce, obciążają wyłącznie mnie. Na koniec, dziękuję Mamie, Tacie, Siostrze oraz Fannie Mae za życzliwą pomoc w trakcie całej tej pracy.

# Preludium

## Południowy Pacyfik

**31°14' szer. pld., 117°23' dl. zach.**

*Marszał Niedielin* sprawiał wrażenie niezziemskiej zjawy w półmroku przedświt — sunął po morzu niby współczesna wersja *Latającego Holendra*.

Pod wieloma względami przypominał okręt wojenny, nie wyposażono go jednak w rakiety ani w działa. Najeżony był natomiast wszelkiego rodzaju i rozmiaru sprzętem elektronicznym — zwłaszcza rzucał się w oczy wielki talerz anteny radarowej w przedniej części śródokręcia. W razie potrzeby komputerowe urządzenie kontrolne mogło ją utrzymywać w stałej pozycji nawet na wzburzonym morzu. W tej chwili nie miało to znaczenia, ponieważ owego listopadowego poranka powierzchnia oceanu była spokojna i gładka.

Pomimo całej swej potęgi, przymusowych sojuszników i samochwalczej propagandy Związek Sowiecki niewiele miał na świecie szczerych przyjaciół. Trudno było o nich zwłaszcza na południe od Zwrotnika Koziorożca. W niewielu portach tej strefy mogła Moskwa dzięki przychylności władz — bezpiecznie instalować wysunięte posterunki swych czujnych służb elektronicznych.

Właśnie dlatego w czarnomorskich stocznjach nikołajewskich zbudowano *Niedielina* oraz kilka podobnych mu jednostek i rozesłano je po morzach w żywotnej dla ojczyzny misji elektronicznych wywiadowców. Pozostając w stałym kontakcie z dowództwem, mogły bezpiecznie rozszerzać zasięg sowieckiej kontroli.

Owego listopadowego poranka komputery pod pokładem *Niedielina* błyskawicznie wyznaczyły trajektorię. Gdy nadszedł właściwy moment, talerz anteny obrócił się i wycelował w niebo, wysyłając impuls radarowy, by zbadać pozaziemski obiekt zagłębiający się w jonosferę. Wiązka promieni mknęła tam i z powrotem, dopóki operator nie odetchnął z ulgą ujrzawszy na katodowym ekranie świetlisty punkcik. Młody marynarz nacisnął przycisk, a okrętowy

nadajnik radiowy wysokiej częstotliwości natychmiast przesłał kopię tego obrazu satelicie telekomunikacyjnemu Mołnia, skąd przetworzony sygnał przekazany został innej antenie, na drugim końcu świata.

### **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

#### **Sojuz Sowieckich Socjalistycznych Republik (CCCP)**

— Sześćdziesiąt sekund do odpalenia powrotnego, towarzyszu generale! — warknął Małyszew.

— W porządku — usłyszał łagodną odpowiedź generała Szenki. Pułkownik Oleg Małyszew, dowodzący misją specjalną, obrócił się

w fotelu z powrotem ku monitorowi, zmuszając się do skupienia na nim całej uwagi w owym krytycznym dla całego przedsięwzięcia momencie. Przez ostatnie pięćdziesiąt dwie godziny prawie nie opuszczał posterunku. Poświadczała to sterta tekturowych kubeczków po herbacie, leżących na podłodze u jego stóp. Pomimo narastającego zmęczenia ten wysoki szczupły blondyn o słowiańskim wyglądem nie zamierzał zdawać się na nikogo, choćby w drugorzędnej sprawie, w tak decydującej chwili.

W przestronnym wnętrzu Centrum pod zawieszoną na ścianie wielką mapą świata w projekcji Merkatora jarzyły się rzędy monitorów. W każdy z nich wpatrywał się, pochłonięty tym zajęciem, technik. Pomimo funkcjonującej klimatyzacji, niezbędnej do chłodzenia sprzętu, wszyscy na sali byli spoceni jak myszy. Z powodu nerwowego napięcia, nie gorąca. Małyszew, niezwykle młody jak na pułkownika sowieckich sił powietrzno-kosmicznych, nie miał teraz głowy, by się kłopotać nonszalanckim zachowaniem generała Szenki. Nie było również czasu przejmować się drugim generałem, odzianym w zielony sukieny mundur, przyglądającym się wszystkiemu bacznie spoza szyby kabiny obserwacyjnej.

— Trzydzieści sekund — powiedział do umocowanego pod brodą mikrofonu. A po chwili dodał: — Przystąpić do końcowej fazy zapłonu silników numer jeden i dwa.

*Michail Suslow*

#### **Pułap: 262 km ponad południowym Pacyfikiem**

Podpułkownik Dmitrij Bułgarin zerwał pokrywę zabezpieczającą obwód zapłonu i przestawił dźwignię wyłącznika z pozycji STOP na ZAPŁON, powodując zmianę barwy światła umieszczonego obok sygnalizatora z czerwonej na zieloną.

\_ Piętnaście sekund! — zatrzeszczało mu w słuchawkach.

Chociaż całą procedurę odpalenia w celu powrotu w atmosferę można było załatwić automatycznie, przywykły do ręcznego sterowania Bułgariń wzdrygał się powierzyć komputerom pokładowym tak ważne dla losów statku kosmicznego zadanie.

Był przecież, mimo wszystko, pilotem.

Drugi pilot przyglądał się przez szybę horyzontowi ziemskiemu, widocznemu w górze i odwróconemu. Tak to wyglądało, gdyż *Suslow* (nazwany na cześć dawno zmarłego ideologa Politbiura) poruszał się wstecznym biegiem do góry nogami, w pozycji na pozór niezwyklej dla obiektu latającego, ale niezbędnej dla wyhamowania i skutecznego powrotu w atmosferę. Komenda „Odpalaj!” rozbrzmiała w słuchawkach Bułgariń. Nacisnął przycisk spustu, wyzwalając grzmot silników systemu Tumańskiego na paliwo płynne — ale w próżni kosmicznej był to grzmot bezgłośny. Jedynie wibracja statku i wzrost siły ciężenia dały znać obu kosmonautom, że silniki zareagowały.

### **Południowy Pacyfik**

**14°16' szer. pld., 119°27' dl. zach.**

**Pułap: 18 600 m**

— Halo, Spyglass, tu Królicza Nora. Cel zbliża się właśnie do waszej pozycji. Na mój sygnał przejdź na trawers zero-jeden-siedem stopni.

— Potwierdzam, Króliczku — odpowiedział szeryf, obracając delikatnie pulchnymi palcami pokrętkę ostrości obrazu na pulpicie sterowniczym.

Specjalnie przystosowany do wielkich wysokości Boeing 767 krążył nad południowym Pacyfikiem, przygotowując się do zadania, które potrafił wykonywać najlepiej — zrobienia bardzo kosztownego zdjęcia. Hasło wywoławcze „Spyglass” \*, dobrano bardzo trafnie, stanowił bowiem latające obserwatorium, przeznaczone do fotografowania sztucznych satelitów Ziemi na niskich orbitach. Niezwykłym elementem pokładowego wyposażenia był teleskop zwierciadlany, którym można było obserwować niebo przez otwór w garbatej kopułce na grzbiecie kadłuba. Jego zasięg wzmacniał zestaw niesłychanie cienkich giętkich lusterek, uformowanych na kształt plastra miodu. Komputer mógł je dowolnie wyginać i ogniskować, by skompensować zniekształcenia atmosferyczne i uzyskiwać obraz

Po angielsku „luneta”, „mały teleskop”, ale „spy” znaczy: szpieg — przyp.

tum.

8



zadziwiająco wyraźny — tak ostry, że z odległości liczonej w setkach kilometrów dawało się odczytać znak firmowy. Pozycję Spyglassa nad południowym Pacyfikiem wyznaczały triangulacyjnie cztery satelity nawigacyjne marynarki wojennej typu NavStar, usytuowane trzydzieści sześć tysięcy osiemset kilometrów nad powierzchnią Ziemi. Trzy z nich przekazywały nieustannie dane dotyczące położenia i czasu, przetwarzane następnie przez komputer pokładowy, podający aktualne współrzędne i wysokość samolotu. Czwarty stanowił dodatkowe ubezpieczenie — czuwał, by zegar pokładowy Boeinga 767 działał dokładnie. Skutecznie. Dzięki precyzji tego zegara samolot znajdował się idealnie pod orbitą *Sustowa*, od dawna już wyliczoną i wykreśloną przez radarowo-komputerowy system wywiadowczy Dowództwa Obrony Amerykańskiej Przestrzeni Powietrznej. Spyglass znajdował się teraz w odpowiednim miejscu, by sfotografować sowiecki statek kosmiczny.

— Teraz! — odezwała się Królicza Nora.

— Potwierdzam! — odpowiedział Spyglass i sierżant uruchomił urządzenia do cyfrowej rejestracji wideo.

— No, kochanie — przymlał się. — Bądź dla mnie słodka, pokaż, co masz pod spódniczką.

Siedzący obok technik przyglądał mu się z dezaprobatą. Uważał ten na wpeł seksualny stosunek sierżanta szefa do przyrządów co najmniej za dziwactwo, ale wiedział, że lepiej się me odzywać.

Pomimo nalegań szefa, na ekranie monitora nie pojawiała się nic poza mrocznym niebem. *Sustow* pędził z prędkością dwudziestu siedmiu tysięcy kilometrów na godzinę, podczas gdy samolot włókł się za nim w tempie ośmiuset kilometrów na godzinę. Oznaczało to, że ma jedynie moment na odszukanie rosyjskiego pojazdu orbitalnego. Mijały sekundy, a ekran pozostawał pusty. Wreszcie sierżant szef westchnął i zdecydował, że rozminęli się z *Sustowem*. Miał właśnie przystąpić do rutynowego poszukiwania teleskopem, kiedy obiekt w kształcie delty wystrzelił nagle na ekranie.

— W porządku! — ryknął szef. — Przyskrzyniliśmy skurwysynka! — Oszołomiony sukcesem, szybko nastawiał powiększenie. Następnie pochylił się, by dokładnie obejrzeć widoczny na ekranie rosyjski statek kosmiczny. Był do tego stopnia skoncentrowany, że — na widok eksplozji — mimowolnie się wzdrygnął i upłynęło parę sekund, zanim zdał sobie sprawę, czego jest świadkiem. Kiedy dotarło to do jego świadomości, krzyknął „słodki Jezu!”, przełączając jednocześnie mikrofon. — Króliku, tu Spyglass. Mamy cel na ekranie, a on odpala rakietę, by wejść w atmosferę! Powtarzam: cel rozpoczął przygotowania do powrotu. Boże Wszechmogący, cóż to za widok!

— Rejestrujemy to, Spyglass — brzmiała beznamiętna odpowiedź. — Przekaż to przez Real Time.

— Tak jest, Króliczku — powiedział szef, dając głową znak siedzącemu obok technikowi, który uruchomił odpowiedni przełącznik. Niemal natychmiast ten sam obraz pojawił się na ekranie monitora w kwaterze głównej NORAD (North American Aerospace Defence Command — Dowództwo Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej), skrytej głęboko we wnętrzu góry Cheyenne w stanie Kolorado.

*Michail Susłow* **Pułap: 170 km Kurs: Północ**

### **Pozycja: przecięcie koła podbiegunowego**

Dwadzieścia trzy lata żelaznej dyscypliny w sowieckich siłach zbrojnych przygotowały Dmitrija Bułgarina do dwudziestu minut, które właśnie miały nadejść. Musiał opanować strach i nie dopuścić do siebie myśli o żonie i córce, którym żyło się pod wieloma względami lepiej właśnie dlatego, że był kosmonautą. Państwo obdarzało przywilejami, ale egzekwowało w zamian powinności. Nadszedł właśnie moment spłacenia należnej mu daniny.

Kiedy odpalenie silników dobiegło końca, Bułgarin bezzwłocznie nakierował statek na właściwą dla manewru powrotu trajektorię, nachyloną pod kątem trzydziestu dwóch stopni. *Susłow* schodził ku Ziemi i niebawem zaczął się zderzać z pierwszymi zabłąkanymi cząsteczkami dolnej warstwy jonosfery. Prawie na tej samej zasadzie jak łabędź kończący lot w wodzie miał w ciągu dwudziestu minut zredukować swą szybkość z dwudziestu siedmiu tysięcy do dwóch tysięcy czterystu kilometrów na godzinę. Opór atmosfery, zapewniający skrzydlatemu pojazdowi kosmicznemu wyhamowanie, wywoływał zarazem straszliwe tarcie powierzchniowe, rozgrzewające narażone nań części zewnętrzne do temperatury przeszło tysiąca pięciuset stopni Celsjusza. Nic dziwnego, że większość meteorów wyparowuje, zanim dotrze do powierzchni Ziemi.

By uchronić promy kosmiczne od unicestwienia, pokrywa się je ognioodpornymi płytkami krzemionkowymi. O ile jednak osłony amerykańskie zdawały egzamin, straszny los spotkał podczas manewru powrotnego poprzednika *Susłowa*, *Burana*.

Schodząc w atmosferę po odbyciu trzeciej podróży kosmicznej — doszczętnie spłonął.

Śledząc przyrządy pomiarowe wskazujące coraz wyższą temperaturę pokrycia i odczuwając coraz intensywniejsze wstrząsy, Bułgarin myślał z niepokojem o losie swego poprzednika. „Wysokość osiemdziesiąt trzy kilometry... osiemdziesiąt... siedemdziesiąt sześć...”. W głosie Bułgarina coraz bardziej dawało się odczuć napięcie, w miarę jak słyszano go coraz słabiej, gdyż *Susłow* pogrążał się

w „czarną dziurę” radiową — zjawisko występujące podczas manewru powrotu. Oddziaływanie kuli ognistej obejmującej statek orbitalny było tak silne, że ogołacało z elektronów cząsteczki otaczającej go atmosfery. W wyniku tego na dwanaście minut okryła go zasłona jonowa, nie przepuszczająca fal radiowych.

Kiedy czerwony blask wypełnił szybę pojazdu, Bułgarin zacisnął mocniej uchwyt drążka sterowniczego.

*Bunin* obrócił się w popiół właśnie przelatując przez „czarną dziurę”, kiedy wracał ze swej trzeciej podróży. A *Susłow* wchodził właśnie na powrót w atmosferę, kończąc swój czwarty lot kosmiczny.

### **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

Lot pojazdu kosmicznego nad Oceanem Indyjskim obserwowany był przez rozbudowany kompleks urządzeń radarowych uszeregowanych na wybrzeżach Morza Kaspijskiego. Komputery Centrum Kontroli Lotów przetwarzały dane radarowe i wykreślały drogę *Susłowa* na wielkiej mapie, która stała się ośrodkiem powszechnego zainteresowania. Technicy nie mieli chwilowo nic do roboty — mogli jedynie czekać, aż dojdzie do wznowienia łączności radiowej z pojazdem.

— Osiem minut do wznowienia łączności radiowej — ogłosił dowodzący misją Małyszew, nie kierując tych słów do nikogo w szczególności. W miarę jak wydłużała się na mapie droga przebyta przez *Susłowa*, atmosfera napięcia w przestronnej sali stawała się wyraźnie wyczuwalna.

— Siedem minut. — Głos Małyszewa brzmiał nienaturalnie, z trudem przechodził mu przez gardło. Zrobił ruch, by sięgnąć po stojącą w pobliżu szklankę, ale się rozmyślił. Jego organizm nie był już w stanie wchłonąć ani kropli herbaty.

Przyciężki generał Szenko bardzo długo zaciągał się chesterfieldem i powoli wypuszczał dym. Przepadał za amerykańskimi papierosami bardziej, niż komukolwiek ośmieliłby się przyznać.

Mokre od potu jasne włosy Małyszewa oblepiały mu skronie. Wyszepiał:

— Pięć minut.

Wśród techników dało się słyszeć zbiorowe westchnienie ulgi. *Buran* — po rosyjsku znaczyło to „zamięć śnieżna” — przestał istnieć, kiedy pozostawało jeszcze sześć minut ciszy radiowej. *Susłow* przekroczył już ten próg. Może tragedia *Burana* była jednak przypadkowa? Może radziecki prom kosmiczny był naprawdę udanym statkiem? Może był powód, by mieć taką nadzieję?

— Cztery minuty.

Tak, może naprawdę był powód, by mieć nadzieję. Nawet przypo

minająca mordę basseta twarz generała Szenki zdradzała ożywienie. Droga *Susłowa* na wykresie dalej się wydłużała.

\_ Trzy minuty. — Małyszew odzyskał głos. Znowu wyglądał dobrze. Nawet bardzo dobrze.

\_ Towarzyszu komendancie! — mówił przez telefon wewnętrzny

oficer łącznikowy od radaru. — Mam na linii kaspijską stację radarową. Mówią, że obraz na ich ekranie zanika!

Zapadła ogłuszająca cisza.

— Uzyskać potwierdzenie tego raportu! — warknął Małyszew. Oficer radarowy przycisnął słuchawki do uszu, a potem powoli usiadł.

— Kaspijska stacja potwierdza i mówi, że obraz rozpadł się, zanim statek wyszedł z ich zasięgu.

— Oficer łączności! Spróbujcie nawiązać kontakt! — rozkazał Małyszew.

Młody oficer zaczął mamrotać do mikrofonu, bezskutecznie próbując maskować szloch. Dmitrij był jego przyjacielem. W Gwiezdnym Miasteczku powszechnie uważano Bułgarina za dobrego wujaszka — osobę, dzięki której zawsze można się było poczuć kimś wyjątkowym. Stosownie do rozkazu próbował przekazać sygnał *Susłowowi*, ale wiedział, że to beznadziejne.

Wszyscy obecni byli wstrząśnięci. Stracili *Susiowa*, a wraz z nim poczucie celowości swej misji. Wszyscy, z wyjątkiem jednej osoby.

— Generale Szenko, jako przedstawiciel Komitetu Bezpieczeństwa Państwa muszę was prosić, żebyście udali się ze mną.

Głos był uprzejmy. Niemal życzliwy.

Generał Szenko odwrócił się i stanął twarzą w twarz ze swym odpowiednikiem w zielonym mundurze Komitetu Gosudarstwiennoj Bezopastnosti. Był mu wdzięczny za brak arogancji, typowej dla większości czekistów.

— Doskonale — powiedział Szenko. Zabrał z pulpitu sterowniczego paczkę chesterfieldów i wetknął ją do kieszeni na piersiach wymiętego uniformu. Stanowczym głosem rzucił przez ramię ostatnie polecenie: — Zawiadomcie Bajkonur, żeby nie tracili ani sekundy!

Kiedy drzwi zamknęły się za generałem, Małyszew ze zrozumieniem kiwnął głową. W powietrzu snuł się jeszcze dym chesterfielda.

### **Kosmodrom Bajkonur, Kazachstan, Obwód Dżezkazgański**

Olbrymie wrota hangaru pojazdów kosmicznych powoli otwarły się z dudnieniem, odsłaniając kopię *Michaila Susiowa*.

Miała takie same rozmiary, kształt i oznakowania jak oryginał, a ponadto czarne

ślady okopcenia wzdłuż boków. Gdyby prawdziwy *Suslow* wrócił cało, tarcie podczas powrotu w atmosferę wypaliłoby mu podobne ślady na białym kadłubie.

Techniczna obsługa naziemna pośpiesznie podcepiła dziób atrapy statku do ciągnika i kiedy tylko wrota otworzyły się na szerokość rozpiętości skrzydeł, zaczęto ją holować na pięciokilometrowy pas startowy, wybudowany specjalnie na lądowisko promów kosmicznych.

Ułamek mocy ciągnika wystarczył na tę operację, gdyż kopię *Susiowa* wykonano z fenolowego sztucznego tworzywa na szkielecie z dykty. Wnętrze było puste, jeśli nie liczyć stalowych bloków mających zapewnić równowagę w przypadku silnego wiatru.

Kiedy falsyfikat znalazł się na końcu pasa, pozostawiono go tam, przymocowawszy do ogona rozwinięty spadochron hamujący. Pod-toczono i uruchomiono przewoźny generator — technicy połączyli go kablem z systemem ogrzewczym wmontowanym w plastikowe poszycie atrapy. Następnie zgrupowano wokół parę pojazdów obsługi naziemnej i ratowniczych, pozorując wylądowanie autentycznego *Susiowa*.

Szef obsługi naziemnej dokonał inspekcji. Był z siebie zadowolony — ćwiczenie przebiegło tym razem o wiele sprawniej.

### **Kwatera Główna Dowództwa Kosmicznego Stanów Zjednoczonych, Centrum Operacyjne Obrony Kosmicznej, góra Cheyenne, Kolorado**

Generał Rodger Whittenberg, komendant Dowództwa Kosmicznego, już po raz trzeci oglądał uważnie na ekranie monitora wchodzenie rozpalonego *Susiowa* w atmosferę.

— Dobrze, wystarczy — powiedział do obsługującego magnetowid lotnika, a następnie zwrócił się do pułkownika: — Chcę zobaczyć cyfrowy zapis z tej taśmy, jak tylko wyjdzie z drukarki laserowej, i chcę mieć Keyhole nad Bajkonurem. Trzeba się dowiedzieć, jak wahadłowiec zniósł przejście przez atmosferę.

— Tak jest, panie generale — odpowiedział jego szef wywiadu. — KH-12\* miał przejść nad Krasnojarskiem, żeby się rozejrzeć za nowymi instalacjami przeciwrakietowymi, ale to może poczekać. Jego trasa została już zmieniona i będzie nad Bajkonurem za jakieś czterdzieści minut. Zdaży jeszcze przy świetle dziennym.

— To dobrze. — „Dzisiaj przynajmniej nie mamy kłopotów ze zdjęciami satelitarnymi” — pomyślał Whittenberg.

\* Dziurka od klucza; KH-12 — przyp. tłum.

Po eksplozji amerykańskiego wahadłowca *Challenger*a nad Atlantykiem w latach osiemdziesiątych, kiedy to przez wyjątkowo długi czas NASA (National Aeronautics and Space Administration — Państwowy Zarząd Lotniczy i Kosmiczny) nie była zdolna wypuścić nawet latawca, Stany Zjednoczone — najbogatsze i najbardziej zaawansowane technicznie państwo na świecie — musiały jakoś sobie radzić, mając na orbicie tylko jednego satelitę wywiadowczego KH-11. Toteż dotkliwie brakowało im zdjęć szpiegowskich. Trwało to ponad dwa lata — głównie dlatego, że specje od techniki wojskowej czuli się zapędzeni w ślepią uliczkę. Satelity wywiadowcze nowej generacji, KH-12, zostały tak zaprojektowane, że na orbicie mogły je umieszczać wyłącznie promy kosmiczne. Nie było promu, nie było satelitów. Po prostu.

Ale teraz, ku zadowoleniu Whittenberga, czasy się zmieniły. Kiedy objęła władzę obecna administracja, nowy prezydent z całą energią, niemal z determinacją, zajął się programem kosmicznym i Wojnami Gwiezdnymi. Nazywał to budowaniem Ostatniej Linii Obrony i przekonał Amerykanów, by poparli podjęcie na nowo wzmożonego wysiłku w kosmosie. Działał tak skutecznie, że pewien dziennikarz napisał: „Powróciły znów na naszą planetę szczęśliwe dni programu «Apollo»”.

Whittenberg, jedna z najważniejszych postaci w dziedzinie amerykańskich zbrojeń kosmicznych, nie przegapił szansy, jaką dawał rozbudzony na nowo zapal do spraw, którymi się zajmował. Miał teraz do dyspozycji — zamiast jednego przestarzałego — cztery nowoczesne satelity szpiegowskie KH-12, krążące wokół Ziemi po rozmaitych orbitach.

Generał opuścił Centrum Operacyjne Obrony Kosmicznej, potocznie zwane SPADOC (Space Defence Operations Center) i udał się pieszo długim przejściem podziemnym w kierunku swego biura. Te spacerki tunelami zawsze go irytowały. Był przez wiele lat pilotem w Dowództwie Sił Strategicznych, należał do ludzi lubiących szeroką perspektywę. Praca w kopalni — nawet supernowoczesnej i sterylnie czystej — niezbyt mu odpowiadała, ale niewiele mógł na to poradzić, skoro prezydent osobiście powierzył mu stanowisko szefa SPACE-COM-u (Space Command — Dowództwo Kosmiczne). Raz jeszcze przezwyciężywszy niezadowolenie, ruszył szybko tunelem.

Górę Cheyenne wybrano z uwagi na jej położenie i strukturę geologiczną, aby zlokalizować w jej skalnym wnętrzu mózg amerykańskiego systemu obronnego. W tym celu przekształcono ją w inżynierskie cudo, porównywalne z mostem wiszącym przez Golden Gate czy zaporą wodną Hoovera. Trzy lata zajęło drążenie eksplozjami jej granitowego masywu, a następnie dwa — wypełnianie go piętastu

budowlami o kratowej konstrukcji i łączącymi je przejściami. W sumie podziemne pomieszczenia mierzyły osiemnaście tysięcy metrów kwadratowych.

Na pilnie strzeżonym terenie wokół góry Cheyenne wzniesiono las anten wchłaniających bogactwo impulsów przekazywanych przez rozrzucone po całym globie czujniki owego systemu nerwowego. Zbiegały się tam sygnały dostarczane przez sięgające poza horyzont w głąb arktycznej tundry radary systemu wczesnego ostrzegania przed pociskami balistycznymi przez zawieszony trzydzieści siedem tysięcy kilometrów nad Ziemią satelitę Teal Sapphire odnotowującego — dzięki urządzeniom działającym w paśmie podczerwieni — każdy start sowieckiej rakiety i przez straszliwe, nieustannie tropiące flotę nieprzyjacielską amerykańskie okręty podwodne, wyposażone w nadajniki radiowe ultraniskiej częstotliwości, funkcjonujące w zanurzeniu. Wszystkie te informacje, retransmitowane przez satelity, przesyłane kablami sieci telekomunikacyjnej i łączami mikrofalowymi, docierały do anten wokół góry Cheyenne. A następnie przekazywane były światłowodami do podziemnej fortecy w jej wnętrzu.

SPACECOM, w skład którego wchodziło NORAD, dysponowało najpotężniejszym na świecie zespołem komputerów.

Jakkolwiek jego sprzęt nie był ostatnim krzykiem techniki w takim stopniu, jak wyposażenie Urzędu Bezpieczeństwa Państwa (National Security Agency — NSA) czy to, które wykorzystywano w programie Gwiezdných Wojen — niemniej centrum komputerowe we wnętrzu góry Cheyenne przerastało wszystkie inne skalą i zakresem możliwości operacyjnych. Było to konieczne, właśnie ono bowiem miało, w razie ataku nuklearnego, zapewnić prezydentowi cenne minuty, niezbędne dla podjęcia odpowiednich kroków obronnych.

Napływające od służb elektronicznych dane, gromadzone przez NORAD, grupowano w komputerach, analizowano i porównywano, a następnie rezultaty tych operacji przekazywano do centrali SPA-DOC-u. Tam, na odpowiednich monitorach, a w razie potrzeby na wielkich ekranach projekcyjnych, były do dyspozycji dowódca NORAD-u, który czuwał nad tą komputerową pieczęcią. Pozwalało mu to — w przypadku ataku międzykontynentalnych pocisków balistycznych, czy też bombowców — szybko uzyskać obraz sytuacji i przesłać ostrzeżenie wraz z danymi szacunkowymi prezydentowi i głównym dowództwom sił zbrojnych.

Ponieważ było oczywiste, że góra Cheyenne stanowiłaby wymarzony cel rosyjskiego ataku, wyposażono ją we wszystkie będące w dyspozycji Stanów Zjednoczonych urządzenia, mające ją wzmocnić i zapewnić przetrwanie. Zgromadzono w niej zapasy żywności, wody i energii na trzydzieści dni — a w warunkach nowoczesnej wojny atomowej trzydzieści dni to mnóstwo czasu. Dwie masywne dwu-

dziestopięcioletnie stalowe bramy zapewniały jej izolację od świata zewnętrznego, a tysiąc trzysta mocnych stalowych sprężyn zainstalowanych w fundamentach podziemnych budowli miało złagodzić skutki wybuchów jądrowych. Ale — pomimo tych zabezpieczeń — i tak bezpośrednie trafienie wielomegatonową głowicą bojową roztrzaskałoby fortecę, czyniąc ją bezużyteczną.

W następstwie wzrostu znaczenia broni kosmicznych, rola NO-RAD-u polegała w dużej mierze na śledzeniu zachowania jakichś piętnastu tysięcy sztuk wyprodukowanego przez ludzi żelastwa, krążącego wokół Ziemi. Jeśli któryś z satelitów zmieniał kurs czy też wykonywał jakiś nietypowy manewr, natychmiast alarmowano odpowiednie służby. Jednak jego podstawowym zadaniem na najbliższe dziesięciolecie miał pozostać nadal przede wszystkim nadzór nad nieprzyjacielskimi pociskami balistycznymi.

Oprócz góry Cheyenne w rejonie Colorado Springs znajdowały się jeszcze dwa związane z bronią kosmiczną ośrodki wojskowe: Peterson Air Force Base i Falcon Air Force Station. Oba na powierzchni ziemi. Dlatego też ludzie, którzy w nich pracowali, byli przedmiotem zawiści generała Whittenberga.

— Proszę o kawę, Barbie! — rzucił Whittenberg sekretarce, wkraczając do swego pozbawionego okien biura. Pozbawionego okien, od pustkowi otaczającego fortecę oddzielało je bowiem czterysta pięćdziesiąt metrów litego granitu.

Odchyliwszy się w krzesło, pocierając powieki, generał zastanawiał się nad tym, co właśnie obejrzał na ekranie monitora. Myśl o sprawnie funkcjonujących rosyjskich wahadłowcach głęboko go niepokoiła. Wedle szacunków wywiadu Stany Zjednoczone od dawna zdecydowanie wyprzedzały Związek Sowiecki w zakresie transportu promami kosmicznymi i były znacznie bardziej zaawansowane technicznie w realizacji programu Wojen Gwiezdnych. Wyższość w obu tych dziedzinach oznaczała zadowalającą przewagę. Teraz wszakże dystans dzielący od Rosjan w jednej z nich kurczył się i to się Whittenbergowi nie podobało. Ani trochę. Kiedy przez cały rok nie ponawiano startów sowieckiego wahadłowca, skłoniło go to — a także innych — do domysłów, że coś w nim musi szwankować. Ale obecnie Rosjanie zaktywizowali się znowu i wydawało się, że są na dobrej drodze do stworzenia własnego skutecznego systemu promowego. Powtarzał się scenariusz z końca lat osiemdziesiątych, kiedy to sowieckie lotnictwo — od lat wyraźnie ustępujące zachodniemu, ale stopniowo z uporem usiłujące mu dorównać — dopracowało się wreszcie naprawdę nowoczesnych myśliwców: Su-27 i MiG-29.

Najnowsze modele tych maszyn były

2 — Zdobyć..

17



dobrze. Chociażby z punktu widzenia Whittenberga. Zachwiało to opinią o wyższości amerykańskiego lotnictwa. Obawiał się, że może dojść do tego również w dziedzinie promów kosmicznych.

Podniósł słuchawkę zielonego telefonu łączącego go bezpośrednio z jego przełożonym, szefem sztabu naczelnego dowództwa amerykańskich sił zbrojnych.

— Panie admirale — powiedział — mówi Whittenberg ze SPA-CECOM-u. Sytuacja wygląda następująco...

### **Pułap: 819 km**

#### **Nachylenie orbity: 73 stopnie**

Osiemset dziewiętnaście kilometrów nad powierzchnią Ziemi w kadłubie satelity KH-12 odsłonił się maleńki otwór, umożliwiając wydostanie się na zewnątrz strumyczka hydrazynowego paliwa, który musnąwszy kamery optyczne ustawiał je tym samym w odpowiedniej pozycji do dokonania inspekcji całego kompleksu kosmodromu Bajkonur w południowym Kazachstanie.

KH-12 wyposażono w dwa obiektywy o stałej ogniskowej i jeden przystosowany do zmiennej akomodacji. Dokonywały one projekcji obrazów nie na kliszę, lecz na płaszczyznę ogniskową czujników elektrooptycznych. Komputer pokładowy satelity przetwarzał obraz na informację cyfrową, a następnie przekazywał ją, za pośrednictwem satelity telekomunikacyjnego, do Państwowego Ośrodka Interpretacji Fotograficznej, mieszczącego się w Waszyngtonie, na rogu ulic M i Pierwszej, w budynku o wyglądzie domu towarowego.

Na rozkaz z ziemi osłony soczewek satelity odchyliły się, odsłaniając kamerom pełny widok celu; niczego nie zakrywały chmury, warunki były wymarzone. W miarę jak Keyhole podążał po niemal biegunowej orbicie z północno-północnego wschodu na południowo-południowy zachód, jego kamery zaczęły cykać i nie ustawały przez dwanaście minut.

#### **Państwowy Ośrodek Interpretacji Fotograficznej, Waszyngton, D.C.**

W pół godziny po przekazaniu zdjęć do ośrodka poddano je analizie elektronicznej i „masażowi” w superkomputerze Cray-Y/MP. Zabiegi te tak dalece zwiększyły wartość materiału fotograficznego, że umożliwiły specowi od fotointerpretacji ukazanie na ekranie monitora trójwymiarowego kolorowego widoku wahadłowca.

Po przestudiowaniu tego obrazu analityk wyłączył monitor i wybrał

jedno ze stosu leżących na biurku kolorowych, wykonanych drukarką laserową zdjęć. Przez staromodne powiększające stereoskopowo okulary skrupulatnie badał wygląd wahadłowca.

Ani tradycyjne, ani nowoczesne metody techniczne nie pozwoliły mu stwierdzić, że poszycie *Suslowa* wykonano z plastiku.

### **Góra Cheyenne**

Pułkownik Peter Lamborghini, szef wywiadu SPACECOM-u, stał przy mównicy ogromnej sali konferencyjnej i przeglądał notatki. Ścisłość i dokładność leżały w jego naturze. Tego właśnie żądał generał Whittenberg. Niecały miesiąc temu wylał jego poprzednika, który nie potrafił sprostać tym wymogom.

Lamborghini, przedtem pilot myśliwca, pracował w wywiadzie niespełna od roku, ale w pełni dorósł do swej roli. Sprawdzał się do tego stopnia, że Whittenberg powierzał mu zadania przewidziane zwyczajowo dla generała brygady.

Przerzucając po raz ostatni swe zapiski, Lamborghini odruchowo poprawiał krawat. Był Amerykaninem dopiero w drugim pokoleniu. Rodzina jego ojca pochodziła z Włoch, matki z Norwegii. Mieszanka genów śródziemnomorskich i nordyckich dała w wyniku kanciastą krępa budowę ciała, kruczoczarne włosy i bardzo, bardzo niebieskie oczy.

Te niebieskie oczy przesuwaly się teraz tam i z powrotem wzdłuż stołu konferencyjnego, po galerii generałów i pułkowników, której skład poświadczał kompetencje i autorytet Whittenberga. W końcu to na jego ozdobionych czterema gwiazdkami barkach spoczywała odpowiedzialność za bezpieczeństwo Ameryki powyżej atmosfery ziemskiej. W gestii kierowanego przezeń Dowództwa Kosmicznego były i Gwiazdne Wojny, i wahadłowce wojskowe, i NORAD, i wywiad satelitarny. Ta robota była jego przywilejem. Nieraz mówił Lamborghiniemu, że SPACECOM jest zbyt duże, by mógł mu dać radę jeden człowiek. Dlatego też ogromnie polegał na swym sztabie. Wymagał, by współpracownicy byli jego oczami, uszami i szarymi komórkami, by zawsze znajdowali odpowiedź na każde pytanie, i to odpowiedź właściwą.

Whittenberg — mężczyzna bardzo duży, bardzo czarny i bardzo elegancki — nawet egzekwując swoją władzę zachowywał się niekiedy zadziwiająco delikatnie. Mając sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i cztery generalskie gwiazdki ten był pilot bombowca B-52 rzadko musiał być nieuprzejmy, by przeforsować swoje zdanie. Ale Lamborghini wiedział, że — kiedy było trzeba — jego szef mógł w mgnieniu oka przeobrazić się w nie zważającego na nic

gruboskórnego twardziela. Bywał więc Whittenberg dobrodusznym olbrzymem albo potworem, bez żadnych stanów pośrednich. Rzecz jasna, sztab dokładał starań, by mieć do czynienia z jego łagodnym wcieleniem.

Lamborghini kończył właśnie przeglądanie notatek, kiedy wszedł adiutant i zaanonsował dowódcę. Wszyscy wokół wielkiego stołu wstali, kiedy Whittenberg wkraczał zamasyżycie na salę. Dało się odczuć, że sama jego obecność mobilizuje ludzi. Tuż za nim szedł szef jego sztabu, generał major Michael Dowd, nazywany przez kolegów „Bysiem”.

— Siadajcie, panowie! — powiedział Whittenberg, sadwiąc się w przepastnym skórzanym fotelu. Wyglądał, jak zwykle, na zmęczonego. Jego krótko przycięte kędzierzawe włosy były już mocno szpakowate, podobnie jak cienki na grubość ołówka wąsik pod zadartym nosem. Niebieski mundur nie był ani odrobinę przymarsz-czony, a sześć rzędów baretek na lewej piersi zdawało się mówić: „Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy, żeby mi coś sfuszerować”. Whittenberg skinął głową szefowi sztabu i powiedział bez ogródek:

— No dobrze, Michael. Muszę wpaść na parę godzin do Waszyngtonu, żeby osobiście złożyć raport wiceprezydentowi. Chciałbym więc, żebyśmy to załatwili tak szybko, jak tylko się da. (Wiceprezydent zajmował się w rządzie sprawami Inicjatywy Obrony Strategicznej — Strategie Defence Initiative: SDI).

— Tak jest, panie generale — powiedział tęgi szef sztabu i zwrócił się do Lamborghiniego: — Do rzeczy, pułkowniku!

— Panie generale — zaczął Lamborghini znad pulpitu — trzy dni temu, czwartego listopada, o dwunastej trzydzieści dwie czasu Greenwich wystartowała z kosmodromu Bajkonur siódma sowiecka wyprawa promu kosmicznego po orbicie biegunowej o nachyleniu osiemdziesięciu trzech stopni. Trwała przez siedemnaście okrążeń; apogeum wynosiło dwieście sześćdziesiąt dwa kilometry, a perigeum dwieście dziesięć kilometrów.

Na ekranie ponad głową pułkownika pojawiła się mapa świata Merkatora, na której falistą linią przedstawiono trasę orbitalną *Susłowa*.

— Wkrótce po otrzymaniu meldunku o starcie, jego potwierdzeniu i trajektorii statku kosmicznego, poczyniliśmy starania, by Spyglass zrobił mu trochę zdjęć, ale doszło do tego z opóźnieniem, ponieważ był odkomenderowany do Australii.

Przysadzisty, masywny szef sztabu nachylił się do Whittenberga, szepcząc:

— Robił jakieś mało ważne zdjęcia próby wystrzelenia Midget-mana z Vandenberg.

Lamborghini odczekał, aż szef sztabu skończy swój komentarz, a następnie ciągnął dalej:

— Kiedy Spylglass wystartował w końcu z bazy Królewskich Australijskich Sił Powietrznych w Woomera i wyszedł na pozycję, uchwycił wahadłowiec sowiecki dokładnie w momencie odpalania powrotnego, podczas siedemnastego okrążenia, na wysokości stu pięćdziesięciu siedmiu mil morskich.

Mapę zastąpiła na ekranie fotografia *Susłowa* z ognistym ogonem.

\_ Więcej szczęścia niż rozumu — powiedział Bysio.

\_ Istotnie — zgodził się Whittenberg, łyknąwszy kawy z kubka zdobnego emblematem Dowództwa Kosmicznego.

— W godzinę i pięćdziesiąt trzy minuty po przelocie Spylglassa — kontynuował Lamborghini — przeszedł nad Bajkonurem KH-12 i uchwycił prom na ziemi, na końcu pasa lądowiczego. — Na ekranie pojawił się nowy slajd, ukazujący to, co brano za *Susłowa*, i zaparkowane wokół rozmaite pojazdy. — W dziewięćdziesiąt siedem minut później, już po zachodzie słońca, mieliśmy tam IR, ale jak panowie widzą — kolejny slajd przedstawiał ziarniste, zabarwione czerwono zdjęcie wykonane w podczerwieni — wahadłowca nie ruszono z miejsca. Znikły tylko niektóre pojazdy.

Wyczulone na ciepło czujniki operującego w paśmie podczerwieni systemu satelity wyraźnie pokazywały kontur repliki *Susłowa*. Gdyby autentyczny *Susłow* wyszedł cało, jego powierzchnia byłaby, po przejściu przez atmosferę, nadal gorąca. Ten sam efekt dawały grzejniki wmontowane w poszycie kopii, wywołując analogiczną reakcję czujników. Nikt na sali nie miał więc powodu, by podejrzewać, że chodzi o falsyfikat.

— A co mamy od wywiadu? — zapytał Whittenberg.

— Jedynie analizę ruchu, panie generale. Sowietci operują dwiema jednostkami wywiadowczymi — *Marszał Miedelin* działa na Pacyfiku, a *Władimir Komarów* na Oceanie Indyjskim. NSA prowadziła nasłuch większości ich połączeń radiowych. Ale, jak to często bywa w przypadku delikatnych sowieckich misji, transmisje te były szyfrowane elektronicznie.

— W porządku — powiedział Whittenberg. — Wiceprezydent zamierza zapytać mnie, co to wszystko znaczy; sprecyzujmy zatem nasze stanowisko.

— Myślę, że sprawa jest całkiem oczywista, generale — odezwał się zastępca szefa sztabu operacyjnego, wysoki, chudy, nie rozstający się z fajką generał brygady John Fairchild. Powszechnie podziwiano jego nadzwyczajne zdolności matematyczne, dzięki którym zyskał pochlebne, nawiązujące do Newtona, przezwisko „Sir Izaak”. Brygadier zrobił przerwę, żeby zapalić fajkę, i mówił dalej: — Nasze wstępne badania dotyczące SDI — góra Cheyenne to nie jest odpowiednie miejsce, by używać określenia „Gwiazdne Wojny” — wykazały, że promy kosmiczne stanowią nader ważny,

nawet kluczowy element takiego systemu, zapewniając transport części wymagających naprawy. Byliśmy wszyscy wręcz zaskoczeni, stwierdziwszy, że odgrywają nieporównanie większą rolę w przewozach z prototypowej platformy kosmicznej na Ziemię niż w dostawach na nią wyposażenia z Ziemi. Po prostu nie przewidywaliśmy, jak fundamentalne znaczenie ma właśnie transport z góry na dół. W każdym razie postęp naszych badań uzmysłowił Rosjanom, że muszą zbudować nadające się do użytku wahadłowce, jeśli chcą stworzyć własny system Gwiezd... hmm, to jest SDI.

Wszyscy parsknęli śmiechem, a uszy Sir Izaaka leciutko porózo-wiały po tym przejęzyczeniu.

— To, co mam do powiedzenia — dodał, jakby się usprawiedliwiając — sprowadza się do tego, że nauczyliśmy się, iż nie można skonstruować platformy SDI i zapewnić jej funkcjonowania bez skutecznie działającego systemu promowego.

Dopóki Rosjanie nie mieli wahadłowca, wszelkie ich próby stworzenia takiej platformy byłyby marnowaniem czasu. Teraz jeden mają.

— I to jest zdecydowanie niedobra wiadomość — powiedział z goryczą Bysio.

— Obawiam się, że tak — zgodził się Whittenberg.

— Przynajmniej nie dorównują nam technicznie — wtrącił adiutant.

— Jak dotąd — odparował Whittenberg i zwrócił się do Lambor-ghiniego: — Pułkowniku, czas ucieka. Czy byłby pan uprzejmy to wszystko podsumować?

— Tak jest, panie generale — powiedział Lamborghini, szybko przerzucając notatki. — Była przerwa, trwająca rok, miesiąc i cztery dni, pomiędzy poprzednią sowiecką próbą wahadłowca a tą, do której doszło czwartego listopada. Z powodu tak długiego odstępu domyślaliśmy się, że coś u nich nie gra. Zakończona powodzeniem misja wykazuje, że uporali się z tym problemem, cokolwiek to było, i znowu są na rynku. Nieustępliwe parcie naprzód, na przekór niepowodzeniom, nawet poważnym, to typowe dla ich programu kosmicznego. Nadający się do użycia wahadłowiec stanie się brakującym dotychczas ogniwem transportowym, dzięki czemu będą zdolni do umieszczenia w kosmosie i zaopatrywania platformy SDI. Potrafią już przewozić w ten sposób ładunki większe niż my.

— Dziękuję, pułkowniku. — Whittenberg przesunął wzrokiem wokół stołu. — Czy ktoś ma jakieś uwagi końcowe? Czy o czymś nie zapomnieliśmy? Nadszedł właściwy moment na spekulacje. Nie chciałbym, żeby ktokolwiek zachował dla siebie komentarze.

Uczestnicy zebrania wiedzieli, że mówi szczerze.

— Panie generale — odezwała się major Lydia Strand z wywiadu,

zastępczyni Lamborghiniego, szalowa brunetka, której urodę przewyższała tylko jej inteligencja.

\_ Słucham, majorze? — zachęcił Whittenberg.

\_ Po poprzednim locie rosyjskiego wahadłowca zachodnich

dziennikarzy w ogóle nie dopuszczono do sowieckich oficjeli od programu kosmicznego. Myślę, że już i tak wyszło szydło z worka, a Rosjanie zawsze ogromnie się chwalili swymi bohaterami kosmosu...

— Podobnie jak my — wtrącił Whittenberg.

— Tak, panie generale — zgodziła się Strand, ale dodała: — Ciekawe, czy prasa będzie miała dostęp po tej próbie.

Szef Dowództwa Kosmicznego zastanowił się przez chwilę, a następnie powiedział:

— Pani uwaga jest trafna, majorze. Wspomnę o niej wiceprezydentowi, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Strand uśmiechnęła się.

— Nic a nic, panie generale.

### **Kreml, Moskwa**

Sekretarz generalny stał przy wykuszowym oknie swego luksusowego biura i patrzył, jak pierwszy w tym roku śnieg hula po placu przed cerkwią. Paradoksalne jak wiele jest na Kremlu, głównym ośrodku reżymu zaciekle propagującego ateizm, budowli stanowiących dawne świadectwa głębokiej wiary rosyjskiego ludu. Znajdują się tu świątynie pod wezwaniem Michała Archaniola, Dwunastu Apostołów, Zwiastowania, Zaśnięcia Marii Panny, Poświęcenia Sukni Dziewicy, jak również baszty murów obronnych dedykowane świętemu Piotrowi, świętemu Mikołajowi i Zbawicielowi.

Dla równowagi wierzący w partię mają tam pomnik Lenina, dopełniający pobliskie mauzoleum, gdzie złożono jego zabalsamowane, podobne woskowej figurze zwłoki. Niemniej teren Kremla zdominowany jest przez piękne stare cerkwie, przykryte kopułami w kształcie cebuli. Padający śnieg przydawał im bajkowego wyglądu. W tym roku pojawił się późno; przypominał, że już niebawem Moskwa znajdzie się w mocnym uścisku zimy. Pierwszy sekretarz nie zwracał jednak uwagi na malowniczy widok za oknem ani nie zastanawiał się nad następstwem pór roku. Myślał o przyszłości — przede wszystkim własnej przyszłości — głównie w związku z posiedzeniem Politbiura, które miało się odbyć za dwie godziny. Wyteżał i nysł, starając się przewidzieć rozmaite warianty przebiegu zbliżającego się konklawe i żadna z możliwości nie wydawała mu się nęcąca.

Aleksiej Fiodorowicz Woroncki przez całe swe dorosłe życie walczył o władzę, a znalazłszy się na szczycie poczuł się skrzepowany

przez te same siły, które go tam wyniosły. Zdobył stanowisko sekretarza generalnego partii komunistycznej — współczesny odpowiednik tronu Rosji — miażdżąc po drodze tych, którzy nie zdołali wykorzystać monstualnej sowieckiej biurokracji dla potrzeb państwa. Stosując tego rodzaju strategię robienia kariery, nietrudno było znajdować sobie ofiary, gdyż tej przerażającej niewydolnej maszyny nikomu jeszcze — ani prośbą, ani groźbą — nie udało się przystosować do spełniania utopijnych oczekiwań władz. Rok po roku Gosplan, zbiurokratyzowany ośrodek centralnego planowania, płodził stopy projektów i zadań produkcyjnych dla sowieckich fabryk i skolektywizowanych gospodarstw rolnych. Jego wszechwładne macki kontrolowały wszelką produkcję — od pasty do zębów, żarówek czy papierosów po samochody i reaktory jądrowe. Ale choć stosowano metody restrykcyjne, rzadko kiedy dochodziło do osiągnięcia postawionych celów. Toteż rutyną stało się dymisjonowanie dyrektorów zakładów produkcyjnych i zastępowanie ich świeżymi talentami. Ów cykl planowania, którego łatwym do przewidzenia wynikiem było zwalnianie kolejnych menedżerów, stał się już, na dobrą sprawę, raczej nudnawy niż komiczny. Ale tak właśnie funkcjonował raj proletariatu.

Pierwszy sekretarz znalazł się na tej grze i umiał ją uprawiać po mistrzowsku. Kiedy był ministrem Gosplanu, wykorzystał swą mocną pozycję, żeby dostać się do Politbiura, a zasiadając w nim dokonał jednego z najbardziej sensacyjnych przewrotów politycznych ostatnich dziesięcioleci, wysadzając z siodła samego Michaiła Siergiejewicza Gorbaczowa.

Gorbaczow, zostawszy sekretarzem generalnym partii, przeprowadził czystkę „starej gwardii”, stanowiącej relikwii czasów stalinowskich i epoki Breżniewa, ale dopiero po długiej i kłopotliwej rozgrywce o władzę z partyjną konserwą. Politbiuro dostało zastrzyk świeżej krwi, zaczęto wdrażać postępowe programy *periestrojki* i *glasnosti*. Ale pomimo owych szeroko reklamowanych reform i zawarcia traktatu rakietowego z Amerykanami, Rosja pozostawała nadal państwem policyjnym. *Pieriestrojke* zwalczali na każdym kroku przeciwnicy polityczni Gorbaczowa, których jątrzyła sama myśl o likwidacji ich biurokracji i rozpoczęciu z Amerykanami gry na nowych zasadach. Gorbaczow z najwyższym trudem utrzymywał się przy władzy. Ratowało go to, że coś się jednak ruszyło — wprawdzie niemrawo — w gospodarce, a także wycofanie wojsk z Afganistanu.

Wtedy wszakże wydarzyła się najgorsza z możliwych rzeczy.

Wywiad KGB doniósł, że Amerykanie dokonali przełomowych osiągnięć w tworzeniu systemu Gwiazdnych Wojen. Ich przewaga techniczna stała się tak przygniatająca, że postawiła pod znakiem zapytania skuteczność sowieckich sił nuklearnych. Była to groźba

realna i mogła się urzeczywistnić o wiele wcześniej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Tak przerażająca możliwość uruchomiła gwałtowne, destabilizujące siły w Politbiurze. Konserwatywni, militarys-tycznie nastawieni jego członkowie żądali wprowadzenia kryzysowego programu doświadczenia Amerykanów w dziedzinie broni kosmicznych. Gorbaczow przeciwstawiał się im argumentując, że to zbyt kosztowne. Militaryści, przeciwni wycofaniu się z Afganistanu, skupili się wokół ministra Gosplanu i rozgorzała na nowo walka o władzę, powodując podziały i... ofiary śmiertelne. W trakcie konfliktu, kiedy wydawało się, że raz jeszcze odzyska równowagę i utrzyma się przy władzy, Gorbaczow polecił do Leningradu, by skonsolidować poparcie, jakiego udzielali mu miejscowi działacze partyjni. Udało mu się to, ale podczas powrotu do Moskwy doszło do tajemniczej eksplozji jego Iljuszyna w powietrzu.

W sprawie tego „tragicznego wypadku” nie przeprowadzono żadnego dochodzenia, a że opozycja wobec ministra Gosplanu praktycznie przestała istnieć, śpiewająco uzyskał stanowisko sekretarza generalnego.

Osiągnąwszy cel całego swego życia, Woroncki musiał działać szybko, żeby zadowolić tych, którym zawdzięczał wybór. Wycofano się z traktatu raketowego ze Stanami Zjednoczonymi, ponownie wkroczone do Afganistanu i — co stanowiło krok najbardziej dramatyczny — podjęto niewiarygodnie kosztowny program dorównania Amerykanom w dziedzinie broni kosmicznych. Nowy sekretarz generalny był wytrawnym politykiem, ale — starając się dogodzić swym konserwatywnym poplecznikom — znalazł się w niesłychanie trudnej sytuacji. Zrozumiał, że nie jest w stanie ignorować nieodparte prawdy. A prawda była taka: jeśli Związek Sowiecki pozbawić pięciu milionów ludzi pod bronią i dwudziestu pięciu tysięcy bomb jądrowych, stanie się krajem Trzeciego Świata, i do tego biednym.

Pośpiech, z jakim chciano dogonić Amerykę, rozdał sowiecki budżet wojskowy do tego stopnia, że wywołało to powszechne niezadowolenie; z każdym dniem coraz bardziej utrudniające władzom izolowanie od społeczeństwa osób nieprawomyślnych. Doszło do rozruchów na tle zaopatrzenia w żywność, zrazu odosobnionych w odległych republikach, z czasem coraz częstszych i coraz bliższych Moskwy. Nadeszły złe czasy... Gorzej niż złe. A teraz zagrożona była pozycja Woronckiego jako sekretarza generalnego. Zaangażował się osobiście w program doskonalenia broni kosmicznych, wkrótce też stwierdził na podstawie doświadczeń amerykańskich, że stworzenie i zaopatrywanie platformy Gwiazdnych Wojen umożliwiała flota skutecznie działających wahadłowców. Politbiuru



nie spodoba się katastrofa drugiego już promu kosmicznego. Z całą pewnością nie.

Na porządku obrad zbliżającego się zebrania postawiono tylko jeden temat: drugie niepowodzenie próby wahadłowca, co oznaczało przez domniemanie, iż zawiódł sekretarz generalny. Przeraziła go perspektywa porażki. Bez promu kosmicznego, bez przełomu technicznego na wzór amerykański, *Matiuszka Rossija* była w ślepej uliczce. Miała kosztowny, ale niezdolny do funkcjonowania program kosmiczny i miliony głodnych, niezadowolonych obywateli. Tych faktów nie przeoczą towarzysze z Politbiura.

Sekretarz generalny potarł bezradnie powieki. W przyćmionym świetle wyglądał na typowego Rosjanina. Niektórzy uważali, że przypomina Leonida Breżniewa śniadą cerą i grubymi brwiami. Jego wielkie ciało było kiedyś potężnie umięśnione — w młodości reprezentował Związek Sowiecki na olimpiadzie w rzucie młotem. Ale mięśnie od dawna już obrosły tłuszczem. Postarzał się, był zmęczony, ciało zwiotczało.

Z zadumy wyrwało go delikatne pukanie do drzwi.

—  $\text{£} > \text{o}$ ? — rzucił automatycznie.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich drobny, żylasty człowiek w dobrze skrojonym dwurzędowym angielskim garniturze.

— Ach, wchodźże, Witalij! — zapraszał Woroncki.

Witalij Kostiaszak, przewodniczący KGB, podszedł do niego i powiedział tonem, jakim człowiek cywilizowany mówi o nieprzyzwoitych, niesmacznych wydarzeniach:

— Towarzyszu sekretarzu generalny, przyszedłem poinformować was osobiście, że czterdzieści pięć minut temu rozstrzelany został generał Szenko. Zawód, jaki sprawił nie wywiązując się z powierzonego mu zadania, postawił państwo w stan poważnego zagrożenia... — P° chwili dodał przypochlebnie: — Pomyślałem, że to może wam pomóc. — Kiwnął głową w kierunku przyległej sali, gdzie zbierało się Politbiuro.

Woroncki przyglądał się Kostiaszakowi z uczuciami, jakich rzadko doświadczał w tym pokoju — z wiarą, zaufaniem, a nawet sympatią. Ten mały człowieczek, którego protegował i wprowadził do Politbiura, stale robił mu niespodzianki. I ta jego słabość do angielskich garniturów, i ciemna karnacja, jakby pochodził z New Delhi, a nie z Ukrainy. Szef KGB miał doktorat Uniwersytetu Princeton i umysł jak brzytwa — w przełomowych momentach potrafił być niewiarygodnie bezlitosny. To za jego sprawą kilogram plastiku znalazł się w podwoziu samolotu Gorbaczowa podczas postoju na leningradzkim lotnisku.

— Generał Szenko przez wiele lat dobrze służył ojczyźnie... Znałem jego rodzinę. To godne pożałowania, że przyszło mu tak skończyć.

— Towarzyszu sekretarzu generalny — odparował przewodniczący KGB — odkąd Amerykanie nas wyprzedzili, stało się dla nas sprawą gardłową wypracowanie własnego, nadającego się do wielokrotnego użycia systemu promowego. Za jego realizację odpowiedzialny był właśnie generał Szenko. Zawiodł. Trzeba było potraktować to z całą surowością.

Woroncki westchnął, przesuwając palcami wzdłuż nosa.

— Wasza analiza, towarzyszu Kostiaszak, jak zawsze jest szczytem precyzji... zwłaszcza jeśli w grę wchodzi zaniedbanie.

— Zwrócił na wpół przymknięte ciężkimi powiekami oczy z powrotem w stronę okna i milczał przez dłuższą chwilę, zanim odezwał się miękko: — Boję się, Witalij, że przestanę być sekretarzem generalnym... Tyle lat walczyłem. Zaszedłem tak daleko i ciężko się pogodzić, że wykończy mnie ten pieprzony samolot kosmiczny. — Po chwili nagle walnął w blat biurka pięściami jak dwa młoty. — Dwa miliardy rubli! — krzyknął. — Poszły z dymem! Ulotniły się w jednej chwili! W ciągu sekundy! — Wydawało się, że ten wybuch wyczerpał resztki energii ciężkiego, niezgrabnego ciała, które zagłębiło się w przepastnym skórzanym fotelu.

Kostiaszak nie przerywał. Przyszło mu do głowy, że szef zaczyna się starzeć.

Woroncki skrył twarz w potężnych dłoniach.

— Cóż jest wart pieprzony wahadłowiec, jeśli płonie po trzech czy czterech lotach? Jest bezużyteczny! Całkowicie bezużyteczny! — Westchnął i wskazał palcem w kierunku sali konferencyjnej. — Już wkrótce będą się domagali mojej głowy — mamrotał z goryczą — i twojej też, muszę cię zmartwić... Drogi przyjacielu, mam nadzieję, że nie dojdzie do przerwania tak obiecującej kariery. Czyż nie jesteś prawdziwym mistrzem w takich sprawach? Co się robi, kiedy szef jest bezbronny i wystawiony na ciosy?

Zbliżył swą ogromną głowę do twarzy człowieka, którego protegował. Ten wszakże nie wydawał się podzielać przygnębienia swego mocodawcy. Smagła, przypominająca oblicze Hindusa twarz była pogodna, a w kącikach wąskich warg czaił się uśmiech. Zapalił, nie pytając o pozwolenie, pallmalla.

Zachowanie to nie uszło uwagi sekretarza generalnego, doświadczonego polityka, któremu często przychodziło czytać w myślach ludzi o kamiennym obliczu.

O co chodzi, Witalij? Czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś?

Kostiaszak strząsnął popiół do porcelanowej popielniczki, stojącej na palisandrowym biurku.

■— Tak, towarzyszu sekretarzu generalny. Muszę to wyznać. Jest coś, czego nie... ujawniłem.

Dawny sportowiec poczuł, jak krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach.

— Więc nie ukrywaj tego przede mną, Witalij. Powiedz, o co chodzi!

Przewodniczący KGB nie odpowiedział od razu. Długo zaciągał się pallmalem, a potem powoli wypuszczał małe kółka dymu, wpatrując się w nie ciemnymi oczyma. Wreszcie łagodnym, ale zdradzającym wewnętrzne napięcie głosem wyszeptał:

— Jesteście w błędzie, towarzyszu pierwszy sekretarzu. Nasz szef wcale nie jest bezbronny... Ale jeśli chcemy zwyciężyć w tej grze, musimy zaryzykować wszystko.



# Dzień pierwszy

## W cztery miesiące później

*Dzień 1., 12:38 czasu Greenwich, 4:38 miejscowego* **Baza Sił Powietrznych Vandenberg, Kalifornia**

Był piękny.

Wycelowany w niebo prom kosmiczny *Intrepid* wznosił się na wysokość jedenastu pięt na obmywanym falami Pacyfiku przylądku Arguello czekając, aż dźwignie go w przestworza ognisty ogon. Oplywowy w kształcie, z lekko tylko odstającymi od korpusu, niby na wpół złożonymi skrzydłami wyglądał w świetle reflektorów elegancko, a zarazem potężnie. Stał tam, jakby upozowany, pomiędzy dwiema ogromnymi raketami startowymi, przytulony do jas-krawopomarańczowego zbiornika paliwa o tak gigantycznych rozmiarach, że jego wnętrze trzeba było podzielić przegrodami, by zapobiec powstawaniu w nim wirów w trakcie opróżniania podczas startu. Owe cztery elementy tworzyły ważący łącznie dwa miliony kilogramów zespół startowy, wypełniony mnóstwem urządzeń, składających się na sześć głównych systemów oraz setki podsystemów, wypełniających funkcje związane z napędem statku, kierowaniem nim i zapewnieniem załodze warunków niezbędnych do życia. Wszystkie one musiały harmonijnie współdziałać, jeśli prom miał się wzbić w przestworza i wypełnić swe zadania. Ta imponująca precyzja i złożoność robiły jeszcze większe wrażenie niż ogrom i nowoczesne piękno statku.

Owej księżycowej nocy wokół pola startowego numer sześć bazy Vandenberg było pusto i niesamowicie cicho. Tylko od czasu do czasu przemknął długouchy zając, a wokół wierzchołka pomarańczowego zbiornika zewnętrznego wirowała delikatna mgielka. Poprzedniego ranka zbiornik napelniono pół milionem litrów ciekłego tlenu oziębionego do minus stu czterdziestu siedmiu stopni Celsjusza. We wnętrzu temperatura górnej warstwy tlenu podniosła się niebawem na tyle, że zaczął „wrzeć” i zamieniać się w gaz. Przez otwarty zawór niewielkie ilości owej niesłychanie zimnej pary ulatniały się, w miarę jak jej przybywało i wzrastało jej ciśnienie, do atmosfery.

W zetknięciu ze znacznie cieplejszym powietrzem tworzyła, przypominającą ślad po przelocie odrzutowca smugę, którą rozwiewał wiatr.

W słuchawkach rozległ się niewyraźny głos:

— Halo, *Intrepid*, tu kontrola startu. Zamknijcie zawór tlenu. Kciuk dowódcy wahadłowca przestawił odpowiedni przełącznik

z pozycji OPEN na CLOSE. Aluminiowy grzybek w zaworze na szczycie zbiornika przekręcił się i biała mgielka natychmiast znikła. Wewnątrz zbiornika zaczęło narastać ciśnienie, podobne do tego, jakie wytwarza para podczas gotowania wody w garnku pod pokrywką. Od tej chwili *Intrepid* miał już tylko osiem minut, by wystartować lub ponownie otworzyć zawór — inaczej zbiornik zostałby rozerwany eksplozją, która obróciłaby w perzynę wszystko, co znajdowało się na polu startowym.

— Potwierdzam. Zawór tlenu zamknięty.

Głos, który to powiedział, był zimny, twardy, znamionujący pewność siebie.

— Śledzimy to, *Intrepid*. Mamy podgląd na zawór tlenowy.

— Zrozumiałem — nadeszła lodowata odpowiedź.

Drugi pilot, major Frank Mulcahey, uznał, że ta rozmowa o ciekłym tlenie jest cokolwiek zabawna. Z żartów krążących na temat zimnej krwi dowódcy wahadłowca można się było bowiem domyślać, że jej temperatura jest niewiele wyższa.

— *Intrepid*, zamknijcie zawór wodoru — rozkazała kontrola startu.

— Zrozumiałem.

Zbiornik ciekłego wodoru, drugiego składnika mieszanki paliwowej wahadłowca, został zamknięty.

Mulcahey był wykapanym potomkiem swych irlandzkich przodków — rudowłosa i rudo wąsy, o budowie boksera wagi ciężkiej, nienawykły komukolwiek schodzić z drogi. Pochodził z Bostonu. Zanim trafił do korpusu astronautów, niemal całe dorosłe życie był pilotem myśliwca. Teraz ogarniał piwnymi oczyma te wszystkie skale, zegary, wskaźniki i inne przejawy aktywności ciekłych kryształów, by w porę dostrzec jakiegokolwiek odchylenie od normy w funkcjonowaniu podsystemów startowych statku.

Prawdę mówiąc, ludzkie oczy i refleks nie były w stanie poradzić sobie z trzydziestoma czterema milionami informacji, które trzeba było uwzględnić podczas startu wahadłowca. Zadanie to wypełniało pięć komputerów pokładowych, błyskawicznie pozerających dane, monitorujących tysiące procesów i jeszcze kontrolujących siebie nawzajem. Jeśli nie były zgodne co do procedury lotu, rozstrzygały spór przez głosowanie. Statek kosmiczny był do tego stopnia zdany

na komputery, że wszystkie czynności — zapłon silników, start, pilotowanie i manewr powrotu — mogły się dokonywać bez ludzi. Mulcahey miał chwilami wrażenie, że dotyczyło to zwłaszcza fotela dowódcy. Pewnie dlatego, że dowódca tak właśnie pojmował swą rolę: jako jeszcze jednego elementu doskonale funkcjonującej całości.

— Wyłącz APU. — Rozkaz brzmiał spokojnie, ale stanowczo. Mulcahey odpowiedział zwięzłym „Tajest”, wyłączając na czas

startu pomocniczą jednostkę napędową.

— Halo, wieża! — odezwał się przez radio dowódca. — Tu *Intrepid*. APU wyłączone. Skończyłem.

— Zrozumiałem, *Intrepid*, monitorujemy wasze czynności. Wyłączam się.

Mulcahey rzucił okiem na zegar startowy, pokazujący, że do zapłonu głównych silników pozostały niecałe dwie minuty.

Obrócił się nieco w fotelu i powiedział przez telefon pokładowy:

— Jak tam, Jerry? Gotów do startu?

Doktor Jerry Rodriquez, specjalista pokładowy, uśmiechnął się i odparł:

— Pewnie, wszystko gra pierwsza klasa!

Obaj mężczyźni roześmiali się, bowiem Rodriquez powtórzył wyrażenie użyte przez Alana Sheparda podczas pierwszego lotu kabiną Mercury'ego; było to swoistym nawiązaniem do tradycji. Dowódca nie podzielał wszakże ich rozbawienia. Jego twarz pozostała zimna, nieprzenikniona.

„Lodowiec” — takie nosił przezwisko, zdaniem Mulcaheya wyjątkowo trafne. Bowiem pułkownik Julian Kapuściński niezmiennie zdawał się mieć więcej zrozumienia dla komputerów czy obwodów scalonych niż dla ludzi. Rzadko okazywał złość, sympatię, poczucie humoru czy jakiegokolwiek inne emocje właściwe naturze ludzkiej. Nigdy nie okazywał strachu. Mulcahey nie lubił dowódcy, ale przyznawał z podziwem, że był naprawdę nieustraszony. I, Chryste, co za lotnik! Kiedy Lodowiec po raz drugi w życiu uczestniczył w locie wahadłowcem — startowali wtedy z Cape — tuż po odpadnięciu rakiet startowych zamrugało na pulpicie kontrolnym światelko sygnalizujące wyciek płynnego wodoru z ogromnego zbiornika zewnętrznego. Lodowiec błyskawicznie odłączył wówczas statek od zbiornika i posługując się rakietskimi manewrowymi, wykonał ciasną pętlę. Tego nie uczą w podręcznikach, ale gdyby zawahał się choćby parę sekund, eksplozja zbiornika — do której doszło — zniszczyłaby wahadłowiec. Kiedy zdołał następnie wylądować na płycie w Cape, prasie brakowało po prostu słów podziwu.

Zbyteczne dodać, ile zebrał pochwał. Nie szczędziły ich NASA, siły Powietrzne, rozmaite towarzystwa ubezpieczeniowe oraz rząd Indonezji, którego satelitę telekomunikacyjnego, wartego osiemdziesiąt pięć

milionów dolarów, przy okazji ocalił. Odbyła się nawet uroczystość w Białym Domu, podczas której prezydent nazwał Lodowca „Chu-ckiem Yeagerem naszych czasów”. Na przekór całej tej reklamie, wszystko, co Kapuściński miał do powiedzenia o uratowaniu statku kosmicznego brzmiało: „To po prostu jeszcze jeden lot”. Co, rzecz jasna, tylko przysporzyło mu popularności.

Kiedy minął rozgardiasz, badania wykazały, że w zbiorniku zewnętrznym była rysa już przed startem. Inżynierowie z NASA oddechnęli na wieść, że chodziło o wadliwy element — obawiali się, że nawalił system doprowadzania paliwa.

— Hmm. To dziwne.

Kierownik startu spojrzął w kierunku lekarza lotu.

— O co chodzi, doktorze? Coś ważnego?

Lekki niepokój był czymś normalnym dla szefa operacji na minutę trzydzieści siedem sekund przed startem.

Lekarz zawałał się, ponieważ chodziło o drobną nieprawidłowość, ale zdecydował się mimo wszystko powiadomić o niej kierownika.

— Chodzi o Kapuścińskiego. Serce bije mu sto sześć, choć mamy jeszcze ponad minutę do startu. A normalnie jego puls nigdy, nawet po zapłonie, nie przekracza osiemdziesięciu pięciu.

— Lodowiec? — Kierownik startu nie dowierzał. — Nabiera mnie pan? Musiał coś zjeść. Chyba że się trochę przejął ładunkiem specjalnym na pokładzie.

Doktor westchnął.

— Pewnie ma pan rację. Nie jest to powód, by odłożyć start, ale swoją drogą to interesujące.

— Słusznie, doktorze. Niech lecą. Tylko miejmy na to oko, dobrze? Wstrzymywanie lotów nie pomaga kierownikowi startu w karierze.

— *Intrepid*, tu kontrola startu. Przystępujemy do uruchamiania APU rakiet startowych. Kontrolę przejmują komputery pokładowe. Startujecie za dwadzieścia trzy sekundy.

— Zrozumiałem — odpowiedział Lodowiec. — Wyłączam się. Mulcahey poczuł, że zaczynają mu się pocić ręce. Nie było już

teraz przełączników do przestawiania ani guzików do naciskania. Odtąd wszystko kontrolowały impulsy elektroniczne biegnące przez płytki kwarcowe.

W bunkrze kontroli startu pracownik utrzymujący łączność radiową z załogą wahadłowca rozpoczął odliczanie:

— Osiem... siedem... sześć...

Sześć olbrzymich dysz na polu startowym zagrzmiało, wypluwając

oziorne gejzery wody u podstawy statku. Silniki główne wytwarzają tak kolosalną energię akustyczną, że odbite od betonowej płyty fale dźwiękowe groziłyby zniszczeniem wahadłowca. Żeby temu zapobiec, trzeba było pokryć pole startowe ochronną warstwą wody. Odpowiednią grubość wodnej osłony, wystarczającą do pochłaniania dźwięku, zapewniał specjalny system grawitacyjny zatapiania dysz, który w ciągu trzydziestu sekund wylał na płytę i do przewodów odprowadzających spaliny prawie trzy miliony litrów wody.

— ...pięć... cztery...

Trzy główne silniki wahadłowca odpalone zostały kolejno w odstępach trzech dziesiątych części sekundy. Statek pochylił się do przodu mniej więcej o metr, a w kabinie usłyszano szcęk zaciskających się łączy, mocujących go do zewnętrznego zbiornika.

— ...trzy... dwa... jeden... zapłon rakiet startowych! Komputery uruchomiły dwie rakiety startowe na paliwo stałe, a ich płomienne pióropusze połączyły się w szybie odprowadzającym spaliny z płomieniami wydobywającymi się z dysz silników głównych. Ryk stał się ogłuszający, a dym zmieszany z parą wystrzelił wysoko ponad rusztowanie startowe. Mulcahey sprawdził światła kontrolne silników głównych i rakiet startowych i krzyknął:

— Wszystkie zielone!

Przez trzy sekundy siła ciągu wynosząca trzy miliony kilogramów — odpowiadająca w przybliżeniu czwartej części energii wybuchu, który zmiotł z powierzchni ziemi Hiroszimę — dźwigała połączony ciężar wahadłowca, zbiornika i rakiet startowych, aż sworznie ścinane wybuchowo, przytwierdzające rakiety do płyty wyrzutni, eksplodowały i statek zaczął się wznosić.

Widok startu, zwłaszcza w nocy, zawsze jest przeżyciem dla ludzi obserwujących go z bunkra kontroli.

— Halo, *Intrepid*, mamy start! Idzie wam nieźle. Wieża za wami, a teraz będziecie robić beczkę.

— Zrozumiałem — powiedział lodowaty głos. — Zaczynamy manewr obrotu.

Rozmowa była zbyteczna, gdyż to komputery pokładowe kierowały ruchami dysz rakiet startowych, obracając pojazd o sto dwadzieścia stopni wokół własnej osi, tak aby na orbicie znalazł się „do góry nogami”.

Mulcahey w milczeniu obserwował machometr i zegar odmierzający czas operacji. Nigdy nie przestawało go zdumiewać, że coś tak wielkiego można w ciągu pięćdziesięciu sekund rozpędzić od zera do macha jeden.

— Zdobyć.



*Dzień 1., 12:48 Greenwich, 2:48 czasu miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

— Informacja o wykryciu startu, towarzyszu generale!

— Gdzie? — niemal żałośnie domagał się generał.

— Vandenberg. Kurs początkowy jeden-osiem-siedem stopni. Analiza cech charakterystycznych właśnie nadchodzi. Dowódca misji Małyszew zrobił przerwę, pozwalając, by napłynął mu do słuchawek pełny raport z Ośrodka Ostrzegania Obrony Sowieckiej Przestrzeni Powietrznej.

— Potwierdzone. Analiza podczerwieni charakterystyczna dla startu wahadłowca.

— Chcę być informowany na bieżąco! — wysapał krępy, otyły generał w pomiętym mundurze.

— Oczywiście, towarzyszu generale. Właśnie idzie na tablicę trajektoria.

Na mapie w projekcji Merkatora pojawiła się krótka świecąca linia, wychodząca z Kalifornii na południe.

Generał lejtnant Likadij Popów cisnął słuchawkę i zwrócił się do dwóch cywilów na oszklonym pomoście obserwacyjnym:

— Amerykański wahadłowiec wystartował w dokładnie takim czasie i kierunku, jak przewidywaliśmy.

— Wspaniale! — uradował się niedźwiedziowaty sekretarz generalny, podczas gdy jego drobniutki kompan o twarzy szachisty, nawykłego do tajenia emocji podczas gry, zachowywał się bardziej powściągliwie. Niemniej nawet jemu trudno było pohamować radosne podniecenie.

— Tak, tak. To całkiem dobrze. To rzeczywiście bardzo dobrze — mruczał z zadowoleniem szef KGB. — Wiele musi się jeszcze wydarzyć, ale najważniejszą sprawę mamy już za sobą, nieprawdaż?

Popów nie odpowiedział. Był przygnębiony, a ponadto zachowywał ostrożność w kontaktach z tą dwójką.

— Proszę, proszę, generale! — przymilał się schludny i wymuskany, gładko uczesany Kostiaszak spoza stale go przesłaniających kłębow dymu. — Musicie się nauczyć relaksować. Czy zdajecie sobie sprawę, co to może dla nas znaczyć?... Papierosa?

Jedną ręką podsunął mu papierosnicę z litego złota, a drugą podawał już ogień zapalniczką firmy Dunhill.

Popów, prawie sześćdziesięcioletni dyrektor operacji kosmicznych, nieufnie wziął pallmalla i głęboko zaciągnął się dymem.

Miesiąc temu dwóch chamów w zielonych mundurach wyrwało go ze snu, by przewieźć helikopterem do dacy szefa KGB nad rzeką Moskwą. Od tego czasu żył właściwie sterroryzowany. Stale przebywał z Kos-tiaszakiem albo z którymś z jego ludzi, czyniąc przygotowania do

„oś w co ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć. Z natury i z wykształcenia był inżynierem, a politycznej strony sowieckiego życia mocno go obawiał, zwłaszcza teraz, mając świeżo w pamięci los swego poprzednika. Nieszczęsnego generała Szenkę uważał za zdolnego fachowca.

Wdawanie się w tego rodzaju przedsięwzięcia, jak to, w którym uczestniczył, było dla Popowa czymś nie do pojęcia. A przeprowadzanie go w warunkach obsesyjnej wręcz konspiracji — nawet wobec Rosjan — sprawiało, że rzecz cała była właściwie nie do zniesienia. Żony ani syna nie widział od chwili, kiedy go zabrano w środku nocy, miesiąc temu. Bez wątplenia myśleli, że go aresztowano.

— Kiedy możemy się spodziewać następnych wiadomości? — zapytał Woroncki.

— To już — odpowiedział Popów, skrobiąc wianuszek siwawych włosów wokół tysej głowy — jest całkowicie niezależne od nas, towarzyszu sekretarzu generalny.

Zabrzącał telefon. Generał porwał słuchawkę z widełek i wrzasnął:

— Czego?!

— Rakiety startowe odpadły.

*Dzień 1., 12:50 czasu Greenwich Intrepid*

Błysk eksplodujących sworzni oślepił na moment Mulcaheya. Odetchnął z ulgą. Już po raz piąty brał udział w wyprawie wahadłowcem, a ciągle jeszcze nie mógł zapomnieć, co stało się z *Challengerem*. Nadal nie potrafił wymazać z pamięci obrazu rakiety startowej wkręcającej się w zewnętrzny zbiornik paliwa. Toteż był zadowolony, że *Intrepid* pozbył się już rakiet, że zużyte spadały teraz do oceanu.

— Halo, *Intrepid*, tu kontrola lotu. Obserwujemy odłączanie się rakiet startowych.

Po oderwaniu się statku kosmicznego od rusztowania startowego kontrolę nad wyprawą przejął Ośrodek Operacji Kosmicznych w Stacji Sił Powietrznych Falcon, nieopodal Colorado Springs. Wyposażenie było tam niemal identyczne jak w NASA w Houston.

Zrozumiałem — odpowiedział Lodowiec. — Odłączanie poszło gładko.

— Przekaż dane o sytuacji, *Intrepid*. Odbiór. Lodowiec przebiegł spojrzeniem zegary.

~ Przekraczamy macha pięć, pułap czterdzieści cztery kilometry. Główne silniki na poziomie dziewięćdziesięciu ośmiu procent mocy. Wahadłowiec unoszący się w przestrzeni kosmicznej z wciąż

przyłączonym zbiornikiem zewnętrznym przedstawiał teraz osobliwy" widok — coś jakby odrzutowiec pasażerski kopulował z silosem zbożowym. Choć pozbawiony już wspomagających go rakiet startowych, *Intrepid* nadal zwiększał szybkość, wciskając Mulcaheya w fotel z siłą trzech g, czyli równą trzykrotnej wadze jego ciała. Było to największe przeciążenie, jakiego miał doświadczać w trakcie tej wyprawy. Zwyczajne trzy g powinno być małym piwem dla byłego pilota doświadczalnego. Ale na myśliwcu duże przeciążenie trwa krótko, głównie podczas zawrotów, we wznoszącym się zaś wahadłowcu występuje stale. Uparta natura drugiego pilota nie pozwalała mu się przyznać, że jest mu niewygodnie i byłby zadowolony, gdyby już weszli na orbitę. Nie spuszczał z przyrządów piwnych oczu. Czuł, że ta jego piąta wyprawa promem kosmicznym będzie wspaniała, bo wszystko przebiegało gładko. Lodowiec nie odzywał się. Nigdy tego nie czynił bez potrzeby.

Na wysokości stu dwudziestu ośmiu kilometrów silniki wahadłowca ponownie lekko się obróciły, umieszczając statek w „płytkim zanurzeniu” kosmicznym. Ciekłe paliwo było już prawie na wyczerpaniu, toteż wielki pomarańczowy zbiornik trzeba było skierować ku pełnemu morzu, żeby jego szczątki nie spadły na ląd, Bóg raczy wiedzieć gdzie. Zbiornik był długi na pół boiska piłkarskiego, szeroki ponad osiem metrów i ważył — pusty — trzydzieści dziewięć ton. Był stanowczo zbyt duży, by całkowicie spłonąć w atmosferze, dlatego trzeba było go wysłać na jakiś nie uczęszczany zakątek Pacyfiku, gdzie upadek jego zwęglonych szczątków nie przyczyniłby nikomu kłopotów.

Komputery wstrzymały pracę głównych silników; wahadłowiec i zbiornik „dryfowały” razem przez dwadzieścia sekund. Potem łączące je sworznie eksplodowały, a rakiety manewrowe automatycznie oddaliły statek od niepotrzebnego już zbiornika. Kiedy tylko się go pozbyli, Mulcahey zobaczył, że Lodowiec przejął sterowanie ręczne wahadłowcem, ustawiając go w pozycji odpowiedniej do odpalenia silników raketowych systemu manewrowania orbitalnego (OMS). Były to mniejsze silniki umożliwiające statkowi zmienianie orbit oraz zapewniające mu ciąg niezbędny do powrotu na ziemię. Trzej astronauty doznali lekkiego wstrząsu, kiedy silniki OMS zapłonęły na czterdzieści sekund.

— W porządku, Jerry. Możesz teraz odpocząć. Będziemy szli rozpędem przez czterdzieści pięć minut — powiedział Mulcahey.

Rodriguez orientował się dobrze w programie wyprawy, znał się też, i to lepiej od Mulcaheya, na funkcjonowaniu systemów wahadłowca. Miał nawet za sobą o jeden więcej lot promem kosmicznym niż drugi pilot. Doktorat w zakresie mechaniki technicznej uzyskany w Californian Institute of Technology oraz siedem lat szkolenia na

alistę pokładowego uczyniły zeń fachowca wyjątkowo dobrze <sup>Sf</sup>destynowanego do zadań tej właśnie, szczególnej misji. *intrepid* zmierzał ku prototypowej platformie Obronnej Inicjatywy Strategicznej, krążącej wokół Ziemi w odległości sześciuset dziewięćdziesięciu kilometrów po orbicie biegunowej o nachyleniu osiemdziesięciu trzech stopni. Po trzech kwadransach miał ponownie włączyć rakiety OMS, by wejść na orbitę w przybliżeniu kołową na wysokości dwustu dwóch kilometrów. Stamtąd, po sprawdzeniu funkcjonowania wszystkich systemów, kolejne uruchamianie silników miały wynieść wahadłowiec na wyższy pułap i po niezbędnych korektach, ustawić w pozycji właściwej do spotkania z platformą, na którą miał dostarczyć niesłychanie ważny ładunek. Tak ważny, że nic nie powinno zakłócić tej szczególnej misji. Dlatego tak starannie dobrano załogę. Byli najlepsi z najlepszych.

Prawdę mówiąc, Lodowiec nie figurował w oryginalnym składzie jako dowódca wyprawy. Był dublerem. W powszechnej opinii na stanowisko to najodpowiedniejszy wydawał się Jarrod McKenna, toteż jego pierwotnie wyznaczono. McKenna, wyróżniający się członek korpusu astronautów, wyglądał jak uosobienie pilota oblatywacza. Jeden z najlepszych futbolistów w skali krajowej podczas studiów w Yale, stypendysta Rhodesa, nie skorzystał z szansy zawodowej kariery sportowej, wybierając służbę w siłach powietrznych, gdzie awansował z szybkością myśliwca F-16. Wcześniej dosłużył się stopnia pułkownika. Był naprawdę wybrańcem bogów — nadzwyczaj uzdolnionym pilotem, błyskotliwym przywódcą, mężczyzną atrakcyjnym fizycznie i powszechnie aprobowanym politycznie. Nikt nie miał wątpliwości, że właśnie on powinien kierować wyprawą

**0** tak wielkim znaczeniu. Ale na cztery dni przed startem zapadł nagle na wyjątkowo złośliwą odmianę grypy żołądkowej. Był właśnie w restauracji i aż go skreśliło po śniadaniu. Rodriquez dobrze to pamiętał. Wszyscy wystraszyli się jak diabli. Wzywano sanitariuszy,

**1** tak dalej. Lekarze orzekli, że wyjdzie z tego mniej więcej za tydzień, ale na lot trzeba było dać zastępstwo. Rodriquez był rozczarowany. Wołałby, by w fotelu dowódcy siedział McKenna, a nie Lodowiec. Ale w końcu, coś to za problem — przecież chodzi jedynie o kilkanaście godzin.

Jak tylko dotrą do platformy, Rodriquez miał wyjąć z ładowni to, co wieźli, za pomocą specjalnego zdalnego manipulatora, a następnie przenieść się na platformę, by nadzorować zainstalowanie dwóch elementów programu Gwiezdnych Wojen. Dwaj ludzie z załogi platformy mieli wrócić *Intrepidem* na ziemię. I to by było na tyle.

Rodriquez miał trzydzieści sześć lat, ale wyglądał znacznie starzej. Jego smągła latynoska twarz była mocno poorana zmarszczkami, a włosy bardziej szpakowate, niż miewają mężczyźni w jego wieku.

Miał płaski nos i uszy przywodzące na myśl kalafior. Uważał, że awansowawszy z nizin losangeleskiego *barrio* ma do spłacenia dług. Udział w lotach kosmicznych był taką splątą. Przebywał oto na orbicie, niecierpliwie czekając, aż znowu znajdzie się na platformie SDI. Nie widział jej od dziewięciu miesięcy i był wielce podekscytowany perspektywą położenia w jakimś sensie ostatniej, wieńczącej dzieło cegiełki. Do tej pory stacja orbitalna musiała już j przybrać swój ostateczny sześciokątny kształt. Napędzana reaktorem jądrowym platforma była zadziwiająco mała. Załogę jej stanowiło trzydziestu dwóch ludzi, zatrudnionych przy końcowej fazie dopieszczania systemów i usuwania defektów. Kiedy stacja uzyska wreszcie pełną gotowość bojową, naprawdę będzie w stanie „załatwić od-j mownie” sporą część potencjału jądrowego Związku Sowieckiego. I to o wiele wcześniej, niż można było marzyć jeszcze parę lat temu.

„Zabawne — pomyślał Rodriąquez — że funkcjonowanie czegoś I niewiarygodnie potężnego może zależeć od dwóch tak stosunkowo] niewielkich części”.

#### *Dzień 1., 13:10 czasu Greenwich, 6:10 miejscowego Góra Cheyenne*

— Idzie dobrze, panie generale — zaopiniował dyżurny oficer w okularach. — Start i wstępne odpalenie OMS przebiegły gładko. Teraz nie bardzo ma co nawalić. Jeśli pogoda się utrzyma, będą z powrotem w Vandenberg w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

— Kiedy ponownie włączą OMS? — zapytał Whittenberg. Oficer dyżurny spojrział uważnie na zegar.

— Trzydzieści osiem minut, dwadzieścia trzy sekundy do następnego uruchomienia, panie generale.

Falcon, gdzie kontrolowano lot wahadłowca, - było dość odległe od góry Cheyenne, ale Whittenberg odpowiedzialny był także i za tę działalność. Nie mógł jednak, mimo tak rozlicznych funkcji, przebywać jednocześnie w dwóch miejscach, toteż czuwał nad przebiegiem wyprawy z wnętrza granitowej fortecy za pośrednictwem Ośrodka Operacyjnego Obrony Kosmicznej Stanów Zjednoczonych,

— W porządku, idę na kawę i wracam do biura — powiedział generał. — Gdyby cokolwiek, mówię wyraźnie: cokolwiek, uległo zakłóceniu, chcę o tym wiedzieć wczoraj. Pojmujesz, o co mi chodzi?

— Tak jest, panie generale — odparł dyżurny.

— Pete, czy zamierzasz krążyć tu i mieć oko na sprawy, dopóki nie dotrą do platformy? — Whittenberg zastosował uprzejmy sposób wydawania rozkazów.

— Chciałbym, panie generale — odparł Lamborghini.

General powiedział „dziękuję” i wyszedł z Ośrodka Operacyjnego.

— Co się z nim dzisiaj dzieje? — zapytał oficer dyżurny. — Lata od rana, jakby mu żona powiła trojaczki.

Lamborghini poklepał młodego kapitana po plecach.

— Nie przejmuj się tym, synu. Kiedy już też będziesz miał cztery gwiazdki, zrozumiesz.

*Dzień J., 13:49 czasu Greenwich Intrepid*

— Zapłon! — zakomenderował Lodowiec.

Mulcahey nacisnął czerwony guzik i rakiety OMS zapłonęły jeszcze raz przez czas ściśle odmierzony, wprowadzając wahadłowiec na bliską orbitę okołozemską.

— Dobrze, Jerry — odezwał się Mulcahey. — Teraz jesteśmy w koleinie. Jeszcze parę zapłonów i dobijemy do platformy.

Doprowadzenie do spotkania z obiektem krążącym z prędkością dwudziestu siedmiu tysięcy kilometrów na godzinę po orbicie na wysokości sześciuset dziewięćdziesięciu kilometrów musiało się odbyć etapami, precyzyjnie i umiejętnie.

— Rodriquez — powiedział z naciskiem Lodowiec — zajmij się drzwiami.

— Tak jest... panie pułkowniku! — Rodriquez doszedł do wniosku, że nie lubi Kapuścińskiego. W ogóle go nie lubi. Był to naprawdę kawał zimnego skurwysyna. Ale w tej chwili nie należało o tym myśleć. Była robota. Wyciągnął z gniazdka swój przewód telefonu pokładowego i wepchnął końcówkę do kieszeni kombinezonu. W pomieszczeniach statku, w których przebywała załoga panowały normalne warunki życiowe, toteż astronauta nie nosili w trakcie lotu specjalnych ciśnieniowych ubiorów kosmicznych, jedynie lekkie niebieskie kombinezony i hełmy.

Rodriquez uwolnił się z rymsztunku pasów i — nieważki — odpłynął chichocząc od swego fotela. Mulcahey znał to uczucie<sup>1</sup> także się śmiał. Kiedy po raz pierwszy człowiek poczuje się całkowicie wyzwolony od siły ciężkości, zaczyna pojmować, że cena rygorów treningu astronauty nie była zbyt wysoka.

Rodriquez z gracją podążył do tylnej kabiny, gdzie się zakotwiczył, **Wsuwając** stopy w specjalne, dopasowane do kształtu astronautycz-nych butów, zaciski. Ten prosty sposób zabezpieczał przed niezamierzonym oddryfowaniem ze stanowiska pracy. Tylna kabina, **mająca** kształt litery U, mieściła całą baterię przyrządów, przełączników 'Przycisków, które miał kontrolować. Zadał o zasilanie urządzeń<sup>2</sup>elektronicznych, następnie zajrzał przez okienko do ładowni. W jej

wnętrzu panowała całkowita ciemność. Nacisnął wyłącznik bezpiecznika i przestawił dźwignię otwierającą przeszło dziesięciometrowo wysokości drzwi. Zabrzęczało, dała się odczuć delikatna wibracja, kiedy po odblokowaniu rygli włączyły się tłoki hydrauliczne, pchając ciężkie wrota. Z ładowni widać było lazurowy horyzont Ziemi czarnym jak węgiel tle. Widok ten nieodmiennie przejmował Rod-riqueza wzruszeniem, przypominał mu, jak długą i twardą przebył drogę ze slumsów Los Angeles do tego okna, z którego mógł objąć spojrzeniem ziemski glob. Gdyby nie przeszkadzała mu nieważkość, padłby na kolana.

Powłoka wahadłowca ogromnie się rozgrzała od tarcia o powietrze podczas wznoszenia. Nagromadzone w niej ciepło wypromieniowywały radiatory zainstalowane po wewnętrznej stronie drzwi ładowni. Trzeba je było co pewien czas otwierać — inaczej nawet klimatyzacja nie zapobiegłaby nadmiernemu wzrostowi temperatury wewnątrz tego pomieszczenia.

— Halo, kontrola lotu, tu *Intrepid*. Drzwi ładowni otwarte i zabezpieczone — powiedział przez radio Lodowiec.

— Zrozumiałem, *Intrepid*. Następny zapłon OMS macie za dziewięćdziesiąt trzy minuty. Miłej podróży. Wyłączam się. Lodowiec patrzył przez okno na Ocean Indyjski. Od górnej wargi oderwała mu się kropelka potu i unosiła w powietrzu przed jego oczami. Pochwycił ją sprawnym ruchem i rozgniół pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Serce waliło mocno — żeby je uspokoić, oddychał powoli, głęboko. W jakimś sensie Lodowiec się roztopiał...

Jakże długą miał za sobą drogę. Ileż czasu musiał poświęcić, by wreszcie osiągnąć cel. Wiele razy nachodziły go wątpliwości. Także co do celu. Kwestionował słuszność decyzji, którą podjął. Zapytywał sam siebie, czemu miało służyć prowadzenie tak jałowej egzystencji. Ale na wszystkie te pytania ona dała mu już kiedyś odpowiedź. Kiedy się wahał, używała mu swego zdecydowania. Gdy płakał, pocieszała go. „Zaczekaj... bądź cierpliwy... kiedyś nadejdzie właściwy moment. Nie jesteś po to, by zadawać pytania — napominała go. — Masz być posłuszny. To twój obowiązek”. A on zawsze po prostu musiał się jej podporządkować.

Rozpiął górną kieszeń kombinezonu i wyjął fotografię. Patrzyła z niej twarz kobiety o twardych, surowych słowiańskich rysach. Ale była i jakaś miękkość w przejmującym spojrzeniu jej brązowych oczu, budząca w Kapuścińskim jedyne silne uczucia, jakie znał. I chociaż mogło to wydawać się niewiarygodne, właśnie ona prawie pięćdziesiąt lat temu zapoczątkowała wydarzenia, które zaprowadziły go właśnie tu, na lewy fotel w sterowni wahadłowca.

Mulcahey wyciągnął szyję, by rzucić okiem na zdjęcie w ręku Kapuścińskiego.

Wolno spytać, Lod, kto to jest? Tamten nawet na niego nie spojrział. Dalej wpatrywał się w sfatygowaną fotografię.

— To moja matka — odpowiedział miękko.

Mulcahey miał już na końcu języka: „Nie wiedziałem, że w ogóle miałaś matkę”. Ale powstrzymał się, zanim mu się to wypsnęło. Zamiast tego, skomentował:

— Och, nie przypominam sobie, żebyś kiedy o niej wspomniał. Chwilę trwało milczenie.

— Umarła, kiedy miałem dziewiętnaście lat... Byłem wtedy na drugim roku akademii.

— Rozumiem — stwierdził Mulcahey, ale to nie była prawda. Próbował jedynie być uprzejmy. Teraz, widząc Lodowca gapiącego się na małe zdjęcie, drugi pilot zaczął go baczniej obserwować. Fakt, że jego umiejętności lotnicze były najwyższej klasy, ale to jednak dziwny facet. Szczupły, wręcz chudy, ani grama tłuszczu. Dzień w dzień wioskował przez godzinę „na sucho” w specjalnej maszynie. Miał krótko przystryżone ciemnoszare włosy, czarne oczy; zapadłe policzki nadawały mu niemal trupi wygląd. Mulcahey wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

Lodowiec odłożył fotografię i ponownie odetchnął głęboko. „Teraz” — pomyślał. Właśnie nadszedł koniec długiej podróży. Korzystając z tego, że Mulcahey patrzył w inną stronę, powoli rozpiął kieszeń na udzie i wyciągnął z niej mały cylindryczny przedmiot, wielkością zbliżony do naboju kalibru 12. Na bocznej powierzchni cylindra uwypukłał się guzik; po jego naciśnięciu silnie sprężony dwutlenek węgla wyrzucał z wnętrza pocisk z nierdzewnej stali. Było to urządzenie jednorazowego użytku — i właśnie nadszedł czas, by je wykorzystać. Starając się nadać głosowi ostre brzmienie, warknął:

— Co to było?!

Mulcahey i Rodriquez podnieśli głowy.

— Co było co? — zapytał nerwowo Mulcahey. Nie podobał mu się ton pilota.

Z kamienną twarzą Lodowiec powiedział:

— Widziałem błysk sygnalizatora wykrywającego dym.

Krew zastygła w Mulcaheyu. Nie było niczego bardziej przerażającego niż ogień na statku kosmicznym. Odkąd Gus Grissom, Ed White i Roger Chaffe zginęli w pożarze kabiny Apollo stojącej na ziemi, w Cape — już choćby myśl o pożarze w przestrzeni kosmicznej musiała nieodmiennie budzić paniczny strach.

— Ostrzegacz niczego nie sygnalizował! — zaprotestował Mulcahey, próbując pobożnym życzeniem odegnąć niebezpieczeństwo. — Który to był?



— Od elektroniki lotniczej w przegrodzie numer dwa — bezlitoś-' odparł Lodowiec.

— Zaszary interes! — zaklął drugi pilot. Przegroda numer dwa była najgorszym możliwym miejscem na pożar. Wykrywacze dymu uruchomiłyby w jej wnętrzu automatyczną gaśnicę halogenową — gdyby jednak nie działała, jedynym sposobem, by się tam dostać w celu zwalczania ognia, byłoby zdemontowanie płyt grodzi w pomieszczeniu załogi na dolnym pokładzie. To wymagało czasu. Czasu, w którym ogień rozprzestrzeniałby się coraz bardziej.

— Rodriquez! — rozkaz Lodowca zabrzmiał twardo. — Idź tam i zobacz, co można by zrobić.

— Słusznie! Tylko wezmę swój tlen i...

— Nie myśl teraz o tlenie! Nie trać czasu, durniu!

Instrukcje bhp zobowiązywały załogę do wyekwipowania się w przypadku pożaru podczas lotu w przenośne aparaty tlenowe. Ale Rodriquez uznał, że moment nie jest odpowiedni ani na dyskusje o regulaminach, ani na obrażanie się na Kapuścińskiego. Odłożył to na później. Na razie podporządkował się rozkazom i podążył do luku wiodącego na dół, do pomieszczenia załogi. Mocował się z odśrubowaniem jego pokrywy, stwierdzając, że w stanie nieważkości trudno oprzeć się mocno na nogach.

Część wahadłowca przeznaczona dla załogi była podzielona na dwa przedziały. Na górze znajdował się pokład roboczy, obejmujący sterownię i ładownię; na dole magazyn, sypialnie, kuchnia, łazienka

1 wejście do służby powietrznej. Po katastrofie *Challenger*a NASA postanowiła wyposażać statki kosmiczne w ratunkowy mechanizm katapultujący. Z dawniejszych wahadłowców można się było jedynie wyslizgiwać, nowsze modele — do których należał *Intrepid* — były udoskonalone: górny pokład stanowił wyodrębnioną całość, która podczas startu mogła zostać wykatapultowana ze statku przez każdego z członków załogi do wysokości około czterdziestu tysięcy metrów. Dopiero po osiągnięciu docelowej orbity usuwano pokrywę zamykającą luk, co umożliwiała komunikację między przedziałami.

Gdy pokrywa wreszcie ustąpiła, Rodriquez uniósł ją i zanurkował w dół głową naprzód.

— Halo, kontrola lotu, tu *Intrepid* — powiedział Lodowiec. — Mamy problem.

— Słyszemy cię, *Intrepid*. Jakiego rodzaju? Lodowiec dobrze grał swoją rolę.

— Zauważyliśmy krótki błysk wykrywacza dymu w przegrodzie elektroniki numer dwa. Sygnalizator nie zadziałał, powtarzam: nie zadziałał. Rodriquez poszedł sprawdzić.

— Zrozumiałem. *Intrepid*... — Nastąpiła przerwa. — *Intrepid*, nie

niestrawialiśmy, powtarzam: nie zarejestrowaliśmy alarmu detektora dymu na monitorze telemetrycznym. Zawiadomiliśmy kierownictwo techniczne lotu. Będą do waszej dyspozycji w razie potrzeby. Zalecamy sprawdzić, czy obwód funkcjonuje prawidłowo.

\_ Potwierdzam — odpowiedział Lodowiec. — Zajmiemy się zbadaniem obwodu systemu alarmowego wykrywacza dymu. Będziemy was informować...

\_ Posłuchaj — zaczął Mulcahey, już trochę odprężony, ale mimo to przygotowujący sobie awaryjną maskę tlenową. — Myślę, że gdybyśmy mieli prawdziwy kłopot, do tego czasu odezwałby się już następny detektor. Czy nie mam racji?

Były to ostatnie słowa majora Franka Mulcaheya.

Jednym szybkim ruchem Lodowiec wepchnął mu cylinder pod brodę i nacisnął guzik. Rozległ się cichy odgłos wystrzału i słaby okrzyk; pocisk utkwiał w mózgu drugiego pilota. Jego ciało zadrgało konwulsyjnie, a z małej dziurki pod brodą niemal natychmiast zaczęła wyciekać krew. W stanie nieważkości zamieniała się w małe czerwone kulki, unoszące się w kabinie. Rodriquez podążył lukiem w dół, nie tracąc czasu na zabezpieczenie pokrywy. Błyskawicznie dotarł do zestawu szafek magazynu, przypominających spotykane na dworcach autobusowych. Były przytwierdzone do płyty grodzi, za którą znajdowała się przegroda urządzeń elektronicznych. Sięgnął za górny rząd szafek i szarpnął uchwyt blokujący; mógł je teraz odłączyć i odsunąć w głąb pomieszczenia.

Frontową płytę grodzi zabezpieczało sześć wgłębionych śrub motylkowych. Ich łby należało wyciągnąć, podważając śrubokrętem czy nawet paznokciem, a następnie ręcznie odkręcić. Rodriquez wyjął z pokładowego zestawu narzędzi śrubokręt i zajął się właśnie pierwszą śrubą, gdy usłyszał z góry odgłos wystrzału, a po nim słaby jęk. Zawahał się, nie wiedząc, czy dalej wykonywać zadanie, czy też wrócić na górę, by zbadać, co się stało.

Wtedy usłyszał szczeł zamykanej pokrywy luku.

Lodowiec zatrasnął pokrywę i zakręcił ją tak mocno, jak tylko mógł. Następnie z kieszeni kombinezonu wyjął służący do zamykania rowerów kawałek zwykłej stalowej linki z zamkiem cyfrowym. Przewłócił linkę przez koło pokrywy i wokół słupa usztywniającego<sup>1</sup> zamknął zamek. Można było teraz odrobinę poruszać pokrywą, ale me dałoby się jej otworzyć. Następnie wrócił do sterowni; wszędzie unosiły się krople krwi.

Znalazł w kieszeni drugiego pilota chustkę — większość astro-nautów brała je ze sobą, by wycierać śluz wyciekający z zatok w stanie nieważkości. Nakrył nią ranę, wpychając jej rogi między hełm a skroń nieboszczyka. Przez chwilę przyglądał się swemu dziełu i uznał, że ten prowizoryczny tampon dobrze spełnia swą rolę.

Zagłębiwszy się na powrót w fotel dowódcy, zaczął naciskać przełączniki regulujące system atmosfery wewnętrznej wahadłowca, kiedy usłyszał walenie jakimś metalowym narzędziem w pokrywę luku.

Rodriguez nie był głupi. Ale żadne z jego dotychczasowych doświadczeń — ani naukowe, ani astronautyczne — nie było przydatne w sytuacji, w której się znalazł. Instynkt pchał go, by] pognać lukiem na górę, mimo to pierwszą myślą było spróbować nawiązać łączność. Wetknął do najbliższego gniazdka wtyczkę swych słuchawek telefonu pokładowego.

— Frank?... Lod? Co się dzieje? Czy zamknęliście luk z powodu ■ pożaru?... Hej, chłopaki. Co jest grane?

Cisza.

Wyciągnął wtyczkę i popłynął do luku. Pokrywą dało się poruszyć, ale tylko odrobinę. Zrozumiał, że dzieje się coś bardzo złego — nie było bowiem żadnego mechanizmu umożliwiającego zablokowanie pokrywy. Zaczął walić w nią śrubokrętem. Wtedy usłyszał syk.

Kabina Apollo, w której zginęli Grissom, White i Chaffe, stała w płomieniach głównie dlatego, że jej atmosferę stanowił w stu procentach tlen. Katastrofa ta uświadomiła jakiejś zakutej biuro-1 kratycznej głowie rewelację, że czysty sprężony tlen wokół przewodów pod prądem może być niebezpieczny. Toteż ze względów bezpieczeństwa atmosfera na pokładzie wahadłowca symulowała ziemską, stanowiąc mieszaninę w dwudziestu jeden procentach tlenu, a w siedemdziesięciu dziewięciu — azotu. Tlen zabierano na pokład w postaci kriogenicznej, czyli ciekłej. W specjalnej komorze kontrolowanego wrzenia superzimna ciecz przemieniała się w parę, którą ogrzewano przepuszczając przez wymiennik ciepła, zanim wprowadzono ją do kabiny. Azot zabierano na pokład w zbiornikach pod ciśnieniem. Oba gazy mieszał specjalny regulator z czujnikiem, dbający o czystość i odpowiednią proporcję składników powietrza, w razie potrzeby wprowadzający do niego jeden lub drugi. Jego działanie można było oczywiście korygować ręcznie przełącznikiem znajdującym się na pulpicie sterowniczym dowódcy wahadłowca.

Rodriguez orientował się w funkcjonowaniu systemów wahadłowca nie gorzej niż inni. Syk uświadomił mu, że wentylator wysysa powietrze z pomieszczenia dla załogi. Nie było w tym na pozór niczego niezwykłego — jako naukowiec próbował sobie tłumaczyć,

że ma to jakiś związek z pożarem. Ale instynkt, nabyty w młodości na *barrio*, ostrzegął go przed niebezpieczeństwem innego rodzaju.

Raz jeszcze załomotał w pokrywę luku.

\_ Frank!... Lod!... Niechże ktoś odpowie!

Cisza.

Nagle zdał sobie sprawę, że oddycha gwałtowniej. Popłynął do wskaźnika tlenu i oniemiał, ujrawszy strzałkę na poziomie dwunastu procent... Po chwili zaczęła opadać na jedenaście. Teraz nie miał już żadnej wątpliwości: ktoś usiłował go zabić. Przepchnął się do szafki, w której trzymano przenośne aparaty tlenowe. Wyszarpnął maskę, przycisnął do twarzy i nastawił przełącznik — ale do jego nozdrzy nie popłynął tlen. Rura nie była przezroczysta, nie mógł więc dojrzeć, że zablokowano ją klejem epoksydowym, wprowadzonym lekarską strzykawką. Rzucił aparat i spróbował użyć drugiego, ale i ten nie działał. Rodriąquez ciężko dyszał. Wiedział, że na dolnym pokładzie jest jeszcze jeden ratunkowy system tlenowy, coś mu jednak mówiło, że i on nie będzie działał. Popłynął do śluzy powietrznej i nacisnął włącznik sprężania, próbując w ten sposób pozyskać trochę tlenu, ale pulsujące czerwone światelko rozwiąło i tę nadzieję. Rodriąquez wiedział, że ze sterowni można było ręcznie kontrolować zarówno skład atmosfery w kabinie, jak funkcjonowanie mechanizmu śluzy. Nie pozostało mu więc już nic, co mógłby zrobić — chyba żeby...

Schwycił unoszący się śrubokręt i rzucił się ku płycie grodzi zamykającej dostęp do przedziału urządzeń elektronicznych. Dyszał teraz jak szybkobiegacz. W pośpiechu luzował śruby i wykręcał je z płyty. Powoli ogarniało go oszołomienie i poczucie lekkości. Wreszcie wydobyl ostatnią śrubę. Nie rozróżniał już kolorów — wszystko wydawało mu się czarno-białe. Płyta ustąpiła. Otoczenie wokół wirowało. Ręka Rodriąqueza natrafiła na szufladę z tablicami rozdzielczymi. Nie dawała się wysunąć. Szarpnął ponownie. Wzrok mu się zaćmiewał. Szuflada ustąpiła. Ostatnim świadomym wysiłkiem Rodriąquez chwycił nasadę śrubokrętu i rąbnął nim tak mocno, jak tylko był w stanie, w jedną z kruchych plastikowych tablic rozdzielczych. Kawalki roztrzaskanej tablicy zaczęły się unosić, wypływając z przedziału do kabiny załogi.

Trzeba oddać Rodriąquezowi, iż podjął jedyną akcję, która mogła uratować mu życie — próbował uszkodzić obwód ręcznego sterowania regulatorem tlenowo-azotowym i wentylatorem. Skutek okazał<sup>51e</sup> jednak odmienny od zaplanowanego: na wpół oślepy z braku tlenu nie trafił we właściwą tablicę. Zamiast niej roztrzaskał inną, oznakowaną OMS.

*Dzień 1., 14:45 czasu Greenwich, 7:45 miejscowego* **Góra Cheyenne**

— Co się stało? — żądał wyjaśnień Whittenberg. Lamborghini polecił oficerowi dyżurnemu odtworzyć z rejestratora cyfrowego nagranie ostatniego połączenia z *Intrepidem*. Wszyscy go wysłuchali.

— Zawiadomiliśmy pana natychmiast, panie generale — powiedział Lamborghini. — To się stało dokładnie siedem minut temu. Kontrola lotu próbowała ich złapać wszystkimi czterema radiolokatorami, ale nie uzyskali nic poza szumem. Telemetria także ustala wkrótce po tej transmisji. Spyglass jest w Andrews. Jeśli ich przyciśniemy, mogą być na pozycji przelotu mniej więcej za sześć godzin.

Generał skinął głową. Szczęki mu latały. Lamborghini podniósł słuchawkę żółtego telefonu i od razu zaczął wydawać rozkazy. Whittenberg pomyślał, że było to zachowanie typowe dla jego szefa wywiadu. Udzielał odpowiedzi na pytania, zanim jeszcze je zadano, i szybko decydował, co należy robić.

Kiedy pułkownik odwiesił słuchawkę, Whittenberg spojrzął na zegarek. Dochodziła ósma rano.

— Zbierz cały personel, wszystkich, którzy już przyszli. I załatw połączenie sali konferencyjnej z McCormackiem z CSOC-u, (Com-bined Space Operation Center — Ośrodka Koordynacji Operacji Kosmicznych) bezpieczną linią.

Nie czekając na odpowiedź, generał obrócił się na pięcie i wyszedł.

W jedenaście minut później sala konferencyjna była wypełniona.

— No dobrze, pułkowniku — polecił Whittenberg — rozruszaj wszystkich.

Lamborghini naszkicował pokrótce sytuację i usiadł.

— Czyśmy nie pominęli czegoś, Chet? — zwrócił się generał do mikrofonu.

— Nie, panie generale — odpowiedział generał major Chester McCormack z CSOC-u w Falcon. — Tyle z grubsza o sprawie. Próbowaliśmy nawet skontaktować się z nimi z platformy SDI, ale bez powodzenia.

— W porządku, panowie... i pani — odezwał się Whittenberg, uwzględniając tym dodatkiem także Lydię Strand, zastępczynię Lamborghini. — Taka jest sytuacja. Jakie z niej wyjście?

Nikt nie odpowiedział od razu, a Whittenberg nie przynaglał. Wiedział, iż musi upłynąć trochę czasu, zanim przetrwają problem. Pierwszy zabrał głos zastępca szefa sztabu operacyjnego, generał brygady Fairchild. Przypominał raczej profesora; miał nieco zbyt

dużą w stosunku do szczupłego ciała łysą głowę, przywodzącą kształtem na myśl żarówkę. Dodatkowym charakterystycznym elementem podkreślającym jego niebanalny wygląd była wiecznie zwisająca mu z ust fajka. Kiedy wszakże Sir Izaak zabierał głos — słuchali go wszyscy.

\_ Rozważmy możliwości — zaczął spoza chmurki dymu. —

Możliwość pierwsza: pożar na pokładzie dotarł do rezerw paliwa tlenowego lub wodorowego i wahadłowiec został rozzerwany na strzępy. Nie jest to niemożliwe, choć zarówno konstrukcja statku, jak i systemy dławienia ognia, w które jest wyposażony, czynią to w moim odczuciu mało prawdopodobnym.

Nie było chętnych, by spierać się z kimś, kto uzyskał doktorat w zakresie elektrotechniki w Massachusetts Institute of Technology.

— Poza tym — kontynuował Fairchild — Spyglass wkrótce wyjaśni nam tę sprawę... Możliwość druga: statek jest nietknięty, natomiast załoga nie żyje. W takim razie można uratować i wahadłowiec, i jego ładunek... Możliwość trzecia: załoga żyje, ale systemy podtrzymujące życie uległy uszkodzeniu, więc posługują się systemami awaryjnymi. Jeśli nie potrafią skutecznie naprawić uszkodzeń — a bez łączności z ziemią będzie to trudne — umrą, zanim można będzie podjąć jakiś wysiłek, by ich uratować.

Nikomu nie sprawiał przyjemności beznamiętny sposób, w jaki Sir Izaak rozważał kolejne możliwości.

— Wreszcie czwarta i ostatnia — konkludował — załoga żyje, systemy podtrzymujące życie działają, a tylko utracili łączność i... być może coś kryje się za tym jeszcze.

Zapadła cisza.

— Chet, o ile się nie mylę, do finalnego uruchomienia rakiet OMS miało dojść automatycznie? — zapytał Whittenberg.

— Potwierdzam, generale — odpowiedział z głośnika dowódca operacji lotniczych SPACECOM-u. — Po wstępnym zapłonie, który wprowadził ich na orbitę, mieli przejść przez kontrolę systemów przed kolejnym, wznoszącym. Byli na auto.

— A zatem jeśli żyją, a komputery i rakiety OMS nie zostały uszkodzone, być może nadal są zaprogramowani na kolejne, automatyczne odpalenie?

— Hmm... — ociągał się z odpowiedzią McCormack. — Przypuszczam, że to możliwe.

— A na kiedy zaplanowano następne odpalenie? — zainteresował się Sir Izaak.

Nastąpiła pauza, a potem głośnik oznajmił:

— Za osiemnaście minut.

— Dobrze — powiedział Whittenberg. — Poczekamy osiemnaście minut. Jeśli nic się nie wydarzy, zaczniemy rozważać te mniej atrakcyjne możliwości.

*Dzień / . , 15:15 czasu Greenwich Intrepid*

Lodowiec śledził z uwagą stopniowy powrót wskazówki tlenometru do poziomu dwudziestu procent. Przez dwadzieścia pięć minut utrzymywał w pomieszczeniu dla załogi atmosferę stuprocentowo azotową. Trwało to dostatecznie długo, by kilkakrotnie udusić każdego, komu do oddychania niezbędny jest tlen. Wiedział też, że Rodriquez nie mógł ratować się, używając przenośnych zbiorników z tlenem — zadbał o to przed startem, w chwilę po tym jak obsługa naziemna wydała im — po ostatniej kontroli — atest sprawności. Uśmiechnął się na wspomnienie, jak inteligentnie to rozegrał.

Lodowiec był przekonany, że Rodriquez nie żyje, ale nie mógł oprzeć się chęci, by się upewnić. Popłynął do luku, zdjął hełm i przyłożył ucho do pokrywy, nasłuchując przez kilka minut. Żadne dźwięki nie mąciły ciszy. Nie śpiesząc się nastawił właściwą kombinację zamka cyfrowego, po czym zdjął stalową linkę. Ostrożnie obrócił pokrywę i delikatnie ją unosił, zaglądając przez szparę. Nie było powodu do obaw. Rodriquez z rozrzuconymi nogami unosił się w odległym kącie pomieszczenia, a pozostawiony luzem rząd szafek delikatnie trącał mu stopę.

Otworzywszy luk i zabezpieczywszy pokrywę, Lodowiec podążył na dół. Obrócił ciało Rodriqueza posiniałą twarzą do góry, by zajrzeć mu w białka martwych oczu. Specjalista pokładowy najwyraźniej bardzo cierpiał przed śmiercią, ale na dowódcy wahadłowca nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Włączywszy ręczne sterowanie na swym pulpicie w sterowni zaczął ponownie napełniać powietrzem śluzę. Gdy światło zmieniło się na zielone, otworzył drzwi i wepchnął tam zwłoki Rodriqueza. Przez śluzę można było przedostać się z pomieszczenia dla załogi do ładowni wahadłowca. Normalnie używano jej, jeśli trzeba było wydostać się na zewnątrz. Teraz Lodowiec znalazł dla niej inne zastosowanie. Po złożeniu tam specjalisty pokładowego szybko wrócił do sterowni i uwolnił z uprząży fotelowej ciało Mulcaheya. Następnie zaciągnął je na dół i zamknął w komorze śluzy wraz ze zwłokami Rodriqueza. Uszczelniając drzwi, zauważył unoszące się w powietrzu kawałki plastiku. Zaczął się rozglądać i dojrzał ich więcej — zaprowadziły go do przedziału urządzeń elektronicznych. Pośpieszył tam, by dokonać inspekcji uszkodzeń. Z otworu oznakowanego OMS sterczały skorupy roztrzaskanej tablicy rozdzielczej. Na ten widok Lodowca zatkało, zapewne po raz pierwszy w życiu.

Kapuściński orientował się w elektronicznych systemach kontroli lotu lepiej niż większość pilotów astronautów, ale nie był przecież inżynierem elektrykiem. Na inżynierów, prawdę mówiąc, patrzył

trochę z g<sup>o</sup>y> podobnie jak inni piloci, wśród których był superasem. Widząc rozbitą tablicę rozdzielczą wyczuł intuicyjnie, co się wydarzyło. Nie miał wszakże pewności, a należał do ludzi, którzy lubią mieć całkowitą pewność. Popędził do sterowni i przestawił dźwignię systemu manewrowania orbitalnego na stan gotowości. Jednakże przełącznik nadal jarzył się czerwono: manewrowanie było niemożliwe.

„Nie! — krzyknął przeraźliwie tłukąc pięścią w oparcie fotela.

Spróbował raz jeszcze uruchomić system, również bez skutku. — Nie! Nie! Nie! — zawodził w bezsilnej rozpacz. Jeszcze nigdy w życiu nie stracił do tego stopnia panowania nad sobą. — Nie, mam, proszę cię. Powiedz, że to nieprawda!

Nasadą śrubokrętu Rodriąquez sparaliżował obwody raketowych silników hamujących *Intrepida*. Wskutek tego wahadłowiec stał się po prostu niezdolny do powrotu na ziemię.

*Dzień 1., 15:45 czasu Greenwich, 8:45 miejscowego Góra Cheyenne*

Sprawa wymknęła się spod kontroli.

To właśnie pomyślał Whittenberg. Cała ta pieprzona technika sparaliżowana, bo wymknęła się spod kontroli. Gdzieś tam w przestrzeni kosmicznej krążył wymyślny sprzęt wart cztery miliardy dolarów, być może rozwalony w drobny mak zwarciem w przełączniku za pięć dolarów.

Ceny stanowczo poszły w górę. Jako dorastający chłopak był, podczas drugiej wojny światowej, stajennym na farmie doświadczalnej w Kentucky. Kiedyś objeżdżał właśnie trzylatka, gdy tuż nad nimi, na wysokości wierzchołków drzew, zawarczał przenikliwie Mustang P-51. Koń tak się spłoszył, że zrzucił młodego jeźdźca. Whittenberg opowiadał, że stało się to dla niego momentem przełomowym: wtedy właśnie zrezygnował z kariery dżokeja i postanowił zostać pilotem.

Wszystkich zawsze rozśmieszała ta historia, gdyż mając prawie dwa metry wzrostu i ważąc ponad sto kilogramów nie miał szans, by zostać zawodowym uczestnikiem wyścigów konnych. Jakkolwiek humorystyczna, opowieść była prawdziwa:

przelet Mustanga stał się dla młodziutkiego Whittenberga punktem zwrotnym w jego życiu. Po latach, kiedy już był instruktorem w Akademii Sił Powietrznych, dowiedział się, ile kosztował w 1944 roku samolot P-51. Czterdzieści siedem tysięcy dolarów. Tyle mniej więcej, co obecnie wóz sportowy dobrej klasy.

Whittenberg pamiętał również swój pierwszy B-52. Ośmiosilnikowego potwora, budzącego lęk i jakże cholernie skomplikowanego! Wydawało mu się wówczas, że żaden wyścig zbrojeń nigdy nie będzie

— *Zdobyć.*



w stanie stworzyć czegoś bardziej wymyślnego od wyposażenia pulpitu sterowniczego jego pierwszego bombowca. Nie miał racji. Najpierw powstał pocisk Hound Dog, potem kierowane laserem wyrzutniki bombowe, następnie systemy elektroniczne zakłócające działanie urządzeń nieprzyjacielskich, z kolei systemy zabezpieczające przed takim zakłócaniem, wreszcie samosterujące pociski dalekiego zasięgu. W trakcie swej kariery w Dowództwie Strategicznych Sił Powietrznych próbował za tym rozwojem nadażyć, pochłaniając niezliczone podręczniki techniczne, ale sprawy zaszły tak daleko, że po prostu nie był już w stanie. Mógł jedynie kierować ludźmi, których praca polegała właśnie na takim nadążaniu za postępem w zakresie stanowiącym stosunkowo drobny wycinek wielkiej całości. Miał wewnętrzne wątpliwości, czy rozeznanie w obrazie tej całości na podstawie owych fragmentów jest w ogóle możliwe; kiedy zaś — podobnie jak dzisiaj — natchodziły go takie myśli, miał prawie za złe Mustangowi sprzed lat, że nie poleciał inną trasą...

Whittenberg marzył przez całe życie, by zostać pilotem myśliwca. Jednym z przywilejów, jakie zapewniała obecna ranga, była możliwość spędzania rozkosznych chwil za drążkiem samolotu treningowego Talon T-38, co pozwalało mu zachować uprawnienia pilota. Ale we wczesnych latach kariery czarna skóra i rozmiary ciała skazywały go na latanie większymi maszynami. Pamiętał, jak się z niego natrząsało („Przykro mi, panie poruczniku, ale nie mamy dostatecznie dużej łyżki do butów, by pana wcisnąć do któregoś z tych pościgowców odrzutowych dla maluchów typu Sabre; czemu nie zajrzy pan raczej do tych bombowców wielkich jak byki, stoją tam dalej... ha, ha, ha”).

Toteż właśnie na bombowcach zdobył sobie reputację, zwłaszcza uczestnicząc w nalotach na Wietnam z wyspy Guam. Widniejąca na jego piersi wstążeczka Distinguished Flying Cross była pamiątką po pierwszym rajdzie bożonarodzeniowym w 1972 roku. Jesienią tego roku wstrzymano bombardowanie Północnego Wietnamu, gdyż Kissinger negocjował wówczas w Paryżu „porozumienie pokojowe” z przedstawicielem Hanoi, Le Duc Tho. Rozmowy zostały zerwane po ponownym wyborze Nixona, co skłoniło prezydenta do zastosowania strategii wymuszenia na Wietnamczykach bombardowaniami powrotu do stołu rokowań. Wcześniejsza przerwa w nalotach dała im jednak mnóstwo czasu, by odbudować i wzmocnić obronę przeciwlotniczą.

Pierwszym po wznowieniu bombardowań zadaniem eskadry Whit-tenberga było zaatakowanie urządzeń portowych w Hajfongu, gdzie dokonano jednej z najpotężniejszych w dziejach walk powietrznych koncentracji broni przeciwlotniczych. Bombowce B-52 były szczególnie łatwym celem dla baterii wyrzutni pocisków ziemia—powietrze, z uwagi na swe rozmiary i stosunkowo małą szybkość. Toteż straż

rzędnią nalotu stanowiło stado Dzikich Łasic, które miały zneutralizować J<sup>4</sup>k największą liczbę tych wyrzutni. „Łasicami” zwano szturmowce typu F-105 Thunderchief, wyposażone w specjalne urządzenia do skupiania na sobie anten radarowych, a następnie niszczenia ich samonaprowadzającymi się na cel pociskami. Miało to oślepić” wyrzutnie pocisków przeciwlotniczych do czasu zainstalowania nowych anten. Niestety, Łasice nie najlepiej wypełniły swe zadanie. Wiele z nich musiało równocześnie bronić się przed zestrzeleniem przez nadlatujące pociski; rezultaty wyścigu „kto zdąży wystrzelić pierwszy” nie zawsze były dla nich korzystne. Prawdę mówiąc, owego dnia nad Hajfongiem żadna liczba Thun-derchiefów nie byłaby w stanie powstrzymać chmary pocisków, jakie z wyciem wzniosły się ku nadlatującym bombowcom Whittenberga. Widać było, jak startują z wyrzutni na całym obwodzie portu. Oceniając sytuację jako beznadziejną, Whittenberg pozbył się ładunku bomb przed dotarciem do celu i rozkazał swym samolotom rozrzucić paski folii zakłócające działanie radaru. Następnie położył własny, prowadzący eskadrę bombowców w ostry zwrot nurkowy, wyłączył pokładową czarną skrynkę zakłócania elektronicznego i włączył radiolokator nawigacyjny. Mnogość sylwetek, jaka ukazała się na ekranach radarowych, najwidoczniej skonfundowała kierujące ogniem komputery sowieckiej produkcji. W rezultacie wszystkie skoncentrowały się na jednym wyraźnym sygnale, jaki docierał z owego elektronicznego chaosu, a mianowicie na radiolokatorze Whittenberga. Reszta eskadry wyszła owego ranka z opresji nietknięta. Bombowcowi Whittenberga pierwszy nadlatujący pocisk oberwał koniec skrzydła, wprowadzając go w korkociąg na wysokości siedmiu tysięcy metrów. Poza nim tylko drugiemu pilotowi i strzelcowi ogonowemu udało się wyskoczyć z maszyny. Whittenberg nigdy więcej nie widział nikogo ze swej załogi, z wyjątkiem owego strzelca. Był to młody poborowy z Luizjany, który lądując złamał nogę. Dotknęli ziemi blisko siebie, nie opodal wybrzeża. Przez jedenaście dni wielki czarny Murzyn, dźwigający na grzbiecie kolegę, wymykał się przeczesującym teren północnym Wietnamczykom, zaprawionym już w tropieniu amerykańskich lotników. Whittenbergowi udało się skontaktować przez nadajnik ratunkowy z helikopterami marynarki wojennej. Nie były wprawdzie w stanie zaryzykować zabrania ich z ziemi, ale zrzuciły trochę zaopatrzenia. W końcu Whittenberg zażądał tratwy, którą dostarczono im ostatniej nocy. Zaniósł wówczas rannego na brzeg, w falę Przyboju, tam nadmuchał tratwę i zaczął wiosłować. Tuż przed brzaskiem wystrzelił flarę. Śmigłowiec Sikorsky Sea King zabrał ich z morza. Całej załodze przyznano Distinguished Flying Cross. Poza dwójką,

która przeżyła — pośmiertnie. Nie sposób ocenić, ilu ludziom z eskadry B-52 Whittenberg uratował owego dnia swoją akcją życia. Jedyne, co wiedział na pewno, to że pisanie listów do rodzin poległych członków załogi było najtrudniejszą rzeczą, jaką przyszło mu kiedykolwiek robić w życiu. Bliski był wówczas wystąpienia z lotnictwa.

Ale pozostał w służbie. A jego reputacja ustaliła się. Został dowódcą dywizjonu, następnie skrzydła. Potem posypały się generalskie gwiazdki. Każda jednostka, o którą choćby się otarł, stawała się wzorem sprawności. Odkomenderowany do Waszyngtonu wziął urlop, by uzyskać magisterium na wydziale stosunków międzynarodowych Georgetown University, po czym został mianowany kierownikiem Akademii Sił Powietrznych. Było to stanowisko dające niemal pewność uzyskania czwartej gwiazdki. Powszechnie rokowano, że awansuje z czasem na naczelnego dowódcę Strategicznych Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. O tym marzył. Ale właśnie wtedy, kiedy sprawa zdawała się dojrzewać, objął urząd nowy prezydent, razem ze swym szalenie nowoczesnym wiceprezydentem. Obaj przewrócili Pentagon do góry nogami, by znaleźć odpowiedniego szefa dla „swego” programu kosmicznego. Komputery wskazały na Whittenberga, no i — wylądował we wnętrzu góry Cheyenne. A teraz żałował, że nie znajduje się gdziekolwiek indziej...

— No cóż — powiedział Whittenberg — według mnie kolejne uruchomienie raket OMS wahadłowca powinno było nastąpić pięć minut temu. Coś nowego u ciebie, Chet?

— Nic, panie generale — z ubolewaniem stwierdził przez głośnik McCormack. Jako szef operacji lotniczych uważał astronautów *Intrepida* za „swoich” ludzi.

Whittenberg obrócił się w stronę Michaela Dowda i spytał:

— A co ty na to, Bysiu? Żadnej odchyłki w ich trajektorii? Szef sztabu przezwisko swe zawdzięczał nie tylko masywnej budowie, ale i zawiadackiemu wyglądowi. Istotnie przypominał byka z opakowania tytoniu do żucia marki Buli Durham. Tyle że nie miał kółka w nosie. Jeszcze raz zasięgnął telefonicznie języka u oficera dyżurnego w SPADOC-u, po czym odwiesił słuchawkę i powiedział:

— Orbita bez zmian, panie generale.

— Dobrze więc! — odezwał się Whittenberg, pocierając skronie. — Wziąwszy pod uwagę to, co nam nakreślił Sir Izaak, postanowiłem, że będziemy działać założywszy, że *Intrepid* leży bezwładnie jak kłoda i nie może manewrować, ale załoga żyje. Będziemy więc organizować i przeprowadzać akcję ratunkową, mającą na celu przede wszystkim ocalenie załogi, a w drugiej

kolejności — ładunku. Ponieważ czynnikiem decydującym jest czas, zaczynamy natychmiast, nie czekając, aż Spyglass zrobi zdjęcia. — Przerwał na moment, by to, co powiedział, dotarło do wszystkich. Następnie zwrócił się do zastępcy szefa sztabu operacyjnego: — Zatem, Sir Izaaku, jak się przedstawia sytuacja?

Jak wszelkie jednostki organizacyjne kierowane przez czterogwiazdkowego generała sztab SPACECOM-u liczył mnóstwo ludzi. Spośród nich wyłonił się z czasem wewnętrzny krąg doradców, na których Whittenberg ogromnie polegał. Zaliczali się do niego: Lamborghini — były pilot myśliwca, jako oficer wywiadu obdarzony instynktem znajdowania prawidłowych odpowiedzi; Bysio — dwu-gwiazdkowy generał, szef sztabu, jakby namiastka Whittenberga, gotów zrobić piekło, łamać stoły, dający pewność, że sztab zdąży z robotą na czas; oraz Sir Izaak — człowiek od planowania operacji, jednoosobowy „trust mózgów”, zrównoważony, obiektywny, wiedzący, choć nigdy nie był pilotem, więcej o systemach startu i o wahadłowcu niż ktokolwiek inny, nie tylko w SPACECOM-ie.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie; Sir Izaak ponownie zapalił fajkę i w skupieniu obserwował sufit. W końcu, bez zagładania do jakichkolwiek notatek, powiedział:

— Z flotyli wahadłowców *Atlantis* i *Christa* powróciły z platformy SDI odpowiednio dziewięć i dwadzieścia jeden dni temu i są w trakcie normalnej procedury. Nie mogą wystartować wcześniej niż za trzy tygodnie, i to w najlepszym razie. — Przerwał, by wypuścić kłęb dymu. — *Discovery* ma iść do hangaru Rockwella w Palmdale na zaplanowany remont w ciągu dwóch dni, jak tylko wyjdzie stamtąd *Antares*. *Constellation* stoi na polu startowym w Cape. Ma wystartować za osiem dni, by wynieść na orbitę satelitę telekomunikacyjnego Anik oraz teleskop astronomiczny COSMAX.

Sir Izaak nie poruszał spraw powszechnie znanych — tego, że *Columbia* była już od dawna na emeryturze ani tego, że nowa administracja zaczęła wprowadzać do służby cztery dalsze wahadłowce w ramach modernizacji programu Ostatniej Linii Obrony. Kiedy prezydent, były kierownik firmy samochodowej, oświadczył, że jego konserwatywna pod względem fiskalnym administracja zamierza zakupić cztery nowe promy kosmiczne po dwa miliardy dolarów za sztukę — dziennikarze oniemieli z wrażenia. Nie przyszli do siebie nawet wtedy, gdy zażartował, że przy tym hurtowym zamówieniu obiecano mu rabat. W tymże przemówieniu zapowiedział, że najnowszy prom zostanie nazwany *Christa* — by uczcić pamięć nauczycielki, która zginęła na pokładzie *Challenger*a. Dodał, że Płakał z powodu jej śmierci owego fatalnego dnia. A więc, mamy do dyspozycji jedynie *Constellation*! — zapytał Bysio.

— Właśnie tak — odpowiedział Sir Izaak. — Możemy ją wysłać najwcześniej za mniej więcej siedemdziesiąt dwie godziny... to by zależało od tego, gdzie się będzie wówczas znajdował *Intrepid*. Nie przepuszczałem jeszcze przez komputer planu lotu zbliżeniowego. Ale jeśli rzeczywiście użyjemy *Constellation*, będziemy mieli dwa problemy.

Whittenberg wiedział już, o co chodzi, ale chciał, by zostało to sformułowane.

— Proszę kontynuować! — rozkazał.

— Tak jest, panie generale. Ponieważ *Intrepid* znajduje się na orbicie biegunowej, trzeba będzie rozładować *Constellation*. Inaczej byłaby za ciężka na start polarny. To oznacza, że Anik i COSMAX będą musiały poczekać, co z kolei zatka nam zaplanowany transport na orbitę co najmniej na rok.

Sir Izaak miał na myśli jedno z podstawowych ograniczeń mechaniki orbitalnej. Ziemia obraca się z zachodu na wschód z prędkością około tysiąca pięciuset kilometrów na godzinę. Daje to startom ukierunkowanym równikowo, odbywającym się na wschód z Ośrodka Kosmicznego Kennedy'ego, dodatkową siłę wznoszącą — mniej więcej tak, jak przy skoku z rozbiegu. Z owego wspomaganie rotacją Ziemi trzeba, niestety, zrezygnować, kiedy wysyła się wahadłowiec na orbitę biegunową — wówczas dochodzi do czegoś w rodzaju skoku z miejsca. W rezultacie promy startujące równikowo z Florycy mogą zabierać ładunki prawie dwukrotnie cięższe niż promy startujące biegunowo z Vandenberg w Kalifornii.

— No i jeszcze jeden problem związany ze startem z Florydy kontynuował Sir Izaak. — Bardzo niewiele satelitów wysłano z Cap na orbitę biegunową, wszystkie w latach sześćdziesiątych. O ile sobie przypominam, odpalano te rakiety prosto na wschód, nad Atlantyk a następnie manewrem „w psią nogę” kierowano je na południe. Nie ma sposobu dokonania takiego manewru z *Constellation*. Jeśli wyślemy ją z Cape, musimy to zrobić od razu na południe, a wówczas przeszłoby podczas startu nad obszarami zaludnionymi. Przypuszczam, że taka akcja wymagałaby aprobaty prezydenta.

— Myślę, że słusznie przypuszczasz — powiedział Whittenberg. — Czy widzisz jakiś słaby punkt w rozumowaniu generała Fairchilda, Chet?

— Nie, panie generale — odpowiedział McCormack.

— Zgadzam się ze wszystkim, co powiedział Sir Izaak — kontynuował Whittenberg — ale *Constellation* jest jedynym wahadłow-**1**cem, jakiego możemy obecnie użyć. Musimy wystartować teraz **1** i musi to być *Constellation*. Chet, razem z Bysiem i Sir Izaakiem zaczynacie trasować plan lotu. Weźcie to na warsztat, a jeśli Spygla stwierdzi, że *Intrepid* rozerwał się na kawałki, ja podam się do dymisji

Zanim do tego dojdzie, będę rozmawiał z Białym Domem i z NASA, postaram się też, żeby kontrolę startu przekazano Chetowi i CSOC--owi. Każdy inny to spieprzy. Chcę, żeby ptaszek wyfrunął z pola startowego najpóźniej za siedemdziesiąt dwie godziny.

*Dzień /., 15:45 czasu Greenwich Intrepid*

Samokontrola.

To była przewodnia siła jego życia. Samokontrola plus wytknięty cel. Teraz stał się znowu istotą absolutnie zdyscyplinowaną. Ponownie panował nad sobą i nad sytuacją. Koniec z dziecinnymi wybuchami. Dość lamentowania. Postanowił raz jeszcze okazać się wspaniałym superpilotem. Rozważyć problem i dokonać korekt. Podejść do sprawy naukowo i beznamiętnie.

Przede wszystkim, dokonać oceny sytuacji. Uporządkować sprawy. W kabinie nawigacyjnej wciąż jeszcze unosiły się kropelki krwi. Lodowiec oddryfował od swego fotela i przyniósł z pomieszczenia dla załogi ręczny odkurzacz. Metodycznie oczyścił powietrze sterowni z czerwonych kuleczek, a potem zszedł na dół, by zrobić to samo z fruującymi odłamkami tablicy rozdzielczej. Następnie schował na miejsce odkurzacz i unoszące się zbiorniki aparatów tlenowych i dopiero wówczas zbadał starannie rozmiary uszkodzeń urządzeń elektronicznych wahadłowca. Zaklął. Cholerny Rodriquez! Zawsze pogardzał niepoważnym zachowaniem tego faceta.

Okazało się, że jedyną zniszczoną tablicą rozdzielczą była ta oznakowana OMS, w której zbiegały się obwody zarówno głównego, jak zapasowego systemu manewrowych silników raketowych. Kapuściński starannie poodrywał pozostałe skorupy i fragmenty obudowy i schował je do pustego pojemnika. Następnie wepchnął szufladę tablicy z powrotem na miejsce. Ustawił na powrót płytę grodzi, zakręcił śruby motylkowe i przytwierdził do niej szafki magazynowe. Na koniec wsadził unoszący się śrubokręt do skrzynki z narzędziami. Zadowolony z przywróconego porządku powrócił na fotel w sterowni.

Metodycznie przewertował spis kontrolny przyrządów i stwierdził, że wszystkie podstawowe systemy są czynne, nie wyłączając systemu sterowania odrzutem (RCS), umożliwiającego wahadłowcowi zmiany Pozycji na boczne lub „do góry nogami” za pomocą małych sterujących silniczków raketowych zainstalowanych w dziobie<sup>1</sup> w ogonie statku. Mógł więc *Intrepid* obracać się wokół własnej osi<sup>na</sup> orbicie, ale nie mógł zmienić orbity ani dokonać odpalenia Powrotnego. Co więcej, Rodriquez zniszczył też obwody kontrolujące dopływ paliwa — hydrazyny i czterotlenku azotu — z dużych

zbiorników systemu OMS do mniejszych systemu RCS. Znaczyło to, że *Lodowiec* mógł manewrować wahadłowcem, ale na tyle oszczędnie, by wystarczyło paliwa znajdującego się obecnie w zbiornikach systemu RCS. Systemy podtrzymywania życia były w porządku. Zapasy tlenu i zaopatrzenie miały wystarczyć trzem ludziom na jedenaście dni, a więc jemu samemu na trzydzieści trzy.

Zażądał od komputera lotu danych dotyczących trajektorii statku. Okazało się, że *Intrepid* krążył po kołowej orbicie biegunowej na wysokości dwustu trzech kilometrów. Gdyby pozostawał tak dostatecznie długo, doszłoby w końcu do nie kontrolowanego wejścia w atmosferę, co oznaczałoby zniszczenie wahadłowca. Jednakże spadanie z tak wysokiej orbity potrwałoby pewnie parę miesięcy.

Na razie był sam. Nie zagrażał mu bezpośrednio zaden inny pojazd kosmiczny — ani z platformy SDI, ani z ziemi. To się miało jednak zmienić. Domyślał się, że już podejmowano wysiłki, by wysłać — i to szybko — jakiś statek. Musiał znaleźć sposób, by hamujące silniki raketowe OMS znowu mogły działać. Przekroczył Rubikon. Teraz jedyną jego szansą było zejście z orbity, zanim dotrą tam Amerykanie. Trzeba było to zrobić, a wiedział, że sam nie potrafi tego dokonać.

Potrzebował pomocy — musiał zatem skontaktować się ze swymi nowymi mocodawcami.

Na tablicy łączności pulpitu sterowniczego znajdowało się oparte na działaniu ciekłego kryształu urządzenie z miniaturową klawiaturą cyfrową na dole. Wyglądało jak zwykły dziesięcioklawiszowy kalkulator elektroniczny, a służyło do cyfrowego szyfrowania przekazów radiowych. Nosiło nazwę Oracle. Można je było włączyć właściwie do każdego radia, pokładowego czy polowego. Dzięki swym zaletom — skuteczności, prostocie i trwałości — było ogromnie popularne we wszystkich trzech rodzajach amerykańskich sił zbrojnych. Z szerokim rozpowszechnieniem wiązały się wszakże niedogodności.

Działalności komórki szpiegowskiej, która zadała ciężkie straty marynarce wojennej, dekonspirując jej najbardziej zazdrośnie strzeżone sekrety kryptograficzne, nie zakończyło bynajmniej aresztowanie Johna Walkera, marnego podoficera łodzi podwodnej, który sprzedał swoją ojczyznę za marne grosze. Niezależnie od niego, nie rozpoznany przez FBI, działał jeszcze inny podoficer łączności, służący na fregacie. Sporządził on kopię podręcznika obsługi urządzenia Oracle i przekazał, w przerwie między rejsami, swej sowieckiej skrzynce kontaktowej. Mniej więcej w tym samym czasie urzędniczka pracująca w kartotece Pacstar Communications w Los Angeles, firmy wytwarzającej system Oracle, sfotografowała diagramy jego obwodów, kiedy inżynierowie z biura projektowego byli na lunchu, i przekazała zdjęcia skrzynce kontaktowej na Zachodnim Wybrzeżu. Departament

techniczny K.GB opracował na podstawie tych elementów działający model urządzenia.

Jakkolwiek strata była dotkliwa, fakt posiadania przez Rosjan terminalu systemu nie był równoznaczny z dostępem do przekazywanych informacji. Aby wiadomość mogła zostać rozszyfrowana, do pamięci mikroprocesora odbiornika trzeba było wprowadzić jedenaście określonych cyfr, identycznych jak zakodowane w mikroprocesorze nadajnika. Bez znajomości tych cyfr urządzenie było bezużyteczne, a przy liczbie możliwych kombinacji wynoszącej 99 999 999 999 prawdopodobieństwo przypadkowego natrafienia podczas krótkiego przekazu na ten sam zestaw jedenastu cyfr — mówiąc najłagodniej, znikome.

Lodowiec wcisnął jedenaście cyfr, których nauczył się uprzednio na pamięć; kombinację tę przekazał mu właściciel pewnego podupadłego antykwariatu w Lompoc w Kalifornii razem z niewielkim cylindrem, którym zabił Mulcaheya. Następnie sprawdził na pokładowym komputerze nawigacyjnym położenie geograficzne, pułap, kurs i prędkość wahadłowca.

Normalnie statek orbitalny kontaktował się z kontrolą lotu w CSOC-u przez satelity śledzące i przekazujące dane (TDRS). Były takie dwa, zsynchronizowane z ruchem obrotowym Ziemi. Rosjanie mieli własne satelity telekomunikacyjne tego rodzaju. Kosmos 1700, działające na podobnej zasadzie. Kapuścińskiemu polecono jednak z góry, by nie korzystał z systemu Kosmos — chyba że w ostateczności; transmisje poprzez satelity można było bowiem przechwytywać łatwiej niż bezpośrednio przekazy radiowe. Dlatego *Intrepid* miał wycelować swą antenę kierunkową w naziemną stację odbiorczą i skomunikować się w momencie przelotu nad nią. Ograniczało to przedział czasowy łączności, ale zwiększało bezpieczeństwo, przynajmniej na czas konieczny do sprowadzenia wahadłowca na ziemię.

Z komputera nawigacyjnego Lodowiec dowiedział się, że *Intrepid* znajduje się nad lodami Arktyki, a podczas następnego okrążenia Ziemi przetnie sowiecką przestrzeń powietrzną na wschodnim krańcu Syberii. Ponieważ nauczył się na pamięć pozycji rosyjskich naziemnych stacji śledzących systemu Orbita, mógł na podstawie zapisu nawigacyjnego ustalić, że będzie miał około czterech minut na Porozumienie się podczas przelotu nad małą stacją morską Wałkumej Położoną nad zatoką Czaunskąją Morza Wschodniosyberyjskiego. " tej zapadłej dziurze nie było prawie niczego poza lodem, tundrą, Przystanią i anteną talerzową posterunku łączności, wymierzoną wyczekująco w niebo.



*Dzień 1., 18:00 czasu Greenwich, 20:00 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

Siedzący przy nasłuchu oficer łączności wyprężył się nagle, jakby poderwany impulsem elektrycznym.

— Towarzyszu komendancie! Mam przekaz na zaprogramowanej częstotliwości w paśmie S! Przechodzi przez urządzenie szyfrowe! — Na stole obok ustawiona była duża metalowa skrzynka. Łączyło ją z otworem w pulpicie kilka koncentrycznych kabli. Oficer przyciskał słuchawki do uszu. — Przekaz idzie wyraźnie... po angielsku.

Pułkownik Oleg Małyszew, ten sam, który kierował zakończoną tragicznie misją *Susłowa*, skinął na niego i powiedział:

— Przełącz to na mój mikrofon.

Młody człowiek wykonał polecenie, a Małyszew słuchał... nie wierząc własnym uszom.

— Tu *Intrepid*, wzywam Centrum Kontroli Lotów. Czy mnie słyszycie? Odbiór... Centrum Kontroli Lotów, tu *Intrepid*. Czy mnie słyszycie? Odbiór.

Małyszew starał się nie zwracać uwagi na trzech stojących nad nim mężczyzn i skoncentrować się na transmisji. Jako były sowiecki attache wojskowy w Londynie znał biegle język angielski. Nacisnął przełącznik swego mikrofonu.

— Halo, *Intrepid*, tu Centrum Kontroli Lotów. Słyszemy bardzo dobrze. Powtarzam, słyszemy cię bardzo dobrze. Jaka twoja sytuacja? Odbiór.

Spośród stojącej za Małyszewem trójki Popów również znał dobrze angielski, Kostiaszak zaś władał nim nawet lepiej od większości Anglików. Sekretarz generalny Woroncki swą znajomość języków obcych ograniczał do pojedynczych słów. Wszyscy mieli na uszach słuchawki.

— *Intrepid* do Centrum Lotów. Słuchajcie uważnie! Mam kłopot. Pozostali dwaj członkowie załogi nie żyją, ale jeden z nich zdołał przed śmiercią zniszczyć tablicę rozdzielczą kontrolującą silniki raketowe systemu manewrowania orbitalnego.

Wszystkie inne systemy są sprawne, ale nie mogę. Powtarzam: nie mogę odp: silników hamujących.

Małyszew był oszołomiony, ale jego umysł pracował. Wiedział, że wahadłowiec ma jedynie wąski przedział czasu na porozumiewanie się — nie wolno było stracić ani ułamka sekundy.

— *Intrepid*, tu Centrum Lotów. Czy możesz naprawić uszkodzenie?

— Nie. Nie mam możliwości dokonywania na pokładzie jakichkolwiek napraw. Nadal mogę operować pomocniczymi rakieta"\*" manewrowymi, ale silniki OMS nie działają. Rozumiecie? Są ni

czynne. Wy musicie rozwiązać ten problem, i to szybko. Amerykanie nie pozostawią mnie tu długo w spokoju.

— Jak wygląda twoja sytuacja w zakresie potrzeb życiowych, *Intrepid!* Odbiór.

— Mogę tu przeżyć około trzydziestu dni — odpowiedział niecierpliwie Lodowiec. — Ale nie możemy czekać tak długo. Czy to rozumiecie?

Czas na rozmowę już się kończył.

— *Intrepid*, zrozumieliśmy cię. Przystudiujemy problem i prześlemy ci instrukcje po dwóch okrążeniach Ziemi, kiedy będziesz przechodzić nad stacją w Irkucku.

— Zrozumiałem, zastosuję się. Wyłączam się.

Małyszew przeciągnął ręką po spoconych blond włosach. Był zaskoczony, że Amerykanin rozmawiał z nim tak spokojnie i beznamiętnie. W tak dramatycznej sytuacji!

— Nie rozumiałem, o co chodzi — ubolewał sekretarz generalny. — Co on mówił? Kiedy wyląduje?

Wszyscy unikali jego dociekliwego spojrzenia, nikt nie kwapił się tłumaczyć. Nie uszło to uwagi Woronckiego, który zwrócił się do Kostiaszaka:

— Witalij, powiedz mi wreszcie, co mówił pilot. Szef KGB zwlekał, ale nie owijał w bawełnę:

— Pilot... nasz pilot musiał zabić dwóch pozostałych członków załogi. Widocznie doszło do walki i część elektronicznego wyposażenia wahadłowca uległa uszkodzeniu. Nic nie zagraża życiu pilota, ale nie ma możliwości odpalenia rakiet hamujących. Krótko mówiąc, nie może powrócić na ziemię.

Sekretarz generalny grzmotnął hełmofonem o pulpit.

— Nie może wrócić na ziemię? Chcesz mi powiedzieć, że zabił dwóch amerykańskich astronautów, a teraz tam utknął?

Siedzący w pobliżu technicy próbowali zniknąć z pola widzenia przełożonych.

— Dlaczego nie zabezpieczono się przed taką możliwością? Jak myślisz, co zrobią Amerykanie? Przecież nie będą siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż statek z ładunkiem się ulotni! Na pewno <sup>m</sup>e! Znajdą jakiś sposób, by go odzyskać! I co wtedy będzie z nami? Woroncki przerwał na chwilę, łapiąc oddech i zbierając myśli,

<sup>y</sup> <sup>ZQ</sup>owu wybuchnąć: — Witalij, jesteś za to odpowiedzialny! To ty <sup>m</sup>iu <sup>namowileś</sup> <sup>na</sup> tC obłąkańczą prowokację! Małyszew uczestniczył kiedyś w polowaniu na niedźwiedzie, 'dział wtedy, jak jedno ze zwierząt rozszalało się, zranione mecelnym strzałem. Wyglądało to bardzo podobnie.

zeł KGB zachowywał natomiast zdumiewający spokój. Towarzyszu sekretarzu generalny, nie śpieszmy się z pochopnymi

wnioskami. To prawda, wynikł problem. Ale nie znamy jeszcze jego rzeczywistej skali.

— Wiemy, że ten cholerny wahadłowiec tam ugrzązł i nie może wylądować! — lamentował Woroncki. — Człowieku!

Przecież tu idzie o nasze głowy!

— Spokój!

Wszyscy spojrzeli zaskoczeni na Popowa, który podniósł rękę gestem nakazującym milczenie. Stanowcza postawa krępego generała była zaprzeczeniem jego dotychczasowej bierności. Czekali chwilę w ciszy, wreszcie usłyszeli:

— Tak... tak. To powinno się udać... — Popów zwrócił się do Małyszewa: — Znajdź Wostowa. Wydobądź go, choćby spod ziemi. Sprowadź do naszej sali konferencyjnej. I dostarcz całą dokumentację techniczną amerykańskiego wahadłowca, jaką tylko mamy. No, już!

Małyszew wybiegł zadowolony, że opuszcza strefę zagrożenia.

— Co robicie, generale Popów? — zapytał Kostiaszak.

Popów spojrział na obu dygnitarzy z pogardą. Dwóch pionierów kosmosu straciło życie. Byli to wprawdzie Amerykanie, ale w jakiś sposób poczuwał się do koleżeństwa. A ci szubrawcy potrafią myśleć jedynie o własnej skórze. Odraza, jaką budzili, dopomogła mu odzyskać poczucie godności.

— Nie rozumiecie, towarzyszu? — odpowiedział tonem pełnym wyższości. — Jestem przecież inżynierem!

*Dzień 1., 18:00 czasu Greenwich* **Pułap: 41 000 kilometrów Nachylenie orbity: 006 stopni**

Dryfował spokojnie w kosmicznej próżni, ruchem zsynchronizowany z obrotem Ziemi. Kształtem przypominał wielki wafelowy rożek na lody z fasolkowatym śmigielkiem na końcu. Niezwykły wytwór nowoczesnej techniki, o jakim mogła jedynie marzyć większość inżynierów — czegoś podobnego nie było bowiem jeszcze nigdy na ziemi. Najnowszy potomek serii satelitów noszących egzotyczne imiona: Rhyolite, Jumpseat, Magnum i Vortex; on sam otrzymał imię Eardrum \*, dobrane doskonale, zważywszy, że był to największy w całym kosmosie amerykański podsłuchiwacz elektroniczny.

Wyląwiał z przestrzeni i wchłaniał w siebie niby gigantyczny odkurzacz wszystko: rosyjskie przekazy radiowe, połączenia mikrofalowe, programy telewizyjne, sygnały radarowe, rozmowy radiotelefonii-

\* **Bębenek uszny** — przyp. tłum.

czne oraz telemetrię związaną z bronią raketową. A to, co wchłonał, orzekazywał do Urzędu Bezpieczeństwa Państwa (NSA) w Fort Meade w stanie Maryland, gdzie „połów” poddawano selekcji i analizie.

Był znacznie większy od pozostałych sztucznych satelitów krążących wokół naszego globu; rozmiarami przewyższał nawet prototypową platformę SDI. Właśnie z powodu rozmiarów musiano go składać z elementów na niskiej orbicie, zanim został wyniesiony dużo wyżej, na pozycję zsynchronizowaną z ruchem Ziemi.

Wyposażono go w potężną wzmacniającą antenę reflektorową

o średnicy dwustu dwudziestu metrów, niezbędną do chwytania słabych sygnałów radiowych. W połączeniu z przeszukującą anteną radiolokacyjną o superwysokiej częstotliwości stanowiła tak czuły instrument, że zdolna była wyłowić nawet bezpośrednie połączenia mikrofalowe z ukrytym w nich skarbem rozmów telefonicznych. Wszystkie one były w zasięgu satelity Eardrum zawieszono nad Pacyfikiem albo jego bliźniaka ulokowanego nad Atlantykiem.

Istniały wszakże i niedogodności związane z posiadaniem tak wymyślnego sprzętu. Przed laty doszło do „przecieku”, porównywalnego z aferą Walkera, tak dotkliwą dla marynarki wojennej. Ścisłe tajne sekrety starego satelity Rhyolite zostały rozszyfrowane przez dwóch młodych nicponi — Christophera Boyce’a i Andrew Daultona Lee (używających pseudonimów „Sokół” i „Bałwan Śnieżny”) —

1 zdradzone wywiadowi sowieckiemu.

Po pierwszej odprawie dotyczącej projektu „Eardrum” Whittenberg zdecydował, że dopóki pozostanie na swym stanowisku, nie stworzy najmniejszej szansy, by ktokolwiek „rozpracował” tego satelitę. Pod jego osobistym nadzorem podjęto drakońskie środki ostrożności. Każdy ze składających się na projekt elementów był traktowany jako całość, bez powiązań z pozostałymi, i tylko nieliczna garstka inżynierów znała pełen wachlarz możliwości Eardruma, nieporównanie większych niż te, które miały poprzednie satelity tego rodzaju. Nawet prezes zarządu TRW, nawet specjaliści pokładowi, którzy montowali Eardruma w kosmosie, nie zdawali sobie sprawy z potęgi jego urządzeń. Nie miał o niej pojęcia również Lodowiec, kiedy użył radia nad Morzem Wschodniosyberyjskim.

*Dzień 1., 18:38 czasu Greenwich, 13:38 miejscowego Ośrodek Kosmiczny Kennedy'ego, Cape Canaveral,*

### **Floryda**

Podpułkownik Phillip Heitmann, niegdyś pilot doświadczalny marynarki wojennej, położył w skrócie swego Gulfstreama III na <sup>We</sup> skrzydło, obserwując światelka wskaźników refleksyjnych na

wiatrochronie. Dzięki holografii mógł jednocześnie patrzeć przez szybę i kontrolować dane dotyczące lotu. Odczyt z mikrofalowego systemu lądowania TACAN powiedział mu, że od pasa lotniska dzieli go jeszcze trzynaście tysięcy siedemset metrów, a wysoko-ściomierz pokazywał, że samolot leci cztery tysiące metrów nad oceanem. Kiedy do lotniska pozostało dwanaście tysięcy metrów, bryłowy Heitmann przesunął drążek sterowy do przodu, kierując swego GS-III dziobem w dół do lotu ślizgowego pod kątem dwudziestu dwóch stopni — siedmiokrotnie bardziej stromo, niż robią to samoloty rejsowe.

Gulfstream, którym leciał, został specjalnie przystosowany, by symulować zachowanie się wahadłowca, Heitmann zaś odbywał właśnie rutynowe ćwiczenie podchodzenia do lądowania w ramach przygotowań do pilotowania *Constellation*. Prom kosmiczny ląduje zawsze z wyłączonymi silnikami, bez żadnego w ogóle napędu; trafić na pas musi więc bezbłędnie, za pierwszym podejściem. Heitmann przeprowadzał drugie z piętnastu podejść wyznaczonych jako porcja ćwiczeń dla niego i jego drugiego pilota, majora Jacka Townsenda. Minęło już sześć miesięcy, odkąd ostatni raz latał wahadłowcem, a niebawem ponownie miał się wzbąć w przestworza.

Silniki Gulfstreama były zaprojektowane w taki sposób, by podczas schodzenia do lądowania podlegały automatycznie dławieniu, dostarczając pilotowi wrażenia analogicznych jak lądujący wahadłowiec. Heitmann bacznie obserwował, jak maleje wysokość i odległość. Na sześciuset metrach, przy szybkości pięciuset sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, Townsend powiedział: — Pierwsze światła! — i Heitmann przyciągnął do siebie drążek sterowy. Dzięki temu manewrowi, trwającemu około piętnastu sekund, kąt schodzenia zmniejszył się z dwudziestu dwóch do półtora stopnia.

— Podwozie w pogotowiu... podwozie wysunięte... — meldował Townsend.

Heitmann widział, że są dwadzieścia siedem metrów nad ziemią i że pędzi ku nim czarna nawierzchnia pasa. Prędkość i wysokość nadal się zmniejszały, aż przy trzystu czterdziestu sześciu kilometrach na godzinę samolot znalazł się, szybując, parędziesiąt centy metrów nad pasem.

Koła podwozia nie dotknęły ziemi. Heitmann utrzymywał *n* w powietrzu, by symulować tę samą perspektywę, jaką obserwuje przy lądowaniu pilot z kabiny wahadłowca, znacznie przekraczającego, rozmiarami Gulfstreama.

Przy końcu pasa Townsend przełączył sterowanie automatycznej na ręczne i powiedział: — Zielone! Samolot znalazł się znów pod kontrolą pilota, który pchnął dźwignię gazu, wyłączając dławienie. Silniki Rolls-Royce Spey zareagowały ciągiem o sile dziesięciu ton

i Gulfstream nabrał szybkości. Townsend przesunął odpowiednią dźwignię — furczało i klekotało przez parę sekund, kiedy podwozie chowało się w dziób i skrzydła samolotu.

— Trzy zielone — powiedział Townsend, dodając: — Nie najgorzej jak na starego pierdołę.

Heitmann wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Wydaje ci się, że taki dupek powietrzny jak ty zrobiłby to lepiej?

— Załóż się o swoją dupę, staruszkule! — Townsend z satysfakcją robił aluzję do siwych pasm w gwałtownie przerzedzających się włosach Heitmanna.

— Dobra, kiciusiu — zareplikował były pilot marynarki — pogoda dziś nie najgorsza, więc teraz spróbuj ty.

Tym razem szeroko uśmiechnął się Townsend. Byli ze sobą blisko, a wzajemne docinki dodawały kolorytu ich przyjaźni.

Wyprawa na *Constellation* miała być ich trzecią wspólną; obaj nie mogli się jej doczekać.

Heitmann zaobserwował właśnie, że strzałka wysokościomierza przekroczyła tysiąc pięćset metrów, kiedy zaskrzeczało mu w hełmofonie:

— GS-III, tu wieża kontrolna. Wracajcie natychmiast do bazy. Obaj piloci spojrzeli na siebie, ogarnęła ich ciekawość.

— Halo, wieża, tu GS-III — odezwał się Heitmann. — Co się dzieje? Właśnie zaczęliśmy ćwiczenia.

— Orzeł Numer Jeden przylatuje z CSOC-u w Kolorado. Powinien tu być za czterdzieści pięć minut; chce się widzieć z wami obojwoma w swoim biurze, jak tylko się tu zjawi.

— Zrozumiałem! Bardzo jasno nam to wyklarowałeś.

Heitmann położył Gulfstreama na skrzydło w skrócie do konwencjonalnego lądowania. „Orzeł Numer Jeden” był kryptonimem generała majora Chestera McCormacka, dowódcy operacji lotniczych w SPACECOM-ie. Dynamicznego nordyka, który sztukę dokopywania opanował do granic artyzmu. Nikt nie lubił podchodzić do niego z niewłaściwej strony. Masz jakiś pomysł, dlaczego Orzeł chce nas widzieć? W głosie Townsenda można było wyczuć obawę.

Nie mam zielonego pojęcia! — wzruszył ramionami Heitmann, zaraz wlepił w kolegę oskarżycielskie spojrzenie: — Nie zerznąłeś P<sup>o</sup>ypadkiem staremu żony?

Szczupły, ani trochę nie łysiejący Townsend znany był z powodzenia u pań.

— Z całą pewnością nie! — odparł drugi pilot z udanym oburzeniem.

A może córkę? — indagował dalej Heitmann.



Townsend pomilczał chwilę dla lepszego efektu. — Też nie, co najmniej od tygodnia. I obaj wybuchnęli śmiechem. Jacob Classen, pałaszując kanapkę z tuńczykiem, nalał sobie piwa: są z kaw, jakie zamierzał wypić. Choć żarłok, nieodmiennie b chudy jak szczapa — dla relaksu uprawiał biegi maratońskie. Liczył sobie tylko czterdzieści dziewięć lat, miał już jednak siwe włosy. Nie szpakowate. Siwe. Był kierownikiem pola startowego 39A w Ośrodku Kosmicznym Kennedy'ego. Stałe napięcie związane z tym zajęciem oscylowało pomiędzy przygnębiającym a nie do zniesienia; teraz właśnie gwałtownie wchodził w tę drugą fazę. Jego personel zatrudniony był przy operacji „świder ogniowy”, polegającej na wyładowaniu z *Constellation* delikatnego ładunku i przygotowaniu wahadłowca do „suchego” startu, a on nie miał pojęcia dlaczego. Powiedziano mu żeby nie zadawał pytań, tylko wykonał zadanie, i to szybko.

Nikt nie kwestionował jego poleceń, choć był tylko cywilem pracującym dla NASA. Classen wydał instrukcje dotyczące organizacji zmian roboczych przy przetaczaniu suwnicy bramowej na miejsce. Teraz przyglądał się ze swej małej kamerki na kółkach, jak ta ogromna konstrukcja rozpoczyna długie powolne kołyszące ruchy, mające na celu opasanie wahadłowca. Kiedy znajdzie się już na miejscu, wzdłuż burty statku wyrosną specjalne osłony ekologiczne a w zamkniętej ładowni w nadbudowie otaczającej statek zostaną oczyszczone powietrze. Dopiero wówczas, w oczyszczonym środowisku, otworzy się drzwi ładowni i przeniesie ładunek do nadbudowy.

Classen uważał, że rozładowywanie *Constellation* było zupełnie\* idiotycznym zajęciem. Satelita telekomunikacyjny Anik nie sprawi; kłopotów, ale z rentgenowskim teleskopem COSMAX trzeba się było obchodzić delikatnie, żeby go nie rozkalibrować. Łatwo ulegają\* uszkodzeniom przyrządy stwarzały i tak dość problemów w związku z rygorami startu raketowego, a już upuszczenie ich podcz; rozładunku mogłoby katastrofalnie odbić się na karierze kierownika pola startowego. Choć dyrektor startu nalegał na pośpiech, Classen nie miał zamiaru stłuc COSMAX-a wartego trzysta milionów dolarów.

*Dzień 1., 19:03 czasu Greenwich, 14:03 miejscowego* **Urząd Bezpieczeństwa Państwa, Fort Meade, stan Maryland**

W podziemiach głównego budynku kompleksu National Security Agency (NSA) znajdowała się machina niepodobna do żadnej<sup>0</sup>

innego komputera na świecie. Została specjalnie zaprojektowana i skonstruowana przez personel NSA, przy współpracy z przedsiębiorstwami z zewnątrz. Było to niezbyt duże, supertajne urządzenie, nazywane żartobliwie przez swych twórców „Puszką Pandory”. Ktoś nie wtajemniczony nie domyśliłby się niczego nadzwyczajnego w leżącym na dłuższym boku czarnym wielościanie o rozmiarach metr dwadzieścia na metr dwadzieścia na dwa metry czterdzieści centymetrów.

Na zewnątrz aluminiowych płyt nie było widać żadnych regulatorów ani monitorów, natomiast w środku znajdował się skomplikowany układ pastylek półprzewodnikowych z arsenku gallu, umożliwiający przetwarzanie danych wielokrotnie szybciej, niż mógłby to uczynić superkomputer Cray-Y/MP. Tak wielka była moc Pandory, tak ogromne wytwarzała podczas funkcjonowania ciepło, że musiała być chłodzona zaprojektowanym na specjalne zamówienie systemem klimatyzacyjnym. Chłodzone pary, odprowadzane przez strop do komina, wydawały stały tętniący odgłos.

Kiedy satelita Eardrum wyładowywał swój połów elektronicznych sygnałów na antenę stacji naziemnej NSA, najpierw przetwarzano je na informację cyfrową, a następnie karmiono nimi Pandorę. Tajemniczy komputer przetrawiał dane, z kolei obrabiał je jak pastuch paszę przy rynnicy zsypanej do karmienia bydła, sortując sygnały wedle zakresu fal i typu transmisji. Po zakończeniu tej czynności Pandora wypływała z siebie szlachetne kamienie, które znalazła w sieci — takie jak rozmowa telefoniczna ministerstwa obrony w Moskwie z Murmańskiem czy konwersacja przez radiotelefon zainstalowany w samochodzie marki Ził — przekazując je do zbadania analitykowi.

Z danymi przekazywanymi na ziemię przez satelitę, takimi jak na przykład zdjęcia szpiegowskie, Pandora musiała wyznaczyć sztuczki swą anteną koncentryczną. Mogła uzyskać czas i charakterystykę telemetryczną sygnału, a następnie wyznaczyć triangulacyjnie pozycję satelity wywiadowczego, opierając się na danych obydwu Eardrumów, i wyliczyć jego kurs orbitalny. Takie informacje o trajektoriach były Porównywane z orbitami znanych sowieckich obiektów — w ten sposób można było zidentyfikować źródło telemetrii. Jeśli w banku Pamięciowym Pandory nie było istniejącej, pasującej do żadnego rosyjskiego satelity trajektorii, wówczas alarmowano analityka, sygnalizując to na ekranie jego komputera.

Tak jak to się zdarzyło właśnie teraz.

Jeszcze kawy, Evan? <sup>tv</sup>an Littleton przyjrzał się fusom w swoim kubku. Przynieś mi, ale cieplejszą.

-Zdobyc... fiS



— Dobra — powiedział jego kolega, Ernie Marks. Wziął kubek i poszedł na drugi koniec sali, do automatu. Okularnik Littleton przeciągnął się, a następnie postukał w klawi-sze, by przywołać do analizy kolejną wiązkę sygnałów z satelity Eardrum. Na ekranie pojawiły się dwa pulsujące robaczki. Sprawa wymagała koncentracji, do której trudno się było mu przymusić. Był w pracy pierwszy dzień po urlopie, i to jakim. Wraz ze swą dziewczyną, z którą był już od pół roku, przemierzyl na nartach Vermont. Wrócili zaręczeni.

Teraz wszakże próbował nie myśleć o swych zaręczeniach i skupić się na dwóch sygnalizowanych na ekranie obiektach. Pierwszym z nich, jak się domyślał, była prawdopodobnie zdalnie kierowana kapsuła kosmiczna Progress, dostarczająca zaopatrzenie rosyjskiej stacji kosmicznej Mir. Bezzałogowa, sterowana przez komputer pokładowy oraz przez operatorów z ziemi. Po automatycznym połączeniu się ze stacją i rozładowaniu odrzucano ją z powrotem w atmosferę, by tam spłonęła. Littleton był niemal pewien, że chodzi

o nią, a to z powodu słabego, charakterystycznego właśnie dla Progressa sygnału. „Typowe dla «bezmózgowca»” — pomyślał.

Drugi wyselekcjonowany sygnał przedstawiał twardszy orzech do zgryzienia. Jego tor orbitalny wykazywał nachylenie biegunowe

o wysokości dwieście trzy kilometry. Nie pasował do niczego w aktualnym wykazie rosyjskich orbiterów, obejmującym ponad dziesięć tysięcy egzemplarzy kosmicznego szmelcu. Littleton polecił komputerowi dokonać analizy danych. Po wciśnięciu klawisza ENTER musiał chwilę poczekać — Pandora nieustannie obsługiwała sporą kolejkę zamówień. Wreszcie na ekranie pojawiła się informacja:

**RODZAJ SYGNAŁU: ZASZYFROWANE CYFROWO POŁĄCZENIE RADIOWE ŹRÓDŁA SYGNAŁU:**

**NAZIEMNE: 67 STOPNI 21 MINUT SZER. PŁN.**

**171 STOPNI 14 MINUT DŁ. WSCH. ORBITALNE: 71 STOPNI 38 MINUT SZER. PŁN.**

**NACHYLENIE: 83 STOPNIE**

Zaszyfrowane cyfrowo połączenia radiowe były typowym sposobem porozumiewania się sowieckich statków załogowych klasy SojuZ<sup>1</sup> z dowództwem na ziemi. Dwa elementy wszakże stanowiły dla Littletona zagadkę. Po pierwsze, nie sygnalizowano żadnego startu sowieckiego pojazdu kosmicznego. Po drugie, z danych wynikało, że

**PULAP:**

**173 STOPNIE 51 MINUT DŁ. WSCH. 63 STOPNIE 12 MINUT SZER. PŁN. 169 STOPNI 23 MINUTY DŁ. WSCH. 203 KM**

65



łączność nawiązano z orbity bezpośrednio ze stacją naziemną. Tego Rosjanie nie praktykowali — Sojuzy normalnie porozumiewały się z ziemią poprzez system satelitarny Kosmos 1700, podobnie jak **statki** amerykańskie przez satelity TDRS. Littleton zdziwił się, ale wzruszył ramionami. W końcu takie rzeczy już się zdarzały. Przecież Ruscy uszarpywali się, żeby dokonać przeszło stu startów rocznie, łatwo więc było przegapić zapowiedź jakiegoś — nawet Sojuza.

Wystukał kodem komendę przekazania obu sygnalizowanych przypadków do NORAD-u, żeby tam dopasowali dane orbitalne do konkretnego pojazdu.

Ernie Marks wrócił z kawą.

— No i jak sobie radzisz, narciarzu? A może raczej powinienem powiedzieć: farciarzu? Czy też żonaty narciarzu?

Littleton uśmiechnął się.

— Było coś interesującego? — zapytał Marks.

— Nie, właściwie nic. Właśnie posłałem nie zidentyfikowaną **parkę do** NORAD-u, żeby ją rozpoznali. Wygląda to na świeżo **wysłany** Progress i Sojuz. Może Sojuz zdąży do Mira, żeby wymienić **załogę**. Podejrzewam, że już na to pora.

— Hmm... — zamruczał Marks, przesuując okulary aż na płoże **włosy** nad czołem. — Nie pamiętam, żeby alarmowano o jakimś Sojuzie na wyrzutni.

— Czyja wiem? Może to dawniejsza sprawa. Tak czy inaczej, to **teraz** problem NORAD-u. — Littleton nawet nie wspominał o bezpośrednim połączeniu ze stacją naziemną. — Poza tym, dostałem na **dzisiejsze** popołudnie taką furę tego gnoju do analizy, że nie mogę się z tym pieścić.

— Pewnie! — zgodził się Ernie. — Zostawmy to naszym szanownym kolegom z Kolorado.

Żadnemu z nich nawet przez myśl nie przeszło, że rozmowę radiową nad Związkiem Sowieckim mógł prowadzić inny niż rosyjski **statek** kosmiczny.

*Dzień 1., 21:11 czasu Greenwich, 23:11 miejscowego Moskwa*

Grigorij Wostow wcześniej udał się na spoczynek i spał głęboko, **kiedy** obudziło go walenie w drzwi mieszkania, jakie zajmował przy Mułżanym Prospekcje. Z trudem odzyskując przytomność zapalił lampkę przy łóżku.

— Kto to może być? — odezwała się zaspana żona.

Mhm... — brzmiała jedyna odpowiedź, jaką zdołał z siebie **Wy dobyć** zażywny naukowiec w średnim wieku, zajęty przywdziewaniem

szlafroka, wzuwaniem kapci i odruchowym przyglądaniem ciemnych, przerzedzonych włosów.

Walenie w drzwi w środku nocy nie wywołało u Wostowa typowego dla Rosjan odruchu strachu. Wybitne uzdolnienia techniczne zapewniały jemu i jego rodzinie przynależność do uprzywilejowanej nomenklatury. Dzięki nim mógł się nie obawiać niebezpieczeństw i niespodzianek sowieckiego życia politycznego — po prostu wiedział, że jest człowiekiem niezastąpionym, niezbędnym Związkowi Sowieckiemu. Państwo i partia potrzebowały go, mógł więc liczyć na ich ochronę. Dlatego nie bał się ani państwa, ani partii, ani też łomotania do drzwi. Prawdę mówiąc, był okropnie rozwścieczony, że zakłócono mu sen. Przeczłapał przez swoje rozległe, bogato umeblowane siedmiopokojowe mieszkanie — stanowiące królewski przywilej wedle moskiewskich standardów — i stanął u drzwi.

— Kto tam? — ostro zapytał.

— Urząd Bezpieczeństwa! — doszła go z drugiej strony równie bezwzględna odpowiedź.

Stropiła Wostowa, pomimo że miał przyjaciół w Politbiurze. Ulotniła się jego senność i pewność siebie. Czy na pewno był niezastąpiony? Czy naprawdę nie miał się czego bać? Ostrożnie otworzył drzwi i osłupiał, znalazłszy się naprzeciwko pułkownika, kapitana i sierżanta KGB.

— Grigorij Wostow? — zapytał władczo pułkownik.

— *Da* — powiedział pojednawczo uczony. — Co to wszystko znaczy?

— Ubierzecie się i natychmiast pójdziecie z nami.

— Ale dlaczego? Co się stało?

Pułkownikowi dano wolną rękę w doborze środków, żądaj jedynie szybkiego doprowadzenia Wostowa.

— Ruszajcie się, towarzyszu! Chyba że nie chcecie czekać świ Wostow otworzył szeroko usta, zamrugał oczami i cofnął się

odruchowo parę kroków. Często bywał arogancki w stosunku do innych — w końcu miał do tego prawo — ale wyczuł, że nie czas na konfrontację i że sprzeciwianie się w tym wypadku nie ma sensu. Wycofawszy się do sypialni, pośpiesznie narzucił na siebie ubranie oraz płaszcz i nakazał żonie zachować spokój.

Na dole pułkownik wepchnął go do czekającej limuzyny Żiguli. Samochód gwałtownie ruszył przez roztopiony śnieg, kierując się na północ, ku Kaliningradowi.

„Boże mój, toż to przemoc!” — pomyślał Wostow i zaczęło w nim na nowo odzywać oburzenie. Już jego przyjaciel z Politbiura, Gudenow, o tym się dowie!... A może nawet poinformuje się o tym samego sekretarza generalnego. Wostow był w końcu głównym

truktorem sowieckiego programu kosmicznego. Zajmował jedno najbardziej prestiżowych stanowisk w państwie i w Akademii Nauk. Z pewnością nie pozwoli, żeby jakiś pułkownik czekista traktował go jak kogoś gorszego od siebie. Czyż ten dureń nie wie, że on Wostow — wart jest dla narodu?

4 października 1957 roku rakieta startowa SL-1 wyniosła z pola startowego w Bajkonurze na orbitę dwunastokilogramowy kulisty przedmiot. Stał się on znany światu jako Sputnik. Sprawca tego pionierskiego osiągnięcia naukowego przez wiele lat pozostawał anonimowy. Władze sowieckie czyniły wszystko, by go całkowicie zakonspirować, przez ponad dekadę nazywając wyłącznie głównym konstruktorem.

Naprawdę nazywał się Siergiej P. Korolew i pod wieloma względami był rosyjskim odpowiednikiem amerykańskiego Wernera von Brauna. Skala jego zdolności była legendarna — niemal w pojedynkę zapewnił rosyjskiemu programowi kosmicznemu czołowe miejsce w skali światowej. Gdyby nie nadzwyczajne talenty Korolewa, Związek Sowiecki nadal mógłby w tej dziedzinie konkurować co najwyżej z Albanią.

Owego chlubnego dnia 1957 roku Wostow był młodszym inżynierem w zespole Korolewa i od tego czasu jego gwiazda świeciła coraz mocniej. Obecnie był sowieckim autorytetem w dziedzinie rakiet i systemów napędu i miał na swym koncie osiągnięcia, których zazdrościli mu członkowie Akademii Nauk Związku Sowieckiego. Był naczelnym inżynierem ładownika na Wenus, kierował projektowaniem stacji kosmicznych Salut i Mir, stworzył też raketę startową dla ciężkich pojazdów kosmicznych Energia.

Ta ostatnia była jedynym jasnym punktem sowieckiego programu promowego. Z powodzeniem wyniosła na orbitę *Burana* i *Susłowa*. Zawodził jakoś sposób powrotu na ziemię, ale — na szczęście dla Wostowa — z tym nie miał on nic wspólnego. Z uwagi na rejestr zasług, a także na to, że nie miał do czynienia z Projektowaniem wahadłowca, przed miesiącem uroczyście nadano Wostowowi upragniony tytuł, jaki nosił jego wielki nauczyciel. Został nowym głównym konstruktorem Związku Sowieckiego.

Wraz z tytułem otrzymał wszelkie pełnomocnictwa, by ustalić co szwankuje w sowieckim wahadłowcu i spowodować, by funkcjonował należycie. No cóż, wkrótce tego dokona... miał nadzieję. Nawet on musiał jednak przyznać, że zespół inżynierów zajmujących<sup>51</sup> dotychczas wahadłowcem był bardzo kompetentny... zanim zniknął wraz z generałem Szenką. Wostow był specjalistą w dziedzinie rakiet i napędu, nie aeronautyki. Chyba nie mogli obarczyć

go odpowiedzialnością za to, że wahadłowiec zawiódł? Przecież t właśnie oni zrobili go głównym konstruktorem... Uff, dobrze... Gudenow z Politbiura dowie się, jak go potraktowano.

Żiguli zatrzymał się przy Centrum Kontroli Lotów. Krzepki sierżant KGB wepchnął Wostowa do budynku i dosłownie przewiół przez drzwi sali konferencyjnej. Postawiono go przed długim stołem zarzuconym rozłożonymi rysunkami inżynierskimi, naprzeciwko trzech mężczyzn, na których widok osłupiał. Pośrodku siedział w wygniecionym mundurze ten nieznośny Popów; był nie ogolony i wyglądał na zmęczonego. Po jego prawej stronie mały człowieczek o ciemnej cerze w dwurzędowym garniturze — Wostow znał go tylko ze słyszenia, ale rozpoznał. Wtem serce głównego konstruktora załomotało szybciej. Przecież ten trzeci, po drugiej stronie Popowa, to był... to był sam...

— Chodźcie tu do nas, Wostow! — warknął sekretarz generalny. Główny konstruktor zrobił, co mu kazano. Dobry Boże! Nawet

Gudenow nie mógłby mu teraz pomóc.

— Słuchajcie, towarzyszu główny konstruktorze! — powiedział błagalnym tonem Popów. — Wysłuchajcie mnie i nie przerywajcie. Nie wolno nam zmarnować ani sekundy.

On i Wostow serdecznie się nie znosili.

— Siedem godzin temu wystartował z Yandenberg amerykański wahadłowiec *Intrepid*. Na jego pokładzie, jako członek załogi, znalazł się nasz człowiek. Zabił dwóch pozostałych kosmonautów i obecnie kontroluje statek. Czy rozumiecie, o czym mówię, Wostow?

Główny konstruktor był oszołomiony, ale skwapliwie skinął potakująco głową. Niemniej jednak nie wierzył w zasłyszane słowa. Jak mogło dojść do czegoś takiego bez jego wiedzy? To nie mogło się dziać naprawdę. To musiał być sen.

— Nasz człowiek kontroluje prom kosmiczny, ale coś się wydarzyło — ciągnął dalej Popów. — Pewnie doszło do walki. Została zniszczona tablica rozdzielcza kontroli rakietowych silników hamujących i nie można ich odpalić. On jest tam unieruchomiony, Wostow. Rozumiecie? Utknął na dobre. A my... to znaczy wy musicie sprowadzić go na ziemię, zanim Amerykanie zareagują. Jasne?

Kolejny potakujący ruch głową. To nie był sen. To był koszmar. Popów pokazywał mu dokumentację.

— Jak obaj wiemy, są to rysunki techniczne amerykańskiego wahadłowca, wykonane na podstawie informacji, których dostarcza nam od lat wydział techniczny KGB. — Popów wskazał palcem rysunek statku od ogona. — Prom amerykański ma trzy wielkie dysze głównych silników rakietowych oraz dwie mniejsze — silników

akietowych hamujących. Wszystkie są nie do użytku. Czy nie dałoby się zrobić jakiegoś silnika i przymocować do ogona, żeby .prowadzić wahadłowiec na ziemię? Powiedzcie, towarzyszu główny konstruktorze. Powiedzcie!

Tego było już trochę za wiele dla Wostowa. Nagłe zbudzenie, nocna jazda, KGB, sekretarz generalny i prom amerykański, który próbowali... porwać! Gapił się tylko, nie mogąc wydobyć słowa.

\_ Czekamy na waszą odpowiedź, towarzyszu główny konstrukto-

rzei — Słowa szefa KGB prześliznęły się ponad stołem jak syk £<sub>m</sub>ji — Nie chcielibyście przecież, żeby spotkał was los generała Szenki.

Wostow przełknął ślinę i próbował się opanować. To dzięki swym talentom inżynierskim zaszedł tak daleko. Powinny go wybawić i z tego kłopotu. Przyciągnął do siebie rysunek i studiował go przez parę chwil. „Trzeba zacząć od uzyskania informacji — pomyślał. — Zebrać dokładne dane”.

— Na jakiej wysokości znajduje się wahadłowiec? Popów miał gotową odpowiedź:

— Orbita kołowa. Pułap dwieście trzy kilometry.

„Dobrze — pomyślał główny konstruktor — to czyni rzecz nieporównanie łatwiejszą, niż mógłbym przypuszczać. Gdyby prom był wyżej, zadanie mogłoby okazać się niewykonalne dla urządzenia... jak to je nazywają Amerykanie?... aha, *jerry-rigged*, mogącego zastępczo służyć do sprowadzenia go na ziemię”.

— Czy rakiety manewrowe nadal funkcjonują?

— *Da* — odpowiedział Popów.

Wostow wpatrywał się w rysunek. Wielkie nieba! Porywać wahadłowiec amerykański! Jeśli zdoła tego dokonać, może wejść do Politbiura. Mogliby rozmontować amerykański prom na części i dowiedzieć się, co zawodzi w ich własnym.

Wostow zaczął zdawać sobie sprawę z wagi tej sposobności.

— Zostawcie mnie samego na parę minut! — zażądał.

Popów skinął głową, zalecając pozostałym, by opuścili pokój. Wyszli na korytarz, pozostawiając głównego konstruktora zneruchomiałego nad rysunkami technicznymi.

W holu byłego miotacza młotem znów ogarnęły wątpliwości.

— Towarzyszu Popów, czy naprawdę myślicie, że to się da zrobić? — spytał.

Popów poczuł się jak nauczyciel znużony oświecaniem nie nazbyt Pojętnego ucznia.

— Niektóre aspekty sytuacji są dla nas korzystne, towarzyszu sekretarzu generalny. Ważne, że *Intrepid* krąży po niskiej orbicie. Na tyle niskiej, że za jakieś dwa miesiące uległby nie kontrolowanemu **Wejściu** w atmosferę. Siła ciągu potrzebna do ściągnięcia obiektu

z tak niskiej orbity — nawet obiektu o rozmiarach wahadłowca jest stosunkowo niewielka. Gdy Wostow znajdzie sposób, by skonstruować odpowiedni silnik rakietowy i przymocować go do ogo wówczas będziemy w stanie sprowadzić statek na ziemię.

— Ale czy potrafi? — Sekretarz generalny pragnął, by go o zapewniono.

— Przecież jest głównym konstruktorem Związku Sowieckiego

a rakiety to jego specjalność — wyjaśniał cierpliwie Popów. — Był najwybitniejszym uczniem Korolewa, a wszelkie projekty, które opracował dla ojczyzny, przewyższały najśmielsze oczekiwania. Jeśli ktoś u nas może to zrobić, to na pewno on. Gdyby mu się nie udało, leżymy.

Sekretarz generalny zamierzał już bez owijania w bawełnę postraszyć Wostowa, kiedy dobiegł ich z sali konferencyjnej jego donośny głos:

— Chodźcie tutaj, towarzyszu Popów!

*Dzień J., 22:50 czasu Greenwich, 15:50 miejscowego*



### **Góra Cheyenne**

Major Lydia Strand szła przez Centrum Operacyjne Obrony Kosmicznej NORAD-u z nosem w pliku dokumentów, przeglądając dane orbitalne rosyjskich satelitów. Dzięki obejmującemu swym zasięgiem cały świat systemowi radarowemu, śledzącemu wszystkie\* krążące w przestrzeni kosmicznej satelity sowieckie, oraz analizie telemetrycznej NORAD całkiem niezłe orientował się, które spośród rosyjskich obiektów zajmują się wywiadem fotograficznym. Informowano rutynowo główne dowództwa o przechodzeniu nad nimi sowieckich kamer szpiegowskich, tak by można było ukryć przed wścibskimi soczewkami szczególnie tajny amerykański sprzęt wojskowy. Eskadra „niewidzialnych” myśliwców typu F-17 Nighthawk\* w Bazie Sił Powietrznych Nellis w Nowadzie nieustannie chowała się do hangarów, by uniknąć rozpoznania. Podobnie postępowano ze stacjonującymi tam również prototypami „niewykrywalnego” bombowca typu Northrop.

Jedną z irytujących właściwości satelitów wywiadowczych — zarówno rosyjskich, jak i amerykańskich — była ich zdolność do zmieniania orbit. Zdarzało się to rzadko, bo wymagało zużycia cennego paliwa, niemniej zdarzało się. Kiedy takie odchylenie zostało wykryte przez system wywiadowczy, komputery NORAD-u wszczyły alarm dźwiękowy i wizualny na monitorach w SPADOC-u.

\* Nocny jastrząb — przyp. tłum.

żeby go<sup>o</sup> i<sup>e</sup> przeoczono. Obliczano wówczas nową trajektorie ■<sub>za</sub> wiadomiano o niej główne dowództwa, takie jak Dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych.

Lydia Strand, zastępczyni Lamborghiniego, zaznajamiała się „łaśnie z najnowszymi danymi dotyczącymi sowieckich satelitów zwiadowczych, by zreferować je na rutynowym popołudniowym zebraniu sztabu, które miało się odbyć pomimo całego zamieszania, jakie spowodował *Intrepid*.”

W zespole kierowanym przez Lamborghiniego znalazła się przed czterema miesiącami, kiedy jej gładko przebiegająca kariera w lotnictwie wojskowym doznała nieoczekiwanego zwrotu. Po ukończeniu *summa cum laude* fizyki na uniwersytecie stanowym w Karolinie północnej wstąpiła do sił powietrznych („wydawało mi się to zabawne”) i przeszła szkolenie w pilotażu. Była mocno zaskoczona, gdy okazało się, że jest wielce uzdolnioną pilotką, i oddała się tej pasji z ogromnym zaangażowaniem. Ukończyła z pierwszą lokatą szkołę lotniczą w Bazie Sił Powietrznych Sheppard, otrzymując w nagrodę nietypowy dla kobiety przydział oblatywacza myśliwców typu F-16 Falcon \* w bazie lotnictwa Hill w stanie Utah. Mieścił się tam główny ośrodek remontów i konserwacji tych samolotów. Jej praca polegała na transportowaniu Falconów do i z warsztatów oraz odbywaniu na nich swego rodzaju lotów testowych. Kiedy kończono naprawę jakiegoś F-16, sprawdzała dokładnie jego funkcjonowanie nad poligonem bombowym Wendover. Owe próbne loty przebiegały na ogół gładko, ale pewnego razu doszło do awarii i musiała skakać. Opadając powoli na spadochronie patrzyła jak urzeczona na samolot wart dwadzieścia milionów dolarów, walący się korkociągiem w pustynię. Był to widok bolesny, a wypadek tak dalece nadszarpnął jej pewność siebie, że przestała uczestniczyć w symulowanych walkach powietrznych nad poligonem Wendover, w których — ku utraپieniu jej męskich kontrpartnerów — z reguły odnosiła sukcesy.

Aby przywrócić Lydii wiarę w siebie, jej szef namówił ją, by zgłosiła się do astronautycznego programu NASA. Była już wprawdzie w korpusie astronautów pewna liczba kobiet, które przygotowywano do lotów w roli specjalistów pokładowych; żadna z nich nie<sup>mo</sup>gła jednak pretendować do roli pilota. Wytworzyło się błędne koło; pilotem wahadłowca mogła zostać tylko osoba z doświadczeniem w lotach na dużej wysokości, czyli po prostu z praktyką<sup>w</sup> lotach bojowych, a do lotów bojowych kobiet oczywiście nie .puszczano. Zazwyczaj spychano je do obsługiwaniania transportowców, choć istniały wyjątki, do których należała Lydia.

Zgłosiła się do NASA wkrótce po katastrofie *Challenger*, kiedy

\* Sokół — przyp. tłum.



akcje agencji kosmicznej stały nadzwyczaj nisko. Być może pomogły jej przebrnąć przez sito selekcji coś w rodzaju dyskryminacji *a rebourj* a może na kimś z komisji sędziowskiej zrobiły wrażenie jej intelekt? i ogromna uroda. Jakikolwiek był powód — została zaakceptowana i przeniosła się do Houston. Dwuletni trening pilotażu astronautycz-j nego przywrócił jej poczucie pewności siebie. Została wyznaczona na drugiego pilota na *Antaresie*, na którym odbyła z powodzeniem, wyprawę na platformę SDI. W cztery miesiące później, podczas misji naprawiania satelity, była drugim pilotem na *Discovery* i wtedy również wypełniła swe zadania bezbłędnie. W kręgach kierowniczych w Houston i w Colorado Springs zaczęto rozważać możliwość mianowania jej, jako pierwszej kobiety, dowódcą wyprawy wahadłowca. W Houston spotkała i poślubiła swego męża, inżyniera programistę pracującego dla NASA. Wszystko układało się pomyślnie, dopóki nie zaszła w ciążę i nie musiała dokonać wyboru: czy być astronautką, czy matką. Wybrała to drugie i złożyła do dowództwa sił powietrznych podanie o zmianę przydziału. Została przeniesiona do Colorado Springs, gdzie trafiła do zespołu Lamborghiniego. Mąż też otrzymał tam pracę w swym zawodzie jako cywilny współpracownik CSOC-u. Konieczność rezygnacji z udziału w programie astronautycznym była wprawdzie przykra, ale praca w wywiadzie dała jej zadowolenie — fascynowała ją. Prawie tak, jak jej ośmiomiesięczny synek. Noe.

— Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć przed zebraniem? zapytała.

Starszy sierżant Bill Matthews przebiegał palcami po klawiaturze.

— Hmm, nic nowego w stosunku do danych, które już pani ma, poza dwoma sygnałami. Właśnie przekazali je nasi koszmarni koledzy z NSA. Proszę zaczekać chwilkę, zaraz je dopasuję.

Uderzył parę razy w klawisze i czekał na reakcję komputera.

— Tak, to kapsuła Progress, która wczoraj dotarła do stacji kosmicznej Mir. Z tego co wiemy, nie została do tej pory odrzucona. Potwierdza to analiza telemetryczna, zgadza się też trajektoria.

— Dobrze — powiedziała Strand. — Czy coś jeszcze? Matthews wcisnął kilka klawiszy, zajęła się więc przeglądaniem dokumentów. Spojrzała na zegarek. Do zebrania pozostało już tylko dziesięć minut.

Wcisnąjąc klawisze sierżant zażądał od komputera porównania przysłanych z NSA danych telemetrycznych z Eardruma z trajektoriami orbitalnymi znanych satelitów. Komputer NORAD-u dysponował zaś, w przeciwieństwie do Pandory, trajektoriami wszystkich obiektów orbitalnych, bez względu na to, które państwo je tam wysłało. Na zielonym ekranie pojawiło się zestawienie:

ANALIZA SYGNAŁU: ŁĄCZNOŚĆ RADIOWA SZYFROWANA ŹRÓDŁA SYGNAŁU:

NAZIEMNE: 67 STOPNI 21 MINUT SZER. PŁN.

171 STOPNI 14 MINUT DŁ. WSCH. ORBITALNE: 71 STOPNI 38 MINUT SZER. PŁN.

173 STOPNIE 51 MINUT DŁ. WSCH.

63 STOPNIE 12 MINUT SZER. PŁN.

169 STOPNI 23 MINUTY DŁ. WSCH.

PULAP: 203 KM NACHYLENIE: 83 STOPNIE POSZUKIWANY ORBITER: STS-202L

— Uch, majorze!... — wykrztusił Matthews. — Myślę, że powinna pani na to spojrzeć...

Strand spomad papierów rzuciła okiem na ekran. Wiedziała, że STS to skrót od Space Transportation System, a więc obiektem jest wahadłowiec. Nie przyjrzała się bliżej koordynatom, przekonana, że ma na ekranie dane lokalizujące *Intrepida* podczas ostatniej łączności radiowej, zanim zamilkł. Żeby się upewnić, spytała:

— Dwa zero dwa Lima to *Intrepid*, prawda?

— Och, tak, proszę pani.

— A więc, o co tu chodzi?

Matthews nacisnął kilka klawiszy, potem powiedział:

— Proszę spojrzeć na trajektorię źródła sygnału.

Na ekranie jego monitora pojawiła się mapa Merkatora z falistą linią, przedstawiającą trasę orbitalną *Intrepida*. W miejscu gdzie przecinała północnwschodnią Syberię, błyskały w poprzek niej trzy białe kropki.

Strand potrząsnęła głową; miała wrażenie, jakby w jej mózgu doszło do krótkiego spięcia. Jej logiczny z natury umysł nie potrafił zaakceptować tego, co widziała. Czuła się tak, jakby spojrzawszy w lustro zobaczyła w nim odbicie obcej twarzy, której nie powinno tam być. A białe światełka błyskały i nie chciały zniknąć, niby plama na dłoni lady Macbeth. Nie przestawały migotać, aż w końcu oczywistość przewyciężyła logikę. A kiedy dotarła wreszcie do jej świadomości, niemal ją poraziła...

Z trudem chwytła oddech.

— Ależ to... Ale przecież... Tak, proszę pani.

Na miłość boską... Znała to zimne, obrzydliwie mdlące uczucie. Doświadczyła go, wtedy jej F-16 stanął w płomieniach nad pustynią Utah, gdy sięgała ° dźwigni katapulty. Stało się coś złego. Coś okropnie, straszliwie °go. Te kropki na ekranie. Ich tam po prostu nie miało prawa być.

Strand na wpół przytomnie rozejrzała się po sali. Potrzebow pomocy. Tam, po drugiej stronie, był Lamborghini. — Pułkowniku!

Whittenberg opadł w obszerny skórzany fotel; napięcie, związa z wydarzeniami tego popołudnia, wyczerpało go. Kilka godzin spędził przy telefonie, rozmawiając z szefem Sztabu Generalnego z sekretarzem obrony, z NASA, z wiceprezydentem. Cierpliwie wyjaśniał, co się stało i co zamierzali uczynić dla ratowania waha łowca. Rozkazy były jednoznaczne: próbować ocalić załogę i odzysk ładunek. Przynajmniej jedno było pocieszające: zdjęcia Spylgassa świadczyły, że *Intrepid* nadal był cały. Być może mimo wszystko ktoś przeżył i czekał na ratunek.

Generał łyknął kawy z termosu. Nie liczył na zbyt wiele okazji d' snu w najbliższych dniach, zwłaszcza że i na rutynową działalność SPACECOM-u też musiał znaleźć czas. Kiwnął głową swemu szefo sztabu.

— Cóż, Bysiu, zaczynajmy i załatwmy to tak szybko, jak tylko się da. Chcę jeszcze skontaktować się z Chetem i dowiedzieć się, jak id" sprawy w Cape.

— Tak jest, panie generale — odpowiedział Michael Dowd, rozglądając się po sali. — Ehm!... Chciałbym rozpocząć od raportu wywiadu, ale nie widzę pułkownika Lamborghiniego...

Whittenberg spojrział na puste krzesło pułkownika.

— Hm. To dziwne. Zwykle można według niego reguła zegarki. No więc pošlijcie kogoś, żeby go sprowadził. A my zaczniemy w takim razie od Sir Izaaka. — Generał próbował maskować irytację, ale ostry ton jego głosu nie uszedł uwagi nikogo z obecnych.

Bysio zlecał właśnie półgłosem adiutantowi, żeby znalazł Lamborghiniego, gdziekolwiek go diabli zanieśli, kiedy podwójne drzwi s\* konferencyjnej otwarły się z impetem i wpadł przez nie szef wywiad" a tuż za nim Strand. Krzyknął:

— Panie generale! Mamy kłopot!

Wszystkich zaskoczyła jego gwałtowność. Zazwyczaj zachował się chłodno i ważył każde słowo. Cóż się zatem stało? Czyżby strategiczne zostały postawione w stan pogotowia?

— Tak, pułkowniku — ostrożnie powiedział Whittenberg. — Cóż to za kłopot?

Lamborghini podszedł do ściennego telefonu i połączył się z Matt-hewsem.

— Sierżancie — powiedział — dajcie to na ekran w sali konfereO^ cyjnej. — Nie czekając na odpowiedź udał się na mównicę, gdzi\* znajdował się przełącznik. Zrobił kilka głębokich wdechów. „Ty\*

ludziom należy się dokładna informacja — powiedział sam do siebie. „Bez hysterii”. Jeszcze parę razy zaczerpnął powietrza w płuca, następnie złożył raport tak spokojnie, jak tylko potrafił. Wtedy rzucił na wielki ekran mapę Merkatora z falistą linią i światełkami błyskającymi na syberyjskim wybrzeżu. — Oto — stwierdził — trasa lotu naszego wahadłowca. Białe kropki to punkty transmisji radiowej.

Długo nikt się nie odzywał, aż ciszę przerwał stukot na środku stołu. Z ust Sir Izaaka wypadła fajka i uderzyła o twarde drewniany blat.

Stwierdzając, że wystąpienie Lamborghiniego zaszokowało zebranych, nie oddałoby się w pełni nastroju chwili. Przeżyli raczej jakby zbiorowy wstrząs.

— Jezu Chryste! — zdołał wykrztusić z siebie Bysio, a reszta sprawiała wrażenie, jakby ich poddawano zbiorowemu badaniu dentyścicznemu — wszyscy siedzieli z szeroko otwartymi ustami.

Whittenberg miał za sobą trzydzieści lat dyscypliny wojskowej, toteż pierwszy wziął się w garść.

— Pułkowniku... — powiedział — czy rzeczywiście obaj myślimy to samo? Czy to znaczy, że *Intrepid* kontaktuje się z rosyjską stacją naziemną?

— Tak jest, panie generale. To właśnie wskazują dane. Na chwilę zapadło milczenie.

— Czy jest pan pewny, że informacja jest wiarygodna? — zapytał Dowd.

Lamborghini uściślił:

— Właśnie rozmawiałem telefonicznie z analitykiem z NSA. Cywilem nazwiskiem Littleton. Działa jako dodatkowy kontroler. Sygnały pochodzą z satelity Eardrum i poddane zostały normalnej analizie.

Szef sztabu wyglądał na nie do końca przekonanego.

— Ci panikarze z NSA nieraz się już mylili.

Ale nikt nie przyłączył się do jego zastrzeżeń, a raczej pobożnych życzeń. Zadał więc z kolei pytanie:

— Czy CSOC-owi udało się przywrócić łączność z wahadłowcem? Sprawdziłem w Kontroli Lotu, zanim tu przyszedłem, panie

generale — odpowiedział Lamborghini. — *Intrepid* nie dał znaku życia, odkąd wyszedł z atmosfery.

Umysł Whittenberga pracował gorączkowo. *Intrepid* rozmawiający z Rosjanami? To było nie do wiary. Ale jeśli rzeczywiście do tego oszło, musiał to zrobić ktoś z załogi. Spojrzenie generała padło na Tydię Strand.

— Majorze. Uczestniczyła pani w programie razem z załogą *repida*. Zapewne zna ich pani lepiej niż ktokolwiek z nas. Czy 017s z nich wydał się pani kiedykolwiek, powiedzmy, niezrównoważony?

Strand, zanim odpowiedziała, przywołała na pamięć najdrobniejs nawet szczegóły.

— Rodriquez zawsze wydawał mi się odrobinę nie z tej ziemi, a może dlatego, że był takim zdolnym facetem. Wie pan, zachowywa się jak niesforne dziecko, które nie uważa na lekcjach i nigdy się nie uczy, ale zawsze uzyskiwał najwyższe noty z testów. Nigdy nie łam reguł gry. Był po prostu nietypowy... — Z kolei opisała drugiego pilota: — Franka Mulcaheya poznałam całkiem dobrze. Ciągłe rob kawały. Naprawdę solidny pilot i troskliwy ojciec. Lubił się zabawić Absolwent Air Force Academy. Typowy amerykański chłopak dumny ze swej ojczyzny i swego irlandzkiego pochodzenia... — Przerwała.

— A Kapuściński? — nalegał Whittenberg. Skubała podbródek.

— To rodzaj dziwnego ptaka, panie generale. Ale z całej trójki chyba po nim najmniej bym się spodziewała, żeby zrobił coś takiego. Cokolwiek by to było.

— A to czemu? — spytał Sir Izaak.

— To trochę mglista sprawa, ale wydaje mi się, że jego rodzicami byli polscy uchodźcy powojenni. Niewiarygodnie dużo wycierpieli pod władzą sowiecką. Jego matkę... tak, o ile pamiętam, zgwałcili rosyjscy żołnierze; w każdym razie były takie pogłoski... Mówił niewiele, ale jeśli tylko rozmowa zesłała na Rosjan, działało to na niego jak czerwona płachta na byka. Nienawidził ich. Głęboko. Gdyby przejął *Intrepida*, to chyba po to, by spróbować zbombardować Moskwę. Poza tym, panie generale, to nadzwyczajny pilot. Pewnego popołudnia odbyliśmy powietrzny pojedynek na samolotach T-38 w pobliżu Cape. Przywoździł mnie, zanim spostrzegłam, skąd się wziął.

— Czyli, pani zdaniem — zapytał Whittenberg — nic nie wskazuje na to, by któryś z nich... przeszedł na drugą stronę, czy jak to określić?

— Tak sądzę, panie generale.

Whittenberg przetrwał to w sobie przez kilka sekund, a potem chwycił byka za rogi:

— A zatem radźcie: co robić? Odpowiedział Lamborghini:

— Myślę, panie generale, że najpierw trzeba zweryfikować informacje.

Sir Izaak podjął swą fajkę i właśnie ją zapalał, by się uspokoić.

— Zgadzam się — wymamrotał w przerwie między dwoma kłębami dymu. — Jeśli zderzyliśmy się z czymś takim, pierwszą rzeczą, jakiej zażąda Pentagon, będzie potwierdzenie informacji. Eardrum to wspaniały instrument, ale w triangulacji na taką odległość pozostaje margines na zniekształcenie i błąd. To się już zdarzało.

I tym razem nikt się nie kwapił do dyskusji z absolwentem elektrotechniki MIT.

— Ale jeśli nawet Eardrum może się mylić, w jaki sposób mamy uzyskać potwierdzenie? — zapytał Dowd. Sir Izaak zastanawiał się przez chwilę.

— Pete, czy powiedziałeś, że doszło do bezpośredniego połączenia między stacją naziemną a wahadłowcem? Bez pośrednictwa satelity, naszego czy sowieckiego?

— Tak właśnie było — potwierdził Lamborghini.

— Hm... — Sir Izaak postukał cybuchem fajki o zęby. — Zatem, żeby mieć całkowitą pewność, najlepiej byłoby umieścić posterunek podsłuchowy pomiędzy stacją naziemną a statkiem kosmicznym, tak by był idealnie na linii przekazu.

Przez dłuższą chwilę wszyscy rozważali problem, aż w końcu odezwała się Strand:

— SR-71.

Whittenberg uniósł brew.

— Co dokładnie ma pani na myśli, majorze?

— To oczywiste, panie generale — odpowiedziała. — Po prostu wziąć wykaz położen rosyjskich stacji naziemnych, które mogą łączyć się ze statkami kosmicznymi, i nanieść je na trajektorię orbitalną *Intrepida*. Znaleźć punkt, gdzie się przecinają i w odpowiednim czasie posłać tam Blackbirda SR-71.

Rozwiązanie w istocie nie było tak proste, jak przedstawiła je Strand. Odkąd w 1960 roku rosyjski pocisk klasy ziemia—powietrze zestrzelił z nieba U-2 Francisza Gary'ego Powersa, przeloty nad terytorium sowieckim stały się sprawą kłopotliwą. Nadal wprawdzie do nich dochodziło, ale zazwyczaj ograniczały się do peryferyjnych lotów zwiadowczych. Podstawowe zadania wywiadu lotniczego przejęły satelity szpiegowskie, a udoskonalona aparatura umożliwiała samolotom rekonesansowym dokonywanie rozpoznania zdalnego podczas przelotów wzdłuż granicy, bez potrzeby jej naruszania. Tak więc penetracja lotnicza sowieckiego obszaru była już obecnie rzadkością. A każdy przypadek wtargnięcia głębiej niż na dwieście kilometrów wymagał uzyskania aprobaty sekretarza obrony.

Lamborghini ponownie podszedł do telefonu.

Matthews, daj nam trasę orbitalną *Intrepida* na następne dwanaście godzin.

W parę sekund później na mapie Merkatora pojawiły się faliste <sup>mie</sup>, każda przesunięta względem poprzedniej o kilka stopni na zachód. Szef wywiadu popatrzył na ekran.

— Myślę, że jesteśmy w stanie bezzwłocznie nanieść położenie <sup>ros</sup>yjskich stacji naziemnych i dopasować je do orbit. bittenberg przemyślał już całą sprawę, ale trudno mu było ją <sup>ravvc</sup>- Wielki Boże! *Intrepid* rozmawiający z Rosjanami! Gorzko

było o tym myśleć. „Jeżeli ten ładunek wpadnie w niewłaściwe ręce”... — kiedy tylko o tym pomyślał, natychmiast nabrał impetu do działania.

— Zadzwońcie do Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych i dostaną od nich Blackbirda. Pete, rozgryźcie razem z majorem koordynaty, gdzie *Intrepid* mógłby komunikować się z ziemią. Przekażcie je ludziom z wywiadu dowództwa, jak tylko będziecie gotowi. Bądźcie też w kontakcie z tymi z NSA. Bysiu, chcę, żebyście z Sir Izaakiem zaczęli robić zestawienie tego, co powinniśmy, i tego, co możemy zrobić, jeśli *Intrepid* rzeczywiście stał się... jak wy, u diabła, w ogóle coś takiego nazywacie?

Dopiero po dłuższej chwili Lamborghini podsunął mu nieswoi głosem:

— Wedle tego, co mi wiadomo, w terminologii wywiadu nazywa się to „zdziaczonym słońcem”.

Po powrocie do biura Whittenberg podniósł słuchawkę czerwonego telefonu łączącego go bezpośrednio z Dowództwem Strategicznych Sił Powietrznych w Omaha, w stanie Nebraska. Wiedział, że w ciągu piętnastu sekund zgłosi się na drugim końcu linii dowódca, jego zastępca albo szef sztabu.

Wśród równych mu rangą generałów czterogwiazdkowych niewielu było ludzi, których mógł szczerze nazwać przyjaciółmi. Ale na szczęście jednym z nich był właśnie Bernard Dooley, dowódca Strategicznych Sił Powietrznych. Byli kiedyś pilotami w tym samym dywizjonie bombowców B-52 i wypili wspólnie niejedno piwo. Dooley był ojcem chrzestnym najstarszej córki Whittenberga. Przez pewien czas trwała pomiędzy nimi nie rozstrzygnięta rywalizacja o stanowisko dowódcy Strategicznych Sił Powietrznych. Kiedy Whittenberga powołano do SPACECOM-u, z zadowoleniem przyjął objęcie przez starego przyjaciela dowództwa w Omaha. Teraz uspokoił się, kiedy w słuchawce usłyszał:

— Dooley.

— Hało, Bernie, tu Rodg.

— Hej, jak się ma mój ulubiony dżokej? — Dooley zawsze go w ten sposób pozdrowił, robiąc aluzję do rozmiarów przyjaciela i jego stajennej przeszłości.

— Nie najlepiej — powiedział Whittenberg. — Mam kłopot i potrzebuję jednego z twoich Blackbirdów.

— Drobiazg. Wszystko dla ojca mej ulubionej córeczki. — Dooley miał czterech chłopców, toteż chętnie chępnął się ojcostwem chrzestnym dziewczyny. — Rano rozmawiałem z moim facetem od wywiadu. Jego Blackbirdy właśnie szczęśliwie wracają i możesz je mieć za piC^

79

czy sześć dni. Jasne, że dla ciebie mogę to przyspieszyć o dzień lub dwa. W czym problem? Whittenberg opowiedział. W dwanaście minut później wysłano z Omaha błyskawiczną wiadomość z osobistym podpisem dowódcy CSOC-u do Dziewiątego Strategicznego Dywizjonu Zwiadowczego stacjonującego w Anglii, w bazie RAF-u w Mildenhall.

*Dzień 1., 22:50 czasu Greenwich, 12:50 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

— Ale czy jesteście pewni, że to zadziała? — nudził sekretarz generalny.

Wostow pomyślał, że ten człowiek zachowuje się jak mały chłopiec.

— Muszę jeszcze dokładnie zweryfikować specyfikację — powiedział główny konstruktor — ale mówiąc całkiem szczerze, nie widzę innej możliwości. Weźmiemy mały silnik na paliwo stałe od Progressa i założymy mu na przedni koniec odpowiednio wymodelowany kołnierz. Wsuniemy kawałek przedniej części do dyszy środkowego silnika raketowego wahadłowca... to tak, jakby wsunąć trochę jedną szklankę w drugą, i przymocujemy kołnierz do obrzeża dyszy. Kołnierz będzie działał jak klamra, utrzymując mocno na miejscu silnik Progressa podczas odpalenia powrotnego. Po wyczerpaniu paliwa eksplodują mocujące kołnierz sworznie. Uwolniony, zostanie wypchnięty z dyszy zamontowaną w tym celu sprężyną.

Popow był pod wrażeniem. Bez względu na rozmiary zarozumiałstwa głównego konstruktora, udowodnił teraz, że ma do niego prawo. Wyrwano tego człowieka ze snu w środku nocy, opowiedziano mu nieprawdopodobną historię, rozkazano ratować dupy tych Polityków — i on to zrobił. Rzecz jasna, Popow nie pomniejszał<sup>1</sup> własnego wkładu. Koncepcja, jakkolwiek na to patrzeć, była jego Pomysłem.

Nadzwyczajne! — powiedział sekretarz generalny. Wostow promieniał. Może i Politbiuro było, mimo wszystko, osiągalne. Szef KGB wypuścił z pallmalla kłąb dymu. ~~ Co musimy zrobić, żeby urzeczywistnić ten wspaniały projekt? **Wostow** dostrzegł, że mały człowieczek zaczyna się niecierpliwić. Musimy najpierw zaprojektować kołnierz zgodnie ze specyfikacją-<sup>tr</sup> k<sup>y</sup> Pasował z zewnątrz do silnika Progressa, a także do wnętrza<sup>a</sup> dyszy wahadłowca. Następnie trzeba sporządzić formę i go odlać.

Zdobyc.



Teraz poświęcił kilka chwil, by przemyśleć problem transportu.

— Będziemy musieli wysłać dwa pojazdy: jeden towarowy, by dostarczył potrzebne elementy, oraz Sojuza z dwoma kosmonautami, którzy zainstalują kołnierza i silnik.

— Jak długo to potrwa? — zapytał sekretarz generalny.

Dwaj inżynierowie popatrzyli na siebie; obaj zastanawiali się, co trzeba zrobić. Wostow powiedział:

— Zaprojektowanie, odlanie i obróbka kołnierza zabiorą co najmniej czterdzieści osiem godzin. Może więcej, jeśli uwzględnić problemy związane z eksplodującymi sworzniami. Jak sądzicie, towarzyszu Popów?

Popów dokonał w myślach przeglądu sprzętu, którym dysponował w Bajkonurze.

— Mogę mieć silnik raketowy SL-4 do Sojuza i silnik SL-14 do Progressa gotowe w ciągu dwóch do trzech dni. Jednakże nie obejmuje to czasu potrzebnego na załadunek silnika i kołnierza i zainstalowanie ich na SL-14. Nie możemy tego robić, dopóki wy nie ukończycie swojej pracy.

— Tak więc, będziemy potrzebowali trzech do czterech dni — podsumował Wostow.

— W takim razie sugerowałbym, żeby już nie marnować czasu na dalsze dyskusje — powiedział Kostiaszak.

Obaj inżynierowie uznali tę uwagę za coś więcej niż jedynie sugestię.

— Towarzyszu główny konstruktorze, zaczynajcie natychmiast; projektowanie kołnierza i zajmijcie się organizacją jego produkcji — rozkazał Popów. — Jestem przekonany, że towarzysz sekretarz generalny postara się, żebyście otrzymali wszelką pomoc. Ja zacznę przygotowania do startu pojazdów i dobiore zalogę Sojuza. Musicie także uzgodnić z moimi ludźmi w Bajkonurze rozmiary kontenera na silnik i kołnierza.

— Ma się rozumieć! — powiedział Wostow. Przez chwilę skrobał w milczeniu zarost na zwiotczonych policzkach, aż wreszcie rzucił retoryczne pytanie: — A co będzie, jeśli Amerykanie spróbują wysłać pojazd ratunkowy, zanim ukończymy te przygotowania?

Znowu zapadło milczenie, a potem sekretarz generalny nieśmiało zagadnął:

— Czy jesteśmy w stanie coś zrobić, by ich powstrzymać, towarzyszu Popów?

Popów odetchnął głęboko. Nie podobało mu się branie udziału w oszustwie — obojętne czy chodziło o grę w karty, czy o łamanie międzynarodowych traktatów. Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki zawarły przed dwoma laty umowę delegalizującą posiadanie broni antysatelitarnej. Ale, z błogosławieństwem Woronckiego, Popów schował coś niecoś, tak na wszelki wypadek.

Tak, towarzyszu sekretarzu generalny — powiedział grobowym m — Mamy na to lekarstwo w Plesiecku. ^ Miał na myśli drugi co do wielkości kosmodrom rosyjski, gdzie ajdowały się urządzenia wojskowe. Na jego terenie nigdy jeszcze „ie pozwolono postawić stopy żadnej inspekcji ONZ nadzorującej orzeźtrzymanie umów międzynarodowych.

P\_ Zatem sugeruję, byście bezzwłocznie poczynili również w Plesiecku stosowne przygotowania na wszelki wypadek. Czy wyrażam się jasno, towarzyszu generale? — odezwał się szef KGB.

\_ Najzupelniej, towarzyszu przewodniczący — odrzekł Popów, wzdychając.

*Dzień 1., 23:31 czasu Greenwich, 18:31 miejscowego* **Bunkier Kontroli Startu, Ośrodek Kosmiczny**

### **Kennedy'ego**

Nadintendent polecił pozostawić szklane drzwi do Sali Odpalania Numer Dwa w kompleksie startowym Ośrodka Kosmicznego Kennedy'ego **otwarte, by** mogły tam wejść sprzątaczk.

W zamierzchłych czasach programu „Apollo” trzeba było zebrać w takim bunkrze — jednym z czterech znajdujących się w Cape Canaveral — około czterystu pięćdziesięciu osób personelu technicznego, **by** oderwać od ziemi raketę Saturn 5; obecnie przygotowania do startu są tak dalece skomputeryzowane, że wystarczy dziewięćdziesięciu techników.

Sprzątaczk powoli wchodziły coraz głębiej do wielkiej sali, wypełnionej pulpitemi i końcówkami komputerów. Nie śpieszyło im się zbytnio, jeśli w ogóle. Praca była brudna i najniżej płatna.

Normalnie biura Ośrodka Kosmicznego sprzątano nocą, ale w razie **gotowości** startowej wypożyczano „oddział” sprzątaczek, by doprowadzić do porządku wewnątrz bunkra. Zwykle dopiero nocą przed **startem** zjawiał się w nim personel w komplecie. Ale jakoś, tego wieczora, było inaczej.

Rosita Coronado, drobna Latynoska w niebieskim uniformie, posuwała się powoli pomiędzy rzędami pulpitemów, ścierając ich blaty <sup>1</sup> **uważając, by** nie pomieszać leżących na nich papierów. Ciągnęła za **sobą** wózek z wielkim otwartym plastikowym workiem, do którego **Wsypywała** zawartość koszy na śmieci. Nikt nie zwracał na nią <sup>Uw</sup> **agi**, kiedy tak metodycznie sprzątała. Nikt też nie zauważył, że arannie unika przepisowego posługiwania się odkurzaczem. Miała Powód — nie mogłaby przy włączonym odkurzacz podłuchiwać Prowadzonych rozmów.

TT Dobra, przetestuj teraz zamykanie zaworu tlenowego komory Paliwowej numer dwa.

Chudy technik od systemów napędowych wyłączył mikrofon^ następnie zdjął słuchawki i zawiesił je sobie na szyi. Zwrócił się do sąsiada, utyskując:

— To najbardziej wyśrubowane zadanie, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Weekend diabli wzięli, jeśli w niecałe trzy dni marny odwalić przygotowania startowe przewidziane na osiem dni. A to wylądowanie tego, co już było w ładowni... i nawet nie powiedzą, o co tu w ogóle chodzi. To tak samo gówniane jak ścinanie zakrętów... Wiadomo do czego wówczas dochodzi!

— Wiem, wiem — powiedział kolega. — Siedziałem tu, na tym samym krześle, kiedy rozwalił się *Challenger*. Zapamiętaj moje słowa, przy takiej presji startowej pewnego dnia może się znowu stać coś podobnego...

Rosita musiała się poruszać, a więc wyjść poza zasięg głosów. Szła powoli wzdłuż pulpitów, aż...

— Proszę pani!

Nie odwracała głowy, szła dalej.

— *Señora!*

Rosita zatrzymała się i spojrzała na technika ze słuchawkami na szyi.

— *Si, señor?*

— Zapomniała pani o mojej popielniczce.

Obdarzyła go najgłupszym spojrzeniem, do jakiego tylko była zdolna.

— *Señor?*

Podniósł ją i trzymał, pełną niedopałków.

— Popielniczka. Przeoczyła ją pani. *Comprende?* Spojrzała na niego z udanym przerażeniem.

— *Och, si, señor*. Bardzo przepraszam. — Wzięła od niego popielniczkę i opróżniła ją do plastikowego worka, a następnie dokładnie wytarła do czysta i postawiła z powrotem koło jego łokcia.

— *Gracias* — powiedział.

Skinęła głową i poszła wzdłuż przejścia, starając się nie słyszeć, ja' mruczy „głupia Meksykanka”, kiedy się tylko odwróciła. Ekipa sprzątaczek uwinęła się z robotą szybciej niż zazwyczaj, stosując się do błagalnego *Undele, undele!* nadzorcy.

Ukończywszy nocną zmianę Rosita pojechała autobusem do walącego się szkieletowego budynku na peryferiach Orlando, gdzie mieszkała. Nie dbając nawet, by się przebrać, natychmiast zamknęła się w sypialni. Wyjęła elektryczną kasetową maszynę do pisania n' baterie marki Smith-Corona.

Technik z bunkra kontroli mylił się podwójnie. Rosita nie była głupia; nie była też Meksykanka. Pochodziła z Kuby. Przed wielu laty, kiedy była małą dziewczynką, jej ojca i brata zamęczono

w kazamatach reżymu Juana Battisty. Uciekła z matką w góry Sierra Maestra, gdzie znalazły schronienie w bandzie oberwańców dowodzonych przez młodego lekarza rebelianta, który nazywał się Fidel Castro. Nic dziwnego, że po upadku Battisty stała się komunistką do szpiku kości. Szpiegowanie dla sprawy było zaszczytem. Pochylona nad maszyną, wystukała po hiszpańsku informację:

**Wzmrożona aktywność w bunkrze startowym w Cape. Rozmowy wskazują przyśpieszenie dotychczasowego programu startu. Start prawdopodobnie w ciągu 72 godzin. Jedyna rakietą na wyrzutni to wahadłowiec *Constellation*.**

#### **Lilia Wodna**

Wybrała sobie taki kryptonim kodowy, nawiązując ironicznie do udanej farsy, jaką była jej ucieczka morzem z Kuby na Florydę.

Spojrzała na zegarek. Miała niewiele czasu. Pośpiesznie przebrała się, przewinęła kasety, wyjęła ją z maszyny i włożyła do puderniczki z podwójnym dnem.

Wyszła z domu i złapała autobus jadący przez Orlando, gdzie przesiadła się do ekspresowego autokaru dowożącego pasażerów na lotnisko. W porcie lotniczym Orlando usiadła na ławce koło sklepu z upominkami. Wyjęła puderniczkę, zaczęła przyglądać się swojej twarzy w lusterku oraz — swojemu zegarkowi. W odpowiednim momencie zamknęła puderniczkę i położyła obok siebie na ławce; dokładnie w chwili, gdy obok siadała wytworna meksykańska dama o arystokratycznym wyglądzie. Następnie odeszła, a nowo przybyła podniosła puderniczkę, dokładnie obejrzała w jej lusterku swe szerokie kości policzkowe i starannie zrobiła sobie makijaż. Przez moment latynoska piękność przyglądała się z satysfakcją swemu dziełu, następnie wrzuciła puderniczkę do torby podróżnej i wstała, żeby złapać lotniskowe metro do bramy meksykańskich linii lotniczych.

Jeszcze tego samego dnia wiadomość przekazana przez Rositę została zaszyfrowana i skierowana z ambasady sowieckiej w Mexico City na wyczekującą wieści antenę satelitarną budynku oznaczonego numerem dwa przy placu Dzierżyńskiego w Moskwie.

## Dzień drugi

*Dzień 2., 5:50 czasu Greenwich, 8:50 miejscowego* **Tankowanie w powietrzu nad Morzem Barentsa**

Major Felix Griggs — radiowe hasło wywoławcze: Kocur —\ obserwował, jak wskazówka paliwomierza podpełza do górnego skraju skali. Kiedy minęła kreskę sygnalizującą pełny bak, powiedział:

— To byłoby na tyle, wyłączaj.

— Zrozumiałem — odpowiedział operator wysięgnika z KC-10, wyciągając aluminiowy przewód z otworu paliwowego usytuowanego tuż przy kabinie ogonowej Blackbirda.

Parę galonów mieszanki JP-7 wyciekło z przewodu i spływało teraz po czarnym, pokrytym warstwą tytanu kadłubie samolotu, lśniąc w porannym słońcu. Nie było niebezpieczeństwa pożaru — wykluczała to niska temperatura panująca na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, tym bardziej że JP-7 ma wyższą temperaturę zapłonu od standardowej mieszanki JP-4. Strumieniowo-turboodrzutowe silniki Blackbirda wymagają bowiem bardzo szczególnej „diety”.

Operator paliwowy pomachał ręką ze swej gondoli podwieszanej pod kadłubem KC-10.

— Bierz się za nich, Kocurze. Pomyślnych łowów. Do zobaczenia niebawem.

— Zrozumiałem. Dzięki. Kocur się wyłącza.

Griggs przyglądał się, jak wielki KC-10, zbiornikowa wersja cywilnego DC-10, ciężko odchodzi kursem 000, dokładnie na północ, żeby tam — latając po wydłużonym prostokącie — oczekiwać na ponowne spotkanie, jakie sobie wyznaczyli za parę godzin. Następnie nakierował swego SR-71 na kurs sto sześćdziesiąt dziewięć stopni, podczas gdy specjalista od rekonesansu elektronicznego w tylnej kabinie zajął się sekstansem automatycznym i chronometrem nawigacyjnym na swym pulpicie sterowniczym. Najważniejsza w ich misji była idealnie zgrana w czasie, precyzyjna nawigacja. Musieli wspólnie pracować, żeby ją uzyskać.

Obu ich dowódca wyrwał z łóżka w środku nocy, polecając stawić



• natychmiast na odprawę w bazie RAF-u w Mildenhall. W godzinę, <sup>Si</sup>ami<sup>ast</sup> przewidzianych regulaminem pięciu, udało im się opracować <sup>Z</sup>lan misji- Następnie wzięli dupy w troki i polecili spotkać się samolotem cysterną nad Morzem Barentsa.

Nie powiedziano im, czemu służy ta misja, ale nie było w tym niczego niezwykłego. Poinformowano ich tylko, dokąd i kiedy mają **Dolecieć** i co zrobić. Co i kiedy, tym Griggs nie musiał się kłopotać. Resztki sennosci ulotniły się natychmiast, gdy dowiedział się na odprawie — dokąd.

Ich Blackbird miał wlecieć głęboko w sowiecką przestrzeń powietrzną.

Na razie od wybrzeża rosyjskiego dzieliło ich jeszcze pięćset siedemdziesiąt pięć kilometrów. Znajdowali się na zachód od Nowej Ziemi, długiej bezludnej wyspy, wetkniętej niby sowiecki palec w Morze Barentsa. Griggs i jego spec od wywiadu często już zapuszczali się od strony Finlandii na samą granicę Związku Sowieckiego, a nawet odrobinę dalej, albo przelatywali nad bazą okrętów podwodnych w Polarnym — robiąc zdjęcia umieszczonymi na bokach Blackbirda kamerami o skośnych soczewkach, a przy złej pogodzie posługując się radarem pokładowym. Ale wszystko, co robili dotychczas, sprowadzało się do pogranicznego sondażu. Głęboka penetracja to było jednak coś całkiem innego. Zwłaszcza że wypełnienie misji wiązało się z przelotem nad urządzeniami obrony przeciwlotniczej zaliczanymi do najtrudniejszych do sforsowania na świecie. „Bombowo!” — pomyślał Griggs i zakomenderował:

— Rozmawiaj ze mną, Przystojniaku!

Siedzący z tyłu „Przystojniak”, kapitan Thomas Floyd, sprawdził już działanie sekstansu śledzącego automatycznie wybrane gwiazdy oraz chronometru i właśnie wprowadzał dane do komputera pokładowego.

— Przejdź na jeden-siedem-jeden i przyspiesz do sześciuset węzłów. Mniej więcej za czterdzieści sekund osiągniemy pułap wyjściowy.

Zrozumiałem — potwierdził Griggs. Floyd raz jeszcze sprawdził dane dotyczące lotu. Nie musiał <sup>yc</sup> stypendystą Rhodesa, żeby zdawać sobie sprawę, że wysłano jch w elektronicznej misji szpiegowskiej, by dokonali podsłuchu Jakiegoś rosyjskiego statku kosmicznego. Zapewne chodziło o zdalne amierzenie któregoś satelity. Zagadkowe wydawało mu się tylko, <sup>zc</sup> musiał go podsłuchiwać nad Permem, zapuszczając się na ponad ysiąc kilometrów w głąb sowieckiego terytorium. Zazwyczaj Rosjanie, podobnie jak Amerykanie, przesyłali dane telemetryczne <sup>na</sup> <sup>ze</sup>mię za pośrednictwem sieci satelitów przekąźnikowych, niekarnie, w niemożliwych do przewidzenia odstępach czasu. W tej <sup>ls</sup> Ji natomiast dowódca kładł nacisk na ściśle określony moment

transmisji. Wyglądało na to, że nie ma w tym po prostu w ogóle sensu. „Dajmy temu spokój — pomyślał Floyd — spróbuj skoncentrować się na tym, co mamy zrobić. Trzeba zapomnieć

o Ruskich, z ich dziewięcioma tysiącami pocisków ziemi—powi-rze, dwoma tysiącami dwustoma myśliwcami przechwytyjąc

1 dziesięcioma tysiącami radarów przeciwlotniczych. Może zwrócić uwagi na taką drobnostkę jak wtargnięcie Blackbirda tysiąc kilometrów w głąb ich obszaru?"

— Na mój znak wejdź na pułap wyjściowy! — zakomenderował Floyd.

— Zrozumiałem — odpowiedział Griggs.

— Trzy... dwa... jeden... teraz! Pomimo potężnej mocy silników niełatwo przekraczać barie dźwięku samolotem tak dużym jak SR-71. Toteż piloci Blackbirdów stosują specjalny manewr, by je rozpędzić do prędkości naddźwiękowej, zarazem oszczędzając paliwo. Griggs włączył na cały regulat dławienie obu silników i położył samolot w płytkim locie nurkowy. Nurkowanie w połączeniu ze zwiększeniem siły ciągu gwałtownie przepchnęło wskazówkę machometru w strefę naddźwiękową. N stopniowo przyciągnął do siebie drążek sterowy, kierując nos samolotu niemal prosto w górę. W rezultacie owego „pijackiego" manewru samolot szpiegowski wzbijał się w niebo w niewiarygodnym tempie, jak pocisk wyrzucony z procy.

Obaj mężczyźni, obserwując coraz szybsze wirowanie wskazówki wysokościomierza, czuli, jak wzrasta ciśnienie w ich pomarańczowych kombinezonach kosmicznych.

*Dzień 2., 6:10 czasu Greenwich, 9:10 miejscowego* **Ośrodek Ostrzegania Obrony Sowieckiej Przestrzeni Powietrznej, Magnitogorsk**

— Nie zidentyfikowany samolot, sektor siedemnasty-D, zbliża się do wybrzeża kursem południe-południowy wschód... Wysokość piętnaście tysięcy metrów i dalej się wznosi... szybko... Co o tym myślicie, towarzyszu pułkowniku? — spytał kontroler radaru.

Patrząc na projekcję mapy z posterunku w bocianim gnieździe, pułkownik Walery Leonów z sowieckiej obrony powietrznej powiedział przez telefon:

— Nie ma się nad czym zastanawiać. Przy tej szybkości i tempie wznoszenia musi to być jeden z tych ich SR-71. Nie ma sprawy. Prawdopodobnie już niedługo skróci na zachód i skieruje się ku półwyspowi Koła.

Leonów domyślał się, że wyrzutnie pocisków ziemi—powietrze

Amchangielsku i Peczorze już namierzyły samolot i mają gotowe systemy celownicze komputerowe. Ale która bateria wystrzeliła pocisk SA-5 w cel, którego jeszcze nigdy nie udało się trafić? Kiedy dochodziło do zmarnowania pocisku, rozbudowana sowiecka machina

biurokratyczna żądała szczegółowych uzasadnień na piśmie. Był to rodzaj kłopotów nie do pojęcia dla ludzi z Zachodu. Gdy przed laty mała Cessna, pilotowana przez zachodnio-niemieckiego nastolatka, wylądowała na placu Czerwonym, spowodowała to w dowództwie obrony sowieckiej przestrzeni powietrznej czystkę nie spotykaną od czasów Stalina. Zdegradowano i wyrzucono z lotnictwa wszystkich — od generała po zwykłego kapitana. Po tym zamieszczeniu dowódcy baterii przeciwlotniczych rozglądali się za celem, za jakimkolwiek celem, w który mogliby wystrzelić pociski. Oficerom z Ośrodka Ostrzegania powiedziano wówczas, żeby przestali się „pieprzyć z robotą papierkową” i wreszcie coś — cokolwiek — zestrzelili. Właśnie w owym zwariowanym okresie jacyś nadgorliwcy skutecznie bronili ojczyzny przed dwoma balonami meteorologicznymi, które wiatr przyniósł z Norwegii nad półwysep Kola. Wtedy też zmarnowano całe tuziny pocisków, próbując zestrzelić samoloty SR-71 penetrujące północne wybrzeże. Ale powoli wszystko wróciło do normy. Biurokratyczne wymogi zaczęły na nowo obowiązywać, toteż dowódcy nie mieli ochoty narażać się na śledztwo z powodu balonów meteorologicznych. Presja z góry, by nie marnować pocisków, stała się tak silna, że nikt nie chciał ryzykować, jeśli nie miał pewności, że nie chybi. Pułkownika Leonowa doprowadzało do szału, że Blackbirdy mogły bezkarnie bawić się w berka wzdłuż ojczyźnianego wybrzeża, a obrona powietrzna była bezradna. Zasięg najlepszych pocisków ziemia—powietrze w sowieckim arsenale nie przekraczał pułapu trzydziestu kilometrów. A te pieprzone Blackbirdy potrafiły latać pięć kilometrów wyżej. Pociski SA-5 z głowicą konwencjonalną nie stanowiły dla nich zagrożenia. Jedynym sposobem, w jaki można by któregoś z nich dosięgnąć — zakładając, że nie udaremniłaby tego chroniąca taki samolot osłona elektroniczna — było przecięcie mu drogi przez myśliwiec przechwytyjący o wysokim pułapie, wyposażony w pociski powietrze—powietrze. Ale nawet wówczas — niewielka istniała szansa trafienia. Gdyby pocisk zbliżał się do Blackbirda czołowo, ich wzajemna prędkość przeszła ośmiu tysięcy kilometrów na godzinę, zbyt duża dla systemu samonaprowadzania na cel; nie szyłyby dostatecznie szybko zareagować. Gdyby zaś próbować atakować Blackbirda od ogona, trzeba by podejść cholernie blisko, gdyż Blackbirdy nie dały się pociskowi dogonić, a nawet mu uciec. Tym słowem, upolować go można by jedynie z myśliwca od dołu



lub z boku. Ale żeby to zrobić, musiałyby się wiedzieć dokąd Blackbird zdąży i zacząć się na niego. Leonów nie pojęcia, dokąd leci samolot, więc nie wchodziło to w rachubę.

Można było od tego całkiem zbzikować.

Należało wszakże dać jakoś do zrozumienia tej kapitalistycznej świni, że jest obserwowana.

— Zaalarmuj Jedenasty Pułk Myśliwców Przechwytyjących w Aj. changielsku — wydał rozkaz. — Jeśli zawróci na zachód, w kierunku półwyspu Kola, będziemy przynajmniej mogli go ostrzelać.

— Natychmiast, towarzyszu pułkowniku.

*Dzień 2., 6:15 czasu Greenwich, 9:15 miejscowego* **Blackbird**

Na pułapie dwudziestu trzech kilometrów Griggs poluzowa dźwignie gazu i lekko popchnął drążek do przodu, żeby wyrównać lot przed ostatecznym nabraniem wysokości i wielkiej szybkości.

— Jak samopoczucie, Przystojniaku?

— W normie. Kocurze. Gotów pójść maksymalną?

— Gotów! — potwierdził z mocą Griggs. Major Felix Griggs nieprzypadkowo posługiwał się akurat tą radiowym hasłem wywoławczym. Naprawdę miał w sobie c, z kocura, żyłasty i wysportowany, z górną wargą pokrytą szczecinią tym wąsikiem. Natomiast kapitan Thomas Floyd stanowił przeczenie swojego: brzydząca twarz trudno byłoby sobie wyobrazić Niemniej, z trudnych do wytłumaczenia powodów, cieszył się sporym powodzeniem u kobiet.

— Dobrze... dobrze... — mruczał nerwowo Floyd, śledząc odcz automatycznego sekstansu i chronometru nawigacyjnego. — Dobrze... dobrze... dobrze... teraz! Daj mu ostrogi, Kocurze!

— Zrozumiałem.

Griggs pchnął dźwignie sterowania silnikami do przodu, otwierając obie przepustnice do końca; stożkowe otwory wlotowe silników General Electric J-58 zaczęły pulsować, chwytając powietrze. Miał to na celu zapewnienie dopływu powietrza do silników w odpowiedni sposób, tak by z turbinowych dwuprzepływowych przekształciły w odrzutowe strumieniowe. Sprężone powietrze eksplodujące w mieszance JP-7 w komorach spalania dawało łącznie dwadzieś dziewięć ton ciągu, rozpędzając Blackbirda do szybkości bliszc dwukrotnie większej niż ta, jaką rozwija naddźwiękowy Concorde.

SR-71, wyprodukowany w słynnych „skunksich” zakładach Lock-heeda, przypominał wyglądem czarną zakapturzoną skrzydlatą kob Od początku otaczała go tajemnicza atmosfera. Żadna z mas

akiedykolwiek latały w powietrzu, nie mogła się z nim równać osiągnięciami w zakresie szybkości i pułapu. Tylko trzydzieści dwa samoloty tego typu zbudowano na początku lat sześćdziesiątych, były, w każdym sensie, egzemplarzami jedynymi w swoim rodzaju — nie tylko z uwagi na swe wyjątkowe możliwości, ale też dlatego, że nie istniały już specjalne obrabiarki, za pomocą których je skonstruowano. Polecił je zniszczyć sekretarz obrony Robert McNamara, żeby SR-71 nie mógł konkurować o fundusze z faworyzowanym przez niego projektem bombowca FB-111. Trzeba wszakże oddać sprawiedliwość McNamarze, że bombowiec typu FB-111 byłby nieocenionym nabytkiem amerykańskich sił powietrznych na wypadek, gdyby doszło do wojny... z Kanadą...

Griggs i Floyd skoncentrowali uwagę na przyrządach. W skupionym milczeniu zbliżali się do rosyjskiej linii brzegowej. Gdyby dopisało im szczęście, mieli zrobić rundę liczącą dwa tysiące czterysta kilometrów i opuścić sowiecką przestrzeń powietrzną za niespełna pięćdziesiąt pięć minut.

Na skraju stratosfery Griggs, wyrównując lot po raz ostatni, zauważył, że niebo się ściemnia. Nadał samolotowi największą szybkość — było to jak puszczenie galopem konia pełnej krwi.

SR-71 rozwijał teraz prędkość kuli karabinowej.

*Dzień 2., 6:30 czasu Greenwich Intrepid*

To były najtrudniejsze godziny w jego życiu. Nie działo się nic, absolutnie nic. Mógł jedynie siedzieć i czekać. Był już o krok od sukcesu, kiedy jedna strzaskana plastikowa płyta rozdzielcza obróciła jego nadzieje wniwecz. To mogło załamać nawet Lodowca.

Jadł niewiele, poddając rehydratacji w spizarni sproszkowaną zamrożoną żywność. Ale prawie nie miał apetytu.

Powstrzymywał się, by nie sprawdzać, czy ciała Mulcaheya i Rodriqueza nadal unoszą się w komorze śluzu powietrznej; przecież wiedział, że obaj są martwi. Czas spędzał głównie w fotelu dowódcy, obserwując odwrócony horyzont i starając się nie myśleć o *Constellation* na wyrzutni w Ośrodku Kennedy'ego. Czy wyślą ją stamtąd na orbitę geostacjonarną? Miał nadzieję, że nie. Liczył na to, że po ostatniej wiadomości informującej o pożarze są przekonani, iż cała załoga nie żyje. Nie zaryzykują skierowania wahadłowca tuż koło Miami, by aby to decyzja polityczna, a żaden polityk, pomny losu *Challenger*, nie byłby na tyle szalony, by ryzykować kolejną katastrofę nad tym miastem. „Na pewno wyślą statek ratowniczy z Vanden-8 powtarzał sam sobie. — A to wymaga czasu”.

Zmuszał się, żeby nie spoglądać na zegar. Kiedy przelatywał nad Irkuckiem, nie uruchomił nawet nadajnika. Wiadomość z ziemi była! krótka: „Pozostań na orbicie. Pracujemy nad rozwiązaniem problemu. Skontaktujemy się z tobą nad Permem”. *Intrepid* przechodził właśnie nad lodową czapą Arktyki. Będzie mógł z nimi rozmawiać za jakieś dwanaście minut.

**Dzień 2., 6:30 czasu Greenwich, 9:30 miejscowego Ośrodek Ostrzegania Obrony Sowieckiej Przestrzeni Powietrznej**

Gdyby komuś dane było porównać sowiecki Ośrodek Ostrzegania; w Magnitogorsku i główną kwaterę NORAD-u w górze Cheyenne, i byłby zdumiony, jak podobnie zostały urządzone. W obu w ogromnej; głównej sali, zdominowanej wielkim ekranem projekcyjnym, stały nie kończące się rzędy pulpity kontrolnych. W obu były bocianie gniazda, z których nieustannie doglądał wszystkiego dyżurny pułkownik, odpowiedzialny za wszelkie „robaczki”, czyli nie zidentyfikowane samoloty czy rakiety. Było jeszcze jedno podobieństwo: tak jak kierująca misją CSOC działała odrębnie, poza górą Cheyenne, tak samo sowiecki Ośrodek Ostrzegania funkcjonował niezależnie od kaliningradzkiego Centrum Kontroli Lotów. Nic też dziwnego, że wobec całkowitego utajnienia operacji podjętej przez Woronckiego i Kostiaszaka nawet pułkownik Leonów w bocianim gnieździe w Magnitogorsku nie zdawał sobie sprawy z tego, że Blackbird zdąży na spotkanie z orbitującym wahadłowcem. Dla niego były to po prostu dwa niezależne od siebie obiekty.

Leonów — osobnik w średnim wieku, ze strzeżoną falującymi siwymi włosami i lekką skłonnością do nadwagi — studiował z uwagą mapę półkuli północnej, przedstawiającą Związek Sowiecki i Amerykę Północną otaczające wianuszkami lodową czapę Arktyki. Pokręcił tarczą na swym pulpicie, uzyskując na ekranie powiększenie fragmentu mapy Rosji na zachód od Uralu. SR-71 widoczny był tani jako biały punkcik zdążający na południe.

Leonów drapał się po podbródku. Przeloty Blackbirdów zdarzały się rzadko. Domyślał się, że samolot wysłano po to, by zdobył dane, których nie były w stanie uzyskać amerykańskie satelity szpiegowskie. Nie wiedział o co tak naprawdę chodzi, ale to nie była jego sprawa. Z paru znanych mu raportów o poprzednich przelotach wiedział, że Blackbirdy nigdy nie opuszczały sowieckiej przestrzeni powietrznej w tym samym punkcie, w którym w nią wchodziły. Ten wszakże — wbrew oczekiwaniom Leonowa, nie skręcił na zachód ku półwyspowi\* Kola. Przeciął linię wybrzeża nie opodal Nowej Ziemi i zdążył dalej'

niemal dokładnie na południe. Jeśli utrzyma ten kurs, z pewnością już będzie już mógł skrócić na zachód, bo wszedłby w zasięg antyrakiet przeciwlotniczej obrony Moskwy. Dysponowała ona pociskami balistycznymi typu Galosz, które mogłyby zagrozić nawet Blackbirdowi. Gdyby zaś poleciał dalej na południe, dotarłby do Afganistanu, do którego ponownie wkroczyły wojska sowieckie. Mówiąc najłagodniej, taki cel podróży byłby nieprawdopodobny. Na pewno nie zamierzał też wylądować w sąsiednim Iranie, od dawna wrogo nastawionym do Stanów Zjednoczonych. Może więc zdążył do Chin, Pakistanu albo któregoś z państw arabskich nad Zatoką Perską? Byłby to precedens, w żadnej bowiem z poprzednich misji z udziałem Blackbirdów nie wykorzystywano terytoriów tych krajów. Wydawało się więc najbardziej prawdopodobne, że SR-71 skieruje się bardziej na południowy zachód i wyląduje w Turcji, należącej do NATO. Albo też zawróci na północ, by ponownie zatankować paliwo w powietrzu.

Leonów uważnie dokonał inspekcji przestrzeni powietrznej nad Morzem Barentsa. Nie było tam jednak żadnego innego „robaczka” poza tym, który oddalał się z wolna w kierunku Spitsbergenu. Pozostałymi punkcikami na ekranie były rosyjskie samoloty wojskowe lub cywilne. Podniósł słuchawkę telefonu na swym pulpicie kontrolnym i połączył się z operatorem radaru, który pierwszy go zaalarmował.

— Ten robaczek kierujący się na Spitsbergen. Czy zidentyfikowaliście go? — zapytał.

. Tak jest, towarzyszu pułkowniku. To bez wątpienia tankowiec. Śledziliśmy dwa robaczki, które zwały się w jeden obraz radarowy, a następnie znów się rozdzieliły. Jednym z nich był właśnie amerykański Blackbird.

„ ~ Hm... Czy są jeszcze jakieś inne tankowce na wschód od Spitsbergenu?

~T7 Nie, towarzyszu pułkowniku — odpowiedział operator. —

ylko to, co widzicie na mapie. Po) WłC nie kyo na d morzem żadnych innych obiektów, poza pojedynczym tankowcem. Dotychczas, jeśli jakiś SR-71 zawracał na Morz C, Zawsze korzystał z dwóch samolotów cystern — jednego nad em Barentsa i drugiego, krążącego nad Morzem Łaptiewów. n emal SZero^TM ^cn rozstawieniu mógł opuścić sowieckie terytorium u\_w .w dowolnym punkcie wybrzeża północnego. A wzięwszy pod uwagę Je^o szyDk^óś> ^e sposób było obstarwić całej linii brzegowej, P^nowP^rzy ta^ 0S^romn^ch możliwościach obronnych, jakimi dys-utwierał ., ^w^3^ek Sowiecki. Brak drugiego tankowca na północy ^aia d^ ^e onowa w przekonaniu, że obserwowany Blackbird

Leonów wyciągnął spod pulpitu binder o trzech przycisk i połączył się z sekcją, której podlegał Siedemdziesiąty Siódmy Myśliwców Przechwytyjących w Tbilisi przy granicy tureckiej, wreszcie sposobność, na którą czekał. Teraz, podniecony, mełł do siebie przekleństwa pod nosem. Pułk ten dysponował wymyślnymi samolotami pościgowymi MiG-29, uzbrojonymi w średniego zasięgu kierowane radarem pociski AA-10 oraz kierowane za pomocą termolokacji pociski bezpośredniego rażenia Afid. Nie miało się wysyłać ich przeciwko Blackbirdowi. Ten pieprzony samolot s~owski był na to za szybki i leciał zbyt wysoko, poza ich zasięgi. Byłaby to strata czasu. Połączył się z inną sekcją, gdzie sprawa wyglądała bardziej obiecująco. Jedenasty Pułk Myśliwców Przechwytyjących z Archangielska, który Leonów już wcześniej zaal mował, dysponował myśliwcami pościgowymi MiG-31, uzbrojonymi w kierowane radarem pociski dalekiego zasięgu AA-9.

Pułkownik zastanawiał się chwilę, potem spojrzął na mapę. SR-nadal pędził na południe nad Rosją, natomiast tankowiec *İ* Morzem Barentsa zmienił kurs, zawracając ku południowi. Hm... cóż miałby to robić, gdyby Blackbird leciał do Turcji? Może jedn choć szansa była mała, szpieg miał wracać tam, skąd przyb Wówczas, czemu nie, chyba udałoby się zgotować mu całki' sprytną niespodziankę. Nacisnął guzik, przyzywając oficera łącznie

— Na rozkaz, towarzyszu pułkowniku!

— Dajcie mi dowódcę eskadry przechwytyjących z jedenast;' tej, którą postawiliśmy w stan pogotowia.

*Dzień 2., 6:34 czasu Greenwich, 9:34 miejscowego* **Blackbird**

Griggs spoglądał to w dół, na widoczną krzywiznę Ziemi, to zn w górę, na ciemne niebo, na którym pojawiły się gwiazdy. Lot skraj stratosfery zawsze obfitował w spektakularne widoki. Wie' wszakże, że ten z tyłu je ignoruje. Czy ma wlepione w przyrządy

— Jak wygląda sytuacja, Przystojniaku? — spytał.

— Jak dotąd, całkiem nieźle — odparł Floyd. — Zobaczyli i śledzą radarami, także z wyrzutni, odkąd minęliśmy linię wybr" ale dotychczas nikt jeszcze nie wystrzelił pocisku. Czteryście osi[ dziesiąt kilometrów do celu. Włączyłem już czujnik zwiadu eleki nicznego.

— Zrozumiałem.

Kiedy leci się z prędkością sześćdziesięciu czterech kilometrów minutę, czterysta osiemdziesiąt kilometrów to dystans niewielki, nawet SR-71, choć był najszybszym na świecie samolotem latają

atmosferze, do którego należał oficjalny światowy rekord prędkości \* noszący trzy tysiące czterysta dziesięć kilometrów na godzinę

także nieoficjalny wynoszący cztery tysiące sto dziewięćdziesiąt siedem kilometrów na godzinę) był nieporównanie powolniejszy niż *Intrepid*, pędzący po orbicie z szybkością dwudziestu siedmiu tysięcy kilometrów na godzinę. Kiedy znajdują się nad Permem, wahadłowiec błyskawicznie pozostawi Blackbirda daleko w tyle. Toteż „okienko czasowe” na dokonanie podsluchu było, mimo wszystko, bardzo niewielkie.

*Dzień 2., 6:42 czasu Greenwich Intrepid*

Lodowiec uruchomił globalny system ustalania pozycji i stwierdził, że znajduje się w zasięgu stacji. Włączył mikrofon.

— Halo, Centrum Kontroli Lotów, tu *Intrepid*, czy mnie słyszycie? Odbiór... Halo, Centrum Kontroli Lotów, tu *Intrepid*, czy mnie słyszycie? Odbiór.

— Tu Centrum, słyszymy cię, *Intrepid*. Słuchaj uważnie. Nasi specje od techniki zbadali problem i uważamy, że znaleźliśmy sposób, żeby cię ściągnąć na dół. Musimy jednak mieć pewność, że wszystkie systemy wahadłowca, poza silnikami hamującymi, funkcjonują prawidłowo.

— Tak, działają. Sprawdziłem je dziesiątki razy. Mogę zrobić wszystko poza przepompowaniem paliwa ze zbiorników OMS do zbiorników RCS. Ale w tych ostatnich jest paliwa pod dostatkiem. Coście wymyślili?

— Słuchaj, *Intrepid*. Wyprodukujemy urządzenie, które pozwoli Przymocować jedną z naszych rakiet na paliwo stałe do ogona twego statku. Wyślemy pojazd towarowy z potrzebnym sprzętem i Sojuza, którego załoga pomoże ci to zamontować. Zrobienie urządzenia ■nocującego potrwa jakiś czas, więc będziemy gotowi do zabrania cię z orbity za cztery do pięciu dni. Dasz radę tak długo wytrzymać?

Lodowiec był bliski śmiechu.

~ Nie podoba mi się to, ale nie mam wyboru. Pięć dni to kawał czasu. Amerykanie mogą próbować coś zrobić. ,

Obserwujemy sytuację w Ameryce bardzo uważnie, *Intrepid*. s esny przygotowani na wszelkie możliwości. Pozostajesz na lci e, ale nie wyłączaj odbiornika. Będziemy cię informowali ro<sub>2w</sub>QJ<sub>u</sub> wY(jarzen j<sub>es</sub>t<sub>es</sub> dzielny człowiekiem, *Intrepid*. Kiedy ^dujesz, zostaniesz odpowiednio uhonorowany. Lodowiec westchnął.

Rozumiem. Kiedy wyląduję. *Intrepid* wyłącza się.

94

*Dzień 2., 6:42 czasu Greenwich, 9:42 miejscowego* **Ośrodek Ostrzegania Obrony Sowieckiej Przestrzeni Powietrznej**

Zadzwoił drugi telefon. Leonów odebrał; trzymał teraz słuchawkę, wki w obu rękach: jedna zapewniała mu łączność z dowódcą eskadry „Psów Gończych” MiG-ów 31 druga z operatorem radaru, który właśnie zatelefonował.

— Towarzyszu pułkowniku, tankowiec zawrócił — powiedział operator. — Leci teraz na wschód, w kierunku miejsca poprzedniego tankowania.

— Bardzo dobrze — szorstko odparł Leonów. Następnie powiedział do drugiej słuchawki: — Słuchajcie, Przewodniku Gończych. Wydaje się, że Blackbird będzie wracał tą samą drogą, jaką przyleciał. Czy rozumieście, towarzyszu, instrukcje, które wam wydałem?

— Zrozumiałem, towarzyszu pułkowniku. Ale jeśli zrobimy to, co nam sugerujecie, nie starczy nam paliwa na powrót do bazy.

— Wiem o tym. Sam jestem pilotem. Nie włączajcie dopalania, dopóki wam nie powiem... A to, co mówię, to nie jakaś „sugestia”. Zrozumiano?

— Zrozumiano, towarzyszu pułkowniku — odpowiedział dowódca eskadry. — Ale pociski wystrzelimy na wasz rozkaz. Znaczyło to, że odpowiedzialność za stronę papierkową spada na Ośrodek Ostrzegania.

— Wciąż jeszcze obowiązują nas rozkazy zestrzeliwania wszelkich samolotów, które pogwałciły sowiecką przestrzeń powietrzną, towarzyszu przewodniku Gończych. Zrozumiano?

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Rozwijam właśnie eskadrę. Pułapka przygotowywana przez Leonowa była całkiem pomysłowa.

SR-71 rozwijał ogromną szybkość, ale przy czterech tysiącach kilometrów na godzinę traci się zwrotność, niełatwo dokonywać zmian kursu. Plan opierał się na dwóch założeniach: na tym, że Blackbird będzie wracał tą samą trasą, po której wtargnął w sowiecką przestrzeń powietrzną, i że będzie leciał z szeroko otwartymi<sup>1</sup> przepustnicami. Osiem myśliwców przechwytyjących rozciągnię<sup>10</sup> w szeregu długości stu pięćdziesięciu kilometrów. Jeśli się okazało, że Blackbird wraca tą samą trasą, wszystkie miały włączyć dopalanie i pędzić na maksymalny osiągalny dla nich pułap dwudziestu czterech kilometrów, przecinając mu drogę. Stamtąd, kiedy już nieprzyjaciel<sup>1</sup> samolot znajdzie się nad nimi, miały wystrzelić pociski powietrze-<sup>1</sup> powietrze. Każdy pościgowiec uzbrojono w cztery AA-9, ale był<sup>o</sup> mało prawdopodobne, żeby zdążyły wystrzelić więcej niż po dw<sup>o</sup> Zasięg pocisków pozwalał na pokonanie końcowych dziesięciu tysiec<sup>o</sup> metrów i ewentualne trafienie SR-71 prostopadle do kierunku je<sup>o</sup>



Nawet tak magiczny samolot jak Blackbird miałby kłopoty ^wyminięciem szesnastu pocisków... Leonów żywił przynajmniej taką nadzieję.

— Towarzyszu pułkowniku! — krzyknął młody operator radaru. Słucham?

Samolot szpiegowski zawraca!

*Dzień 2., 6:46 czasu Greenwich, 9:46 miejscowego* **Blackbird**

Griggs zmniejszył ciąg silników i położył samolot w długi zakręt, zawracając go na północ kursem trzysta czterdzieści dziewięć stopni.

Misję organizowano w takim pośpiechu, że po prostu nie starczyło czasu, by uzgodnić z rządem tureckim wylądowanie Blackbirda w bazie lotnictwa w Encirlik w środkowej Turcji. Nie było również czasu, by wysłać z Alaski drugi latający tankowiec z paliwem JP-7, by stworzyć Blackbirdowi rozmaite możliwości powrotu ponad północno-wschodnim wybrzeżem syberyjskim. Tym razem SR-71 zmuszony był pogwałcić normalną procedurę i wracać tą samą trasą, którą przyleciał.

— Masz coś? — zapytał Griggs.

— Tak — odpowiedział Floyd. — Coś się dzieje na częstotliwości S, na którą polecono nam uważać. Mam nadzieję, że sprawi to komuś satysfakcję. Wyośmy się stąd.

— Niezwykle trafny wniosek. Tylko nie spuszczaaj teraz z oka tablicy zagrożeń! — błagał Griggs.

— Niezwykle trafna uwaga!

Griggs zakończył zwrot i ponownie zwiększył ciąg.

*Dzień 2., 6:47 czasu Greenwich, 9:47 miejscowego* **Ośrodek Ostrzegania Obrony Sowieckiej Przestrzeni Powietrznej**

Operator radaru intensywnie wpatrywał się w pulsujący na ekranie oM<sup>11</sup> amerykański Blackbird wracał tą samą drogą! Prawie ładnie odwrotnym kursem. Może uda się go upolować? ~ Towarzyszu pułkowniku? ~ Tak, wiem. Widzę go na mapie. bia<sup>o</sup>noW<sup>o</sup> p<sup>o</sup>o<sup>o</sup>nosi<sup>o</sup> drugą słuchawkę obserwując, jak duży pulsujący y punkt zbliża się do szeregu mniejszych czerwonych punktów — Reckich myśliwców.

<sup>7</sup> ~ Zdobyć... q7



— Słuchajcie, towarzyszu dowódcu eskadry. Widzę wasze sarnom loty w szyku.

— Zgadza się, towarzyszu pułkowniku — odpowiedział pilot kpiącym tonem.

„Zajmę się tym bezczelnym skurwysynem później” — pomyślał Leonów, ocierając pot z czoła białą chustką do nosa.

— Amerykański samolot szpiegowski zbliża się do waszego stanowiska z południa, kursem jeden-pięć-dziewięć. Mniej więcej za dwanaście minut znajdzie się w zasięgu waszej najdalej na południe wysuniętej maszyny. Jeśli utrzyma obecny kurs, wejdzie, jak to się mówi u nas w marynarce, na trawers wszystkich waszych myśliwców. Włączycie dopalanie na moją komendę.

— Przyjęto do wiadomości, towarzyszu pułkowniku. Postaramy się zrobić mu kuku.

*Dzień 2., 6:57 czasu Greenwich, 9:57 miejscowego* **Psy Gończe**

— Włączyć dopalanie, teraz, już! Dowódca eskadry drgnął, tak głośno zabrzmiał rozkaz w jego słuchawkach. Włączył mikrofon i powiedział:

— Słyszeliście pułkownika, towarzysze. Włączcie dopalacze, ale nie uruchamiajcie, powtarzam: nie uruchamiajcie radarów pokładowych, dopóki nie wejdziemy na dwadzieścia tysięcy metrów. Jeśli mamy upolować tego Blackbirda, musimy go zaskoczyć.

Wcisnął dopalacze, wstrzykujące paliwo bezpośrednio do rury wylotowej pościgowca. Dwusilnikowy samolot zadygotał.

Dowódca eskadry skierował go prosto w górę, wzbijając się tak, jak zalecano to w podręcznikach.

Klasyczna doktryna walk powietrznych nakazuje wzbic się wyżej od przeciwnika, a następnie zaatakować go od strony słońca, zanim zorientuje się, gdzie jesteście. Nowoczesnym, uwzględniającym zaawansowaną technikę niuans jest zalecenie stosowania wówczas radaru i pocisków nim kierowanych. Tym razem wszakże samoloty MiG miały obserwować i ostrzeliwać przeciwnika znajdującego się nad nimi. Kiedy już wzbiją się na dwadzieścia pięć kilometrów, nie będzie można stracić ani sekundy na rozglądanie się za trudnym do dostrzeżenia celem. W wyniku dopalania paliwo szybko się kończyło, a lądowanie myśliwca z wyłączonym silnikiem nie wchodziło w rachubę. Nie pozwalały na to szczątkowe skrzydła. Nadawały się do lotu ślizgowego równie dobrze jak kamień do pływania.

Kiedy przechodzili dwadzieścia kilometrów, na pulpicie sterow-

97

• „ym dowódcy zaczęło błyskać czerwone światło, sygnalizujące "ruchomienie radaru naprowadzającego na cel.

\_ Czy coś się stało, Koldunów? — zapytał.

Siedzący z tyłu oficer raketowy wpatrywał się w ekran monitora. Jeszcze nic, szefie.

Wskazówka wysokościomierza minęła dwadzieścia trzy kilometry.

\_ Mamy go! — krzyknął przez radio podekscytowany głos. —

Tu Gończy Czwarty do Przewodnika. Namierzyliśmy cel!

— Więc strzelaj! Strzelaj! — wrzasnął dowódca.

\_ Tu Gończy Trzeci do Przewodnika. My też go mamy! Atakuję!

Puls dowódcy gwałtownie przyśpieszył. Nigdy jeszcze nie wystrzelił pocisku do rzeczywistego nieprzyjaciela.

*Dzień 2., 6:59 czasu Greenwich, 9:59 miejscowego* **Blackbird**

— O sk...

Griggsowi nie spodobało się brzmienie głosu Floyda.

— Co się dzieje, Przystojniaku?

— Tablica mówi, że prześwietlono nas rentgenem. Wygląda na to, że zbliża się jakiś zbój z radarem doplerowskim... Tak, właśnie nas namierzyli... Hej? A to co znowu?... Ci też nas prześwietlili... i namierzyli... Lecą na nas trzy... nie, cztery pociski. Chryste, ale są blisko! Skąd one się biorą? Włączam suker... O kurwa! Jeszcze jedni! Co się dzieje? Nie podoba mi się to, Kocurze.

Suker to elektroniczne urządzenie do mylenia pocisków, „wykoślawiające" obraz radarowy samolotu i dezorientujące je co do jego aktualnego położenia. To rodzaj elektronicznego brzuchomówcy, potrafiącego stworzyć iluzję, fałszywy obraz Blackbirda o półtora kilometra od miejsca, gdzie znajduje się rzeczywiście.

Większość pocisków wystrzelonych przez Psy Gończe i tak nie zdołałaby dogonić Blackbirda czy choćby jego fałszywego obrazu. Zbyt wielka była szybkość szpiegowskiego samolotu. Tylko niektóre dosięgły skraju „sukerowego upiora" i eksplodowały, ale Griggs<sup>1</sup> Floyd lecieli zbyt prędko, żeby dostrzec dalekie wybuchy.

Dopiero ostatniemu myśliwcowi z czatującego szeregu udało<sup>2</sup> się zagrozić Blackbirdowi. Jego oficer raketowy był świeżo po szkole, dopiero trzeci raz w akcji. W młodzieńczej gorliwości wystrzelił pociski za wcześnie, zanim kierujący je radar zdążył<sup>3</sup> poznać i namierzyć cel. Potem, bezskutecznie, usiłował odzyskać<sup>4</sup> nad nimi kontrolę, co tylko do reszty je zdezorientowało.

W re-

stacie stały się, dosłownie, pociskami zabłąkanymi. Jeden z nich

został się, jak schwyty w potrzask, między Blackbirdem, jego

98

falszywym elektronicznym „widmem” a impulsami radarowymi macierzystego pościgowca, skąd próbowano nim kierować. Owa mnogość docierających do niego elektronicznych sygnałów do tego stopnia zdezorientowała pocisk, że jego zapalnik zbliżeniowy nie wytrzymał i doszło do eksplozji.

Wybuch nastąpił na tyle daleko od Blackbirda, że nie został bezpośrednio trafiony odłamkami. Musiał wszakże przelecieć przez powstałą falę uderzeniową, która zepchnęła go gwałtownie w lewo. Stało się z nim coś podobnego jak z samochodem, który wpadł w poślizg w wyniku pęknięcia opony lewego przedniego koła.

Kiedy samolot zszedł z kursu na lewo, jego kadłub zablokował dopływ powietrza do lewego silnika, który zgasł. Zgodnie z prawami fizyki obu pilotów rzuciło potężnie na prawą ścianę kabiny. Floyd został znokautowany, stracił przytomność.

Griggsa zamroczyło, ale resztką świadomości zdołał delikatnie cofnąć prawą dźwignię sterowania silnikami, jednocześnie mocno naciskając prawy pedał steru, co położyło odrobinę samolot na prawe skrzydło. Był właściwie przekonany, że tak czy inaczej jest już po nich, niemniej szukał szansy ratunku w odpowiednim wyważeniu maszyny.

Blackbird może latać w rozrzedzonej atmosferze na wysokości trzydziestu paru kilometrów, gdyż jego niewiarygodna szybkość napędza do otworów wlotowych w dziobie dostatecznie dużo rozrzedzonego powietrza, by podtrzymać spalanie w strumieniowych silnikach odrzutowych. Bez owego efektu naporu przepływ powietrza byłby za słaby i silniki by zgasły.

Griggs zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, próbując uruchomić na nowo lewy silnik. Bez skutku. Samolot zbyt szybko wytracił już prędkość, żeby się to mogło udać. Pilot wiedział, że niebawem z braku tlenu przestanie pracować i prawy silnik. Żeby więc nie pozwolić mu się zadławić, jeszcze bardziej zmniejszył ciąg. Następnie, kierując się całym swym doświadczeniem i instynktem zawodowym, ustawił odpowiednio samolot; właśnie w momencie kiedy prawy silnik zaczął przerywać, całkowicie wyłączył dławienie. Przez ten czas Floyd doszedł do siebie.

— Ko.-kocurze... co się stało?... O kurwa! Moja głowa!

— Nie przejmuj się tym teraz! — krzyknął Griggs. — Właśnie próbujemy się pozbierać!

Blackbird szedł rozpędem po łuku, rozwijając jeden i dziewięć dziesiątych macha. Pilot wiedział, że nie ma wyboru. Musi sprowadzić samolot niżej, żeby spróbować uruchomić silniki w gęstszej atmosferycznej sferze. W miarę jednak jak schodzili, czuł wzrastający niepokój-

Nurkowanie z naddźwiękową szybkością przy wyłączonym silniku... nad terytorium nieprzyjacielskim było bardziej przerażające wszystko, czego dotychczas doświadczył.

*Dzień 2., 7:01 czasu Greenwich, 10:01 miejscowego* **Ośrodek Ostrzegania Obrony Sowieckiej przestrzeni Powietrznej**

Obraz radarowy Blackbirda zanikł w powodzi obrazów wywołanych przez wybuchające pociski. Ale w końcu biały mrugający robaczek pojawił się ponownie na ekranie i operator stwierdził, że zmniejsza się jego wysokość i szybkość. Najpierw powoli, później coraz prędej.

\_ Towarzyszu pułkowniku! Chyba oberwał!... Spada!

W przestronnej sali zaczęto wiwatować, a najgłośniej cieszył się pułkownik. Udało mu się strącić amerykańskiego Blackbirda. Wygląda na to, że jest szansa na generalskie epolety.

— Gdzie spadnie? — zapytał Leonów. Operator bacznie obserwował ekran.

— Nadal spada. Przymuszczalnie rozbije się gdzieś na północ od Peczory, w Tundrze Bolszeziemielskiej.

— Spróbuj to ustalić najdokładniej, jak potrafisz. Taki wrak może nam zdradzić jakieś sekrety, tak jak kiedyś U-2... pewnie zanim się jeszcze urodziłeś, przyjacielu.

Młody porucznik odwrócił się i uśmiechnął do pułkownika w bocianim gnieździe. Taki sukces! Było z czego się cieszyć.

*Dzień 2., 7:02 czasu Greenwich, 10:02 miejscowego* **Blackbird**

Griggs, zagorzały katolik, modlił się po cichu, Floyd zaś podśpiewywał sobie:

Och, co za gównno, co za gównno, co za gównno...

Samolot stromo nurkował po łuku. Zszedł już na dwadzieścia siedem kilometrów.

Griggs starał się utrzymywać Blackbirda we właściwym wyważeniu. Podczas schodzenia w gęstszą atmosferę. Poniżej piętnastu kilometrów zamierzał otworzyć otwory wlotowe, by wpuścić powietrze na łopatki

uprzępliwowych silników turbinowych. Gdyby utrzymały do-

stateczną liczbę obrotów, udałoby mu się uruchomić na nowo silniki, nie <sup>a lo</sup> <sup>ΛοΛra</sup> strategia, ale mnóstwo rzeczy mogło się nie udać. Jeśli utrzyma dostatecznej prędkości do momentu otwarcia otworów <sup>u</sup> <sup>o;</sup> <sup>ow</sup>ych, silniki mogą nie zapalić.

Niewykluczone, że lewy został <sup>s</sup> <sup>0</sup>dziony podczas ataku — wówczas samolot o jednym silniku i m \*r kulawo <sup>w</sup> zasięgu

zarówno wyrzutni rakietowych, jak ^ysliwów. Ładna perspektywa! n ■ Dobra, Przystojniaku, jesteście, gdzie trzeba — powiedział

'Sgs przez ściśnięte gardło.

Na czternastym kilometrze puścił powietrze na łopatki turb<sup>1</sup> i wduśił oba guziki zapłonu naraz. Kiedy silniki zaskoczyły i zaczęły pracować, poczuli ogromną ulgę. Griggs włączył dławienie na pój gazu, żeby Blackbird nabrał dość mocy do stopniowego wyjścia z lotu nurkowego.

Na razie wciąż opadali — właśnie zesli na dwanaście kilometrów

*Dzień 2., 7:05 czasu Greenwich, 10:05 miejscowego* **Ośrodek Ostrzegania Obrony Sowieckiej Przestrzeni Powietrznej**

Biała pulsująca plamka przestała opadać. Zaczęła się znowu poruszać.

— Towarzyszu pułkowniku! Amerykański samolot szpiegowski

już nie spada... Znowu leci... trochę ponad macha jeden. Leonów poczuł ból w piersi.

— Który sektor?! — krzyknął.

— Czternaście G.

Psy Gończe zawróciły już ku bazie na resztkach paliwa. Poderwanie innych pościgowców do lotu mogłoby potrwać zbyt długo. Pułkownik wcisnął guzik zapewniający połączenie ze 128 Baterią Obrony Przeciwlotniczej w Peczorze.

— Kapitan Widyński — odezwał się natychmiast głos w słuchawce.

— Towarzyszu kapitanie, tu Ośrodek Ostrzegania! Czy macie na waszym ekranie robaczka w sektorze czternastym G?

— Ma się rozumieć — odpowiedział Widyński. — Uważnie śledzimy jego poczynania. Zdaje się, że strzelały do niego jakieś pościgowce.

— Czy macie go w zasięgu?

— *Da.*

— To zajmijcie się nim teraz wy! Natychmiast!

W siedem sekund później cztery pociski dalekiego zasięgu Gammon SA-5 wyjechały z łoskotem z bunkrów otaczających kompleks radarowy o antenowym układzie fazowanym w Peczorze.

*Dzień 2., 7:06 czasu Greenwich, 10:06 miejscowego* **Blackbird**

Na wysokości jedenastu kilometrów Griggs wyrównał lot, b; skontrolować funkcjonowanie systemów przed powrotem w wyższe rejony.

— O cholera!

101

Co się stało, Przystojniaku? \_Znowu nas namierzono... Tak... i wystrzelono pocisk. Tym razem z ziemi. \_Włącz suker! — rozkazał Griggs.

Floyd wciskał przełączniki, ale strzałka wskaźnika ani drgnęła. \_Wygląda na to, że suker wysiadł. Czy i tym razem mamy radę uciec?

\_ Na pewno spróbujemy — odpowiedział Griggs nieswoim głosem.

Na szczęście rozwijali już prędkość naddźwiękową i mogli zastosować „pijacki” manewr. Griggs zwiększył ciąg silników i przyciągnął do siebie drążek. Na tym pułapie mieli około dziesięciu kilometrów przewagi nad zmiernym ku nim pociskiem. Musieli więc wznieść się na wysokość dwudziestu siedmiu kilometrów — stanowiącą kres możliwości Gammona SA-5, zanim ten ich dopadnie.

*Dzień 2., 7:07 czasu Greenwich, 10:07 miejscowego* **Ośrodek Ostrzegania Obrony Sowieckiej Przestrzeni Powietrznej**

Operator radaru z przejściem wpatrywał się w ekran, śledząc, jak migający robaczek popędził w górę, próbując uciec zbliżającym się pociskom.

— Wznosi się, towarzyszu pułkowniku, ale SA-5 go doganiają!

— Dobra, dobra... — powtarzał Leonów, a serce mu łomotało. Młody porucznik zbliżył twarz do ekranu, zafascynowany tym, co

oglądał. Jeszcze nigdy nie widział podobnego wyścigu. Pociski doganiały samolot. Były coraz bliżej...

*Dzień 2., 7:08 czasu Greenwich, 10:08 miejscowego* **Blackbird**

SR-71, wzbijając się, przekroczył dwadzieścia cztery kilometry. Szybko się zbliżają. Kocurze — powiedział Floyd zduszonym 8'osem. — Słyszę cię.

Samolot osiągnął już pułap, gdzie mógł przejść z napędu turniowego na strumieniowy. Griggs docisnął mocno dźwignie gazu.

Ciągle się zbliżają — powtórzył Floyd. Griggs dostrzegł, że wskazówka wysokościomierza przekroczyła 20 tysięcy pięć kilometrów. — "No, dziecinko! Bądź grzeczna. Zaskocz!

*Dzień 2., 7:09 czasu Greenwich, 10:09 miejscowego* **Ośrodek Ostrzegania Obrony Sowieckiej Przestrzeni Powietrznej**

Dwa pulsujące robaczki prawie się zbiegły. Prawie...

Na wysokości trzydziestu jeden kilometrów Blackbird nadal wznosił, natomiast pociski jakby zawisły na parę chwil w miejscu a potem zaczęły opadać.

— Towarzyszu pułkowniku! Amerykański szpieg... wywinął

Leonów nie odpowiedział. Siedział oniemiały, rozmyślając o stos formularzy, które będzie musiał całymi tygodniami wypełniać. Mógł się pożegnać z myślą o generalskich szlifach.

*Dzień 2., 7:45 czasu Greenwich, 10:45 miejscowego* **Tankowanie w powietrzu nad Morzem Barentsa**

Operator wysięgnika sprawnie wetknął aluminiowy przewód otworu paliwowego Blackbirda.

— Gotowe, Kocurze. Zaczynam napełniać. Otworzył zawór. Mieszanka JP-7 popłynęła strugą z KC-10 do\* niemal pustych zbiorników samolotu zwiadowczego.

— No i jak wam poszło?

Griggs był zbyt wyczerpany, by sensownie odpowiedzieć.

— Rutynowo, coś jak zwykły poranny kurs mleczarza... — bąknął.

*Dzień 2., 12:00 czasu Greenwich, 14:00 miejscowego* **Gwiazdne Miasteczko, ZSSR**

Podpułkownik Wasilij Lubinin usiłował wsadzić pręt aluminiowy do otworu w elemencie łącznikowym. Ale nie starczyło mu rozmachu, mimo że wspomagał się urządzeniem manewrowym, które miał na plecach. Czynił rozpaczliwe wysiłki, by pokonać brakujące centymetry. Próbował nawet pomóc sobie w tym kopnięciem, jakże mało skutecznym pod wodą, choć dobrze wiedział, że spotka się<sup>10</sup> z dezaprobatą instruktora nadzorującego ćwiczenie. Zadaniem i<sup>o</sup> struktora było eliminowanie sposobów nie nadających się do efektywnego stosowania w przestrzeni kosmicznej. Na szczęście jeg, kolega z tandemu, major Siergiej Jemitow, pomógł mu wepchnąć\* pręt do otworu i zamocował go, zatrzaszkując klamrę.

— Wielkie dzięki, Siergieju — wysapał Lubinin.

— Tworzymy przecież kolektyw, Wasiliju — odpowiedział J mitów.

Była to prawda. Zbliżała ich na tyle, że major nie wahał się ruszać regulaminu, zwracając się do przełożonego po imieniu. <sup>na</sup>\_\_ W porządku, chłopaki! — odezwał się instruktor. — Cofnijcie „**teraz**” i dajcie popatrzeć, jak wasz wspaniały kolektyw sobie

poradził.

Obaj kosmonauci posłusznie odsunęli się **od** konstrukcji. Poruszali się dość sprawnie pod wodą dzięki odrzutowemu urządzeniu **manewrowemu** — zmodyfikowanej wersji tego, którego używano w **przestrzeni** kosmicznej. Ich drogę znaczyły wydobywające się z niego **fontanny**” sprężonego azotu. Wprawdzie w wodzie człowiek rusza się **wolniej** i bardziej nieporadnie niż w próżni, niemniej była to najlepsza **forma** symulacji, jaką można uzyskać w warunkach **ziemskich**. Znajdowali się w ogromnym basenie, wielkości połowy Madison Square Garden. Od godziny montowali tam z aluminiowych **elementów** dużą kopułę geodezyjną. Kiedy wreszcie sowiecka **platforma** Wojen Gwiezdnych zostanie skonstruowana, trzeba ją będzie złożyć na orbicie z pojedynczych elementów. Przygotowaniu do tego służyło właśnie ćwiczenie, jakie odbywali.

Odpłynąwszy do tyłu i ku górze mogli podziwiać rezultat swej pracy z odpowiedniej perspektywy. Złożyli kopułę szybko i precyzyjnie, **pracując** niemal przez cały, ograniczony pojemnością aparatów tlenowych czas, jaki mieli do dyspozycji. Teraz uśmiechali się do siebie przez szyby plastikowych hełmów.

Sowieckich kosmonautów szkolono znacznie bardziej wszechstronnie — włączając w to i wspomniane składanie konstrukcji pod wodą — **niż** astronautów amerykańskich. Były po temu dwa powody. Po **pierwsze**, podstawowy amerykański statek kosmiczny, wahadłowiec, wymagał **o** wiele bardziej skomplikowanego pilotowania niż sowiecki Sojuz, toteż nauka pilotażu promu zajmowała Amerykanom większość czasu przeznaczanego na szkolenie. Po drugie, część modeli typu Sojuz mogła unieść tylko dwóch ludzi — nie było w nich **P°** **prostu** miejsca dla specjalisty pokładowego. Dlatego właśnie **Dubin** i Jemitow spędzali dużo czasu w wielkim zbiorniku treningowym, przygotowując się do pracy w próżni, poza statkiem **Kosmicznym**. Przyjdzie dzień budowy własnej, ojczystej platformy

°jen Gwiezdnych — wtedy będą gotowi.

"~ Znakomita robota, towarzysze — skomentował instruktor. — °z°cie teraz wyjść ze zbiornika i trochę sobie odpocząć. , waj mężczyźni ponownie uśmiechnęli się i podążyli ku brzegowi <sup>na</sup>^<sup>Senu</sup>. W ogromniastych kombinezonach kosmicznych wyglądali wi <sup>^</sup>toty z innego świata. Przy ścianie zbiornika wsiedli na platformę **y** i pomagając sobie nawzajem zrzucili z pleców urządzenia dz<sup>^</sup> <sup>manewrowe</sup>. Kiedy już leżały u ich stóp, Lubinin powie-



— Jesteśmy gotowi. Wyciągajcie nas.

Instruktor nacisnął przełącznik na pulpicie i obciążona kosmonautami platforma wynurzyła się z wody. Obaj mężczyźni stęknęli kiedy znowu, po godzinie z okładem, poczuli ciężar swych ubiorów.

Technicy pomogli im zejść z platformy na rusztowanie, gdzie zdjęto im hełmy. Przechodząc z oddychania czystym tlenem na normalną mieszankę azotowo-tlenową kosmonauci poczuli się lekko oszołomieni. Personel w białych kitlach przystąpił właśnie do rozpinania i zdejmowania kombinezonów, kiedy w drzwiach pojawiła się głowa instruktora.

— Lubinin i Jemitow. Właśnie był telefon. Generał Popów chce was zaraz widzieć w swoim biurze.


Kosmonauci spojrzeli po sobie. Jemitow nawet wzruszył ramionami, na ile pozwalał mu krępujący ruchy strój, dając do zrozumienia, że nie ma pojęcia, o co może chodzić.

— Doskonale — powiedział Lubinin. — Przekażcie do biura towarzysza generała, że przyjdziemy, jak tylko wydostaniemy się z tych rzeczy i przeberzemy.

Instruktor kiwnął głową i zniknął.

Zdejmowanie ubiorów zabrało im jeszcze pięć minut. Potem przeszli do szatni, gdzie pozbyli się spodniej warstwy odzieży ze spadeksu. W tę kosmonautyczną bieliznę wszyte były plastikowe rurki, w których krążyła woda zapewniająca chłodzenie ciała. Pomimo to pracując spocili się. Smród panujący we wnętrzu kombinezonu mógł co bardziej wrażliwych zniechęcić do kosmicznych podróży. Takie w każdym razie było zdanie Jemitowa. Szybko wzięli prysznic i odziali się w robocze ubrania lotnicze i kozuszki. Potem wyszli z kompleksu symulacyjnego, kierując się do budynku dowództwa. Cały teren, przypominający wyglądem campus uniwersytecki, pokryty był warstwą białego świeżego śniegu.

W gmachu, który właśnie opuścili, poza ogromnym zbiornikiem znajdował się również symulator wahadłowca oraz modele Sojuzów. A otaczający go zespół budowli, rozrzuconych po terenie w pobliżu Moskwy, nazywano Gwiezdnym Miasteczkiem. Rosjanie mają skłonność do tworzenia wielkich pojedynczych kompleksów, woła je od kilku mniejszych wyspecjalizowanych ośrodków. Gwiezdne Miasteczko było znakomitą ilustracją owej tendencji. Skupiono w nim — niby w soczewce — szkolenie w zakresie kosmicznego pilotażu, ćwiczenia symulacyjne, administrację, urządzenia treningowe, laboratoria oraz mieszkania dla kosmonautów i ich rodzin, a nawet kino. Zadbano o najbardziej komfortowe warunki, jakie był w stanie zapewnić Związek Sowiecki. Mieszkańcy mieli do dyspozycji specjalne



y zaopatrzone w trudno dostępne towary z Zachodu. O pozio-<sup>S</sup>ie życia w miasteczku świadczyło to, że nie istniał w nim czarny <sup>m</sup>k a także to, że prywatne magnetowidy kasetowe nie były tam adzwyczajną rzadkością. Krótko mówiąc, kosmonautom żyło się, wedle sowieckich standardów, wyjątkowo dobrze. A nagle wezwanie <sup>mo</sup>gło oznaczać zagrożenie takiej egzystencji.

Kiedy tak śpieszyli na spotkanie z Popowem, wyglądali na dwóch oilkarzy podczas treningowego biegu. Starszy — krzepki, grubokość-<sup>isty</sup>, śniady Lubinin sprawiał wrażenie obrońcy, zwinny zaś, sprężysty, jasnowłosy Jemitow — napastnika. Błękitne oczy tego ostatniego nadawały jego twarzy wyraz jakby pewnej bezradności.

— Nie przejmuj się, Siergieju! — Lubinin czytał w myślach towarzysza i pragnął go pocieszyć. — Jestem przekonany, że to nic poważnego.

Jemitow popatrzył na niego sceptycznie, ale nie oponował.

— Mam nadzieję, że masz rację. Nie chciałbym, żeby właśnie teraz coś źle poszło. Wiesz, Sasza... ona... jest w ciąży.

Lubinin zatrzymał się w pół kroku.

— Siergiej! Czemu mi nic nie mówisz? To wspaniale! — Uściskał przyjaciela. — Przestań się martwić, na pewno wszystko jest w porządku. A nawet jeśli nie, dam radę to naprawić.

Nie była to całkiem cicha przechwałka. Po śmierci dwóch najlepszych załóg teraz właśnie ich parę uważano za faworytów w środowisku kosmonautów. Jemitow naprawdę nie musiał się obawiać o swoją pozycję. Prawdę mówiąc, wezwano ich do Popowa dzięki renomie, jaką się cieszyli.

Dwaj mężczyźni weszli do oszklonego biurowca i wjechali windą na ósme piętro. Sekretarz generała pokazał palcem drzwi gabinetu i powiedział tylko jedno słowo:

— Szybko!

W środku zastali krępego Popowa siedzącego za biurkiem i zajętego rozmową telefoniczną. Zaskoczył ich jego wygląd — był fatalny. Adiutant zamknął za nimi drzwi.

— Wasilij... Siergiej... siadajcie — przystąpił do rzeczy generał. — Mam dla was zadanie. Coś, co po prostu nie mieści się w głowie. Od tej chwili nie wolno wam kontaktować się absolutnie z nikim, poza naszym personelem. Jasne? Mam dla was zadanie, wprawdzie <sup>ni</sup>ebezpieczne, ale takie, do którego jesteście świetnie przygotowani.

nie mogę pozwolić sobie na luksus zapytania, czy macie na to ochotę. Po prostu jesteście teraz potrzebni. Czy jesteście gotowi wypełnić wasz obowiązek? Kosmonauci popatrzyli na siebie nawzajem, potem znów na opowa i przytaknęli. Generał też kiwnął głową i powiedział: — obrze! Następnie przystąpił do wyjaśniania, w jaki sposób mają

schwytać na łąso wahadłowiec amerykański i sprowadzić go o kosmodrom w Bajkonurze. Obaj zaniemówili zaskoczeni. Pierwszy ochłonał Jemitow.

— O ile dobrze zrozumiałem, mamy porwać amerykański prom? — zapytał z niedowierzaniem.

— Chodzi nie tylko o prom — wyjaśnił Popów — także o jego ładunek, zawierający niesłychanie ważne elementy dla ich platformy kosmicznej. Trafiła się nam okazja przechodząca najsmielsze oczekiwania!

— Nie do wiary! — wyrwało się Lubininowi, zanim w pełni doszedł do siebie. — Mówicie, że pilot zabił dwóch pozostałych Amerykanów z załogi?

— *Da* — przytaknął Popów. Nie rozwodził się nad tym, bo nie miał nic do dodania.

Lubinin spuścił oczy i potrząsnął głową. Zawsze wydawało mu się, że kosmonauci stanowią szczególną wspólnotę, w jakiś sposób niwelującą podziały narodowe. Podwójne morderstwo popełnione w kosmosie gwałtownie przywołało go do rzeczywistości, a ta wydawała się nieprzyjemna.

— Co zatem mamy robić? — spytał Jemitow.

Popów podrapał wianuszek siwych włosów okalających mu łysinę.

— Główny konstruktor, Wostow, jest teraz w Centrum Kontroli Lotów. Jedźcie prosto do niego. Niech wam wyjaśni, jak funkcjonuje mechanizm kołnierza. Musicie być pewni, że zrozumieliście wszystko, co dotyczy działania tej pieprzonej rzeczy. Inaczej nie byłoby sensu lecieć na orbitę. Jasne? Gdyby Wostow robił jakieś trudności, dajcie mi natychmiast znać. Jestem przekonany, że macie wiele pytań, ale z tym musicie poczekać. Najpierw nauczcie się wszystkiego, co tylko się da, o kołnierzu. Potem porozmawiamy znowu. Osobiście kieruję przygotowaniem do startu. To wszystko. Macie do dyspozycji samochód z kierowcą. Odmaszerować.

Wciąż jeszcze zaskoczeni, dwaj mężczyźni wstali i wyszli.

Popów czuł się wypompowany. Już nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio spał. Wstał, przeciągając się, i podeszedł chwiejnie do drzwi, żeby zadysponować adiutantowi:

— Obudź mnie za dwie godziny. Wcześniej nie zwracaj mi głowy, chyba żeby telefonował towarzysz sekretarz generalny albo towarzysz przewodniczący... Nie, gdyby dzwonili, powiedz, że jestem na terenie. Obudź mnie tylko, jeśli zjawią się osobiście... I wtedy też nie musisz się śpieszyć. — Nie czekał na odpowiedź. Nie miał już siły cymkolwiek się przejmować. Zatrzasnął drzwi, położył się O\* dywanie i natychmiast zasnął.

mień 2., 13:03 czasu Greenwich, 15:03 miejscowego **Lotnisko Szeremietiewo, Moskwa**

Zafurkotało, kiedy odrzutowiec pasażerski Aeroflotu wypuścił do końca kłapy. Jurij Szewczenko, mężczyzna w średnim wieku w źle skrojonym ubraniu, obserwował przez okno, jak elementy pokrytej śniegiem szachownicy pól stają się coraz większe i większe. Wreszcie znikły mu z pola widzenia. Zastąpiła je szybko uciekająca czarna nawierzchnia pasa startowego. Wtedy zwrócił się, podekscytowany, do siedzącego obok młodego człowieka:

— Trzymaj się, Andriej! Będziemy lądować!

Zapiszczały opony kół. Wszystkich pasażerów rzuciło do przodu, kiedy pilot włączył hamowanie. Szybkość samolotu gwałtownie zmalała. Kapitan skierował go na odśnieżone miejsce na płycie lotniska.

— Uff, nareszcie Moskwa. Lecieliśmy o wiele za długo, nie uważasz?

Jego towarzysz uśmiechnął się, potakując. A Szewczenko ciągnął dalej:

— Teraz może uda się kupić jakąś przyzwoitą wódkę i zjeść coś prawdziwego. — I dodał konspiracyjnym szeptem: — A może i spotkać jakąś prawdziwą kobietę...

Dziewiętnastoletni Andriej pokrył się rumieńcem, ale i tym razem się uśmiechnął.

— *Da*. Byłoby miło znów zobaczyć się z Anną. Nie wiem tylko, czy mnie jeszcze pamięta. Nie było nas w końcu aż sześć miesięcy.

— Zapomnieć kogoś takiego? Chyba żartujesz? Jesteś nie do zapomnienia... — żartował Szewczenko. — Tak czy inaczej, czekają nas trzy tygodnie w Moskwie. Niewykluczone, że zanim skończy się urlop, będziesz już żonaty.

Młody człowiek poczerwieniał, uśmiechając się. Szewczenko był jego zwierzchnikiem, nauczycielem i przyjacielem.

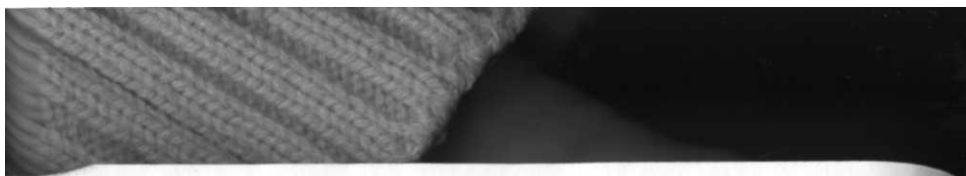
Krzepki, śniady, P'ecdziesięcioletni stary kawaler pracował jako elektrotechnik na kosmodromie w Bajkonurze, szczupły Andriej o dziecinnej buzi był Jego pomocnikiem. Starszy traktował młodszego jak syna, którego "gdy nie miał.

Samolot zatrzymał się przy bramie, obsługa otworzyła drzwi.

— Jesteśmy na miejscu. Chodźmy stąd! — zakomenderował Szewczenko i obaj przyłączyli się do tłumu zdążającego ku wyjściu. Puściwszy samolot przeszli piechotą kilkaset metrów wzdłuż głównej

<sup>an</sup> dworca lotniczego, zanim zostali poddani kontroli dowodów <sup>os</sup>obistych. Groźnie wyglądający urzędnik (wszyscy zatrudnieni -sowieckiej kontroli dokumentów sprawiają takie wrażenie) przy-

<sup>oz</sup>ył pieczęć, po czym odebrali bagaże z karuzeli i zanieśli je do



inspekcji niesłuchanie dociekliwemu osobnikowi w mundurze. Do ■ piero wtedy mogli opuścić lotnisko. Jazda zatłoczonym autobusem do centrum miasta trwała około godziny. Niewiele podczas niej rozmawiali. Obaj mieli do przemyślenia własne sprawy. Andriej rozmyślał o Annie i nowiutkiej parze zagranicznych dżinsów, które udało mu się dla niej zdobyć na czarnym rynku. Jurij całkiem o czym innym.

Przybywszy na stację metra w pobliżu teatru Rossija wyszli z pojazdu i zaczęli się żegnać.

— Pamiętaj, przyjdź na pewno do moich rodziców w najbliższy czwartek! — przypomniał Andriej. Nie prosił o kontakt telefoniczny, bowiem zaledwie co szóste mieszkanie prywatne w Moskwie dysponuje telefonem.

— Bądź spokojny, przyjdę, przyjacielu — potwierdził Jurij. Uściskali się. Młodzieniec odszedł w kierunku bloku, w którym mieszkali jego rodzice. Szewczenko zniknął w wejściu do metra. Kupił bilet za pięć kopiejek i wsiadł do pociągu jadącego w kierunku wschodnim. Po paru minutach przesiadł się na stacji Dzierżyński na inną linię i dotarł na stację Komsomolską, skąd szybko wyszedł.

Metro moskiewskie w ogóle, a stacja Komsomolską szczególnie, to najlepszy przykład paradoksów, do jakich może dochodzić w Rosji w najzupełniej nieoczekiwanych miejscach. W przeciwieństwie do metra nowojorskiego, powszechnie znanego z brudu, pogryzmołonych ścian i przestępczości, Komsomolską wygląda jak wnętrze opery przeniesione pod ziemię. Jest czysta jak psi ząb. Z marmurowych łuków zwisają wymyślne kandelabry, oświetlając freski i zawile mozaiki przedstawiające sceny z historii Rosji. Przybysze, oglądający tę stację po raz pierwszy, są nią oczarowani. Szewczenko wszakże znał ją zbyt dobrze, by zwracać uwagę na sztukę dekoracyjną. Wsiadł do windy i wyjechał na powierzchnię. Owinięty szczelnie paltem, by uchronić się przed chłodem, ruszył na północ przez park Sokolniki, opustoszały nie licząc paru łyżwiarzy na głównej sadzawce. Szedł powoli. Co pewien czas zatrzymywał się i sprawdzał uważnie, co się dzieje za jego plecami. Gdyby ktoś szedł za nim, musiałby dojrzeć intruza na otwartej, pokrytej śniegiem przestrzeni. Przekonawszy się z zadowoleniem, iż nikt go nie śledzi, wyszedł z parku i przeszedł przez mostek na zamarznętej rzece Jauza. Nazywano ją tak cokolwiek na wyrost: w rzeczywistości był\* niewielkim strumieniem, wpadającym do większej rzeki Moskwy-Minął parę przecznic, potem zawrócił i z powrotem przeszedł przez most. Zatrzymał się przy drewnianej tablicy z nazwą rzeczki i ponownie przez chwilę uważnie rozglądał się po okolicy. Wyjął z kiesze<sup>01</sup> zwykłą białą pinezkę i wbił ją w prawy dolny róg deski. Potem

szybko się oddalił, rozglądając za kawiarnią, gdzie mógłby się napić forącej herbaty. Noc zbliżała się szybko.

*Dzień 2., 13:38 czasu Greenwich, 18:38 miejscowego Góra Cheyenne*

— Generale!

Lamborghini delikatnie dotknął potężnych barów. Whittenberg obudził się i — mrugając — powracał do przytomności. Rozejrzał się po sali konferencyjnej, zobaczył pułkownika.

— Dzięki, Pete. Jak długo spałem?

— Przeszło godzinę, panie generale.

— Która jest teraz?

— Szósta trzydzieści osiem, panie generale. Whittenberg przetarł oczy.

— Nie budziłbyś mnie bez powodu. Co się stało?

— Złe wieści, panie generale. Dostaliśmy właśnie z NSA wyniki przelotu Blackbirda. Ostatecznie potwierdzają kontaktowanie się *Intrepida* z rosyjską stacją naziemną.

Whittenberg grzmotnął potężną pięścią w stół i zaklął.

— Tak jest, panie generale — zgodził się znużonym głosem Lamborghini. — Temu Blackbirdowi o mało nie odstrzelono dupy w trakcie zadania, ale sprawił się na medal.

Ta uwaga spowodowała, że generał ochłonął i mruknął:

— Hm... Przypomnij mi, żebyś osobiście napisał do Dooleya z podziękowaniem. Zasłużył sobie na drinka... Czy wszyscy są na miejscu?

Nie ogoleni, zaspani oficerowie w nieświeżo wyglądających mundurach właśnie wracali do sali konferencyjnej.

~ Dajcie wszystkim kawy i niech siadają. Musimy się szybko zająć tą sprawą.

Napełniono filiżanki, zajęto miejsca.

Panowie, doszło do sytuacji niewiarygodnej, bez precedensu! — powiedział gorzko Whittenberg. — Nikt z nas nie ma pojęcia, jak to się mogło stać, ale musimy się pogodzić z faktami. Nie wolno "am tracić głowy, jeśli mamy się uporać z tym śmiertelnie poważnym ^grożeniem. Trzeba działać bez zwłoki. Niech wywiad zrekapituje. Jak to wszystko wygląda.

Lamborghini nie pofatygował się na mównicę, został przy stole. Panie generale, otrzymaliśmy ostateczne potwierdzenie zaszyf-anej łączności radiowej pomiędzy *Intrepidem* a naziemną stacją

\*Wską Orbita w Permie. Dodam, że statek nie odpowiada na żadne

110

nasze próby kontaktu na rozmaitych częstotliwościach. Zbadaliśmy dokumentację dotychczasowej służby Kapuścińskiego, Mulcahey, i Rodrięza, ale nie znaleźliśmy w niej niczego, co mogłoby sugerować, że byliby oni zdolni, pojedynczo czy też wspólnie, zrobić coś takiego. Prawdę mówiąc, ich dotychczasowa służba przebiegała bez zarzutu tak dalece, że przekracza to wszelkie normy. Trajekto orbitalna wahadłowca nie uległa zmianie. Nie wykorzystał pierwszej okazji, by wylądować na kosmodromie Bajkonur. To' musimy sobie zadać pytanie: dlaczego *Intrepid* nie podjął takiej próby, jeśli rzeczywiście usiłuje przejść na stronę sowiecką?

— To prawda, że wahadłowiec nie skorzystał ze sposobności powrotu na ziemię — przyznał Whittenberg — ale czym, jeśli nie zdradą, można wytłumaczyć szyfrowane kontakty radiowe nad Permem?

Nikt nie znalazł odpowiedzi.

— Zatem — kontynuował generał — mimo przepuszczenia okienka czasowego umożliwiającego wylądowanie musimy przyjąć najgorsze: to, że *Intrepid* zdradził. Dosłownie za chwilę zamierzam odbyć telefoniczną naradę z admirałem Bergstromem i sekretarzem obrony, żeby poinformować ich o sytuacji. Zechcą poznać nasze propozycje, jak mamy zareagować. A więc coś powinniśmy zrobić?

Zapadło przedłużające się milczenie.

Lydia Strand, zastępczyni Lamborghiniego, sprawdziła, czy spinka upinająca jej długie ciemne włosy znajduje się na właściwym miejscu, zanim zdecydowała się odezwać.

— Panie generale?

— Proszę, majorze.

— Zgadza się, że *Intrepid* stanowczo przeszedł na drugą stronę. Uważam, że po prostu nie ma innego wytłumaczenia jego zachowania. Jeśli zatem przyjmujemy takie założenie, musiał być jakiś powód rezygnacji z lądowania w Bajkonurze przy pierwszej sposobności.

— A jakież mógłby być powód? — zapytał Sir Izaak, zapalając fajkę.

Strand przechyliła na bok głowę.

— Cóż, może to oznaczać, że albo *Intrepid* jest uszkodzony, albo też ktoś, kto go kontroluje, nie jest pilotem, co wskazywałoby na Rodrięza.

— A zatem? — nalegał Sir Izaak, podążając tropem jej rozumowania.

— Jeśli wahadłowiec jest uszkodzony, czy też osoba, która go opanowała, nie potrafi sprowadzić go na ziemię, Rosjanie muszą przysłać kogoś, kto go zreperuje albo będzie pilotował. Mogą też posłać któryś z własnych wahadłowców i zabrać ładunek. Jakakolwiek byłaby przyczyna...

powinni mieć na wyrzutni statek gotowy do startu albo spiesznie go przygotowywać. Pewnie teraz, kiedy tu rozmawia-  
— dokończył za nią myśl Sir Izaak, a następnie zwrócił się do Lamborghiniego: \_ Pułkowniku? Szef wywiadu przejął pałeczkę.

— Ustawimy wszystkie satelity KH-12 tak, żeby nie spuszczały z oka ich urządzeń startowych, i to już... Czy zgadza się pan ze mną, panie generale?

\_Słusznie! — powiedział Whittenberg. — Przekaż do SPADOC-u

że żądamy przelotów nad Bajkonurem, Plešieckiem i Kapustynym Jarem natychmiast, kiedy to tylko będzie możliwe. Powiedz im, żeby nie żalowali paliwa i dokonali zmian orbit, jeśli będzie trzeba. Upewnij się, że dobrze cię zrozumieli. Natychmiast!

Lamborghini skinął głową i wyszedł z sali.

— Jakież dalsze wnioski, majorze? — spytał Whittenberg. Strand zmarszczyła brwi.

— Koniecznie musimy dotrzeć do *Intrepida*, zanim to zrobią Rosjanie. A ci, których wyślemy, powinni mieć środki, by nie dopuścić, żeby wahadłowiec wpadł w ich ręce.

— Czy chodzi pani o to, żeby *Constellation* była zdolna do zestrzelenia lub unieszkodliwienia *Intrepid*? — zapytał szef sztabu, Michael Dowd.

— Tak jest, panie generale — odparła Strand.

— To doprawdy uroczy pomysł! — podjął temat Dowd, a żyły na szyi zaczęły mu nabrzmiewać. — Kiedy ostatnio widziałem *Constellation*, nie zauważyłem, żeby miała zainstalowane pod skrzydłami jakieś pociski powietrze—powietrze. Cóż więc mamy zrobić? Może polecić *Constellation*, żeby staranowała *Intrepid*. Wtedy będziemy mieli uwięzionych na orbicie trzech astronautów i żadnego sposobu, by ich stamtąd zabrać. Nie mówiąc już o tym, że kosztowałyby to nas jakieś siedem czy osiem miliardów dolarów, bo tyle wart jest ten sprzęt. A o pociskach antysatelitarnych możecie zapomnieć. Nasz dalekowzroczny prezydent rok temu uznał za właściwe je zlikwidować!

Whittenberg wyciągnął rękę i delikatnie poklepał szefa sztabu po masywnym karku.

— Nie irytuj się, Bysiu. Wszyscy jesteśmy zdenerwowani i zmęczeni. Uspokój się. Jesteś mi potrzebny.

Dowd westchnął.

— Tak jest, panie generale. Ma pan rację. Przykro mi. Przepraszam P<sup>a</sup>nią, majorze! Mam nadzieję, iż zdaje pani sobie sprawę, że to, co Powiedziałem, nie było wymierzone przeciwko pani osobiście!

— Tak jest, panie generale — odpowiedziała życzliwie Strand.

— Właśnie chodzi o to, że *Constellation* nie ma uzbrojenia, a nie

<sup>s</sup> - Zdobyć.



możemy wysłać pilotów w charakterze kamikaze. Nie mamy też pocisków antysatelitarnych, a platforma SDI również nie została jeszcze uzbrojona. Jesteśmy więc w kropce. Czuję, że chce się nas wystrychnąć na dudków, a tego szczególnie nie lubię. — Whittenberg odchylił się do tyłu, zamknął oczy i starannie coś rozważał, zanim ponownie zabrał głos. —

Zakładam, że wszyscy obecni mają Omegę?

Wszyscy przytaknęli. Omega to było znacznie więcej niż „Ścisłe Tajne”. Dawała dostęp do najbardziej tajnych, supersekretnych programów technicznych, takich na przykład jak satelita Eardrum. Nieprzypadkowo wybrano jako nazwę ostatnią literę greckiego alfabetu. Oznaczała koniec kariery każdego, kto zawiniłby przeciek informacji.

— Co myślicie o Kestrelu? — zapytał Whittenberg.

Dowd podniósł brwi, następnie odruchowo rozejrzył się po sali. Zanim odpowiedział, zwrócił się do Fairchilda:

— Sir Izaaku, czy ta sala była czyszczona? — Chodziło mu

o inspekcję elektroniczną mającą na celu wykrycie urządzeń podsłuchowych.

— Tak jest, szefie — odparł Sir Izaak. — Tuż przed popołudniowym zebraniem, w ramach rutynowej procedury.

Wszyscy byli uczuleni na sprawę Kestrela. Nie tylko dlatego, że stanowił hipersekret technologiczny. Już samo jego istnienie mogłoby być interpretowane jako pogwałcenie traktatu antysatelitarnego. Gdyby jakiś zbzikowany kongresman czy sztabowiec bąknął coś na ten temat komuś z „New York Timesa”, rozpętałoby się straszliwe piekło. Jak dotąd, nie było przecieków. Ale teraz — biorąc pod uwagę to, co się stało z *Intrepidem* — można było zadać pytanie, czy nadal należy się przejmować tym traktatem.

Niemniej, Dowd raz jeszcze rozejrzył się dookoła, zanim powiedział:

— Kestrel? Tego jeszcze nie da się użyć, panie generale. Dopiero miesiąc temu Lockheed dostarczył prototyp. Wciąż poddaje się go próbom. A uzbrojenia nigdy jeszcze nie stosowano w przestrzeni kosmicznej. Ba, nie przeprowadzono nawet badań na pełną skalę w tunelu aerodynamicznym.

— Sir Izaaku, a czy wszystkie systemy elektroniki lotniczej

1 uzbrojenia zostały już zainstalowane? — Zadawszy to pytanie Whittenberg zdał sobie sprawę, że dziewięćdziesiąt osiem procent szefów wywiera na swych podwładnych presję, by postępowali wbrew sobie.

Fairchild pogładził się po orlim nosie, zanim odpowiedział:

— Tak, panie generale, fizycznie są na miejscu. Ale jak powiedział szef sztabu, mnóstwo rzeczy związanych z uruchomieniem program<sup>11</sup> pozostało jeszcze do zrobienia. Myśleliśmy o czterech miesiącach

stów lotniczo-elektronicznych w Edwards, następnie o badaniach tunelu aerodynamicznym z powrotem u Lockheeda, wreszcie statycznym wystrzeliwaniu pocisków z platformy SDI i może **oróbie startu** bez uzbrojenia, zanim się przetestuje działanie broni odczas **lotu** pojazdu. A zatem, jak sądzę, dzieli nas co najmniej **dziewięć** miesięcy od ostatecznej próby na pełną skalę. Whittenberg łyknął kawy z filiżanki.

— Kilka tygodni temu LTV przekazało nam Phoenixa VII i nowy **prototyp** Sidewindera. Czyba się nie mylę?

Nawiązywał do najnowszej wersji kierowanego radarem pocisku Phoenix, używanego przez myśliwce przechwytyjące marynarki wojennej, oraz do specjalnie zmodyfikowanego modelu sterowanego podczerwienią pocisku powietrze—powietrze Sidewinder, który był najsukuteeczniejszą bronią lotnictwa amerykańskiego od czasów wojny wietnamskiej. Oba zostały zmienione przez swego producenta LTV **tak**, by można je było stosować w warunkach przestrzeni kosmicznej.

Sir Izaak odpowiedział z wyraźnym ociąganiem:

— Tak jest, panie generale.

— Oba pod wieloma względami opierają się na technologii stosowanej od lat, nieprawdaż? — dopytywał się Whittenberg.

— Do pewnego stopnia tak, panie generale.

— A więc, chociaż podobnie jak wam wcale nie sprawia mi to przyjemności, zastanówmy się jednak, co można zrobić, żeby wyposażyć Kestrela choćby prowizorycznie. Tak czy inaczej, musimy **zrobić ruch** i wysłać na orbitę *Constellation*. W najgorszym razie **może ona** nie dopuścić do... abordażu *Intrepida*... — Whittenberg przygarbił się, potrząsając głową. — Mój Boże... do abordażu! A **myślałem**, że piractwo należy już do przeszłości...

Jego sztabowcy nic nie powiedzieli, ale poczuli przypływ współczucia dla dowódcy. Ten wszakże szybko się otrząsnął i skupił uwagę na bieżących potrzebach.

. — Dobrze, zadzwonię do admirała Bergstroma i sekretarza obrony <sup>1</sup> **powiem** im, że naszym zdaniem *Intrepid* niewątpliwie zdradził, a my **Wysyłamy** *Constellation*; chcemy w ten sposób spróbować nie dopuścić, **by** wpadł w rosyjskie ręce. W tym czasie zobaczymy, co się da **zrobić** z prototypem Kestrela, by się nim wesprzeć w razie potrzeby, **'obie**, Bysiu, przypadnie zaszczyt zatelefonowania do Cheta do **Lape** i powiadomienia go o zdradzie *Intrepida*. Wiem, jak jest zajęty Przygotowywaniem *Constellation* do startu, toteż nie chciałem go ym deranzować, dopóki nie mieliśmy pewności; ale teraz musi znać Prawdę. Powiedz mu, żeby przejął kierownictwo przygotowań i pobrał się o załogę dla Kestrela.

Tak jest, panie generale — odpowiedział Dowd.

Z kolei Whittenberg zwrócił się do Fairchilda, swego jedno-osobowego trustu mózgów.

— Chciałbym, Sir Izaaku, żeby pan wykombinował dla nas prototyp Kestrela. Niech pan odpowiednio nakręci inżynierów z LTV i zorientuje się, czy dałoby się ewentualnie doprowadzić do startu. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę mówić.

Jastrzębionosy brygadier przystąpił do czyszczenia fajki.

— Zrozumiałem, panie generale. Mam nawet pewien pomysł który umożliwiłby wyposażenie w broń załogi *Constellation*. Ale muszę najpierw sprawdzić parę rzeczy.

— Niech pan to zrobi — powiedział Whittenberg. — Majorze Strand, chcę, żeby pani uznała świadectwa służby Kapuścińskiego, Mulcaheya i Rodriqueza za nic nie warte. Proszę jeszcze raz spróbować ustalić, który z nich to zrobił.

Niech pani niczemu nie wierzy. Proszę porozmawiać, z kim tylko będzie trzeba, ale nikogo w nic nie wtajemniczać. Niech pani użyje ludzi z własnego personelu lub wezwie do pomocy CIA czy FBI. Chcę wiedzieć, który, u diabła, jest tym zdrajcą.

— Tak jest, panie generale — odpowiedziała niezdecydowanie ciemnowłosa pani major. — Ale mówiąc szczerze, nie mam w ogóle doświadczenia w tego rodzaju dochodzeniach.

— W porządku. Zna pani jednak tych trzech ludzi lepiej niż ktokolwiek z nas. Ściągnięcie kogoś z zewnątrz, by pokierował śledztwem, i wprowadzenie go w sprawę zajęłoby zbyt wiele czasu. A czas to coś, czego mamy w tej chwili bardzo mało.

— A może by pułkownik Lamborghini? — zapytała.

— Współczuję pani — westchnął Whittenberg — ale jadę do Waszyngtonu i zabieram go ze sobą.

Powróciwszy do biura Whittenberg jeszcze raz sięgnął do zielonego aparatu telefonicznego, zapewniającego mu bezpośrednio bezpieczne połączenie z szefem Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Już po pierwszym dzwonku usłyszał w słuchawce:

— Bergstrom.

— Panie admirale, mówi Whittenberg ze SPACECOM-u. Czy mógłby pan połączyć się z sekretarzem obrony na tej linii?

Mam coś do powiedzenia obu panom.

— Proszę się nie rozłączać.

Rozległo się trochę szumów i pisków, potem dał się słyszeć na linii inny głos. Whittenberg metodycznie zrelacjonował, co ustalono na podstawie przelotu SR-71 i co zaplanowano w SPACECOM-ie, by odzyskać wahadłowiec. Kiedy skończył, dłuższy czas trwało milczenie; w końcu odezwał się sekretarz, cedząc słowa w sposób charakterystyczny dla arystokraty z Południa.

— Generale, to zdecydowanie wymaga poinformowania prezyden-

Myślę, że będzie lepiej, jeśli pan zjawi się w Waszyngtonie <sup>ta</sup> o odpowiednią dokumentacją. Zadzwoń do Białego Domu i spo-<sup>z</sup> oduję zebranie Rady Bezpieczeństwa. Sprawa przechodzi ludzkie oście. Kto, do cholery, może wiedzieć, do czego to doprowadzi? Jsjie można wykluczyć, że to tylko fragment jakiejś intrygi. Może wstęp do ataku?

\_ postawiłem NORAD w stan pełnego pogotowia — powiedział

Whittenberg — w Dowództwie Strategicznych Sił Powietrznych zarządzono alert czwartego stopnia. Nie rekomendowałbym przejścia na stopień trzeci, zanim nie będziemy mieli lepszego rozeznania, ale trzymamy rękę na pulsie.

\_ Aprobuję — powiedział sekretarz.

\_ Zrób, jak radzi sekretarz, Rodg — rozkazał admirał. —

Skompletuj dane i przyleć z nimi do Waszyngtonu najszybciej, jak możesz.

— Tak jest, panie admirał. Wylecę stąd za kilka godzin, kiedy tylko dostanę najświeższe zdjęcia satelitarne.

— Hm... — Bergstrom najwidoczniej chciał się zaasekurować. — Z uwagi na ładunek *Intrepida*, chyba byłoby lepiej mieć tu również Havelichka i Sharpa. Jestem pewien, że nie obędzie się bez pytań dotyczących znaczenia ewentualnej straty, a oni potrafią to ocenić lepiej niż ktokolwiek z moich ludzi w Pentagonie.

Whittenberg zadrżał słysząc o „ewentualnej stracie”, ale wyraził zgodę.

— Tak jest, panie admirał. Czy może im pan załatwić transport?

— Prawdopodobnie będą tu wcześniej niż ty.

*Dzień 2., 15:00 czasu Greenwich, 10:00 miejscowego* **Ośrodek Kosmiczny Kennedy'ego**

Siedzący za urzędowym biurkiem generał major Chester McCormack odchylił się do tyłu. Mimo pięćdziesięciu dwóch lat niewiele miał srebrnych nitok w blond włosach. Nadal był w formie jako Pdot, nadal też był wprost „nieprzyzwoicie przystojny”. Do tego stopnia, że w początkach kariery ciągle zmuszano go, by pozował do Plakatów zachęcających do służby w lotnictwie. Ale pod tą powierzchownością krył się oficer twardy, pragmatyczny, wymagający dyscypliny i dbający, by zawsze panować nad sobą.

Właśnie rozmawiał w swoim biurze z astronautami, Phillipem "Eitmannem" i Jackiem Townsendem, o tym, jak mają postępować podczas wyprawy ratunkowej. Był też obecny major Sanford Watkins, <sup>10r</sup> miał wypełniać zadania poza statkiem, w przestrzeni kosmicz-<sup>ne</sup>J- Formalnie związany z siłami lądowymi, płowłosy „Sandy”

został zwerbowany do tej misji w ramach drenażu specjalisto prowadzonego przez SPACECOM we wszystkich rodzajach sił zbro'nych. Watkins miał doktorat w zakresie technologii budowy maszyn uzyskany w Texas Academy of Mechanics, dokonał też ulepszeń przenośnego plecakowego urządzenia napędowo-manewrowego, używanego przez astronautów w przestrzeni kosmicznej. Zarówno kawałki fikacje techniczne, jak sprawność fizyczna czyniły z niego osobę wyjątkowo predestynowaną do wykonania przewidywanych zadań.

— Czyli tak — mówił McCormack — wstępnego rozpoznania' wizualnego dokonacie okrążając go z odległości sześciuset metrów. Następnie zbliżycie się na jakieś trzysta metrów i spróbujecie nawiązać łączność. Jeśli nie będzie odpowiedzi, ubierzecie Sandy'ego i wyśleci go na inspekcję. Ale chcę, żeby przez cały czas *Constellatio* zachowała bezpieczną odległość, minimum trzystu metrów. Ni będziemy narażać jej na zniszczenie, jeśli by z jakichś powodó *Intrepid* eksplodował. Mogły mu wywalić ogniwa paliwowe, mo<sup>1</sup> mieć przeciek płynnego tlenu. Więc utrzymujcie ten dystans.

— Zrozumiałem, panie generale — powiedział Heitmann, dowód wyprawy. — Żaden problem. Będziemy ostrożni. To, co mnie niepokoi, to start nad Florydą. Dobiorą nam się za to do skóry.

— Bez wątplenia. Ale to decyzja, którą podejmuje się odrobin wyżej, ponad głową takiego dwugwiazdkowca jak ja. Wy, chłopaki, troszczcie się tylko o to, by zabrać stamtąd tych, co przeżyli.

Heitmann skinął głową.

— Tak jest, panie generale. Wszystko, co mogę powiedzieć, to że na *Intrepidzie* musiał się zdarzyć jakiś defekt techniczny. Z Lodowcem przy sterach można całkowicie wykluczyć błąd w pilotażu.

— Też tak sędzę — zgodził się generał.

Zadzwoził telefon. McCormack podniósł słuchawkę. Telefonó Dowd, szef sztabu SPACECOM-u.

— Tak, Bysiu. Właśnie omawiam sprawy z załogą... Dobrze, mogę ci poświęcić sekundę.

McCormack nacisnął jakieś guziki na tablicy umieszczonej z bo aparatu.

— W porządku, czy mnie dobrze słyszysz?... Zawsze mam problemy z tym urządzeniem szyfrującym... Tak... tak... słucham...

Dłuższy czas panowała cisza. Załoga wahadłowca przeglądała notatki dotyczące planu wyprawy. W pewnym momencie Watkins podniósł oczy i zauważył, że opalona twarz generała stała się śmiertelnie biała.

McCormack nic nie mówił, tylko słuchał. Wreszcie, po

kilku

minutach, w milczeniu odłożył słuchawkę. Do tego czasu już cała trójka dostrzegła, że twarz ma popielatą.

— Coś złego, panie generale? — zapytał Townsend.

117

Wlinęło parę sekund, zanim McCormack zdołał odpowiedzieć. Wykrztusił:

Dojdzie do zmiany planów.

Ze szczupłej piersi Jacoba Classena wydobyło się westchnienie „lgi, kiedy pojemnik zawierający satelitę Anik i teleskop COSMAX znalazł się wreszcie bezpiecznie na transporterze. Było to długie i wyczerpujące zadanie. Najpierw trzeba było wydstać delikatne urządzenia z wnętrza *Constellation* na platformę rusztowania, następnie załadować je do specjalnego kontenera, a potem przenieść na transporter. Ale w końcu uporano się z wyladunkiem, więc teraz może uda się uciąć krótką drzemkę.

Kierowca transportera zapalił silnik i zaczął wycofywać „pełzający" pojazd spod obrotowego dźwigu. Był to przedziwny płaski pojazd na czterdziestu ośmiu kolach, mogący się poruszać naprzód, do tyłu, w bok, a jeśli było trzeba, także obracać wokół własnej osi. Teraz jednak po prostu oddalał się od dźwigu, niesłuchanie powoli, z prędkością dwóch setnych kilometra na godzinę. Kiedy już odjedzie od wieży dźwigu, kierowca włączy duże obroty i podąży do magazynu przeładunkowego w piorunującym tempie trzech kilometrów na godzinę.

Classen zdjął hełm i przeciągnął dłonią po siwych włosach. Wręczył harmonogram przedstartowy swemu zastępcy, następnie skierował się ku służbowej przyczepie, gdzie miał składane łóżko. Zawsze starał się pamiętać o przysłówiu: „Zmęczeni popełniają błędy".

*Dzień 2., 15:00 czasu Greenwich, 17:00 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

Piękno projektu polega na jego prostocie! — perorował z samozadowoleniem Wostow. — Kołnier zostanie przytwierdzony<sup>ao</sup> silnika Progressa jeszcze na ziemi, przed startem. Wszystko, co macie zrobić, to wsunąć tego kutasa do dyszy silnika wahadłowca<sup>1</sup> zamocować klamrami o sworzniach ścinanych wybuchowo — mó-"» pokazując elementy na rysunku. — Pomysłowe, nie? kosmonauci Lubinin i Jemitow zgodnie mu potakiwali. Popów<sup>e</sup> Potrzebnie zastanawiał się, czy Wostow okaże się skory do Połpracy. Główny konstruktor nader chętnie opowiadał o za-rojektowanym przez siebie rozwiązaniu. Był na ten temat tak y ewny, ze nie dopuszczał innych do głosu. p<sub>a</sub>^~ Wicie, ma się rozumieć, że opracowałem ten projekt w ciągu godzin, opierając się tylko na dokumentacji technicznej.

— Tak jest, towarzyszu główny konstruktorze — wszedł ^ w słowo Lubinin. — W związku z tym nasuwa się istotne pytanie Kołnierz musi bardzo dokładnie pasować. Gdyby jego średniej okazała się zbyt duża, nie wejdzie do dyszy. Gdyby była za mała klamry mogą nie sięgnąć obrzeży dyszy. Czy jesteście pewni, ^ wasze dane wyjściowe były precyzyjne?

Wostow odpowiedział protekcyjnym tonem:

— Słuchajcie, mój drogi Lubinin, Amerykanie to durnie. Publikują na prawo i lewo wszystkie dane dotyczące swoich najważniejszych urządzeń. — Rozejrzył się po sali konferencyjnej, zamienionej w prowizoryczną kreślarnię, i dodał: — Możecie być pewni, że ludzie towarzysza przewodniczącego resortu bezpieczeństwa robią, co mogą, żeby dotrzeć do najcenniejszych tajemnic naszych nieprzyjaciół. Ba! Często wystarczy tylko pójść do amerykańskiej księgarni czy biblioteki, by zdobyć dane. Problem stanowi raczej nadmiar informacji technicznych, nie ich niedostatek. Spójrzcie tylko! — powiedział, wskazując na stos książek i dokumentów na stole konferencyjnym. Sięgnął po jedną z publikacji i otworzył ją na stronie, gdzie widniał schematyczny rysunek przekroju amerykańskiego wahadłowca.

Lubinin i Jemitow patrzyli zdumieni. Mieli ograniczony dostęp do tego rodzaju materiałów, toteż prawie nabożnie odnosili się do dokumentacji spiętrzonej na stole. Jemitow mrugając niebieskimi oczami, wymruczał pod nosem:

— Niestychane...

— To prawda, zdumiewające — zawtórował mu Lubinin. — Ale jeśli Amerykanie to tacy durnie, jak to się stało, towarzyszu główny konstruktorze, że właśnie oni stworzyli skuteczny program promowy, podczas gdy nasze dwa wahadłowce spłonęły doszczętnie wracając w atmosferę?

Entuzjazm Wostowa gdzieś ulotnił. Przyjrzał się uważnie Lubininowi, wyczuwając mimo dobroduszenie patrzących z pyzatego oblicza brązowych oczu człowieka z charakterem. Najwidoczniej kosmonauta nie należał do ludzi, których dałoby się zbyć byle czym-

— Zezwolono mi przejrzeć dane o przebiegu waszej służby — powiedział ostrożnie. — Braliście udział w lotach bojowych w Afganistanie, prawda?


— *Da* — odpowiedział Lubinin.

— Z dokumentów wynika też, o ile dobrze pamiętam, że zCj strzeliliście dwa pakistańskie myśliwce F-16.

Lubinin wzruszył muskularnymi ramionami.

— *Da*. Oni twierdzili, że naruszyliśmy ich obszar powietrzny. M oskarżaliśmy ich o pogwałcenie afgańskiego. Prawdę mówiąc, trudno powiedzieć, kto miał rację. Byłem zbyt zajęty uchylaniem się od i





cdewinderów, by poświęcić uwagę sprawom nawigacyjnym. W każdym razie nauczyłem się wtedy respektu dla amerykańskiego sprzętu. Przyciężki Wostow pokiwał głową ze zrozumieniem. Wiecie, zupełnie nie miałem do czynienia z projektowaniem kadłuba naszych wahadłowców i nie mam pojęcia, czemu uległy zniszczeniu. Dopiero ostatnio powierzono mi kierownictwo całego programu.

— Wiem o tym, towarzyszu główny konstruktorze — przyznał

Lubinin. — Ale przecież inżynierowie, którzy zaprojektowali nasz wahadłowiec, mieli oczywiście dostęp do tych wszystkich danych, a mimo to zawiedli. Rozumiecie więc mój niepokój o dokładność specyfikacji?

W nietypowym dla niego ludzkim odruchu Wostow objął kosmonautę ramieniem.

— Rozumiem, towarzyszu. Ale na mnie możecie całkowicie polegać.

— To wspaniale, towarzyszu główny konstruktorze. A zatem dwa pytania. Po pierwsze, jak mamy uruchomić silnik?

W ten sposób wrócili do zagadnień roboczych.

— Dostaniecie zdalnie sterowane urządzenie zapłonowe. Włącznik jest mały i emituje słaby sygnał, musi też mieć silnik w polu widzenia. Żeby zadziałał, musicie więc być poza statkiem, także poza Sojuzem, w przestrzeni kosmicznej. To wy musicie uruchomić silnik. Amerykański kosmonauta nie będzie mógł tego zrobić. Musicie być z nim w kontakcie, porozumieć się co do dokładnego czasu i kąta odpalenia. Przypuszczam, że dlatego właśnie was wyznaczono. Obaj mówicie po angielsku, prawda?

Lubinin kiwnął głową, a potem zadał drugie pytanie:

— Dokąd mamy teraz pojechać?

— Zabiorę rysunki do Leningradu i zrobię odlew kołnierza — odpowiedział rzeczowo Wostow. — Popów ma przygotować pojazd<sup>w</sup> Bajkonurze. Kołnierz zostanie tam dostarczony, jak tylko będzie gotowy. Będę osobiście nadzorował przyspawanie go do silnika. A więc spotkamy się na kosmodromie.

*Dzień 2., 16:30 czasu Greenwich, 8:30 miejscowego Lawrence Livermore Laboratory, Kalifornia*

Rakiety przebijają się przez pokrywą chmur... Wstępne rozpoznanie charakterystyki startu wskazuje na dwadzieścia trzy obiekty, liczba ich wzrasta. Te, które najwcześniej wystartowały, uderzą<sup>e</sup>l za dwadzieścia osiem minut dwadzieścia trzy sekundy... Na podstawie analizy podczerwieni i prędkości ustalono, że są to pociski L SS-18 i SS-19... Obecnie ich liczba wynosi osiemdziesiąt



siedem i gwałtownie wzrasta... Pierwsze z nich uderzą w cel dwadzieścia siedem minut czterdzieści dwie sekundy. Thomas Havelichek drapał się po ciemnorudej brodzie obserwując na trzydziestocalowym kolorowym ekranie specjalnego, wykonanego na zamówienie monitora widok północnej półkuli z lotu ptaka. Ze Związku Sowieckiego łukiem ku północy, nad koło polarne, pędziła chmara białych ołówkokształtnych światełek, przedstawiających międzykontynentalne pociski balistyczne. Zdażały ku celom znajdującym się za czapą lodową Arktyki, w Ameryce Północnej. Havelichek mógł wywoływać na tym ekranie dane liczbowe dotyczące ataku, ale czuł, że zamąciłoby mu to wrażenia estetyczne. Polecił więc, by dane odczytywała jego asystentka, podczas gdy on sterował systemami obronnymi platformy SDI.

— W porządku, Gildo — powiedział, stukając w klawiaturę. — Zwiększyć moc reaktora do dziewięćdziesięciu trzech procent... Wykrywanie celów, ustalanie ich współrzędnych oraz ich priorytyzacja — rozpoczęte. Ładowanie izotopu... Gilda mówiła głosem cierpkim, charakterystycznym dla typowej matki Żydówki.

— Do uderzenia w cel pozostało dwadzieścia pięć minut pięćdziesiąt siedem sekund, liczba pocisków wynosi obecnie dwieście czternaście i dalej wzrasta... W ciągu najbliższych trzydziestu sekund od czołowych pocisków zaczną odpadać wspomagające silniki raketowe...

Ołówkowate światełka wciąż podążały na północ, zbliżając się do wybrzeża syberyjskiego.

— Priorytyzacja celów zakończona... trwa ładowanie izotopu, dojdzie do kontaktu impulsowego z czołowymi obiektami...

— Liczba pocisków doszła do trzystu dwudziestu siedmiu... i nadal wzrasta... u czołowych dochodzi do odpadania silników wspomagających... u trzech nie doszło do zapłonu drugiego stopnia... czołowe pociski wyszły z atmosfery... Do uderzenia w cel pozostały dwadzieścia trzy minuty szesnaście sekund. — Gruszkokształtna Gilda o kruczoczarnych, kędzierzawych włosach spojrzała na Havelichka sponad konferencyjnych okularów i powiedziała: — Lepiej będzie Thomas, jeśli w końcu ruszysz dupę.

Ten jednakże nadal gapił się w ekran, postukując w klawiaturę-

— Spokojnie, Gildo. Po odpadnięciu silników wspomagających pozostały nam jeszcze cztery minuty. Poza tym oplaca się strzelać jedynie do większych ich zgrupowań w fazie pozaatmosferycznej-^ mamy potwierdzenie rozpoznania i śledzenia obiektów... aktywizacja izotopu.

— Do uderzenia w cel pozostały dwadzieścia dwie minuty dwadzieścia dwie sekundy — powiedziała „matka Żydówka”.

Uruchomiono systemy automatyczne... Graser wysłał impuls neliżej mocy. Rozpocząć ogień!  
Ma ekranie ponad wyspą Siewiernaja Ziemia przy wybrzeżu

Wnocnosyberyjskim pojawiła się inna wiązka światła, silniejsza P-kj-awoczerwona. Przecięła drogę czołowym białym ołówkowatym nociskom międzykontynentalnym, z każdym swym impulsem eliminując od dziesięciu do piętnastu spośród nich. Niebawem czołowe zostały doszczętnie zniszczone, a czerwona wiązka zajęła się wyrąbywaniem sobie drogi w gęstwie nadlatujących za nimi.

Gilda popatrzyła na swój ekran.

\_ Osiemdziesiąt trzy zniszczone i wyeliminowane.

Z każdym „zestrzeleniem” białe ołówkowa te światełko zniknęło z ekranu.

— Ohoho! Wykrycie startu! FBB! Wyglądają na pociski SS-30.

FBB — to skrót od „fast-burn booster”; oznacza raketę wspomagającą o superwydajnym paliwie. Wyposażony w nią pocisk porusza się w pierwszej fazie lotu dwukrotnie szybciej od typowego. Łatwo go zidentyfikować, tak z powodu prędkości, jak i charakterystyki podczerwieni — wydobywa się z jego dysz więcej i gorętszych gazów. Znacznie większa szybkość tych pocisków zmusiła komputer kierujący bitwą z platformy SDI do zmiany zaplanowanej kolejności zwalczania celów; inaczej któryś z tych nowych FBB mógłby się przemknąć, podczas gdy graser zajmowałby się powolniejszymi pociskami.

— Priorytyzacja celów skorygowana! — zameldował Havelichek. Wiązka graserowa na krótko przestała działać.

— Ponowne ładowanie izotopu.

— Czołowa fala pocisków zniszczona. Uderzenie w cel kolejnej czołowej fali odsunęło się do dwudziestu czterech minut dwudziestu dwóch sekund, ale pociski FBB nadal się wznoszą. Łączna liczba obiektów wynosi obecnie czterysta czternaście.

Gilda ponownie spojrzała zza okularów. — Prawda, że bystry? Wypuścił FBB podczas doładowywania izotopu!

~~ Pewnie! — odpowiedział Havelichek, gładząc się po wysokim ■<sup>e</sup>- Bystry jak cholera! Niemniej, trochę się spóźnił.

Powinien J<sup>e</sup> wypuścić odrobinę wcześniej... Doładowywanie zakończone. Graser

<sup>a</sup>znovu pełną moc. Wznówić ogień, ołó <sup>Z</sup>f<sup>1</sup>Wona wiązka ponownie przystąpiła do eliminowania białych ^ Kow. Ale jeden, choć trafiony, nie zniknął z ekranu — przeciwnie, d<sub>0</sub> uował lot ku lodowej czapie Arktyki. Havelichek zwrócił się Q..!^eJ' co się dzieje? Sądziłem, że ten już wykończyłem. —■ \r kontrolowała sytuację na swoim ekranie.

<sup>N</sup>ie, Thomas. Zlikwidowałeś pierwszą falę pocisków FBB,

kiedy on już się odłączył. Tak mi przykro. Bo w ogóle spisujesz się dobrze. Liczba strąceń doszła do stu siedemdziesięciu czterech. Havelichek ściągnął wargi, ogłaszając ponowne doładowywanie.

— Poza tym jednym, w którego nie trafiłeś — ciągnęła Gilda -J pozostałe obiekty nowej fali czołowej uderzą w cel za dwadzieścia trzy minuty pięćdziesiąt dwie sekundy... Ojej! Wykrycie startu pocisków z okrętu podwodnego. — Przez chwilę studiowała odczyt. — Na Atlantyku, na południe od Bermudów... cztery pociski balistyczne. Charakterystyka wskazuje, że są wymierzone w... Waszyngton. Uderzą w cel za siedem minut z groszami. Wygląda na to, że są już poza zasięgiem naszej platformy...

Havelichek odchylił się do tyłu z uśmiechem.

— Przypatrz się, co się stanie!

Ponad Nową Fundlandią pojawiła się inna wiązka czerwieni, strącając cztery pociski do Atlantyku.

Gilda ze zdziwieniem przeglądała podręczne notatki.

— Nie widzę drugiej platformy w wykazie elementów obronnych. Havelichek wyszczerzył zęby.

— Podobnie, jak nie znajdziesz ataku spod wody w wykazie elementów ofensywnych.

Gilda gapiła się na niego przez parę chwil, wreszcie pojęła i zaczęła chichotać.

— To taki z ciebie potajemny chytrus! Kiedy ją dodałeś?

— Wczoraj wieczorem — odpowiedział Havelichek. — To dlatego chciałem, żebyśmy grali dziś od rana, zanim Buford będzie miał okazję, żeby jeszcze raz zapoznać się z programem.

Czerwona wiązka nad wybrzeżem Syberii dalej zdumiewająco szybko kosiła rosyjskie międzykontynentalne pociski balistyczne, aż doszczętnie znikły z ekranu.

— Ćwiczenie skończone! — ogłosiła Gilda. — Pięćset czterdzieści trzy strącenia i jeden pocisk w celu.

Sprawdziła na ekranie.

— Wydaje się, że to Detroit znikło całkowicie z powierzchni ziemi-Havelichek wzruszył ramionami.

— To nie moje zmartwienie. Ja jeżdżę mazdą.

W tym momencie drzwi otworzyły się z trzaskiem, a w nich pojawiło się raczej niemiłe oblicze, nasuwające myśl o deformacjach związanych z uprawianiem futbolu amerykańskiego. Monstrum zachowywało się jak byk podczas korridy.

— Skąd, do cholery, wzięła się druga platforma? Havelichek powitał przybysza przyjaznym uśmiechem.

— Aaa. Dzień dobry, Bufordzie.

Temu wszakże żyły pulsowały na skroniach, a twarz spurpurowiał<sup>31</sup> Wydawało się, że za moment wpadnie w szal.

\_ Zamiast się grzecznie witać, wytłumacz, skąd, u diabła, wzięła  
ie ta cholerna platforma!

Owa wymiana zdań miała miejsce w Ośrodku Symulacji Konflikty w Lawrence Livermore Laboratory. Ośrodek umożliwiał uczyonym symulację komputerową sytuacji, do jakich może dojść w warunkach <sub>no</sub>woczesnej wojny. Siedząc w oddzielnych pokojach mogli testować na sprzęcie miejscowego centrum komputerowego rozmaite ofensywne i defensywne scenariusze starcia. Ćwiczenia te często przypominały partię szachów na wysokim poziomie. Havelichek i jego wieczny oponent, Buford, zakończyli właśnie grę symulującą atak nuklearny pocisków międzykontynentalnych na Stany Zjednoczone. Buford odgrywał rolę dowództwa sowieckiego, a Havelichek kierował obroną graserową z platformy SDI.

— No dobrze, Buford — powiedział pojednawczo Havelichek — wczoraj rano czytałem wyciąg ze scenariusza, który mi przysłałeś, i nie znalazłem żadnej wzmianki o ataku spod wody. — Widząc, że Buford jakby stracił nieco pewności siebie, kontynuował: — Otóż, nie mając nic lepszego do roboty wczorajszego popołudnia, postanowiłem jeszcze raz skontrolować program i natrafiłem na coś, co mnie zaskoczyło. Wyobraź sobie, że ktoś, nie mam pojęcia kto, ustawił ruski okręt podwodny klasy Tajfun przy wybrzeżu Bermudów. Pomyślałem sobie, że jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, i wieczorem zaprogramowałem dodatkową platformę kosmiczną.

Buford próbował odzyskać utraconą inicjatywę:

— Nie możesz oczekiwać, że atak nastąpi całkowicie zgodnie z przewidywaniami. Zawsze powinien zawierać element zaskoczenia.

Na szczupłej twarzy Havelichka pojawił się szeroki uśmiech.

— Domyślam się, że dopóty wszystko jest w porządku, dopóki ciebie się nie zaskoczy. Czy o to ci chodzi?

Buford wpadł we wściekłość.

— Posłuchaj, draniu. Siedział u mnie jako obserwator zastępca sekretarza obrony. Przez ciebie wyszedłem na dumnia! Havelichek westchnął.

~ W tym zakresie radzisz sobie doskonale także bez mojej pomocy.

Buford wydał jakiś zdławiony dźwięk, odwrócił się na pięcie <sup>l</sup> trzasnął drzwiami.

Gilda zajęła się doprowadzeniem do porządku okularów.

~ Czy nie uważasz, że byłeś dla niego nieco zbyt szorstki?

Havelichek wzruszył ramionami.

Nie wiem. Może. Wyzwierzęca się na mnie, odkąd tu przyszed-

<sup>m</sup> To prawdziwy despota. A przez ostatnie pół roku robi się coraz sorszy.

^Havelichek miał trzydzieści dwa lata, Buford pięćdziesiąt dwa. szyscy w Livermore zdawali sobie sprawę, że najdalej za rok

124

Havelichek zostanie szefem Buforda. A ten ostatni nie umiał pogoda się z sytuacją. Przy każdej okazji stosował wobec młodszego kolegi chwyt poniżej pasa. Bez powodzenia. Havelichek z reguły bywał górą. Havelichek był zastępcą dyrektora Lawrence Livermore Laboratory do spraw informatyki, przydzielonym do zespołu Inicjatywy Obrony Strategicznej. Niedługo cudowne dziecko w dziedzinie matematyki mając dwadzieścia trzy lata uzyskał doktorat z informatyki w Stanach Zjednoczonych. Od początku kariery zawodowej związany był z Livermore gdzie stał się naczelnym guru od techniki kierowania systemami obronnymi SDI. Właśnie dzięki jego rewolucyjnym rozwiązaniom w dziedzinie technologii komputerowej i sztucznej inteligencji funkcjonowanie platformy stało się w ogóle możliwe. Powstrzymanie ataku pocisków balistycznych wymagało uporania się z tak ogromną ilością informacji w tak ściśle ograniczonym czasie, że komputery konwencjonalne — nawet superkomputery Cray — były zbyt powolne, żeby temu podołać. Sprawę rozwiązał dopiero komputer dowodzenia PRISM, zaprojektowany przez Havelichka i wdrożony przez jego zespół. Z tego powodu powszechnie uważano za rzecz przesadzoną rychłą nominację Havelichka na dyrektora do spraw informatyki całego laboratorium.

Drzwi otworzyły się znowu. Tym razem była to drobna blondynka.

— Panie doktorze!

— Słucham, Ginny.

— Doktor Waverly chciałby się zaraz zobaczyć z panem w swoim biurze. Bardzo nalegał, że to pilne.

Havelichek spojrzął na Gildę i oboje wzruszyli ramionami.

— W porządku — rzekł — powiedz mu, że już idę.

Umówił się z Gildą na popołudnie, następnie wyszedł z budynku symulacji, kierując się ku kompleksowi dyrekcyjnemu.

Wprawdzie tors miał cherlawy, ale nogi silne i sprężyste. Zawdzięczał to zamiłowaniu do kolarstwa; zwykł przejeżdżać na swym peugeotie o dziesięciokrotnej przekładni ponad dwieście kilometrów tygodniowo. Wytrenowane nogi niosły go teraz szybko przez kampus.

Livermore Laboratory było zbiorowiskiem bezładnie rozrzuconych budynków, przypominających wyglądem domy towarowe; prawdopodobnie największym na świecie skupiskiem specjalistów w dziedzinie nauk ścisłych. Powstałe w 1952 roku i prowadzone wspólnie przez Uniwersytet Kalifornijski i Departament Energetyki, miało jasno wytknięty cel — badanie i doskonalenie broni jądrowych.

Laboratorium rozrosło się wszakże od czasów założenia, zapewniając realizację zdumiewająco szerokiego zakresu programów, tylko obronnych, ale i naukowych — od spawania laserowego r badania biomedyczne i w dziedzinie sztucznej inteligencji. Na J<sup>B</sup>

trum komputerowe składało się cztery tysiące komputerów osobis-<sup>h</sup> oraz dziewięć superkomputerów Cray; wszystkie razem tworzyły <sup>^</sup> obejmującą cały kompleks, zwaną LABNET. Podczas lunchu <sup>S</sup> którejs z miejscowych restauracji częściej słyszało się rozmowy \* fizyce plazmy, laserowym wyodrębnianiu izotopów, spektroskopii <sup>0</sup> multimegadzulach niż, powiedzmy, o wynikach sportowych. <sup>C</sup> Spraw- najważniejszą w Livermore stały się wszakże Wojny Gwiezdne. A Havelichek był w tej dziedzinie jedną z dwóch głównych postaci. Kiedy wszedł do biura Waverly'ego, zastał tam już tę drugą.

— O, cześć, Garrett — powiedział, witając Sharpa, wynalazcę gräsera.

Sharp („Nie nazywaj mnie Gary!”) był jeszcze młodszy, liczył sobie dwadzieścia dziewięć lat. Niepodobny do bystrookiego Have-lichka, zbudowany raczej masywnie, nosił brodę i okulary o niewiarygodnie grubych trój ogniskowych soczewkach.

— Chciał pan mnie widzieć, panie dyrektorze? — zagadnął Havelichek Waverly'ego.

— Tak, obu panów — odpowiedział zza biurka postawny dyrektor. — Wiem, że się tego nie spodziewaliście, ale obaj jedzicie dziś do Waszyngtonu, chłopcy!

Dwaj naukowcy spojrzeli z lekka zdziwieni.

— Po co? — zapytał Sharp.

— Zabij mnie, a nie wiem! — powiedział Waverly, biorąc cukierek z czary stojącej na jego biurku. — Wiem tylko tyle, że dzwonił do mnie sekretarz obrony i powiedział, żeby was obu szybko przetransportować do stolicy. Bardzo szybko.

Havelichek poczuł, że go to zaciekawia.

— W porządku, mam w biurze spakowane rzeczy osobiste. Powiem Gildzie, żeby zadzwoniła do TWA...

Przerwał mu łoskot wirnika tnącego powietrze. Przez okno zobaczyli ogromny śmigłowiec Sikorsky Sea King, siadający na lądowisku koło budynku dyrekcji. Na jego kadłubie widniał napis: US NAVY.

— Zapomnij o swoim bagażu! — przekrzykiwał hałas Waver-y— Kazano mi wsadzić was natychmiast do tego helikoptera!

*Dzień 2., 16:30 czasu Greenwich, 8:30 miejscowego aza Sił Powietrznych Edwards, Kalifornia*

Ł>źwięk dzwonka wwiercił mu się w mózg niby zimne ostrze, głów<sup>o</sup> °durzającą falę dokuczliwego bólu. Naciągnął koldrę na <sup>h</sup> <sup>czwone</sup> przypominało pneumatyczną wiertarkę udaro-

' °yło bezlitosne, nie chciało ustać. Z przepastnych głębin

zamroczenia alkoholowego sięgnął do stojącego przy łóżku telefon. Coś spadło i stukło się; ten hałas był również nie do wytrzymani. Rozwścieczony, znalazł w końcu po omacku słuchawkę i na tyle świadomie, na ile był w stanie wycharczał:

— Co to za wpierdalanie się po nocy? Nie czekał długo na odpowiedź.

— Wpierdala się generał major Chester McCormack! Czy to ty, Monaghan?

W ciągu całej swej kariery w marynarce wojennej komandor Leroy Monaghan stosował bogaty zestaw szybko działających środków na kaca — czarną kawę, na przemian gorący i zimny prysznic, sos z mały i tym podobne. Pewna Filipinka zapewniała go, że kropla gazu do zapalniczek w zetknięciu z językiem działa cuda. Próbował tych sztuczek z różnym skutkiem, ale nie pamiętał, żeby coś kiedykolwiek zadziałało tak skutecznie jak ten pieprzony generał major przez telefon.

Odzyskał przytomność i wyjął:

— Och, tak jest, panie generale... Przepraszam, panie generale. Nie wiedziałem, że to pan, generale. Tak to jakoś wyszło, że miałem dziś wolny dzień, panie generale, i nie spodziewałem się...

— Daruj sobie, Monaghan. Jesteś z powrotem na służbie. Weź dupę w troki i leć do hangaru. Stamtąd zadzwoni do mnie używając bezpiecznej linii. Jestem w swoim biurze w Cape. Złap Barnesę, żeby też tam przyjechał.

— Tak jest, panie generale. Ale, och, o co tu w ogóle chodzi?

— Czy w marynarce nie uczyli cię niczego o COMSEC-u? No, rusz się, Monaghan. Lepiej będzie, jeśli mój bezpieczny telefon zadzwoni w ciągu trzydziestu minut.

Na tym skończyła się rozmowa. Monaghan powiedział do głuchej słuchawki:

— Tak jest, wpierdalał się panie generale! — i zasalutował. Następnie padł z powrotem na łóżko, gdyż kac go przytłaczał jak fale ołowianego oceanu. — Oooch. Jezuuu!

Cudowny eliksir otrzeźwiający niespodziewanie przestał działać.

Poprzedniego wieczora w klubie oficerskim bazy odbyło się przyjęcie z okazji przejścia w stan spoczynku jednego ze starszych podoficerów. Z upływem czasu przerodziło się w pijacki pojedynek między owym emerytem a Monaghanem. Pili piwo, martini, słodką wódkę singapurską, boilermakera, „Komfort Południa”, wódkę rosyjską, cutty sark i białoruską, likier Amaretto, irlandzką whisky > courvoisiera, szampana Moët & Chandon i „Dzikiego Indora” ■ Monaghan nie pamiętał, kto zwyciężył. Ani tego, kiedy i jak znalazł się w swoim pokoju, w kwaterze dla nieżonatych oficerów. Wchłonął dawkę alkoholu zbijającą z nóg. Nawet jego.

Ale wzywało go poczucie obowiązku. Zlazł z łóżka i sięgnął

książkę telefoniczną, leżącą na szafce nocnej. Kiedy zdołał zmusić ,we brązowe, nabiegłe krwią oczy do rozróżniania liter, odszukał potrzebny numer i wystukał go. Po dwóch dzwoneczkach podniesiono słuchawkę.

— Halo? Chwila milczenia.

— Davey... tu mówi... Wściekły Pies.

— O, cześć... Co się stało? Myślałem, że dzisiaj mamy wolne. Monaghanowi głos rozmówcy wydał się młodzieńczy i pełen animuszu. Aż do obrzydliwości. On sam, skacowany, z trudem się wysławiał.

— Mieliliśmy. Ale właśnie do mnie dzwonili. Mamy się zaraz stawić w hangarze... Tam się spotkamy.

— Psiakość! — powiedział Barnes. — Miałem sobie pojeździć na motocyklu. Ale dobra, już jadę. Do zobaczenia na miejscu... Cóż taki nie w sosie? Dobrze się czujesz?

— Nie — wybełkotał Wściekły Pies. — Czuję się fatalnie! — I odłożył słuchawkę.

Droga do łazienki była boleśniejsza od wszystkiego, co był sobie w stanie przypomnieć. Napelnił wannę zimną wodą i przez parę minut zanurzał w niej głowę. Potem, oddychając głęboko, przyglądał się swemu odbiciu w lustrze: obrzękłej twarzy oblepionej kosmykami rudych włosów. Wyglądał jak bramkarz hokejowy po meczu, w którym doznał wielu kontuzji.

— Leroyu Monaghanie, komandorze Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych — mruczał do siebie — czemu to właśnie ciebie ten pierdoleniec dopadł, żebyś zrzucił jakieś gówno na środek pierdolonej pustyni kalifornijskiej? — Nie czekając na odpowiedź, ponownie zanurzył głowę w wannie, a następnie udał się pod prysznic.

Monaghan trafił do bazy Edwards w sposób dość nietypowy. Kiedy prace nad Kestrellem nabrały rozmachu, Whittenberg postanowił znaleźć odpowiedniego pilota na oblatywacza prototypu. Wysłał pismo z zapotrzebowaniem na kandydatów.

Zbiegiem biurokratycznych okoliczności trafiło ono na biurko wiceadmirała „Dixie” Lreightona, komendanta Ośrodka Morskich Badań Lotniczych w Patuxent River w stanie Maryland akurat w momencie, kiedy odłożył słuchawkę po rozmowie z żoną. Małżonka poinformowała 8<sup>o</sup> właśnie, że widziano, jak ich najstarsza córka wymykała się tegoż nia wczesnym rankiem w koszarach oficerskich z pokoju niejakiego K<sup>o</sup>rnandora Monaghana.

, "fzed upływem tygodnia Creighton załatwił przeniesienie Monaana do SPACECOM-u i wysłanie go na drugą stronę kontynentu

— Zdobyć



do Edwards, do zadań związanych z programem Kestrel. Wice-mirałowi i jego żonie dało to więcej satysfakcji, niż sprawił zmartwienia ich córce. Już po tygodniu znalazła się w łóżku innego pilota...

Monaghan wyszedł, potykając się, spod prysznic. Nie zwracał sobie głowy goleniem. Naciągnął kombinezon lotniczy i chwiejnym krokiem skierował się do swego porsche 944.

Kapitan sił powietrznych Davey Barnes zapiął pod brodą pasek hełmu ochronnego i zapalił nowiutki motocykl Honda 500cc Inter-ceptor. Prowadzenie motocykla uważał za największą, po pilotowaniu myśliwca F-16, przyjemność, jaką można mieć nie rozbierając się. Delikatnie nacisnął pedał sprzęgła i ruszył.

Barnes mieszkał poza bazą w miasteczku Lancaster. Jadąc do pracy musiał kluczyć po krętych bocznych drogach, zanim się dostał na autostradę prowadzącą do Edwards. Zbliżając się do jednego ze skrzyżowań nie zwolnił, gdyż jeżdżąc tędy prawie codziennie wiedział, że ma pierwszeństwo — na przecznicy stał znak „stop”. Nie wiedział natomiast, że kierowca nadjeżdżającego samochodu combi upuścił właśnie palący się papieros między nogi i gorączkowo starał się go znaleźć.

Zajęty tym przeoczył znak „stop” i wjechał z pełną szybkością na skrzyżowanie. Rozległ się odgłos hamowania, a następnie uderzenia, kiedy samochód najechał na przednie koło motocykla, miażdżąc je doszczętnie. Barnes wyleciał w powietrze, przekoziołkował bezwładnie nad maską pojazdu i spadł na lewą nogę, łamiąc ją.

*Dzień 2., 18:00 czasu Greenwich, 11:00 miejscowego* **Góra Cheyenne**

Major Lydia Strand odstawiła filiżankę z kawą i raz jeszcze przyjrzała się leżącym przed nią aktom personalnym. Były pełne ocen, danych biograficznych, dawnych adresów, rozkazów przeniesienia — słowem stos papierków, nagromadzonych podczas kariery wojskowej. Przejrzała je wszystkie trzykrotnie, bardzo dokładnie, szukając śladu umożliwiającego ustalenie, kto z załogi *Intrepida* jest zdrajcą. Siedząc tak samotnie w sali konferencyjnej czuła się zakłopotana bardziej niż kiedykolwiek. Brakowało jej doświadczenia w prowadzeniu dochodzeń, toteż — badając na rozkaz generała kolejno losów Kapuścińskiego, Mulcaheya i Rodrigueza — zdana była wyłącznie na własny zdrowy rozsądek i inteligencję.

Sierżant sztabowy Tim Kelly wszedł ze świeżą paczką papierosowa Strand wybrała go sobie do pomocy w uporządkowaniu

spra#>

129

Wczesnym rankiem tego dnia został pokrótce wprowadzony afere *„Irene Pida”* - I<sup>on</sup> nie był zawodowym śledczym, niemniej przez \* dgrmnaście z trzydziestu lat swej służby wojskowej działał w wypadzie- Krepy, włosy miał zawsze przystrzyżone na jeża. Strand od pierwszego zetknięcia w sekcji wywiadu instynktownie darzyła go sympatią- Jakież poszlaki? — zapytał.

Odłożyła akta i westchnęła. Bolały ją już oczy i była zmęczona.

— Nic. Wielka niewiadoma. Wszystkie świadectwa służby doskonałe. •• Czuję, że ta sprawa mnie przerasta, ale chciałabym, żebyśmy zrobili wszystko, co tylko jesteśmy w stanie. Rozmawiałam z szefem sztabu. Zgodził się ze mną, że dobrze by było mieć do pomocy jakiegoś fachowca. Niebawem przyślą nam agenta FBI. — Odchyliła się w fotelu. — A jak się tobie wydaje?

Sierżant zapalił.

— Powiedziałbym, że coś takiego musi być motywowane jedną z dwóch rzeczy: szantażem lub ideologią.

Kelly był przekonany, że armia funkcjonuje przede wszystkim dzięki starszym podoficerom. Wprawdzie nie ukończył college'u, ale był kimś w rodzaju naukowca samouka. W kwaterze miał mnóstwo książek o psychologii, o historii Rosji i języku rosyjskim, o technice Wojen Gwiezdných i strategii obronnej. Podczas wojny wietnamskiej przesłuchiwał jeńców z Północy i brał udział w przygotowywaniu zapierającej dech w piersi wyprawy dla uwolnienia amerykańskich jeńców wojennych z Son Tay. Później przydzielono go do zespołu zajmującego się pilotem sowieckim, Wiktoorem Bielenką, który uciekł MiG-iem 25 do Japonii. Nieraz proponowano Kelly'emu pracę w CIA, wołał jednak pozostać w siłach powietrznych.

— Szantaż albo ideologia? Co przez to rozumiesz? — zapytała Strand.

— To, że albo zdradził z własnej woli, albo został do tego zmuszony — odpowiedział Kelly, bawiąc się zapalniczką.

Przez następną godzinę rozpatrywali problem pod kątem tezy Kelly'ego, próbując znaleźć dla niej jakiś punkt zaczepienia w aktach załogi wahadłowca. Bez skutku. W końcu sierżant powiedział:

"~ No dobrze, a co z tym Kapuścińskim? Pochodzi ze wschodniej turopy, nieprawdaż? Może zatęsknił do rodaków i ojczystego kraju?"

Strand otworzyła teczkę.

~ Dwieście dwadzieścia trzy loty bojowe w Wietnamie, Distin-Stushed Flying Cross, Srebrna Gwiazda i dwa Purpurowe Serca. **Latał** na Thunderchiefach F-105 i Phantomach F-4. To as. Zestrzelił

<sup>esc</sup> MiG-ów. Nie wygląda mi na sympatyka komuchów. Ani mnie — zgodził się Kelly.

^ Poza tym — ciągnęła Strand — ci, co znali Lodowca, wiedzą

130

co myślał o Wietnamie. Zawsze ubolewał, że nie załatwiliśmy sprawy bronią nuklearną. Brev sierżanta uniosła się.  
— Serio. Także to, że jego rodzice przybyli z Polski. W NASA krążyły plotki, które dotarły i do mnie, że jego matkę pode-  
drugiej wojny światowej zgwałciła banda sowieckich żołnierzy.

Kelly potrząsnęła głową.

— Chryste! Jeśli traktujemy sprawy bezpieczeństwa kraju pow~ nie, powinniśmy porozmawiać z jego matką. Czy jeszcze żyje?

Strand spoważniała.

— Nie. Zabito ją przed laty w Chicago podczas włamania. Kelly nie przestawał bawić się zapalniczką.

— A co wiemy o Rodriquezie? Pochodzi ze slumsów we wschodniej dzielnicy Los Angeles. Cały czas dostawał stypendia.  
Może nędza, jakiej zakosztował w dzieciństwie, zaszczepiła mu jakąś sympatię do systemu socjalistycznego?

Strand zastanawiała się już nad tym wcześniej. Niewiarygodnie zdolny Jerry był dziwnym facetem. Pamiętała, że w ogóle nie obchodził go problem obecności Stanów Zjednoczonych w Ameryce Środkowej. A czasami podlizywał się władzom...

— Być może... — powiedziała.

Zadzwoił telefon. Strand odebrała. Po paru sekundach powiedziała:

— W porządku. Daj go do sali konferencyjnej. — Odkładając słuchawkę, rzuciła Kelly'emu: — Przyjechał nasz ważniak.

Wkrótce potem funkcjonariusz żandarmerii lotniczej przyprowadził agenta FBI. Strand i Kelly podnieśli na niego oczy...

potem wyżej... i jeszcze trochę wyżej. Sierżant pomyślał, że przez pomyłkę przysłano im jakiegoś koszykarza.

Wyciągnęło się do nich wielkie łapsko, a gruby głos powiedział:

— Cześć. Walt Tedesco. Agent specjalny. Biuro FBI w Denver. Oboje uścisnęli mu dłoń ostrożnie, obawiając się kontuzji, i przedstawili się. Agent rozglądał się po otoczeniu.

— No, całkiem niezłą macie organizację. Żeby się tu dostać, przeszedłem przez pół tuzina kontroli. Nie miałem pojęcia, że to wszystko jest pod ziemią.

Kelly skinął głową, przyglądając się agentowi Tedescowi. Skojarzył mu się z koszykówką, bo wyglądał jak główny trener Chicago Bears, Mike Ditka — miał na czole podobny wdowi kosmyk, takie sam\* wasy i w ogóle wszystko.

— Cóż — powiedział — nie miewamy zbyt wielu gości tutaj, <sup>w</sup> wewnątrz góry.

— A więc nie będę ukrywał, że byłem trochę podekscytowany, kiedy dziś rano zadzwonił do mnie sam dyrektor —

oświadczył Tedesco. — Kazał mi stawić się tu w te pędy. Mam wam udzielić\*

wszelkiej pomocy, jakiej tylko będziecie potrzebowali.

131

Strand odetchnęła z ulgą.

Dobrze. A zatem, agencie Tedesco, proszę usiąść i zrelaksować •. Mam panu do powiedzenia coś, w co po prostu trudno będzie anu uwierzyć. A jest ważne, żeby pan uwierzył. I to szybko.

przez następne dwadzieścia minut pośpiesznie relacjonowała mu aferę *Intrepida*, a Kelly w tym czasie dolewał kawy i obserwował, jak oczy ważniaka stają się coraz większe i większe. Wreszcie, gdy już wyglądało na to, że wyskoczą mu z oczodołów, Tedesco zerwał się z krzesła i zaczął szybko chodzić tam i z powrotem po sali.

To nie do wiary! Absolutnie nie do wiary! To tysiąc razy gorsze niż szpiegowska komórka Walkera. Znam tamtą sprawę. Rozpracowywałem ją, kiedy stacjonowałem w Kalifornii. — I dalej chodził tam i z powrotem, jak Ditka wzdłuż linii autowej, żeby się uspokoić. Potem podniósł swe ogromne łapsko. — Proszę się nie martwić, panienko! Przejmuję tę sprawę. Dostanę do tego w ciągu godziny dwudziestu agentów i zaczniemy na nowo przekopywać wszystko, co dotyczy tych ludzi...

„O, bombowo! — pomyślała Strand. — Musieli mi przysłać supermana”.

— Obiecuję pani, że już wieczorem będziemy mieli...

— Nie! — oznajmiła Strand. Tedesco stał, zbity z pantalyku.

— Nie dostyszałem?

— Powiedziałaś: nie! — powtórzyła. Agent nie mógł zrozumieć.

— O co, do diabła, pani chodzi? Trzeba ustalić, co się stało. Czy zdaje pani sobie sprawę, że może w to być zamieszanych więcej osób? Niewykluczone, że on może mieć współnika właśnie w tej bazie. Pod samym waszym nosem. Musimy więc...

— Agencie Tedesco — powiedziała stanowczo Strand — proszę wysłuchać mnie uważnie. Po pierwsze, to ja kieruję tym śledztwem <sup>z</sup> rozkazu generała Whittenberga. Dopóki nie dostanie pan innych Poleceń, będzie pan pracował dla mnie. Po drugie, jeśli pan spuści ze smyczy sforę swoich agentów i zacznie wszystko przewracać do góry nogami/zrodzą się pytania, dlaczego przesłuchujecie ludzi. Oznaczałoby to pewne włączenie się prasy. Jeśli jest jakiś współnik, nie chcę go spłoszyć, zanim nie będziemy gotowi, a wiadomość w gazecie robi |° w sekundę. Poza tym, wszystko, co robimy, jest ściśle tajne. .

Jatego właśnie jest nas tylko troje. Użyjemy naszych mózgów

jedziemy postępowali dyskretnie. Porozmawiamy tylko z tymi, którymi trzeba. Jeśli schrzanimy robotę, ja będę za to odpowiadać, <sup>ne</sup> Pan. A teraz, jeśli ma pan jakieś zastrzeżenia, proszę tylko Powiedzieć. Wtedy mój szef zadzwoni do pańskiego dyrektora załatwi nam niezwłocznie kogoś innego, kto pana zastąpi.

132

Ważniaka zatkało. Spotulniał i wyjąkał:

— Ach, nie... Nie sądzę, żeby to było konieczne...

Kelly zakrył dłonią usta, żeby ukryć uśmiech. Agent FBI nie był pierwszym, którego na jego oczach usadziła pani major. Ludziom bardzo zależało, żeby młoda dama nie uznała ich za niezdolnych do podołania zadaniu, którym się zajmowali. Nagle w oczach Tedesco pojawił się błysk zrozumienia.

— Czy to nie pani parę lat temu pilotowała wahadłowiec? Pamiętam relację w „Newsweeku”.

— Tak — przyznała — to byłam ja.

— Och, więc w porządku — powiedział Tedesco, jakby uznał, że przeszła z pozytywnym wynikiem test lakmusowego papierka.

— To dobrze — odpaliła. — A zatem, mamy tu akta personalne trzech osób. Chcę pańskiej rady, jak powinniśmy postępować, mając na uwadze ograniczenia, o których wspomniałam.

Po dwudziestu dwóch latach służby, w tym kawał czasu w kontrwywiadzie, Tedesco dobrze wiedział, od czego zacząć. Najpierw przejrzy te akta, a potem będziemy się cofali w przeszłość. Zapoznamy się z miejscami, gdzie mieszkali, szukając jakichś namacalnych dowodów. Porozmawiamy z krewnymi, znajomymi, rzecz jasna dyskretnie. Musimy wymyślić sobie jakiś pretekst. Zajrzeć do kont bankowych, do rachunków, kart kredytowych, rozejrzeć się za czymś odbiegającym od normy, co mogło pozostawić ślad w papierach. A to znaczy, że przystępujemy do zdzierania zelówek.

— W porządku — zgodziła się Strand — każdy z nas zajmie się jednym z załogi. Agencje Tedesco, chciałabym...

— Mów mi Walt.

— Dobrze, Walt. Weźmiesz Rodriqueza. Piszę się przez „q”, nie przez „g”. Dam ci pokój, żebyś mógł szczegółowo zapoznać się z jego aktami. Przykro mi to mówić, ale Timowi i mnie wydaje się on najmniej pewny. Mieszkał w Houston. Był cywilnym pracownikiem NASA. Załatwimy ci transport. Jeśli już o tym myślimy, możemy potrzebować jakiejś dodatkowej pomocy od twojego biura przy sprawdzaniu najbliższej i dalszej rodziny, żeby się upewnić, czy są czyści. Mogłoby to stanowić potwierdzenie naszego scenariusza zakładającego szantaż.

Agent skinął głową.

— Nie ma sprawy. Zajmiemy się tym od razu, oczywiście

po

cichu. Przypuszczam, że adresy rodziny i inne dane są w tych aktach-

— Słusznie — powiedziała Strand. — Tim, ty weźmiesz swego ziomka, Irlandczyka, Mulcaheya. Mieszkał w bazie Peterson. Tylko on miał żonę i dzieci. Może lepiej, żebyś tam pojechał i upewnił się, że z nimi wszystko w porządku. A przy okazji spróbuj sprytnie coś z nich wyciągnąć o Franku. Bądź ostrożny rozmawiając z jego żoną<sup>3</sup>.

v A właściwie może byłoby lepiej, gdybym wzięła to na siebie? Przecież ja ją znam...  
Nie, majorze — tym razem Kelly był stanowczy. — Ja też nam ich oboje. Nie za dobrze, ale znam. Będę ostrożny. z  
odetchnęła z ulgą.

\_ Dzięki, Tim. Zorientuj się w trakcie rozmowy, jak wiele możesz jej powiedzieć. Walt ma rację, że musimy jeszcze wymyślić jakąś wiarygodną bajeczkę, pozwalającą ukryć nasze prawdziwe

motywy-

— Zrozumiano.

Na zakończenie Strand powiedziała:

\_ Ja wezmę na siebie Lodowca. Mieszkał w kwaterach dla nieżonatych oficerów w Peterson.

— Kto? — spytał agent.

— Lodowiec to radiowe hasło wywoławcze Kapuścińskiego. Rodzaj przewiska.

— Rozumiem — powiedział agent Tedesco. — Będziemy też potrzebowali upoważnień. Wystaram się o nie na zasadzie *in camera*.

— Na jakiej zasadzie? — zapytała pani major.

— *In camera*. Prawnicy nazywają to tajemnicą śledztwa. A swoją drogą, chciałbym zobaczyć minę sędziego, kiedy minister sprawiedliwości wyjawia mu powód wszczęcia śledztwa.

I Tedesco zaczął się śmiać.

*Dzień 2., 19:30 czasu Greenwich, 13:30 miejscowego F-14 Tomcat nad Kansas*

Po wyciągnięciu końcówki z otworu paliwowego Tomcata długi czarny wąż zaczął się wic wpełzając do tylnej części samolotu tankowca KC-135. Porucznik marynarki wojennej Mike „Blackjack” Pershing nacisnął wyłącznik kolankowy i obserwował, jak osłona otworu paliwowego jego myśliwca chowa się pod obudowę kabiny, kiedy F-14 szedł na dopalaczach, zużywał paliwo w olbrzymim tempie. To już drugie tankowanie w powietrzu podczas tego lotu, miało być jeszcze jedno, zanim dotrą do bazy sił powietrznych Andrews pod Waszyngtonem. Był to raczej ekstrawagancki sposób Podróżowania, ale umożliwiał przelot transkontynentalny w trzy godziny z niewielkim okładem.

Pershing przyglądał się, jak tankowiec kładzie się na prawe

ustronisko. Pozdrowił go, podnosząc kciuk lewej dłoni i powiedział „dobry wieczór” przez radio:

~7 Naprawdę nas po dziurki w nosie. Słodka Thang. „mten” odpowiedział mu tym samym gestem.

134

— Czołem, Blackjack. Zawsze gotowa do usług. Pershing włączył telefon pokładowy.

— No, jak tam z tyłu? Gotów do dalszego lotu? Havelichek zdecydowanie nie był gotów. Marzył, żeby już być z powrotem w Livermore i zestrzeliwać na komputerze ruskie międzykontynentalne pociski balistyczne. Prosto z biura Waverly'ego zostali wraz z Sharpem porwani śmigłowcem do bazy powietrznej marynarki w Almeda nad zatoką San Francisco. Tam odziano ich w ciśnieniowe kombinezony lotnicze i wsadzono do tylnych kabin dwóch myśliwców przechwytyjących o wysokich osiągach. Następną rzeczą, o jakiej się dowiedzieli, było, że pędzą ponad Wielką Pustynią Amerykańską z prędkością macha dwa.

— Powiedz — zwrócił się do niego Pershing, poświęcając pasażerowi nieco uwagi — dobrze się tam czujesz?

— Och... Taak, myślę, że tak — odpowiedział Havelichek znękany głosem. — Tylko że... zdaje mi się, że zapomnieliśmy w Oakland mojego żołądka.

Pershing roześmiał się.

— Hej, nie bój się tego, Ryżowy Czechu.

Tak to Havelichek został ochrzczony lotniczym hasłem wywoławczym.

— Dostarczę cię na miejsce ze wszystkimi organami w komplecie. Stary mi powiedział, że wylecę, jeśli się będę wykręcał od robienia za taksówkarza. Nie wiem, co z was za faceci, ale musicie być jakimiś ważniakami. Założę się, że ustanowimy rekord lotu z przedłużonym dopalaniem.

— To dla mnie zaszczyt być na pokładzie — odpowiedział nerwowo Havelichek, obserwując, jak ruchome skrzydła myśliwca składają się.

Pershing ponownie włączył radio.

— Halo, Kansas City, tu Oscar-Tango-Mike jeden-jeden-cztery. Macie mnie w wojskowym rozkładzie lotów, to lot ze specjalnym pierwszeństwem. Proszę o pozwolenie na wejście na czterdzieści siedem tysięcy dla naddźwiękowego wektora kursem zero-osieffl-

-siedem. Odbiór. Po krótkiej chwili usłyszał:

— Potwierdzam, jeden-jeden-cztery. Twój lot był awizowany-Macie wolną drogę. W najbliższym sąsiedztwie nie ma nikogo p<sup>oza</sup>

waszym KC jeden-trzy-pięć. Skończyłem.

— Dziękuję, Kansas. Jeden-jeden-cztery wyłącza się. Pershing przełączył się na częstotliwość łączności lotniczej.

— Dobra, Słodka Thang. Widzę cię na czterdziestu siedmiu tysięcy na moim kursie. Zaczynam odliczanie wsteczne... trZm  
dwa... jeden... już!

popalacze obu myśliwców zaskoczyły. Samoloty pomknęły ku niebu pod kątem osiemdziesięciu stopni. Dało się słyszeć, co miał do powiedzenia Havelichek. O, kuuurwaaa!

*Dzień 2., 20:03 czasu Greenwich, 22:03 miejscowego* **Lotnicze Centrum Komputerowe, kosmodrom w Plesiecku**

\_ Interesujący problem — skomentował dyrektor Centrum Komputerowego, Iwan Pirdilenko.

— Problem? — w głosie sekretarza generalnego zabrzmiał niepokój. — Jaki problem, dlaczego? Możemy przecież zestrzelić amerykański wahadłowiec ratunkowy, jeśli wystartuje z Florydy, prawda?

Pirdilenko skubał swą vandyckowską brodę.

— Och, tak. Ma się rozumieć. Z pewnością możemy. Ale o ile dobrze zrozumiałem, nie chcecie, towarzyszu sekretarzu generalny, uszkodzić tego amerykańskiego wahadłowca, który już jest na orbicie. Czy mam rację?

— *Da* — odpowiedział Woroncki.

— Aha! — stwierdził Pirdilenko. — I to jest właśnie problem.

W sekretarzu generalnym narastało wzburzenie; grubo ciosaną twarz wykrzywił mu grymas.

— Nie rozumiem... — wyznał.

Przeświadczony o niechęci Popowa do użycia, gdyby zaszła potrzeba, broni antysatelitarnej, szef KGB Kostiaszak uznał, że lepiej zająć się osobiście przygotowaniami, niż je komukolwiek Powierzać. Przekonał więc sekretarza generalnego, by polecieli razem <sup>na</sup> kosmodrom w Plesiecku, gdzie — z pogwałceniem zawartego <sup>z</sup> amerykańskimi traktatu — zostały ukryte przed inspekcją ONZ sowieckie zasoby tego typu pocisków. Tam trafili do dyrektora

<sup>o</sup>trum Komputerowego, przeraźliwie chudego pięćdziesięciolatka, którym ich wysokie stanowiska zdawały się nie robić wrażenia, -fascynował go natomiast techniczny aspekt zadania, które mu

ecili. Bowiern to właśnie Pirdilenko i jego ludzie ustalali i pro-

amowali orbity satelitów, których około siedemdziesięciu rocznie <sup>e</sup>. Puszczano <sup>z</sup> Plesiecka. Należał również do czołowych sowieckich <sup>L</sup>: Pertów od pocisków antysatelitarnych, był też twórcą systemu <sup>R</sup>wania nimi.

<sup>p</sup><sub>0</sub><sup>^</sup>. <sup>^</sup>o naprawdę bardzo proste — tłumaczył Pirdilenko. — <sup>bę</sup><sup>^</sup> <sup>co</sup>-<sup>z</sup>eliście, towarzysze, że wahadłowiec ratunkowy na pewno <sup>Po</sup> <sup>u</sup><sup>6</sup> <sup>pr</sup><sup>0</sup><sup>D</sup>o<sup>o</sup>wał spotkać się z *Intrepidem* najszybciej, jak tylko się da startowaniu.

136



Sekretarz generalny kiwnął potakująco głową. Pirdilenko ws z za biurka obstawionego komputerami i wzbudnikami zdalnymi. *i*

— Zaraz wam to wyjaśnię — powiedział cierpliwie, a zwracając się do szefa KGB zapytał: — Jak się nazywacie, towarzyszu?

— Kostiaszak — odpowiedział mały człowieczek, wypuszczając kłąb dymu z pallmalla.

Dyrektor Centrum zdradzał nauczycielskie zapędy.

— Podejdźcie tu... i wyrzućcie tego papierosa. U nas się nie pali, Kostiaszak posłusznie zdusił papierosa i podszedł do Pirdilenki.

— A więc, towarzyszu sekretarzu generalny — rozpoczął Pirdilenko — oto, jak to wygląda. Powiedzmy, że Kostiaszak jest promem ratunkowym, startującym z Florydy. — Pirdilenko cofnął się kilka kroków, by zwiększyć odległość między sobą a Kostiaszakiem. — Przyjmijmy dalej, że ja jestem *Intrepkiem* i poruszam się po orbicie z prędkością siedmiu kilometrów na sekundę. Ponieważ prom ratunkowy tuż po starcie wznosi się stosunkowo powoli, Kostiaszak musi wystartować z wyprzedzeniem, jeśli mamy się spotkać. Inaczej, ja mu ucieknę... A więc on wystartuje i dojdzie do spotkania — Pirdilenko podszedł blisko do małego człowieczka — a wtedy nie sposób zniszczyć promu ratunkowego, nie uszkadzając przy tym *Intrepida*. Oba statki będą leciały zbyt blisko siebie, a nasza broń antysatelitarna nie jest aż tak „chirurgicznie” precyzyjna, jak utrzymują Amerykanie. Rozrzut odłamków jest dość szeroki, tak że obydwa zostałyby niewątpliwie trafione. Przerwał na chwilę, skubiąc bródkę. — Aby nie uszkodzić *Intrepida*, lecz zniszczyć prom ratunkowy, musimy go trafić zaraz po starcie, jeszcze w fazie wznoszenia, jak to widzieliśmy na przykładzie moim i Kostiaszaka. Pozostaje więc nam okropnie ciasne okienko czasowe, żeby zidentyfikować, wysledzić, odpalić pocisk i trafić cel... a nigdy jeszcze nie przeprowadzaliśmy jakiegokolwiek próby symulującej tego rodzaju zdarzenie. Czy rozumiecie teraz, o co chodzi, towarzyszu sekretarzu generalny?

Woroncki nie był zadowolony.

— Obawiam się, że tak, towarzyszu. Pirdilenko zaś kontynuował:

— Dodatkową trudność stwarza fakt, że Amerykanie niewątpli\* wystartują, kiedy orbita *Intrepida* będzie przechodzić nad Florydą-Podszedł do globusa na biurku, okolonę pierścieniem, kto można było swobodnie manewrować, przypominającego wygląd żyroskop. — Ta orbita jest odrobinę poza zasięgiem Plesiec Będziemy musieli poczekać z wystrzeleniem pocisku ze dwie. rn trzy godziny, dopóki nie znajdziemy się pod ich trajektorią orbitalną.-Zanim do tego dojdzie, wahadłowce będą miały dość czasu,

by «

spotkać.

137

Sekretarz generalny był zbulwersowany, a Kostiaszak ostrożnie

zapytał:

Czy chcecie powiedzieć, że nie ma sposobu powstrzymania romu ratunkowego bez równoczesnego zniszczenia *Intrepida!* Pirdilenko zdjął okulary i przecierał je połą laboratoryjnego fartucha.

Normalnie nie ma. Ale tutaj sytuacja jest wyjątkowo sprzyjająca. To nie gra w szachy, znamy bowiem następny ruch przeciwnika. Więc jeśli chcecie to wykorzystać, możemy dać mu mata. — Założył ponownie okulary. Szef KGB rzucił tylko jedno słowo:

— Jak?

Pirdilenko najwyraźniej nie przejmował się faktem, że gra szła o wszystko. Traktował to jako pojedynek na umiejętności techniczne, właśnie rodzaj szachów. Przyprowadził ich znowu do globusa i w ciągu dziesięciu minut cierpliwie wyłożył szczegółowo swój plan zaskoczenia przeciwnika i zdmuchnięcia z nieba *Constellation* bez uszkodzenia *Intrepida*. Kiedy skończył, Woroncki odzyskał dobry humor.

— Wspaniale! — oświadczył, a Kostiaszak mu przytaknął.

— Powiedźcie, czy macie wszystko, czego wam trzeba? — zapytał sekretarz generalny. — Absolutnie wszystko?

Pirdilenko dobrze wiedział, czego mu trzeba.

— Muszę dostać dane orbitalne z Ośrodka Ostrzegania, żebym mógł wyliczyć wektory przechwycenia i odpowiednio zaprogramować komputer pokładowy pocisku.

Woroncki poczuł się w tym momencie całkowicie zagubiony. Nowoczesna technika zawsze mu imponowała.

— Zdumiewające! Chcecie powiedzieć, że naprawdę możecie zaprogramować komputer i wysłać go w kosmos, żeby pokierował pociskiem?

Pirdilenko wysunął szufladę biurka.

— Ma się rozumieć, towarzyszu sekretarzu generalny. Rzeczywiście programujemy instrukcje wytyczające lot na pastylkach krzemowych, takich jak ta — wyciągnął jedną z szuflady i pokazał — P° czym włączamy ją do systemu obwodów elektrycznych pocisku.

Woroncki uśmiechnął się, wziął do ręki małą, mniejszą od opiejki, pastylkę i obejrzał z szacunkiem.

. ~~, Niewiarygodne! — westchnął. — Któryż to z naszych za-kow<sup>ow</sup> produkuje takie чудо? Instytut Elektroniczny w Char-

Pirdilenko zaprzeczył ruchem głowy. Ale sekretarz generalny był jzecież kiedyś ministrem Gosplanu i szczyił się znajomością Reckiego przemysłu.

— Hm!... W takim razie muszą pochodzić z Centralnych Zakład Przemysłu Obronnego w Wołgogradzie.

Pirdilenko ponownie pokręcił głową. Zbity z tropu Woronckij zapytał:

— Któż zatem wytwarza to urządzenie?

— Texas Instruments! — odparł Pirdilenko.

— Co?! — wrzasnął sekretarz generalny.

— *Da* — potwierdził spokojnie dyrektor. — Sprowadzamy je » pośrednictwem pewnej spółki francuskiej, zajmującej się sprzedażą uzbrojenia. Wolę półprzewodniki z Texas Instruments, ale kiedy nie można ich dostać, używamy Fujitsu. Tamte kupujemy poprzez inne towarzystwo z Singapuru.

Jakkolwiek brzmi to może niewiarygodnie, rosyjskie pławy hydro-akustyczne, pociski, okręty i samoloty funkcjonują dzięki stosowaniu półprzewodników amerykańskich, zachodnioeuropejskich i japońskich. Przyczyny tego są proste: sowieckie wyroby tego rodzaju często nie spełniają oczekiwań, a zachodnie dostępne są w szerokim asortymencie na rynkach całego świata. Nawet stosując restrykcje eksportowe i ograniczając współpracę do godnych zaufania producentów, rządy zachodnie nie były w stanie zahamować owego przepływu „trefnej” technologii do Związku Sowieckiego. Dokonywał się poprzez rozmaite firmy, stosowanie wybiegów oraz szpiegostwo.

Zjawisko to, z pewnością niekorzystne dla Zachodu, wprawiło w ogromne zakłopotanie sekretarza generalnego. Opadła mu szczęka, kiedy dowiedział się, gdzie wyprodukowano drobiazg, który trzymał w ręku. Rzucając pastylkę krzemową na biurko, powiedział przez zęby:

— Widać, że towarzysz Pirdilenko rzeczywiście ma wszystko, czego mu potrzeba, Witalij!

I wyszedł gwałtownie z pokoju.

Kostiaszak zaś zdecydował się złamać obowiązujący w Centrum zakaz i zapalił następnego pallmalla. Zanim się odezwał, poczekał, aż zamkną się drzwi za Woronckim. Czuł się dobrze w towarzystwie Pirdilenki, podobała mu się jego pewność siebie. Kostiaszak to lubił, tak jak nie znosił arogancji.

— Dopilnuję — powiedział — żebyście dostali dane z Ośrodka Ostrzegania, ale nie kontaktujcie się z nimi bezpośrednio.

—\* Wyciągnął wizytówkę. — Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, towarzyszu, zadzwońcie pod ten numer, bez względu na porę, nawet w nocy, i rozmawiajcie ze mną osobiście. O tej sprawie nie mówcie z nikim poza podwładnymi, na których dyskrekcji możecie polegać-Czy się rozumiemy?

— Ehm... — Pirdilenko głaszcząc brodę, zdawał się być myślami gdzie indziej. — Czyście powiedzieli, że nazywacie się Kostiaszak? 'T zapytał nieprzytomnie.

Szef KGB kiwnął głową.

Wyskoczył z krzesła i twarz Pirdilenki rozjaśniła się.

— Oczywiście! Już sobie przypominałem. To było przed laty...

— ...czyli jeszcze chłopcem. Ileście wtedy mieli lat? Trzydzieści? Czterydzieści? Pokonaliście Berkowskiego w półfinałach okręgu moskiewskiego błyskotliwą obroną sycylijską.

— A potem, w finale, pobił mnie Leskow... — dodał Kostiaszak.

— Ba! — pośpieszył z usprawiedliwieniem Pirdilenko. — Leskow

był starym, doświadczonym wyjadaczem. Pamiętam. Oglądałem to. Byliście sensacją tego turnieju. Najmłodszy arcymistrz od lat. Mogliście zostać mistrzem Związku Sowieckiego. Może nawet mistrzem świata. Mielicie talent. Dlaczego rzuciliście szachy?

Kostiaszak pozwolił sobie na moment refleksji.

— Ojciec był dyplomata. Wyjechaliśmy za granicę i zacząłem interesować się... czym innym.

Pirdilenko westchnął.

— Szkoda. Musimy kiedyś zagrać. Mały człowieczek powoli wypuścił dym.

— Niczego nie rozumiecie, towarzyszu Pirdilenko. Przecież uczestniczymy w najwspanialszej ze wszystkich gier!

*Dzień 2., 21:30 czasu Greenwich, 16:30 miejscowego* **Baza Sił Powietrznych Andrews, Maryland**

Peter Lamborghini miał dosyć i hałasu, i wstrząsów, kiedy treningowy Talon T-38 wysunął wreszcie podwozie do lądowania. Whittenberg kierował samolot na lewy pas zero-dwa w Andrews; Lamborghini z tylnego siedzenia podziwiał lasy Marylandu. Nie był przyzwyczajony do latania jako pasażer na T-38 i nie lubił tego. Ale generałowi podczas tej podróży pilotowanie najwidoczniej sprawiało przyjemność, a Bóg jeden wie, że mężczyźni nie powinno się odmawiać drobnych przyjemności.

Patrzył na piętrzące się przed nim bary, których nie powstydziliby <sup>Si?</sup> drwal. Służył pod Whittenbergiem od dwóch lat i był to najlepszy Przydział w jego karierze, pomimo że nie wiązał się z lataniem.

otężny czarnoskóry był wprost wymarzoną dowódcą. Sprawny, <sup>War</sup>dy, zdecydowany, przywoity i nade wszystko

umiejący cię wysłuchać i działać opierając się na faktach, które mu przedstawiłeś.

Lamborghini znał generałów, którzy po prostu nie przyjęliby do <sup>aw</sup>adomości komunikowania się *Intrepida* z Rosjanami, żeby

sobie

<sup>le</sup> Popsuć poczucia złudnej harmonii. Nie Whittenberg. On umiał

<sup>aw</sup> czło niewygodnym faktom. <sup>am</sup> Lamborghini nie dał się zwieść przejawianym przez Whittenberga

od czasu do czasu paternalizmem. Wiedział, że dowódca w każdej chwili może się przeobrazić we władcę dżungli. Pamiętał, jak pierwszy raz pełnił służbę oficera dyżurnego w Centrum Operacyjnym Obrony Kosmicznej. Siedział w bocianim gnieździe górującym nad prze- stronną salą, kiedy wpadł tam przypadkowo Whittenberg. Był<sub>o</sub> regułą w SPADOC-u, że kiedy oficer dyżurny podniesie słuchawkę — natychmiast ma się mu meldować podwładny na drugim końcu linii. Generał spróbował kontrolnie połączyć się z jednym z monitorów radarowych systemu wczesnego ostrzegania przed pociskami balistycznymi. Operator był o dwa stanowiska dalej, rozmawiał z kolegą. Po trzecim dzwonku Whittenberg wychylił się przez poręcz bocianiego gniazda i ryknął: „Lepiej będzie, jeśli ktoś jednak odbierze ten telefon!” Zrobił to tak głośno, że cała góra zadrżała i wszyscy poczuli natychmiast, że są bezpośrednio nadzorowani. Wręczając słuchawkę Lamborghinemu, powiedział wtedy po prostu: „Nigdy więcej, pułkowniku!”

Pomimo tej reprimendy, Lamborghini zawsze sobie chwalił, że trafił do SPACECOM-u, choć służbę, jaką pełnił we wnętrzu góry Cheyenne, trudno by było uznać za spełnienie wcześniejszych planów.

Peter i jego żona, Juliet — niebieskooka blond piękność pochodzenia norweskiego — pobrali się nazajutrz po ukończeniu uniwersytetu w Wisconsin. Juliet dwukrotnie towarzyszyła mężowi w Wietnamie, wychowywała mu dwie córki, przeszła przez wszystko, czego się oczekuje od żony oficera, łącznie z banalnymi przyjęciami, których zniosła więcej, niż potrafiłaby policzyć. Była wszakże cholernie bystrą damą, mającą własne ambicje. Kiedy ich córki dostatecznie podrosły, a rodzina stacjonowała w Hill, w Utah, zapisała się na prawo w stanowym uniwersytecie. Gdy wychowywanie dzieci nie zmuszało jej już do tajenia swych planów, nie miała zamiaru z jakichkolwiek powodów rezygnować z własnej kariery zawodowej.

W tym samym czasie, kiedy Juliet uzyskała dyplom, Peter awansował na stopień pułkownika i miał objąć stanowisko zastępcy dowódcy skrzydła taktycznego myśliwców F-16 — ostatni szczebel na drodze do samodzielnego dowodzenia. Czterogwiazdkowy komendant Dowództwa Taktycznych Sił Powietrznych starannie prze-słuchiwał Lamborghiniego w związku z nową posadą. Wszystko szło pięknie, dopóki Peter nie powiedział mu z dumą, że Juliet rozpocznie niebawem praktykę prawniczą. Goryłowaty generał oświadczył:

— Nie!

— O co chodzi? — zapytał Lamborghini.

141

Żona zastępcy dowódcy ma zbyt wiele obowiązków: herbatki, pikniki, matkowanie żonom młodszych oficerów. Tego rodzaju rzeczy. Zdaje pan sobie sprawę? — powiedział generał. Lamborghini zaprotestował.

— Ale to ja mam być zastępcą dowódcy. Nie ona. Poza tym dość już poświęciła dla mojej kariery.

— Przykro mi — uciął generał. — Nie da się w tej sprawie negocjować. Bierze pan to stanowisko albo z niego rezygnuje.

Wtedy, jedyny raz w życiu, Peter wpadł w szal. Tak wiele adrenaliny wstrzyknięto mu wtedy do krwiobiegu, że naprawdę nie mógł sobie potem zbyt wiele przypomnieć ze swej ostatniej rozmowy z dowódcą Taktycznych Sił Powietrznych. Poza fragmentami w rodzaju „uparty dureń... bezmózgi neandertalczyk... atawizm”.

Nie został mianowany zastępcą dowódcy.

Już następnego dnia postanowili z Juliet, że złożą podanie o przeniesienie na emeryturę. Ona miała się zająć praktyką prawną, a on prowadzić szkołę latania czy coś równie nieszkodliwego. Zanosilo się na gorzki koniec świetnej kariery lotniczej.

Wtedy właśnie zadzwonił do niego Rodger Whittenberg pytając, czy nie zechcieliby wpaść oboje na weekend do Colorado Springs.

— Wyśle po was specjalny myśliwiec pasażerski typu Sabre — powiedział.

Państwo Lamborghini pojechali do Colorado, a weekend okazał się jak z bajki. Oba stała znalazły wspólny język. Po domowym obiedzie Whittenberg wyciągnął Petera na pogawędkę. Powiedział mu, że SPACECOM uzyskał zgodę na opracowanie prototypu myśliwca kosmicznego o kryptonimie „Kestrel”. Realizacją miały się zająć zakłady Lockheeda, ale Whittenberg potrzebował kogoś na stanowisko zastępcy dyrektora programu, kto raportowałby mu bezpośrednio o postępach prac.

— Oczywiście, wiązałyby się z tym również zapoznawcza przejażdżka wahadłowcem. Czy byłbyś zainteresowany? — zapytał cztero-gwiazdkowiec i dodał: — Słyszałem, że nie idzie ci najlepiej w TAC.

— Dobrze pan słyszał — potwierdził Lamborghini. — Ale co na to powie moja żona?

Urocza pani! — zauważył Whittenberg. — A o co może jej chodzić?

— Chce praktykować prawo... — powiedział ostrożnie Lamborghini.

— Wspaniale. Moja żona jest nauczycielką od przeszło trzydziestu • Myślę, że to ważne dla kobiety, żeby pracowała zawodowo.

w miesiąc później państwo Lamborghini zamieszkali w Colorado Springs. Ich starsza córka przeniosła się na uniwersytet stanowy Boulder, a młodsza zapisała do szkoły średniej w sąsiedztwie. <sup>em</sup> odbył obiecaną przejażdżkę *Antaresem*, a Juliet została

zatrudniona w dziale sporów prawnych pewnej firmy adwokackiej' w Denver. Wprawdzie codzienne dojeżdżanie do pracy było niewygodne, zwłaszcza zimą, ale oboje byli w swoim żywiole. Sprawy ułożyły się jeszcze lepiej, kiedy Whittenberg wciągnął Petera do swego sztabu na oficera wywiadu, a następnie awansował na szefa wywiadu w SPACECOM-ie.

Wszystko zdawało się toczyć w dobrym kierunku. Do chwili kiedy *intrepid* „zdziczał”.

Talon dotknął nawierzchni pasa, a kiedy szybkość spadła dostatecznie, Whittenberg włączył hamulce.

— Piękne lądowanie, panie generale — zauważył Lamborghini.

— Z twoich ust, Pete, to prawdziwa pochwała! — odpowiedział generał. Zgłosił się przez radio do wieży po instrukcje.

Polecono mu, by przeleciał samolot do tymczasowego hangaru służbowego obok hotelu dla pilotów.

— Co o tym myślisz? — zapytał Whittenberg, pokazując palcem. — Para myśliwców F-14 marynarki wojennej parkująca przy naszym służbowym hangarze? Cóż one mogą robić na terenie należącym do sił powietrznych?

— W Waszyngtonie niczemu nie należy się dziwić. Może marynarka zorganizowała wycieczkę jakimś senatorom? —

odpowiedział Lamborghini, który przez pewien czas pracował także w Pentagonie.

— Pewnie. Być może. Sam to parę razy robiłem... Ale wszystko to było, oczywiście, małe piwo w porównaniu z

„przejażdżką zapoznawczą” na którą kiedyś zabrałem Angie Dickinson!

— Mówi pan serio? — zapytał z niedowierzaniem Lamborghini. — Kiedy to było?

— Jeszcze w czasach, gdy kierowałem akademią. Przyjechał Bob Hope z jednym ze swych przedstawień i ona należała do grona wykonawczyń. Pomyślałem, że byłoby miło wpaść z nią w korkociąg...

— Uhuu!

— Nawet w kombinezonie ciśnieniowym wyglądała całkiem ładnie. Doszło do jednego z tych momentów, kiedy znikają

bariery wynikające ze stosunków służbowych — do rozmowy partnerskiej między dwoma mężczyznami. Po chwili Whittenberg westchnął.

— Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi za złe, że to ciebie obarczę złożeniem krótkiego raportu, Pete. Będę się starał sprostać wszelkim pytaniom, jakimi nas potem zasypią, ale myślę, że dobrze mieć jeszcze kogoś do borykania się ze szczegółami.

— Nie ma sprawy, panie generale.

Czy spotkałeś się już kiedyś z prezydentem?

— Nie, panie generale — powiedział Lamborghini. — Widywałem się z wiceprezydentem, kiedy przyjeżdżał do SPACECOM-u, ale nigdy jeszcze z prezydentem.

— No tak. Nie będę ci wmawiał, że to nic takiego. Kilka razy składałem raporty prezydentowi i wiceprezydentowi. Jeśli obaj cię dopadną, to jakbyś przechodził przez wyżymaczkę. Ale jak mówiłem, ja zajmę się odpowiadaniem na pytania. Ty tylko przedstaw im sytuację.

— Tak jest. Myślę, że dam sobie radę. Składałem już raport admirałowi Bergstromowi. Jakoś mi się udało. Sądzę, że z prezydentem pójdzie dużo łatwiej.

Whittenberg zachichotał.

— Stary Bergstrom nie cacka się, prawda?

— Właśnie, panie generale.

— Masz ze sobą slajdy? — Pytał już o to po raz trzeci.

— Mam je w podręcznym bagażu.

Whittenberg pokiwał ku pracownikowi lotniska i na dany znak wyłączył silniki. Kiedy otworzył klapę, podszedł kapitan lotnictwa, zasalutował sprężysto i zapytał:

— Generał Whittenberg?

— To ja, synu.

— Proszę ze mną, panie generale. Polecono mi pana przejąć. Dwaj mężczyźni wygramolili się z samolotu z ręcznym bagażem.

W hotelu dla pilotów wzięli odświeżający prysznic. Poczuli się nie tylko czystszej, ale i mniej zmęczeni. Poza tym Whittenberg pragnął stanąć przed swym najwyższym przełożonym nie w ubiorze lotniczym, ale w pełnej generalskiej gali. Tym bardziej że tego popołudnia mogło dojść do kresu jego kariery wojskowej.

Potem kapitan zaprowadził ich po tarmakowej nawierzchni do wojskowego helikoptera Blackhawk, rozgrzewającego właśnie silniki. Wdrapawszy się na pokład, Whittenberg rozpoznał dwóch pozostałych pasażerów.

— Witam, doktorze Havelichek i doktorze Sharp — pozdrowił ich. — Zawsze miło widzieć obu panów. Szkoda, że w takich okolicznościach.

— Przyjemnie pana znów zobaczyć, generale! — Havelichek starał się przekrzyknąć rosnący hałas wirnika. — Czy mógłby nam pan powiedzieć, czemu tu jesteśmy... i dokąd lecimy?

— Zobaczycie za parę minut! — odkrzyknął Whittenberg. Blackhawk wystartował, a kiedy nabral wysokość, można było zobaczyć w oddali Washington Mail.

<sup>10</sup> — Zdobyć.



*Dzień 2., 22:00 czasu Greenwich, 17:00 miejscowego* **Biały Dom**

Śmigłowiec siadł na trawniku przylegającym od południa do Białego Domu. Kapitan lotnictwa przeprowadził czwórkę **pasażerów** przez posterunek gwardii przy zachodnim wejściu. Znaleźli ją w pomieszczeniu przypominającym nieco wnętrze budki telefonicznej którego ściany najeżone były obiektywami kamer. Każdy **wchodzący** musiał zwrócić lewym okiem do jednej z nich. wtedy błyskał flesz i robiono mu elektroniczne zdjęcie siatkówki. Układ naczyń **krwionośnych** wnętrza gałki ocznej umożliwia identyfikację równie **dobrze** jak linie papilarne. Komputer porównywał fotografię z **rejestrem** analogicznych zdjęć dotychczasowych gości Białego Domu, **które** przechowywał w swej pamięci. Operacja trwała najdłużej w **wypadku** Lamborghiniego — była to jego pierwsza wizyta, musiała **zatem** zostać wprowadzona nowa informacja do komputerowego archiwum. Po dokonaniu weryfikacji natychmiast wprowadzono ich do **foyer** recepcyjnego w skrzydle zachodnim.

Tam, stojąc na środku czarno-białej szachownicy posadzki, **witał** przybywających admirał Jason Hawthorne Bergstrom, szef **Sztabu** Generalnego wszystkich sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. **Jego** wygląd zdawał się usprawiedliwiać postrach, jaki budził **wśród** podwładnych: ogorzała w ciągu trzydziestu lat służby na **morzu** twarz, ogromna łysina okolona wianuszkami siwych włosów **oraz** trzymane w zębach cygaro. Największe i najpaskudniej śmierdzące cygaro, jakie Lamborghini kiedykolwiek widział... i wahał. A na niebieskim admirałskim mundurze nie było niemal skrawka **nie** pokrytego wstążeczkami czy połączanymi blaszkami odznaczeń.

Nowa administracja, zanim jeszcze objęła władzę, uznała **prawidłowe** funkcjonowanie Departamentu Obrony za jeden ze **swych** priorytetowych celów. Przez całe dziesięciolecie rywalizacji pomiędzy poszczególnymi służbami i obrastania kolejnymi warstwami **biurokracji** resort stał się strukturą niezdolną nawet do uporania **się** z własnymi problemami organizacyjnymi, nie mówiąc już o **zapewnieniu** bezpieczeństwa państwu. „Dowództwo i kontrolę” **mieli** egzekwować szefowie połączonych sztabów, stało się to **jednak** u tylko przedmiotem żartów. Tak wiele było wzajemnych uzależnień pomiędzy podstawowymi służbami i dowództwami wyższego szczebla, że na schemacie organizacyjnym Pentagonu powiązania te **przypo\*** minały sznurki do poruszania marionetek. A zaopatrzenie w **broń**? Było grzęzawiskiem korupcji i wyłudzenia państwowych pieniędzy dla przypodobania się wyborcom.

Sporo wprawdzie w tym względzie poprawiła reformą Goldwata-Nicholsa, niemniej nowa administracja poszła **jeszcze**





i dalej holem do narożnego pokoju, w którym mieściło się bi trzeciego z kolei spośród najpotężniejszych ludzi w Stanach Zjnoczonych.

— Jest właśnie u prezydenta, zatem wchodźmy. Whittenberg znalazł się w pokoju, w którym urzędowali niegdyś Alexander Meigs Haig i James Baker III, a także mniej od nich szczęśliwi — H.R. Haldeman i Sherman Adams. Podniósł słuchaw' i wystukał numer. Rozmowa z Bysiem była krótka. Nic się zmieniło. Odłożył słuchawkę.

— Mój szef sztabu mówi, że sytuacja pozostaje bez zmian. Admirał chrząknął.

— Czy mogę zapytać, panie admirale — zagadnął Whittenberg co powiedział na to wszystko prezydent? Bergstrom chrząknął ponownie.

— Wie pan, to wydarzyło się w fatalnym momencie. W tr oficjalnej wizyty nowego prezydenta Francji. Mówi on serio o wrocie Francji do NATO, a nawet o udziale w euroamerykańskim programie SDI. Ta afera z *Intrepidem* mogłaby wszystko pochromolić. Tak czy inaczej, trudno było dziś porozmawiać z prezydentem na osobności. Poinformowaliśmy o wszystkim wiceprezydenta, a on zdecydował, by się z tym wstrzymać do pańskiego przyjazd Prezydent wie, że z wahadłowcem dzieje się coś złego, ale nie całej prawdy.

Whittenberg skinął głową.

— A więc dostanie wszystkie złe wieści naraz...

— Dowie się o rozmiarach nieszczęścia. — Admirał potrząsn głową. — Chodźmy!

Poszli z powrotem przez hol do Cabinet Room. Lamborghini kończył właśnie przygotowania. Whittenberg zapytał Havelichka i Sharpa:

— Czy Pete powiedział wam, co się stało? Obaj mężczyźni, oszołomieni, przytaknęli.

Cabinet Room lśnił bielą. Kontrastował z nią ciemny hebanowy stół. W jednym końcu sali znajdował się kominek; na jego gzymsie stał model fregaty *Old Ironsides*, a wyżej wisiał portret Jerzego Waszyngtona pędzla Gilberta Stuarta. Whittenberg, naukowcy i admirał zajęli miejsca przy stole. Dwaj ludzie z personelu prezydenckiego krzątali się, porządkując po raz któryś z rządu przybory d" pisania i przestawiając popielniczki. Prezydent, zanim został wybrany, miał słabość do cygar — zwłaszcza kubańskich, toteż podczas zebrań w Cabinet Room wolno było palić.

Drzwi otworzyły się i weszli kolejno sekretarze obrony, stanU i skarbu, doradca do spraw bezpieczeństwa państwa, dyrektorzy CIA, NSA i FBI, szef sztabu Białego Domu i podsekretarz obrony

spraw Obronnej Inicjatywy Strategicznej. Lamborghini przyglądał się ludziom, przelicykając po cichu ślinę. Zdał sobie sprawę, że tym razem będzie miał do czynienia z naprawdę grubymi rybami, poczuł, że zaczyna się pocić.

Większość osób wchodzących w skład Komitetu Wykonawczego Rady Bezpieczeństwa Państwa stanowili absolwenci renomowanych uczelni Wschodniego Wybrzeża; nie brakowało i stypendystów Rhodesa. Byli wśród nich prawnicy, rzecz jasna w nieustannych rozjazdach pomiędzy służbą rządową nad Potomakiem a praktyką adwokacką nad Hudsonem. W przerwach między zajęciami publicznymi w Waszyngtonie wracali na Manhattan, by uczestniczyć w posiedzeniach Rady Stosunków Zagranicznych, czytać „New York Timesa”, bywać na lunchach w Klubie Stulecia, wystawiać nieprzyzwoicie wysokie rachunki klientom, którzy darzyli ich zaufaniem, i delectować się iluzją, że mają osobisty wpływ na amerykańską politykę zagraniczną. Lamborghini spojrział na swojego szefa, którego ojciec był pracownikiem najemnym w stadninie w Kentucky. Był w tym gronie jedynym czarnoskórym i w przeciwieństwie do pozostałych nie stał się przez sam fakt urodzenia dziedzicem fortuny. Jego zarobków nie trzeba było zapisywać siedmioma cyframi, nawet nie sześcioma. Ale Lamborghini wiedział, że Whittenberg jest wspaniałym człowiekiem. Był zdeterminowany: nie da się spieszyć temu audytorium, tak bardzo górującemu znaczeniem i bogactwem, zrobi wszystko, co w jego mocy, by nie dopuścić do pogrążenia swego generała.

Tym razem nie było słyhać zartobliwych rozmów, jakie zwykle prowadzono przed zebraniem komitetu. Wszyscy, poza prezydentem, znali rzeczywisty stan rzeczy. Nikt nie miał ochoty dowcipkować na taki temat. Otworzyły się drzwi. Wszedł prezydent, a za nim wiceprezydent. Wszyscy wstali, dopełniając wymogów rytuału.

Zazwyczaj ludzie piastujący urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych dochodzili do niego w wyniku kariery politycznej, a w paru przypadkach — wojskowej. Dwaj mężczyźni, którzy weszli właśnie do Cabinet Room, stanowili wyjątek od owej historycznej reguły. <sup>en</sup> zwycięstwo wyborcze zapisało się jako sensacja w dziejach Poetycznych Ameryki.

Prezydent był synem włoskich imigrantów. Zyskał ogromny ogłos, przejmując zbankrutowaną wytwórnię samochodów i przekształcając

ją w potęgę finansową. Nazwano go wówczas „Pattonem cywila”. Jego twarz przywodziła na myśl kogoś w rodzaju boksera nah Zawodowego sierżanta piechoty morskiej. Znany był jako J ardziej wymagający dyrektor w przemyśle amerykańskim, po-IT” oyc może — wiceprezydentem. <sup>en</sup> drugi był synem farmera z Kansas. Uczęszczał do West

Point. Za pożyczone trzy tysiące dolarów założył firmę elektroniczną, którą w dwadzieścia lat później sprzedał Boeingowi za miliard". Paru prezydentów korzystało z jego usług, jako specjalnego wysłannika. W kilka lat po zakończeniu wojny w Wietnamie zorganizował prywatną wyprawę, która wyratowała stamtąd dwóch jeńców amerykańskich. Udało mu się zrobić dla tych ludzi coś, czego nie by) w stanie wyegzekwować rząd Stanów Zjednoczonych — toteż jego nazwisko stało się znane w każdym amerykańskim domu. Zazwyczaj wiceprezydentura sprowadza się właściwie do czynności czysto reprezentacyjnych — wygłaszania przemówień i uczestniczenia w przyjęciach. Jeden z jego poprzedników, John Nance Garner powiedział kiedyś o tym urzędzie, że „nie jest wart dzbanka ciepłych płwocin". Nowa administracja wszakże odeszła od tradycji także w tym względzie. Wiceprezydent stał się prawą ręką prezydenta w egzekwowaniu władzy wykonawczej. To jemu, a nie bezpośrednio prezydentowi, składał raporty szef sztabu Białego Domu. To on decydował, kto ma uzyskać dostęp do prezydenta. A nad pewnymi programami czuwał osobiście. Należał do nich SPACECOM. Zdobywszy w wyborach powszechnych aż sześćdziesiąt trzy procent głosów nowa administracja prowadziła politykę twardą, zdecydowaną i praktyczną, charakteryzującą się drastycznymi cięciami budżetowymi, podwyżką podatków i ograniczeniem subtelności dyplomatycznych. Doprowadziła do nadwyżki budżetowej, czego nie pamiętali nawet najstarsi ludzie, i do zmniejszenia deficytu w handlu międzynarodowym. Następnego dnia po inauguracji ci dwaj mocni ludzie nałożyli sztywne cła na import samochodów na okres dwuletni. Powiedzieli amerykańskim producentom aut: „Macie dwa lata na uporządkowanie własnych spraw, potem będziecie musieli sobie radzić sami". Dyrektorzy fabryk i związek zawodowy United Auto Workers podnieśli lament, że to za krótko. Prezydent zaś stwierdził: „To więcej, niż ja miałem. Wygraliśmy drugą wojnę światową w cztery lata. Dwa lata to mnóstwo czasu, żebyście ruszyli dupy i robili lepsze samochody!" Związek i dyrektorzy przełknęli łzy i postanowili walczyć z Japończykami zamiast między sobą. Kiedy zniesiono restrykcyjne taryfy celne, wyglądało na to, że Amerykanie dadzą sobie radę. Obaj upatrywali wszakże przyszłość Ameryki w kosmosie i nie żałowali na to pieniędzy. Tak też ukierunkowali wysiłek militarny państwa, powierzając to zadanie Whittenbergowi. A teraz siedzie" oko w oko z człowiekiem, którego wybrali. .. Prezydent zajął miejsce pośrodku stołu, a wiceprezydent usiał naprzeciw niego, po drugiej stronie. — A zatem — odezwał się były producent samochodów — o<sup>00</sup> tu w ogóle chodzi?

Wiceprezydent skinął głową Bergstromowi, który zaczął:

— Panie prezydencie, mamy poważny problem z wahadłowcem kosmicznym *Intrepid*. Sytuację bez precedensu. Poprosiłem generała Whittenberga, żeby przyjechał i zapoznał nas z faktami, prezydent kiwnął głową, pozdrawiając Whittenberga. Czołem, generale! Dzień dobry, panie prezydencie. Jak powiedział admirał Bergstrom, mamy problem bez precedensu. Chciałbym, żeby szczegółowego przedstawienia sytuacji, do której doszło, dokonał mój oficer wywiadu. Potem odpowiem na wszelkie pytania.

— Doskonale — powiedział prezydent, najwidoczniej pragnący bezzwłocznie przejść do rzeczy.

— Tak jest, panie prezydencie — rzekł Whittenberg. — Pułkownikowi Lamborghini, bardzo proszę. Prezydent podniósł brew.

— Lamborghini?

— Tak jest, panie prezydencie — odparł pułkownik.

Szeroki uśmiech zagościł na twarzy eks-producenta samochodów.

— Czy jest pan spokrewniony z Ferrucciem? — zapytał, mając na myśli założyciela legendarnej włoskiej wytwórni samochodów wyścigowych.

Lamborghini potrząsnął głową.

— Jedynie w tym sensie, że wszyscy Włosi są braćmi, panie prezydencie.

Szef państwa, szczytujący się swym włoskim pochodzeniem, roześmiał się.

— Racja, pułkowniku. Niech pan zaczyna.

Peter zaczynał rozumieć, dlaczego został wybrany do złożenia tego szczególnego raportu. Przekręcił wyłącznik na mównicy przygaszając światła i uruchomił projektor.

— We środe, o dwunastej czterdzieści siedem czasu Greenwich, czyli czwartej czterdzieści siedem czasu strefowego Pacyfiku, wahad-towiec kosmiczny *Intrepid* wystartował z Bazy Sił Powietrznych andenberg z misją dostarczenia pewnych elementów na prototypową Platformę SDI.

Pojawił się slajd przedstawiający glob ziemski z zaznaczoną Początkową drogą wahadłowca, zdążającego z Kalifornii na orbitę.

**J**eszcze następne dwadzieścia minut Lamborghini opowiadał szczerze, owo, jak utracono łączoność z wahadłowcem po informacji, Podejrzeniu pożaru na pokładzie, jakie podjęto przygotowania łącz<sup>o</sup> oraz<sup>o</sup> wy<sup>^</sup>y<sup>cm</sup> przez satelitę Eardrum, że doszło do

**Q**zności radiowej pomiędzy *Intrepidem* a rosyjską stacją naziemną n<sup>^</sup>. w okolicach zatoki Czaunskaja na dalekim północno-wschod<sup>nini</sup> wybrzeżu Syberii.

Prezydent zamrugał oczami. Nie był pewien, czy dobrze usłyszał

— Syberii? — powtórzył.

— Tak jest. Zamrugał ponownie.

— Ależ to jest w Rosji.

— Zgadza się, panie prezydencie — potwierdził Lamborghini. Kiedy wreszcie to do niego dotarło, aż uniósł się z krzesła.

— Nasz wahadłowiec kontaktuje się z Rosjanami? Lamborghini głęboko odetchnął.

— Tak jest. To właśnie wynika z danych. Doszło do połączenia

radiowego pomiędzy promem a sowiecką stacją naziemną.

— Czemu nikt mi o tym wcześniej nie powiedział? — Prezydent mimo półmroku, utkwiał wzrok w sekretarzu obrony.

— Panie prezydencie — powiedział Lamborghini grzecznie, lecz stanowczo — jeśli pan pozwoli. Eardrum odnotował, że doszło do łączności, ale uczynił to z tak wielkiej odległości, że nie można było wykluczyć błędu.

— Tak istotnie było, panie prezydencie — włączył się dyrektor NSA.

Prezydent cofnął się w krzesło i zajął wycieraniem swych okularów bez oprawki.

— A więc? Cóż to znaczy?

— To znaczy, że uznaliśmy za rozsądne uzyskanie potwierdzenia tej informacji przed zawiadomieniem Białego Domu — wyjaśnił Peter. — Skontaktowaliśmy się z Dowództwem Strategicznych Sił Powietrznych i zorganizowaliśmy przelot samolotu wywiadowczego SR-71 dla dokonania podsłuchu elektronicznego.

Pojawił się kolejny slajd, przedstawiający trasy SR-71 i *Intrepida* oraz położenie rosyjskiej stacji naziemnej w Permie.

— Po uzyskaniu zgody sekretarza obrony SR-71 dokonał penetracji sowieckiej przestrzeni powietrznej i znalazł się pomiędzy wahadłowcem a stacją naziemną w Permie. Został podczas tej misji ostrzelany, ale wyszedł cało i udało mu się przechwycić zaszyfowaną rozmowę *Intrepida* z ziemią. Krótko mówiąc, mamy ostateczne potwierdzenie, że nasz statek kosmiczny kontaktuje się z Rosjanami, a z nami nie.

Zazwyczaj elokwentny prezydent nie mógł znaleźć słów.

— Ja... nie rozumiem... chodzi mi o to, jak mogło do tego dojść-Whittenberg chciał się wtrącić, ale Lamborghini ciągnął dalej:

— Załoga składa się z dowódcy wahadłowca pułkownika Julian\* Kapuścińskiego, majora lotnictwa Franka Mulcaheya i specjalisty pokładowego Geralda Rodriqueza, cywila z NASA. Przejrzeliśmy drobiazgowo świadectwa służby całej trójki i nie znaleźliśmy niczego<sup>h</sup> co wskazywałoby, że któryś z nich mógłby okazać się nielojalny-

Kapuściński? — Brwi prezydenta poruszyły się, wskazując, że coś sobie przypomina. — Czy to ten, którego dekorowałem jakiś rok temu? Zdaje się uratował tamten wahadłowiec od eksplozji?

Tak jest, panie prezydencie — potwierdził niezmiernie zdumiony Peter. — Jak już wspominałem, świadectwa dowodzą, że byli najlepszą załogą, jaką dysponowaliśmy. Niemniej pozostaje faktem, że któryś z nich opanował statek i kontaktuje się z Sowietami. Jeden z moich najlepszych ludzi ponownie bada ich akta przy współpracy FBI, starając się ustalić, który z członków załogi... zdradził.

Prezydent ciągle jeszcze nie otrząsnął się z szoku. Było to jednak zupełnie coś innego niż rozstrzygnięcie o kształcie nowej karoserii.

— A więc... och, co to wszystko ma znaczyć? Teraz włączył się Whittenberg:

— Czy możemy zapalić światło, Pete? Zrobiło się jasno, wyłączono projektor.

— Co to znaczy, panie prezydencie... — powiedział generał. — To znaczy, że grozi nam utrata wahadłowca *Intrepid* i jego ładunku na rzecz Związku Sowieckiego. Nie ma innego wytłumaczenia zachowania się statku, przynajmniej w tej chwili tylko tak możemy to zrozumieć, i nie ma sensu owijać rzeczy w bawełnę. Utrata wahadłowca byłaby dotkliwa, utrata ładunku zaś katastrofalna. Jeśli chodzi o sam prom, to i tak Rosjanie wypracowali już własny system. Ich ostatnia próba miała miejsce w listopadzie, jak pan zapewne sobie przypomina. Nie popełnił błędów stwierdzając, że strata wahadłowca byłaby bolesna i kosztowna, ale dałoby się ją jakoś znieść. Natomiast ładunek to całkiem inna sprawa. Admirał Bergstrom ściągnął tu doktorów Havelichka i Sharpa z Livermore, żeby dokładnie wyjaśnili, co znajduje się na pokładzie i co może oznaczać zniknięcie tego ładunku. Doktorze Havelichku, czy mógłby pan naszkicować działanie systemu PRISM?

Wąska twarz Havelichka stała się upiornie blada — jedynym arcyelementem jego fizjonomii pozostała ciemnoruda broda, zwał się, jakby właśnie zakończył rozrywkową przejażdżkę na karuzeli w tempie osiemdziesięciu obrotów na minutę. W ciągu jednego dnia przeleciał stację z Bufordem, lot z szybkością ponaddwukrotną na skraj do Białego Domu, a teraz w dodatku uwaga wszystkich spokój i zaskomleć: — Dajcie mi święty spokój i schowajcie się pod stołem.

Wiedział wszakże, że nie jest to

— pułapka, toteż wypluł tylko wodę, żeby przeczyścić gardło, iż jest Panie prezydencie, ufam, że zdaje pan sobie sprawę, tym równie wielki szok jak dla pana... sam zostałem zrekar/tymczasowo zajętywie Parę minut temu. Spróbuję wszakże PRISM sytuację, jeśli chodzi o system kierowania bitewnego opisać, co znajduje się na pokładzie wahadłowca.



— Proszę to zrobić. — Głos prezydenta był już zimny, ^ zdradzał emocji.  
Kolejny łyk wody.

— Tak jest. Jak pan wie, jednym z głównych problemów funkcjonowania systemu SDI jest radzenie sobie z ogromną ilością informacji podczas ataku pocisków balistycznych — ich wyśledzenie dokonanie priorytyzacji celów, poranie się z tysiącami, a może i dziesiątkami tysięcy pocisków, podstępami, selekcją, elektronicznym zakłócaniem i tym podobnymi sprawami. Konwencjonalna technika komputerowa po prostu nie jest w stanie sprostać tym zadaniom nawet z pomocą superkomputerów. Konwencjonalna technologia pigułki silikonowej ma zasadnicze ograniczenia. Istnieje swego rodzaju bariera prędkości operacyjnej, którą trzeba pokonać. Należy powiedzieć, że elektrony poruszają się w konwencjonalnych półprzewodnikach stosunkowo powoli. Oczywiście powoli w sensie naukowym. Czas przełączania w superkomputerze wynosi około pięćdziesięciu pikosekund, co daje około biliona przełączeń na sekundę. W Liver-more — kontynuował Havelichek — szukaliśmy sposobów obejścia owej fundamentalnej bariery prędkości. Robiliśmy to opierając się na badaniach zapoczątkowanych w Bell Laboratories. Udało nam się stworzyć działający przełącznik optyczny, spożytkowujący fale świetlne radaru pulsacyjnego. Jest to kwantowo szybsze niż elektrony poruszające się w ciele stałym, takim jak silikon czy nawet arsenek galu. Czas przełączania tego urządzenia optycznego wynosi około dwudziestu pięciu femtosekund, czyli można go mierzyć w trylionach na sekundę... Na dodatek wmontowaliśmy ów przełącznik w komputerowy system przetwarzania równoczesnego, co w efekcie zwielokrotnia liczbę operacji, które mogą być dokonywane jednocześnie.

W tym momencie włączył się sekretarz skarbu. Był to siwowłosy finansista, neofita Gwiezdných Wojen, który objął swój urząd dopiero przed sześcioma tygodniami.

— Proszę mi wybaczyć, doktorze, ale o czym pan właściwie próbuje opowiedzieć? Może zechce pan wyrażać się w sposób bardziej zrozumiały.

— Dobrze, panie ministrze — odparł Havelichek — Chodzi o to, że optycznym komputerem PRISM możemy uzyskiwać szybkości operacyjne w przybliżeniu dwa tysiące czterysta razy większe niż na superkomputerze Cray-Y/MP.

Sekretarz skarbu zamrugnął oczami.

— Czy pan powiedział, że on działa dwa tysiące czterysta razy szybciej?

— Tak jest. Ale to jeszcze nie wszystkie zalety systemu PRISM-Sekretarz, który przeszedł do rządu z jednej z czołowych<sup>1</sup> westycyjnych firm bankowych na Wall Street, próbował policzyć<sup>2\*</sup>

arnicci, ile pieniędzy mógłby zaoszczędzić posługując się tym <sup>W</sup> wvm komputerem przy ofertach giełdowych, kiedy już wróci do biznesu. Postanowił, że po zebraniu przyprze Havelichka „o muru-  
— są jeszcze inne zalety? — zapytał.

— Tak, panie ministrze — odparł Havelichek. — System PRISM  
osługuje się sztuczną inteligencją w celu rozpoznawania celów, priorytyzacji ich i operowania graserem. Jest to program niesłychanie złożony, stanowiący ostatni krzyk techniki, stworzony dzięki użyciu komputera PRISM. Jest tak zaawansowany, że w razie potrzeby potrafi sam przeprogramować część własnych elementów podczas trwania ataku, żeby znaleźć najskuteczniejszą odpowiedź na aktualne zagrożenie.

Sekretarz był zaskoczony. Pogładził swe morsopodobne wąsy i wymamrotał:

— Nadzwyczajne... Prezydent uciął sprawę.

— Doktorze Havelichek, wszyscy to wiemy. Sprawą najważniejszą jest: co znajduje się na pokładzie *Intrepida*?

Kolejny łyk.

— A więc... Współpracowałem ściśle z doktorem Rodriąquezem, gdyż miał on zainstalować i uruchomić system PRISM na platformie. Element, który znajduje się na pokładzie, to, hmm... centralny procesor tego systemu.

Prezydentowi opadła szczęka.

— Chodzi panu o mózg i wnętrze systemu, czy tak?

— No tak. Mniej więcej o to chodzi. Sądzę, że powinienem dodać, iż oprogramowanie sztucznej inteligencji zostało wprowadzone do rdzenia pamięciowego procesora, zanim dostarczono go do SPACE-COM-u w Vandenberg.

Prezydent odchylił się w krześle i zamknął oczy.

— Ma pan na myśli naszą najbardziej zaawansowaną technologię komputerową... urządzenia, programy. To wszystko jest w wahadłowcu?

Havelichek przełknął ślinę. ~~ Tak jest, panie prezydencie.

Jezu, Boże Wszechmocny! — westchnął szef władzy wyko-

Zapadło przedłużające się milczenie. £c~~ Panie prezydencie — odezwał się Whittenberg — obawiam się, o jeszcze nie wszystko. Doktorze Sharp, czy zechce pan wyjaśnić? <sup>Jrrett</sup> Sharp był posiadaczem dwóch doktoratów uzyskanych <sup>Q</sup>

<sup>all</sup>formian Institute of Technology — z fizyki i z chemii jądrowej. <sup>Vr</sup>n rybom zgromadzonym w Cabinet Room wydawał się

postacią nieco dziwną, w grubych szklach, z niechlujną brzową czupryną i brodą. Ale znał się na atomie i drzemiącej w nim niezgłębionej energii tak, jak niewielu z żyjących uczonych. Mówił cicho, monotonnie, nie modulując głosu. Gdyby miał wrócić komuś uwagę, że mu się palą włosy, zrobiłby to takim samym tonem, jakim by poprosił o podanie soli. Choć z reguły panował nad emocjami tym razem był głęboko zaniepokojony, ponieważ wiedział, co może oznaczać utrata gräsera. — Panie prezydencie, panie wiceprezydencie, myślę, że aby ja najlepiej wyjaśnić wszystkim, o co chodzi, omówię najpierw parę kwestii technicznych. Nikt nie oponował.

— A więc dobrze. Gräser, jak większość z panów wie, to broń o zmiennej mocy. Wykorzystano w nim wiele z technologii laserowej, szeroko stosowanej od dziesiątków lat, ale pod wieloma względami jest odmienny kwantowo. Wyjaśnijmy to. W laserach konwencjonalnych atomy danej substancji, na przykład kryształu rubinu, są pobudzane, powodując oscylowanie elektronów pomiędzy stanami napięcia i uśpienia. Energia owych oscylacji wyzwała się w zogniskowanych falach podczerwieni. Kiedy zaczęto prace nad SDI, zaproponowano użycie zwykłych laserów do zestrzeliwania nieprzyjacielskich międzykontynentalnych pocisków balistycznych. Była to ponętna koncepcja, miała wszakże luki wynikające z samej natury tego urządzenia. Przede wszystkim, trzeba by zgenerować wiązkę laserową dość silną, by zniszczyć pocisk. Musiałaby się ona składać z promieni o relatywnie krótkiej długości fali. im bowiem krótsze fale, tym mocniejsza wiązka. Niestety, wraz z malejącą długością fali niesłychanie szybko wzrasta moc potrzebna do zgenerowania wiązki. Żeby tego dokonać, musiano by wysłać w kosmos wiele ton sprzętu do generacji mocy, a to byłoby po prostu niewykonalne. Znaleźli się wśród naukowców ludzie, którzy zaproponowali, by rozwiązać ten problem lokując laser na ziemi w pobliżu potężnego źródła energii, a jego wiązką kierować i trafiać w cele za pomocą zwierciadeł Umieszczonych na orbicie. Również i ta koncepcja okazała się niewykonalna, gdyż powierzchnie odbijające takich zwierciadeł musiałyby zostać wykonane z niemożliwą praktycznie do osiągnięcia<sup>03</sup> precyzją. — Sharp przerwał i chwilę zbierał myśli. — Na dodatek do tych ograniczeń, lasery, nawet krótkofalowe, wytwarzają stosunków<sup>0</sup> wąskie wiązki. Trafienie pocisku pędzącego trzydzieści tysięcy kilometrów na godzinę wąską wiązką byłoby zadaniem niewi<sup>31</sup> rygodnie trudnym, nawet używając szybkostrzelnego lasera k<sup>1</sup> rowanego systemem PRISM. Przypominałoby to strzelanie z k<sup>4</sup> rabinu kalibru 22 do glinianego ptaszka z odległości pięciu tysięcy kilometrów.

później przebadano pod tym kątem lasery promieni rentgenowskich, ale zrezygnowano z użycia ich przeciw pociskom balistycznym ponieważ wymagały jako źródła mocy wybuchów jądrowych. Uznano, że to nie do przyjęcia. W istocie, wszystkie te okoliczności prawiają, że laser nie nadaje się do tego rodzaju zadań.

2 drugiej wszakże strony — kontynuował Sharp — atrakcyjnym rozwiązaniem, dającym niewiarygodne możliwości, jest laser promieni gamma, czyli graser. Dzieje się tak dlatego, że w owym urządzeniu dochodzi do oscylacji jąder, a nie elektronów. Toteż generowany impuls uzyskujemy znacznie silniejszy. Jeśli przypominacie sobie, panowie, wykłady fizyki elementarnej w college'u, wiecie, że proton czy neutron w jądrze atomowym mają masę przeszło tysiąc osiemset razy większą niż elektron. Przyjmijmy, dla przykładu, że elektron ma masę piłki baseballowej. Wasz synek może nią wybić szybę u sąsiada. Protonowi, oczywiście zachowując proporcję, odpowiadałaby limuzyna. Gdyby nią cisnąć w dom sąsiada, prawdopodobnie zrównałoby się go z ziemią. Porównanie to daje panom pojęcie o różnicy w skali surowców lasera i graser. Ale nie daje jeszcze wyobrażenia o różnicy w skali wyzwanej energii. — Sharp przerwał na chwilę i napił się wody. — Graser stymuluje promieniami rentgenowskimi jądra izotopu rubidu. Zaczynają one oscylować, a gromadząca się energia wyzwala się w postaci promieniowania gamma. Długości fali tych promieni są niewiarygodnie krótkie, poniżej angstroma. A wiązka ma około czterech kilometrów szerokości. To wystarcza, by trafić w cele. Jednym impulsem można strącić wiele pocisków czy głowic. Wymogi energetyczne operowania tym urządzeniem są zaś relatywnie mniejsze niż w wypadku lasera... — Ponownie zrobił pauzę, by zebrać myśli. — Ostatnia sprawa, na którą pragnę zwrócić uwagę, to wielkość energii wyzwana w impulsie graser. Wynosi ona w przybliżeniu dwadzieścia bilionów watów. Dostatecznie dużo, by zniszczyć każdy pocisk.

Ponownie wtrącił się sekretarz skarbu.

Powiedział pan: dwadzieścia bilionów watów?

~~ Tak, panie ministrze — odparł Sharp.

Sekretarz poruszał morskimi wąsami i wydmuchiwał dym cygara, próbując uporać się z tą liczbą. Wreszcie powiedział: — Wygląda na to, że to bardzo dużo...

~~ Istotnie tak jest. Żeby dać panu jakieś wyobrażenie: energia  $\gamma$  tarzana przez wszystkie elektrownie świata, konwencjonalne omowe, wynosi mniej więcej dwa i trzy dziesiąte biliona watów, inęło parę sekund, zanim owa liczba dotarła do świadomości <sup>ret</sup>arza. A kiedy to się stało, krzyknął: Wielki Boże!

Prezydent miał już dosyć uwag swego nowego specja od pieniędzy

— Pamiętaj, Miltonie, żeby trzymać buzię na kłódkę o tym, co tutaj słyszysz. Zrozumiałeś?

Sekretarz przelknął ślinę.

— Tak, ma się rozumieć, panie prezydencie. Ale, mój Boże, cóż za moc! Nie miałem w ogóle pojęcia. W jaki sposób to funkcjonuje u licha?

Sharp był niewzruszony. Gdyby go o to poproszono, wyjaśniłby, na jakiej zasadzie działa pociąg elektryczny.

— Koncepcyjnie sprawa jest zadziwiająco prosta. Jak mówiłem, jądra izotopu rubidu zostają pobudzone promieniami **rentgena** i wyzwalają się w postaci zogniskowanych promieni gamma, **znajdujących** się poza widmem światła widzialnego. Rozumiem, panie ministrze, że ilości energii, o jakich mówimy, przechodzą wyobraźnię, ale taki ma charakter moc zamknięta wewnątrz atomu. W porównaniu z procesem zachodzącym w graserze rozszczepianie jąder atomowych, a nawet synteza jądrowa są stosunkowo mało wydajne. Zestawiając w celach laboratoryjnych jego energię z energią termojądrową musimy używać skali logarytmicznej. Muszą wszakże panowie pamiętać, że mówimy tu o impulsie trwającym nanosekundę, a nie trwałym. Ale nawet biorąc to pod uwagę, różnica skali **jest** przytłaczająca. Dla przykładu, przy ilości izotopu rubidu mieszczącej się w szklance — Sharp podniósł ze stołu szklankę — moc wytworzona impulsem byłaby równa setnej części jednego procenta energii słonecznej!

Sekretarzowi trzęsły się ręce.

— Jedna szklanka? — zapytał.

— Tak jest, panie ministrze.

— To znaczy, że gdyby pan miał pełen tego izo... jak tam się to nazywa... basen pływaki, mógłby pan zgenerować moc Słońca?

Sharp spojrział w sufit, dokonując w myśli jakichś obliczeń.

— Wydaje mi się, że nie trzeba by na to całego basenu. Sekretarz bawił się nerwowo złotym łańcuszkiem od zegarka - Wąsy drżały mu ze wzruszenia.

— A ile tego trzeba, żeby mógł działać taki graser kosmiczny?

— Mniej więcej pół naparstka — odparł beznamiętnie Sharp-

— Pół naparstka?! — Specywi od finansów zrobiło się **slabO**; Zateśknił nagle do zgiełku swej dotychczasowej firmy, dokonującej operacji giełdowych. Wydała mu się miejscem o wiele spokojniejszy<sup>01</sup> bezpieczniejszym... ,

— Tak, panie ministrze — wyjaśniał Sharp. — To właśnie główny problem przy opracowywaniu graseru. Widzi pan, **dziewic**<sup>0</sup> dziesiąt dziewięć procent masy Ziemi to czternaście pospolity pierwiastków chemicznych. A w pozostałym jednym proce"

157

•<sup>eszcZ4</sup> się wszystkie izotopy w liczbie tysiąca ośmuset osiemdziesięciu siedmiu. Największą trudnością do pokonania w tworzeniu

asera było znalezienie odpowiedniego izotopu o naturalnej długości filii nadającej się do skupiania stymulowanych jąder.

Mam na myśli, że od lat laboratoria na całym świecie poszukują takiej właściwej substancji izomerycznej do tego celu. Nie było to łatwe, ale udało nam się stwierdzić, że najlepiej spełnia te warunki pewien nadzwyczaj rzadki izotop rubidu.

— Cóż to takiego, u diabła? Nigdy o nim dotychczas nie słyszałem! — emocjonował się stary finansista.

— Rubid. Domyślam się, że powinienem zwrócić uwagę, iż nie **należy go** mylić z kryształami rubinu, powszechnie stosowanymi w laserach — wyjaśniał Sharp. — Tylko podobnie się nazywa. Rubid **jest** szesnastym z kolei pod względem częstości występowania na Ziemi pierwiastkiem. Jest to miękki, srebrzystoszary metal. Przez wiele lat uważano, że występuje jedynie w siedemnastu postaciach izomerycznych... Nawiasem mówiąc, izotop ma te same własności chemiczne co **dany** pierwiastek, odmienną natomiast strukturę atomową. Kilka lat **temu w** laboratorium państwowym w Oak Ridge w stanie Tennessee **odkryto**, że istnieje osiemnasty izotop rubidu. Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu stwierdziliśmy w Livermore, że znakomicie nadaje się do **grasera**. Nazwano go rubidem-98, w skrócie Rb-98. Niestety, występuje nadzwyczaj rzadko. Jest promieniotwórczy, o okresie połowicznego rozpadu wynoszącym w przybliżeniu czternaście miesięcy. Otrzymaliśmy **go w** drodze długiego i żmudnego procesu dyfuzji laserowej w Oak Ridge. Wyprodukowanie ilości odpowiadającej połowie naporstka **zabrało nam** jedenaście miesięcy. Łatwo zrozumieć problemy związane z **jego** wytwarzaniem, jeśli się weźmie pod uwagę właśnie ten czternastomiesięczny okres połowicznego rozpadu.

Sekretarz nadal nie był w stanie się uspokoić.

— Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Wytwarzacie dwadzieścia "Mionów" watów z połowy naporstka tego rubidowego kruszywa?

~ Tak, panie ministrze — potwierdził Sharp beznamiętnie.

Ruchami zapomnianymi od czasów, kiedy jako chłopiec był jnistrantem, sekretarz przeżegnał się, nie bacząc, że patrzą na niego ludzie.

~ I czymś takim jak to mógłby pan zmieść z powierzchni ziemi

^ miasto jednym podmuchem, prawda?

Sharp potrząsnął głową.

Nie, panie ministrze. Graser działa jedynie w próżni. Promienie  $g_0$  gwałtownie się rozpraszają, kiedy trafią do atmosfery.

Można w <sup>U</sup>żywać do zwalczania pocisków tylko wtedy, kiedy znajdują się kn <sup>32le e g zo</sup> atmosferycznej, czyli mówiąc po prostu, w przestrzeni

"smicznej.

Sekretarz odetchnął z ulgą.

— Bogu niech będą dzięki!

W porównaniu z graserem, głowica termojądrowa wydawała się niemal zabawką.

Prezydent tarł skronie.

— Mam pytanie, doktorze Sharp. Jaka część systemu graserowego znajduje się na pokładzie *Intrepid* Sharp zdjął okulary.

— Jak pan wie, panie prezydencie, zaprojektowaliśmy graser w postaci elementów składowych, żeby można go było łatwo zainstalować i uruchomić na platformie. Konstrukcja urządzenia przypomina piastę koła ze szprychami. Izotop rubidu znajduje się w piaście, a przewody kanałowe dla promieni rentgena są ułożone wokół niej na platformie SDI jak szprychy w kole rowerowym.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie, doktorze! — nalegał prezydent grobowym głosem.

— A więc... element piastowy graseru stanowi część ładunku. Nie jest w istocie zbyt duży... jak już mówiłem, został tak zaprojektowany, by łatwo go było stosować i instalować.

Prezydent powoli wyszeptał ostatnie pytanie:

— Ten element piastowy. Czy znajduje się w nim izotop rubidu? W sali zrobiło się śmiertelnie cicho.

— Tak, panie prezydencie — odpowiedział Sharp.

Wszyscy zebrani westchnęli boleśnie, jakby zadano im cios w dołek. Sekretarz skarbu nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać:

— Jeśli to się dostanie w ręce Rosjan, będą w stanie domyślić się, co to jest?

Sharp ponownie włożył okulary.

— Sowieci mają świetnych uczonych, zwłaszcza w dziedzinie fizyki teoretycznej. Nie wątpię, że doszliby do tego w bardzo krótkim czasie. Zwłaszcza że element piastowy jest, jak powiedziałem, w znacznym stopniu samoistny. Sekretarz zgniół resztki wypalonego cygara.

— Ma pan na myśli, że do jego uruchomienia wystarczy, ^ potraktowali go promieniami rentgena?

Sharp wzruszył ramionami.

— Zdecydowanie tak! Jak powiedziałem, koncepcyjnie jest to urządzenie zdumiewająco proste.

Znowu rozległo się zbiorowe westchnienie. Prezydent zapytał, cokolwiek retorycznie:

— Pozwólcie mi się upewnić, że rozumiem, z czym mamy tutaj czynienia. Grozi nam utrata wahadłowca, systemu komputerowego będącego najnowszym krzykiem techniki oraz broni antyrakietowej\*^ o możliwościach przewyższających wszystko, o czym kiedykolwiek\*<sup>1</sup>

159

J

■ „Jęło się Sowietom... Admirale, co by się stało, gdyby *Intrepid* dostał % w ich ręce nietknięty? odpowiedź była łatwa do przewidzenia.

\_ Panie prezydencie byłoby to wręcz katastrofalne. Sto razy

orsze niż sprzedanie Rosjanom najściślejsz tajnych oprogramowań f urzędzeń frezarskich przez Toshiba i Kongsberga. Tamten transfer technologii pozwolił im na wytwarzanie śrub napędowych okrętów nodwodnych pracujących dziesięć razy ciszej niż te, które produkowali wcześniej. Przechwycenie każdego z elementów ładunku *Intripida* byłoby poważną stratą, ale wszystkie, a zwłaszcza graser... — głos mu się załamał. — Co więcej, wedle tego, co wiemy, żadne inne państwo na świecie nie zna rubidu-98 ani nikt nie próbował jeszcze naszej metody dyfuzji laserowej. Dalibyśmy im na tacy nasze najcenniejsze sekrety obronne.

Prezydent wbił oczy w Whittenberga.

— Generale, *Intrepid* nie ma prawa, powtarzam: nie ma prawa, wpaść w ręce sowieckie, cokolwiek by to miało kosztować.

Czy nie możemy zestrzelić tego cholernego wahadłowca?

Whittenberg wiedział, że padnie to pytanie.

— Nie, panie prezydencie. Nie mamy już pocisków antysate-litarnych. Zostały zniszczone zgodnie z traktatem zawartym dwa lata temu.

Prezydent nie bardzo wiedział, jak to powiedzieć:

— No tak, ale chyba... chciałem powiedzieć, że na pewno schowaliśmy sobie z jedną czy dwie sztuki, tak na wszelki wypadek?

Whittenberg był nieugięty.

— Niestety. Wypełniliśmy zobowiązania traktatowe. Wszystkie nasze pociski antysatelitarne zostały zniszczone w obecności komisji inspekcyjnej ONZ.

Teraz prezydent się rozżościł.

— Dobrze. W takim razie niechże pan coś zaproponuje, generale! I to szybko!

Napięcie w Cabinet Room stało się niemal namacalne.

Pozwoli pan, panie prezydencie, że pułkownik Lamborghini ^Prezentuje naszą propozycję. Pułkowniku?

Pter ponownie przyćmił światła i włączył projektor. Tym razem J<sup>15</sup> ekranie pojawiła się mapa środkowej Rosji, pokreślona trajek-

riami wahadłowca. A Lamborghini mówił, ważąc każde słowo: . Panie prezydencie, musimy przyjąć, że *Intrepid* zdradził, ale coś zagadkowego w jego zachowaniu.

Co pan przez to rozumie? ulkownik wyjaśniał spokojnie: „, T~. Gdyby *Intrepid* zamierzał przejść na stronę sowiecką, z pew-<sup>ch</sup>ł włączyłby silniki hamujące i wylądował tam, gdzie to robia

"^"być... 161



wahadłowce sowieckie: na kosmodromie Bajkonur w południowo, centralnym Kazachstanie w pobliżu Morza Aralskiego, widoczny^ na tym slajdzie. Jednakże, wahadłowiec nie skorzystał już z pierwszej po temu sposobności, co pokazano na mapie. Pozostaje wciąż na tej samej orbicie.

— Cóż więc to znaczy? — zapytał prezydent.

— Możemy się jedynie domyślać — odpowiedział Whittenberg ale wydaje się logiczne, że zdrajca chciałby wylądować tak szybko jak tylko się da. Jeśli nie podjął takich działań, może to tylko znaczyć, że jakieś urządzenia nie funkcjonują należycie albo też osoba, która opanowała statek, nie potrafi go pilotować. W obu tych wypadkach Sowieci musieliby wysłać na orbitę kogoś po ładunek, a to oznaczałoby, że powinni przygotowywać jakiś własny statek kosmiczny do startu lub też mieć go już na wyrzutni. Pete, slajdy!

Lamborghini pokazał zdjęcia satelitarne urządzeń startowych w Bajkonurze, Plesiecku i Kapustynym Jarze.

— Jak widać z tych slajdów, panie prezydencie, obecnie Sowieci nie mają niczego na wyrzutni na żadnym z trzech kosmodromów, a te zdjęcia nadeszły tuż przed naszym odlotem z góry Cheyenne. Fakt, że nie są gotowi do startu, wskazuje, iż start taki nie był zaplanowany, nie liczyli się więc z sytuacją, że *Intrepid* nie wykorzysta pierwszej sposobności do lądowania. Oznacza to, że prawdopodobnie na pokładzie wahadłowca powstał jakiś problem, a z tego wynika, mamy trochę czasu.

Prezydent okazał wyraźne zainteresowanie:

— Niech pan mówi. Słucham.

— Prom kosmiczny *Constellation* znajduje się na wyrzutni w Ośrodku Kennedy'ego. Miał wystartować w ciągu tygodnia, żeby wynieść na orbitę satelitę telekomunikacyjnego oraz teleskop w ramach cywilnej umowy z NASA. Ta misja została scedowana SPACECOM i obecnie przyspieszyliśmy przygotowania, żeby s nastąpił w ciągu mniej więcej czterdziestu ośmiu godzin. Zało promu otrzymała instrukcje, żeby spróbować dostać się na pokł wahadłowca, a gdyby okazało się to niemożliwe, ma uczynić niezdolnym do powrotu na ziemię. Gdyby zaś pojawił się jakiś sta sowiecki, *Constellation* ma zająć pozycję pomiędzy nim a *Intrep'*

Prezydent skwapliwie przytaknął:

— W porządku!

Sekretarz stanu potrząsnął głową i westchnął:

— Wojna w kosmosie! Przypuszczam, że musiało do tego doj Whittenberg ciągnął dalej:

— Nadto wydałem rozkaz, by poczyniono przygotowania do s' prototypu kosmoplanu Kestrel; będzie wspierał prom, jeśli zaj' porzeba. Jest on w znacznym stopniu w stadium eksperymentalny"

ne  
k

le też stanowi jedyny, poza *Constellation*, pojazd kosmiczny, który możemy wysłać w kosmos w ciągu najbliższych dni. Jego uzbrojenie to właściwie niewiadoma, prototypy pocisków otrzymaliśmy z LTV zaledwie parę tygodni temu. W każdym razie Kestrel to lepiej niż nic.

Prezydent ponownie kiwnął potakująco głową. Chwilę milczał, a kiedy znów się odezwał, zabrzmiało to nieprzyjemnie.

— To potencjalna klęska, generale. Nie powinno być do tego dojść!

Whittenberg nawet nie próbował wykręcać się od odpowiedzialności. Odparł spokojnie:

— Panie prezydencie, nie mam pojęcia, jak doszło do zdrady *Intrepida*. W żaden sposób nie potrafię tego wyjaśnić.

Wszystko, co mogę powiedzieć, to że jako dowódca SPACECOM-u osobiście zaaprobowalem skład tej załogi i ponoszę pełną odpowiedzialność za wszystko, cokolwiek przydarzy się temu statkowi. W każdej chwili gotów jestem złożyć rezygnację, wolałbym wszakże, żeby została przyjęta dopiero po uporaniu się z tą sprawą.

Dobrze pamiętał o starej biurokratycznej regule: trudno ściąć ci głowę, jeśli sam przyniesiesz ją we własnych rękach. Poza tym, naprawdę mówił szczerze.

— Nie, generale! — po raz pierwszy odezwał się wiceprezydent i wszystkie oczy zwróciły się na niego. Człowiek Numer Dwa, o przenikliwym spojrzeniu i stalowego koloru przyciętych na jeża włosach, wydawał się naładowany niewyczerpaną energią, był jak sprężyna. — Nikt nie będzie podawał się do dymisji — powiedział z naciskiem — chyba że to będę ja.

Osobiście zapoznałem się z aktami służbowymi całej załogi i potwierdzam, że wszyscy mieli nadzwyczajne świadectwa.

Nikt nie był w stanie przewidzieć tego, co się stało. Nikt. Do diabła, przecież niedawno wspólnie z prezydentem

odznaczaliśmy tego Kapuścińskiego. Nie przypuszczam, żeby chodziło o niego, ale kto wie? Wyszlibyśmy na dumniów. A już z pewnością okazaliśmy się durniami, podpisując traktat antysatelitarny.

Chyba nigdy jeszcze żaden wiceprezydent nie odezwał się w ten sposób w obecności głowy państwa; obecny wszakże nie był figurantem<sup>11</sup> i cieszył się poparciem i nie wahał się tego wykorzystywać.

Wszyscy zebrani wiedzieli, że zgromadził najwięcej głosów w prawy-<sup>of</sup>ach i prawdopodobnie zostanie następnym

prezydentem. Nikt<sup>W?</sup> c nie miał ochoty obarczać winą „następcy tronu”. „7~ Otóż nie! — kontynuował. — Nie zawiódł sprzęt ani system.

<sup>Ki</sup> też nie popełnił błędu. Rosjanie znaleźli dojście do kogoś

załogi. To oczywiste. Nie umiem powiedzieć, w jaki sposób. <sup>^o</sup>Przez narkotyki, pieniądze, seks, któż, u diabła, może wiedzieć?

5 nie było sposobu, by ktokolwiek w istniejących okolicznościach 8' do tego nie dopuścić. Jestem o tym całkowicie przekonany,

162

a więc niczego nie osiągniemy dokonując zmian personalnych. p<sub>0</sub> prostu zdarzył się paskudny fuks...

Spojrzał na Whittenberga. Byli obaj zżyci od lat. Teraz te więzy dawały znać o sobie.

— A kiedy już to sobie powiedzieliśmy, trzeba coś z tym zrobić, Rodg.

— Tak jest, panie wiceprezydencie — zgodził się Whittenberg. Tymczasem prezydent doszedł już prawie do siebie i odzyskał

kontrolę nad sytuacją. Zwrócił się do dyrektora CIA:

— Bobby, czy możesz coś na ten temat powiedzieć? Człowiek zatrudniający tysiące ekspertów, agentów, specjalistów komputerowych, uczonych, mający do dyspozycji najwymyślniejsze urządzenia techniczne oraz środki finansowe przewyższające całkowity dochód niejednego kraju, odpowiedział:

— Nie, panie prezydencie.

— Zatem, musicie wziąć się do roboty, i to cholernie szybko! Dostaniecie wszystko, czego wam trzeba, ale wymyślcie coś na tych Rosjan, którzy tam przylecą. — Zwrócił się do sekretarza obrony: — Sam, zastanów się nad wszelkimi, powiedziałem: wszelkimi możliwościami naszej reakcji, na wypadek gdyby *Intrepid* zszedł z orbity, zanim dotrą tam nasi ludzie. Nie wykluczam żadnej ewentualności.

Były senator odpowiedział swym południowym akcentem:

— Tak jest, panie prezydencie.

Następnie przyszła kolej na sekretarza stanu.

— Winstonie, wezwij tu natychmiast ambasadora Jakowlewa. Chcę, żeby Rosjanie wiedzieli, że czegoś się domyślamy.

Może to ich odstraszy.

Wtrącił się admirał Bergstrom.

— Panie prezydencie, czy nie uważa pan za właściwe zwiększenie pogotowia bojowego? Pamięta pan, jak zareagował prezydent Nixon na wojnę arabsko-izraelską w siedemdziesiątym trzecim. Może brzęknijmy szabelką, żeby wiedzieli, że trzymamy rękę na pulsie?

Prezydent podrapał się w głowę.

— Co o tym myślisz, Winstonie? Sekretarz stanu nie zwlekał z odpowiedzią.

— Byłbym za tym, gdyby nie obecność prezydenta Francji; Postawienie naszych sił zbrojnych w stan podwyższonej gotowości w czasie, kiedy go gościmy, mogłoby źle wpłynąć na jego samop<sup>0</sup> czucie. A tego wolałbym uniknąć, zważywszy, jak dobrze przebieg<sup>3</sup> dotychczas ta wizyta.

— Hmm. Trafna myśl. Znakomicie. Zatem, zaczekajmy z tyn<sup>1</sup> jeszcze, admirale. Sądzę, że już powiedzieliśmy sobie wszyst\*<sup>0</sup>. Muszę się przebrać do obiadu. Winstonie, zawiadom mnie, gdy ty<sup>1</sup>\*<sup>0</sup>

ie Jakowlew. Panie wiceprezydencie, proszę mieć oko na  
Ma się rozumieć, panie prezydencie. Pułkowniku Lamborghini!  
Słucham, panie prezydencie? — Szef wywiadu był wyraźnie ^skoczony. prezydent pozwolił sobie na cień uśmiechu. —  
Zawsze miło spotkać brata. Nie pozwólmy upaść naszej większej  
Skądże, panie prezydencie! — przytaknął Lamborghini. Szef państwa opuścił salę, by przygotować się do oficjalnego  
obiadu.

*Dzień 2., 23:00 czasu Greenwich, 1:00 miejscowego Moskwa*

Noc była dokuczliwie zimna. Jurij Szewczenko szczerzej opatulili się paltem, idąc Prospektem Zuzino obok zamkniętych  
domów towarowych. Pod stopami skrzypiał zmarznięty śnieg. Kluczył już niemal od godziny po labiryncie wydeptanych  
ścieżek, co parę przecznic zatrzymując się, by sprawdzić, czy nie ma niepożądanego towarzystwa. W końcu dotarł do bramy  
na ulicy Odesskiej i rozejrzał się po raz ostatni. Pokryty śniegiem bulwar był opustoszały. Ktoś otworzył od wewnątrz drzwi,  
Szewczenko szybko wszedł do środka. Kiedy otrząpywał śnieg z butów, owionęła go fala ciepłego powietrza. Wkrótce  
znalazł się we wnętrzu.

— Dobry wieczór, Lampko! — jego gospodarz mówił po rosyjsku, ale z obcym akcentem. — Napijesz się?  
Szewczenko westchnął.

— Dużą, bardzo dużą wódkę, jeśliś taki miły.

Gospodarz, człowiek o włosach koloru piasku i nie rzucającym się <sup>w</sup> oczy wyglądzie, też był ubrany jak robotnik. Posadził  
go przy <sup>st</sup>ole, koło brzuchatego pieca, stojącego na środku pokoju. Ogrzej się — zapraszał — zaraz naleję. Wyciągnął litr  
stolicznej i napelnił dwie szklanki. Szewczenko wychylił swoją od razu i powiedział: ~ Jeszcze jedną! — Życzenie zostało  
spełnione. Przyjrzał się pełnej blance z lubością, potem zaczął mówić: — W Bajkonurze mamy Pfoblemę z napiciem się  
wódki. Starają się ją racjonować, ale to płaćwa sprawa. Byli tacy, co próbowali precedzać przez chleb płyn P^eciw  
zamarzaniu. Myślę, że pewnie oślepną. — Upił pół szklanki.

~7 Myśleliśmy, że wpadłeś — powiedział gospodarz. — Nie było ^ Już przeszło sześć miesięcy. Gdy dziś, wracając  
wieczorem do <sup>0m</sup>u, zobaczyłem pinezkę, była to dla mnie radosna niespodzianka.

przybędzi  
sprawy

, kiedy będę zajęty.  
rodzinie!

Lampka kiwnął głową. — Mają za mało ludzi do pracy w Bajkonurze. Nie dawali urlopu dłużej niż zwykle. Jurij Szewczenko był szpiegiem. Po prostu był. Co więcej, <sup>Dużo</sup> szpiegiem z przekonania. W czasach stalinowskiego terroru, a niewiele miał wówczas lat, jacyś umundurowani ludzie przyszedli do jego rodzinnego domu i zabrali mu rodziców. Nigdy już ich więcej nie zobaczył. Żadnych wyjaśnień. Żadnego grobu. Żadnego nekrologu. Po prostu zniknęli. Na zawsze. Nigdy tego państwu nie wybaczyl! Poprzysiął sobie, że niczego nie daruje. Mnóstwo ofiar z tamtego okresu czuło podobnie. Szewczenko był jednak wyjątkiem — <sup>nie</sup> śpieszył się z zemstą, za to działał bardzo metodycznie. Czekał na odpowiedni moment. Reformy Chruszczowa i Gorbaczowa i potęgę pianie przez nich stalinizmu w ogóle nie zrobiły na nim wrażenia. Państwo pozostawało państwem. Był zdecydowany wyrównać z nim rachunki, choćby to miało potrwać długo. Stosował prostą strategię: będąc Rosjaninem, dobrze wiedział, że najcenniejszą rzeczą dla Rosjanina jest tajemnica. Żeby zadać ból państwu, trzeba było znaleźć sposób ujawniania tajemnic państwowych. Pozbawiony rodziny, Szewczenko ukończył szkołę zawodową i został zwykłym elektrykiem. Cierpliwie czekał na odpowiednią sposobność. Kiedy udało mu się dostać pracę elektrotechnika w zespole rzemieślników obsługujących budynki Rady Ministrów — o rzut kamieniem od Mauzoleum Lenina — poczuł, że nadszedł jego czas. Z pewnością mógł natknąć się w tym gmachu na mnóstwo wszelkiego rodzaju tajemnic. Czekając, aż coś mu wpadnie w ręce, natrafił wszakże na coś niezmiernie cenniejszego. Na coś, co wywarło głęboki wpływ na jego życie. Odkryciem tym był Biały TASS. Poza krótkim okresem gorbaczowowskiej *glasnosti*, informacja w Związku Sowieckim zawsze podlegała ścisłej kontroli. Rządowe gazety „Prawda” i „Izwestia” publikowały niewiele wiarygodnych wiadomości i unikały omawiania kwestii publicznych. Państwowa agencja informacyjna TASS była również krótko trzymana. Spełniała wszakże dodatkową funkcję, o której wiedzieli tylko nieliczni uprzywilejowani. Wydawała Biały TASS. W zasadzie Biały TASS jest odbiciem poglądów elity sowieckiej na siebie samą i na własny kraj. Funkcjonuje w sposób następujący: korespondenci TASS-a, akredytowani za granicą, czytają regularnie, co piszą o Związku Sowieckim „Times”, „Washington Post” czy „Le Monde” — artykuły o kontroli zbrojeń, o Afganistanie, wszelkie z zakresu sowietologii. Informacje wysyłają do Moskwy, w skondensowanej formie; tam trafiają do zastrzeżonego obiegu za pośrednictwem

Białego TASS-a. Zawiera on streszczenia owych doniesień na 'rkatne tematy, spreparowane przez ministerstwo informacji. ^C<sup>1</sup> 0owszechniany jest wśród wyższych urzędników Kremla. Dostęp niego J<sup>EST</sup> ściśle ograniczony. Natomiast dalekopisy z zagranicy,

których korzystano przy pisaniu informacji, wędrują po wykorzysty-<sup>1</sup> iu do koszy na śmieci, opróżnianych do specjalnych pojemników, wórch zawartość spala się w odpowiednim urządzeniu w podziemiach ministerialnego budynku.

Szewczenko wymieniał pewnego dnia bezpieczniki w piwnicy, kiedy zdarzyło mu się dostrzec w pojemniku na śmieci zwitek dalekopisów przeznaczonych dla Białego TASS-a. Przeczytał je. Doznał uczucia, jakby go poraził piorun. 'Nie miał przedtem pojęcia o tym, co się dzieje na świecie. Tak więc, owe depesze stały się dla niego czymś w rodzaju objawienia — oknem na świat i na własny kraj, jakże odmiennym od wszystkiego, z czymkolwiek się dotychczas zetknął. Wracił co wieczór i psuł sobie oczy czytając. To właśnie w źle oświetlonej piwnicy gmachu Rady Ministrów dowiedział się o inwazji na Czechosłowację, o Afganistanie, o Solidarności, o Czarnobylu, o tym, jak biedny jest jego kraj w porównaniu z Zachodem. Czytał przez całe lata i utwierdzał się w decyzji zemsty. W końcu postanowił, że nadszedł czas, by nawiązać kontakt z kimś z Zachodu. Ale z kim? I jak?

Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, być może Biały TASS uratował mu życie. Szewczenko był przerażony, czytając informacje o działalności wywiadu brytyjskiego, o tym, co się przydarzyło szpiegom takim, jak Kim Philby, Gay Burgess, Donald Maclean czy Anthony Blunt. Zaszokowała go nieudolność Amerykanów, zwłaszcza opowieść o tym, jak niezrównoważony psychicznie współpracownik CIA — niejaki Edward Lee Howard — uzyskał cenne dane o najważniejszych ludziach z amerykańskiej siatki szpiegowskiej w Związku Sowieckim, a następnie przekazał je Rosjanom.

Naczytawszy się tych opowieści, Szewczenko postanowił unikać bezpośrednich kontaktów z Amerykanami i Brytyjczykami. Francja

1 Włochy także nie wchodziły w rachubę. W ich władzach roilo się od sympatyków systemu sowieckiego. A zatem, gdzie się zgłosić? I jak?

Odpowiedź przyszła sama, kiedy wysłano go, by dokonał drobnej naprawy w ambasadzie australijskiej. Przedstawicielstwa zagraniczne<sup>w</sup> Moskwie obywają się minimalną liczbą personelu pomocniczego, toteż w takich sprawach jak reperacje instalacji wodnej, gazowej czy<sup>1</sup> elektrycznej zmuszone są zwracać się o pomoc do władz miejscowych, nakładając wyłącznik w biurze australijskiego radcy handlowego Szewczenko po prostu zostawił liścik przedstawiający pokrótce jego atencje. Niebawem otrzymał pseudonim „Lampka” i od tego czasu<sup>b</sup> był szpiegiem.

Teoretycznie praca w gmachu Rady Ministrów powinna przynieść jakieś efekty, w praktyce wcale tak nie było; nie miał dostępu do tajnych dokumentów, urzędnicy zaś byli z reguły aroganckimi partyjniakami, z którymi niełatwo mógł zwykły instalator nawiązać bliższe kontakty. Kiedy więc pojawiła się możliwość przeniesienia na kosmodrom w Bajkonurze, Lampka skorzystał z niej z radością oficjalnie powodem było wyższe wynagrodzenie, mające rekompensować odległe położenie nowego miejsca pracy. Od pięciu lat był zatrudniony w systemie rotacyjnym: przez trzy miesiące pracował w Bajkonurze, a potem spędzał wolny tydzień w Moskwie. Za każdym powrotem składał raport swej australijskiej „skrzynce kontaktowej”, a informacje, jakich dostarczał, okazywały się bezcenne. Trudno było o coś lepszego niż para oczu i uszu w największym rosyjskim ośrodku kosmicznym.

— Cóż więc przywiozłeś mi tym razem, przyjacielu? — zapytał Australijczyk.

Obaj mężczyźni mieli już dość czasu, by się wzajemnie poznać. Na stole stał, dobrze widoczny, magnetofon. Był wyposażony w termitowe urządzenie samoniszczące: mechanizm ten uruchamiał się, jeśli nie został co pewien czas w porę przestawiony.

— Mam coś, co może się okazać prawdziwą rewelacją. Coś, czego po prostu nie rozumiem. — Lampka pociągnął kolejny łyk wódki. — Cztery miesiące temu przygotowywano do startu wahadłowiec

o nazwie *Susłow*. Jak wiesz, nie mam do czynienia z raketami. Reperuję tylko urządzenia elektryczne w budynkach.

Niemniej widywałem go na wyrzutni. Ogromna sztuka! Parę dni przed startem kazano mi naprawić tablicę rozdzielczą w jednym z hangarów magazynowych, wyjątkowo pilnie strzeżonym. Zwróciłem na to uwagę, ponieważ rzadko tak pilnują zwykłych magazynów. Żołnierz zaprowadził mnie do przedsionka, gdzie znajdowała się tablica,

został, zabraniając pod jakimkolwiek pozorem wchodzić do hangaru. Pewnie powinien być ze mną zostać, ale właśnie był czas zmiany warty, więc chciał wyjść.

— Czyli zostałeś sam? — zagadnął Australijczyk.

— *Da*. Nalej mi jeszcze.

Butelka stolicznej była już do połowy opróżniona.

— Myślałem, że pojawi się inny wartownik, ale widocznie coś im się popieprzyło podczas zmiany warty. Wziąłem się do roboty, naprawiłem, co trzeba, i pozostałem w przedsionku, aż się zrobiło po północy. Nasłuchiwałem przez metalowe drzwi, ale z hangaru nie dochód żaden dźwięk. Drzwi były zamknięte na kłódkę od mojej strony. Wziąłem więc z sobą różne narzędzia, toteż udało mi się ją otworzyć, starając się zrobić to jak najciszej. Chwilę odczekałem, a kiedy nikt się nie

wszedł do środka. W hangarze było ciemno i pusto... i było tam

Australijczyk podniósł brew. Było tam co?

— Wahadłowiec *Suslow* albo raczej coś, co na niego wyglądało.

Miało nawet nazwę wypisaną na dziobie.

— Co masz na myśli mówiąc, że to coś wyglądało jak *Susiowl*

Kolejny łyk wódki.

— Jakoś mi to wyglądało nieprawdziwie, więc przystawiłem składaną drabinę, którą zazwyczaj noszę ze sobą, i włożyłem na nią, żeby obejrzeć ogon i znajdujące się na nim dysze silników.

— I co? — nalegał Australijczyk.

— Wszystko było zrobione z plastiku.

— Z plastiku?

— *Da* — potwierdził Rosjanin. — Wiesz, mogłem kołysać tym całym niby to wahadłowcem, huśtając się na silniku. Nie robiłem tego nawet zbyt mocno, bo bałem się, że silnik, a właściwie coś, co miało imitować silnik, oderwie się od kadłuba.

— Myślisz, że to, co widziałeś, było rodzajem makiety?

— *Da*. Tak mi się wydaje. Australijczyk nie dowierzał.

— Nie rozumiem. Po cóż mieliby robić plastikową replikę wahadłowca?

Lampka wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Wszystko, co wiem, to to, że wkrótce potem cały personel pomocniczy, kucharze, dozorczy, ludzie do reperacji, tacy jak ja, został wywieziony na jakiś tydzień do Turatamu. Niby nic w tym nadzwyczajnego, tyle że zwykle robiono tak tylko na czas startu. Niezwykle było to, że aż na tydzień. Kiedy wróciliśmy, wahadłowca nie było już na wyrzutni.

— Hmm... — Mózg Australijczyka pracował w przyspieszonym tempie. — Brzmi to zastanawiające Czy coś jeszcze widziałeś?

Stoliczna była już na ukończeniu.

Nic. Zastąpiłem kłódkę zapasową, którą miałem w torbie z narzędziami, żeby zatrzeć ślady. Nigdy już tam nie wracałem.

> „Skrzynka kontaktowa” był profesjonalistą.

A co by się stało, gdyby ktoś próbował otworzyć kłódkę i nie mógł? Czy mogliby wpaść na twój trop?

Nie! — odpowiedział Lampka z przekonaniem. — Zawsze miałem klucze. Po prostu otworzyliby ją w taki sam sposób, jak ja to zrobiłem, i zastąpili nową. Australijczyk wydawał się usatysfakcjonowany. ~” Dobra. To może być bomba. Muszę to

szybko przesłać. Gdyby chodziła potrzeba ponownego spotkania, zanim wyjedziesz, zawiadzę cię tak jak zwykle.

lampka kiwnął głową i wysączył resztkę wódki. Włożył rękawice



i czapkę i wyszedł tylnymi drzwiami. Gospodarz obserwując ją odrobinę chwiejnie, idzie chodnikiem, kręcił głową. Gdyby ^ wypił tyle w ciągu godziny, wylądowałby w szpitalu. „Marynowa wnętrzności muszą mieć ci Rosjanie” — pomyślał.

Kiedy jego ko^

zniknął za rogiem, szepnął: — Uważaj na siebie, kolego!

Oficjalnie Australijczyk pełnił w ambasadzie funkcję zastępcę attache kulturalnego. W rzeczywistości był szefem moskiewskie placówki Australian Secret Intelligence Service, nielicznej, ale bardzo kompetentnej organizacji, lepiej znanej z osiągnięć w rejonie Pacyfiku Cieszyła się renomą, jeśli chodzi o umiejętność zachowania dyskrecji

Odczekał kwadrans, zanim sam wyszedł. Było dobrze po drugiej w nocy i mroźny rosyjski wiatr przenikał przez palto.

Metro już nie kursowało, miał więc przed sobą długi powrotny lodowaty spacer do ambasady. Co gorsza, musiał jeszcze trochę pokluczyć, żeby się upewnić, że nikt za nim nie idzie. Chroniąc takie źródło informacji, trzeba było zachowywać najwyższą ostrożność. Wreszcie, bliski odmrożeń, dotarł do bramy ambasady i z radością schronił się przed chłodem w jej wnętrzu.

Znalazłszy się w budynku, poszedł wprost do swego biura, napił się kawy i przystąpił do pisania raportu. Robił to ręcznie, gdyż to, co się pisze na maszynie, nawet tradycyjnej, daje się podsłuchać elektronicznie, a nie miał wątpliwości, że ambasada jest nafaszerowana tego rodzaju instalacjami. Kiedy skończył, włożył raport do koperty i zalakował ją osobistą pieczęcią. Napisał na niej: „ASIS — wyłącznie do rąk własnych dyrektora”. Potem usadowił się wygodnie, z nogami na stole, by doczekać poranka. Koperta miała się znaleźć w torbie kuriera dyplomatycznego, odlatującego o ósmej czterdzieści Aeroflo-tem do Tokio. Na lotnisku Narita, kurier miał się przesiąść na samolot pasażerski Qantas 747-SP, by odbyć długodystansowy rejs do Australii. Raport powinien dotrzeć do rąk dyrektora w Kanberze w ciągu dwudziestu godzin. Powoli, ale nie można było nawet myśleć o przesyłaniu tego rodzaju informacji wywiadu poprzez pokój szyfrowy.

Łyknął jeszcze trochę kawy i pomyślał o ciepłej piaszczystej plaży w Perth.

*Dzień 2., 24:00 czasu Greenwich, 2:00 miejscowego* **Lotnicze Centrum Komputerowe, kosmodrom w Pleścieku**

Iwan Pirdilenko przypominał pająka, kiedy przygarbiony klawiaturą komputera przeglądał po raz ostatni na monitorze got już program nawigacyjny, sprawdzając, czy rzeczywiście nie ma w

, Tego rodzaju program lotu dla pocisku antysatelitarnego oaał najwyższej precyzji. Toteż Pirdilenko nie powierzył go \*y<sup>m</sup>  
uterom sowieckiej produkcji marki Kosmos, w które wyposażo- \*""hvło Centrum Komputerowe. Wolał go opracować na  
mikrokom-<sup>nc</sup> rze amerykańskim Digital Equipment MicroVAX 3600. To P<sup>me</sup>H<sub>2</sub>zenie, również zakupione za pośrednictwem  
firmy francuskiej, z\lo się tak wielkim powodzeniem wśród personelu, że Pirdilenko C<sup>t</sup>usiał osobiście kontrolować dostęp do  
niego.

Gdy w końcu uznał, że w programie wszystko gra, nacisnął ndoowiednie klawisze i instrukcje elektroniczne zostały  
wprowadzone do pastylki komputerowej produkcji Texas Instruments, zamkniętej w specjalnym naboju nawigacyjnym. Po  
zakończeniu tej operacji pirdilenko odłączył kabel koncentryczny i zadzwonił po asystenta.

Teraz pozwolił sobie na chwilę refleksji. Jeśli wykona to zadanie dla sekretarza generalnego i szefa KGB, pewnie awansuje  
na dyrektora całego kosmodromu. Prawdę mówiąc, kierował nim właściwie już teraz, gdyż jego nominalnym  
zwierzchnikiem był partyjny kutas, co drugi dzień pijany. Takie stanowisko oznaczałoby dla Pirdilenki ogromną karierę.

— Wzywaliście mnie, towarzyszu dyrektorze? — zapytał służbiście młody asystent.

Pirdilenko przeciągnął długimi chudymi palcami po przerzedzonych włosach.

— *Da.* Zanieście ten nabój majorowi Somolii do działu operacji lotniczych. Niech go natychmiast zainstaluje w głowicy  
bojowej. — Spojrzał na zegarek marki Seiko. Druga w nocy. Nie była to dla niego pora niezwykła, przyzwyczał się do  
pracy w nietypowych godzinach. — Mamy ponad cztery godziny do startu. Dość, by zakończyć przygotowania.

— Już się robi, towarzyszu dyrektorze!

Kiedy asystent wyszedł, Pirdilenko poskubał swą vandyckowska bródkę i uśmiechnął się. Może ten Kostiaszak ma, mimo  
wszystko, <sup>rac</sup>JC- To były rzeczywiście szachy na wielką skalę.



## Dzień trzeci

*Dzień 3., 1:30 czasu Greenwich, 20:30 miejscowego Białego Domu*

Długa czarna limuzyna marki Cadillac Fleetwood przetoczyła się przez bramę Białego Domu i zatrzymała przed wejściem dla gości. Wartownik tajnej służby otworzył tylne drzwi, przez które wysiadł ambasador Jakowlew. Miał na sobie dobrze skrojony, dopasowany do przysadzistej figury smoking i płaszcz. Filcowy kapelusz przykrywał parę kosmyków siwych włosów, jakie mu jeszcze pozostały na głowie. Kiedy adiutantowi udało się go wreszcie dopaść, słuchał koncertu Gershwina w Centrum Kennedy'ego. Stary dyplomata nie chciał nosić przy sobie któregoś z tych piekielnych bipających urządzeń, a znano go z tego, że wychodził sam i bez opowiadania się komukolwiek. Nie pierwszy to już raz ludzie z jego personelu zmuszeni byli bawić się z nim w chowanego.

Jakowlew potrafił przetrwać, chociaż był porządnym człowiekiem. W Rosji te dwie cechy nie zawsze dawały się pogodzić. Jako piętnastoletni chłopak podczas wielkiej wojny ojczyźnianej przemierzył z pepeszą szlak od Stalingradu do Berlina. Później zrobił karierę akademicką na uniwersytecie moskiewskim. Zajmował się historią Europy Zachodniej. Od czasu do czasu Ministerstwo Spraw Zagranicznych zlecało mu opracowanie pewnych specjalistycznych zagadnień. Zwięzłość dokonywanych analiz ugruntowała jego reputację.

Kiedy po zamordowaniu Gorbaczowa minister Gosplanu wywalczył sobie stanowisko sekretarza generalnego, zaniepokojeni członkowie Politbiura chcieli mieć w Waszyngtonie sensownego człowieka-Kogoś, komu mogliby ufać nie tylko oni, ale i Amerykanie. Pr<sup>2</sup> całym przewrocie, jaki dokonał się na Kremlu, woleli nie niepokoić dodatkowo Stanów Zjednoczonych. Nowy sekretarz generalny został więc zmuszony do mianowania na stanowisko ambasadora Jako\*<sup>1</sup> lewa, nie zainteresowanego robieniem kariery politycznej ani dyP lomacyjnej, natomiast cieszącego się uznaniem w kręgach zwią<sup>23</sup>

ch ze służbą zagraniczną. Kilku członków Politbiura pamiętało go i jako powszechnie lubianego wykładowcę z czasów studiów uniwersyteckich.

Jakowlew objął stanowisko niechętnie — był wdowcem, któremu nie uśmiechała się rozłąka z dziećmi i wnukami. Poza tym interesował się Europą Zachodnią, a nie Ameryką Północną. Ale będąc przez całe życie członkiem partii, uważał, że musi wypełnić obowiązek wobec państwa, więc nominację zaakceptował.

Zgodnie z oczekiwaniami, pozyskał sobie szacunek Amerykanów. Nigdy nie składał obietnic bez pokrycia. Nie był entuzjastą konferencji prasowych, ale też nie odmawiał dziennikarzom wywiadów telefonicznych. Mówił językiem zrozumiałym, a nie bełkotem z „Prawdy”. Był przeciwieństwem legendarnego Anatolija Dobrynina, reprezentującego Kreml w Waszyngtonie przez ponad dwadzieścia lat, mistrza zakulisowych posunięć, potrafiącego zmienić stanowisko szybciej niż kameleon barwę. Jakowlew natomiast, choć mniej efektowny, był wiarygodny. Z Jakowlewem nie kupowało się kota w worku. Prezydent był tego świadom, kiedy zaanonsowano sędziwego ambasadora do Oval Office w zachodnim skrzydle. Jakowlew czuł, że stało się coś niedobrego. Świadczył o tym fakt, że go odszukano i zabrano z koncertu muzyki Gershwina, za którą przepadał. Dodatkową wskazówką był fakt, że miał zostać przyjęty przez prezydenta w Oval Office. Zazwyczaj prezydent wolał załatwiać sprawy w mniej oficjalnym biurze w starym Executive Office Building, gdzie Jakowlew spotykał się z nim wielokrotnie. Oval Office było zarezerwowane na okazje ściśle formalne. Wyglądało na to, że do czegoś takiego doszło, po obu stronach bowiem siedzącego za biurkiem prezydenta stali sekretarz stanu i sekretarz obrony. Wszyscy trzej byli w białych krawatach i frakach. Wyciągnięto ich z oficjalnego bankietu na cześć prezydenta Francji, kiedy udało się odnaleźć sowieckiego ambasadora. W sali bankietowej zastępował ich wiceprezydent. Wszyscy mieli nadzieję, że wrócą tam, zanim ich nieobecność stanie się zbyt oczywista.

Wyczuwając ponury nastrój spotkania, Jakowlew podszedł zdecydowanym krokiem do biurka.

Pan chciał się ze mną zobaczyć, panie prezydencie? — zapytał.

Szef państwa skinął głową.

Chciałem, panie ambasadorze, i od razu przejdę do rzeczy. . . trzymałem z Departamentu Obrony niepokojącą informację, że <sup>Jac</sup>yś przedstawiciele władz sowieckich kontaktują się z amerykańskim <sup>s</sup> atkiem kosmicznym, który wystartował wczoraj rano z Kalifornii.

Jakowlew spojrzał na niego nieprzytomnie.

~ Przepraszam, nie zrozumiałem?

^rezydent zwrócił się na lewo:

172

— Panie ministrze, pan będzie łaskaw.

Sekretarz obrony wręczył ambasadorowi maszynopis charakteru, żujący pokrótce zachowanie się *Intrepida*, a jednocześnie odczytając przyjemnym akcentem Południowca swój egzemplarz. Jakowlew wydawał się tylko jeszcze bardziej zdezorientowany.

— Pan mówi, że utraciliście łączność z jednym z waszych wahadłowców kosmicznych... i że on teraz rozmawia z kimś w Związku Sowieckim?

— Dokładnie o to chodzi, panie ambasadorze — potwierdził prezydent.

— To absurd! — powiedział Jakowlew i z dezaprobatą rzucił dokument na biurko.

— Zapewniam pana, panie ambasadorze, że to nie jest absurdalne. — Prezydent mówił ostrym tonem. — Ten statek kosmiczny wiezie pewne ważne elementy przeznaczone dla naszej platformy obrony strategicznej. Wypiął się na nas bez wyjaśnienia. Wysłaliśmy głęboko w sowiecką przestrzeń powietrzną jeden z naszych samolotów wywiadowczych. Potwierdził on, ponad wszelką wątpliwość, fakt łączności radiowej pomiędzy tym wahadłowcem a rosyjską stacją naziemną. Wasi ludzie próbowali nawet zestrzelić nasz samolot szpiegowski. Wyjaśnijcie to!

Jakowlew powoli potrząsał głową.

— Panie prezydencie! Nie zaliczam się do entuzjastów całego tego nowoczesnego sztafażu technicznego, którym wy, Amerykanie, tak się ekscytujecie, że stał się dla was czymś w rodzaju religii. Podobnie jak wasz amerykański futbol. Nie mam pojęcia, o czym panowie mówicie, ale mogę się założyć, że to po prostu nawala wasz sprzęt. Przypominam sobie spekulacje, obarczające KGB odpowiedzialnością za eksplozję waszego wahadłowca *Challenger*. Myślę, że chodzi tu o coś podobnego. Czy mamy być obwiniani o wszelkie niepowodzenia w waszych ryzykownych przedsięwzięciach kosmicznych? Słyszałem pogłoski, że tworząc platformę kosmiczną dokonaliście naukowego przełomu, ale zapatruję się na to bardzo sceptycznie. Konstruowaliście ją zachowując z pewnością najbardziej rygorystyczne środki bezpieczeństwa, a teraz twierdzicie, że próbujemy zwabić wasz statek kosmiczny. Przecież to niedorzeczne!

Prezydent wpatrywał się przez chwilę w Jakowlewa. Potęffl spróbował z innej beczki.

— Spędziliśmy ze sobą trochę czasu, prawda, panie ambasadorze-Starszy pan przytaknął.

— Ileś tam razy jedliśmy wspólnie obiad. Odwiedził mnie p<sup>ad</sup> w Camp David. Bawił się pan z moimi wnukami. Czy kiedykolwiek zdarzyło się panu usłyszeć ode mnie coś, co nie byłoby w prawdą?

Nie, panie prezydencie — przyznał Jakowlew, odwzajemniając spojrzenie.

Głos szefa państwa stał się łagodniejszy.

A więc, Jewgienij, proszę mi uwierzyć. Utraciliśmy łączność z naszym wahadłowcem, a wiemy, że kontaktuje się z nim ktoś z waszego kraju. Nie ma co do tego wątpliwości. Ładunek, który wiezie ten wahadłowiec, ma kolosalne znaczenie dla bezpieczeństwa naszego państwa i jeśli dopuszczę, by wpadł w rosyjskie ręce, w poniedziałek oskarżą mnie o zdradę, a we wtorek zlinczują. Nie mogę pozwolić i nie pozwolę, by coś się przydarzyło temu wahadłowcowi. A teraz, błagam pana, niech pan zawiadomi kogo trzeba o powadze tej sprawy i poinformuje, że jakakolwiek próba manipulacji tym statkiem kosmicznym będzie uznana przez Stany Zjednoczone za krok wojenny.

Jakowlew zastanowił się nad słowami „krok wojenny” i powoli podniósł papier, który rzucił na biurko. Poważnym tonem zapytał:

— Wszystkie szczegóły są na tej kartce?

— Tak, panie ambasadorze. Dane dotyczące startu i orbity oraz informacja o misji wywiadowczej — odpowiedział sekretarz obrony.

Ambasador westchnął.

— Doskonale. Zakomunikuję ministrowi spraw zagranicznych, że panowie są zaniepokojeni. Ale obstać przy zdaniu, że to jakieś urządzenia techniczne muszą źle funkcjonować. — Spojrzał na zegarek. — W Moskwie jest już dobrze po północy. Mam nadzieję, że panowie zdają sobie sprawę, iż nie będę w stanie udzielić odpowiedzi wcześniej niż rano.

Prezydent kiwnął głową.

— Rozumiem, Jewgienij. Ale proszę tego nie lekceważyć. Tęgi Rosjanin uśmiechnął się.

— Czy pan wie, panie prezydencie, że byłem czterokrotnie ranny Podczas wojny z Niemcami?

Prezydent zaprzeczył ruchem głowy.

— A o tym, że kiedy szliśmy na Berlin, straciłem na skutek odmrożenia dwa palce prawej stopy?

— Nie, nie wiedziałem. — Prezydent mówił prawdę, był wręcz niezadowolony, że sporządzone przez CIA *dossier*

Jakowlewa nie uwiera tych informacji.

— A czy pan wie — kontynuował ambasador — że w młodych <sup>at</sup>ach, kiedy zaczynałem karierę uniwersytecką, musiałem się zdrowo <sup>na</sup>Pocić, żeby uniknąć kłopotów z NKWD?

— Nie.

Stary człowiek uśmiechnął się po ojcowsku.

No cóż, kiedy już pan o tym wie, zapewne pan zrozumie, że <sup>o</sup>atwo mnie skłonić, żebym się czymś przejął.

174

Teraz z kolei uśmiechnął się Amerykanin.

— W porządku, panie ambasadorze. Ale proszę działać szybko Jakowlew skinął głową.

— Kiedy minister spraw zagranicznych przyjdzie rano do biura będzie na niego czekała moja depesza.

Po wyjściu Jakowlewa prezydent zwrócił się do sekretarza stanu:

— Co o tym myślisz, Winstonie?

Przedstawiciel resortu spraw zagranicznych, wyglądający jakby zszedł z okładki „Gentlemen's Quarterly”, wziął sobie kubańskie cygaro z pudełka stojącego na biurku w Oval Office.

— Jakowlew twierdząc, że o niczym nie wie, z pewnością mówi prawdę, panie prezydencie. Znamy go już jakiś czas, to człowiek nie umiejący kłamać. Nic już się nie da zrobić od strony dyplomatycznej, dopóki nie dostaniemy odpowiedzi sowieckiego ministra spraw zagranicznych.

Prezydent chrząknął.

— Sam, czy masz pewność, że *Intrepid* kontaktuje się z Rosjanami? Wiesz, wyszlibyśmy na niezłych durniów, gdyby Jakowlew miał rację.

Sekretarz obrony, arystokrata z Południa o wystających kościach policzkowych, w okularach o rogowej oprawie, poprawił krawat i powiedział:

— Panie prezydencie, osobiście przeglądałem z tuzin razy dane telemetryczne dostarczone przez National Security Agency. Dowody wyglądają solidnie. *Intrepid* rozmawia z kimś w Związku Sowieckim. Kiedy minister spraw zagranicznych dostanie depeszę ambasadora, przywódcy sowieccy dowiedzą się, że zostaliśmy zaalarmowani. Miejmy nadzieję, że to ich odstraszy.

— A jeśli nie? — zapytał szef państwa.

— Przygotowaliśmy z generałem Whittenbergiem plan, który on naszkicował na posiedzeniu National Security Council — odpad Południowiec. — Poza tym sztab admirała Bergstroma opracowuje warianty rezerwowe, na wypadek gdyby wysiłki SPACECOM-u zawiodły. Przedstawimy te plany panu i wiceprezydentowi das wieczorem, po przyjęciu.

Prezydent kiwnął głową.

— Whittenberg wie, że ma nas natychmiast alarmować, gdyW zaszły jakieś zmiany w sytuacji *Intrépida!*

— Oczywiście, panie prezydencie. Prezydent zdjął okulary i przetarł oczy.

— To najbardziej zwariowana, cholerna sprawa, o jakiej w żyd<sup>u</sup> słyszałem. Fatalnie, że to paskudztwo przydarzyło się właśnie Rodgerowi. Wiem, że myślałeś o nim jako o następcy Bergstroma.

Łgdy admirał odejdzie w przyszłym roku na emeryturę. W tej sytuacji jednak, Sam, może to się okazać niemożliwe. Sekretarz obrony również zdjął okulary; był to znak, że nie zamierza łatwo zmienić zdania.

Panie prezydencie! Myślę, że wiceprezydent miał słuszość stwierdzając, że afera nie wynikała z niczyjego indywidualnego błędu. Byłoby więc nie fair nie odnosić tego również do generała Whittenberga.

— Och, zgadzam się z tym całkowicie. Tylko że jeśli Rosjanie

przechwycą *Intrepida*, oznacza to koniec kariery wiceprezydenta i mojej. Wy z Winstonem wylecicie stąd, a ktokolwiek zostanie nowym prezydentem, zdegraduje wszystkich w SPACECOM-ie, choćby tylko dla poprawienia sobie samopoczucia. I nikt z nas nie będzie mógł nic na to poradzić.

Prezydent spojrzął na zegarek.

— Cóż, wracajmy na przyjęcie!

*Dzień 3., 1:30 czasu Greenwich, 18:30 miejscowego Lotnisko wojskowe Biggs, Fort Bliss, Teksas*

Starszy podoficer Greg Hogan zszedł z rampy załadunkowej przystawionej do Starliftera C-141, żeby przepuścić wtaczany nią podnośnik widłowy. Odfajkował go w notesie, następnie podszedł do żującego cygaro pułkownika, na którego kołnierzu widniało działo skrzyżowane z rakiętą, oznaczające przynależność do wojsk obrony przeciwlotniczej.

— Proszę mnie teraz upewnić, czy dobrze zrozumiałem zadanie — zwrócił się do pułkownika, poprawiając furażerkę na tysej głowie. — Zabieram pięć skrzyń Stingerów i tuzin zdalnie sterowanych samo-locików-celów wraz z obsługą do Cape Canaveral?

Pułkownik strzepnął popiół z cygara.

— Dobrze pan zrozumiał, panie Hogan.

Z jakichś niejasnych powodów regulamin wojskowy wymagał, by Wracając się do starszego podoficera poprzedzić jego nazwisko słowem „pan”.

Hogan z roztargnieniem skubał kant sfatygowanej furażerki. Byłbym naprawdę zobowiązany, panie pułkowniku, gdyby mi Da<sup>n</sup> powiedział, o co tu naprawdę chodzi?

Pułkownik kończył palić swoje tanie cygaro. . . Wszystko co wiem, to że kazano mi ściągnąć mojego najlepszego Instruktora od Stingerów, wsadzić go do Starliftera z obsługą zdalnie s<sup>ef</sup>owanych celów, zawiązać całość ładną kokardką, dać całusa na Poz<sup>egn</sup>anie i trzymać gębę na kłódkę. Sugeruję panu to samo.

Stinger to odpalany ręcznie pocisk ziemia—powietrze, kierowany

Zdobyć..

177



za pomocą termolokacji. Cele stanowiły zdalnie sterowane santolo. ciki-modele. Hogan był instruktorem w Szkole Artylerii Przeciwnot. niczej w Fort Bliss.

Dowódca załogi C-141 krzyknął do nich z góry, z ładowni:

— Wszystko w porządku. Lećmy!

Hogan oprzytomniał, zasalutował elegancko i zawołał, przekrzy. kując narastający hałas silnika:

— Tak jest! Mam nadzieję, że nasz samolot nie zbczy do Nikaragui. Lub na Kubę.

Pułkownik odwzajemnił pozdrowienie.

— Za to nam właśnie płacą, panie Hogan.

Podoficer westchnął. Powiedział: — Tak jest, panie pułkowniku! i wszedł do ładowni. Nie czekając na zabranie rampy, Starlifter zaczął kołować w stronę pasa startowego.

*Dzień 3., 1:30 czasu Greenwich, 18:30 miejscowego* **Baza Sił Powietrznych Peterson, Kolorado**

Lydia Strand czuła się kompletnie wyczerpana. Od trzech godzin przeszukiwała kwaterę Kapuścińskiego w budynku dla nieżonatych oficerów i nie sprawiało jej to żadnej przyjemności. Czuła się zde gustowana i sfrustrowana. Zdegustowana, bo nie było jej miło naruszać czyjąś prywatność. Sfrustrowana, bo nie znalazła niczego, co mogłoby rzucić choćby promyk światła na sprawę.

W gruncie rzeczy była osobą o mniejszych niż inni szansach. Choć nie dostrzegało się tego na pierwszy rzut oka, natura obdarzyła ją błyskotliwym umysłem (Uniwersytet Północnej Karoliny nie wdaje dyplomów z fizyki z odznaczeniem bez istotnego po temu powodu), ale jej intelekt przyćmiewała oszałamiająca uroda. Miała długie ciemne włosy, chłodne szare oczy i figurę zasługującą na ocenę dziewięć i osiem dziesiątych w skali Richtera (choć przyspieszenia, jakich doświadczała podczas kariery lotniczej w myśliwcach F-16 sprawiły, iż jej piersi nie miały już tej jędrności co dawniej). Kiedy starała się wypełniać swe obowiązki służbowe, zbyt wiele osób — tak mężczyzn, jak i kobiet — zdominowanych było przez wrażenie, jakie wywoływała jej uroda. Kobiety często bywały zawistne, mężczyźni zaś oczarowani jej wyglądem i natarczywie usłużni. Nie każdy potrafił zachowywać się tak przyzwoicie jak Whittenberg, Lamborghini czy Kelly. W SPACECOM-ie pracowało mnóstwo ludzi, którzy po prostu nie chcieli traktować jej poważnie. Codziennie musiała siC więc sprawdzać we własnych oczach; właśnie dlatego tak pokochała latanie. W walce powietrznej zawsze ktoś zwyciężał, a ktoś pr<sup>ze</sup> grywał. I kropka! Zwyciężała niegdyś często ogromnie męskie\*<sup>1</sup>

feterów i to ją właśnie trzymało. Skazana na nieustanne udowadnianie, że jest czymś więcej niż tylko jeszcze jedną ładną buzią.<sup>01</sup> Teraz wszakże nie było jej lekko. Obarczono ją odpowiedzialnym daniem i nie chciała zawieść. Czuła się zmęczona i zapędzona ^ ślepą uliczkę. Zatrzasnęła metalową szufladę biurka.

Stwierdziła, że Lodowiec wiódł surową egzystencję. W dwu-okołowej kwaterze stało trochę mebli z przydziału, w szafie wisiało mnóstwo mundurów i tylko jedno ubranie cywilne, na półce tkwiło pełno podręczników lotniczych, a na stoliku do kawy leżał egzemplarz lotniczego czasopisma „Flight”. W małym biurku nie znalazła niczego poza zapłaconymi rachunkami, zawiadomieniami bankowymi, pismami urzędowymi z NASA i z lotnictwa oraz pudełkiem z medalami i zaszczytnymi wzmiankami. Dziwiło ją bardziej to, czego nie znalazła. Brak na ścianach jakichkolwiek fotografii — lotniczych, astronautycznych czy rodzinnych. Brak Biblii na półce z książkami i porozrzucanych egzemplarzy „Playboya”. Brak w szufladzie listów od dziewczyn czy przyjaciół. Śladu jakichś wędek czy nart. Odnosiło się wrażenie, jakby wszystko, co ludzkie i prywatne, zostało usunięte z tego mieszkania, a zostawiono tylko sprzęty przydzielone przez władze. Po zbadaniu dokumentów to, co udało się jej złożyć do kupy na temat Lodowca wyglądało mniej więcej tak: był pułkownikiem lotnictwa, odznaczonym mnóstwem medali, miał na koncie w banku Mountainview Savings & Loan około trzydziestu trzech i pół tysiąca dolarów, używał pasty do zębów Crest i płacił rachunki w terminie. Całkiem zwyczajne rachunki. Miał karty kredytowe Exxon i American Express. Nic podejrzanego. Może poza plikiem zapłaconych faktur za wynajmowanie pomieszczenia magazynowego w pewnym samoobsługowym domu składowym w Chicago.

Ponieważ rewizja w kwaterze okazała się jednym wielkim fiaskiem, jedyną rzeczą, jaka mogła jej przyjść do głowy, był wyjazd do Chicago, by powęszyć wokół miejsc, gdzie Lodowiec mieszkał dawniej. Może ktoś, kto znał jego albo jego rodziców nadal gdzieś tam krążył i mógłby rzucić trochę światła na tego faceta... Zatrzęsło<sup>03</sup>- Pomyślała, że miano „Lodowiec” pasowało do niego jak ulał. Zatelefonowała do biura, do Kelly'ego.

— Jak tam Katy? — zapytała. .. — Martwi się — odpowiedział Kelly. — Powiedziałem jej tylko, <sup>02</sup> wydaje się, że jest jakiś kłopot z *Intrepidem*, ale nie mogę o tym ^zmawiać, bo to sprawa tajna. Spytałem, czy uważa, że Frank <sup>04</sup>brze się czuł przed wyjazdem. Powiedziała, że bardzo się przejął Nominacją do załogi i był szczęśliwy jak nie wiem. Chciała się .<sup>05</sup>owiedzieć odcieć czegoś więcej, więc się wycofałem. Powiedziałem, żeby do mnie zadzwoniła, gdyby miała jakieś problemy.

— Były jakieś wieści od Walta?

— Tylko że pojechał do Houston.

— Dobrze, chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Kiedy Walt zadzwoni powiedz mu, że potrzebuję jednego z tych upoważnień śledczych na — przerzuciła plik zapłaconych rachunków — dom składowy U-Stow-It w Chicago, Grindell Street 1731. Tutaj kompletna kłapa. Wybieram się do Chicago, żeby się rozejrzeć pod starymi adresami... Zaczynam czuć się z tym wszystkim jak głupia...

Kelly ją pocieszał.

— Jest pani zmęczona, majorze. Niech pani trochę odpocznie. Tak czy inaczej, nie da się zrobić czegokolwiek w Chicago wcześniej niż rano. Będę na bieżąco informował szefa sztabu.

— Dzięki, Tim — powiedziała znużonym głosem. — Czy była jakaś wiadomość od pułkownika?

— Tak — odparł Kelly. — Poszli z generałem trochę się przespać, zanim tu przylecą z powrotem swoim T-38. Pewnie właśnie teraz kimają.

— Myślę, że i ja to zrobię. Jeśli możesz, zorganizuj mi na jutro transport do Chicago, bardzo cię proszę. Chciałabym stąd wyjechać o szóstej trzydzieści. Wtedy będę tam na tyle wcześnie, żeby zdążyć coś zrobić.

— Załatwione, majorze!

— Dziękuję, Tim — powiedziała słabym głosem i odłożyła słuchawkę. Włożyła rachunki do torebki, wyszła i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

W domu wykapała Noego, pocałowała męża i padła.

*Dzień 3., 1:30 czasu Greenwich Intrepid*

Hikorowy kij spadł ze straszliwym kłaśnięciem na goleń jedenastoletniego Juliana, wywołując u chłopca okrzyk przestachu. Młodociany napastnik zbliżył twarz do ofiary i warknął:

— Ty mały, pierdolony Polaczku. Nie chcemy takich tutaj! Rozumiesz?

Dwóch innych prześladowców przyciskało Julianowi ręce do ziemi-Bezskutecznie próbował im się wyrwać — trzynastoletni napastnicy byli więksi od niego i silniejsi.

Ponowne kłaśnięcie i kolejny wrzask. Ten, który bił, podsunął m<sup>u</sup>

kij pod nos.

— Zabierajcie się stąd, zaszrana polska hołoto! Mój stary mówi, z<sup>e</sup> takie paskudztwo jak wy nie należy do Ameryki.

Wracajcie,

skądście

przyszli. Zrozumiałeś, Polaczku?

179

Julian się rozplakał.

IColejne klaśnięcie i nowy wrzask. Ta..tak! Zrozumiałem! — zawodził.

Jeden z prześladowców podniósł wzrok na drogę i wszczął alarm. Davey! Ktoś idzie.

Trzech młodych opryszków porzuciło ofiarę i szybko uciekło z pustej parceli na tyłach placu budowy. Ukryli się w zaroślach.

Oswobodzony Julian rozcierał sobie golenie, potem z płaczem pobiegł do domu.

Matka tam była, jak zawsze. Szlochając, szukał schronienia w jej ramionach. Scałowała mu łzy i ukołysała uspokajająco.

— Oni... oni powiedzieli, że my nie jesteśmy... prawdziwi Amerykanie! — łkał. — Kazali mi się wynosić... Och, mammo, chcę stąd wyjechać. Nienawidzę ich... Oni mi dokuczają.

Wiktoria Kapuścińska mocno utuliła syna, osuszyła mu łzy i zaprowadziła go na kanapę. Czuła, że nadszedł właściwy moment. Tak. Właśnie teraz. Wstała i dramatycznym gestem zaciągnęła zasłony, pogrążając w mroku ich skromny pokój.

Potem usiadła przy nim blisko.

— Czy wierzysz swojej mamie, Julianie? — spytała miękko.

— Tak, mamusiu — wyszlochał. Poglaskała go po włosach.

— Wierzysz mi we wszystkich sprawach, synku?

— Och tak, mamusiu, wierzę.

Nie przestawała głaskać jego pięknych blond włosów.

— Mam ci coś do powiedzenia, Julianie. To sekret. Tak wielka tajemnica, że nie mogłam ci jej dotychczas powierzyć. Coś, czego nie wolno ci nigdy zdradzić nikomu. Odkąd w zeszłym roku zmarł twój ojciec, zostaliśmy sami. Tylko my dwoje. Czy mnie rozumiesz, synku? Tylko ty i ja. Jeśli kiedykolwiek zdradzisz komuś ten sekret, Przyjdą Amerykanie i nas rozdziela. I nie będziemy już nigdy razem. Czy chcesz, żeby tak się stało, Julianie?

Przestraszony, przytulił się do niej mocno.

— Och nie, mamusiu, nie!

Czy mogę ci powierzyć tę tajemnicę? Bardzo ważną tajemnicę, dekret, którego nie wolno wyjawiać nikomu? Nigdy? Powoli kiwał głową.

Dobrze — szepnęła Wiktoria, a po chwili powtórzyła: — <sup>od</sup>rze... A teraz powiedz mi, Julianie, czy nienawidzisz chłopców amerykańskich, którzy cię dręczą? Przytulił się do niej.

— Och tak, mammo. Nienawidzę ich. Nazywają mnie Polaczkiem. "Jęła mu twarz w dłoń.

\*~ Musisz ich nienawidzić, Julianie. Musisz znienawidzić ich

i wszystkich im podobnych na całe życie. To są Amerykanie, synku To źli ludzie. Wszyscy bez wyjątku. Są trucizną tego świata. Musisz więc nienawidzić ich przez całe życie i nigdy nie stać się jednym z nich. Rozumiesz? Julian kiwnął głową.

— Nienawidzę ich, mamó. Zawsze będę nienawidził. Oni mnie biją. Nigdy nie będę jednym z nich. Jestem Polakiem.

Zajrzała mu głęboko w oczy, niewiarygodnie mocnym, intensywnym wzrokiem.

— Nie, Julianie. Nie, synku. Ty nie jesteś Polakiem. Chłopiec spojrzał na nią, zdziwiony.

— Jeśli... jeśli nie jestem Polakiem, to kim jestem, mamusiu? Jej oczy płonęły teraz żarem, kiedy odważemniła mu spojrzenie.

— To właśnie jest ten sekret, Julianie. Właśnie dzisiaj się dowiesz, kim naprawdę jesteś. I jakie jest twoje przeznaczenie.

Urodziłeś się, synku, w Ameryce, ale nie jesteś Amerykaninem. Ani Polakiem. Jesteś kimś szczególnym, kimś bardzo, wyjątkowo szczególnym.

Chłopiec, teraz już całkowicie zdezorientowany, spojrzał na nią i spytał:

— Kim więc jestem, mamó?

Pocałowała go w czoło i wyszeptwała tak łagodnie, jak nigdy dotychczas:

— Jesteś Rosjaninem!

Lodowiec przebudził się. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, były paciorki potu unoszące się wokół jego twarzy w nieważkim tańcu. Upłynęło parę sekund, zanim zdał sobie sprawę, że znajduje się w kabinie *Intrepida* — tak niewiarygodnie realistyczny miał sen. Zamknął oczy i westchnął, a potem wyszeptał:

— Tak, mamó... Jestem Rosjaninem...

Tego samego dnia, kiedy mały Julian dowiedział się o swym prawdziwym pochodzeniu, rozpoczęła się jego indoktrynacja.

A każdego następnego, przez godzinę, czasem dwie, Wiktoria Kapuścińska wbijała mu do głowy, wciąż na nowo, nieprawości Ameryki. Mówiła

**O** tym, jak bogaci eksploatują biednych. O tym, jak Amerykanie pozwolili faszystom zająć ogromny szmat *Matiuszki Rossiji*, zanim ruszyli palcem, żeby jej pomóc. Jak elita rządząca Ameryką hipnotyzuje i utrzymuje w ryzach masy nieustanną oszukańczą P<sup>am</sup> riotyczną propagandą. Jak system kapitalistyczny sprzyja przemocy

I przestępczości. Że „demokracja” amerykańska to iluzja, podczas gdy bogactwo zapewnia władzę. A wreszcie opowiedziała synowi

historie swego życia. O misji, jaką obarczył ją wielki Stalin, która **J**az będzie jego misją. po śmierci ojca związki matki z synem zacieśniały się coraz bardziej, aż stały się mocne jak skała. Byli dla siebie nawzajem niby łódź ratunkowa we wrogim kraju. Wiktoria ściśle kontrolowała kontakty Juliana ze „światem zewnętrznym”. Nie mieli w domu telewizji ani radia. Za pieniądze z tajnego źródła umieściła syna w małej prywatnej męskiej szkole o ambicjach akademickich. Przyprawiała go tam codziennie rano i zabierała natychmiast po lekcjach. Trzymała z dala od dziewcząt. Trzy czynniki złożyły się na kształtowanie jego osobowości — izolacja, wbijane mu do głowy poczucie wytkniętego celu oraz silna więź uczuciowa z matką. Sprawily, że Julian Kapuściński zaaprobował to, że jest Rosjaninem i czuł się nim naprawdę. Doprowadziły go też na skraj psychozy.

*Dzień 3., 1:46 czasu Greenwich, 3:46 miejscowego* **Kosmodrom w Plesiecku**

Technik skontrolował odczyt na oscyloskopie po raz piąty i ostatni. Był w porządku. Zwrócił się do zwierzchnika:

— Wszystkie systemy głowicy bojowej zostały sprawdzone, towarzyszu majorze!

— Odłączyć! — brzmiała odpowiedź.

Technik odśrubował kable koncentryczne od spodu stożkowatego przedmiotu i po drabinie zszedł, wraz ze swym sprzętem, z platformy, na której znajdowała się głowica antysatelitarna. Dwóch lotników odblokowało koła platformy i zaczęło ją przetaczać ku busterowi SS-N-9 na paliwo płynne. Transport nadzorował major Somolia, w zimowym uniformie przypominający wyglądem gryzonia. Platforma była wielkości ciężarówki. Miała napęd elektryczny. Centymetr po centymetrze dwóch techników naprowadzało podstawę głowicy na płaski wierzch busteru. Wreszcie znalazła się gdzie trzeba. Na miejscu, towarzyszu majorze! — krzyknął jeden z nich. Major skinął na innego lotnika z podsekcji raketowej, stojącego przy pulpicie, na którym były rozmaite przełączniki i tarcze wskaźników.

Przytwierdź ją! — zakomenderował. Lotnik uruchomił pneumatyczny pierścień uszczelniający wokół podstawy głowicy. Z głośnym pafnięciem nasunął się na miejsce. Teraz ^satelitarna głowica bojowa była już na stałe przytwierdzona do

rakiety manewrowej, stanowiącej zarazem ostatni człon bustera SS-N-9.

— Zamocuj ją, Walery!

— Już się robi, towarzyszu majorze! — Lotnik dokonał operacji blokującej i zabezpieczającej na pulpicie.

— Jedziemy! — rozkazał Somolia.

W amerykańskich ośrodkach kosmicznych do przewożenia rakiet z hangarów na pola startowe używa się zazwyczaj transporterów „pełzających”. Rosjanie natomiast posługują się w tym celu torami i lokomotywami spalinowymi. Silnik Diesla zaskoczy) i zaczął wypychać raketę SS-N-9 z hangaru w przenikliwie mroźną noc.

Plesieck leży daleko na północy, dość blisko koła polarnego. O tej porze roku słońce wschodzi tam późno, a zachodzi wcześniej. Zimno dawało się we znaki obsłudze pocisku, choć była do niego przyzwyczajona. Związek Sowiecki przodował zdecydowanie w startach zimowych. Kiedy doszło do katastrofy *Challenger*, startował on w trakcie niespotykanego na Florydzie ataku zimy. Właśnie zimno spowodowało niedomknięcie pierścienia uszczelniającego na busterze i tragedię. Była to bolesna lekcja.

W mniejszym niż Bajkonur Plesiecku zbudowano tuziny pól startowych, toteż był najruchliwszym na świecie portem kosmicznym. Ośrodek Kosmiczny Kennedy'ego wyglądał na pewno bardziej ekskluzywnie, ale Plesieck przewyższał go liczbą startów. Stąd dowodzone większością sowieckiego wojskowego sprzętu kosmicznego; stąd mniej więcej co sześć dni startowały rakiety, wynoszące na orbitę satelity zwiadu optycznego względnie elektronicznego. Toteż wytaczanie z hangaru bustera SS-N-9 nie wzbudzało niczyich podejrzeń.

Po dotarciu na pole startowe, w ciągu około sześciu minut ustawiono pocisk na miejscu używając teleskopowego dźwigu hydraulicznego. Kiedy już znalazł się przy wysokiej wieży rusztowania wyrzutni, wokół jego podstawy wyrosła — niby rozgwiazda — sieć pomocniczych rusztowań, mających utrzymywać go we właściwej pozycji podczas startu. Major czuwał nad tą sceną, rozgrywającą się w jaskrawym świetle reflektorów, podczas gdy technicy na rusztowaniu podłączali przewody paliwowe, doprowadzające metylohydrazynę, tlenek azotu i kwas azotowy. Do kadłuba rakiety podłączono też elektroniczną pepowinę startową. Dzięki niej można było monitorować funkcjonowanie pocisku z bunkra startowego.

183

mień 3 < 4:12 czasu Greenwich, 23:12 miejscowego **Biały Dom**

Prezydent zmarszczył brwi.

— Jest pan pewien, że nie ma lepszego rozwiązania, admirale?

Pochylali się nad stołem w Treaty Room, wraz z wiceprezydentem oraz sekretarzami stanu i obrony wpatrując się w mapę południowo-zachodniej Azji. Zdjęli już białe krawaty, rozrzucili po krzesłach fraki. Rozważali posunięcia, jakie powinien podjąć prezydent, gdyby zawiodły akcje *Constellation* i *Kestrela*.

— Panie prezydencie — powiedział energicznie Bergstrom — nie ma sensu postępować zbyt ostrożnie. To jedyna szansa, jaką mamy, poza uderzeniem jądrowym. Jeśli wyślemy bombowce B-1, zabraniając im użycia pocisków wyposażonych w głowice nuklearne dla wyrąbania sobie drogi do Bajkonuru, staną się one nad równinnymi stepami Kazachstanu nader łatwym celem dla Rosjan. Bez trudu znajdę dość załóg, które ochotniczo podejmą takie ryzyko, ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, by mieć jakąś nadzieję na sukces. Bez pocisków B-1 będą bez szans i kropka!

Admirał nawiązywał do strategicznej doktryny bombardowania, nakazującej użycie pocisków z głowicami jądrowymi do oczyszczenia trasy przelotu bombowców z nieprzyjacielskich stacji radarowych, wyrzutni pocisków ziemia—powietrze oraz lotnisk myśliwców. Chodziło o utorowanie drogi do podstawowego celu — żeby zrzucić nań główny ładunek bomb. B-1 był dobrym samolotem, ale trudno oczekiwać, że da sobie radę z sowiecką obroną przeciwlotniczą bez użycia wszelkich dostępnych mu środków. Szczególnie na płaskim terenie, gdzie nie mógł wykorzystać zalet swego systemu nawigacyjnego umożliwiającego trzymanie się blisko ziemi, przydatnego przy przemykaniu dolinami i przełęczami górskimi.

— A jeśli bombowce widma zostaną zmuszone do lądowania? — zapytał wiceprezydent. — Wtedy Rosjanie będą mieli, oprócz wahadłowca, także tego typu samolot do zbadania.

Admirał wypiął z cygara kłęb śmierzącego dymu. Nadal był w białym paradnym mundurze, który przywdział z okazji zakończonego niedawno oficjalnego bankietu.

Jeśli nie użyjemy prototypów bombowców widm, musimy Powrócić do koncepcji chirurgicznego... nigdy mi się nie podobało to określenie... zastosowania broni jądrowej i trafić *Intrepida*, kiedy ^Cdzie lądował w Bajkonurze. Jeżeli się na to zdecydujemy, wysłanie

onibowców B-1 nie ma sensu. Równie dobrze możemy go trafić Pociskiem z *Tennessee*.

Myśl o wystrzeleniu pocisku nuklearnego z okrętu podwodnego terytorium sowieckie niezbyt przypadła do gustu zebrany.



— A zatem — westchnął sekretarz stanu — miejmy nadzieję, *Constellation* sobie poradzi i nie będziemy musieli podejmować tego rodzaju decyzji.

— Przepraszam, panie ministrze — powiedział admirał — ale chcąc zachować możliwość użycia bombowców widm, muszę już teraz mieć zgodę, by nadać sprawom odpowiedni bieg. Bombowce ich załogi, samoloty wsparcia naziemnego, uzbrojenie i cały sprzęt z tym bajzel będą musiały przelecieć czternaście tysięcy kilometrów tylko po to, by dotrzeć na teren działań. A kiedy już mówimy

o terenie działań, potrzebuję pańskiej pomocy. Dyplomata podniósł brwi.

— Jak to?

— Diego Garcia znajduje się cholernie daleko od wybrzeży Iranu, ponad trzy tysiące kilometrów; zbyt daleko, by mogło stanowić bazę wypadową. Jak już wyjaśniałem, w razie gdyby wahadłowiec zszedł z orbity, musimy dysponować bombowcami w odległości nie większej niż dziewięćdziesiąt minut lotu od Bajkonuru. Tylko wtedy znajdą się one tam na czas, niezależnie od tego, z której z dwóch możliwości powrotu w atmosferę *Intrepid* skorzysta. Żeby dotrzeć z Diego Garcia do Bajkonuru okrężną drogą, trzeba przelecieć czternaście tysięcy kilometrów. Musimy do tego dodać wspomniane dziewięćdziesiąt minut w sytuacji zagrożenia. To byłoby na granicy wytrzymałości załóg. Wprawdzie supermeni ze Strategicznych Sił Powietrznych powiedzą wam, że to dla nich pestka, jednak z naszych badań wynika, że tak nie jest. Stres wywołany długim lotem wpływa ujemnie na czas reakcji

i skuteczność działań. Jeśli więc ta cholerna operacja ma się udać, byłoby lepiej dysponować na odpowiedniej pozycji wyjściowej załogami w formie, dobrze wypoczętymi. Chciałbym je mieć w pogotowiu trzy tysiące kilometrów bliżej celu niż Diego Garcia — w Pakistanie, w Turcji lub w Omanie.

Sekretarz stanu zrobił niewyraźną minę.

— Co ty na to, Winstonie? — zapytał prezydent. Najbardziej elegancki z członków gabinetu wyglądał na odrobinę skonfundowanego. Nabrał głęboko powietrza w płuca.

— Niech to będzie Oman. Sułtan to równy facet. Potrafi <sup>si?</sup> znaleźć w razie potrzeby. Umie też dochować tajemnicy.

— Dobrze — oświadczył admirał. — Później ustalimy szczegóły, panie ministrze. A teraz, zechcą mi panowie na moment wybaczyć — Muszę zadzwonić do generała Dooleya w Dowództwie Strategicznych Sił Powietrznych i wysłać samoloty w drogę. Chcę mieć je nad Atlantykiem przed wschodem słońca.

— Proszę zachować to w absolutnej tajemnicy, admirale! powiedział prezydent jadowicie słodkim głosem. — Nikt nie **MOŻE**\*



wiedzieć o tych bombowcach, dopóki nie będzie to konieczne. Nawet Wnittenberg. Czy to do pana dotarło?

— Tak jest! — powiedział Bergstrom i wyszedł z pokoju.

Wtedy odezwał się wiceprezydent:

— Nie owijają rzeczy w bawełnę, prawda?

— Owszem — zgodził się prezydent. — Ale w końcu za to mu płacimy.

Zgniatając niedopałek kubańskiego cygara, zwrócił się do sekretarza obrony:

— Sam, mam nadzieję, że żadna z dyskretnych spraw, które tu omawiamy, nie wyjdzie poza nasze grono. Kiedy startuje *Constellation!*

Południowiec poprawił okulary i spojrzał na zegarek.

— Jest obecnie jedenasta trzydzieści. Wystartuje pojutrze, czyli w sobotę, około czwartej trzydzieści rano. Mniej więcej za dwadzieścia dziewięć godzin. Ranne ptaszki z południowej Florydy będą miały nie lada niespodziankę. Ale przy okazji, panie prezydencie: biorąc pod uwagę powagę sytuacji, wydaje mi się, że powinniśmy powiadomić o *Intrepidzie* odpowiednie osoby z przywództwa Kongresu.

Prezydent zdjął okulary i masował nos. Wyglądał teraz zupełnie jak zwykły zawodowy sierżant.

— I przeczytać o tym rano w „Washington Post”? Nie, dziękuję! Czcigodny przewodniczący Izby nie potrafi pójść do ustępu bez zorganizowania konferencji prasowej. Nie. To ma być nasz mały sekret, dopóki *Constellation* nie dotrze na orbitę. A potem będzie mi już obojętne, czy jakiś drań wie o tym — przerwał i patrzył przez chwilę w sufit. — Postawiliśmy wszystko na jedną kartę, prawda? Myślę o *Intrepidzie*. O ile Rosjanie dostaną go w swoje łapy, będą szczęśliwi, cholernie szczęśliwi, jeśli skończy się tylko na tym, że Amerykanie mnie zlinczują.

— Nas! — wtrącił wiceprezydent.

Prezydent obdarzył go kwaśnym uśmiechem, po czym zwrócił się ponownie do sekretarza obrony:

— Sam, chciałbym jeszcze tylko wiedzieć, gdzie jest teraz *Tennessee*!

— Krąży po Oceanie Indyjskim jakieś sześćset kilometrów na Północ od Madagaskaru, panie prezydencie.

Ma pan na myśli Republikę Malgaską — skorygował go sekretarz stanu.

\*— Nie — odpowiedział z uśmiechem szef Pentagonu. — Myślę o Demokratycznej Republice Madagaskaru, do niedawna znanej jako Republika Malgaska.

Uszy dyplomatów poczerwieniały po tej wpadce.

Dbaj mężczyźni ścierali się ze sobą werbalnie od czasu, kiedy



stanęli przeciwko sobie w konkursowej debacie na wydziale praw<sub>a</sub> Uniwersytetu Columbia.

— Przesuń *Tennessee* bliżej, jeśli sądzisz, że może się to p<sub>r</sub>2y\_ dać — zaproponował prezydent.

— Została już skierowana ku wybrzeżom Iranu, panie prezyden-cie — odparł szef Pentagonu.

Szef państwa westchnął.

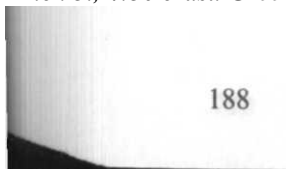
— A więc, dysponując *Constellation*, Kestrelami i bombowcami widmami powinniśmy zdołać przygwoździć *Intrepida*, zanim zgarną go Sowieci. Taką mam nadzieję. Natomiast użycie *Tennessee* to coś o czym wolę nawet nie myśleć.

Sekretarz kiwnął głową.

— Dobrze pana rozumiem, panie prezydencie. Otworzyły się drzwi i wszedł admirał.

— Są już w powietrzu! — oznajmił.

*Dzień 3., 4:30 czasu Greenwich, 21:30 miejscowego Baza Sił Powietrznych Nellis, Nowada*



Niezależnie od radarów regularnej wojskowej kontroli ruchu lotniczego, w Nellis funkcjonował posterunek specjalnego systemu ostrzegania. Omiatał on obszar wokół bazy, wypatrując w jej sąsiedztwie wszelkich zabłąkanych samolotów lecących na niskim pułapie. Antena, jaką dysponował, umożliwiała wyśledzenie ich nawet w górskich zakamarkach terenu, niedostępnych dla radarów konwencjonalnych.

— Halo, wieża — odezwał się przez radio operator — tu Alfa. Wygląda stąd, że niebo jest czyste.

— Zrozumiałem, Alfa, dziękuję. — Dwudziestojednoletni kontroler wieży odgarnął brązowe włosy z czoła i ponownie włączył mikrofon. — Halo, Misja Widmo Trzy, możesz startować z prawego pasa zero dwa. Wiatr południowo-południowo-wschodni, siedem węzłów.

— Potwierdzam, wieżo — przyszła odpowiedź i transportowiec Starlifter C-141 potoczył się po runwayu.

Kontroler obserwował jego start w świetle księżyca, po czym powiedział do mikrofonu:

— Misja Widmo Cztery, masz wolną drogę, możesz startować.

— Potwierdzam, wieżo! — I tankowiec KC-10 szybko podąży' za Starlifterem. Miał funkcjonować jako latająca stacja benzynowa podczas całej podróży na odległość szesnastu tysięcy kilometrów, ponieważ zakazano lądowań przed dotarciem do obszaru docelowego.

Wreszcie kontroler włączył mikrofon po raz ostatni i powiedział: przewodnik Misji Widmo i Misja Widmo Dwa, droga wolna, możecie startować według własnego uznania.

Potwierdzam, wieżo, i dziękuję — odpowiedział mocny, zdecydowany głos.

Dwa obiekty, wyglądające w świetłach lotniska jak upiorne nietoperze skrzydła, ruszyły z rykiem po tarmaku i wbiły się w nocne niebo. Kontroler przymrużył oczy i próbował śledzić je wzrokiem, ale czarne jak węgiel kadłuby szybko wtopiły się w otaczającą ciemność.

Operator radaru specjalnego Alfa w ogóle ich nie zauważył.

*Dzień 3., 4:30 czasu Greenwich, 6:30 miejscowego* **Instytut Metalurgii, Leningrad**

Główny konstruktor Grigorij Wostow nałożył okulary ochronne i przyglądał się z bliska, jak technik uruchamia ręczną piłę tarczową firmy Black & Decker. Lada chwila oczom ich miał się ukazać rezultat pracy.

Z głośnym zgrzytem piła cięła gipsową powłokę okrywającą stwardniały odlew aluminiowy. Po jej przecięciu, technik zdjął gips, odsłaniając połowę kołnierza pasującego, którego miano użyć, by przymocować silnik rakiety Progress do ogona *Intrepida*. Potem powtórzył tę samą operację z drugą połową kołnierza.

Wostow skontrolował odlew ręcznym sprawdzianem i uśmiechnął się do siebie. Produkt końcowy został wykonany znakomicie. Obie połówki — po przewiezieniu do Bajkonuru — należało zespawać tak, by obejmowały silnik Progressa.

Wostow użył klasycznej metody odlewu na wosk tracony. Zazwyczaj odlewano nią tylko niewielkie przedmioty, ale zapewniała Precyzję wykonania. A precyzja była właśnie tym, o co Wostowowi chodziło.

Główny konstruktor wybrał zakłady w Leningradzie z uwagi na ich nowoczesny sprzęt i wysoko kwalifikowany personel.

Poklepał P<sup>o</sup> plecach szefa operacji.

— Spisaliście się dobrze, przyjacielu! Postaram się, żebyście zostali odpowiednio nagrodzeni.

, Praca z wami to wystarczająca nagroda, towarzyszu główny konstruktorze!

Wostow pokiwał głową z satysfakcją.

Czy już tutaj skończyliśmy? — doszło go pytanie zza pleców.

Odwrócił się. Ujrzał tego samego pułkownika KGB, który wyrwał się ze snu we własnym mieszkaniu. Towarzyszył mu zresztą potem

przez cały czas, ale Wostow zapomniał o jego istnieniu. Tera^ obwieścił triumfalnie: — Jesteśmy gotowi!

*Dzień 3., 4:30 czasu Greenwich, 6:30 miejscowego* **Kosmodrom w Plesiecku**

Składniki paliwa — metylohydrazyna, tlenek azotu i kwas azotowy — łały się strugami do komór spalania dwóch silników bustera SS-N-9. Po zapłonie dały dwieście osiemdziesiąt ton ciągu. Z kanału odprowadzającego spaliny buchnął dym, a buster targał utrzymując, cym go na wyrzutni rusztowaniem przez trzy i pół sekundy.

Technik w bunkrze startowym krzyknął: — Wszystkie zielone!

Na to major Somolia ryknął:

— Dawaj!

Technik przycisnął czerwony guzik na swym pulpicie, przypominające rozgwiazdę rusztowanie odpadło i spuszczone ze smyczy pocisk pomknął w ciemność poranka. Kiedy się wzbijał, jego ognisty ogon roztopił krąg śniegu na polu startowym, zamieniając go w wodę, a następnie w parę.

Ludzie w hangarze magazynowym popędzili do drzwi, żeby spojrzeć na ośnieżoną okolicę wylaniającą się w porównywalnym ze światłem dziennym blasku pióropusza odrzutu. Scena ta wprost zapierała dech w piersiach. Oglądając ją, można się było poczuć kimś uprzywilejowanym. Ale już niebawem rakietą zmieniła kurs na północny i zniknęła na czarnym niebie, pozostawiając w mroku zamrażający kosmodrom.

*Dzień 3., 4:32 czasu Greenwich, 21:32 miejscowego* **Góra Cheyenne**

Młody porucznik o dziecinnej twarzy dyżurował przy pulpicie, kiedy zaczęło mrugać czerwone światełko. Szybko połączył się telefonicznie z bocianim gniazdem SPADOC-u.

— Wykrycie startu! — krzyknął. — Właśnie przebija się P<sup>rzez</sup> chmury, panie generale!

Sir Izaak odsunął słuchawkę od ucha.

— W porządku, poruczniku. Proszę ustalić i podać mi lokalizację na głównym ekranie.

— Tak jest, panie generale! — dobiegł go następny krzyk. Niewiele było tajemnic w obrębie góry Cheyenne, toteż pano



tam powszechne, coraz większe napięcie nerwowe. W całym kom-oleksie — na przypadkowych spotkaniach, przy posiłkach, a nawet w umywalniach — rozmawiano wyłącznie o *Intrepidzie*. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że coś jest nie tak.

— Wygląda na to, że wystartował z kosmodromu w Plesiecku, panie generale! — zawołał porucznik.

Whittenberg był w drodze powrotnej z Waszyngtonu, a szef sztabu postanowił w końcu trochę się przespać. John Fairchild — Sir Izaak — pilnował więc interesów we wnętrzu góry. Wszystko, co można było zrobić, robiono na Cape, w Edwards i w Vandenberg. Dopóki *Constellation* nie była gotowa do startu, najlepsze miejsce do czuwania nad rozwojem wydarzeń stanowiło właśnie bocianie gniazdo w SPADOC-u. Sir Izaak był tego świadom. Stamtąd mógł śledzić na bieżąco pozycję *Intrepida* i oglądać zdjęcia satelitarne sowieckich urządzeń startowych natychmiast po ich otrzymaniu. Jeśli start rzeczywiście nastąpił w Plesiecku, Rosjanie musieli w pośpiechu wytoczyć raketę z hangaru i ją odpalić — satelita KH-12 przechodził tamtędy zaledwie przed sześciu godzinami i nie wykazał niczego na tamtejszych wyrzutniach.

Na ogromnym ekranie pojawiła się wielka mapa północno--zachodniej Rosji.

— Dosłownie w ciągu sekund powinienem mieć namiary radarowe z Systemu Wczesnego Ostrzegania, panie generale.

— Doskonale, poruczniku — powiedział spokojnie Sir Izaak. Młody oficer postukał w klawiaturę i na ekranie pojawiła się świetlista linia, wychodząca z Plesiecka i kierująca się na północno--północny wschód.

— Kurs zero-zero-siedem, panie generale.

Sir Izaak postukał się cybuchem fajki po orlim nosie.

— Czy może pan dać, poruczniku, aktualną trajektorię *Intrepida*? W kilka sekund później pojawiła się na ekranie druga świetlista

linia, równoległa do pierwszej i oddalona od niej o jakieś trzysta kilometrów na zachód. Start rosyjski był idealnie zgodny z orbitą wahadłowca, ale obiekt leciał w przeciwnym kierunku i nieco od mej na wschód. Wydało się to Sir Izaakowi dość zagadkowe, dlaczego Rosjanie mieliby wysłać coś skierowanego odwrotnie do trasy *Intrepida*? To nie miało żadnego sensu. Ale cokolwiek to było, czuł, że zbieżność nie mogła być przypadkowa. Brygadier uruchomił telefon łączący go bezpośrednio z Państwowym Ośrodkiem Dowodzenia Wojskowego w Pentagonie. Wiadomość powinna dotrzeć do admirała Bergstroma w ciągu dziewięćdziesięciu sekund.



*Dzień 3., 4:36 czasu Greenwich, 6:36 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

Dowódca misji, Oleg Małyszew, słuchał raportów napływający<sup>^</sup> do słuchawek jego helmofonu. Następnie połączył się telefonicznie z oszkloną kabiną obserwacyjną.

— Główny buster odpadł. Wszystkie systemy funkcjonują prawidłowo, towarzyszu generale. Drugi członek odłączył się mniej więcej za trzy minuty.

— Doskonale, towarzyszu — odpowiedział Popów, odwiesił słuchawkę i zwrócił się do znajdujących się z nim w kabinie mężczyzn: — Pocisk antysatelitarny porusza się zgodnie z planem. Kiedy znajdzie się w punkcie szczytowym swej eliptycznej orbity, ponownie uruchomimy mu silniki, by go przyspieszyć do trajektorii kołowej.

Obaj mężczyźni kiwnęli głowami.

Narzekający na zmęczenie sekretarz generalny powiedział:

— Witaj, chcę się trochę przespać. Obudź mnie, kiedy coś się będzie miało wydarzyć. — Następnie zwrócił swą śniadą twarz w stronę Popowa. — Kiedy Sojuz wylatuje z Bajkonuru?

— Mniej więcej za czterdzieści godzin — wysapał generał. — Musimy zakończyć przygotowania i poczekać, aż orbita *Intrepida* będzie przechodzić nad kosmodromem.

Popów wyglądał, jakby już jedną nogą był w grobie. Twarz miał szarą jak popiół swego papierosa, oczy kompletnie przekrwione. Woronki kiwnął głową i wyszedł.

— Czy macie wszystkie dane, których chcieliście z Plesiecka? — spytał Kostiaszak.

Popów spojrzał na szefa KGB. Czy ten człowiek nigdy nie sypia? Wydawało się, że dysponuje jakimś ukrytym rezerwuarem energii. Włosy miał zawsze gładko zaczesane do tyłu. Nawet kanty na jego spodniach były ostre jak brzytwy.

— Tak, towarzyszu — westchnął generał. — Poza tym, rutynowo, otrzymujemy raporty o wykryciu startów z Centrum Ostrzegania-Będziemy więc w stanie zareagować natychmiast, gdyby Amerykanie wysłali z Florydy wahadłowiec ratunkowy.

Kostiaszak strzepnął popiół.

— Doskonale. Zostanę tu, żeby... obserwować. Popów nie potrafił skryć irytacji.

— Dobrze, towarzyszu przewodniczący. Zatem wybaczenie, m<sup>us</sup> doglądać przygotowań do startu.

Kostiaszak uśmiechnął się uprzejmie.

— Ma się rozumieć, towarzyszu generale. Po wyjściu Popowa, Kostiaszak długo i mocno zaciąg<sup>a\*</sup> pallmallem. Gardził papierosami rosyjskimi — paliło się J<sup>c</sup>

ykanie

191

szriurek opakowany w tekturę. Tytoń amerykański nie był jedynym luksusem, do którego przywykł w Princeton. Zasmakował też w szkockiej whisky. Wypuścił z płuc kłęb dymu i pozwolił sobie na kilka pikantnych wspomnień. Ach, ta Ameryka! Kraj obfitości. Taka ootężna i taka bogata, a z milionami biedaków. Tak wspaniała technicznie, a tak płytka metafizycznie.

Rządzona nie przez króla czy parlament, ale przez klikę nie kontrolowanych magnatów prasowych. To było, doprawdy, nie do wiary. Amerykanom w ogóle brakowało... dyscypliny. A dyscyplinę przewodniczący wielce sobie ceniał. Nawet on musiał wszakże przyznać, że w jego ukochanej Rosji dyscyplina doprowadziła do sytuacji absurdałnej. Związek Sowiecki stał się jedną wielką fabryką zbrojeniową, która nie potrafiła się wyżywić. Jego kraj staczał się w sytuację bez wyjścia. To się musiało zmienić... musiało! I młody przewodniczący KGB wrócił pamięcią do wnętrza centrali przy placu Dzierżyńskiego, gdzie znajdował się instrument niezbędny do dokonania tej zmiany.

Witalij Kostiaszak urodził się jako syn dyplomaty. Choć z pochodzenia Ukrainiec, dorastał głównie za granicą, w ambasadach, często w poczuciu, że jest niepożądanym gościem w obcym kraju. Żeby przewyciężyć typową dla życia rosyjskiego dyplomaty izolację, narzucaną kontrolami wewnętrznymi przeprowadzanymi przez rezy-dentury KGB, młody Witalij rzucił się w wir studiów, ujawniając nadzwyczajne zdolności do matematyki i szachów.

Kiedy ukończył osiemnaście lat, ojca właśnie namaszczone na prestiżowe stanowisko w ambasadzie sowieckiej w Waszyngtonie w personelu Dobrynina. To dzięki wpływom ambasadora Dobrynina udało się staremu Kostiaszakowi uzyskać dla syna specjalne pozwolenie na studia w Princeton, gdzie Witalij radził sobie wyjątkowo dobrze. W osiem lat później otrzymał w Wyższej Szkole Spraw publicznych i Międzynarodowych Woodrowa Wilsona stopień dok-°ra filozofii w zakresie stosunków międzynarodowych.

" Princeton Kostiaszaka zafascynowała historia Ameryki, a zwa-|Zc za biografie prezydentów amerykańskich. Doszedł do wniosku, że ^uycja te gQ urzeJu jest bardziej pokretna, zdradziecka i krwawa śniCaratU, Prez y o enci prześcignęli w tym zakresie wszystko, o czym mogli kiedykolwiek rosyjscy carowie, od wojny secesyjnej, ski EZ ODOZ y koncentracyjne dla Amerykanów pochodzenia japoń-Bo P°dczas drugiej wojny światowej, rezolucję tonkińską, Wilkesa

j ma> Teapot Dome, Lee Harveya Oswalda — po Watergate. °Isn szcze pOCj czas studiów nad prezydenturą doznał Kostiaszak w r lenia intelektualnego, które stało się jego światłem przewodnim nieJszym życiu zawodowym. Pewnego razu — jak to miewał



w zwyczaju — pracował późnym wieczorem w Bibliotece Firestone, studiując biografię szczególnie atrakcyjnego prezydenta. Franklin Delano Roosevelt. Dowiedział się wówczas, że w 1914 roku, będąc sekretarzem marynarki wojennej, Roosevelt ubiegał się o nominacje do senatu ze stanu Nowy Jork. Został załatwiony przez „maszynę” polityczną Tammany Hall i był przynęciony porażką. Wyczuwając depresję młodego człowieka, jakiś stary wyjadacz polityczny wziął go na stronę i powiedział pocieszającym tonem: „Synu... pamiętaj Najpierw musisz zostać wybrany”.

Kostiaszakowi zdanie „musisz zostać wybrany” objawiło pewną prawdę. Zrozumiał, że kto chce czegoś w życiu dokonać, musi działać z pozycji siły.

Z doktoratem Princeton i poparciem ojca otrzymał stanowisko w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ale wkrótce zdał sobie sprawę, że władza spoczywa w rękach partii, a nie ministerialnej biurokracji. Zrobił wówczas coś zupełnie nietypowego — przeniósł się ze służby zagranicznej do Komitetu Gosudarstwiennoj Bezopasnosti. Bardzo zmartwiło to i rozczarowało jego ojca, ale zadowoliło nowych szefów. W Rosji KGB nie ma dobrej opinii; zatrudnia sporo zdolnych ludzi, uważane jest jednak za zgraję opryszków, którym brak tego, czego pożądamy najbardziej: klasy. Kostiaszak stał się jednym z wyjątków — przydał KGB trochę klasy, a jego przełożeni poznali się na tym. W rezultacie zrobił zawrotną karierę i zyskał szerokie uznanie za błyskotliwość i urok, a także — bezwzględność.

Przeprowadzając pewną operację wywiadowczą, skorzystał ze sposobności, by związać się ze wschodzącą gwiazdą ministra Gosplanu, który — po tragicznym zgonie Gorbaczowa — wynagrodził go stanowiskiem przewodniczącego KGB.

Kostiaszak miał wówczas trzydzieści siedem lat.

Ludziom Zachodu trudno pojąć zakres i charakter władzy, jak? dysponuje szef KGB. To coś takiego, jakby jeden człowiek kierował jednocześnie FBI, CIA, żandarmerią wojskową. Urzędem Bezpieczeństwa Państwa i służbą graniczną, mając zarazem mandat na wymuszenie posłuchu właściwy mafii, bez jakichkolwiek ograniczeń canych przez sądy czy prasę. To, co rosyjskie, rzadko bywa przesadnie eleganckie czy kosmopolityczne, częściej po prostu masywne. Ta też była KGB, zatrudniająca jakieś czterysta tysięcy ludzi, a \* i liczbie agentów, szpiegów, wojskowych, wartowników, analityk ^ danych, urzędników, oprawców, ekonomistów, specjalistów podsłuchu, łamaczy szyfrów, kucharzy, fałszerzy, inżynierów krofalców, kelnerów, fagasów i morderców. Wszyscy oni P<sup>o</sup>Λ<sup>o</sup> m<sub>0</sub>. władzy przewodniczącego. A Kostiaszak, choć wyjątkowo kosmopolityczny i *très elegant*, nigdy nie odżegnywał się od egzekwowania swych uprawnień.

**1Q4**

Wkrótce po objęciu obowiązków za szarymi kamiennymi murami „machu przy placu Dzierżyńskiego został zapoznany z „najtajniejszą tajnych kartoteką moskiewskiej centrali, mieszczącą się w podziemiach. Archiwum tym dysponuje każdy aktualny przewodniczący JCGB. Początki owego makabrycznego dziedzictwa pochodziły z czasów Ławrentija Berii, krwawego szefa NKWD, tajnej policji Stalina. n<sub>0</sub> tego to rejestru sięgał po oręż młody przewodniczący.

Jako arcymistrz, grywał kiedyś Kostiaszak symultanki szachowe przeciw wielu naraz dobrym przeciwnikom. Uważał je za ćwiczenie stymulujące jego giętki, szybko reagujący umysł. Ale było to tylko ćwiczenie, nic więcej. Natomiast *Intrepid* był realny. Po to, by zwyciężyć w tej bardzo rzeczywistej grze na śmierć i życie, musiał sprowadzić amerykański wahadłowiec na rosyjską ziemię. Musiał! Wszystko od tego zależało. Nie miał żadnych wątpliwości, że Amerykanie wyślą wyprawę ratunkową z Florydy. Instynktownie czuł to od początku, Lilia Wodna tylko to potwierdziła. Wyczuwał też niechęć Popowa do użycia broni anty satelitarnej. Nie sposób doprawdy zgadnąć, jakim cudem tak bezczelny moralizator mógł tak wysoko awansować. Tego rodzaju przeszkodę trzeba było przewidzieć. Nie można pozwolić, by *Constellation* dotarła do *Intrepida*, dlatego powinien przekonać się, czy można na Popowie polegać.

Przewodniczący wyjął bloczek i nabazgrał kilka słów na kartce. Następnie wezwał pułkownika KGB.

— Wzywaliście mnie, towarzyszu przewodniczący? — zapytał Pułkownik.

— *Da* — odpowiedział Kostiaszak, wręczając mu złożony kawałek Papieru. — Zanieś do centrum łączności, niech to zaszyfrują i bezzwłocznie wyślą. Dopatrz osobiście, żeby to na pewno szybko załatwili.

~ Ma się rozumieć, towarzyszu przewodniczący — odpowiedział Pułkownik. Zrobił w tył zwrot i wyszedł. Kostiaszak zawołał za nim:

~ A kiedy będziesz wracał, przywieź z mojego biura trochę <sup>Pa</sup>Pierosów!

^2«e« 3\_ 5-37 czasu *Greenwich*, 7:37 miejscowego taisko Mikojana pod Leningradem

Zj <sup>amP</sup>załadunkowa transportowca Antonow-72 podniosła się esk <sup>JAc</sup>w ładowni kołnierz łączący, głównego konstruktora i jego <sup>otl</sup>? z ramienia KGB. <sup>mo</sup>lot różnił się od typowego wojskowego transportowca tym,

że jego dwa silniki — umieszczone na wierzchu skrzydeł —  $\text{Dy}$ , wysunięte znacznie do przodu, tak że wystawały daleko poza krawężnik płata. Nadawało mu to nieco komiczny wygląd: jakby założył gigantyczne okulary, żeby widzieć, dokąd leci. Ten wszakże dobrze to wiedział. Pomknął z rykiem po pasie startowym i wzbil w powietrze, kierując ku Bajkonurowi.

*Dzień 3., 6:00 czasu Greenwich, 8:00 miejscowego* **Kreml**

Minister spraw zagranicznych czerpał satysfakcję z faktu, że był rannym ptaszkiem. Choć miał osiemdziesiątkę, wyglądał o piętnaście lat młodziej i nigdy nie zjawiał się za swym biurkiem później niż o ósmej rano. Gęste jak szczotka, czarne włosy tylko gdzieś tam miał przyprószone siwizną, a skórę na twarzy jędrną, bez żadnych obwisłości. Prawdziwy wiek zdradzały jedynie plamy wątrobowe na grzbietach dłoni. Codziennie rano pływał dla orzeźwienia w swoim prywatnym krytym basenie w budynku przy Kutuzowskim Prospekcie 26. Dzięki temu był w świetnej formie i nastroju i patrzył z pogardą na swych podwładnych mięczaków złączających się do biura później, nierzadko na kacu.

Powiesił palto i borsalino, potem usiadł za biurkiem, które niegdyś należało do carycy Katarzyny Wielkiej i zostało przywłaszczone z leningradzkiego Ermitażu. Zgodnie z porannym rytuałem, zanim zabrał się do czytania „International Herald Tribune”, codziennie dostarczanej mu samolotem z Paryża, przystąpił — popijając herbatę — do przeglądania depesz, które nadeszły w nocy.

Depesze z Waszyngtonu poszły, oczywiście, na pierwszy ogień, choć ostatnimi dniami śledził też z wielką uwagą doniesienia z Londynu. Zbliżały się brytyjskie wybory i wyglądało na to, że ta baba Thatcher nareszcie odejdzie. Zawsze sprawiała największe kłopoty, ale w końcu powracające uparcie problemy związane z bezrobociem podminowały ostatecznie jej administrację. Jej przeciwnikiem był liberał o gorącym głowie, który obiecywał — jeśli zostanie wybrany — zlikwidować amerykańskie bazy lotnicze; wyglądało to całkiem prawdopodobnie. „Im bardziej, tym lepiej” — pomyślał minister. Nadejdzie dzień, kiedy cała Europa stanie się nasza bez jednego wystrzału. Potrzeba  $J^{\text{ed}}$  cierpliwości. A ktoś, kto jak on przeżył Stalina, Bierię, Małenkina, Kaganowicza, Chruszczowa, Breżniewa, Andropowa, Czerną Gorbaczową, a teraz radził sobie pod rządami Woronckiego, wie coś niecoś o cierpliwości.

Wziął do ręki oprawną w skórę teczkę zawierającą z Waszyngtonu i czytał.

po chwili przeczytał raz jeszcze.

potem jeszcze raz. Podrapał się w głowę. W ciągu swej przeszło pięćdziesięcioletniej służby zagranicznej nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się czytać czegoś podobnego. Podniósł słuchawkę prywatnego bezpośredniego telefonu i zadzwonił do ministra obrony.

— *Da?* — usłyszał w słuchawce.

— A, Konstantin — zamruczał dyplomata — cieszę się, że was zastałem.

— Na posterunku, drogi towarzyszu ministrze! Cóż tam macie na wątrobie? — Bonza wojskowy zawsze był bezpośredni.

— Dostałem od Jakowlewa z Waszyngtonu dość niepokojącą depezę. Dotyczy ona czegoś, co wydaje się w ogóle nie mieć sensu, niemniej ambasador upiera się, że amerykański prezydent traktuje to zupełnie serio.

— Na Jakowlewie można polegać — zauważył minister obrony. — O cóż chodzi w tej depeży?

Minister spraw zagranicznych przełknął ślinę.

— Wygląda na to, że Amerykanie uważają, iż kontaktujemy się z jednym z ich załogowych statków kosmicznych, tym, który wystartował jakieś dwa dni temu.

W słuchawce zapadła cisza.

— Co? — zapytał w końcu wojskowy z zakłopotaniem. Minister spraw zagranicznych wyjaśnił ponownie, o co chodzi.

— Nie rozumiem — usłyszał w odpowiedzi.

— Ani ja — przyznał dyplomata — ale wyślę wam zaraz kopię depeży. Proszę, zbadajcie tę sprawę i bezzwłocznie dajcie mi znać. Nie sądzę, żeby wskazane było niepokoić tym towarzysza sekretarza generalnego, chyba że okaże się, iż coś w tym jest. Właśnie wyjechał na dłuższy weekend do swej daczki w Usowie.

Jak sobie życzyście — powiedział minister obrony. — Bez zwłoki.

***Dzień 3., 6:30 czasu Greenwich, 9:30 miejscowego owieckiego Centrum Ostrzegania Obrony Powietrznej***

Oficer dyżurny wyglądał raczej dziwnie. Stał na baczność salutując, w lewej ręce trzymał słuchawkę telefonu.

Nie, towarzyszu ministrze! — powiedział nerwowo. — Nic nie <sup>m</sup> takim wydarzeniu. To niewyobrażalne. <sup>gn</sup>T całkowicie zgadzam się z wami, pułkowniku — rozległ się <sup>p</sup> glos ministra — ale ambasador nie niepokoiłby nas bez <sup>g</sup>u. Podobno prawie zestrzeliliście amerykański samolot szpie-<sup>skl</sup>, czy to się zgadza?

1Q7

— Tak, towarzyszu. Nie miałem wtedy służby, ale czytałem raporty Nic w nich nie było o łączności z amerykańskim wahadłowcem.

— Hmm... — zamruczał gruby głos. — Przejrzyjcie jeszcze raz te raporty i porozmawiajcie z pułkownikiem, który był wtedy ^ służbie. Wyciągnijcie z niego, czy wie o tej sprawie coś więcej I w ciągu piętnastu minut powiadomcie mnie, co ustaliliście.

— Naturalnie, towarzyszu ministrze.

Kiedy rozmowa się skończyła, dyżurny oficer przestał salutować i opadł na krzesło. Ręce mu drżały. Nigdy dotąd nie rozmawiał

jeszcze z członkiem Politbiura.

Uznał, że to koszmarnie doświadczenie.

*Dzień 3., 6:45 czasu Greenwich, 8:45 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

— Nie mam pojęcia, o czym mówicie — powiedział Popów do telefonu.

— Podobnie jak ja, drogi Likadij — mruknął minister obrony -ale muszę zbadać sprawę w związku z tą depeszą z Waszyngtonu.

— Doskonale rozumiem, towarzyszu ministrze — odparł Popów. — Mogę się jedynie domyślać, że Amerykanie mają jakieś techniczne kłopoty ze swoim wahadłowcem i próbują, w celach propagandowych, obarczyć za to winą naszą *Rodinę*. O ile pamiętam, przed kilku laty wysuwali już fałszywe oskarżenia, jakoby agenci sowieccy byli odpowiedzialni za katastrofę ich wahadłowca. Może to coś podobnego?

Minister rozważał tę możliwość przez dłuższą chwilę.

— Trafna uwaga, Likadij — zgodził się. — Najprawdopodobniej masz rację. — A potem zmienił temat. — Któregoś dnia musimy a? znowu wybrać w tajgę na polowanie. Jak za dawnych czasów...

— To były wspaniałe czasy, towarzyszu ministrze! — powiedz-Popów z udawanym entuzjazmem. — Nigdy nie zapomnę, ja<sup>ke\*</sup> jednym strzałem z tego starego muszkietu powalili syberyjska niedźwiedzia.

Wojskowy bonza zachichotał.

— Mam jeszcze ten muszkiet w schowku w ścianie mojej dac<sup>^</sup>. Doskonale, stary przyjacielu. Wybacz, że musiałem ci za<sup>w</sup>, r<sup>^</sup>, u, głowę. Gdyby wszakże zdarzyło się coś niezwykłego w tym ro<D>

przekaż słówko do mego biura.

— Ma się rozumieć, towarzyszu- ^c. Kiedy minister się rozłączył. Popów powoli odłożył słucha a następnie odwrócił się i popatrzył na lufę nadal wycelow

w jego skroń rewolweru.

197

!y,celowane«"

**A**

Możecie już to zabrać! — powiedział nieswoim głosem. — Siedzę w tym zbyt głęboko, by się wycofywać. Kostiaszak schował do kieszeni małą automatyczną beretkę i zapalił kolejnego pallmalla.

— Całkiem słusznie, generale. Mam nadzieję, że mi wybaczyicie ten gest. ale naprawdę nie mógłbym w tym momencie pozwolić na zdradzenie czegokolwiek. Znacie się przecież z ministrem obrony od wielu lat, prawda?

— Ze szkoły kadetów we Frunze — odpowiedział przysadzisty generał. Kostiaszak kiwnął głową.

— Stara przyjaźń nie rdzewieje. Gdybyście zaś zmienili zdanie co do naszego przedsięwzięcia, nie zapominajcie, że narazicie waszą żonę i dzieci.

Popów poczerwieniał z wściekłości.

— Ty... ty...

Szef KGB szybko powstrzymał go ruchem ręki.

— Uspokójcie się, generale. Jedziemy na jednym wózku i nie pozwolę, by cokolwiek nam przeszkodziło. Zbyt często sny o wielkości nie spełniały się. bo marzycielom zabrakło woli. Wypełniajcie dalej wasze obowiązki i nie zmarnujcie naszych wysiłków. Jeśli się uda, możemy zyskać wiele.

— Nie chcę od was niczego! — parsknął przez zęby Popów. Przewodniczący wzruszył ramionami.

— Jak sobie chcecie...

Generał utkwiał twarde spojrzenie w twarzy swego prześladowcy.

— Amerykanie wiedzą! — powiedział po chwili. Kostiaszak wypuścił kolejny kłęb dymu.

— Nigdy nie zaliczałem się do tych, którzy nie doceniają Ameryków, żyłem wśród nich. A teraz, proszę kontynuować przygotowa<sup>a</sup>ma do startu.

■J\* 3.. 6:55 czasu Greenwich, 8:55 miejscowego

**J**^wonił prywatny telefon ministra spraw zagranicznych.

— zgłosił się osobiście. .

.<sup>A</sup> więc, drogi towarzyszu ministrze — odezwał się szef resortu ^ ~ mam informację, o którą wam chodziło. .<sup>T</sup>y dyplomata wziął do ręki szklankę z herbatą i zagłębił się <sup>sk</sup>rz<sup>anyrn</sup> fotdu tak<sup>r</sup> Konstantin. Dziękuję za tak szybką odpowiedz. No <sup>80scr</sup>e się dowiedzieli?

— Rozmawiałem z oficerem dyżurnym w Centrum Ostrzegania ^ relacjonował minister obrony. — Potwierdził, że ostrzelaliśmy ame. rykański samolot szpiegowski Blackbird. Mogę dodać, że prawieśmy go zestrzelili.

Wspomnienie o wylądowaniu sportowej Cessny na placu Czerwonym wciąż jeszcze było żywe.

— Natomiast niczego nie wiedz na temat łączności z amerykańskim statkiem kosmicznym.

— Doskonale! — powiedział minister spraw zagranicznych.

— Następnie rozmawiałem z generałem Popowem z Operacyjnego Centrum Lotów Kosmicznych. On również nic nie wie o komunikowaniu się z obcym wahadłowcem. Zasugerował mi wszakże, jakie mogą być motywy Amerykanów.

Stary dyplomata odstawił szklankę.

— A mianowicie?

— Podejrzuwa, że mają trudności ze swoim statkiem, może przewidują, iż dojdzie do podobnej katastrofy jak ta sprzed paru lat, więc przygotowują grunt, głosząc w celach propagandowych, że to my jesteśmy odpowiedzialni za wszelkie kłopoty, jakie ewentualnie napotkają. Sfabrykowali historyjkę, że kontaktujemy się z ich wahadłowcem, żeby jak to się mówi, zawczasu wytknąć palcem winowajcę.

Minister spraw zagranicznych przez chwilę rozcierał sobie skronie.

— Naturalnie. To musi być powód. Przypominam sobie tamtą katastrofę, ich statek nazywał się *Challenger*. Jakiś pismak w tej ich „wolnej” prasie sugerował, że to nasi ludzie z bezpieczeństwa byli odpowiedzialni za jego eksplozję. Nasza prężna dyplomacja szybko zdezwuowała te pogłoski. Tak, Popów może mieć rację. Przekażę ambasadorowi Jakowlewowi wasze ustalenia i pogląd generała Popowa. To powinno Amerykanów usadzić i wszystko się uspokoi. Jak już mówiłem, nie chciałem niepokoić towarzysza sekretarza generalnego, dopóki nie ma czegoś naprawdę pilnego... Zresztą, J<sup>4</sup> też wyjeżdżam na święta do mojej dachy w Wilkowie. Wolałbym, żeby mi tam nie przeszkadzano.

Wilkowo nad Morzem Czarnym było ekskluzywnym ustronnym lotniskiem dla członków Politbiura.

— Jedziecie do Wilkowa? — zainteresował się minister obrony-1\*\* Pewnie się tam zobaczymy, przyjacielu. Wyjeżdżam za parę godzin, czas odetchnąć od tej surowej moskiewskiej zimy.

Minister spraw zagranicznych uśmiechnął się.

— Słusznie, Konstantin. Mam nadzieję, że się spotkamy. I dzi? za tak energiczne zbadanie sprawy.

— Nie ma za co — zadudnił gruby bas. 1 Po odłożeniu słuchawki minister spraw zagranicznych napi

^ręcznie tekst depeszy, a następnie zadzwonił po swego adiutanta, Kulikowa.

Tak jest, towarzyszu ministrze? — zgłosił się ten uniżenie.

Stary człowiek wręczył mu depeszę.

Przeczytaj, a potem wyślij bezzwłocznie do Jakowlewa. Po

ludniu wyjeżdżam do Wilkowa. Masz tu zostać przez cały weekend i dać mi znać natychmiast, gdyby od ambasadora przyszły jakieś dalsze depesze. Masz mój prywatny numer w Wilkowie?

\_Oczywiście, towarzyszu ministrze — odparł Kulikow, próbując nie okazać niezadowolenia, że jego własne plany weekendowe diabli wzięli.

— Doskonale. Zajmij się więc tą depeszą! — Tymi słowami odprawił Kulikowa. Wyjrzał przez okno i zobaczył, że znowu zaczął padać śnieg. Zabębnił palcami po obitym skórą biurku Katarzyny Wielkiej. Może by tak wyjechać do Wilkowa wcześniej?

*Dzień 3., 6:45 czasu Greenwich, 22:45 miejscowego* **Baza Sił Powietrznych Edwards**

— Cudownie! Po prostu wspaniale! Niczego lepszego nie mógłbym sobie, cholera, wymarzyć!

Monaghan odsunął słuchawkę od ucha, pozwalając generałowi McCormackowi wyładować furję. Właśnie powiadomiono generała, że udało się w końcu znaleźć kapitana Daveya Barnesa — na wyciągu w szpitalu publicznym w Lancaster, gdzie miał pozostać co najmniej przez sześć tygodni. Oznaczało to, że na Kestrelu nie będzie oficera obsługującego sprzęt bojowy. Kiedy ryk, dochodzący ze słuchawki, zaczął słabnąć, Monaghan zdecydował się zaryzykować pytanie:

— A zatem, panie generale, co teraz zrobimy?

— Zostaw to mnie, Monaghan, to mój kłopot! — odpowiedział Podrażniony McCormack. — Ty masz tylko zadbać, żeby ptaszek został uzbrojony i nie rozpieprzył się w transporcie. Myślisz, że dasz <sup>o</sup>bie z tym radę?

— Tak mi się wydaje... panie generale!

— Co z uzbrojeniem? — spytał generał.

Są tu właśnie ludzie z LTV. Myślę, że już zainstalowali ^dewindery i zaczęli majstrować przy Phoenixie.

Myślisz? O Jezuu, człowieku! Nie jesteś pewien? — wrzeszczał McCormack. — Czyż nie wyjaśniłem ci, co się dzieje? To nie jakaś P<sup>o</sup>Przona przejazdka ćwiczebna, Monaghan, zechciej to wreszcie <sup>o</sup>rozumieć!

"\*~ Rozumiem, że ktoś wsadził palec między drzwi, a teraz każe <sup>o</sup>lecieć, żeby mu wyciągnąć dupę z ognia... panie generale.

200





Zjadliwa odpowiedź Monaghana sprawiła, że McCormack urwał. Po prostu go zatkało. Wydał z siebie rodzaj bulgotu i chwile potrwało, zanim wygarnął podwładnemu:

— Dobrze, komandorze. Nie miałem zamiaru mówić o tym teraz, ale dalsze odkładanie sprawy nie ma sensu. Zostało już zdecydowane, że w przyszłym tygodniu wyleci pan ze SPACECOM--u. Właśnie podpisałem papiery. Głównym powodem, dla którego trafił pan do programu „Kestrel”, była pieprzona rekomendacja admirała Creightona, którą napisał, chcąc się pana pozbyć z Patu-xent. Nie wiem, jak go pan skłonił do napisania tej laurki, Monaghan, ale musiał mu pan nieźle zaleźć za skórę. Przyznaję, że jest pan piekielnie dobrym pilotem. Ale też i najżałośniejszym przypadkiem oficera, z jakim się kiedykolwiek zetknąłem we wszelkich służbach.

— W ogóle nie zdawałem sobie sprawy, że są tego rodzaju problemy... panie generale — powiedział Monaghan tonem niewiniątka.

Bulgotanie rozległo się w słuchawce ponownie.

— Nie wiedział pan o problemach? Posłuchaj, troglodyto! Oficerowie sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych nie wjeżdżają, powtarzam: nie wjeżdżają, wynajętym samochodem do głównego basenu hotelu Pałace o trzeciej rano! Do tego z córką senatora na przednim siedzeniu!

— Akcelerator nawalił, panie generale.

— Mam inne informacje. Podpuściłeś ją. Nie zostałeś wtedy zdegradowany tylko dlatego, że senator chciał uniknąć rozgłosu. Ale nie licz już na to więcej. Rzecz jasna, to do ciebie nie dociera, Monaghan. Więc pozwól, że wyjaśnię ci to w sposób, który nawet ty jesteś w stanie zrozumieć. Jeśli potrafisz teraz zachować się jak mały dobry żołnierz... pardon, mały dobry marynarzyk, to kiedy skończy się ten cały burdel z *Intrepidem*, czy polecisz na orbitę, czy nie, rozstanieś się ze służbą łatwo i przyjemnie. Emerytura za dwudziestosześciolletni staż, odpoczynek w Penascola, drinki na plaży. Żadnych obowiązków. Będziesz zadowolony. My też. W porządku? Ale jeśli coś spierdolisz, wówczas dopilnuję, żebyś nie zobaczył nawet dolara emerytury, dopóki nie stanieś się bezzębnym, wysuszonym sklerotykiem. Czy wreszcie to do ciebie dotarło, Monaghan?

— Och tak, panie generale... rozumiem, panie generale.

— Więc zabieraj teraz Kestrela, uzbrojonego, do Vandenberg- J<sup>a</sup> ci znajdę kogoś na tylne siedzenie. To wszystko, komandorze.

Na tym połączenie się urwało.

Monaghan przez chwilę przyglądał się słuchawce, po czym odwiesił. Pomyślał, że ten cholerny generał to naprawdę wyjątkowy kutas. Nie zamierzał wszakże się przejmować, taki opieprz należą\*

mu się pewnie już dawna. Poskrobał rudy zarost na pokierszowanej twarzy i odchylił się w krześle obrotowym, które zatrzeszczało pod ciężarem jego krzepkiego ciała.

Leroy Monaghan, zwany „Wściekłym Psem”, był zaklą amerykańskiej marynarki wojennej od dwadzieścia sześciu lat. Pomimo wysiłków kolejnych dowódców, by go zdegradować, postawić przed sądem wojennym i wyrzucić ze służby, zawsze udawało mu się odwrócić kota ogonem i wyjść z opresji bez szwanku. W istocie, czasami wydawało się, że wspomagają go siły nadprzyrodzone.

I tak, na przykład, dokonywał kiedyś rutynowego lądowania na lotniskowcu *America*. Jego A-4 Skyhawk ugrzązł w uszkodzonej linii przechwytyjącej, wrywając ją z zakotwienia. Ślizgający się po pokładzie uwolniony kabel, owinął się jak wąż wokół urządzenia przechwytyjącego właśnie w chwili, gdy Monaghan próbował poderwać samolot i ponownie wystartować. Załoga przyglądała się ze zgrozą, jak schwytyany na łańcuszek Skyhawk wpada do morza. Wtedy Monaghan wykatapultował się z maszyny i — na rozwiniętym spadochronie — wylądował elegancko na pokładzie, w pozycji stojącej. Po chwili osłupienia marynarze zgotowali mu spontaniczną owację.

Innym razem leciał jako pasażer odrzutowca TWA na zjazd lotników morskich w Waszyngtonie. Po sporej liczbie drinków zdrzemnął się w fotelu, trzymając w ręku palącego się papierosa i niechcący podpalił sportową marynarkę siedzącego obok dżentelmena. Obudzony krzykiem nieszczęśnika, odruchowo chlusnął na niego resztką zawartości swej szklanki, chcąc ugasić tłącą się odzież, przypominając sobie poniewczasie, że ma w szklance czysty spirytus. Marynarka stanęła w płomieniach niczym pochodnia. Doszło do straszliwej paniki, aż wreszcie komuś z obsługi udało się skutecznie użyć gaśnicy. Kobiety krzyczały, dzieci płakały, mężczyźni klęli. Było pełno dymu. Przymusowe lądowanie. Karetka pogotowia. Policja. Kiedy w sali opatrunkowej szpitala udało się wreszcie zdjąć ubranie sniadokórej ofierze, lekarze znaleźli ukryty w bieliźnie mały rewolwer kalibru 5,5. Zdjęto odciski palców i okazało się, że był to poszukiwany Przez policję członek irańsko-islamskiej szyickiej grupy terrorystycznej- Człowiek ten trzy miesiące wcześniej uczestniczył w uprowadzeniu Sa molotu Air France, co spowodowało śmierć czworga niewinnych osob na lotnisku w Bejrucie. I tak, zamiast stanąć przed sądem za Wyrządzenie krzywdy, Monaghan nieoczekiwanie został bohaterem. Takich wydarzeń było w jego życiu wiele. Cała jego kariera marynarce wojennej polegała na balansowaniu między katastrofą Wałą. A napędem były mu nieustanna pogoń za rozrywkami oraz

niezrównane umiejętności, jakie wykazywał jako pilot. Niejeden krotnie pytano go, czy „Wściekły Pies” to jego kod wywoławczy, też otrzymał takie imię na chrzcie.

Właśnie wyszedł z biura przy hangarze i ruszył ku Kestrelowi. gdy podszedł do niego inżynier kierujący ekipą z LTV.

— Jak idzie? — zapytał Monaghan.

Chudy, niezgrabny inżynier w średnim wieku wetknął śrubokręt do kieszonki w rękawie kombinezonu i powiedział niezadowolonym tonem:

— Sidewindery są już zainstalowane, właśnie sprawdzamy funkcjonowanie systemów. Moi ludzie zaczęli mocować Phoenixa do prawego wspornika.

Monaghan kiwnął głową.

— Cała ta sprawa wygląda trochę niedorzecznie — mówił dalej inżynier. — Jeśli pan pozwoli, chciałbym zapytać, czemu bez żadnych wyjaśnień zabrano dziś rano z fabryki siedmiu mechaników i przywieziono ich tu samolotem z Dallas? Myślałem, że do prawdziwej „próby ogniowej” dojdzie dopiero za parę miesięcy.

Monaghan popatrzył na techników mocujących Phoenixa.

— Plany uległy zmianie. Ale to nieważne. Chcę tylko mieć pewność, że to чудо zadziała, kiedy pociągnę za spust.

Inżynier się zachnął.

— Nie ma obawy, komandorze. Cackam się z tymi lalami od trzech lat, więc wiem, ile są warte. Wyposażono je w systemy rezerwowe, mogą być kierowane i działać samoczynnie, mają naprowadzanie na cel, także ciągiem, i wszystko inne, czego tylko pan sobie życzy. To ostatni krzyk techniki. Trzeba tylko dobrze się z nimi obchodzić i pozwolić im działać.

Monaghan kiwnął głową.

— Dobrze, dobrze. Dość tych przechwałek. Próbuję tylko panu powiedzieć, że to naprawdę ważne, żeby zadziałały już za pierwszym razem. Można by tak to ująć, że od tego zależy czyjeś życie. Chwyta pan, o co mi chodzi?

Inżynierowi oczy wyszły na wierzch.

— Czy to znaczy, że... to nie jest test?

— W ogóle nie było żadnej rozmowy, dotyczy to również tego, c° powiedziałem. Kapujesz? Tylko dopilnuj, żeby zadziałały za pierwszym razem. W porządku?

Inżynier przełknął ślinę.

— Obiecuję to panu, komandorze. Będą sprawne. Osobis hmm... bardziej polegałbym na Phoenixie.

— Dobra — zgodził się Monaghan.



Człowiek z LTV wdrapał się na rusztowanie nad prawym skrzydłem Kestrela i za chwilę skupiła się wokół niego cała ekipa. Co parę sekund ktoś z tej gromadki podnosił głowę i przyglądał się Mona-ehanowi, po czym dalej się naradzali. Następnie Teksańczycy wrócili do roboty i widać było, że się nie obijają.

Nfo i co z tego, że wiedzą? — pomyślał Monaghan. — W końcu

o moją dupę tu chodzi. Poza tym, jeśli naprawdę dojdzie do uczciwego strzelania, nikt nie będzie w stanie utrzymać tego długo w tajemnicy". Zaczął spacerować wokół samolotu, po raz któryś tam dokonując jego wizualnej inspekcji. Nie bardzo chciało mu się wierzyć, że naprawdę ma na czymś takim zostać wyniesiony na orbitę przez raketę Tytan 34-D.

Kestrel był małym eksperymentalnym samolotem bojowym, przeznaczonym do operowania w przestrzeni kosmicznej. Nazwę wziął od krogulca, najmniejszego, ogromnie walecznego przedstawiciela rodziny sokołów, zwanego też pustułą. Kształtem przypominał pod wieloma względami wahadłowiec, ale były między nimi istotne różnice. Znacznie mniejszy, nieco mniejszy nawet od myśliwca F-15 Eagle, był natomiast, podobnie jak wahadłowiec, dolnopłatem — w obu kadłuby spoczywały na wierzchu skrzydła typu delta. Kabinę Kestrela wyposażono w miejsca dla dwóch osób — przednie dla pilota, tylne dla oficera obsługującego sprzęt bojowy. Systemy uzbrojenia były zbyt skomplikowane, by pilot, manewrując jednocześnie kosmolotem, dał sobie z tym radę, dlatego operowało się nimi z tylnego siedzenia. Z tyłu, za kabiną, znajdowały się zbiorniki paliw — hydrazyny i czterotlenku azotu — zasilających pojedynczy silnik główny oraz sieć silniczków manewrowych. Główny silnik umożliwiał dokonywanie zmian wysokości

<sup>1</sup> manewrowanie na orbicie, wchodzenie w atmosferę, a w niektórych sytuacjach ściganie nieprzyjacielskiego pojazdu kosmicznego, małe zaś obracanie statkiem w dowolnym kierunku.

Ponieważ Kestrel miał operować w próżni kosmicznej, aerodynamiczny kształt nadano mu dla powrotu w atmosferę, a nie dla manewrowania w powietrzu, do czego projektuje się myśliwce konwencjonalne. W kosmosie opływowa aerodynamika nie była <sup>nie</sup>zbędna, niemniej projektanci z przyzwyczajenia nadali samolotowi 'ormę rapiera.

Tak jak i wahadłowiec, Kestrela wyposażono w stery wysokości <sup>na</sup> krawędziach skrzydła typu delta, ale zamiast pojedynczego <sup>o</sup>nowego statecznika ogonowego miał zadarte „skrzydełka" na j <sup>u</sup> koniuszkach skrzydeł. Powierzchnie sterowe lotek, sterów . sterów wysokości były, oczywiście, bezużyteczne w kosmosie  $\sim f^f y^{watv}$  roi? jedynie podczas wchodzenia w atmosferę, podążenia do lądowania i samego lądowania.

Nieco odmienna była także osłona termiczna Kestrela. Na powłok wahadłowca składało się trzydzieści tysięcy kruchych płytek krzemowych, zabezpieczających jego aluminiowy kadłub przed ciepłą tarcia podczas powrotu w atmosferę. W Kestrelu natomiast zastosowano nowy wynalazek Lockheeda — tarczę, stanowiącą powłokę cieniową z włókien węglowych z cienką błoną filcu azbestowego, przytwierdzoną bezpośrednio do tytanowej powłoki pojazdu kosmicznego. To nowatorskie rozwiązanie było „szczelniejsze”, wahadłowcowi bowiem zawsze groziła utrata części delikatnych płytek izolacji wskutek wstrząsów podczas startu czy powrotu w atmosferę.

Jeśli chodzi o uzbrojenie, Kestrel został wyposażony w specjalne wersje pocisków powietrze—powietrze typu Sidewinder i Phoenix, również przeznaczone do użycia w próżni kosmicznej.

Konwencjonalny Sidewinder to pocisk poszukujący źródła ciepła w podczerwieni, zaprojektowany do bezpośredniej walki powietrznej „na długość szabli”. Jego stożkowy nos, chłodzony ciekłym azotem, namierza pocisk na gorącą rurę wylotową nieprzyjacielskiego myśliwca i — niby bulterier — nie ustaje, dopóki nie zniszczy upatrzonej ofiary. Ulepszone wersje były bardziej czułe — nie potrzebowały „widzieć” ciepła ogonowej rury wydechowej, mogły nakierować się na cel nawet czołowo.

Kosmiczna wersja Sidewindera funkcjonowała przy wykorzystaniu tej samej podstawowej koncepcji, jednakże z pewnymi zmianami. Ponieważ leciał w warunkach nieważkości, specjalne paliwo stałe spalało się wolniej od konwencjonalnego, zwiększając tym samym zasięg pocisku do dwustu czterdziestu kilometrów. Operując w próżni, nie wymagał też w ogóle wykończenia aerodynamicznego. Zamiast tego zapewniono mu sterowanie poprzez wektorowy ciąg dysz ogonowych, co oznaczało, że mógł się obracać i kierować pióropusz odrzutu w dowolnym kierunku; podobnie steruje się łodzią z silnikiem przyczepnym. Kiedy wszakże Sidewinder znajdował się w końcowej fazie zbliżania się do celu, ciąg wektorowy nie mógł mu zapewnić manewrowania dostatecznie precyzyjnego, by podążać za ekstremalnie ruchliwym i zwrotnym celem. W tym momencie niewiarygodna wprost precyzję poruszania się i trafiania umożliwiał mu podwójny pierścień silniczków na paliwo stałe, usytuowany wokół stożkowego nosa; zapewniał on również stabilizację obrotów pojazdu.

System kierowania pozwalał przed odpaleniem naprowadzać pocisk na cel teleskopowym czujnikiem podczerwieni umieszczonym nosie Kestrela; można też było wysłać pocisk z dyspozycją, by znalazł cel własnym czujnikiem i go zniszczył — wtedy działa! skutku, względnie do wyczerpania paliwa. Kiedy Sidewinder w końcowej fazie spadał na swoją zdobycz, odłamki pierścienia

cybuchu jego głowicy bojowej zamieniały statek-ofiarę w siekaną wątróbkę-

jestrel niósł Sidewindera w gondoli gniazdowej wmontowanej pomiędzy górnym i dolnym pokryciem skrzydła.

Wystrzeliwało się o stamtąd ładunkiem sprężonego azotu w stanie gazowym, dopiero potem dochodziło do zapłonu paliwa stałego pocisku.

Podczas wojny wietnamskiej Sidewindera udoskonalono. Miał wielu zwolenników wśród pilotów amerykańskich. Kiedy dochodziło do namierzenia północnowietnamskiego MIG-a, pilotowi sygnalizowało to rozlegające się w hełmofonie warczenie, przypominające rozjuszonego psa rwącego się ze smyczy; po uwolnieniu, często wpadał do dyszy ogonowej nieprzyjacielskiego myśliwca.

Drugi pocisk Kestrela, Phoenix, cechowało wiele atrybutów Sidewindera. Też posługiwał się ciągiem wektorowym, był na wolno spalające się paliwo, miał pierścien silniczków na stożkowym nosie dla końcowej fazy manewrowania oraz stabilności obrotu, wreszcie głowicę bojową eksplodującą promieniowo. W odmienny natomiast sposób naprowadzało się go na cel. Kestrel wyposażony był w ostatni krzyk techniki — dopierowski radar pulsacyjny dalekiego zasięgu, obsługiwany z tylnego siedzenia. Mógł on kierować pocisk do celu albo też oficer operujący sprzętem bojowym mógł — po wystrzeleniu — przełączyć Phoenixa na jego własny wewnętrzny system radarowy, funkcjonujący także na zasadzie „znajdź i zniszcz”. Phoenix górował nad Sidewinderem zasięgiem — dzięki potężnemu radarowi doplerowskiemu, mógł trafić w cel oddalony nawet o osiemset kilometrów. Przewyższało to znacznie zasięg konwencjonalnego Phoenixa, wynoszący dwieście kilometrów, ale w próżni kosmicznej łatwo się pomylić przy ocenie odległości. Żeby trafić cel zbliżający się czołowo po orbicie, przy wzajemnej prędkości pięćdziesięciu czterech tysięcy kilometrów na godzinę, czyli mniej więcej piętnastu kilometrów na sekundę, Kestrel musiałby dostrzec go, namierzyć i wystrzelić Phoenixa \* ciągu najwyżej czterdziestu sekund. Toteż trafienie takiego obiektu jest właściwie niemożliwe bez pomocy z ziemi. Gdyby natomiast Kestrel podążał po tej samej orbicie i w tym samym kierunku co cel, miałby — przy prędkości doganiania rzędu czterech tysięcy kilometrów na

godzinę — do dwudziestu minut na zbliżenie i osiągnięcie go pociskiem z odległości osiemset kilometrów, i n

foemx zawierał znacznie więcej wyposażenia elektronicznego Paliwa niż Sidewinder, toteż był mniej więcej trzykrotnie od niego silniejszy i mógł zmieścić się w gondoli w skrzydle. Nie dałoby go zamontować na wsporniku podtrzymującym skrzydło, z powierzchnia kadłuba musiała pozostać gładka, z uwagi na możliwości aerodynamiczne powrotu w atmosferę. Dlatego instalowano

te pociski na wspornikach ponad skrzydłami. Przed startem  $p_{22}$  krywano je aerodynamicznymi osłonami, odrzucanymi po wejściu na orbitę. A przed powrotem odrzucane były wsporniki, żeby ^ wpływały ujemnie na aerodynamikę skrzydła Kestrela.

Poza uzbrojeniem Kestrel był nafaszerowany wszelakim dobrem elektronicznym, jakie mogło przyjść na myśl inżynierom Lockheed'a i dało się do niego wtłoczyć — od pokładowego komputera nawigacyjnego wyposażonego w globalny program ustalania pozycji po pierścieniowe żyroskopy laserowe do lądowania automatycznego i systemy ostrzegania przed zagrożeniami.

Kiedy Monaghan kończył swój obchód, wpadło mu do głowy, że Kestrel bardzo przypomina wyglądem dawny projekt Dyna-Soar nad którym pracowano we wczesnych latach sześćdziesiątych. Niestety, tamten prototyp nie okazał się konkurencyjny w walce o fundusze i pozostał w cieniu programu „Merkury-Gemini-Apollo”. W rezultacie nigdy naprawdę nie zaistniał i NASA zrezygnowała z niego w 1963 roku. „Szkoda — pomyślał Monaghan. — Gdybyśmy nie zaprzestali prac nad Dyna-Soar, nie musielibyśmy teraz kłopotać się wdrażaniem Kestrela”.

Dwa powody przemawiały za stworzeniem Kestrela. Jeden wynikał z charakteru grasera. Była to broń nadzwyczaj skuteczna, ale operująca wiązką promieni gamma szerokości kilku kilometrów. Stwarzało to problem, gdyby własne obiekty były przemieszane z nieprzyjacielskimi, choćby w przypadku satelitów podążających po tych samych orbitach. Kestrel stanowił oręż bardziej „chirurgiczny”, mógł sobie wybierać cel spośród gromady „robaczków”. Drugim powodem było to, że Sowieci mieli już własny prototyp kosmolotu bojowego i parokrotnie przeprowadzili udane próby wprowadzenia na orbitę i sprowadzenia na ziemię jego małego modelu. Prezydent nie zamierzał pozostawiać tego typu spraw własnemu biegowi. Koniec, kropka. Prezydent wszakże nie zdawał sobie sprawy z tego, że Rosjanie nie potrafili przełożyć swoich sukcesów z modelem kosmolotu na wahadłowiec pełnej wielkości.

Monaghan zajrzał do biura szefa hangaru.

— Macie już załatwiony transport? — zagadnął.

Szef przesunął do tyłu czapeczkę w stylu baseballowym na rzednących blond włosach.

— Tak jest, panie komandorze. C-5N będzie tu mniej więcej z<sup>1</sup> półtorej godziny.

Monaghan kiwnął głową i spojrział na wrota hangaru.

— Czy ten C-5 zmieści się tutaj? Nie chciałbym ruszać Kestrela na zewnątrz, żeby nie zobaczyli go Ruscy... — powiedział, mając na myśli satelity zwiadowcze.

Nie ma sprawy, panie komandorze. — Szef postukał ołówkiem biuletyn leżący na stole. — Dostajemy codzienny wydruk z NO-RAD-u<sup>0</sup> rosyjskich okienkach obserwacyjnych. Poza tym możemy przykryć plandeką, kiedy go będziemy przetaczali do transportowca Galaxy.

To najwidoczniej zadowolilo Monaghana. Zapisal na karteczce numer swego telefonu.

— Dobra. Faceci z LTV maja tu jeszcze robotę na co najmniej sześć godzin. Wracam do kwatery, odpocząć trochę przed odlotem. Gdyby zadzwonił nasz ukochny generał McCormack, powiedzcie mu, że jestem w dowództwie i dajcie mi znać do domu.

Szef wzruszył ramionami.

— Jak pan sobie życzy.

Wróciwszy do kwatery, Monaghan zajrzał do schowka, gdzie gromadził przez lata przeróżne pamiątki, które można by łagodnie określić jako rupiecie. Grzebał tam przez kilka minut jak niedźwiedź w barci, aż w końcu, pod skrzynką pustych butelek po bacardi, znalazł to, czego szukał. Była to wideokaseta.

Włączył telewizor i magnetowid, następnie wsadził kasety i zaczął ją przewijać.

Generał powiedział: Kapuściński, Mulcahey i Rodriąez. Jeden z nich przeszedł na drugą stronę — zdradził. Być może właśnie Wściektemu Psu przyjdzie go załatwić, kimkolwiek był. Z Rod-riąezem nigdy się nie zetknął. Z Mulcaheyem pilotował wspólnie podczas jednego z dwóch lotów rozpoznawczych, jakie odbył na wahadłowcu. Znał natomiast Kapuścińskiego.

Tasma skończyła się przewijać. Monaghan nacisnął klawisz. Zaterkotało, a potem na ekranie pojawił się tytuł:

#### **ZAWODY O CZERWONĄ FLAGĘ**

#### **SIŁY POWIETRZNE KONTRA MARYNARKA WOJENNA**

%ła to impreza treningowa, podczas której najlepsi piloci myśliwców mieli okazję zmierzyć się ze sobą w walce powietrznej. Czasami zapraszano do udziału w owych symulowanych pojedynkach — kto kogo

zestrzeli — pilotów z marynarki wojennej. Siedem lat temu Monaghan uczestniczył w takich zawodach. Kaseta, którą teraz

zawijał, była wówczas zainstalowana w jego działku-kamerze podczas ostatniego pojedynku.

Kiedy asy lotnictwa i marynarki wojennej załatwiały ze sobą rachunki, zadawniona rywalizacja pomiędzy tymi służbami

rozlewała emocje do białości, a szefowie obsługi naziemnej chętnie by

Zdobyć.



wyposażyli swych faworytów w ostrą amunicję, gdyby tylko mogli to uczynić. Podczas tego meczu, rozgrywanego w Bazie Sił Powietrznych Nellis w Nowadzie Monaghan latał na myśliwcu FA-18 Hornet. Przystępując do ostatniego dnia zawodów, Wściekły Pies był ogromnie niezadowolony — miał za sobą same zwycięstwa w czterech pojedynkach stoczonych nad pustynią Nowada. Dwaj z pokonanych zaliczali się do elity tak zwanych Agresorów — eskadry stacjonującej w Nellis, która w celach ćwiczebnych odgrywała rolę „czarnych charakterów”. Agresorzy stosowali rosyjską taktykę walki, przywdziewali nawet sowieckie kombinezony i uważali się za Bóg wie kogo. Monaghana rozpiekała wówczas duma, że tak sobie z nimi poradził. Było mu naprawdę przyjemnie. Ale nagle sytuacja uległa zmianie.

Ostatniego dnia rywalizacji miał się zmierzyć o czerwoną flagę z jedynym pozostałym współpretendentem — wyskrobkiem z lotnictwa, którego nazywano Lodowcem. W to, co się wówczas wydarzyło, ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć.

Przyglądając się taśmie, Wściekły Pies pogрузzył się we wspomnienia.

Hornet Monaghana i F-15 Eagle Lodowca regulaminowo oddaliły się w przeciwną stronę na wysokości dwóch tysięcy metrów. Wściekły Pies ściągnął do siebie drażkę, próbując uzyskać przewagę wysokości nad przeciwnikiem, ale tamten wykonał ten sam manewr. Przekroczywszy macha jeden przy wyciu dopalaczy, Monaghan spojrzął przez ramię ponad osłoną kabiny i stwierdził, że Lodowiec robi dokładnie to samo co on. Pędzili prosto w górę, wznosząc się w niebo. Żaden nie mógł przegonić rywala. Widząc to, Wściekły Pies zmienił taktykę. Rzucił swego Horneta w serię ostrych zwrotów, pozwalając maszynie tamtego wysforować się naprzód. W ten sposób znalazł się za jej ogonem, w dogodnej pozycji. Nie mógł jednak namierzyć dysz wylotowych przeciwnika, gdyż obaj lecieli prosto w słońce. Musiał czekać, aż Lodowiec zmieni kurs.

Na wysokości szesnastu kilometrów zobaczył, że F-15 robi pętli?> przechodząc całą mocą silników ze wznoszenia w nurkowanie. Ruszył za nim, aż stękając pod naporem ośmiu g — nie mógł przecież pozwolić, by facet go wymanewrował i zaleciał od tyłu. Przewidywał, że przeciwnik będzie się ponownie wzbijał w górę, ale tamten tego nie zrobił. Przeciwnie, gnał dalej prosto w dół. Monaghan leciał za nim i próbował tak ustawić Horneta, żeby złapać w celownik gorące podwójne dysze Eagle'a. Zanim jednak zdołał utrzymać kamerę na celu dostatecznie długo, by go „zestrzelić”, Lodowiec zaczął wymykać się, ostro manewrując i zmieniając kurs, a następna

ścił swego myśliwca po spirali, wciąż schodząc w dół. Przeciwnik P ji zbyt szeroko, by go uchwycić skanerem namierzającym cel, <sup>sz>c</sup> Monaghan, klnąc, podążał za nim, nurkując ku jakiemuś kanionowi. Spirale przeciwnika stały się coraz ciaśniejsze, a poszarpane góry Newady niepokojąco się zbliżały. Ekstremalna siła nośna wytworzona przy ciasnych zwrotach wysysała wilgotność z powietrza, toteż skrzydła obu samolotów pokryła para wodna. Wściekły Pies pchnął Horneta do prawie dziewięciu g — przeciążenia, przy którym krew dosłownie odpływa z mózgu i występują zamroczenia. Potrafił wszakże zachować świadomość i centymetr po centymetrze zaczął naprowadzać celownik na przeciwnika. Coraz bliżej... bliżej... góry... już prawie... wysokościomierz... już go prawie miał... prosto w kanion... złapać go w celownik... wysokościomierz... widać dno kanionu... jeszcze bliżej... już go ma... grań górską na wprost! W górę, w górę, w górę! Wściekły Pies z całej siły szarpnął drążek do siebie, przeszedł przez dziewięć g, stracił na moment przytomność, a potem wrzasnął: — O Jezu! Ten przeklęty dureń zarył się w górę! Wstrząśnięty do trzewi, Monaghan ustabilizował wznoszenie, następnie wyrównał lot i odzyskał równowagę. „Wielki Boże! — pomyślał. Ten stuknięty skurwysyn wleciał prosto pod nawis skalny! Minałem się z granią o włos! Lepiej będzie, jak to zgłoszę...” Biiiiip!!!

Zadźwięczało w słuchawkach Monaghana, ostrzegając, że ktoś go namierza. Spojrzał przez ramię. Nie! To było po prostu niemożliwe!

— Halo, Wściekły Psie, tu baza czerwonej flagi. Zostałeś zestrzelony! Powtarzam: zostałeś zestrzelony. Hornet odpada i nagrodę zdobywa Lodowiec. Zawody dobiegły końca, panowie. Wracajcie do bazy.

„Co jest, kurwa, grane?” — zapytywał sam siebie Monaghan. Ten Eagle nie mógł być samolotem Lodowca. Dopiero co

widział, jak się roztrzaskuje.

Wyrównywał lot, kiedy F-15 przeleciał obok niego, nieco powyżej. Zobaczył wtedy sześć małych północnowietnamskich flag wymalowanych na kadłubie, tuż pod osłoną kabiny. Tak. To jednak był Lodowiec. Ale jak to się stało? Popatrzyli na siebie. Bez pozdrowienia, bez przyjacielskiego gestu. Po prostu jeszcze jeden kliniczny przypadek ^ycięstwa mistrza. Kiedy skończyli chłodno taksować się wzrokiem, Lodowiec opuścił osłonę przeciwsłoneczną, zrobił zwrot na skrzydło <sup>1</sup> odleciał. Monaghan utrzymywał swego Horneta w poziomie jeszcze przez <sup>Dar</sup>ę sekund. Potem potrząsnął głową. „Co widziałem, to widzia-<sup>em!</sup>” — powiedział do siebie i skierował swego FA-18 zakolem ku <sup>0Wej</sup> górskiej grani.

Obszar wokół Nellis pełen jest poszarpanych, poszczerbionych, <sup>na</sup>gich skał. Przypomina krajobraz księżycowy. Monaghan dwukrotnie

przeleciał nad postrzępioną granią, próbując odtworzyć wszystko to co się przedtem wydarzyło, ale wydało mu się to tylko jeszcze bardziej zagadkowe. Widział, jak Lodowiec znika pod nawisem skalnym. Na własne oczy. Po raz ostatni Wściekły Pies potrząsnął głową, zapamiętał lokalizację i skierował się na lotnisko.

Po wylądowaniu i zabezpieczeniu Horneta, wymusił od kogoś forda bronco i pojechał do małego kanionu, w którym powinien według niego roztrzaskać się samolot Lodowca. Jechał dopóki się dało po nierównym terenie. Potem wysiadł i szedł pieszo dnem kanionu. Ukazał mu się tam niewiarygodny widok.

Monaghan wspiął się aż do podnóża postrzępionej grani, z którą miał się zderzyć samolot Lodowca, i zbadał dokładnie miejsce. Poniżej szczytu wypiętrzał się nawis skalny — ten, który widział z powietrza — ale pod nim otwierał się duży naturalny łuk wyłobiony w ciągu miliardów lat erozji przez niesiony wiatrem piasek. Wdrapał się bliżej i ocenił, że prześwit wynosi jakieś kilkanaście metrów. Istnienia tego łuku nie dawało się wykryć z powietrza, bo zasłaniał go nawis. Trzeba się było dostać na dno kanionu, żeby stwierdzić, że u podnóża urwiska jest taka wspaniała dziura. Ten skurwysyn Lodowiec przeleciał swym cholernym F-15 pod tym pieprzonym łukiem z prędkością ośmiuset kurewskich kilometrów na godzinę. Podczas pościgu Monaghan nie znalazł się dostatecznie nisko, by zobaczyć, że jest tam otwór. Dlatego musiał poderwać Horneta, nie chcąc zderzyć się ze zboczem. A Lodowiec wyskoczył po drugiej stronie i odszukał go na dogodnym pułapie — jako idealny cel.

Y/ściekły Pies potrząsnął głową i przeszedł pod łukiem. Oszacował, że myśliwiec miał po niecałe dwa metry zapasu na obu końcach skrzydeł — i to wstrząsnęło nim jeszcze bardziej. On sam minął się ze szczytem najwyżej o centymetry.

Podczas walki powietrznej jej uczestnicy koncentrują się na celu tak zapamiętane, że wszystko inne przestaje się liczyć. Tak jak przy locie w szyku. Monaghan pamiętał, jak kiedyś cała formacja czterech Thunderbirdów — zespołu akrobatycznego sił powietrznych — roztrzaskała się podczas ćwiczeń. Zawinił tylko lider. Trzej pozostali byli tak skoncentrowani na zachowaniu odpowiedniego odstępu, że podążyli za nim aż do zderzenia z ziemią.

Monaghan obejrzał łuk i doszedł do wniosku, że manewr Lodowca był dobrze przemyślaną, z góry zaplanowaną pułapką. Z premedytacją zwabił przeciwnika w sytuację bez wyjścia. Hornet musiał rozpieprzyć się na skałach w pogoni za Lodowcem lub — żeby tego uniknąć — pójść w górę i wówczas zostać „przygwożdżony”, co też się stało. Innymi słowy, oznaczało to zawsze zwycięstwo Lodowca. Była to strategia występną, równie pomysłowa co obłąkana. Dawał<sup>3</sup> Lodowcowi wygraną, a dla przeciwnika oznaczała niemal pewną<sup>3</sup>.

'mierć- Nie będąc obeznany z terenem Monaghan uszedł z życiem małże cudem. Wyczyn Lodowca trudno właściwie zakwalifikować ako szalony. To było... Chwilęczkę... Każdy pilot, który naraża życie kolegi dla zdobycia jakiejś cholernej blaszki, to przecie... świr!

Monaghan myślał nad złożeniem raportu o incydencie, ale nie zrobił tego z trzech powodów. Po pierwsze, nikt by nie uwierzył, że Lodowiec mógłby być na tyle szalony, by przelecieć myśliwcem F-15 przez dziurę w górze. Po drugie, potraktowano by jego raport jako upust żalu tego z marynarki z powodu przegranej i jako taki oddalono. Po trzecie, w szybkostrzelnej kamerze wideo zainstalowanej na Hornecie taśma skończyła się na trzy sekundy przed zniknięciem Lodowca pod nawisem skalnym. Tak więc Wściekły Pies musiał poniechać sprawy, ale nigdy jej nie zapomniał... ani nie wybaczył.

Monaghan wyłączył magnetowid i poszedł do lodówki po piwo — jego zaokrąglony kałdun zdradzał skłonność do tego trunku. Otworzył puszkę i wyszedł popatrzeć na księżyc nad odległą sierrą. Pustynna noc była krystalicznie czysta, nad Suchym Jeziorem Edwardsa tańczyły gwiazdy.

Powoli, metodycznie umysł Monaghana zrekapitulował po raz ostatni przebieg owych zawodów o czerwoną flagę. Nie miał już wątpliwości. Lodowiec dążył z premedytacją do rozsmarowania jego Horneta po zboczu górskim tylko po to, by zdobyć nagrodę wartą dwadzieścia pięć centów. Każdy świr, który potrafi wyciąć taki numer, jest zdolny do wszystkiego.

Wysączył do końca piwo, następnie naprężył mięśnie i zgniół puszkę w dłoni. Teraz już wiedział.

Kapuściński, Mulcahey i Rodriquez. McCormack powiedział, że nie wiadomo, który z nich to zrobił.

Monaghan postawiłby wszystkie pieniądze, że to Kapuściński. Jeśli Kestrel polecą, zrobi miazgę z tego pierdolonego padalca, Lodowca.

*Dzień 3., 9:00 czasu Greenwich, 2:00 miejscowego °óra Cheyenne*

Whittenberg i Lamborghini, ciągle jeszcze w zielonych ubiorach tańczy, dotarli wreszcie do sali konferencyjnej. Byli wymęczeni, "dni, nie ogoleni. Mieli błędny wzrok. Udało im się wprawdzie <sup>Ze</sup> spać parę godzin przed odlotem z Waszyngtonu, ale o odzyskaniu , " sił nie mogło być nawet mowy. Wszystko to trwało już zbyt "8° i było zanadto stresujące.

"hittenberg wezwał na naradę tych członków sztabu, którzy nie

spali. Jeden po drugim przywlekli się na salę i zagłębili w fotele. **Szef** sztabu już się obudził, prawdopodobnie był najbardziej wypoczęty spośród zebranych. Pozostali wyglądali jak wczorajsze jajka sadzone Whittenberg kiwnął głową Dowdowi.

— Zrób przegląd sytuacji, Bysiu.

— Tak jest, panie generale. Zaczniemy od wywiadu. Co pan ma, sierżancie szefie Kelly?

Kelly pilnował spraw wywiadu pod nieobecność Lamborghiniego i Strand. Szybko wyjaśnił, jak przebiega śledztwo w sprawie członków załogi *Intrepida*. Kiedy skończył, Bysio powiedział:

— W porządku. A co pan ma, Sir Izaaku? Fairchild zwrócił się do Whittenberga.

— Parę minut temu rozmawiałem z generałem McCormackiem. Przygotowania w Cape są w toku i *Constellation* powinna być gotowa do startu jutro rano o czwartej trzydzieści czasu wschodniego. Kestrel jest właśnie uzbrajany i w ciągu jakichś pięciu godzin zostanie przetransportowany do Vandenberg. Generał McCormack prosił też, żeby pan do niego zadzwonił, jak tylko to będzie możliwe.

Następnie Sir Izaak wstał i podszedł do mównicy. Potężny nos i chuda postać upodabniały go do myszołowa czatującego na płocie. Nacisnął parę guzików i na ekranie pojawiła się mapa świata Merkatora z zaznaczoną trasą lotu *Intrepida*.

— Coś niepokojącego wydarzyło się, kiedy lecieliście tu z powrotem z Waszyngtonu — zaczął, wskazując na ekran. — To jest trasa *Intrepida* sprzed czterech godzin. O czwartej trzydzieści dwie czasu Greenwich SPADOC zawiadomił nas o wykryciu startu jakiejś rakiety z kosmodromu w Plesiecku.

— O czwartej trzydzieści dwie? — spytał Whittenberg. — To szybko.

— Tak jest, panie generale. Jak pan sobie przypomina, **KH-12** przechodził tamtędy zaledwie sześć godzin wcześniej i wtedy na żadnym z pól startowych w Plesiecku niczego nie dostrzeżono. Sowieci musieli wytoczyć z hangaru i wystrzelić ten obiekt w wielkim pośpiechu. — Sir Izaak nacisnął inny guzik i na ekranie pojawiła się druga falista linia, równoległa do pierwszej. — To jest trasa obiektu z Plesiecka. Jest właściwie dokładną odwrotnością orbity *Intrepid* z jedną wszakże ważną różnicą. Leci po trajektorii kołowej i nieco wyżej, na wysokości trzystu pięćdziesięciu kilometrów.

— Nie sądzę, żeby mi się to podobało... — mruknął Whittenberg-

— Ani mnie — zgodził się Sir Izaak.

— Czy admirał Bergstrom został powiadomiony?

— Przekazałem to do Pentagonu natychmiast, panie generale-

— Pańskie zdanie? — zapytał Whittenberg. Sir Izaak zapalił fajkę.

Wszystko do wyboru, panie generale. Może to być któryś  
otaszków wywiadowczych — elektroniczny, sygnalizacyjny, foto-<sup>2</sup> Jficzny, operujący w podczzerwieni, co tylko chcecie.  
Cokolwiek to st wydaje się być pasywne. NSA złapała tylko jedno bipnięcie lelemetryczne z tego obiektu.

\_ A co by pan powiedział o pocisku antysatelitarnym? — zapytał  
Lamborghini.

Sir Izaak postukał się cybuchem po zębach.

\_ Nie jest to wykluczone, ale kilka argumentów przemawia  
przeciw takiej linii rozumowania.

\_ Na przykład? — nalegał Whittenberg.

Sir Izaak patrzył przez kilka chwil w sufit, zanim zaczął mówić.

\_ Spodziewałbym się, że pocisk antysatelitarny odzwierciedlałby  
wysokość *Intrepida* lub leciałby niżej, a ten, jak powiedziałem, leci wyżej. Przeprowadzając testy z bronią antysatelitarną  
Rosjanie zawsze dotychczas utrzymywali głowicę bojową na tej samej wysokości co cel albo umieszczali ją niżej, stosując  
manewr wzbijania w końcowej fazie dopadania celu. Rosyjskie pociski anty satelitarne zawsze też podążały po wspólnej z  
celem orbicie. Nigdy nie leciały w przeciwnym kierunku. To gwałciłoby wszelkie precedensy.

— A test, który przeprowadzili tuż przed podpisaniem traktatu? — Lamborghini miał na myśli podwójne wykrycie startu,  
wychwycone na kosmodromie Bajkonur. Jedna rakietka SS-N-9 poszła dokładnie na południe, druga dokładnie na północ. Co  
się naprawdę wydarzyło, NORAD nie miał pewności, poza tym że już podczas pierwszego okrążenia oba obiekty zostały  
zniszczone gdzieś nad biegunem południowym, a tam radary śledzące kosmos nie sięgają. Trajektorie raket przebiegały tak  
nisko, że odłamki zdążyły spaść na ziemię, zanim NORAD zorientował się na dobre, czy to próba z bronią antysatelitarną,  
czy coś innego. A zaraz po tym zdarzeniu podpisano traktat.

Sir Izaak wzruszył ramionami.

— Pański domysł jest równie dobry jak mój. Ale jeśli mamy do czynienia z pociskiem antysatelitarnym, to mieli tylko jedną  
próbę.

~ Tak — przyznał Lamborghini. — Jedną udaną próbę.

Sir Izaak ponownie wzruszył ramionami.


Po prostu nie możemy mieć pewności. Ale niech pan się ■ustanowi: jeżeli Rosjanie rzeczywiście chcą przejąć *Intrepida*,  
dlaczego "ueliby go zestrzeliwać?

Lamborghini już i to przemyślał.

7~ Może nie mogą sprowadzić go z orbity, więc postanowili <sup>Zm</sup>szczyć, żeby nie dopuścić do uzbrojenia naszej platformy.

Gdyby to było powodem — sprzeciwił się Sir Izaak — czemu ° Posunęliby się krok dalej i nie zniszczyli platformy? napadło  
milczenie. Nikt nie znajdował odpowiedzi.

— A więc utrzymuje pan, że nie sposób ustalić, co to za o-biekt? — zapytał Whittenberg.  
— Tak sądzę, panie generale — westchnął Sir Izaak.  
— Być może... — powiedział Lamborghini, przeciągając dłonią po spoconych włosach. — Ale ta niepokojąca zbieżność. To musi mieć coś wspólnego z *Intrepidem*. Nie wiem co, ale musi być jakiś związek.  
Kelly pomyślał, że jego szef wygląda raczej kiepsko, i pośpieszył z sugestią:  
— Może powinniśmy napuścić na to Spzglassa? Lamborghini miał właśnie odpowiedzieć, kiedy Whittenberg zdecydował:  
— Tak. Zróbmy to.  
Podrapał się po nie ogolonym policzku i dodał po chwili:  
— Ale lepiej sięgnijmy od razu po wszystko, co mamy do dyspozycji. Napuśćmy także teleskop Hubble'a.  
Dowd uśmiechnął się kwaśno.  
— Leeds dostanie szału. To jego największa miłość.  
— Przyduś go! — powiedział Whittenberg.  
Wróciwszy do biura, Whittenberg połączył się bezpieczną linią z McCormackiem w Ośrodku Kosmicznym Kennedy'ego.  
— Przepraszam, że zwracam panu tym głowę, panie generale — usprawiedliwiał się McCormack — ale mamy poważny problem z Kestrel.  
— O co chodzi? — spytał Whittenberg.  
— Oficer od sprzętu bojowego... pan go zna, kapitan lotnictwa Davey Barnes.  
— Rzeczywiście, znam.  
— Jechał do hangaru, kiedy się rozbił na motocyklu — relacjonował McCormack. — Leży w szpitalu i spędzi tam co najmniej sześć tygodni.  
— Cholera! — ruszyło Whittenberga.  
Obaj generałowie zdawali sobie sprawę, co oznacza wypadek Barnes'a. Ponieważ Kestrel był na etapie prototypu, a jego do-pracowywanie odbywało się w ścisłej tajemnicy, skompletowano i przeszkolono w zakresie funkcjonowania jego systemów tylko jedną załogę do wstępnych testów. Ani pilot, ani oficer od sprzęt<sup>11</sup> bojowego nie mieli dublerów.  
— To nam kładzie sprawę! — rozpaczał Whittenberg.  
— Obawiam się, że tak, chyba że zechce pan przydzielić kogoś i swych ludzi.  
Oczy Whittenberga zwięzły się.  
— Ma pan na myśli Pete'a?



— Tak jest, panie generale. Zanim przyszedł do wywiadu w SPACE-COM-ie, był zastępcą dyrektora programu „Kestrel”. Jest jedyną osobą, o jakiej wiem, znającą jego systemy i mającą kwalifikacje lotnicze.

Whittenberg zmarszczył brwi.

— Tak, ale nie miał do czynienia z Kestrel'em od przeszło roku.

— Wiem o tym — stwierdził McCormack. — Ale pozostali, którzy wiedzą dosyć o systemach Kestrel'a, to cywile z LTV. Ich na pewno nie możemy prosić. Mnie też się to nie podoba, panie generale, ale albo poleci Pete, albo nie ruszymy się z Vandenberg.

Whittenberg przymknął oczy.

— Myślę, że ma pan rację. Porozmawiam z nim i zadzwonię do pana.

— Dziękuję, panie generale. Liczę na to, że *Constellation* potrafi to wszystko załatwić i Kestrel nie będzie potrzebny.

— Ja również.

Wyglądało na to, że rozmowa się skończyła, ale McCormack nie rozłączał się.

— Coś jeszcze? — zapytał Whittenberg.

— Tak jest, panie generale — powiedział tamten raczej potulnie. — Chciałem tylko pana powiadomić... otóż powiedziałem Monaghanowi, że kiedy już się skończy sprawa z *Intrepidem*, obojętnie zresztą jak, nie będzie tu więcej dla niego miejsca... Whittenberg nie miał zwyczaju korygować decyzji swoich oficerów.

— Pan dowodzi operacjami lotniczymi, Chet. Decyzja należy do pana. Kiedy nam przysłano Monaghana, wydał mi się dobry choćby tylko dlatego, że admirał Creighton dał mu tak wyśmienitą opinię.

— Tak, panie generale. Wiem.

— Chyba szkoda. Słyszałem, że to wspaniały pilot.

— O, tak — przyznał McCormack. — Jeśli zdarzy się, że jest akurat trzeźwy.

Lamborghini odchylił się w krześle, słuchając, co szef miał mu do powiedzenia. Pomyślał, że Whittenberg wygląda wręcz fatalnie. Cztery oliwkowe gwiazdki, widniejące na zielonym ubiorze lotniczym, okazały się dla niego ciężkim brzemieniem. Lamborghini poczuwał<sup>51</sup> do lojalności wobec tego człowieka, który uratował jego karierę \* siłach powietrznych. Szczerze chciał mu pomóc. Powiedział:

— Nie mam nic przeciwko spróbowaniu, panie generale. Tylko że P<sup>o</sup> długiej przerwie czuję się okropnie słabo zorientowany w funkcjonowaniu tych systemów.

, ~ Właśnie to samo powiedziałem Chetowi — podchwycił Whitten-?fS- — Jeśli uważasz, że nie dasz sobie rady, po prostu powiedz.<sup>52</sup> ma sensu wysłać cię w kosmos bez rozsądnej szansy na sukces.



Lamborghini przypomniał sobie raport, jaki składał w Białym Domu. I zagrożenia wynikające z zagarnięcia przez Rosjan *Intrepid*, wraz z komputerem PRISM i graserem, znajdującymi się na pokładzie

— Myślę, że szansa nie jest duża, panie generale. Ale wzięwszy poważnie uwagę jak wiele możemy stracić, uważam, że powinniśmy spróbować

Generał kiwnął głową.

— Dobrze. Zadzwoń do Cheta i powiem mu, że jak tylko się trochę prześpisz, stawisz się w Vandenberg. Nie chcę, żebyś jechał zmęczony. Wypocznij przynajmniej sześć godzin, zanim wyruszysz.

Lamborghini nie sprzeciwiał się.

— Niech pan poprosi generała McCormacka, żeby przygotował mi w Edwards potrzebne podręczniki. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli przed startem poświęcę przez jakiś czas na symulatorze, a do tego mogą się przydać. Prawdę mówiąc, wolałbym usiąść na przednim siedzeniu, a nie na tylnym.

— Rozumiem — powiedział ciepło Whittenberg. — Jeszcze coś, do twojej wiadomości: Monaghan i Chet posprzeczekali się. Nie chcę, żebyś dał się wciągnąć w ten ich pieprzony konflikt.

Lamborghini zaśmiał się.

— Nie jestem zaskoczony. Krótko miałem do czynienia z Wściekłym Psem. Wszedł do programu, kiedy właśnie stamtąd odchodziłem. Mnie się podobał, ale nie sądzę, żeby był szczególnie w typie generała McCormacka.

**Dzień 3., 9:48 czasu Greenwich, 4:48 miejscowego Georgetown pod Waszyngtonem**

Kiedy prezydent i wiceprezydent zdecydowali się powierzyć doktorowi Percivalowi Leedsowi kierownictwo National Aeronautics and Space Administration, sądzili, że stanie się on dla tej instytucji kimś takim, jak Whittenberg dla SPACECOM-u. I w jakimś sensie mieli rację. Leeds wydatnie wpłynął na wzmoczenie społecznego poparcia dla podjętych na nowo wysiłków kosmicznych. Ale <sup>Pracownik</sup> mówiąc, jego egocentryczna osobowość zniechęciła do niego Biały Dom tak, że obecnie był w sytuacji nader niepewnej. W tajemniczy wiceprezydent zaczął się już rozglądać, poprzez firmę Spence & Stuart, za jego ewentualnym następcą.

Leeds miał szczególne usposobienie; najtrafniej można by go określić jako leniwe dynamo. Był synem słynnego astronoma • Herberta Leedsa, jednego z pionierów radioastronomii, dyrektora Lick Observatory. Percy podziwiał ojca i zamierzał pójść w jego ślady. Niestety, uwielbiał również wylegiwać się na piasku z dzi cztami w stroju bikini. Do tego stopnia, że jego

dziesięciolecie

217

ęciolecie

kariera studenta na jednym z poważnych uniwersytetów kalifornijskich upłynęła głównie na plażowaniu.

Ze względu na zasługi ojca, a także aby mieć Percy'ego z głowy, ówa szacowna kalifornijska uczelnia (niechże pozostanie anonimowa!) przyznała młodszemu Leedsowi doktorat w dziedzinie astronomii, dając mu równocześnie do zrozumienia, że powinien szukać sobie pracy w innym stanie.

Percy przystał na układ, ale wkrótce zdał sobie sprawę, że z uwagi na zaniedbania podczas studiów nie uda mu się dostać posady związanej z cokolwiek tajemniczą dla niego nauką astronomii. Potencjalni pracodawcy, ledwie rzuciwszy okiem na jego dysertację, czynili uszczypliwe uwagi.

Sytuacja wyglądała fatalnie. Nieczynny zawodowo, po trzydziestce, bez żadnych umiejętności pozwalających zarabiać pieniądze. I oto — nagle odmiana fortuny. Przez znajomego jednego z przyjaciół dostał pracę przy sprzedaży rentgenowskiej aparatury medycznej. I zrobił w tym fachu zawrotną karierę. Okazało się, że ma dar wyjaśniania w przystępny sposób skomplikowanych problemów technicznych. Ta umiejętność, a także to, że swoim klientom lekarzom zawsze przedstawiał się jako doktor Leeds, pozwoliła mu zostać najefektywniejszym sprzedawcą w firmie. Zauważyli to zwierzchnicy, więc szybko awansował, dochodząc aż do prezesury przedsiębiorstwa handlującego nowoczesnym sprzętem medycznym, w którym pracował. Dzięki temu stanowisku udało mu się zostać jednym z głównych sponsorów kampanii prezydenckiej byłego producenta samochodów.

Po wyborach powierzono mu NASA, gdyż prezydent uznał go za idealnego człowieka z zewnątrz dla programu kosmicznego. I rzeczywiście nim był. Stał się wręcz ulubieńcem środków masowego przekazu, pozytywnym dla Agencji, nieustannie propagującym coraz większe i coraz kosztowniejsze przedsięwzięcia kosmiczne. Blond włosy, przyjemny chłopięcy wygląd oraz charakterystyczne dla biznesmena okulary w rogowych oprawkach sprawiły, że stał się stałym uczestnikiem programów Johnniego Carsona, Phila Donahue, Prah Winfrey i wszelkich innych dyskusji telewizyjnych, do jakich tylko udało się go wkręcić ludziom od reklamy z NASA. Był niewiarygodnie skuteczny na Kapitolu. Potrafił jak nikt inny wydębić Pieniądze od niechętnych wydatkom senatorów. Zwłaszcza na pro-<sup>am</sup> teleskopu kosmicznego Hubble'a, który stał się jego obsesją.

nim bowiem upatrywał zadośćuczynienia za nieudaną karierę Doi! 3' Mając w swojej pieczy taki teleskop, mógł wreszcie się kim jest naprawdę, i poczuć się pełnoprawnym członkiem \* p <sup>czno</sup> i naukowej, do której przynależał jego ojciec. Mógł też ktoś . onym czołem powrócić na ten sam uniwersytet kalifornijski, ry niegdyś niezbyt chlubnie opuścił.

Niestety, odniesiony sukces wywołał u Leedsa ostry przypadek tak zwanej choroby waszyngtońskiej, poważnej przypadłości, nierzadko przydarzającej się członkom rządu i kongresmanom. Leeds podnieci) się do szaleństwa zainteresowaniem okazywanym mu przez mass media i zaczął wierzyć w prezentowany przez nie własny image. Jego ego zogniło nagle niczym supernowa, a Biały Dom musiał uznać go za królewski wrzód na dupie.

Leeds chwilowo nie przejmował się zbyt Białym Domem. Płynął na szczycie własnej fali. Poza teleskopem Hubble'a i nowo pozyskaną pozycją w społeczności naukowej miał przecież własną NASA, własny zespół od reklamy, zaciszne gniazdko w Georgetown i — jak sam się chętnie przechwalał — własną gromadkę wielbicieli.

Telefon zadzwonił trzy razy, zanim młoda dama się obudziła. Zirytowana, potrząsnęła leżącą obok niej postacią.

— Hej, kochanie!... Dzwoni telefon!

— Mmmpppfff. Leeds zaczął sięgać do słuchawki ponad swą dorodną towarzyszką i niechętny wyrzwał ją w nos.

— Auuu!

— Och, strasznie mi przykro, Julio. Wybacz mi.

— Mam na imię Rhonda.

— Och, oczywiście. Chciałem powiedzieć, Rhondo. Przepuść mnie do telefonu.

Dobrał się do aparatu z gniewnym:

— Tak?

— Czy doktor Leeds? — dobiegło ze słuchawki.

— A kogo się pan spodziewał? — zapytał sarkastycznie.

— Przepraszam, że pana obudziłem, doktorze. Mówi Rodg Whittenberg z kwatery głównej SPACECOM-u w Kolorado.

Leeds wybuchnął, nie próbując nawet maskować niezadowoleni

— Generale, czy zdaje pan sobie sprawę, która godzina?

— Około czwartej czterdzieści osiem pańskiego czasu, doktorze.

— Czegóż, u diabła, może pan chcieć właśnie teraz, generale.'

— Jak już powiedziałem, doktorze, przykro mi, że pana niepokoję\* ale coś się wydarzyło i potrzebujemy natychmiast pańskiej porno j-Chcemy, żeby NASA przekazała nam teleskop Hubble'a. Musi<sup>11</sup> bezzwłocznie dokonać pewnych... uhhh, koniecznych obserwacji-

Leeds poczuł, że ogarnia go furia.

— Właśnie w tej chwili?

— Właśnie w tej chwili, doktorze! — odpowiedział Whitten równie ostrym tonem.

Leeds wybuchnął.

— Posłuchaj mnie pan, generale! Nie wiem, w jakie gry wojenne bawicie się tam w Kolorado. Może wam to odpowiada. Ale jeśli pan oczekuje, że wyskoczę z łóżka o piątej rano i będę na rozkazy gpACECOM-u, ma pan źle w głowie! Kieruję NASA, a to jest agencja cywilna, proszę to sobie raz na zawsze zapamiętać! Już mi pan zarekwirował wahadłowiec od COSMAX-a, a teraz zachciało się panu jeszcze teleskopu? Po co, do cholery?

— Przykro mi, doktorze. Nie mogę powiedzieć. Ale potrzebuję go natychmiast.

Dyrektor NASA ponownie wybuchnął.

— To samo słyszałem, kiedy szło o *Constellation*, jeśli sobie przypominam. A więc, generale, nie dostanie pan już do zabawy żadnej z moich zabawek. Hubble jest pod moim osobistym kierownictwem... tak się złożyło, że jestem uczonym, rozumie pan, i nie mam zamiaru pozwolić, żeby ktokolwiek położył swoje cholerne militarystyczne łapska na moim teleskopie. Baw się pan tą swoją pieprzoną platformą Wojen Gwiazdnych! — Co powiedziawszy, trzasnął słuchawką. — Myślę, że przywołałem tego czarnego skurwysyna do porządku — zakończył.

— Na pewno, kochanie. — Przynęła się do niego. — Ależ jesteś ostry, kiedy się wściekasz... Słuchaj, skoro już się obudziłeś...

Zaśmiał się grubo, pożądliwie. Ona też chichotała.

— A więc, skoro już się obudziłeś... Przynął się do niej.

— Wiem, co masz na myśli.

W dziesięć minut później telefon przy łóżku zadzwonił ponownie, przerywając Leedsowi w bardzo krytycznym momencie.

Wściekły z powodu takiej beczelności, chwycił za słuchawkę.

A więc, generale! Dość tego! Powiedziałem już panu, żebyś

Pan...

~ Przystań, Leeds. To nie Whittenberg dzwoni. Dyrektor NASA rozpoznał głos. — "Och, pan wiceprezydent? p "7" Zgadza się, Leeds. Teraz niech pan posłucha, i to uważnie.

derwie pan swój kuper z łóżka, uda się prosto do Goddard Przekazuje generałowi Whittenbergowi pełną kontrolę nad teleskopem ble'a, a także zapewni mu wszelką pomoc, jakiej może sobie >czyć. Czy pan mnie słyszy? w~, ^cr1, dobrze... tak, panie wiceprezydencie, oczywiście... — wał astronom. — Ale uważam, że mam prawo do jakichś yiasnień. O co tu w ogóle chodzi?

220

— Z pewnością, doktorze. A więc wyjaśniam, że dopóki nie usłyszy pan ode mnie albo od prezydenta, że zmieniliśmy zdanie pańska Agencja i wszelkie jej zasoby są do dyspozycji generała Whittenerga. I proszę w ogóle ze mną nie dyskutować. Jeśli nie zabierze pan swojej dupy natychmiast do Goddard, postaram się żeby pańskim następnym zadaniem było badanie pingwiniego gówna na biegunie południowym. A my będziemy mieli nowego dyrektora NASA, zanim wszędzie słońce. Czy wyrażam się jasno?

— Och, tak, panie wiceprezydencie.

— A więc ruszaj pan i zadzwon bezpieczną linią do generała kiedy tylko dotrze pan do Goddard. No, już!

Połączenie urwało się. Leeds zerwał się z łóżka.

— Powiedz... dokąd się wybierasz? — zaszczębiotała towarzyszka.

Naciągając spodnie, mruknął:

— Nie mogę powiedzieć. Muszę iść.

— Nie zapomnij zostawić mi na taksówkę! — rzuciła nadąsana.

*Dzień 3., 11:00 czasu Greenwich, 15:00 miejscowego* **Kosmodrom Bajkonur**

Błyski spawarki elektrycznej rozświetlały hangar niby wewnątrz gigantycznej dyskoteki. Wostow w ochronnych okularach przyglądał się, jak spawacz przeciąga elektrycznym palnikiem wzdłuż kołnierza mocującego, wznecając kaskady iskier.

Technik był trochę zdenerwowany, przepuszczając setki woltów przez aluminiowy kołnierz obejmujący rakietę pełną stałego paliwa. Główny konstruktor zapewnił go jednak, że nie ma niebezpieczeństwa.

Kiedy drugi szew był gotów, obaj mężczyźni zdjęli gogle. Wostow obszedł rakietę dookoła, uważnie skontrolował spoiny i sprawdził, jak kołnierz pasuje do zewnętrznej części silnika Progressa.

Wczesne modele zdalnie sterowanego pojazdu towarowego Progress były napędzane silnikami na paliwo płynne. Taki rodzaj napędu ma wiele zalet. Silnik na paliwo płynne łatwo zapalić i zgasić przez zapewnienie względnie przerwanie dopływu paliwa. Również stosunek energii do ciężaru ma korzystniejszy od silnika na paliwo stałe. Ale niestety, płyny parują łatwo jak diabli. Przed dwoma laty> zbliżając się do stacji Mir, Progress po prostu eksplodował bez żadnej widocznej przyczyny. Szczęśliwie, znajdował się na tyle od stacji, że jej nie zniszczył, nic też się nie stało przebywając^ w niej pięciu

kosmonautom. Uznano zdarzenie za przypadek ' dopóki taki sam wypadek nie wydarzył się ponownie, w mie<sup>S, j</sup> później.

Natychmiast potem Wostow przystąpił do pracy nad we<sup>l</sup> na paliwo stałe.

221

Większość silników raketowych na paliwo stałe to, w gruncie rzeczy — metalowe cylindry wypełnione gumową substancją. Zapłon! konuje się od dołu, przez dyszę wylotową, a silnik pracuje aż do wyczerpania paliwa do końca. Zaprojektowanie takiego silnika na

liwo stałe, który można dowolnie włączać i wyłączać, to zadanie wymagające pomysłowości. Wostow uzyskał to wprowadzając do komory spalania paliwo w postaci granulowanego aluminium oraz nadchloran glinu jako utleniacz. Dopływ tych składników do komory można było — wedle życzenia — uruchamiać i zatrzymywać innowacyjnym systemem napędzanym sprężonym azotem. Było to jedno z cudownych urządzeń Wostowa.

— Jesteście znakomitym spawaczem! — oznajmił główny konstruktor.

— Dziękuję, towarzyszu — odparł tamten.

— To by było wszystko — powiedział na pożegnanie Wostow.

Spawacz zaczął zbierać swój sprzęt. Wostow zaś zwrócił się do podpułkownika, krzątającego się z kilkoma technikami:

— Dajcie jeszcze parę minut chłodzenia, a potem zaczniacie ładować na płytę startową. Kiedy skończycie, przyjdźcie mnie obudzić. Będę w budynku hotelowym.

Podpułkownik zaszutował.

— Ma się rozumieć, towarzyszu główny konstruktorze! Wostow zwrócił się z kolei do kosmonautów, Lubinina i Jemitowa, wskazując na kołnierz przy spawany do silnika Progressa.

— Podoba się wam? — spytał, jakby ich prowokując.

Obaj mężczyźni obeszlą dookoła końcowy produkt. Lubinin pozwolił sobie na uśmiech.

— Wygląda na to, że wszystko w porządku, towarzyszu. Ufam, że to będzie pasowało.

— Wykonane precyzyjnie — uspokoił go Wostow. — W dodatku Przed terminem.

Barczysty Lubinin o byczym karku kiwnął głową z aprobatą. ~ Wspaniale, towarzyszu! Tylko nas tam dostarczcie, a sprowadzimy wam na ziemię ten amerykański wahadłowiec.

*Dzień 3., 11.09 czasu Greenwich, 13:09 miejscowego Moskwa*

Gdyby jakiś uczonec z Harvardzkiej Szkoły Biznesu zechciał poddać badaniom style zarządzania stosowane przez **członków Politbiura**, z całą pewnością powstałoby cenne studium. Techniki praktykowane przez ową piętnasto-

prawdę warte prześledzenia. Większość stosowała metody polegające na zastraszaniu czy onieśmianiu podwładnych. Kilku wierzyło w skuteczność dawania dobrego przykładu. Był taki, który starał się uchodzić za łaskawego, a nawet taki, który wynagradzał wzorowych podwładnych rozdając im kartony amerykańskich papierosów.

Odmienny styl postępowania z podwładnymi praktykował natomiast minister spraw zagranicznych. Polegał on na upokarzaniu. Przy każdej okazji zaczepiał, ganił, wyśmiewał, wymyślał i znieważał swych pracowników, dając im odczuć, jak kompletnie nie nadają się do pracy we wspaniałym Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W jego ocenie żadne sprawozdanie, określenie stanowiska czy projekt depechy nigdy nie były warte papieru, na którym je napisano. Nie przegapiał też żadnej sposobności do wytknięcia błędów tym, którzy mu podlegali. Ktoś z jego personelu uzalił się kiedyś: „Gdybyś zaprezentował mu Dawida dłuta Michała Anioła, oskarżyłby cię o zmarnowanie wspaniałej bryły marmuru!” Nietrudno się domyślić, że jeśli minister spraw zagranicznych miał do czynienia z własnymi zwierzchnikami, stawał się unizony. Podwładnym natomiast nieustannie wbijał do głowy, że ich pozycja życiowa nie przewyższa poziomu wielorybiego gówna leżącego na dnie oceanu.

Powodem, dla którego znoszono takie upokorzenia, był fakt, że minister dzierżył klucz do rajskich owoców — posad poza granicami Związku Sowieckiego. Nie było w całym społeczeństwie sowieckim niczego bardziej pożądanego od nominacji na placówkę zagraniczną, zwłaszcza do Europy Zachodniej lub Ameryki Północnej. Jeśli w końcu udawało się wylądować w Rzymie, Madrycie czy Ottawie — dla takiej nagrody opłacało się nurzać w wielorybim gównie.

Aleksander Kulikow, adiutant ministra, tonął w tym wielorybim gównie już niesłychanie długo. Smukły, prawie filigranowy, zdradzał cechy obojnackie, zdające się pogłębiać beznadziejność jego sytuacji. Na początku kariery zaznał błogosławieństwa trzyletniego rozkosznego pobytu na placówce w Paryżu. Zakochał się wtedy w koniaku, francuskiej kuchni, francuskiej architekturze, francuskich kobietach (wszystkich!), wyjeżdżał na weekendy w Dolinę Loary i otrzymywał od ambasadora wysokie noty za wywiązywanie się z obowiązków. Wydawało się, że w ministerstwie wschodzi jego gwiazda, gdyż po powrocie do Moskwy nagrodzono go stanowiskiem uważanym za prestiżowe i wspomagające karierę — został wyznaczony na adiutanta samego ministra. Sądził, że popracuje tak rok czy dwa, a potem wyjedzie z powrotem do Paryża albo do jakiejś innej wybranych zachodniej stolicy.

Był w błędzie.

ponieważ okazał się adiutantem niesłychanie sprawnym, minister spraw zagranicznych trzymał go na tej posadzie, jak niewolnika,

cz całe dziesięć lat, poddając go codziennemu reżimowi pogardy, obelg- wymyślań, poniżeń i upokorzeń. Nie pozwalał mu odejść

imo nieustannych prośb Kulikowa o przeniesienie. I trzymał go tak krótko, że biedny pechowiec musiał się opowiadać nawet ^chodząc do ubikacji.

po siedmiu piekielnych latach wiecznych upokorzeń ze strony zwierzchnika w Kulikowie dokonał się przełom. Przełom całkowity, jak <sup>za</sup> dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Któregoś dnia po zakończeniu urzędowania popędził do mieszkania starego znajomego zatrudnionego w ambasadzie francuskiej i błagał go — dosłownie błagał — by mógł zostać szpiegiem. Nienawiść do ministra zaślepiła go całkowicie. Nie miał już żadnych nadziei na karierę, zapowiadającą się kiedyś tak obiecująco. A Francja dała mu jedyne szczęście, jakiego zaznał w życiu. Szpiegując, mógł służyć tej uwielbianej namiastce ojczyzny, zarazem mszcząc się na wiekowym zwierzchniku.

Jego francuski znajomy wykazał zrozumienie i poczynił odpowiednie kroki.

Minister spraw zagranicznych wyjechał już do swej dachy nad Morzem Czarnym, a Kulikow podczas przerwy obiadowej szedł właśnie w owo piątkowe popołudnie przez gigantyczny dom towarowy GUM. Trochę czasu zabrało mu udawanie, że ogląda wystawy sklepowe; potem wyszedł na zewnątrz i poszedł Prospektem Karola Marksa ze złożonym egzemplarzem „Prawdy” pod pachą. Opatulony szczelnie szarym wełnianym paltem, był zadowolony, że ma na głowie ciepłą czapkę z lisiego futra. Śnieg wciąż padał, a przechodnie, jak to w Moskwie, szli raźnie, nie oglądając się za siebie. Nikt nie zwrócił uwagi, kiedy Kulikow zatrzymał się, postawił stopę na ławce, by poprawić sznurowadło, a jednocześnie wsunął gazetę do kosza na śmieci. Po zawiązaniu kokardki poszedł powoli z powrotem. „Prawda” została w koszu.

Kilka chwil później przechodził tamtędy jakiś cudzoziemiec i jemu również przydarzył się kłopot ze sznurowadłem. Po doprowadzeniu go do porządku wziął gazetę i poszedł dalej.

Wewnątrz złożonej „Prawdy” znajdował się naświetlony kawałek kliszy fotograficznej marki Minox.

— Zdobyć.



*Dzień 3., 11:10 czasu Greenwich, 6:10 miejscowego* **Sterownia teleskopu kosmicznego, Ośrodek Kosmiczny Goddarda, Greenbelt w stanie Maryland**

Kompleks dwudziestu dziewięciu budynków rozrzuconych na tysiącu stu akrach malowniczo pofałdowanego obszaru stanu Maryland był w gruncie rzeczy czymś w rodzaju góry Cheyenne dla cywilnej i naukowej penetracji kosmosu. Nazwę wziął od Roberta H. Goddarda, jednego z twórców nauki o raketach. Kontrolował cały zestaw satelitów krążących wokół Ziemi. Były wśród nich satelity zajmujące się egzotycznymi dziedzinami wiedzy — dokonujące pomiarów wiatru słonecznego, tropiące cząsteczki magnetosfery, pobierające próbki z ogonów komet, skalujące ruchy skorupy ziemskiej czy nakierowujące teleskop rentgenowski na którąś z gwiazd neutronowych. Podczas gdy Cape Canaveral i Houston można by nazwać oczami, uszami i ramionami NASA, Goddard Space Flight Center — zatrudniający osiem tysięcy sześciuset pracowników, w tym wielu czołowych uczonych — stanowił mózg Agencji.

„Statkiem flagowym” kosmicznej flotyli Goddarda był krążący po orbicie teleskop Hubble'a, umożliwiający astronomom oglądanie odległych galaktyk ponad zasłoną zatrutej ziemskiej atmosfery. Jego skonstruowanie uznano za największy przełom w astronomii odkąd Galileusz po raz pierwszy skierował lunetę na niebo. Pracował z nim przez dwadzieścia cztery godziny na dobę specjalny zespół. Program ten był oczkiem w głowie doktora Percivala Leedsa, dyrektora National Aeronautics and Space Administration. Już sama myśl, że wojskowi mieliby majstrować przy tej jego świętości, wywoływała w nim poczucie zadawanego mu gwałtu. Chodził więc po sterowni Hubble'a tam i z powrotem, niczym ranny nosorożec.

— Cóż za bezczelność! Żeby takie cymbały, bawiące się w kosmicznych żołnierzyków, śmiały używać tego teleskopu, mojego teleskopu! Poczekajcie, aż dowie się o tym senator McGillacudy!

Operator teleskopu, absolwent Uniwersytetu Johna Hopkinsa, trzymał słuchawkę przy jednym uchu, a palec w drugim, by móc coś usłyszeć pomimo ryku Leedsa. Rozmawiał z Sir Izaakami z g<sup>01</sup>^ Cheyenne.

— A więc, czy rozumie pan, co próbujemy zrobić? — zapytał ai Izaak.

— Tak, owszem, myślę, że tak — powiedział ostrożnie operator. — Ale nigdy jeszcze nie robiliśmy niczego w tym rodzaju. Możem; spróbować, ale obawiam się, że to bardzo szybko wyczerpie całe P<sup>3</sup>\*.\*^

— SPACECOM da wam później w prezencie trochę więcej P<sup>a</sup>

^a .pocieszał go Sir Izaak. — A teraz, mniej więcej za trzydzieści sekund, przekabluję panu trajektorię, punkty nawiązania i dane czasowe.

— Dobrze, panie generale. Jestem gotów. Po otrzymaniu danych będę potrzebował paru godzin na zaprogramowanie zakresu zestrojenia niwelacyjnego.

— W porządku. A kiedy pan to zrobi, chciałbym, żeby przekazał pan do góry Cheyenne obraz wideo.

— Nie ma sprawy — powiedział operator. — Proszę mi tylko podać satelitę i częstotliwość.

— Chcielibyśmy, żeby to poszło przez Real Time — odparł Sir Izaak. — Podam panu specyfikację, kiedy nadejdzie czas transmisji.

Operator gwizdnął z uznaniem.

— Przez satelitę Real Time? Ho, ho! Widzę, że mam do czynienia z nie byle szyszkami. Wie pan, kiedy nasi klienci zorientują się, że ktoś inny pracuje na ich czasie i zakresie, mogą przyjść was zlinczować. Niektórzy z nich czekali od dwóch lat na swoją kolej.

— Potrafię się wczuć w ich sytuację. Trzeba im powiedzieć, że zostaliśmy do tego zmuszeni okolicznościami. W porządku, jesteśmy gotowi do przekazu.

— Zasuwaszcie! — powiedział operator.

*Dzień 3., 12:00 czasu Greenwich, 7:00 miejscowego* **Orlando, Floryda**

Właściciel stacji benzynowej wyglądał na zwyczajnego drobnego biznesmena w średnim wieku. Miał nieco zaokrąglony brzusek, druciane okulary, przeredzone ciemne włosy, a na sobie kombinezon koloru khaki z imieniem Fred wyhaftowanym nad kieszenią na lewej Piersi. Punktualnie o siódmej rano odblokował pompy i szufladę kasy, przygotowując do kolejnego dnia pracy swój punkt obsługi samochodów pod szyldem: „Tanie paliwo”, oferujący klientom rabaty. Włączył maszynkę do kawy i zajął się sporządzaniem inwentarza części i akcesoriów, kiedy samochodem kombi zajeżdżał pierwszy klient, w hawajskiej koszuli i przeciwsłonecznych okularach. Po tankowaniu baku superbezołowiową rozejrzał się uważnie wokół. <sup>a</sup> Potem podszedł do właściciela.

— Przepraszam — zapytał — czy mógłby pan wziąć czek?

Na tej stacji sprzedajemy z rabatem — brzmiała odpowiedź. —

Wyjmujemy wyłącznie gotówkę.

— Ale ja jestem z Milwaukee — powiedział grzecznie klient. Uw<sup>racano</sup> byłoby dostrzec na twarzy właściciela, że coś zwróciło jego uwagę, mimo to odparł:

226

— Czek z Milwaukee jest zawsze mile widziany.

— To bardzo uprzejmie, ale rozmyślałem się, zapłacę gotówką. ^ Klient wręczył mu dwa banknoty pięciodolarowe i szybko odjechał

Przed włożeniem pieniędzy do szuflady kasy, właściciel stacji wyciągnął spomiędzy nich małą karteczkę.

W kilka minut później przyczłapał jego nieodpowiedzialny pomocnik, alkoholik Ernie. Szef był w pełni świadom jego słabości — właśnie ona stanowiła powód, dla którego go zatrudnił. Ernie wolałby umrzeć, niż okazać się nieojalny wobec człowieka, który zaakceptował go mimo tej przypadłości i przyzywał oko na częste nieobecności bez uprzedzenia.

— Słuchaj, Ernie! — zwrócił się do niego konfidencjonalnie właściciel. — Mam do załatwienia pilną sprawę rodzinną i nie będzie mnie dziś, a pewnie i jutro. Czy mógłbyś zadbać o sprawy pod moją nieobecność?

Ernie starał się kostropatą twarzą wyrazić gotowość.

— Się rozumie, panie Tompkins. Zrobię to dla pana, choćbym miał stracić, przecież pan wie. Możesz pan na mnie liczyć!

Szef poklepał go po plecach i obdarzył ojcowskim uśmiechem.

— Wiem, że mogę, przyjacielu. Wróce, jak tylko będę mógł.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego — powiedział Ernie. Tompkins smutnie potrząsnął głową.

— To tylko ciotka, która mieszka na południe od Keys. Stara, obawiam się, że niewiele da się zrobić.

— O Boże, przykro mi.

— To miło z twojej strony, Ernie. Jak powiedziałem, powinno mi to zająć niewiele ponad dzień.

„Mister Tompkins” pojechał do domu, raczej zadowolony, że przez jakiś czas nie będzie się musiał stykać z Erniem.

Zamknął drzwi na klucz, zaciągnął zasłony i wyjął z półki „Don Kichota Miguela Cervantesa w twardej oprawie. Usiadł przy stole kuchennym z notatnikiem i ołówkiem i wyciągnął skrawek papieru, który dostał od człowieka z Milwaukee. Na karteczce widniały szeregi liczb. Pierwsze dwie cyfry wskazywały stronę w książce, a każda następna odpowiednio na niej litery. Był to szyfr nie do złamania, dopóki m<sup>e</sup> było wiadomo, jakim dokładnie wydaniem jakiej książki się posłużyć. Rozszyfrowanie zajęło właścicielowi stacji kilka minut, a kiedy skończył, musiał chwilę ochłonać z wrażenia, jakie na nim sprawiła treść przekazu z moskiewskiej centrali. Brzmiała: „Za wszelką<sup>cefl</sup> zatrzymać wahadłowiec kosmiczny *Constellation*”.

A więc o to chodziło. Oznaczało to koniec ośmioletniej działalności<sup>s</sup> szpiegowskiej w Ośrodku Kosmicznym Kennedy'ego.

Tompk' pozwolił sobie na parę minut refleksji nad życiem, jakie prowadził w Ameryce. Tylko na parę, nigdy bowiem nie był zbyt sentymentalny

Wstał od stołu i zaczął się metodycznie przygotowywać do wypełnienia planu awaryjnego — planu, który przez lata dopracował Johnson, wnie do doskonałości. Nie wzdragał się przed wykonaniem zadania, gdyż instrukcje z Moskwy musiały być wypełnione co do litery. Już samo użycie kodu „Milwaukee” wskazywało, że sprawa była nader ważna. Dokład miano wysłać wahadłowiec, to go nie obchodziło. Otrzymał rozkazy i tylko to się liczyło.

Podszedł do biurka w sypialni, wyciągnął z niego górną szufladę i wysypał jej zawartość na łóżko. Podważył scyzorykiem fałszywe dno i wydobyl mundur pracownika poczty amerykańskiej. Następnie z innej szuflady o podwójnym dnie wyciągnął pistolet automatyczny Heckler-Koch 9 mm P7, tłumik i paczkę wgłębionych na końcu nabojów. Wybrał tę broń ze względu na jej małe rozmiary i znaczny kaliber, gwarantujący skuteczność. Wreszcie ze skrytki w trzeciej szufladzie wyjął przedmiot kształtu i rozmiarów talerza oraz małe tekturowe pudełko z fałszywym dnem i dwie służbowe karty identyfikacyjne z fotografiami, jedną przedstawiającą go jako pracownika Ośrodka Kosmicznego, drugą jako inspektora bhp. Przebrał się w strój pocztowca, sprawdził, czy pistolet działa, załadował go, obrócił bęben magazynka, a następnie przykręcił tłumik. Włożył talerzowaty przedmiot, broń, tekturowe pudełko i karty identyfikacyjne do walizeczki i rzucił na biurko wszystkie posiadane dokumenty wystawione na nazwisko Tompkinsa. Założył kurtkę, by zakryć mundur pocztowy, wziął walizeczkę i poszedł do samochodu.

— Dzień dobry, panie Tompkins! — zawołała starszawa sąsiadka.

— A dzień dobry, pani Davis! — odkrzyknął.

— Czemu pan włożył kurtkę, kiedy jest tak ładnie i ciepło? — spytała wścibska staruszka.

— Rzeczywiście jest ładnie. To tylko wiatrówka. Zdejmę ją, kiedy się zabiorę do pracy. Muszę pędzić. Jestem już spóźniony.

Odjeżdżając przesłał jej uśmiech, kiedy mu pomachała z chodnika. •Zegnaj na zawsze, pani Davis" — pomyślał.

Pojechał przez Orlando do bloków mieszkalnych Tanglewooda we wschodniej części miasta. Krążył tam, dopóki nie znalazł toyoty, której szukał. Na zderzaku miała nalepkę upoważniającą do korzys-ania ze służbowego parkingu Ośrodka Kosmicznego Kennedy'ego. <sup>A</sup> więc jej właściciel był w domu. Ale czy sam?

Tompkins zaparkował samochód i wysiadł. Zdejmując kurtkę "Ważnie rozejrzał się dookoła. Kiedy doszedł z zadowoleniem do Wniosku, że większość lokatorów kawalerskich mieszkań poszła do Pracy, wyciągnął tekturowe pudełko i umieścił pod jego fałszywym dnem pistolet automatyczny. Wszedł po schodach, jeszcze raz <sup>l</sup> <sup>e</sup> Jrzał się dookoła i delikatnie zapukał do drzwi mieszkania numer B- Nie było odzewu, więc spróbował znowu, nieco mocniej.



— Dobrze, dobrze, proszę chwilę zaczekać... — doszedł głoś ^ śródka zaspany głos. Drzwi otworzyły się i ukazał się w nich młody wąsaty mężczyzna w płaszczu kąpielowym.

— Czy pan Leland? — zapytał fałszywy listonosz.

— Tak, to ja.

— Przepraszam, że pana niepokoję, ale mam dla pana ekspresową przesyłkę.

— Dla mnie? — zapytał Leland z niedowierzaniem.

— Tak, proszę pana. Trzeba, żeby pan pokwitował odbiór, ale obawiam się, że nie mam przy sobie pióra. Czy moglibyśmy skorzystać z pańskiego?

— Tak, oczywiście, chwileczkę.

Leland odwrócił się i poszedł po pióro, które leżało obok telefonu. Schylając się po nie usłyszał, że drzwi się zatrzasnęły. Odwrócił się i zobaczył, jak listonosz mierzy do niego z pistoletu.

— Hej, co to ma znaczyć, do cholery? — zaprotestował. Ręka trzymająca pistolet nawet nie drgnęła.

— Muszę koniecznie wiedzieć, panie Leland, czy jesteśmy sami?

— Hej? — Leland rozdziawił szeroko usta.

— Proszę mnie nie zmuszać, żebym powtarzał, panie Leland. Niech pan odpowie w tej chwili, czy jesteśmy sami?

— Co? Och, a więc, tak, jesteśmy sami, ale ja nie... Stłumiony szczęk wydobył się z lufy P7. Pocisk dum-dum o średnicy dziewięciu milimetrów trafił Lelanda dokładnie w mostek, zbijając go z nóg i zmuszając do oparcia się o ścianę. Stał tak przez chwilę, patrząc na swego mordercę pustym wzrokiem. Potem oczy uciekły mu do tyłu i zapadł się w sobie, pozostawiając na ścianie czerwoną plamę.

Fałszywy listonosz zamknął drzwi na klucz i szybko dokonał inspekcji jednoosobowego apartamentu. Leland powiedział prawdę-Poza nimi nie było w mieszkaniu nikogo. Zbadał puls swej ofiary-Nie dawał się w ogóle wyczuć. Następnie poszedł do sypialni, gdzie przeszukał papiery leżące w nieładzie na wierzchu komody i znalazł coś, co wyglądało na rozkład zajęć. Przyjrzał się temu uważnie i upewnił, że Leland — technik od systemów napędowych — właśnie wrócił z nocnej zmiany, podczas której pracował przy *Constellation-Z* szafy w ścianie wyciągnął kask ochronny i biały kombinezon roboczy, jaki nosili pracownicy zatrudnieni na rusztowaniach Naciągnął na siebie ten ubiór, wziął kask pod pachę, a pistole schował do pudełka. Zgarnął z komody klucze i wychodząc zamknął, drzwi. Rozejrzał się po parkingu, po czym szybko wsiadł do <sup>to</sup>y<sup>0</sup>^ nieboszczyka i ruszył ku drodze szybkiego ruchu wiodącej do Cap<sup>5</sup>Canaveral.

*Dzień 3., 13:00 czasu Greenwich* **pułap: 589 kilometrów Nachylenie orbitalne: 28,5 stopnia**

powyżej zasłony zanieczyszczonej atmosfery Ziemi krążył po orbicie jeden z najbardziej precyzyjnych instrumentów kiedykolwiek skonstruowanych przez człowieka. Ponad dziesięć lat trwało jego projektowanie, wykonanie, obróbka i polerowanie — wydano na to przeszło dwieście milionów dolarów. Astronomiczny był koszt, a także liczba przepracowanych godzin — ponad cztery miliony.

Teleskop kosmiczny Hubble'a wyglądał jak puszka od piwa długości trzynastu metrów z doczepionymi osłonami. Tym dziwnie prezentującym się instrumentem astronomowie byli w stanie oglądać obiekty niebieskie pięćdziesiąt razy słabiej świecące, uzyskiwać obrazy dziesięciokrotnie ostrzejsze i zagłębiać siedem razy dalej w głąb wszechświata niż używając konwencjonalnych, przywiązanych do powierzchni Ziemi teleskopów.

Na jednym końcu owej puszki od piwa znajdowało się serce Hubble'a — zwierciadło refleksyjne o średnicy dwustu czterdziestu centymetrów. Choć mniejsze od pięciometrowego reflektora na Mount Palomar, było o wiele bardziej precyzyjne. Gdyby je powiększyć do postaci dysku o średnicy czterech tysięcy ośmiuset kilometrów, największa niedokładność jego obróbki wyniosłaby zaledwie dziesięć centymetrów.

Owo nadzwyczajne zwierciadło zostało wykonane z jedyne w swoim rodzaju materiału — specjalnego szkła o niezwykle małej rozszerzalności, wytworzonego przez Corning Glass Company. Wielkie skoki temperatury zachodzące w próżni kosmicznej nie powodowały jego rozszerzania się, względnie kurczenia, jakiemu ulegałyby zwykle konwencjonalne szkło.

Perkin-Elmer Corporation wyprodukowało z owego szkła wklęsłą strukturę o podstawie przypominającej plaster miodu.

Wytwór ten poddawano następnie przez dwadzieścia pięć tygodni szlifowaniu<sup>1</sup> Polerowaniu powierzchni sterowaną komputerowo mechaniczną<sup>2</sup> kłką. Potem specjalną metodą ciepło-próżniową powleczono zwierciadło cieniutką, mającą zaledwie sześć milionowych części centymetra grubości, warstwą aluminium, potęgującą jego zdolność odbijania.

Kiedy wycelowano ten teleskop na jakiś obiekt, jego obraz padał<sup>3</sup> na zwierciadło główne przez otwarty koniec puszki, był przekazywany<sup>4</sup> trzydziestodwucentymetrowe zwierciadło pomocnicze, a następnie odbijany do wnętrza układu, który dokonywał jego dysekcji w celu Analizowania. Pokładowe urządzenia elektroniczne, zasilane płytami baterii słonecznych umieszczonych na osłonach, przekazywały<sup>5</sup> do Goddarda. Stamtąd trafiały one do Instytutu Naukowego

Teleskopu Kosmicznego na Uniwersytecie Johna Hopkinsa w Baltimore, gdzie poddawano je dalszej analizie i skąd je rozpowszechniano.

Jakie były możliwości Hubble'a? Z jego niezbyt oddalonej od Ziemi orbity można byłoby dostrzec palącą się na Księżycu gwiazdę. Dzięki niemu dostępny do obserwacji obszar wszechświata powiększył się trzysta pięćdziesiąt razy. Umożliwił uczonym śledzenie obiektów niebieskich oddalonych o czternaście miliardów lat świetlnych niemal do początków czasu, wedle dzisiejszych poglądów.

Nazwę owemu niewiarygodnemu instrumentowi naukowemu nadano na cześć sławnego astronoma amerykańskiego, Edwina Hubble'a. Kiedy rozpoczynał karierę naukową, znany astronomii wszechświat ograniczał się do naszej galaktyki. Hubble wykazał, że rozciąga się poza nią. Okazało się, że składają się nań miliony galaktyk, rozszerzających się i zderzających ze sobą z prędkościami kosmicznymi. Wkład Hubble'a do astronomii był może nawet większy niż Galileusza. Teraz wszakże teleskop noszący jego imię miał być wykorzystany do innego niż zwykle celu. Tajemniczy satelita rosyjski, wysłany z kosmodromu w Plesiecku, podążał po orbicie biegunowej, podczas gdy Hubble okręzał Ziemię po niemal równikowej. Ich trajektorie przecinały się po przeciwległych stronach globu w przybliżeniu raz na czterdzieści pięć minut. Satelita leciał bliżej Ziemi niż teleskop. Technik z Ośrodka Goddarda przekazał Hubble'owi instrukcje, by wypatrył wskazanego satelitę, kiedy będzie przechodził pod nim nad oświetloną przez Słońce stroną Ziemi. Technicznie było to coś w rodzaju obserwowania samochodu jadącego autostradą przez kogoś, kto równocześnie przejeżdża ponad nią wiaduktem. Na rozkaz z Ziemi uruchomione zostały silniczki manewrowe teleskopu, które obróciły cały mechanizm do odpowiedniej pozycji. Kiedy satelita sowiecki wyszedł z ciemności w światło słoneczne, w teleskopie otworzyła się szczelina optyczna, umożliwiając głównemu zwierciadłu uchwycenie obrazu tego maleńkiego obiektu.

la :h-

*Dzień 3., 13:45 czasu Greenwich, 8:45 miejscowego Cape Canaveral, Floryda*

Tompkins przeobraził się teraz z listonosza w technika od urządzeń napędowych, Lelanda, prowadzącego swą toyotę zachodnią drogą, dojazdową do Ośrodka Kosmicznego Kennedy'ego, zbudowaną, przez NASA ponad Indian River. Powodem, dla którego autentyczny Leland musiał zostać "wyminowany" — jak się to określa w żargonie KGB — był system

231

nieczęstwa stosowany na Cape Canaveral, a zwłaszcza na polach startowych 39A i 39B, obsługujących wahadłowce. Po pierwsze, żeby dostać się do parkingu dla pracowników, samochód musiał mieć odpowiednią nalepkę na zderzaku. Tylko wtedy mógł przejechać przez bramę przy głównej bramie. Z uzyskaniem podrobionej nalepki z moskiewskiej centrali nie było problemu — Tompkins aopatrywał się w ten sposób już uprzednio. Toyotą Leland osłużył się więc raczej dla wygody niż z konieczności.

Trudniejsze natomiast było przedostanie się z parkingu na teren pól startowych, otoczony wysokim na trzy metry ogrodzeniem, nafaszerowanym czujnikami alarmowymi. Jedyna droga wiodła przez budynek portierni: musiał tędy przejść każdy zatrudniony na wyrzutni 39A pracownik. Znajdowały się tam również szatnie i umywalnie.

Wartownik, zanim przepuścił kogoś przez „bramę”, kontrolował jego kartę identyfikacyjną i sprawdzał, czy nazwisko figuruje na liście uprawnionych do wejścia. Kiedy zbliżał się termin startu, harmonogramy zajęć stawały się mniej regularne — technik mógł pracować dziesięć godzin, potem mieć sześć wolnych, a następnie wrócić na pole startowe na kolejnych dwanaście. I właśnie dlatego Tompkins musiał wyeliminować Leland: podając się za niego, nie mógł ryzykować, że prawdziwy Leland znajduje się właśnie na polu startowym bądź że nadjedzie, gdy on, Tompkins, będzie już odnotowany jako Leland — byłby to dla wartowników sygnał alarmowy.

Przez dwa lata Tompkins studiował fotografie ośrodka i sam je robił ukrytą kamerą z teleobiektywem. Zapoznał się z warunkami pracy zatrudnionych tam ludzi, a niektórych śledził, kiedy wracali do domu. Z ustawionej na parkingu pracowniczym furgonetki, opatrzonej fałszywą nalepką, obserwował przepływ ludzi, procedurę kontroli oraz zmiany personelu wartowniczego w portierni. Leland wybrał nieprzypadkowo — ustalił przedtem dokładnie, że nie jest żonaty i prawie nie prowadzi życia towarzyskiego; ciała nikt nie powinien znaleźć przed upływem kilku dni.

Przejechał koło posterunku przy bramie 3T, skręcił na lewo w Północną Aleję Parkową Kennedy'ego, przejechał ponad Banana Creek i pozostawiając po lewej stronie pas przeznaczony do lądowania wahadłowców skierował się na prawo, na drogę wzdłuż plaży. Dojechał nią do parkingu pola startowego 39A przy portierni oznakowanej jako wejście 5C. Tam zostawił toyotę.

Miał teraz przed sobą najbardziej ryzykowny moment całego planu. Jego doskonale podrobiona karta identyfikacyjna wybawiona była na nazwisko Leland, ale zawierała jego własne dane, wartownik bowiem obowiązany był sprawdzić, czy fotografia odpowiada wyglądowi pracownika, zanim wyszuka jego nazwisko



na liście osób upoważnionych do wstępu i odnotuje fakt ora-> godzinę wejścia na teren. Gdyby okazało się, że sprawujący właśnie służbę wartownik przypadkowo zna Lelanda z widzenia, cała sprawa by się rypla. Ale Tompkins liczył na to, że przy tak wielkiej liczbie osób zatrudnionych na polu startowym nie będzie z tym problemu.

Poczekał, aż portiernia opustoszeje, żeby nie nadziać się na jakiegoś pracownika, który mógłby znać Lelanda z nazwiska. Wtedy przeszedł przez „bramkę” i okazał wartownikowi sfabrykowaną legitymację. Umundurowany funkcjonariusz rzucił okiem na nią, potem na jego twarz i coś odnotował, mówiąc jednocześnie:

— Leland, dziewiąta zero siedem, wchodzić.

— W porządku — powiedział Tompkins, obecnie Leland. Przeszedł przez szatnię na drugą stronę budynku, skąd kursujący wahadłowo mikrobus woził ludzi na plac robót. Ponieważ ze względów bezpieczeństwa parking i portiernia znajdowały się w sporej odległości od pól startowych, zapewniano pracownikom dojazd.

Nie musiał długo czekać, był jedynym pasażerem. Podczas jazdy zamienił kartę identyfikacyjną na niemal identyczną, ale przedstawiającą go teraz jako Donalda Loomisa, urzędowego inspektora bhp.

Kiedy mikrobus zbliżał się do pola startowego, Loomis zauważył, że w pewnej odległości wystrzelono w powietrze coś, co wyglądało na świecę dymną. Nie miał pojęcia, co to było, ani czasu, żeby się tym zainteresować.

Ćwiczebny samolocik-cel Northrop KD2R-5 znad plaży na pobliżu kompleksu rakiety Tytan nr 40 na Cape Canaveral skręcił nad Ocean Atlantyczny i przeleciał nad nim paręset metrów. Wojskowy specjalista pomajstrował przy urządzeniu do zdalnego sterowania i aluminiowy jednopłat zawrócił, wchodząc na kurs równoległy do plaży na wysokości jakichś stu pięćdziesięciu metrów.

— Dobrze, majorze — instruował starszy podoficer Hogan — niech pan go złapie w celownik i poczeka, aż się zapali światełko.

Specjalista pokładowy Sandford Watkins patrzył uważnie przez wziernik celowniczy pocisku ziemia—powietrze typu Stinger. Bez trudu namierzył cel poruszający się z prędkością osiemdziesięciu węzłów. Właśnie na ciemnej aluminiowej powierzchni samolocika pojawił się odbłysek porannego słońca, kiedy w celowniku zapaliło się światełko „w celu”. Watkins nacisnął spust i pocisk wyskoczył z wylotu ręcznej wyrzutni. Kiedy przeleciał kilkanaście metrów, nastąpił zapłon znajdującego się w nim paliwa stałego — ruszył wtedy własnym napędem, pozostawiając za sobą spiralny ogon dymu. Watkins obserwował, jak strzałka bezpiecznika odchyła się



niewłaściwym kierunku. Przysięgłby, że pocisk rozminie się z celem, kiedy błyskawicznie wzbił się w górę, skręcił w lewo i szybko dopadł

wolny samolocik, zamieniając go w ognistą kulę. Watkins nie niógł powstrzymać okrzyku:

— Byczo! Chłopie, to jeszcze większa frajda niż otwieranie szampana!

Hogan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Tak jest, panie majorze. Znam to uczucie. Myślę, że złapał pan, o co chodzi. Spróbujmy teraz, kiedy będzie pan miał na sobie to cudo.

Watkins wzruszył ramionami.

— Dobrze. Nie bardzo wiem, kto to wymyślił i po co, ale spróbuję.

— Moim zdaniem, panie majorze, wymyśliły to jakieś gnojki z lotnictwa w wyniku burzy mózgow! — powiedział Hogan. Watkins roześmiał się.

— Pewnie tak, panie Hogan. Wie pan, cholernie miło zetknąć się znowu z kimś z armii. Czuję się już czasem trochę samotny.

— Rozumiem pana, majorze. Niech mi pan powie, jak to się stało, że ktoś tak mocno związany z ziemią jak pan mógł w ogóle zostać astronautą?

— Nie mam pojęcia. Jakiś facet w Pentagonie musiał wrzucić moje akta do niewłaściwej przegródki. Gotów? Do roboty! Dwaj mężczyźni podnieśli górną część ubioru przeznaczonego do przebywania w próżni kosmicznej, bez zbiornika tlenu i urządzenia manewrowego, i wspólnie naciągnęli ją na tors Watkina. Major podniósł szybę hełmu, żeby swobodnie oddychać, i wziął od podoficera następnego Stingerà. Hogan pokazał gestem, że wypuści nowy samolocik-cel i niemal natychmiast z niewielkiej wyrzutni został wykatapultowany mały jednopłat.

Pierwszy Stinger wystrzelony przez Watkina po włożeniu kombinezonu chybił. Na szczęście cały obszar w sąsiedztwie był zamknięty dla ruchu lotniczego, nie było więc niebezpieczeństwa zestrzelenia przypadkowo przelatującego samolotu. Przy drugiej próbie major niemilosiernie gimnastykował się, by móc skutecznie skorzystać z celownika przez otwór w hełmie i pocisk przeszedł blisko celu. Dopiero trzeci trafił.

— Jeszcze raz, majorze? — zapytał Hogan.

— Cóż, zróbmy to.

I ostatni aluminiowy samolocik poszedł w drobiazgi nad oceanem.

— Proszę mi pomóc się z tego wydostać! — powiedział Watkins. — Cholernie w tym gorąco, kiedy nie działa chłodzenie. Hogan pomógł mu, a potem przystąpił do fachowej oceny.

— Myślę, że w zadaniach, które pana czekają, może pan bez Problemów posługiwać się Stingerami. Pański cel będzie nieruchomy, więc sprawa znacznie łatwiejsza niż namierzanie ruchomych

samolocików. A poza tym, jak sędzę, *Intrepid* jest trochę od nich większy.

— Mówiąc najogólniej — przytaknął Watkins.

— Muszę jednak podkreślić, że to, cośmy tutaj robili, nieoż przebiegać odmiennie w warunkach przestrzeni kosmicznej. Statecznik kierunkowy naprowadzania Stingerà będzie w próżni bezużyteczny a to jest pocisk bez stabilizacji obrotowej. Wszystko więc, co mogę doradzić, to celowanie i strzelanie bezpośrednio, na wprost. po prostu niech się pan ustawi co najmniej czterysta metrów od celu — to będzie dostateczna odległość — żeby zapalnik głowicy bojowej zdążył zadziałać, zanim pocisk w niego uderzy. Dobrze?

Watkins skinął głową.

— Rozumiem. Prawdę mówiąc, wątpię, żebyśmy potrzebowali Stingerów. Gdyby trzeba było unieruchomić wahadłowiec, myślę raczej o uszkodzeniu paru przewodów paliwowych jego systemu OMS, a do tego wystarczy mi skrzynka z narzędziami. Chyba że pojawią się Ruscy i tylko w ten sposób będzie można ich odstraszyć i utrzymać w przyzwoitej odległości.

Hogan zdjął sfatygowany kapelusz i otarł chusteczką pot z czoła.

— Panie majorze, tak między nami lądowcami, czy naprawdę Rosjanie próbują nam ukraść wahadłowiec?

Watkins ponownie wzruszył ramionami.

— Możemy polegać tylko na tym, co wiemy, a wszystko zdaje się wskazywać, że jedynym możliwym wytłumaczeniem zaistniałej sytuacji jest próba porwania. Przy okazji, dopóki nie załatwimy tej sprawy, pan i pańscy ludzie pozostaniecie na kwarantannie tutaj, w Ośrodku Kennedy'ego. To wszystko objęte jest ścisłą tajemnicą.

Hogan kiwnął głową.

— Rozumiem, panie majorze. Moi ludzie też rozumieją. Powiedziałem im, że jeśli któryś choćby wspomni o pobycie tutaj, od razu tak go załatwię, że będzie śpiewał sopranem.

Mikrobus zatrzymał się i Tompkins. obecnie — po kolejnych przeobrażeniach — Loomis, wziął walizeczkę i wysiadł, mówiąc kierowcy: — Dziękuję. Znajdował się teraz przed rusztowaniem i musiał szybko podjąć decyzję. Aby wypełnić swe zadanie za pomocą urządzenia przypominającego talerz, powinien dostać się w pobliże łatwych do uszkodzenia części rakiety nośnej i pozostać tam przez parę chwil sam, przez nikogo nie obserwowany. Wydawało się to trudne, bowiem rusztowanie przed startem przypominało mrowisko — krzątały się po nim pośpiesznie białe postacie, dokonując odczytów przyrządów pomiarowych i sprawdzając funkcjonowanie systemów. Loomis obrzucił wszystko szybkim spojrzeniem.

Doszedł

Jo wniosku, że musiałby spróbować czegoś u podstawy statku, przy dyszach silników, albo wjechać na górę i szukać szansy na którymś z wyższych poziomów rusztowania. Przede wszystkim nie mógł się wahać, gdyż zwróciłoby to na niego uwagę. W istocie nie miał wyboru. Po prostu zbyt wielu techników kręciło się wokół dysz rakiety.

Podszedł więc zdecydowanym krokiem do windy i ustawił za dwoma czekającymi na nią ludźmi w białych kombinezonach i hełmach ochronnych. Za chwilę znaleźli się w podobnej do klatki windzie. Jeden z techników przesunął dźwignię i zaczęli się wznosić. Loomis wielokrotnie przestudiował dostępne publikacje na temat wahadłowców, wiedział więc teraz, na jakim poziomie się zatrzymali. Druciane drzwi otworzyły się i dwaj współpasażerowie wysiedli. Loomis wyszedł za nimi.

Kiedy znaleźli się na pomoście roboczym, jeden z techników  
o sterczących mu spod hełmu odstających uszach odwrócił się

I spojrzał pytająco na Loomisa.

— Czy jest pan pewien, że wysiadł pan na właściwym poziomie? — zapytał.

Jego towarzysz też się odwrócił.

— To jest ramię dostępu do upustu wodoru, prawda? — spytał uprzejmie Loomis.

— Taaa... — brzmiała ostrożna odpowiedź. Loomis uśmiechnął się.

— A więc, jestem na właściwym miejscu! — Wskazał na swoją kartę identyfikacyjną. — Don Loomis, z Urzędu Bezpieczeństwa i Higieny Pracy oraz Ochrony Zdrowia. Wpłynęły do nas skargi, zostałem więc przysłany, by sprawdzić parę wymiarów. Czy mogliby mi panowie pomóc, poświęcając minutkę?

Dobrze wiedział, że nic skuteczniej nie gasi ciekawości, jak perspektywa straty czasu. Drugi technik, o rybich oczach pijaczka, wzruszył ramionami.

— O co panu chodzi? — zapytał.

Loomis wyciągnął z walizeczki notes i zwiniętą metalową taśmę mierniczą. Wręczył jej koniec rybim oczom i polecił:

— Niech pan tylko przytrzyma tam, przy dźwigarze. — Sam naciągnął taśmę w poprzek pomostu i zanotował rezultat. —

Doskonale. A teraz jeśli pan może, proszę ją przytrzymać tutaj! — Powiedział, wskazując na nadproże otworu windy.

Technik westchnął i zrobił, co mu powiedziano, a Loomis naciągnął taśmę do dołu otworu i zapisał następną liczbę.

— Niech pan powie, po co to komu? — zapytał rybiooki. Loomis przybrał pouczający ton.

— Bezpieczeństwo, drogi przyjacielu, bezpieczeństwo! Przede

wszystkim pańskie. Czy uwierzyłby pan, że kiedyś musiałem przy okazji dochodzenie w sprawie wypadku na pomoście roboczy nawiasem mówiąc, bardzo podobnym do tego, w pewnej fabryce chemicznej. Ktoś zostawił szeroko otwarte drzwi do windy i noc stróż wszedł dosłownie prosto do otworu, i spadł z wysokości pięćdziesięciu metrów. To było upiorne, nie chcę wam opowiadać Absolutnie upiorne. Towarzystwo ubezpieczeniowe zabiło niewąsko, i całkiem słusznie. A przecież na pewno nie chcielibyście, żeby coś takiego przydarzyło się tutaj, prawda? Z pewnością nie. Wasz rząd jest zobowiązany, żeby wam zapewnić bezpieczeństwo w miejscu pracy!

Rybiooki kiwnął głową, a jego kłapouchy towarzysz, przestępując z nogi na nogę, powiedział:

— Chodźmy, Tony. Nie możemy tu stać przez cały dzień! Rybiooki przytaknął.

— Potrzebuje mnie pan jeszcze? — zapytał.

— Nie, nie. Bardzo mi pan pomógł. Trzeba powiedzieć, że macie tu niewąskiego ptaszka! — Loomis spojrzął na szczyt zbiornika zewnętrznego. — Kiedy startuje? — zagadnął obojętnym tonem.

Rybiooki Tony wzruszył ramionami.

— Ostatnio mówi się, że jutro wczesnym rankiem. Ale nikt tego naprawdę nie wie. Zawsze mogą wyniknąć jakieś kłopoty.

— Pewnie! — uśmiechnął się Loomis — Dobra, ogromnie panu dziękuję. Dam sobie radę, żeby się stąd wydostać.

Dwaj technicy kiwnęli głowami i odeszli pomostem prowadzącym do upustu wodoru. Mieli sprawdzić przewód łączący go z wielkim pomarańczowym zbiornikiem zewnętrznym.

Loomis zaś począł dokonywać na chybił trafił pomiarów dźwigarów wzdłuż klatki pomostu roboczego, a jednocześnie gorączkowo rachował w pamięci. Rybiooki powiedział: jutro wczesnym rankiem. Słońce wschodzi około szóstej trzydzieści, a więc prawdopodobnie znaczy to, że start nastąpi między szóstą a siódmą trzydzieści. Prawdopodobnie. Być może wcześniej. Loomis wiedział, że napełnianie zewnętrznego zbiornika wahadłowca trwa pięć godzin. Jeśli start miałby się odbyć o wschodzie słońca, wpompowywanie paliwa rozpoczęłoby się około pierwszej w nocy. Gdyby umieścić talerzowate urządzenie — była to mała mina dywersyjna — na ścianie zewnętrznego zbiornika, a ono wybuchłoby przy pustym zbiorniku, opóźniłoby to lot do czasu wymiany zbiornika. Rozkaz wszakże brzmiał, by wahadłowiec za wszelką cenę powstrzymać, nie opóźnić start. Trzeba więc było go zniszczyć. Poza tym, zrobienie niewielkiej dziury w pustym wymiennalnym zbiorniku nie byłoby odpowiednim uwieńczeniem ośmioletniej kariery szpiegowskiej w Ameryce. Nie. P<sup>o</sup> stanowią wyeliminować cały statek. Czyli detonacja powinna nastąpi

liczas napełniania zbiornika paliwem. Parę tysięcy litrów ciekłego P<sup>o</sup>jj<sub>wa</sub> na pokładzie i mała mina dywersyjna — to wszystko, czego P<sup>3</sup> był<sup>o</sup> trzeba. Doszłoby wówczas do fajerwerku, który obróciłby "w<sup>^</sup>e startowe 39A w piekło, jakiego nie widziano od czasu katastrofy *allengera*. Według niego optymalny czas detonacji byłby gdzieś ornieędzy pierwszą a siódmą trzydzieści rano — powiedzmy o czwartej trzydzieści. Do tego czasu w zbiorniku powinno już być mnóstwo paliwa. Znajomi technicy przeszli koło niego, kierując się ku windzie.

— Co, jeszcze pan nie skończył? — zapytał rybiooki.

No, niezupełnie — uśmiechnął się Loomis, poprawiając okulary w drucianej oprawce. — Mam jeszcze coś do zrobienia.

— Czy umie pan obsługiwać windę? — spytał kłapouchy.

— Och tak, stale pracuję na rusztowaniach. Obaj kiwnęli głowami.

— No to do zobaczenia — powiedział rybiooki i zniknęli w windzie. Loomis, cały czas wykonując pomiary, posuwał się ku przewodowi

wychodzącemu z zaworu bezpieczeństwa na szczycie zbiornika. Teraz łatwo go było zauważyć, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Był po prostu jeszcze jednym białym kombinezonem na pomoście.

Dotarwszy do przewodu ukląkł i wyciągnął minę z walizeczki. Nastawił mechanizm zegarowy na czwartą trzydzieści, następnie z pewnym wysiłkiem zerwał przypominającą nawoskowany papier folię pokrywającą jej przyczepną podstawę. Zdecydowano się użyć zamocowania klejowego, gdyż magnetyczne nie działałoby na wielu częściach wahadłowca.

Wsunął ostrożnie pomalowany na neutralny kremowy kolor talerz pomiędzy zbiornik zewnętrzny a podstawę konstrukcji pomostu. Musiał w tym celu sięgnąć ponad dolnym dźwigarem, by przycisnąć minę do pomarańczowej aluminiowej powierzchni zbiornika. Jako zagorzały ateista bardziej ufał, niż się modlił, że nikt nie zauważy J<sup>e</sup>go ręki wystającej poza pomost.

Nikt jej nie zauważył.

Loomis cofnął się i przyjrzał swemu dziełu. Tylko nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności ktoś mógłby dostrzec minę z pomostu. Zapewne dałoby się to zrobić z ziemi, ale przytwierdził ją w cieniu pomostu, była więc słabo widoczna aż do momentu usunięcia rusztowania na krótko przed startem. Wtedy będzie ciemno.

Zadowolony, wziął walizeczkę i wrócił pomostem do windy. Zadzwoił, by ją przywołać, jakby był w hotelu. Zjawiła się pusta<sup>k</sup>atka, którą zjechał na dół. Natychmiast wsiadł do mikrobusu, jako<sup>o</sup>statni z tuzina techników. Z nisko opuszczoną głową usiadł sam na<sup>^</sup>ejsu koło kierowcy i patrzył w okno, by uniknąć kontaktu zrokovego ze współpasażerami.

Kiedy po krótkiej jeździe drzwi pojazdu otworzyły się p<sub>r</sub>o, portierni, Loomis wysiadł pierwszy. Wyciągnął z walizeczki notatnik i udawał, że coś przegląda, posuwając się powoli ku bramce. Pozwolił by wyprzedzili go wszyscy pozostali, by ponownie zmienić kartę identyfikacyjną, a także, aby nie było nikogo, kiedy wartownik wymieni nazwisko Lelanda.

Myślał właśnie o tym, jak niewiarygodnie proste okazało się wykonanie zadania, kiedy ktoś z tyłu zapytał go:

— Czy wy behapowcy dużo macie roboty tutaj, na Cape? Odwrócił się. Był to rybiooki Tony. Przyjechał tym samym mikrobusem. Rosjanin zamknął notes i obdarzył znajomego z pomostu czarującym uśmiechem.

— Och, nie. Bywamy tu raczej rzadko. Obawiam się, że za rzadko.

— Bhp? Co tu się mówi o bhp? — dopytywał się ktoś barytonem. Rybiooki rzucił okiem ponad ramieniem Loomisa i natychmiast

zaczął się wycofywać:

— Nic, panie Garvey. Tylko właśnie natknąłem się dziś na rusztowaniu na tego inspektora bhp, a teraz po prostu o coś go spytałem. I to wszystko.

— Nikt mnie nie uprzedzał o wizycie inspektora bhp! — zaryczał baryton.

Loomis ponownie się odwrócił. Tym razem ujrzał szczupłego mężczyznę w średnim wieku o zielonych, wyjątkowo przenikliwych oczach. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

— A więc, domyślam się, że powinienem się przedstawić. Jestem Don Loomis, inspektor Urzędu Bezpieczeństwa i Higieny Pracy oraz Ochrony Zdrowia.

Mężczyzna mocno uścisnął mu dłoń i zadudnił potężnym głosem, nie pasującym do mizernego wyglądu:

— Jestem Ed Garvey, zastępca kierownika tego pola startowego. Nikt mnie nie zawiadomił o tym, że pan dzisiaj przyjedzie. Loomis udał zaskoczenie.

— Doprawdy? Byłem przekonany, że wszystko zostało załatwione przez biuro pana Burke'a. — Edmund Burke był dyrektorem całego Ośrodka Kosmicznego Kennedy'ego. — Uważam, że kogoś na pańskim stanowisku powinni byli poinformować.

Rybiooki zmył się. Garvey miał opinię twardziela, toteż starał się go unikać, jeśli tylko mógł. Przyłączył się do pozostałych pracowników wychodzących tłumnie na parking, pozostawiając przełożonego i inspektora samym sobie.

Byste oczy Garveya przyjrzały się karcie identyfikacyjnej Loomisa z wypisaną na niej nazwą urzędu. Nigdy jeszcze takiej nie widział.

— Jestem przekonany, że pan tylko wykonuje swoje obowiązki<sup>1</sup>

anie Loomis, ale nie lubię, żeby na moim polu startowym działo się **L** bez mojej wiedzy. Ostatni technik przeszedł przez wartownię.

— Doskonale pana rozumiem, panie Garvey. Czy mogę mówić do pana Ed? Proszę mi mówić Don. Mam tu pewne dokumenty — Loomis dotknął walizeczki — muszę panu wyznać, że są dość niepokojące. — Rozejrzał się konspiracyjnie dookoła, po czym przysunął się bliżej i szepnął: — Mógłbym mieć kłopoty, mówiąc ci o tym przed złożeniem raportu, Ed, ale myślę, że będzie fair, jeśli się dowiesz. Istnieją poważne zastrzeżenia dotyczące bezpieczeństwa pracy na tym polu. Tak, poważne zastrzeżenia. Gdybyś zajrzał do tych papierów zaraz tutaj, moglibyśmy zlikwidować cały problem w zarodku. Nie chciałbym doprawdy wciągać w to prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych. Zajmuję się sprawami bhp od wielu lat i uwierz mi: zawsze wolę wyjaśnić sprawę, zanim przekażę ją tym cholernym prawnikom.

Garvey przełknął ślinę.

— No cóż, chętnie, choć muszę przyznać, że w ogóle nie mam pojęcia, o co chodzi.

Loomis smutnie potrząsnął głową.

— Obawiam się, Ed, że nie jesteś pierwszym, który mi to mówi. Mógłbym ci opowiedzieć niejedną historię, od której włosy stanęłyby ci dęba. Ale to nieważne. O, może moglibyśmy wejść tutaj — wskazał ruchem głowy drzwi do szatni — żeby rzucić okiem na te papiery? Poza tym, chciałbym skorzystać z ubikacji.

— Tak, ja też — powiedział Garvey i puścił przed sobą Loomisa przez ciężkie drzwi wahadłowe.

Weszli do pomieszczenia, w którym pod ścianami stały wysokie szafki, a także parę ławek. Obok znajdowały się umywalnie i ustępy. Byli sami.

— Wyjątkowo nie w porę przychodzisz z tego rodzaju sprawą — utyskiwał Garvey. — Przygotowujemy ważny start. Ale nawet biorąc pod uwagę pewne zamieszanie, po prostu nie mogę uwierzyć, żeby ktoś robił chyję o naruszenie przepisów bezpieczeństwa. W naszej Pracy obowiązuje szczególna staranność, zwłaszcza gdy w grę wchodzi sprawa bezpieczeństwa.

— Och tak, z pewnością, wierzę ci — uspokajał go Loomis, wyciągając jednocześnie z walizeczki pistolet automatyczny.

Garvey zamrugał oczyma.

"— Hej, co ty wyprawiasz?! — ryknął barytonem.

Proszę być cicho, panie Garvey, i robić dokładnie to, co powiem. Garvey ponownie zamrugał oczyma.

Pan nie jest żadnym cholernym inspektorem bhp! — warknął, loomis kiwnął głową.

\* Zdobyć

241





— Podziwiam pańskie zdolności dedukcyjne. A teraz proszę wi do jednej z tych szafek!

— Co?

— Proszę zrobić dokładnie to, co powiedziałem, a nic się panu stanie. Inaczej będę zmuszony natychmiast pana zastrzelić. Garveya najbardziej zaniepokoił obojętny, pozbawiony era ton, jakim ten człowiek to powiedział. Przełknął ślinę, cofnął się i otworzył szafkę. Powoli zaczął się wciskać do jej ciasnego prostokątnego wnętrza.

— Co pan teraz zamierza zrobić? — zapytał nieufnie. — Zamknąć mnie tutaj?

— Nie — odpowiedział Loomis i jego wyposażony w tłumik automat zaszczeakał trzykrotnie. Zatrzasnął szafkę, unieruchamiając w niej zwłoki. P7 powędrował z powrotem do walizeczki, a karta identyfikacyjna na piersi Rosjanina została zastąpiona inną. Wyszedł z szatni i poddał się kontroli. Wartownik przyjrzał się sfalszowanej karcie oraz twarzy człowieka w białym kombinezonie.

— Leland, dziewięta pięćdziesiąt dwie, wyjście — powiedział, robiąc notatkę.

Leland kiwnął głową i uśmiechnął się. Potem bez pośpiechu

poszedł ku parkingowi dla pracowników.

Prowadząc z powrotem toyotę zachodnią drogą dojazdową NASA Tompkins — wcielony kolejno w listonosza, Lelanda, Loomisa i ponownie Lelanda — skręcił w lewo na autostradę państwową numer jeden i skierował się ku Miami. Pragnąłby się tam zatrzymać i obejrzeć rezultat swojej wieloletniej pracy, ale wiedział, że wieczorem znajdzie się już w kabinie małej motorówki płynącej do Hawany.

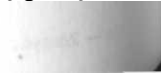
*Dzień 3., 14:30 czasu Greenwich, 7:30 miejscowego* **Góra Cheyenne**

— No i co to, waszym zdaniem, może być? — zapytał Whittenberg. Wspólnie z Fairchildem i Dowdem skupili się przed monitorem

telewizyjnym w SPADOC-u, oglądając obraz nieznanego rosyjskiego satelity, schwytyany przez teleskop Hubble'a. Sir Izaak drapał się P° głowie, przypominającej kształtem żarówkę, bacznie studiując wygląd obiektu, po czym westchnął, rozczarowany:

— Obawiam się, że oglądanie niewiele nam da. Nadal może to być wszystko...

— Bysiu? — zapytał Whittenberg. Dowd, sfrustrowany, potrząsnął głową.



Zgadzam się z tą opinią — powiedział, przesuając palcem zdłuż obiektu o kształcie torpedy. — To może być aerodynamiczna słona startowa, która po prostu nie została jeszcze odrzucona, a pod nią satelita wywiadowczy albo urządzenie elektroniczne do wykrywania i analizowania pola elektromagnetycznego czy co tam chcecie- Gdyby obraz nie był tak wyraźny, można by się nawet domyśli<sup>ac</sup> Sojuza, ale łatwo dostrzec, że nie ma na nosie pomocniczych rakiet ratunkowych.

Byś miał na myśli mały szpiczasty grzyb, stanowiący przednią część pojazdów typu Sojuz, wyposażony w wiązkę małych rakiet na paliwo stałe. Było to urządzenie umożliwiające, w razie konieczności, odłączenie od bustera i wykatapultowanie własnym napędem kapsuły załogowej statku. 27 września 1983 roku kosmonauci Władimir Titow i Gennadij Striekałow czekali na start na szczycie bustera na paliwo płynne SL-4, kiedy — na dziewięćdziesiąt sekund przed wyznaczonym momentem startu — nie doszło do zamknięcia zaworu paliwa przy podstawie rakiety i wybuchł pożar. Buster spłonął tak szybko, że obwód automatycznie przerywający czynności startowe uległ stopieniu, zanim zdążył zareagować na zagrożenie. Rakiety ratunkowe musieli uruchomić kontrolerzy z bunkra startowego. Sojuz został wystrzelony na wysokość dziewięciuset pięćdziesięciu metrów, gdzie otworzył się ratunkowy spadochron. Kosmonauci spadli na ziemię o cztery kilometry od pola startowego — zszokowani, ale żywi.

Whittenberg zgadzał się ze zdaniem obu generałów. Chociaż było to frustrujące, zdawał sobie sprawę, że właściwie nie mógł już nic zrobić w sprawie *Intrepida*, dopóki nie wystartuje *Constellation*. Rozpaczliwie łaknął snu. Wyglądało na to, że Fairchild jest w jeszcze gorszym stanie.

— Sir Izaaku — rozkazał — niech pan trochę odpocznie. Bysiu, poleć nie spuszczać oka z obrazu tego satelity, w czasie gdy Hubble będzie go obserwował. Zamierzam trochę się zdrzemnąć. I tak chwilowo nie mamy nic do roboty. Obudź mnie w razie potrzeby.

— Tak jest, generale — powiedział Dowd, ale umysł Whittenberga był już wyłączony i nawet nie zarejestrował odpowiedzi szefa sztabu. Do biurowego tapczanu doprowadził generała automatyczny pilot jego organizmu.

*Dzień 3., 15:00 czasu Greenwich, 10:00 miejscowego* **Biały Dom**

Ambasadora Jewgienija Jakowlewa zaprowadzono do Treaty \*\*<sup>-o</sup>om. Z konieczności — w Oval Office przebywał właśnie prezy<sup>-de</sup>nt Francji.

Kiedy tam wszedł, zastał oczekujących jego wizyty prezydenta i sekretarza stanu. Nieobecny był sekretarz obrony, co wskazywało że chwilowo Amerykanie przestali potrzasać szabelką.

— Panie prezydencie! — odezwał się postawny Jakowlew. Prezydent odpowiedział skłonem głowy i poprosił ambasadora, by

usiadł. Stary profesor skorzystał z zaproszenia.

— A więc, panie ambasadorze, czy ma pan odpowiedź na pytanie które zadałem panu wczoraj wieczorem?

— Właśnie mam, panie prezydencie. Minister spraw zagranicznych przedłożył pańską supozycję ministrowi obrony i z radością mogę donieść, że sprawa została gruntownie zbadana, a oskarżenie uznano za całkowicie bezpodstawne. W rzeczy samej, moi koledzy doszli do tej samej konkluzji co i ja, a mianowicie, że najprawdopodobniej macie jakieś kłopoty techniczne z waszym statkiem kosmicznym i pragniecie, proszę mi wybaczyć, sfabrykować pogłoskę, że Związek Sowiecki jest za to w jakiś sposób odpowiedzialny. Jak już wspominałem, czegoś podobnego próbowano po katastrofie *Challenger*. Przykro mi, panie prezydencie, przekazywać tak nieprzyjemne informacje, ale wynikło to z waszej inicjatywy. Sekretarz stanu zobaczył, że prezydentowi zaczynają drgać szczęki.

— Panie ambasadorze! — powiedział szef państwa przez zęby. — Powiedziałem panu wczoraj wieczorem, że nie może być mowy o złym funkcjonowaniu urządzeń technicznych czy pomyłce. Ktoś w Związku Sowieckim rozmawia z naszym wahadłowcem, a ja chcę się dowiedzieć,

**O** co chodzi! — Pod koniec owej repliki prezydent zaczął podnosić głos. Jakowlew westchnął gorzko. Ten Amerykanin przypominał mu upartego studenta.

— Panie prezydencie, proszę postarać się mnie zrozumieć. W depeszy, jaką wysłałem do ministra spraw zagranicznych, przekazałem, że pan traktuje tę sprawę bardzo serio. Minister osobiście zatelefonował do ministra obrony, który sam ją zbadał. Znam tych ludzi od wielu lat i otrzymałem zapewnienie ministra spraw zagranicznych, że absolutnie nie ma podstaw do pańskich podejrzeń. Uważamy więc tę sprawę za zamkniętą.

Popędliwy prezydent miał już wybuchnąć, kiedy wtrącił się sekretarz stanu, chcąc mu w tym przeszkodzić.

— Doskonale, panie ambasadorze — powiedział. — Pan prezydent

**I** ja doceniamy, że w terminie udzielił nam pan odpowiedzi. P<sup>o</sup>di kreślamy, że nasze stanowisko nie uległo zmianie i pozostaje nam jedynie czekać na dalszy rozwój wydarzeń w interesującej nas kwestii-Proszę przekazać nasze pozdrowienia obu ministrom i podziękować<sup>30</sup> im za uwagę, jaką poświęcili tej sprawie.

Prezydent spojrział z rozbawieniem na swego szefa dyplomacji i postanowił się nie wtrącać.

Jakowlew uklonił się i wstał.

— Doskonale, panie ministrze. Chciałbym już do tego nie wracać, pragnę przekazać moje osobiste życzenia, by nikomu z załogi waszego statku kosmicznego nie stało się nic złego. Zawsze podziwiam odwagę pionierów kosmosu, wszelkich narodowości. Panie prezydencie, życzę panu dobrego dnia.

Prezydent zdobył się tylko na skinięcie głową. Kiedy za ambasadorem zamknęły się drzwi, zwrócił się do sekretarza stanu:

— O co ci właściwie chodziło?

— Wstał i zaczął krążyć po pokoju.

— Coś tu nie gra, panie prezydencie!

Szef państwa spojrział na niego z dezaprobatą.

— Z całą pewnością, Winstonie. Nawet ja zdaję sobie z tego sprawę. Byłem już zdecydowany udzielić Jakowlewowi oficjalnego poważnego ostrzeżenia, kiedy wszedłeś mi w słowo. Czemu to zrobiłeś?

Dyplomata pochylił się nad stołem.

— Niech pan to rozważy, panie prezydencie. Po pierwsze, jak to już ustaliliśmy, Jakowlew nie umie kłamać. Poza tym, jest osobnikiem niezależnym. Wiemy, że zna osobiście obu ministrów, o których była mowa, i jest z nimi w dobrych stosunkach. To bardzo znaczące postacie w Politbiurze. Wydaje się wysoce nieprawdopodobne, żeby posługiwali się nim jak marionetką i przesyłali przez niego fałszywe informacje. Gdyby tak było, zapewne nie przekazywałyby ich osobiście. Przesłałby przez podwładnego. A jeśli by był osobiście wplątany w zmyśloną historię, nie siedziałby tak spokojnie na tym krześle.

Prezydent wzruszył ramionami.

— W porządku. Mów dalej. Słucham cię uważnie.

Sekretarz stanu zaczął ponownie przechadzać się po pokoju. W dobrze skrojonym garniturze w prążki wyglądał, jakby istotnie zszedł z okładki „Gentlemen's Quarterly”.

— Panie prezydencie, zdecydowanie najtrudniejsze dla każdego amerykańskiego dyplomaty jest wczucie się w rosyjski sposób myślenia. Wiem o tym; byłem przez cztery lata na placówce w Moskwie. Bierze się to stąd, że Amerykanie wychowują się w kulturze rygorystycznych przepisów, ochrony prawnej, szacunku dla instytucji. Władzę sowiecką można by zaś określić jako przedsięwzięcie

bizantyjskie, że wątpię, czy poradziłby tam sobie sam Machiavelli, naszcza gdyby zasiadał w Politbiurze. Nie ma ono nic wspólnego<sup>1</sup> z jakimś parlamentem czy innym ciałem wybranym na z góry określoną kadencję. Nie. Bardziej już przypomina

zgrupowanie

osów mafii, nieustannie walczących pomiędzy sobą o pozycję. Prezydent najeżył się na wzmiankę o mafii. Należał do niej niecały

dziesięć procent Amerykanów włoskiego pochodzenia, ale podejrzewano

244

o to wszystkich, także i jego — tak silny był pokutujący w świadomości pozostałych obywateli kraju stereotyp.

— Do czego zatem zmierzasz?

— Do tego, panie prezydencie — ciągnął sekretarz — że o sytuacja ma precedensy w przeszłości. Zdarzało się nam otrzymywać z Kremla informacje sprzeczne, choć szczerze. Podczas kryzysu<sup>su</sup> wynikłego w związku z raketami na Kubie Kennedy dostał prawie

równocześnie dwa sprzeczne ze sobą listy od Chruszczowa. Prezydent podrapał się w głowę.

— Uważasz, że ministrowie spraw zagranicznych i obrony, członkowie Politbiura, nie wiedzą co jest grane przez ich własny rząd? Q to nie za duża pigułka do przełknięcia, Winstonie?

Sekretarz stanu musiał teraz posługiwać się ostrożnymi sformułowaniami. Łatwo było przekroczyć cieniutką granicę między racjonalnym wnioskowaniem a czystą spekulacją.

— Mówię jedynie, że nie jest to... niemożliwe. Prezydentowi rozszerzyły się nozdrza.

— Jezu Chryste, Winstonie! Wszystko jest możliwe. Najstraszliwsza broń, jaką kiedykolwiek stworzył człowiek, krąży sobie po kosmosie, a Departament Stanu odradza mi jej odzyskanie. Sądzę, że powinniśmy zaatakować Jakowlewa z obu luf, żeby odstraszyć tych cholernych Rosjan. Dobrze wiesz, że szefowie mafii mają respekt dla siły.

Teraz z kolei najeżył się sekretarz stanu.

— Panie prezydencie, czy wylano pana kiedyś z pracy? Były producent samochodów spjrzał na niego nieprzytomni\*

— Hę?

— Zapytałem, czy stracił pan kiedyś pracę?

Na twarzy prezydenta pojawił się grymas. Powszechnie wiadano, że był bohaterem najpaskudniejszego i najbardziej upokarzającego upadku korporacji w dziejach amerykańskiego przemysłu. Chociaż spadł potem na cztery łapy, ratując niedomagające towarzystwo samochodowe i doświadczył spektakularnej odmiany losu, a następnie udało mu się zostać prezydentem, nadal pamiętał tamten bolesny epizod z przeszłości.

— Wiesz cholernie dobrze, Winstonie, że mnie wylano. Wie o tym chyba każdy na świecie. Ale cóż to ma wspólnego z tym wszystkim-

Sekretarz znowu zaczął się przechadzać.

— Mnie też wylano — zwierzył się. — Po ukończeniu Dartmouth wstąpiłem do służby zagranicznej. Mój pierwszy pobyt w ambasadzie w Sajgonie nie potrwał długo. Któregoś wieczora, po całym dm<sup>u</sup> pracy, spędzałem czas na mieście z paroma dziennikarzami. Wie P<sup>ad</sup>l byłem wówczas jeszcze tak naiwny, że nawet nie wiedziałem, co <sup>to</sup> „przeciek”, dopóki nie okazało się, że sam się tego dopuścił<sup>^</sup> Ambasador dowiedział się o tym i specjalnie się nie przejął-



biście wylał mnie z posady. — Pociągnął nosem i dalej snuł <sup>os</sup> **omnienia**:— Zniszczywszy swoją karierę dyplomatyczną, zdecydowałem się wstąpić na studia prawnicze w Columbia University. Gdy doktor Kissinger nie zrehabilitował mnie w parę lat później,

wnie bym dzisiaj sporządzał testamenty w Buffalo.

Prezydent ponownie wzruszył ramionami.

— Tak? Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

Sekretarz stanu znowu pochylił się nad stołem.

— Chodzi mi o to, panie prezydencie, że z całego epizodu dobrze

pamiętam tylko te ostatnie dni przed zawezwaniem mnie do biura ambasadora i wylaniem. A niech pan sobie przypomni z własnego doświadczenia, panie prezydencie. Pamięta pan? Pańska kompania właśnie przeszła dobrowolnie pod cudzy zarząd. Wyglądało na to, że przetrwa i że pana zrobią jej prezesem. Myślał pan, że wszystko układa się dobrze, dopóki nie poszedł pan na zebranie zarządu. Wówczas ludzie, których uważał pan za przyjaciół, rozwiali pańskie złudzenia i wylali pana na bruk. Nie spodziewał się pan tego, prawda?

Prezydent niechętnie przyznał:

— Racja.

— Podobnie jak ja, kiedy to na mnie spadło. Ale przypomnijmy sobie. Kiedy usłyszał pan na własne uszy, że pana wyrzucają, pewnie pomyślał pan: jak mogłem być aż tak głupi? Założę się, że w dniach poprzedzających owo fatalne posiedzenie zarządu ci, z którymi chciał pan rozmawiać telefonicznie, nie oddzwaniłi. Kiedy zjawiał się pan na zebraniach personelu, ludzie milkli. Nikt nie chciał pójść z panem na lunch. Trzymano pana z dala od ważnych spraw. Kiedy chciał pan zagrać z kolegą w golfa, tamten wykręcał się mówiąc, że jest zajęty. Był pan *persona non grata* we własnym przedsiębiorstwie i nawet nie zdawał pan sobie z tego sprawy. Kiedy zarząd ostatecznie Pana wylał, był pan ostatnią osobą, która by się tego spodziewała. Mam rację?

Prezydent kiwnął głową.

— Tak — przyznał. — Ale nadal nie rozumiem, dokąd prowadzi <sup>ta</sup> linia myślenia. Jaki stąd wniosek?

Sekretarz skubał brodę, kiedy szedł do końca stołu, a potem <sup>^</sup>wrócił. „Co za cholera — pomyślał. — Trzeba postawić kropkę nad i”.

Panie prezydencie, sądzę, iż syndrom durnia zażywającego raję \* błogiej nieświadomości, że wyrok już zapadł, nie jest zjawiskiem <sup>^</sup>cznie amerykańskim. Myślę, że jest zjawiskiem powszechnym, <sup>le</sup> omijającym i Związku Sowieckiego.

Wniosek stąd taki, że jeśli gdzieś Sama się mylą i *Intrepid* naprawdę nie komunikuje się <sup>^o</sup>sjanami, wówczas zrobiliśmy głupstwo i wyszliśmy na durniów.

Jeśli natomiast ludzie Sama mają rację, a Jakowlew mówi prawdę, że ministrowie sowieccy nic o tym nie wiedzą... — Sekretarz zawiesił głos, ale prezydent grzecznie go ponaglił:

— Proszę mówić dalej. Sekretarz westchnął.

— Wówczas może to znaczyć, że na Kremlu szykuje się zmiana ekipy

Prezydent powrócił do Oval Office, gdzie zastał swego francuskiego odpowiednika zagłębionego w fotelu, przeglądającego urzędowe papiery.

— Przepraszam za przerwę, panie prezydencie! — powiedział Amerykanin. — Mam nadzieję, że teraz będziemy mogli bez przeszkód kontynuować naszą dyskusję.

Wysoki Francuz zdjął ze swej wielkiej, okrągłej twarzy okulary w oprawce z żółtej skorupy i bawił się nimi delikatnie, przyglądając się swemu gospodarzowi. Głośno było o tym, jak obaj świetnie potrafili się dogadać i doprowadzić do najlepszych od wielu lat, a może dziesięcioleci, stosunków francusko-amerykańskich. Ale uwagi gościa nie uszła szczególna zmiana w zachowaniu gospodarza, jaka nastąpiła poprzedniego dnia.

— Niech mi pan wybaczy, *Monsieur le Président* — powiedział — ale trudno mi było nie zauważyć, że od wczorajszego popołudnia stale wyskakuje pan z naszych spotkań, niczym jak to okreśłacie, kukłka z zegara. Wczoraj późnym popołudniem. Podczas bankietu. Dziś rano. Pańskie zachowanie jest dla mnie zagadkowe, drogi przyjacielu. Tego rodzaju protokół wizyty państwowej jest jak to się mówi, *à tort et à travers*. Może jest coś, co pragnąłby pan... mi powiedzieć?

Wyznam, że nie wygląda pan dzisiaj dobrze. Tak, jakby miał pan za sobą *une nuit blanche*.

Amerykanin odchylił się w fotelu. „Samotność wynikająca z rangi dolegała i Whittenbergowi, ale czymże była przy tej, jakiej doświadczał prezydent Stanów Zjednoczonych. Naprawdę nie było osoby, z którą mógłby porozmawiać jak równy z równym. Nawet z wiceprezydentem. I po chwili potrzeba podzielenia się z kimś swą troską wzięła w nim górę. Zagryzł wargi i wlepił oczy w swego gościa. Łubu tego Francuza i czuł, że można mu zaufać. „Do diabła — pomyślał. — Jeśli nie z tym facetem, to z kim mam być szczerzy? Przecież czyni starania, by Francja wróciła do NATO, a sprawa z *Intrepidez* jest zbyt dużym brzemieniem, aby mógł się z nią uporać jeden człowiek... Potrzebuję trochę pociechy" — zdecydował.

— Panie prezydencie! — powiedział. — Proszę usiąść wygodnie i mocno się trzymać, bo opowiem panu najcholerniejszą historię» jaką pan kiedykolwiek słyszał...

*nzień 3., 15:00 czasu Greenwich, 9:00 miejscowego Chicago*

Ilość papieru nagromadzona w teczce personalnej wojskowego podczas jego kariery może ważyć dużo w sensie fizycznym. Składają się na nią rozliczne formularze: dotyczące wykszolenia, sprawności bojowej, przydatności, dyscypliny, stanu zdrowia i zębów oraz te, na podstawie których dopuszcza się do tajemnic wojskowych różnego stopnia.

Ze wszystkich formularzy prokurowanych przez Departament Obrony te ostatnie sprawiały właśnie najwięcej kłopotu. Lydia Strand dobrze pamiętała, że wypełnienie takiego formularza, wymaganego przed dopuszczeniem jej do zajmowania się sprawami ściśle tajnymi, zabrało jej kiedyś cały dzień, a najtrudniejszy okazał się fragment dotyczący miejsc zamieszkania.

Lista kolejnych adresów Lodowca była wszakże krótka. Od urodzenia do wieku siedmiu lat mieszkał w południowo-zachodniej części Chicago, na MacKenzie Street 1819. Następnie jego rodzina — złożona poza nim z matki Wiktorii i ojca Karola — przeniosła się na przedmieście Wheaton, na Hampton Avenue 419. Tam Lodowiec mieszkał do czasu wstąpienia do Akademii Sił Powietrznych, jego matka zaś — aż do śmierci.

Właśnie pod ten drugi adres Strand jechała taksówką z lotniska O'Hare, gdzie przyleciała wczesnym rankiem Sabrelinerem T-39. Udało się jej przespać sześć godzin, czuła się więc o wiele lepiej. Wyciągnęła służbową teczkę Lodowca i jeszcze raz zapoznała się z wywiadem środowiskowym. Przeprowadzający go agent FBI rozmawiał z sąsiadami Kapuścińskich na Hampton Avenue, ale nie zatroszczył się, żeby zrobić to samo na MacKenzie Street. Najwidoczniej uznał, że mieszkali tam zbyt dawno, by zawracać sobie tym głowę.

Strand przeglądała po raz kolejny jego raport. Tak, Kapuścińscy to sympatyczni ludzie. Bardzo spokojni. Zdaje się, że ojciec był hydraulikiem. Umarł, kiedy chłopak był jeszcze mały. Matka chyba niezbyt rozmowna. Właściwie to w ogóle nic nie mówiła, poza „dzień dobry”. Chłopca widywano rzadko. Siedział w domu, nie bawił się z innymi dziećmi. Na ich podwórku zawsze panował porządek. Byli obrymi sąsiadami. „Ogromnie pomocne informacje” — pomyślała Strand.

~ Czy mówiła pani Hampton Avenue czterysta dziewiętnaście? Rzuciła okiem w papiery. ~ Tak, zgadza się.

?” A więc to tutaj! — pokazał palcem taksówkarz. ^ trand spojrziała przez okno. Stali przed domem towarowym Wal-ant> otoczonym przez tereny parkingowe.

248



— To musi być jakaś pomyłka! — powiedziała zdziwiona. — -j-0 miał być budynek mieszkalny.

Brodaty kierowca w fikuśnej czapeczce potrząsnął głową.

— Kiedyś był, pamiętam. Jakies dwa lata temu postawiono tu tego Wal-Marta. Te sklepy wyrastają szybciej niż grzyby po deszczu Przejeżdżałem tędy parę razy i widziałem, jak go budowano.

— O cholera!

Taksówkarza zaskoczyła tak gwałtowna reakcja, ale potraktował ją z wyrozumiałością. Ta dama prezentowała się całkiem nieźle.

— A więc, czy pani tu wysiada? — zapytał.

— Nie — westchnęła Strand.

— To dokąd jedziemy?

— Chciałabym wiedzieć! „Powinni dopłacać mi ekstra za psychoanalizę”\* — pomyślał taksjarsz.

— Niech pan chwilę zaczeka.

Strand jeszcze raz przeglądała teczkę. Ojciec Lodowca był hydraulikiem — w aktach figurował jego adres pracy. Ale przecież zmarł, kiedy Julian miał dziesięć lat. Spojrzała na pokwitowania z magazynów U-Stow-It na przechowywane tam rzeczy, ale postanowiła spróbować najpierw pod pierwszym adresem, czego kiedyś zaniedbał agent FBI.

— Jedziemy z powrotem do Chicago, na MacKenzie Street.

— Już się robi, proszę pani — powiedział taksjarsz i nacisnął gaz.

*Dzień 3., 16:30 czasu Greenwich, 11:30 miejscowego* **Biały Dom**

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów barek w Oval Office został otwarty przed południem. Amerykański prezydent nalał gościowi burbona, Francuz zaś napelnił mu kieliszek koniakiem Następnie wzniesli toasty, każdy narodowym trunkiem tego drugiego<sup>0</sup>-

Człowiek z Pałacu Elizejskiego złagodził swego drinka odrobiną lodu.

— Ma pan absolutną rację, drogi przyjacielu. To niewiarygodna historia. Jak pan powiedział, naprawdę najcholerniejsza, jaką w żyd<sup>11</sup> słyszałem.

Amerykanin lknął sobie potężnie courvoisiera. Poczul, jak ciep<sup>0</sup> splywa mu do żołądka.

— Doprawdy brak mi już pomysłów. Wygląda na to, że nic si nie da zrobić, dopóki nie wystartuje *Constellation*. Nadal trudno uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, ale moi wojskowi obstają P tym, że *Intrepid* kontaktuje się z Rosjanami.

Prezydent francuski spowaźniał i pociągnął łyk burbona.

250

1

*Entre nous*, czy to urządzenie, o ile pamiętam nazwał je pan graserem, jest rzeczywiście tak potężne, jak pan powiedział? Amerykanin kiwnął głową.

Tak. Zastosowaliśmy drastyczne środki bezpieczeństwa przy realizacji całego tego projektu, ale i tak powszechnie już wiadomo, że dokonaliśmy technicznego przełomu. Mimo to wydawało się, że zarówno specyfikacja grasera, jak i nasza platforma SDI są wciąż bezpieczne. Powiadomiliśmy tylko ustnie głowy państw NATO, krótko i mówiąc oględnie, z pominięciem mnóstwa informacji technicznych. Pan objął urząd dopiero pół roku temu, postanowiliśmy więc poczekać i zobaczyć, jak przebiegnie obecna wizyta, zanim zdecydujemy się dopuścić pana do grona wtajemniczonych. Pańskiego poprzednika nie pozwoliłem informować.

Francuz zachichotał.

— *Oui*. Całkowicie pana rozumiem. On zawsze budził się z twarzą zwróconą na wschód, ja zaś mam tendencję do zwracania się ku zachodowi. Ale wydaje się, że pomimo tych szczególnych środków ostrożności doszło do poważnej penetracji waszego programu.

Prezydent wychylił do końca resztkę koniaku.

— Bez wątplenia. Nie wiem, jak, u diabła, Rosjanie to zrobili, ale przyłapali nas z opuszczonymi spodniami.

— Przepraszam? Nie zrozumiałem?

— To znaczy, że nas zaskoczyli: poradzili sobie z naszą służbą bezpieczeństwa, choć powinno to być niemożliwe — wyjaśnił Amerykanin.

Francuz ponownie zdjął okulary i przygryzł oprawkę. Chwilę podumał, a potem powiedział:

— Nie jesteśmy pozbawieni własnych źródeł informacji w Związku Sowieckim. Ta sprawa dotyczy również całej Europy Zachodniej... całego NATO. Jeśli pan pozwoli, sprawdzę, czy nasze DGSE może rzucić trochę światła na to, co knują Rosjanie.

Amerykanin podniósł głowę.

Dzięki. Byłbym wdzięczny. Moja CIA nie była w stanie poradzić sobie z całą tą sprawą.

Francuz wyczął do końca swego drinka i uśmiechnął się. . . . Wie pan, ten burbon to naprawdę znakomity trunk. Jak on <sup>si?</sup> nazywa? Jacques Daniel's?

<sup>en</sup> 3., 16:30 czasu Greenwich, 10:30 miejscowego **chicago**

<sup>Mac</sup>Kenzie Street mogła być kiedyś przyjemnym miejscem. Wciąż <sup>c</sup>ze rosły wzdłuż niej wielkie dęby, ale teraz niemal wszędzie rzucała <sup>w</sup> <sup>oc</sup>zy łuszcząca się farba, przerośnięte albo uschłe krzewy i brud.

Na frontowych podwórkach przed paroma domami stały, wśród walających się części, porozbijane samochody. Dwoje małych obdar-tusów, opatulonych przed ostrym marcowym powietrzem, w który<sub>Cn</sub> Strand domyślała się Wietnamczyków, bawiło się przy zepsutym skuterze. Uciekli, kiedy taksówka zatrzymała się przy krawężniku.

Dawny dom Kapuścińskich wyglądał gorzej od innych. Na drzwiach frontowych dyndał na pojedynczej pinezce splewiał napis „do wynajęcia”, a w całym budynku nie było ani jednego całego okna.

Strand wysiadła z taksówki. W zabójczo niebieskim lotniczym trenzu i berecie wyglądała prowokująco atrakcyjnie. Z podwórka po drugiej stronie ulicy przyglądali się jej pożądliwie dwaj skinowaci faceci, wsparci o motocykle. Byli spasieni i brudni.

— Czy mam tu gdzieś na panią poczekać? — zaproponował taksówkarz.

Strand odetchnęła z ulgą.

— Proszę, jeśli pan taki uprzejmy.

— Ale niech to nie potrwa zbyt długo.

— Tak jest. proszę pana.

— Co?...

— Mam na myśli, że wrócę tak szybko, jak tylko będę mogła.

— Dobrze — zgodził się, zamykając samochód.

Nie miało sensu wchodzić do domu Kapuścińskich — był z pewnością opuszczony. Poszła więc zdewastowanym chodnikiem do sąsiedniego. Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i zdecydowanie zapukała do drzwi. Odczekała chwilę i zapukała ponownie. Drzwi powoli uchyliły się, a w szparze ukazała słabo widoczna w panującym półmroku mała, brązowoskóra kobieta.

— *Si?*

Strand spróbowała się uśmiechnąć.

— Dzień dobry pani. Nazywam się Lydia Strand, jestem z sil powietrznych. Próbuję zdobyć pewne informacje. Czy mogłabym zadać pani kilka pytań?

W oczach kobiety pojawił się niepokój.

— *Inmigraciórii* — zapytała z obawą, twardym akcentem. Strand poczuła się zapędzona w ślepią uliczkę.

— Och, chodzi pani o Urząd Imigracyjny? Nie, nie. Nie jeste z *Inmigración*. Jestem z lotnictwa.

— *Por favor?* —

— Domyślam się, że nie mówi pani po angielsku, prawda, zapytała Strand nieporadnie.

— *No hablo inglés.* ^e

— Rozumiem. Przykro mi, ale nie mówię po hiszpańsku, wi?c będę już pani zabierać czasu. Dziękuję pani.

Drzwi zamknęły się, zanim skończyła mówić.

Strand westchnęła. No cóż, przynajmniej spróbowała. Potem szybko odeszła. Okrążając od tyłu dawny dom Kapuścińskich, skierowała się ku budynkowi sąsiadującemu z nim od drugiej strony, ignorując przyglądających się jej motocyklistów. Za narożnikiem wysokiego ogrodzenia natknęła się na dość nieoczekiwaną scenę. Mały siwowłosy człowieczek, opatulony w znoszone czarne palto, przycupnął na betonowych schodkach, z parującym kubkiem w dłoni. Strand domyślała się, że pije kawę. A może herbatę. Wydało jej się dziwne, że tak siedzi na zewnątrz, na zimnych, twardych stopniach. Zima wcale się jeszcze nie skończyła, tu i ówdzie leżał na ziemi śnieg. Zrezygnowawszy z domysłów, podeszła do staruszka.

— Zechce mi pan wybaczyć... Przykro mi, że pana niepokoję, ale... Przyłożył palec do ust, więc zamilkła. Wtedy wskazał na płot i szepnął:

— On tam... Wie pani, one nie odlatują na zimę.

Mówił z twardym akcentem. Strand domyślała się, że pochodzi z Europy Wschodniej. Stary sięgnął do kieszeni, wyciągnął stamtąd trochę ziaren słonecznikowych i trzymał je na otwartej dłoni.

Zrozumiała te zabiegi dopiero wtedy, kiedy przyfrunął wspaniały czerwony kardynał i przysiadł mu na kciuku. Trochę podziobał, potem chwycił jedno ziarenko i odleciał. Siwowłosy wyspał resztę pestek do kieszeni i powiedział:

— On dobry przyjaciel. Strand kiwnęła głową.

— Jestem pewna. Pan też, skoro pan wychodzi na takie zimno, żeby go karmić.

Łyknął z kubka. To była herbata.

— Marta zawsze je karmiła... Umarła... Teraz ja je karmię.

— Marta... to była pańska żona? Kiwnął głową i znowu pociągnął łyk.

— Przykro mi — powiedziała.

~ To miło z pani strony — odezwał się łagodnie, a potem Przyjrzał się jej uważnie. — Kim pani jest?

~ Major Lydia Strand z sił powietrznych, proszę pana. Próbuję zdobyć pewne informacje i byłabym zobowiązana, gdyby mógł mi pan Pomóc. Czy może mi pan powiedzieć, jak długo tu mieszka?

Popatrzył na nią nieobecny wzrokiem. Pomyślała, że znowu <sup>j</sup>kuje <sup>s</sup>jc <sup>£</sup>jePa <sup>u</sup>liczka, bo wyglądało na to, że staruszek poszybował

ysłami gdzieś daleko, w inną rzeczywistość.

"" Długo — odpowiedział w końcu. **Lr** Rozumiem. Przyjechałam tu dowiedzieć się czegoś o rodzinie, <sup>j</sup>sj<sup>ora</sup> kiedyś mieszkała w tym domu obok. — Pokazała palcem. —

<sup>e</sup> mogę panu powiedzieć, o co chodzi, ale byłabym bardzo <sup>?</sup>czna, gdyby zechciał mi odpowiedzieć na parę pytań.

<sup>w</sup>zruszył ramionami.

— No dobrze.

— Dziękuję panu. Otóż, ponad trzydzieści lat temu w tym dom mieszkała pewna rodzina. Matka, ojciec i mały chłopiec. Dziecię miał siedem lat, kiedy się stąd wynieśli. Nazywali się Kapuścińscy i byli imigrantami z Polski, chociaż chłopak urodził się już w Chicago. Chciałabym wiedzieć...

— Nie! — powiedział stary człowiek. Strand zamrugła oczami.

— Chce pan powiedzieć, że pan ich nie znał? — spytała. Pokręcił przecząco głową.

— Nie polskie — powiedział po prostu.

— Co pan przez to rozumie? — zapytała zaskoczona Strand. Pociągnął łyk herbaty.

— To nie byli Polacy. Nastawiła uszu.

— A więc pan ich pamięta? — spytała z nadzieją. Kiwnął głową.

— Zatem, jakże mogli nie być Polakami? Nazywali się Kapuścińscy. Widziałam ich dokumenty imigracyjne. Przyjechali z Krakowa.

Wzruszył ramionami.

— Ja nie widział żadnych dokumentów. Ale wiem, że oni nie byli polskie. Zaperzyła się.

— Skąd pan to może wiedzieć?

Wyjął z kieszeni garść pestek słonecznikowych i rozsywał je po ziemi. Przyleciały dwa karmazyny i zaczęły je dziobać.

— Ja z Warszawy. Wojna wyгнаła. Walczyłem w polska dywizja spadochronowa generała Sosabowskiego. Byłem ranny pod Arnhem... pani jeszcze nie było na świecie. Po wojnie przyjechali my z Martą do Ameryki. Najpierw Nowy Jork. Nie podobało się. Potem tutaj. — Podniósł głowę i spojrzał na nią. — Marta była ładna, jak pani.

Lydia zarumieniła się.

— Jestem pewna, że była. Proszę, niech pan mówi dalej.

— Pamiętam. Wprowadziliśmy się do tego domu. Wtedy by ładny. Nie taki jak teraz. Chciał ja poznać sąsiada. Widział nazwisko<sup>0</sup> na skrzynce na listy. Kapuściński. Pamiętam. Mówię do niego p\*<sup>0</sup>plót: „Dzień dobry, jestem Jerzy Wojda z Warszawy”. Tamte<sup>0</sup> człowiek — wskazał sąsiedni dom — mówił po polsku, ale nie W Polak. Pamiętam... wyprowadzili się zaraz, jak zamieszkaliśmy

z Martą.

Strand poczuła dreszczyk emocji. .y

— Czy jest pan pewien? Ten Kapuściński przebywał tu już w od siedmiu lat. Pewnie niewiele mówił w tym okresie po polsku-

253

Nie! — potrząsnęła głową. — Jakby byli Polacy, mówiliby po polsku w domu... My z Martą rozmawiali po polsku, kiedy byli sami — Uśmiechnął się łagodnie. — Dlatego mój angielski nigdy nie za dobry.

— Ależ nie! — pospieszyła go zapewne. — Pański angielski jest znakomity. I słusznie zwrócił pan uwagę na ważną sprawę. Rzeczywiście, pewnie rozmawialiby w rodzinie po polsku. Ale — Strand zatarła zziębnięte ręce — skoro on mówił po polsku, jak pan może być pewien, że nie był Polakiem?

Spojrzał na nią kpiąco.

— Pani Amerykanka. Czy każdy, kto mówi po angielsku, robi to tak jak Amerykanie?

Potrząsnęła głową.

— Rozumiem, o co panu chodzi — przyznała i przez chwilę zastanawiała się nad tym, co powiedział. — A więc skoro mówili po polsku, a nie byli Polakami, to skąd pochodzili?

Znowu wzruszył ramionami.

— Nie wiem... To było tak dawno... Może z Węgier, może z Czech. Nie wiem skąd. Wiem tylko, że nie z Polski.

Roztarła sobie policzki; robiło się coraz zimniej.

— A co z małym chłopcem? — zapytała. — Czy widział go pan kiedy? Jak mówiłam, miał dopiero siedem lat, kiedy tu mieszkali.

Pociągnął ostatni łyk, potem wylał resztkę herbaty z kubka na ziemię.

— Pamiętam go. Marta dała mu kiedyś ciasta. Cichy chłopiec. Nie mówił wiele. Biedne dziecko... My z Martą nie mieliśmy dzieci.

Strand wyciągnęła portfel i pokazała mu zdjęcie.

— To mój synek, Noe. Ma osiem miesięcy. Siwowłosey zerknął na fotografię i uśmiechnął się.

— Ładny bobas... podobny do mamusi. Zarumieniła się znowu i powiedziała:

~ Dziękuję!

— Chce pani herbaty? — zapytał.

Była już bliska, by go o to poprosić, kiedy odezwał się klakson taksówki. Może uaktywnili się motocykliści?

. ~ Nie, bardzo panu dziękuję. To moja taksówka. Muszę już Jechać. Miło mi się z panem rozmawiało. Szkoda, że nie mogłam poznać Marty.

Uśmiechnął się, rozmarzony.

~ Polubiłaby panią, trand kiwnęła głową i powiedziała:

~" Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas. g<sub>0</sub> Potem instynktownie pochyliła się nad siedzącym i pocałowała i

P<sup>o</sup>Uczę<sup>o</sup>k. Tym razem zarumienił się stary Polak. Odwróciła się

<sup>o</sup>des<sup>o</sup> zła chodnikiem.

254

— Pani z lotnictwa, halo! — zawołał za nią. Zatrzymała się i spojrzała na niego.

— Tak?

Wyraz jego oczu wskazywał, że próbował zobaczyć coś daleko za mgłą.

— Kiedy powiedziałem sąsiadowi, że ja z Warszawy... — *zroty* pauzę.

— No i co on na to? — ponagliła Strand.

— Przestraszył się!

*Dzień 3., 17:00 czasu Greenwich* **Intrepid**

Obraz powoli nabierał ostrości — biała kropka rosła, powiększając się coraz bardziej, aż stała się kolorowa i wyraźna. Był w tunelu, który stawał się korytarzem. Ściany były białe — zupełnie białe — ich sterylność oczywista, poświadczona ostrym zapachem środków antyseptycznych i formaldehydu.

Młody Julian, w niebieskim mundurze akademii, szedł tym korytarzem jak automat. Towarzyszył mu, po cywilnemu, tęgi porucznik policji w średnim wieku, wyglądający na znużonego nazbyt częstym załatwianiem tego typu spraw.

— O ile wiem, stracił pan ojca mając zaledwie dziesięć lat... Na pewno był pan bardzo przywiązany do matki.

Porucznik starał się mówić tonem pocieszającym, ale brzmiało to sztucznie — wyprane z uczuć jak tekst służbowego raportu. Julian tylko kiwał głową.

— Przykro mi — powiedział porucznik, kiedy zbliżyli się do wahadłowych drzwi opatrzonej tabliczką: „Służba medyczna hrabstwa Cook. Kostnica”.

Weszli. Porucznik wręczył jakieś papiery biało ubranemu, chorobliwie otyłemu funkcjonariuszowi, siedzącemu przy biurku i zajadająca<sup>111</sup> chrupki. Człowiek-słoń przejrzał dokumenty i popatrzył na policjanta

— Kapuścińska? — zapytał z roztargnieniem.

— Zgadza się — odparł gliniarz. Biały słoń dźwignął się zza biurka.

— Tędy! — zakomenderował.

Przeszli przez następne drzwi wahadłowe do dużej sali. Na J<sup>e</sup> z jej ścian znajdował się rząd niewielkich nierdzewnych dr<sup>zwic</sup> je zamykających lodówki. Biały słoń otworzył jedno z nich i energię wyszarpnął z wnętrza szufladę.<sup>10</sup>

— Wedle ustaleń — mówił łagodnie porucznik — wygląda na to że wróciwszy z zakupów natknęła się w domu na jakichś włamy<sup>\*3</sup>

icjanta.

255

ytocznie wpadli w panikę i... — Nie dokończył. Dał tylko znak kcjonariuszowi. <sup>en</sup>0<sub>i</sub>cn<sup>yh</sup> płachtę, odsłaniając twarz.

Porucznik

<sup>en</sup>ta<sub>j</sub> urzędowo: — Julianie Kapuściński, czy rozpoznaje pan tę białą jako Wiktorię Kapuścińską, swoją matkę? Jej brązowe włosy, od dawna posiwiiałe, leżały rozwichrzzone. Oczy <sup>a</sup>ła zamknięte, a skórę białą jak mąka. Nie wyglądała spokojnie, <sup>awet</sup> po śmierci.

Czy to pańska matka? — nalegał porucznik. Julian wydobył z siebie ledwie dosłyszalne: Tak.

Porucznik skinął na białego słonia, który zaczął wtaczać szufladę z powrotem do lodówki. Ale Julian powstrzymał go silną dłonią. Nie mógł znieść myśli, że matka za chwilę zniknie.

W jaki sposób zginęła moja matka? — wykrztusił.

Porucznik udawał, że nie słyszy.

— Zadałem pytanie, jak została zabita! — Tym razem już żądał odpowiedzi.

Policjant westchnął, a potem powiedział cicho:

— Pchnięcie nożem.

Biały słoń chciał już wracać do swoich chrupek, więc ponownie spróbował popchnąć szufladę, ale Julian wciąż trzymał ją mocno.

— Daj spokój, synku! — powiedział szorstko. — Mama nie żyje. Już się nie podniesie, ja ci to mówię!

Coś pękło w mózgu Juliana i ogarnęła go fala ślepej, gwałtownej wściekłości.

— Ty świniou! — krzyknął i rzucił się, by ponad szufladą schwytać białego słonia za gardło. Podczas szamotaniny nagie zwłoki Wiktorii spadły z głośnym plaśnięciem na kafelkową posadzkę.

Julian puścił białego słonia i osunął się pod ścianę, przerażony tym, co zrobił. Widok obnażonej matki uświadomił mu, że nie <sup>g</sup>meła od pojedynczego pchnięcia nożem — zadano jej ze trzydzieści <sup>os</sup>osów, straszliwie kalecząc delikatne ciało.

Wybiegł z upiornej kostnicy. Biegł szybko i długo, dopóki nogi <sup>o</sup>o, mówiły mu posłuszeństwa. Wtedy padł na ziemię.

Znajdował się chicagowskim Parku Lincoln. Było ciemno. Był sam, ze swym <sup>o</sup>o i szloch. Nie pamiętał, jak długo tam przebywał — We wciąż przed oczami obraz swej zmasakrowanej matki, nie <sup>o</sup>o? — W głosie była delikatność, życzliwość i zrozumienie. — Julianie!

j. odniósł głowę i zobaczył dobronudszą twarz odzianego w weł-Palto korpulentnego starszego mężczyzny. Było w niej coś <sup>Q2a</sup>ego zaufanie — tak powinien wyglądać dziadek.

Zdobyć.

257



— Chodź ze mną, Julianie! — powiedział ciepło, ale i odrobi nalegająco. Wciąż jeszcze odurzony, młodzieniec wstał z ziemi i pozwolił się zaprowadzić na pobliską ławkę. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni torebkę cukierków i włożył sobie jeden do ust.

— Prawdziwy z ciebie atleta! — odezwał się po chwili. — Miałem kłopoty, żeby za tobą nadażyć, chociaż jechałem samochodem.

Julian ciągle jeszcze nie mógł przyjść do siebie.

— Kim... kim pan jest? — wymamrotał. Dziadkowata postać wzięła sobie następny cukierek.

— Posługiwałem się w Ameryce wieloma nazwiskami. Obecnie nazywam się Philip Johnson. Bardzo zwyczajnie, prawda? Ale moje prawdziwe imię brzmi Piotr... tak samo, jak kuzyna twojej mamy, który zmarł wiele lat temu na Białorusi.

Pomimo szoku Julian okazał zdziwienie.

— Znałem twoją matkę — szepnął dziadkowaty — i śledziłem, jak dorastasz od małego, chociaż nigdy nie wiedziałeś, że jestem w pobliżu, prawda, Julianie?

Kapuściński potrząsnął głową.

— Twoja matka! Cóż to była za kobieta! Widziałeś, co jej zrobili Amerykanie?

W jego głosie było coś więcej niż pytanie — niemal wyzwanie. Julian kiwnął głową. Dziadkowaty westchnął.

— Kraj, który pozwala, żeby tacy chuligani działali bezkarnie i dopuszczali się okrucieństw na twojej matce musi chyba być z gruntu zły, prawda?

Julian, z ociąganiem, ponownie przytaknął. Starszy człowiek wziął jeszcze jeden cukierek.

— Znam twój sekret, Julianie. Przesłano mnie, żebym dbał o ciebie. Dobrze zrobiłeś, że wstąpiłeś na amerykańską wyższą uczelnię lotniczą. — Żuł cukierek powoli, smakując go w miarę jak się rozpuszczał. — Przed tobą długa i trudna droga, ale jeśli twe postanowienie nie osłabnie, będziesz mógł pomścić śmierć matki. Będziesz w stanie ukarać ten występny kraj. Czy tego chcesz, Julianie?

Młodzieniec zdecydowanie kiwnął głową.

— Czy wytrwasz w swoim postanowieniu, Julianie?

— Niezachwianie! — odparł bez wahania.

— Dobrze. Tego oczekiwałem od syna kobiety, która nigdy A<sup>1</sup>\* zawiodła. Jakaż to była nadzwyczajna kobieta! — Starszy człowiek\* schował cukierki do kieszeni. — Przejdźmy się kawałek. Mamy wi<sup>e</sup>l do omówienia. ,

Wyciągnął rękę i wziął młodzieńca za ramię. Ten jednak wzdyg<sup>m</sup> się pod jego dotknięciem i syknął z hamowaną wściekłością: , ■

— Nie zmienię postanowienia, ale już nigdy więcej nie pr<sup>oD</sup> ' mnie dotykać!

Nadszedł jednak czas, kiedy Julian zaczął się chwiać w swoim stanowieniu. Pomimo pieczy, jaką nadal roztaczał nad nim Philip Johnson podczas jego studiów w akademii, na ostatnim roku zdarzyło się coś nieoczekiwanego — pojawiła się dziewczyna o imieniu Felicia. Starsza od niego, wysoka, gibka, z rudymi, przeważnie luźno rozpuszczonymi włosami. Rozbudziła w Julianie emocje, które długo były uspięne. Ale zanim doszło do wykrystalizowania się pomiędzy nimi bliższych więzi, Julian ukończył uczelnię i wysłano go na szkolenie w lataniu, a potem do Wietnamu.

Podczas trzeciego tygodnia pobytu na wojnie dostał list od Felicii. Zaręczyła się z pewnym starszym panem, wiceprezesem zarządu jakiejś firmy zbrojeniowej.

To był ostatni gwóźdź do trumny — odtąd Julian stał się naprawdę psychopatą. Wściekłość z powodu zdrady Felicii wyładowywał podczas lotów bojowych. Stał się powietrznym szalonym Apaczem. Uczestniczył w dwustu dwudziestu trzech akcjach, zestrzelił sześć północnowietnamskich MiG-ów. Nieustraszonosc i zimna krew zyskały mu Distinguished Flying Cross oraz hasło wywoławcze: Lodowiec.

W przedziwny sposób Wietnam dodatkowo umocnił Juliana w jego postanowieniu. Bo chociaż był w środku wydarzeń i uczestniczył w zabijaniu — czuł, że zmasowane bombardowanie miejscowej ludności przez supermocarstwo było rzeczą złą. Złą, a propagowaną przez bogaczącą się na tej wojnie rządzącą elitę amerykańską, którą uosabiał dla niego mąż Felicii. Nie przyjmował do wiadomości okrucieństw popełnianych przez Wietnamczyków z Północy, więc zdecydował, że matka miała rację. Tak, zawsze miała słusznosc, a on jej nie zdradzi, nie sprzeniewierzy się jej tak, jak jemu Felicia.

Lodowiec przebudził się z sennego koszmaru i wyrzwał przez **Wiatrochron**. *Intrepid* przechodził właśnie nad kontynentem północnoamerykańskim.

— Nie, mamo! — szepnął sam do siebie — nie zachwieję się w moim postanowieniu! równie fatalne, co ironiczne, że Julian nigdy nie dowiedział się kim naprawdę był jego mentor, Philip Johnson. A był w rzeczywistości specjalistą w zakresie psychologii klinicznej, wyszkolonym w Instytucie Psychiatrii imienia Subińskiego w Leningradzie. Nauczył wiele, eksperymentując na amerykańskich jeńcach wojennych Korei Północnej. I wykorzystywał swe przerażające umiejętności, by Przekształcić umysł Juliana w chorą, psychotyczną magmę.

Właśnie Johnson zorganizował brutalne zamordowanie Wiktorii Kapuścińskiej. On też zaaranżował spotkanie Juliana z Felcją, jej z najbardziej ponętnych agentek zatrudnianych przez moskiewską centralę.

*Dzień 3., 17:30 czasu Greenwich, 15:30 miejscowego* **Tankowanie w powietrzu nad północnym Atlantykiem na południe od Azorów**

Burzliwe powietrze uczyniło z tankowania koszmar. Trzy operator zmuszony był wyciągać aluminiowy przewód z kadłuba Przewodnika Widm, aby za każdym razem rozpoczynać proces łączenia samolotów i wsadzania przewodu na nowo. Kiedy doszło do przerwania operacji po raz czwarty, miał już tego dosyć.

— Posłuchaj pan, szefie, tu z tyłu mam wrażenie, że jedziemy po jakichś cholernych wybojach! — lamentował ze swej gondoli, umieszczonej w podogoni tankowca powietrznego KC-10. — Może tam niżej byłoby spokojniej?

— Być może. Poczekaj chwilę. — Pilot tankowca nieco dłużej wsłuchiwał się w rozmowy na częstotliwościach cywilnego ruchu lotniczego, zanim podjął decyzję.

Misja Widmo, złożona z czterech maszyn, znajdowała się na południe od Azorów, na kursie wschodnim. Był dzień, więc trzymali się na tyle daleko od lotniczych tras pasażerskich, żeby ustrzec się przed wykryciem, natomiast dostatecznie blisko, by słyszeć radiowy szczebiot pilotów komercyjnych, wymieniających opinie o warunkach pogodowych.

— W porządku, operatorze — powiedział pilot przez telefon pokładowy — schodzimy z całym majdanem około sześciuset do dziewięciuset metrów. Jakiś KLM 747 mówi, że leci się tam gładko, jak po jedwabiu.

— Wspaniale! — odpowiedział operator wysięgnika.

— Tu Widmo Cztery do Przewodnika Widm. Schodzimy o jakieś sześćset do dziewięciuset metrów, żeby dokończyć.

— Zrozumiałem, Widmo Cztery — odezwał się Przewodnik. Widma Dwa i Trzy, polecicie przodem, kursem jeden-osiem-zero, z prędkością czterystu węzłów. Dogonimy was, jak zatankujemy-

— Zrozumiałem, Przewodniku.

— Widmo Cztery, zaczynamy schodzić.

— Tak jest! — odpowiedziano z tankowca.

Dwa samoloty zaczęły się obniżać, opuszczając burzliwy P<sup>u</sup> \* \_dziesięciu kilometrów, natomiast Starlifter C-141 oraz jego <sup>crdr</sup>-e skrzydły, podobny do nietoperza kompan zmieniły kurs na dokła" południowy.

I,

Ivtisja Widmo przebyła już długą drogę i nadal miała przed sobą dobry • j szmat. Po uzupełnieniu paliwa w rejonie Azorów miała polecieć nad Atlantykiem na południe, mniej więcej na wysokość środka wybrzuszenia zachodnioafrykańskiej linii brzegowej. Tam, poza zasięgiem radarów lotnictwa cywilnego, mieli skrócić na wschód i przelecieć nad bezludnymi terenami Mauretanii, Mali, Nigru, Czadu, Sudanu, Etiopii i Somalii. Lot był nielegalny — ze względu na konieczność zachowania absolutnej tajemnicy nie występowano o pozwolenie na przelot ponad obszarami tych krajów. Wykrycia nietoperzoskrzydłych przez radary można było praktycznie nie brać pod uwagę, należało się natomiast liczyć z dostrzeżeniem tankowca i transportowca. Dlatego starannie zaplanowano trasę misji, poza zasięgiem afrykańskich radarów cywilnych i wojskowych. Później, wyleciawszy nad Morze Czerwone, mieli podążać wzdłuż południowych brzegów Półwyspu Arabskiego, aż do miejsca przeznaczenia nad Zatoką Omańską. Tam, na przyjaznym terytorium, samoloty miały wylądować, zanim ponownie wzejdzie słońce.

Na wysokości siedmiu kilometrów tankowiec i jego spragniony towarzysz raz jeszcze wyrównały lot, by podjąć przepompowywanie paliwa. Tankowanie w trakcie lotu zawsze stwarzało problemy, a w przypadku samolotu widma było szczególnie kłopotliwe. Tym razem powietrze okazało się spokojne i operacja przebiegła pomyślnie. Nietoperzoskrzydła maszyna miała właściwości manewrowe porównywalne z samopoziomującym się osiemnastokołowym pojazdem. Nie była zaprojektowana do wrażliwego reagowania na pilotaż. Skonstruowano ją w zupełnie innych celach.

Gdy wreszcie tankowiec i nażłopany benzyną Przewodnik Widm zaczęły wzbijać się ponownie na zaplanowaną wysokość przelotową, operator wysięgnika paliwowego nie mógł oderwać wzroku od czarnej maszyny. Na koniec potrząsnął głową. Nadal trudno mu było uwierzyć, że coś tak dziwnie wyglądającego w ogóle potrafi latać.

*Dzień 3., 18:00 czasu Greenwich, południe miejscowego Chicago*

Taksówka zatrzymała się przed kompleksem magazynów towaro-<sup>w</sup>ch U-Stow-It. ~~ Czy i tym razem mam na panią zaczekać? Strand rozejrzała się wokół.

\*— Nie. Nie wydaje się tu zbyt groźnie. Ale tam byłam zadowolona, <sup>e</sup> Pan został. Czułam się nieswojo przez tych motocyklistów. **Γ~** Ja też — przyznał.

strand odliczyła parę banknotów, zapłaciła za przejazd z hojnym <sup>a</sup>Piwkiem i odprawiła taksówkę.

Przedsiębiorstwo U-Stow-It wyglądało na zwyczajny samoob. sługowy magazyn składowy, jakie można napotkać w całym kraju. Gdy zagracone domowe szafy, strychy i garaże stają się nadmiernie przepełnione, takie magazyny przyjmują różne czasowo zbędne rupiecie na przechowanie — ma się rozumieć, za opłatą. Ten składał się z kilku rzędów niskich, krytych blachą falistą budynków o podnoszonych drzwiach; otoczone były wysokim na trzy metry ogrodzeniem.

Weszła do budynku, nad którego drzwiami wymalowano napis: „Kierownik”. W biurze był kontuar, a dalej dostrzegła zaniedbany pokój — najwidoczniej personel mieszkał na miejscu.

W drzwiach ukazał się brodaty właściciel w rozpiętej koszuli, odsłaniającej bujne, zdradzające zamiłowanie do piwa, owłosione kształty. Miał w ręku otwartą puszkę tego napoju — jedną z osiemnastu składających się na codzienną porcję.

Wcześniej dziś zaczął; wyglądał grubiańsko, ale rozpromienił się ujrawszy panią major.

— Miłego ranka, a raczej chyba już popołudnia! Cóż mogę zrobić dla pani, skarbie? — Starał się być czarujący.

Strand wzdygnęła się wewnętrznie na tę poufałość i szybko przeszła na ton wojskowy, który tak dobrze poskutkował wobec agenta Tedesca.

— Jestem major Lydia Strand z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych — powiedziała głosem ostrym jak brzytwa, wyciągając z torebki i kładąc na kontuarze dokumenty. — Mam federalne zezwolenie na przeszukanie zawartości magazynu numer P-13, wynajmowanego przez Juliana Kapuścińskiego z Colorado Springs.

Usłyszawszy o zezwoleniu na przeszukanie, kierownik cofnął się o krok. Pomyślał o haszyszu schowanym w lekarstwach.

Spędził już kiedyś jakiś czas w więzieniu hrabstwa Cook i nie miał ochoty na więcej. Nie lubił też u kobiet takiego tonu.

— Zezwolenie na przeszukanie? A jakimże cudem siły powietrzne zajmują się czymś takim? Przecież pani nie jest z policji. Strand wyprostowała się.

— Mam specjalne pozwolenie dyrektora FBI z Waszyngtonu na wyegzekwowanie tego pełnomocnictwa. Jeśli pan sobie życzy, może pan zadzwonić do miejscowego biura FBI. Niech pan poprosi agenta Wilkersona. Potwierdzi to, co powiedziałam. Przyśle też dodatkowych agentów, jeżeli będzie trzeba. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, proszę o klucz, śpieszy mi się.

Dyrektor FBI? O, cholera! Nie chciał mieć z tym nic wspólnego-

— W porządku, w porządku. Proszę się nie denerwować. Wziął zezwolenie i rzucił na nie okiem.

— P-trzynaście? — upewnił się.

— Zgadza się.

podszedł do skrzynki pełnej kluczy i wyjął z niej jeden. Potem włożył płaszcz i wziął łom stalowy. Chodźmy! — powiedział. Wyszli na zewnątrz i poszli wzdłuż rzędu budynków oznaczonych literą P do numeru trzynastego. Kierownik pokręcił kluczem i otworzył jedną z dwóch kłódek. Podnosząc łom, wyjaśnił:

— Klient zakłada na drzwi także własną kłódkę. Dla bezpieczeństwa, rozumie pani! Nie mam do niej klucza, więc musimy ją wylać... biorąc pod uwagę, że ma pani zezwolenie i w ogóle... Proszę się trochę odsunąć!

Strand odstąpiła, a kierownik wsunął łom do ucha kłódki. Szarpał kilkakrotnie, zanim ustąpiła. Wówczas podniósł drzwi, odsłaniając wnętrze pomieszczenia, w którym znajdowała się tylko duża drewniana skrzynia i nic więcej.

— Może mi pan zostawić łom? — zapytała. Popatrzył na nią sceptycznie.

— Jest pani pewna, że nie trzeba pani pomóc?

— Dam sobie radę! — odrzekła spokojnie.

Jako była studentka fizyki, Strand znała zasady dźwigni. Położyła torebkę na podłodze i zabrała się do otwierania skrzyni łomem. Używając go umiejętnie, zademonstrowała, że skuteczność nie polega na brutalnej sile.

— Czy jestem pani jeszcze do czegoś potrzebny? — spytał.

— Zawiadomę, jeśli będę pana potrzebowała. Chciałabym natomiast zatrzymać łom, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— W porządku. Proszę tylko pamiętać, żeby go odnieść. Musiałbym za niego zapłacić, gdyby go pani nie oddała — powiedział faryżejskim tonem.

— Może pan być pewien, że zwrócę. Wycofał się w kierunku lodówki z piwem.

W skrzyni znajdowała się szafka o dwóch szufladach oraz kilka tekturowych pudeł. Strand zaczęła metodyczny przegląd ich zawartości.

W godzinę później zawartość skrzyni była porządnie ułożona na Podłodze. Najwidoczniej przedstawiała wszystko, co pozostało po matce Lodowca. W szafce znajdował się urzędowy testament Wiktorii Kapuścińskiej, wyznaczający Juliana na wykonawcę jej woli. Z innych dokumentów wynikało, że Lodowiec zlikwidował prawie cały ruchomy majątek swej matki w drodze licytacji. Uregulował też odpowiednie opłaty spadkowe.

Zawartość skrzyni stanowiły wyraźnie przedmioty, których nie "dało się sprzedać, oraz pamiątki rodzinne. Nie było tego dużo. ■"oche używanych ubrań, parę tanich olejnych obrazów w ozdobnych

ramach, kilka sprzętów kuchennych, roczniki Akademii Sił Powietrznych, przedmioty pamiątkowe, odbiornik telewizyjny RCA i stare kryminały.

Strand była już trochę zmęczona i burczało jej w brzuchu, bo przez cały dzień nie jadła. Do tego zaczynała podejrzewać, że szykuje się kolejny niewypał. Pozostało jej jeszcze do spenetrowania tylko jedno pudło, potem zje coś na chybcika i wraca do Kolorado.

Ostatnie pudło było zaklejone taśmą. Sięgnęła do torebki po scyzoryk i szybko się z nią uporała. Wewnątrz znajdowała się ozdobna drewniana szkatułka zamknięta na kłódkę. Strand bez wahania pocięła osłaniający ją karton. Szkatułka była za duża, by mieścić biżuterię, ale za mała na ślubną wyprawę. Klódeczka okazała się przeszkodą łatwą do sforsowania. Już po chwili uniosła otwartą szkatułkę i ustawiła na blacie szafki, by wygodniej przeglądać jej zawartość.

W górnej przegródce znalazła trochę biżuterii. Pogrzebała w naszyjnikach i bransoletach, nie znajdując niczego niezwykłego. Podobne błyskotki można było dostać u J.C. Penneya. Domyśliła się, że należały do matki Lodowca.

Głębiej leżał album z fotografiami, pokazujący, jak dorastał Julian Kapuściński. Były tam jego zdjęcia z dzieciństwa — na trójkołowym rowerku i z pierwszego dnia w szkole, z matury, z pierwszego roku w akademii. Strand pamiętała, że matka Lodowca została zamordowana, kiedy był na drugim roku w Colorado Springs. Nie doczekała promocji syna, uzyskania przez niego licencji pilota i astronauty. „Cholernie szkoda” — pomyślała. Sięgając głębiej, znalazła dyplomy honorowe i pochwalne Juliana, świadectwo ukończenia szkoły średniej w Pembroke oraz list zawiadamiający o przyjęciu go do akademii. Typowe „skarby” przechowywane przez matki dumne z osiągnięć swych pociech.

Na dnie leżał jakiś przedmiot zawinięty w miękkim czarnym aksamicie. Wyjęła go i rozpakowała. Był to mały, oprawny w skórę notatnik. Delikatnie przekartkowała jego stare, kruche stronicy i poczuła się trochę zakłopotana. Choć oprawny, nie był drukowany, ale zapisany ręcznie. Charakter pisma wskazywał zdecydowanie na mężczyznę, ale litery były dziwaczne, a słowa niezrozumiałe — z pewnością nie był to tekst angielski. Robił raczej wrażenie hieroglifów. Czyżby pamiętnik starego Kapuścińskiego, napisany w jakimś języku, którego nawet nie potrafiła zidentyfikować? Nie wiedząc, co o tym myśleć—Strand postanowiła zabrać notatnik ze sobą do góry Cheyenne—Wzięła torebkę, łom i wyszła, opuszczając za sobą drzwi pomieszczenia.

mień 3., 21:00 czasu Greenwich, 16:00 miejscowego **biały Dom**

prezydent Stanów Zjednoczonych patrzył przez *porte-fenêtre* na ogród różany Białego Domu. Widok był pokratkowany przez kwadraciki szybek, zbyt grubych jak na eleganckie drzwi. Tak nakazywały jednak względy bezpieczeństwa — każdą szybkę wykonano z sześciu tafli szkła, pomiędzy które właminowano warstwy polibutyru winylu. Dzięki temu stanowiły przezroczystą kuloodporną tarczę, nieprzenikliwą dla pocisków wystrzelonych z bezpośredniej odległości z ręcznej broni palnej do *weatherby* magnum kalibru 11,7 mm włącznie.

Prezydent był w nastroju nie sprzyjającym trzeźwej ocenie sytuacji. Właściwie nie wiedział, co myśleć i komu wierzyć w sprawie *Intrepida*. Zapytał swego francuskiego gościa:

— W jakim stopniu polega pan na tym kremlowskim źródle? Francuz strzepnął popiół z luksusowego hawańskiego cygara.

— Jak pan się domyśla, drogi przyjacielu, nie mogę panu powiedzieć, kim jest nasz informator. Musimy, podobnie jak wy, chronić nasze źródła informacji. Mogę wszakże zdradzić, że zajmuje wysokie stanowisko w sowieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych i że uzyskiwane od niego wiadomości okazywały się dotychczas nadzwyczaj dokładne. Bywało, że nasz wywiad poznawał treść dokumentów urzędowych, zanim jeszcze przeszły one przez biurko ministra.

Prezydent zmarszczył brwi.

— I potwierdza to wszystko, co mówił ambasador Jakowlew? Francuz kiwnął głową.

— *Oui*. Nasze źródło potwierdza, że minister spraw zagranicznych badał osobiście sprawę domniemanego sowieckiego komunikowania <sup>S</sup> z waszym wahadłowcem kosmicznym i uznał ją za wymysł amerykańskiej propagandy. Moi ludzie z wywiadu mają nawet kopię depeszy, jaką minister spraw zagranicznych przesłał Jakowlewowi... Może zresztą o tym nie powinienem panu mówić.

Amerikanin podniósł brew.

— Muszę przyznać, że zaimponował mi pan. I proszę być <sup>s</sup>Pokojnym, już zapomniałem o tej depeszy. Choć to z pewnością Poświadcza wiarygodność waszego źródła. Chciałbym, żeby moje duszki mogły się czymś takim pochwalić.

— Duszki?

Gospodarz uśmiechnął się. , "— W naszym slangu szpiedzy. Ale nawet uwzględniając wasze źródło z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nie wiem, co sądzić o sytuacji. Czy mówiłem panu o spekulacjach sekretarza stanu, że na <sup>ret</sup> nlu może się właśnie dokonywać zmiana ekipy?



— *Oui*. I zgadzam się z panem. To najtrudniej zinterpretować. Ale jeszcze trudniej uwierzyć, że sowieccy ministrowie spraw za-granicznych i obrony nie kontrolują już autentycznie swych resortów co przecież robili od lat.

— Tak. To samo powiedziałem Winstonowi. I szczerze chciałbym żeby okazało się, iż miał pan rację. Wolałbym nawet nie rozważać innej możliwości.

Francuz zaciągnął się cygarem.

— Co teraz zamierzacie?

Amerikanin ponownie popatrzył na ogród różany. Westchnął głęboko.

— Prawdę mówiąc, nie możemy obecnie zrobić nic, poza wysłaniem *Constellation* najszybciej, jak tylko się da. — Spojrzał na zegarek. — Start ma nastąpić o czwartej trzydzieści rano. Mniej więcej za dwanaście godzin. Jeśli ma pan ochotę, możemy stąd wspólnie obejrzeć start i częściowo spotkanie na orbicie. — Wskazał gestem ekran telewizyjny.

To z kolei zrobiło wrażenie na Francuzie.

— Doprawdy?

— Tak. SPACECOM dysponuje teleskopem w latającym wysoko odrzutowcu. Ten samolot nazywa się *Spyglass* i jest obecnie gdzieś nad kołem podbiegunowym. W ten sposób może oglądać *Intrepida* przez kilka minut na każdej orbicie — powiedział Amerikanin takim tonem, jakby chwalił się sąsiadowi nową kosiarką do trawy.

Francuz kiwnął głową.

— Bardzo chciałbym to zobaczyć.

— Doskonale. — Prezydent ponownie rzucił okiem na zegarek. — Może wcześniej zjemy kolację i pójdziemy spać, żeby dać radę wstać tak rano. Albo w ogóle się nie kładźmy.

Francuz zachichotał.

— Nigdy nie byłem rannym ptaszkiem, przyjacielu.

*Dzień 3., 22:00 czasu Greenwich, 14:00 miejscowego* **Baza Sił Powietrznych Vandenberg**

Pułkownik Peter Nordstrum Lamborghini rzucił swego myśliwca T-38 w szaleńczą podwójną beczkę. Zbliżał się już do runwayu, a podwójna beczka była jedynym manewrem możliwym do wykonania w ściśle kontrolowanej przestrzeni powietrznej nad południową Kalifornią. W drodze z Colorado Springs poświęcił trochę czasu na zrobienie paru pętli i immelmanów nad rozległym, pustynnym obszarem Utah. Stwierdził, że to dobry relaks po stresie ostatnich dni. Żałował jedynie, że nie miał czasu, by się jeszcze trochę pobawić.

265

Lamborghini znalazł myśliwca T-38 Talon wyśmienicie. Brał na nim kiedyś udział w zespołowych pokazach akrobatyki lotniczej. Niestety, było to w czasach, zanim wprowadzono do służby jego ulubione samoloty F-16. Peter wciąż jeszcze tego żałował, gdyż Falcony — pomimo ich wad — uważał za wspaniałe samoloty.

Szef wywiadu w SPACECOM-ie był synem brygadzysty pracującego przy budowie dróg. Ukończył inżynierię lotniczą na Uniwersytecie Wisconsin. Choć dumny ze swych włoskich i norweskich korzeni, zawsze czuł się jak osobnik półkrwi na obszarach, którym ton nadawali imigranci ze Skandynawii. Do lotnictwa wstąpił, żeby poznać świat.

Zaczął od Północnego Wietnamu, świeżo po ukończeniu szkoły pilotażu. Poznawał go z przedniego fotela w kabinie Phantoma F-4. Mnóstwo zobaczył, zaliczając dwie tury służby, a w ich ramach trzysta osiemnaście lotów bojowych, które wypełniły mu pierś medalami. Widział wiele ognia przeciwlotniczego, tysiące krążących smugaczy i tuziny pocisków ziemia—powietrze — z bliska i z bardzo bliska. Częściej niż dałoby się policzyć, spotykał niepozornie wyglądające myśliwce przeciwnika i widział, jak wspaniałe amerykańskie maszyny w mgnieniu oka zamieniały się w kulę ognia. Miał sposobność doświadczyć eksplozji pocisku SA-2 tuż nad swoją kabiną

I w trakcie katapultowania się z prędkością sześciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę śledzić znikający w dżungli spadochron swego bombardiera. Przeżył nieprzenikną czerń i obezwładniający strach samotnej nocy w dżungli, przerażenie, gdy natknął się na swego bombardiera zwisającego z drzewa na uprząży spadochronu — idealnie całego, tyle że bez głowy. Doświadczył wyczerpania i przestachu, kiedy uciekał przed wdowami i sierotami laotańskimi, uzbrojonymi w kije, kamienie i kusze, szukającymi na nim zemsty za zabłąkane amerykańskie bomby, które unicestwiły ich mężów i ojców. Chciał poznawać świat, a zanurzono go twarzą w błocie zwanym wojną — nie było to tym, o co mu chodziło.

Kiedy dobiegała końca druga tura jego służby w Wietnamie, Lamborghini utracił już wszelkie złudzenia związane z całą tą brudną sprawą w Indochinach i był bardzo bliski wystąpienia z sił powietrznych. Jego żona, Juliet, miała tego wszystkiego dość znacznie wcześniej. Ponieważ jednak dobrze znała i kochała swego męża, wiedziała, że może być szczęśliwy tylko w kabinie pilota. Tłumaczyła mu więc cierpliwie, że jest różnica między obroną własnego kraju<sup>a</sup> uprawianiem niefortunnej, skazanej na porażkę polityki zagranicznej- To na jej nalegania nie rozstał się z mundurem. A w następnych latach, nie narzekając, wychowywała dwie córki, przenosząc się

<sup>2</sup> jednego miejsca stacjonowania na nowe. Była to cena kariery me

za — jeśli miał awansować w hierarchii Dowództwa Taktycznych Sił Powietrznych.

Lamborghini dorósł i dojrzał. Był uzdolnionym pilotem i urodzonym przywódcą. Wiedział, że żona ma rację — latanie stało się dla niego sprawą najważniejszą. Po powrocie z Wietnamu zgłosił się do zespołu akrobatycznego Thunderbirdów i został przyjęty. Ewolucje lotnicze były balsamem zablizniającym jego zranioną duszę. Pogodziły go też z mnóstwem niedogodności życia w lotnictwie — takich jak niska płaca, częste zmiany miejsca pobytu, rozłąka z rodziną i zwariowane pory zajęć.

W teczce personalnej Lamborghiniego leżało pełno pochwał, odznaczeń i raportów poświadczających jego wyjątkową efektywność. Ale choć odbył trzysta osiemnaście lotów bojowych i zdarzyło mu się nawet latać w parze z legendarnym generałem brygady Robinem Oldsem — Starym, nie miał prawa do tytułu asa. Oficjalnie zestrzelił tylko cztery północnowielnamskie MiG-i, czyli o jeden za mało. Dwa inne myśliwce strącił zaś w okolicznościach, które sprawiły, że nie uwzględniono ich w oficjalnej statystyce; dokumentacja tej sprawy po dziś dzień zamknięta jest w podziemiach Pentagonu, w tajnych aktach pod kryptonimem Omega.

W maju 1982 roku Petera Lamborghiniego oddelegowano jako doradcę technicznego do Izraelskich Sił Powietrznych w związku z zakupem przez Izrael ośmiu nowiutkich Falconów F-16, prosto z zakładów Fort Worth General Dynamics. Do jego obowiązków należało dopomaganie pilotom izraelskim w opanowaniu wszystkich tajników tych maszyn.

Była to najzupełniej nieodpowiednia pora na wizytę na Bliskim Wschodzie — przyjechał tam dokładnie na dwa tygodnie przed wtargnięciem Izraelczyków do południowego Libanu, kiedy sytuacja w tym regionie niebawem się zaogniła. W przeddzień ogłoszenia pełnej mobilizacji armii izraelskiej polecił sprawdzić funkcjonowanie systemów uzbrojenia jednego z nowo dostarczonych Falconów. Towarzyszył mu, na drugim takim myśliwcu, pewien kapitan izraelskiego lotnictwa. Oba samoloty leciały nisko, wolno, kierując się ku Morzu Śródziemnemu, kiedy ponad wzgórzami Golan śmignęły z Syrii cztery MiG-i 21 produkcji sowieckiej. Peter nie znał hebrajskiego, toteż prawie nie zwracał uwagi na fakt, że jego towarzysz prowadzi podekscytowanym głosem rozmowę na częstotliwościach zastrzeżonych do ostrzegania. Nagle Izraelczyk ruszył błyskawicznie na północny wschód, na kurs przechwytywania, przekazawszy mu tylko po angielsku zwężkę: — Leć ze mną! Instynktownie Peter popchnął do końca dźwignie gazu i podążył za nim. Gdy zdał sobie

sprawę, w co go wpakowano, był już w samym środku walki powietrznej z syryjskimi MiG-ami. Jeden z nich zanurkował, atakując Amerykanina z wysokiego lata, strzelając ze swego pojedynczego trzydziestomilimetrowego działka. Pociski smugowe świsnęły wokół kabiny Petera. Zamiast umknąć, by potem samemu zaatakować, Lamborghini postawił swego Falcona na ogonie i skierował prosto na nadlatującego MiG-a. Poza kompletem pocisków rakietowych F-16 wyposażony jest w dwudziestomilimetrowe działko General Electric M61 A-1 Vulcan, wyglądające jak nowoczesna wersja dziewiętnastowiecznego karabinu maszynowego systemu Gatlinga. Kiedy się z niego strzela, obraca się i wyrzuca pociski jednocześnie z sześciu luf. W ciągu minuty może ich wystrzelić sześć tysięcy. Jest to straszliwa broń. Jednakże pociski tego kalibru są dosyć ciężkie, toteż Falcon ma ich na pokładzie tylko pięćset piętnaście. Oznacza to, że jest w stanie wypluć cały swój zapas amunicji w ciągu zaledwie pięciu sekund. I Peter to właśnie zrobił. Odbezpieczył działko ręczną dźwignią, jednocześnie wciskając czerwony guzik ogniowy. Poruszające się po spirali lufy działka rzuciły w powietrze ścianę pocisków, przez którą musiał przelecieć MiG. Mijając go po chwili Peter dostrzegł, że jego poszycie wyglądało jak rzeszoto.

Nie tracąc ani ułamka sekundy na próbę potwierdzenia tego zestrzelenia, zaczął się rozglądać za pozostałymi MiG-ami. Wyśledził jeden, lecący w poprzek jego kursu w odległości około sześciu kilometrów, i ruszył w jego kierunku. Zanim jednak zdążył go namierzyć celownikiem, syryjski samolot eksplodował w płomieniach. Izraelczyk trafił go pierwszy. Dwa pozostałe MiG-i zrobiły zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i popędziły z powrotem ku granicy syryjskiej. W tym momencie, ze względów dyplomatycznych, Peter powinien był się wycofać i wrócić do bazy. Ale nie uczynił tego. Instynkt, trening, wreszcie gniew — wzięły górę.

Rozejrzał się po niebie.

— Ile ich było? — zapytał.

— Cztery — odpowiedział Izraelczyk. — Zostały dwa.

Peter włączył doplerowski radar pulsacyjny Westinghouse AN/APG-66 swego Falcona i dokonał przeglądu przestrzeni powietrznej w poszukiwaniu uciekających samolotów. Radar wyświetlił na wiatro-chronie odległość, pozycję i prędkość umykających napastników. Lamborghini uruchomił dopalacz dwuprzepływowego silnika turbinowego Pratt & Whitney F-100, a Izraelczyk poszedł za jego przykładem.

Odległość między nimi a ściganymi malała i Peter dostrzegł jeden z MiG-ów, kierujący się ku potężnej ścianie chmur burzowych, żeby<sup>si?</sup> w niej schować. Syryjski pilot nie był głupi. Jego przyrządy Pokładowe wykryły, że jest namierzony radarem, usiłował więc

przynajmniej zniknąć z pola widzenia. Natomiast Peter musiał dążyć do bezpośredniego kontaktu wzrokowego, ponieważ Falcon był uzbrojony w pociski kierowane nie radarem, ale podczerwienią. Wpatrzony w ekrany usiłował złapać w celownik rurę wylotową silnika uciekającego MiG-a, ale nie szło mu zbyt dobrze. Upragnione brzęczenie Sidewindera AIM-9L usłyszał w chwilę po przekroczeniu granicy; oba samoloty — ścigany i ścigający — znajdowały się już w syryjskiej przestrzeni powietrznej. Mimo to wypuścił pocisk. MiG-owi zabrakło ułamka sekundy, by dać nura w chmury. Zniknął w wybuchu żółtych i pomarańczowych płomieni. Nie pojawił się spadochron.

Peter szarpnął swego F-16 i pomknął z powrotem ku Izraelowi. Wiedział, że Syryjczycy dysponują zabójczo skutecznymi pociskami ziemia—powietrze SA-6, chciał więc uciec, zanim zdąży go namierzyć któraś z ich baterii. Uważał, że nad Północnym Wietnamem widział już wszystkie tego rodzaju pociski, jakie kiedykolwiek chciał zobaczyć, i że dość się najadł przez nie strachu.

W raporcie po tej akcji, skierowanym do Departamentu Sił Powietrznych, Lamborghini usiłował wyjaśnić, że nie zna hebrajskiego i naprawdę nie wiedział, co się święci, dopóki nie zobaczył atakującego MiG-a. Działał w samoobronie. Do pewnego momentu. Może powinien był się powstrzymać, zanim przekroczył granicę syryjską, ale pomijając wszystko inne, czyż nie po to szkolono go przez piętnaście lat, by ścigał i niszczył samoloty wroga? Czegóż innego mogły oczekiwać po nim siły powietrzne?

Przełożeni przyjęli raport bez komentarzy i głęboko go schowali. Bardzo głęboko. Wieści o mordowaniu i okaleczaniu niewinnych kobiet i dzieci w obozach dla uchodźców palestyńskich w Sabrze i Szatilli przez falangistów popieranych przez Izrael spowodowały w Stanach Zjednoczonych zmianę nastawienia wobec inwazji Libanu. Ostatnią rzeczą, jakiej wtedy potrzebowano, byłaby wiadomość agencyjna o tym, jak pewien amerykański pilot siedzący w kabinie izraelskiego myśliwca zestrzelił dwa samoloty syryjskie, w tym jeden nad terytorium Syrii. Nie. Do tego nie można było dopuścić. Ukaranie dyscyplinarne Lamborghiniego za pogwałcenie syryjskiej przestrzeni powietrznej także nie wchodziło w grę — istniało niebezpieczeństwo, że mógłby się obrazić i opowiadać o tym incydencie publicznie. Tego również należało uniknąć. Raport ugrzązł głęboko w archiwum Omegi, by nigdy nie zostać ujawnionym. Toteż Lamborghini nie zapracował sobie oficjalnie na miano asa.

Koła Talona zapiszczały, dotknąwszy nawierzchni pasa w bazie Yandenberg.

pień 3., 22:00 czasu Greenwich, 17:00 miejscowego **Ośrodek Kosmiczny Kennedy'ego**

Zapiera dech liczba wymyślnych systemów, w jakie wyposażony jest wahadłowiec kosmiczny. Wszystkie one muszą odpowiednio funkcjonować, aby statek wystartował. A odpowiedzialność za sprawdzenie sprawności wszystkich owych systemów i podsystemów — od wymiennika ciepła ogniwa paliwowego po komputery pokładowe — spada na barki kierownika pola startowego. To właśnie dlatego Jacob Classen (przedwcześnie posiłki i nerwowo nawet wtedy, kiedy wszystko szło jak najlepiej) kupował i zażywał aspirynę i rolaidsy w ilościach omalże hurtowych. Prześladowała go myśl, że czegoś zapomniano włączyć, że do zbiornika zewnętrznego wpadł klucz francuski, a zawór się nie domyka, choć powinien. Żył w napięciu wystarczającym, by wpędzić człowieka religijnego w alkoholizm, a pijaka w dewocję.

Classen sam był wzorem staranności. Nigdy, przenigdy nie zapomniał o *Challengerze*. Poprzysiął sobie, że jeśli dojdzie jeszcze kiedyś do takiej tragedii, to nie dlatego, że ktoś na jego polu startowym coś spieprzył. Nalegał więc, by zatrudnić najlepszych techników i tak organizował im zmiany w okresie przedstartowym, by mogli dostatecznie wypocząć. Zmęczeni pracownicy są skazani na popełnianie błędów. Zatrudnił też pierwszej klasy zastępcę, Eda Garveya, by stale reprezentował go na miejscu, grając rolę wyjątkowego skurwysyna. On sam odgrywał na polu startowym „równego gościa”, natomiast Garvey miał być uważany za bezlitosnego twardziela, który może dokopać, którego wszędzie pełno, który każdego opieprzy, żeby mieć pewność, że w momencie startu wszystko będzie grało.

A teraz Garvey zniknął. Classen wysłał go do domu, żeby się trochę przespał przed ostatnimi, wariackimi godzinami przedstartowymi, kiedy naprawdę trzeba robić wszystko naraz. Garvey poszedł<sup>1</sup> już nie wrócił. Classen zadzwonił do niego do domu. Nie było go. Szukano po miejscowych szpitalach. Również bez powodzenia. Zawiadomiono służbę bezpieczeństwa Ośrodka. Obiecali, że będą mieli oczy otwarte. Zdesperowany Classen telefonował do policji i do Patrołu drogowego. Powiedzieli mu: — Musimy odczekać siedemdziesiąt dwie godziny, zanim możemy uznać kogoś za osobę zaginioną<sup>2</sup>. Niemniej, rozesłemy zawiadomienie i damy panu znać, jeśli się czegoś dowiemy.

Mimo szaleńczych poszukiwań nie można było nigdzie znaleźć<sup>3</sup> tego, nigdy nie nawalającego Garveya. Jakby wyparował. Classen już ledwie trzymał się na nogach. Bał się, że jeśli nie zjawi<sup>4</sup> się zastępca, może paść, zanim dojdzie do startu *Constellation*.

Ani Classen, ani miejscowa służba bezpieczeństwa, ani policja, ani patrol drogowy nie pomyśleli, by rzucić okiem na parking pracowniczy przy polu startowym 39A. A stał tam ford bronco Garvey<sub>a</sub>, cierpliwie czekając na powrót swego właściciela.

*Dzień 3., 22:15 czasu Greenwich, 15:15 miejscowego* **Góra Cheyenne**

Whittenberg, Dowd i Fairchild byli sami w sali konferencyjnej. Whittenberg rozmawiał przez telefon umieszczony na ruchomym pulpicie telekomunikacyjnym, stojącym przy jego krześle u szczytu stołu. Kiedy odłożył słuchawkę, Sir Izaak nalewał właśnie całej trójce kawę.

— Chet doprowadza sprawy do końca na Cape — powiedział Whittenberg. — Leci z powrotem do CSOC-u, będzie tam już podczas startu *Constellation*. Kazałem mu się zdrzemnąć trochę przed wyjazdem.

Dowd kiwnął głową.

— Dobry pomysł. Ten facet nigdy nie wie, kiedy przestać. Whittenberg i Sir Izaak przespali się już trochę i mogli znowu myśleć logicznie. Dowd znowu zaczynał „wysiadać” i podtrzymywał przytomność umysłu pompując w siebie nieustannie kawę i maalox. Wszyscy trzej doświadczali frustracji, rozgoryczenia i poczucia niemożności. Obecnie mogli tylko śledzić przygotowania na Cape i w Vandenberg oraz nie spuszczać z oka tajemniczego satelity.

Drzwi sali otworzyły się i wszedł sierżant szef Timothy Kelly. Wyglądał na ogromnie zmęczonego. Cisnął czapkę na stół i opadł na krzesło. Nie bacząc na regulamin Sir Izaak nalał mu trochę kawy.

— Jak tam poszło w Bostonie? — zagadnął Dowd. Kelly skrzywił się.

— Kompletna strata czasu! — powiedział, łyknąwszy kawy. — Major Mulcahey to kwintesencja stuprocentowego Amerykanina. Rozmawiałem z jego rodzicami i bratem. Był ministrantem, skautem orlim, popierał Marsz

Dziecięciocentówek. Nie wierzę, że mógłby zdradzić. Zresztą jeśli to on, na pewno nie pozostawił żadnych śladów, które moglibyśmy kiedykolwiek znaleźć! Czy major Strand i agent Tedesco wrócili?

Jakby w odpowiedzi w drzwiach ukazał się funkcjonariusz żandarmerii lotniczej, prowadząc człowieka z FBI. Kelly odprawił żandarm<sup>3</sup> i przedstawił Tedesco trzem generałom. Whittenberg nie mógł się nadziwić jego podobieństwu do Mike'a Ditki.

— Coś się udało? — zapytał Kelly. Tedesco potrząsnął głową.

— Nie widzę w ogóle możliwości, żeby to był Rodriquez —  
oświadczył. — Rozmawiałem z jego matką. Powiedziała mi, że po ukończeniu Californian Institute of Technology chciał wstąpić do piechoty morskiej, ale wyperswadowała mu to i pozostał na uczelni. Nie. To nie on. Mój nos mi to mówi. Whittenberg zachnął się.

— Wygląda na to, że uzyskaliście takie same rezultaty. Pozostaje więc domysł, że to Kapuściński, moim zdaniem równie niewiarygodny!

— Zgadzam się z panem, panie generale — przyznał Kelly. — Ten facet ma DFC i ponad dwieście lotów bojowych w Wietnamie za sobą. Pani major mówiła, że nienawidzi Rosjan... — Nie dokończył.

Sir Izaak wzruszył ramionami.

— Jednym słowem możemy się nie dowiedzieć, kto to zrobił, dopóki *Constellation* nie zajrzy do sterowni *Intrepida*. Popykał fajkę, myśląc o Stingerach ładowanych na wahadłowiec ratunkowy i zastanawiając się, czy zostaną użyte. A jeśli zostaną, czy okażą się skuteczne... Może to nie był dobry pomysł, żeby je zabierać. Westchnął, bo przyszło mu do głowy, że zdesperowani ludzie wykonują desperackie posunięcia.

Drzwi otworzyły się po raz trzeci i weszła Lydia Strand. Podobnie jak jej poprzednicy ciężko osunęła się na fotel i przyjęła zaoferowaną kawę.

— No i jak pani poszło? — dopytywał się Kelly.

Strand doprawdy nie wiedziała, co myśleć o rezultatach swej wyprawy do Chicago. Ani jak je zreferować. To, co udało się jej ustalić, w gruncie rzeczy ograniczało się do mglistych wspomnień starego człowieka, dotyczących spraw sprzed ponad trzydziestu lat; mogły być majaczeniem sklerotyka. Im dłużej o tym myślała, tym mniej widziała w tym sensu.

— Nie wiem, czy to się na coś przyda — westchnęła. — Nie umiem sobie z tym poradzić. Natknęłam się na staruszkę, który mi powiedział, że był krótko sąsiadem Kapuścińskich przeszło trzydzieści lat temu. Sympatyczny stary facet, ale chyba trochę pomyłony. Twierdzi, że ojciec Lodowca mówił po polsku, ale nie był Polakiem, choć tak wynika z dokumentów imigracyjnych.

Dowd podniósł brew.

— Nie pochodził z Polski? W takim razie skąd?

Strand rozpięła klamrę na głowie i rozpuściła włosy. „Do diabła z regulaminem” — pomyślała. Potrząsnęła głową, a bujne ciemne włosy opadły jej na ramiona. Żaden z obecnych generałów nie miał nic Przeciwno temu.

— W tym właśnie sęk — odpowiedziała Dowdowi. — Zadałam

<sup>18</sup> Zdobyć.



mu dokładnie to samo pytanie, a on powiedział, że nie wie. Za dużo czasu upłynęło. W końcu ponad trzydzieści lat.

— Tak — zgodził się Kelly. — A może ojciec Lodowca po prostu mówił innym polskim dialektem?

— Możliwe — zamyśliła się Strand, grzebiąc w torebce. — <sup>Prze-</sup> kopałam się przez rozmaite stare papiery i rupiecie, które Lodowiec przechowuje w pewnym domu składowym w Chicago. To jedyna dziwna rzecz, jaką tam znalazłam. — Podala oprawny w skórę notatnik Tedescowi. — Nie mam pojęcia, co to jest. Wszystko inne to chłam.

Tedesco uważnie kartkował kruche stronicę. Następnie wzruszył ramionami i przekazał notatnik Bysiowi, który go przekartkował, wzruszył ramionami i oddał Whittenbergowi, a ten Sir Izaakowi. Dopiero Kelly, otrzymawszy notatnik jako ostatni, poprzestał na kartkowaniu — był pierwszym, który nie wzruszył ramionami.

— A więc myślę, że nic więcej nie da się na razie zrobić — narzekął Whittenberg. — Miałem nadzieję, że uda nam się przynajmniej ustalić, kto zdradził, a może i wyjaśnić, dlaczego to zrobił. Mogłoby to okazać się pomocne przy odzyskiwaniu *Intrepida*. Ale śledztwo zakończyło się chyba całkowitym fiaskiem.

Zapadło przygnębiające milczenie. Przerwał je Kelly, podnosząc notatnik.

— Panie generale, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym to wziąć na parę minut do mojego biura.

Whittenberg raz jeszcze wzruszył ramionami i powiedział:

— Ależ naturalnie.

Przedłużająca się nieobecność Kelly'ego wzbudziła zaciekawienie pozostałych. W dwadzieścia minut później sierżant wrócił z notatnikiem i grubym tomem pod pachą.

— No i co tam masz, Tim? — zapytał Sir Izaak.

— Prawdę mówiąc, nie jestem całkiem pewien... — Otworzył notatnik. — To odręczne pismo wygląda na jakieś zwykłe gryzmoły, wiem. Ale to kwestia nieczytelnego charakteru pisma, poza tym papier mocno wyblakł. To, co mnie zaintrygowało, to fakt, że nie napisano tego tekstu żadnym znanym mi alfabetem.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zainteresował się Whittenberg.

— No więc, panie generale, cokolwiek to jest, nie napisano tego alfabetem łacińskim.

Dowd zachichotał.

— Nie byłbym tego taki pewien, sierżancie! Mojego rękopisu też mógłby pan nie uznać za angielski!

jKelly kiwnął głową.

Rozumiem, co pan ma na myśli, panie generale. Ale, skoro to „ie jest alfabet łaciński, to znaczy, że nie napisano tego w żadnym z języków romańskich ani germańskich, a więc nie po francusku, hiszpańsku, niemiecku czy włosku. Eliminuje to również języki zachodniosłowiańskie, jak czeski, słowacki i... polski. — Kelly oodrapał się w głowę. — Nie jest to także napisane alfabetem greckim ani cyrylicą, co wyklucza grecki, bułgarski, białoruski, macedoński, ukraiński czy serbski. Prawdę mówiąc, to pismo wygląda już bardziej na arabskie, czy ormiańskie, ale znam się na tym na tyle, by stwierdzić, że nie jest żadnym z nich.

— A co powiesz o węgierskim? — zapytał Sir Izaak.

Kelly potrząsnął głową.

— Nie, panie generale. Węgierski to język ugrofiński. Piszę się nim alfabetem łacińskim.

Sir Izaak zapalił fajkę.

— A więc, przez eliminację, jest pan pewien, że ten rękopis nie jest sporządzony w żadnym języku europejskim ani arabskim, ani ormiańskim?

— Tak jest, panie generale.

Grymas wykrzywił grubo ciosaną twarz Dowda.

— Cóż to więc za język? Chiński?

— Nie, panie generale — odparł Kelly — to nie chiński. — Otworzył grubą księgę na odpowiedniej stronie. — Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że zostało to napisane pismem zwanym mchedru-li. — Zatoczył dookoła książkę, by wszyscy mogli zobaczyć stronę z literami alfabetu, o którym wspomniał.

Dowd zaczął zdradzać irytację.

— A cóż to, u diabła, za alfabet? Kelly odchrząknął.

— Piszę się nim w języku, którego używa jakieś trzy do czterech milionów ludzi, żyjących na północ od Armenii. Ściśle mówiąc w Gruzji, w Związku Sowieckim.

Nastała cisza i niejedna brew uniosła się do góry. Sir Izaak wziął od Kelly'ego książkę i obejrzał jej okładkę. Tytuł brzmiał: „Języki, ludy i historia ZSSR”.

— Uważam — podsumował Kelly — że może to być napisane po gruzińsku.

Był to jeszcze jeden nieoczekiwany zwrot w całej tej aferze, pełnej zaskakujących zdarzeń. Whittenberg poczuł się oszołomiony.

— Nie wyciągajmy pochopnych wniosków! — przestrzegł Sir Izaak, pocierając swój orli nos. — Jeśli te strony są naprawdę zapisane po gruzińsku, może przecież być jakiś racjonalny powód. Widać, że to bardzo stary papier. Może notatnik należał do

dziadków Kapuścińskiego, którzy wyemigrowali z Gruzji do Polski') Coś w rodzaju relikwii rodzinnej. — Ale sam zdawał sobie sprawę że to, co mówi, nie brzmi przekonująco. Whittenberg wziął ponownie notatnik do ręki.

— Czy jesteś pewien tego, co powiedziałeś, Tim? — zapytał łagodnie Kelly westchnął.

— Nie, panie generale, nie jestem. Próbuję tylko porównywać to pismo ze wskazanym ustępem w książce. Jak pan widzi, rękopis wygląda, jakby go napisała kura pazurem, a w tej książce podano że w Związku Sowieckim ludzie mówią mniej więcej stu trzydziestoma językami, od jakuckiego po kurdyjski. W przybliżeniu połowa z nich nie istnieje w formie pisanej. Wysunąłem więc tylko naukową hipotezę.

Sir Izaak wziął notatnik z rąk Whittenberga i starannie porównywał pismo z ustępem książki.

— W porządku, Tim. Jesteś tu jedynym ekspertem. Do kogo powinniśmy się zwrócić, gdybyśmy chcieli zweryfikować twoją tezę?

Kelly nie zwlekał z odpowiedzią.

— Jest u nas paru dobrych ludzi, którzy mogliby się tym zająć. Ale gdyby to zależało ode mnie, zwróciłbym się do faceta, który napisał tę książkę — powiedział, wskazując na tom. — To profesor George Brennan. Pracuje w Instytucie Sowieckim Averella Harrimana na Uniwersytecie Columbia. Nie ma nikogo, kto wiedziałby więcej od niego o historii Rosji i jej językach. Współpracowałem z nim, kiedy przesłuchiwałem Bielenkę.

— Zwróć się do niego! — rozkazał Whittenberg.

*Dzień 3., 23:00 czasu Greenwich, 18:00 miejscowego Uniwersytet Columbia, Nowy Jork*

Profesor George Kirtwell Brennan był kierownikiem katedry języka rosyjskiego i historii Rosji na Uniwersytecie Columbia od siedemnastu lat, czyli od momentu kiedy sponsorował ją zarząd Pepsi-Coli —■ ciągle jeszcze jedyne amerykańskie napoje bezalkoholowe, jaki można nabyć w Moskwie. Siedemdziesięcioletni uczonek o kopolastej łysinie, zawsze w muszce, napisał czternaście książek o Związku Sowieckim, a jego prywatny księgozbiór w domu na Long Island mógł śmiało rywalizować z niejedną biblioteką średniej wielkości college'u. Choć był przede wszystkim wykładowcą, często korzystały z jego konsultacji CIA, Departament Stanu, Departament Obrony oraz Urząd Bezpieczeństwa Państwa. Jako świeżo upieczony absolwent Oksfordu i cudowne dziecko w dziedzinie lingwistyki" podczas drugiej wojny światowej Brennan wylądował w miejscu

wanym Bletchley Park, gdzie pomagał rozszyfrowywać niemieckie **depe<sup>sze</sup>** za pomocą maszyny deszyfrującej Enigma. Krótko mówiąc, **nijąe** niewiele ponad dwadzieścia lat stał się jednym z twórców Ultrasecretu. Było to trudne doświadczenie dla kogoś tak młodego. **Teraz** wszakże, na starość, nie był już dłużej w stanie zajmować się **o<sup>wynii</sup>** ekscytującymi sprawami, którym poświęcił około pięćdziesięciu lat życia.

Był piątkowy wieczór. Brennan miał właśnie wyjść ze swego biura w Instytucie Harrimana, mieszczącym się na terenie uniwersyteckim. Nazajutrz rano miał wyjechać z żoną na cztery dni do swego domu w **stanie** Maine, w którym zwykli spędzać wakacje, najchętniej z dziećmi i wnukami. Kiedy stary profesor zamykał drzwi gabinetu, zadzwonił telefon. Pomyślał, że to dzwoni żona. by się upewnić, że **jest już** w drodze do domu. Podniósł słuchawkę i mruknął:

— Brennan.

— Profesor Brennan?

— Tak, zgadza się. A kto mówi?

— Panie profesorze, tu sierżant szef Tim Kelly z kwatery głównej Dowództwa Kosmicznego w Colorado Springs.

Zapadła cisza. Brennan usiłował sobie przypomnieć, o kogo chodzi. Nazwisko z czymś mu się kojarzyło, ale chwilowo nie wiedział z czym.

— Pamięta pan, profesorze... — nalegał Kelly. — Pracowaliśmy razem nad zeznaniami Bielenki. Byłem wtedy w Defence Intelligence Agency.

W mózgu Brennana zabłysnął flesz.

— Ależ tak! Oczywiście! Przepraszam cię, Tim. Pamięć mnie na chwilękę zawiodła. Co tam u ciebie? Mój Boże, ileż to już lat minęło...

Kelly zaśmiał się.

— Tak, panie profesorze. No i prawdę mówiąc, nie dawałem przesadnie często znaku życia...

Teraz zachichotał profesor.

— Sam też nie jestem bez winy, jeśli o to idzie. A więc, czemu zawdzięczam zaszczyt, że dzwonisz? Wiesz, nadal żałuję, że nie zapisałeś się u nas na studium doktoranckie. Bardzo mi zaimponowałaś podczas afery Bielenki. Nigdy cię nie kusiło, żeby tu **jednak** przyjechać?

Kelly zaśmiał się ponownie.

— Nie, panie profesorze. Obawiam się, że teraz jestem już na to trochę za stary.

— Chrzanisz! — parsknął profesor głosem zdradzającym dobry **humor**. — Umiera się dopiero wtedy, kiedy człowiek przestaje się <sup>Ue</sup>żyć. Ale niech ci będzie, jeśli cię to nie interesuje. Cóż zatem mogę **d<sup>a</sup>** **ci**bie zrobić?

Kelly odchrząknął.

— Panie profesorze, mam tu dość wyjątkową sytuację. Nie mo panu powiedzieć, o co chodzi, ale chciałbym podkreślić, że sprawa jest bardzo... niesłychanie ważna. Wszedłem w posiadanie rękopisu<sup>3</sup> miennego dokumentu, napisanego chyba po gruzińsku. Przynajmniej tak mi się wydaje. Byłoby wielce pożądane, żeby pan zbadał ten dokument i podał mi z grubsza jego treść. Muszę wiedzieć, czy istotnie został napisany po gruzińsku. Poza tym, tak czy owak chciałbym znać pana zdanie na temat tego rękopisu.

— Nie ma sprawy, Tim — pocieszał go profesor. — Dla starego przyjaciela gotów jestem na wszystko! Przyślij mi to po prostu pocztą, a ja to przejrzę, jak tylko wrócę z Maine. Właśnie tam wyjeżdżam na urlop. Kelly wziął głęboki oddech.

— Profesorze, ta sprawa jest raczej pilna. Byłbym wielce zobowiązany, gdyby pan zechciał rzucić na to okiem teraz. Na moment zapadła cisza.

— Teraz? — odezwał się Brennan.

— Tak, panie profesorze.

— Posłuchaj, Tim, nie zrozum mnie niewłaściwie. Z radością bym ci pomógł. Ale jak już mówiłem, właśnie wyjeżdżam na parę dni. Powiem szczerze, że nie chciałbym sprawiać zawodu żonie, która ten urlop od dawna planowała. Dość już nadużywałem jej cierpliwości. Więc wsadź to do koperty, a obiecuję zająć się tym natychmiast po powrocie. Znowu na chwilę zapadła cisza.

— Profesorze! — odezwał się błagalnie Kelly. — To bardzo pilna sprawa.

Ton głosu starego znajomego nie uszedł uwagi Brennana.

— Co to znaczy „pilna” w tym konkretnie przypadku, Tim?

— Sto razy pilniejsza niż Bielenko. Jeśli będzie trzeba, mój szef załatwi, że zadzwonią do pana z Białego Domu, potwierdzając powagę sytuacji. Potrzebujemy pańskiej pomocy, profesorze, i to natychmiast.

To ostatecznie przełamało opory starego uczonego.

— Więc... hmm, jeśli tak się rzeczy mają, będę oczywiście rad mogąc ci pomóc, Tim. Ale naprawdę nie wiem jak. To, o co prosisz, wymaga zapoznania się z dokumentem, o którym wspomniałeś, a o ile dobrze pamiętam, mówiłeś, że dzwonisz z Kolorado.

— Taak... — zastanawiał się Kelly — a nie macie tam przypadkiem faksu?

Profesor nigdy nie był entuzjastą nowinek technicznych.

— Czy chodzi o to coś, co umożliwi przesłanie kopii dokumentu przez telefon? — W jego głosie można było dostrzec ślady irytacji-

— Tak, panie profesorze. O to właśnie chodzi.

— Wydaje mi się, że mają coś takiego w dziekanacie. Ale wszyscy już wybyli na weekend, a ja nie wiem, jak się tym posługiwać.

Jelly wiedział, że musi szybko coś wymyślić. Nie mógł pozwolić, aby Brennan zerwał mu się z haczyka.

— Powiem panu, profesorze, co zrobimy. Proszę się z nami nłaczyć tym faksem i powiedzieć, jakiego jest rodzaju. Wtedy nasz technik wyjaśni panu, co trzeba robić.

Stary profesor westchnął. Był bardzo zmęczony i naprawdę chciał już jechać do domu.

Jesteś pewien, że to nie może poczekać? — Całkowicie, profesorze. Z ręką na sercu.

A więc dobrze... — powiedział Brennan bez entuzjazmu.

W dwadzieścia minut później repliki pierwszych piętnastu stron notatnika znalezionej w Chicago zaczęły się wysuwać z faksu firmy Minolta na kampusie Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku.

*Dzień 3., 23:00 czasu Greenwich, 15:00 miejscowego* **Baza Sił Powietrznych Vandenberg**

Monaghan wyciągnął szyję, by popatrzeć na Kestrela, zawieszonyj ponad rakieta Tytan 34-D w hangarze załadunkowym. Tam wysoko technicy krzatali się, by przymocować ogon kosmoplanu do bustera. Nigdy jeszcze nie dopasowywano tych elementów, więc robota szła powoli, jak zwykle w przypadku prototypu. Monaghan uznał, że czas przejść się do bunkra kontroli startu i przystąpić do zapoznawania się z planem lotu.

— No i jak leci, Wściekły Psie? — zapytał go ktoś z tyłu. Odwrócił się i twarz mu się od razu rozpromieniła. Był to Lamborghini w zielonym kombinezonie lotniczym.

— Cześć, Stara Wyścigowo! Kopę lat! Gadaj, do pioruna, co u ciebie! — Klepnął pułkownika po plecach i potrząsał jego prawicą.

Lamborghini uśmiechnął się.

— Nie najgorzej, Wściekły Psie. A u ciebie? Monaghan skrzywił się.

— Mogłoby być lepiej. Trochę mi ostatnio przysrano. Domyślam się, że wiesz coś o tym. — Wskazał palcem w górę, w stronę Kestrela. Lamborghini skinął głową.

— Taaak. A jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, mój tyłowy leży w szpitalu, a ta siekiera McCormack dobiera mi się do <sup>au</sup>Py! Mówię ci, musiał mu jakiś marynarz zrobić kuku jeszcze \* dzieciństwie, bo ile razy spojrzy na kotwicę na moim rękawie, dostaje szału!

Lamborghini roześmiał się.

278

— Nie bierz tego tak serio — pocieszał go. Monaghan westchnął.  
— Och, nie mam zamiaru pękać ani się skarżyć. Ale co ciebie tu sprowadza, Stara Wyścigowo? — Nikt nigdy nie miał wątpliwości że tak właśnie powinno brzmieć hasło wywoławcze Lamborghiniego.  
— No więc, prawdę mówiąc, jestem tu w związku z twoim tyłowym.  
— O, a masz już kogoś namierzonego? — zapytał Monaghan.  
— Taaak.  
— Nie chrzanisz? Kogo? Znam go?  
— Można by tak to ująć. Stoi przed tobą! Monaghan zdębiał.  
— Ty?  
— Ja.  
— Jakim sposobem?  
— Rezultat procesu eliminacji — wyjaśnił Lamborghini. — Kestrel był sprawą supertajną. Przeszkolono tylko jedną załogę, żeby wypróbować prototyp. Jestem jedyną osobą mającą kwalifikacje lotnicze, która miała do czynienia z jego systemami uzbrojenia. Albo znajdę się na pokładzie, albo trzeba będzie odwołać tę misję. Proste?  
Monaghan potrząsnął głową.  
— Dobra. Mówiąc między nami, dziewczętami, mam nadzieję, że *Constellation* poradzi sobie z cholernym *Intrepidem* bez naszej pomocy. Latanie na tym nie było w planie co najmniej jeszcze przez rok. Cała ta operacja wygląda mi na prowizorkę. A po ostatnim starciu z McCor-mackiem zaczynam myśleć bardzo ciepło o emeryturze.  
Lamborghini ponownie się roześmiał i spojrzął na zegarek.  
— Słuchaj, umieram z głodu. Co byś powiedział na to, żebyśmy skoczyli wrzucić na ruszt jakiś stek, a potem do Edwards trochę potrenować na symulatorze. Przy obiedzie podszkolisz mnie na chybcika w tych systemach.  
— Trafiłeś w dziesiątkę, Wyścigowo! Jesteś pierwszą sympatyczną gębą, jaką widzę od nie wiadomo kiedy.  
Spojrzał przez ramię w górę na Kestrela i wyszczerzył zęby.  
— O kurwa! Wściekły Pies i Wyścigowa! To brzmi całkiem nieźle, co? Ktokolwiek wejdzie nam w drogę, zarobi kopa w dupę!

*Dzień 3., 23:45 czasu Greenwich, Uniwersytet Columbia*

*18:45 miejscowego*

Profesor George Kirtwell Brennan odłożył szkło powiększające — Dobry Boże! — wykrzyknął — To nie do wiary!  
Zapomniał o zmęczeniu, zerwał się z krzesła i popędził do jednego

**pomieszczeń, w których przechowywano teczki z materiałami <sup>1</sup> Jhiwalnymi. Pogrzebał w papierach, aż znalazł w specjalnej kopercie Pewien dokument. Wrócił do siebie i położył go na biurku obok <sup>kartek</sup> przesłanych faksem z góry Cheyenne. Ponownie wziął szkło owiększające i kilkakrotnie uważnie porównywał oba teksty. Wreszcie odłożył lupę, tym razem tak gwałtownie, że omaal jej nie stłukł. Dobry Boże! — powtórzył, zachłystując się. — Tak, to jest to! Sięgnął po słuchawkę telefonu.**

*Dzień 3-, 24:00 czasu Greenwich, 17:00 miejscowego Góra Cheyenne*

Na pulpicie telekomunikacyjnym w sali konferencyjnej zabrzączało. Whittenberg podniósł słuchawkę. Po paru słowach zwrócił się do Kelly'ego:

— To do ciebie, Tim. Profesor Brennan z Nowego Jorku.

— O, wspaniale. Jak szybko! — Kelly podszedł do telefonu. — Może przełączy pan na głośnik, panie generale? Wtedy wszyscy będziemy słyszeli.

— Dobry pomysł — powiedział Whittenberg i wcisnął guzik na pulpicie.

— Tim? — rozległo się z głośnika.

— Tak, panie profesorze. To ja. Wraz ze mną będą pana słuchać komendant Dowództwa Kosmicznego, generał Rodger Whittenberg, nasz szef sztabu, zastępca szefa sztabu do zadań operacyjnych oraz moja przełożona, major Lydia Strand. Kelly uznał, że lepiej nie wspominać o obecnym na sali agencji FBI — wymienił z nim porozumiewawcze spojrzenie.

— Panowie i pani! — pozdrowił ich Brennan zemocjonowanym głosem. — Tim, muszę cię o coś zapytać. Skąd, u diabła, wytrzasnąłeś <sup>te</sup> dokumenty?

Kelly popatrzył na Whittenberga, który potrząsnął głową.

— Profesorze, obawiam się, że chwilowo nie wolno mi zaspokoić Pańskiej ciekawości. Ponadto byłoby ogromnie trudno wyjaśnić tę <sup>Prawę</sup> przez telefon.

Brennan wydał z siebie nieokreślony pomruk, po czym stwierdził: ."— Nie jestem tym zaskoczony. Czy w ogóle macie pojęcie, coście

<sup>m</sup> Przesłali do ekspertyzy? "7 Nie, panie profesorze, nie mamy. Ja tylko twierdę, że tekst

<sup>na</sup> Pisano po gruzińsku.

Rozumiem. A więc, szanowny kolego, mam ci coś do zakomu-kowania. Zbadałem to tylko pobieżnie, zdajesz sobie z tego sprawę, <sup>e</sup> nie mam żadnych wątpliwości. Miałaś całkowicie rację. Rękopis

280



jest gruziński. Stanowi, jak się wydaje, fragmenty oryginalne tekstu serii artykułów zatytułowanych „Anarchizm iiii socjalizm” jak wiesz, znaczy „Anarchizm czy socjalizm”. Zostały opublikować w jakichś czasopismach gruzińskich na początku stulecia, a autorem był młody miejscowy rewolucjonista Josif Dżugaszwili Kelly'emu szczeka opadła niemal aż na stół...

— A któż to taki, ten Josif jak mu tam? — zapytał lakonicznie Dowd.

— Josif Dżugaszwili to oryginalne imię i nazwisko generalissimusa Józefa Stalina.

— Stalina?! — wykrzyknął chór głosów. Tylko Kelly milczał. On wiedział.

— Ale, ale... — jękał się Dowd — nie rozumiem. Myślałem, że Stalin był Rosjaninem. Czy on nie pisał cyrylicą?

— To błędny pogląd, który podziela wielu ludzi — powiedział głos z głośnika. — Stalin urodził się w małym gruzińskim miasteczku **Gori**. Gruzicki był jego językiem rodzinnym, rosyjskiego zaczął się uczyć dopiero, kiedy miał około dziesięciu lat. Oba języki zdecydowanie się różnią. W istocie Stalin do końca życia mówił po rosyjsku z silnym gruzickim akcentem. Brennan chwilę odczekał, żeby jego słowa dotarły do świadomości słuchaczy, po czym ciągnął dalej:

— Kiedy słabe zdrowie zmusiło Stalina do porzucenia seminarium duchownego w roku 1899, zajął się aktywnie działalnością polityczną. Początkowo pisał w języku gruzickim; dokument, który mi przesłaliście, to właśnie jeden z jego wczesnych tekstów. Porównałem rękopis z pisany własnoręcznie po gruzicku przez Stalina listem, który mam w swoich zbiorach. Nie jestem wprawdzie ekspertem grafologiem, ale jego niewyrobiany charakter pisma jest bardzo specyficzny. Moim zdaniem oba teksty wyszły spod tej samej ręki. A treść wyklucza wszelką wątpliwość. Z całą pewnością jest to fragment pracy „Anarchizm czy socjalizm”.

— Panie profesorze, mówi Rodger Whittenberg. Nie sądzę, żeby pan mnie pamiętał, ale byłem pańskim słuchaczem, kiedy robiłem magisterium w Georgetown. Czy mam rozumieć, że wedle pańskiej fachowej opinii jest to tekst napisany własnoręcznie przez Stalina-

— Dokładnie tak.

Whittenbergowi pulsowało pod czaszką.

— Muszę pana zapytać o coś jeszcze, profesorze. Czy tego rodzaju autografy są dostępne na rynku? Wie pan, chodzi mi o hand dokumentami historycznymi. Sam kiedyś kupiłem parę listów, jak| wymienili Napoleon z Muratem pod Austerlitz. Czy w posiadanie tego dokumentu można było wejść w podobny sposób?

Z głośnika rozległ się sarkastyczny śmiech.

Byłoby trudno. To nie jest coś z gatunku rzeczy, jakie może nabyć na aukcji u Sotheby'ego. Autografy Stalina są nadzwyczajną rzadkością. Szczególnie wczesne. Mielicie szczęście kontaktu z mną. Wątpię, czy w całym kraju znajdzie się trzy, najwyżej cztery osoby dysponujące próbkami jego wczesnego rękopisu gruzińskiego- Nieliczne, które mam w swoich zbiorach, dostałem od zaprzyjaźnionego akademika ze Związku Sowieckiego. Jak panu zapewne wiadomo, Stalin to temat nadzwyczaj delikatny dla wszystkich przywódców rosyjskich począwszy od Chruszczowa. Zupełnie jakby w ogóle nie istniał. Przez ostatnie trzydzieści lat dostęp do czegokolwiek, co go dotyczyło, był trudny. Już samo posiadanie takich dokumentów, zwłaszcza poza Związkiem Sowieckim, jest czymś wyjątkowym. Właśnie dlatego byłem ciekaw, jak trafiły w wasze ręce.

Wszystkie oczy spoczęły na Whittenbergu, w oczekiwaniu odpowiedzi.

— Profesorze Brennan, gdybym to panu powiedział, prawdopodobnie nie uwierzyłby pan. Ja sam właściwie nie mam pewności, czy w to wierzę. Jeśli wyrazi pan zgodę, dostarczę panu oryginały przez specjalnego posłańca, żeby mógł je pan zbadać i zweryfikować swoje wstępne ustalenia. Rzecz jasna, otrzyma pan stosowne wynagrodzenie za dokonanie ekspertyzy.

— Sposobność badania oryginalnego tekstu będzie dla mnie wytarczającą zapłatą, panie generale. Jestem przekonany, że Archiwum Bachmietiewa na naszym uniwersytecie ogromnie by sobie ceniło pozyskanie tych dokumentów... jeśli kiedykolwiek powstałaby taka możliwość.

— Doskonale, panie profesorze. Zobaczę, co się da zrobić. Brak mi słów, by dostatecznie wyrazić panu wdzięczność za okazaną nam pomoc.

— Zawsze do usług, panie generale. Czekał na oryginały. Do widzenia, Tim.

~ Do zobaczenia, panie profesorze — powiedział Kelly. — Będziemy w kontakcie.

Przez prawie minutę panowała cisza. Wszyscy potrzebowali czasu, żeby przyjąć do siebie. Wreszcie odezwał się Whittenberg. A więc to Lodowiec! — powiedział miękko. — To musi być on.

Dowd ścisnął mały, oprawny w skórę notatnik tak mocno, że na muskularnym przedramieniu widać było żyły. Wolałby dostać w swoje gardło Kapuścińskiego.

~~ Cholera! — parsknął przez zęby. — Pierdolony Josif Stalin!

282

*Dzień 3., 24:00 czasu Greenwich Intrepid*

Stalin był szaleńcem — zaciekle, prawdziwym, klinicznym szaleńcem. Są historycy, którzy twierdzą, że jako polityk wznosił się na szczyty twardego, bezlitosnego pragmatyzmu. Ale to nieprawda. Był po prostu szalony. Szalony w najbardziej występny, wyrachowany sposób — podobnie jak Iwan Groźny pod koniec życia, kiedy topił swój kraj we krwi. Bledną w zestawieniu z nim tacy ludobójcy, jak Tamerlan, Czyngis-chan, Hitler, Napoleon czy ajatollah Chornei-ni — popełnionymi zbrodniami zakasował ich wszystkich. Za jego sprawą popłynęła rzeka krwi, która mogłaby przemienić Morze Czarne w czerwone.

Co sprawiło, że z małego Josifa Dżugaszwili wyrósł szalony złoczyńca? Nie wiadomo. Całkiem możliwe, że przyczynił się do tego jego ojciec, zapijaczony szewc-partacz, który bił go okrutnie. Tak czy owak Stalin (imię to przybrał jako „człowiek ze stali”), przejąwszy władzę ze słabnących rąk umierającego Lenina, nie wypuścił jej ze swoich do końca życia. Żaden inny dyktator w dziejach nie dysponował tak absolutną, wszechogarniającą władzą i nie zgładził tylu ludzi.

A głównym wykonawcą krwawych czystek Stalina — można by rzec rosyjską wersją Himmlera — był jego sługa, tak straszny, że nazwisko to, wymienione choćby szeptem, przejmowało drżeniem nawet najtwardszych członków Politbiura. Nazywał się Ławrientij Pawłowicz Beria, piastował stanowisko komisarza NKWD, straszliwej tajnej policji Stalina. Był niezgrabnym, flegmatycznym osobnikiem, równocześnie dobronudusznym i wrogim. Z twarzą stoika, łysą głową, w binoklach wyglądał raczej na nauczyciela czy lekarza niż na szefa tajnej policji. Pod tym niegroźnym wyglądem skrywał najczarniejsze z serc, umysł zaprzątnięty knuciem intryg i podstępów oraz skłonność do perwersji seksualnej. Właśnie owa perwersja, której ofiarą padały dzieci, przyczyniła się do jego zguby. Odraza pozostałych członków Politbiura wyobcowiła go z ich grona w walce o władzę, do której doszło po śmierci Stalina. Nie zdołała go uratować nawet piekielna chytryść. Lepszego epilogu nie wymyśliłby nawet poeta: oskarżono go o szpiegostwo i po sześciodniowym procesie politycznym stracono 23 grudnia 1953 roku.

Ale w 1945 roku, kiedy wielka wojna ojczyźniana dobiegała końca, pozycja i wpływ Berii sięgały szczytu; mógł w pełni korzystać<sup>0</sup> ze swej ogromnej, występnej, wizjonerskiej potęgi. Dobrze wiedział, że po klęsce Niemiec generalissimus będzie potrzebował nowego wielkiego wroga, bowiem dyktatorzy zawsze potrzebują wielki<sup>0</sup> wrogów, żeby się utrzymać przy władzy. Wykalkulował sobie. <sup>zo</sup> Wielka Brytania, Europa Zachodnia i Japonia przestały się już

. „ potencjalni rywale. Ich czas już minął. Przedmiotem następnej „frontacji musiały więc być Stany Zjednoczone — przeciwnik otężny, ale naiwny. Taka konfrontacja, mogąca doprowadzić do wojny- choć niezbędna, niosła też niebezpieczeństwo. Przecież małe Niemcy bliskie były pokonania *Matiuszki Rossiji*, a ich zasoby nie wytrzymały porównania z bogactwem Ameryki. Beria uznał, że z tak potężnym nieprzyjacielem poradzić sobie można tylko używając nadzwyczajnych środków, wykorzystując całą zdolność sowiecką w zakresie podstępów, dwulicowości, propagandy, a zwłaszcza „piegostwa. Zniszczenie tak ogromnego mocarstwa wymagało całej armii szpiegów. Poszukując w tym zakresie niekonwencjonalnego oręża. Beria uknuł długofalowy szatański plan zasiania w amerykańskiej glebie sowieckiego ziarna. Z czasem miało ono wykiełkować i zadać zamorskiemu kolosowi cios od wewnątrz.

#### *Luty 1945 roku* **Moskwa**

Śnieg grubą warstwą pokrywał plac Czerwony.

Armia niemiecka była rozbita i cofała się ku Berlinowi, z kręgosłupem przetrąconym przez cztery rosyjskie zimy i dywizje marszałka Żukowa. W Moskwie panował nastrój zwycięstwa i ulgi, gdyż najeźdźców wyparto już do Odry, a koniec wojny był tylko kwestią czasu.

W podziemiu gmachu Rady Ministrów na Kremlu dwudziestosiedmioletnia, ale wyglądająca na znacznie starszą wieśniaczka próbowała zaprowadzić nieco porządku w walających się dokumentach Ministerstwa Robót Publicznych. W październiku 1941 roku, kiedy niemieckie jednostki pancerne były zaledwie o sto kilometrów od stolicy, akta i papiery urzędowe rządu sowieckiego pośpiesznie wyciągano z Kremla, ładowano na ciężarówki i wywożono do magazynów za Uralem. Teraz, kiedy wojna miała się ku końcowi, spakowane dokumenty zaczęto powoli zwozić z powrotem do Moskwy, gdzie je sortowano i kierowano na właściwe miejsce. Nawet wojna nie zaszkodziła zbytnio sowieckiej biurokracji. Wieśniaczka Wiktorina i jej przyjaciółka Ludmiła pracowały metodycznie w świetle pojedynczej gołej żarówki, w temperaturze tak niskiej,

że z ust leciała im para. Ale nie narzekały. Wiedziały, że „da zaoszczędzona bryła węgla może zostać wykorzystana do ^apędu i oświetlenia fabryki zbrojeniowej. A broń potrzebna była do ykończenia Niemców.

Otworzyły się drzwi i weszła nadzorująca ich pracę kobieta —

'Ckszość rosyjskich mężczyzn walczyła jeszcze na froncie.

—” Muszę z tobą pomówić, Wiktorio! — powiedziała nerwowo.

Wiktoria podniosła głowę, przerwała robotę i poszła za nią do lepiej ogrzanego biura na parterze. W jego drzwiach stał na straży krzepki enkawudzista z pepeszą.

— Masz pójść z tym człowiekiem — powiedziała jakby z niepokojem nadzorczyńni.

Wiktoria kiwnęła głową i wyszła na zewnątrz, gdzie było na co popatrzeć — stał tam samochód, i to jaki! Jeszcze nigdy nie widziała czegoś takiego. Jaki lśniący. Jaki czysty. Jaki wielki. Była cokolwiek zaszokowana, kiedy umieszczono ją wraz z obstawą na tylnym siedzeniu limuzyny Packarda i zawieziono do niezbyt odległego budynku na placu Dzierżyńskiego.

Kiedy tam dojechali, zaprowadzono ją po schodach na górę do przestronnego biura, gdzie stało wielkie biurko i tapczan. Zauważyła, że pomieszczenie było dobrze ogrzane, a ściany pokryte obiciem przypominającym kołdrę, co wydało jej się dziwaczne. Nie miała pojęcia, że był to materiał dźwiękochłonny, tłumiący krzyki gwałconych w tym pokoju dziewcząt. Za biurkiem siedział zwalasty mężczyzna w krawacie, kamizelce i binoklach. Palił fajkę, a przed nim stała szklanka wody mineralnej i leżała tekturowa teczka. Wlepił oczy w kobietę i przez chwilę bębnił palcami po teczce.

— Wiktorio Pietrowna Kamińska, podejdźcie bliżej! — zakomenderował.

Wieśniaczka posłusznie zbliżyła się do biurka.

Komisarz omiół spojrzeniem całą jej postać. Stwierdził, że jest okropnie chuda, ubrana niemal w łachmany, ma zaniedbane brązowe włosy pod wiejską, związaną z tyłu chustą, ale brązowe oczy wyglądają intrygująco. Mogło to świadczyć o inteligencji.

— Wiesz, kim jestem? — zapytał. Wiktoria kiwnęła głową.

— Jesteście komisarzem. Widziałam waszą fotografię. Ławrentij Beria napił się wody mineralnej.

— Zgadza się, towarzyszeko Kamińska... macie słuszność. — Napił się znowu i otworzył leżącą na biurku teczkę. —

Gdzieście się urodzili, towarzyszeko Kamińska? — zapytał urzędowym tonem.

— W Gancewiczach — odpowiedziała spokojnie.

— Na Białorusi — stwierdził komisarz.

— Na Białorusi — potwierdziła.

— A kiedyście się urodzili?

— 28 października 1917 roku. Kolejny łyk.

— Dziecię naszej Wielkiej Rewolucji! — powiedział teatralnie, P° czym znów zajrzał do teczki. — Wasi rodzice sprzyjali Białym, W oddani carowi. Zostali straceni... — sprawdzał szczegóły —

kwietnia 1918 roku jako wrogi element. A wy, ich córka, wstąpiliście do partii 29 czerwca 1941 roku. Powiedzcie mi, towarzysko Kamińska, czemu wstąpiliście do naszej sławnej rewolucyjnej partii? Wieśniaczka wzruszyła ramionami i powiedziała:

— Niemcy!

Jakby ta krótka odpowiedź wyjaśniała wszystko. I dla Białorusinów, takich jak Wiktoria, rzeczywiście wyjaśniała. Właśnie Białoruś doświadczyła całego wściekłego impetu operacji Barbarossa w czerwcu 1941 roku, kiedy przez granicę sowiecką runęły niemieckie czołgi. W ciągu całej wielkiej wojny ojczyźnianej straciła życie czwarta część jej ludności.

— Tak... Niemcy — powtórzył łagodnie komisarz, przekładając kartkę w teczkę. — A wasz wuj, Oleg, który was wychował? Jaki los spotkał go z rąk najeźdźców?

— Śmierć — powiedziała Wiktoria.

— A wasza ciotka, Jekatierina?

— Także nie żyje.

— A wasz kuzyn, Piotr?

— Też nie żyje. Kolejny łyk.

— A wy przeżyliście. — Było to stwierdzenie, nie pytanie. Kiwnęła głową.

— Jak wam się udało przeżyć, towarzysko Kamińska? Komisarz nie zaprosił jej, by usiadła, stała więc dalej przed biurkiem, recytując swoją historię.

— Przyszli Niemcy — wspominała, podczas gdy binokle zaglądały jej w oczy — moja wieś, Gancewicze, była blisko polskiej granicy. Zjawili się bardzo szybko. Nie zdążyliśmy uciec na wschód, choć próbowaliśmy. Złapał nas niemiecki patrol. Zastrzelili całą moją rodzinę. Miałam być następna, ale najpierw mnie gwałcili — relacjonowała beznamiętnie. — Zgwałciło mnie siedmiu. A kiedy to robili, przyszli partyzanci i pozabijali Niemców. Ich dowódca był komisarzem z naszej wsi; to dzielny człowiek. Wzięli mnie ze sobą. Szliśmy na wschód nocą, a w dzień spaliśmy. Udało nam się Przemknąć przez front i dotarliśmy do Moskwy przed Niemcami.

Komisarz patrzył na nią w zamyśleniu, potem zajrzał znowu do teczki.

— Wasza opowieść jest niekompletna, towarzysko Kamińska! — Powiedział na koniec. — Zapomnieliście wspomnieć, że początkowo

było w waszym oddziale trzynaścioro partyzantów, a tylko troje otarło do Moskwy. Zaniedbaliście dodać, że osobiście zabiliście uoziem ośmiu Niemców. Nie wspomnieliście, że doszliście do Moskwy tylko dzięki śmierci głodowej i że niebawem pracowaliście przy odbudowaniu miasta. Nie wspomnieliście, że zostaliście odznaczeni

Orderem Lenina. Zapomnieliście powiedzieć — podniósł głos — jesteście bohaterką. Ale ja to wiem, towarzyszo Kamińska. Wiem o was wszystko. Mam szczegółowy raport komisarza z waszej wójki który razem z wami przeżył. Wasza teczka partyjna jest kompletna! Także wasza teczka w Urzędzie Bezpieczeństwa. Nie ma takiej rzeczy, której bym o was nie wiedział, Wiktorio Pietrowna! — Beria zamknął gwałtownie teczkę, wstał i zaczął wyglądać przez okno: był to wykalkulowany chwyt, żeby spotęgować dramaturgię chwili. •— Wstąpiliście do partii, towarzyszo, bo partia was uratowała uchroniła, wykarmiła, odznaczyła i dała wam pracę. Dlatego właśnie wstąpiliście do partii. Czy mam rację? Wiktorია pomyślała, że byłoby nierozważnie zaprzeczać temu mężczyźnie, nawet jeśli jej prawdziwe motywy były inne. — Tak, towarzyszu komisarzu, macie rację. Beria zniżył głos. — I nie ma niczego, czego byście nie zrobili dla partii, prawda? — Nie ma — odpowiedziała jak echo. Komisarz odwrócił się i pochylił nad biurkiem. — Tego się właśnie po was spodziewałem, towarzyszo! Siadajcie! Wiktorია usiadła, a on ciągnął dalej. — Generalissimus zlecił mi pewną misję. Niesłychanie ważną misję, która będzie wymagała poświęcenia i ofiarności towarzyszy o niekwestionowanej lojalności, takich jak wy. — Generalissimus! — szepnęła Wiktorია z uwielbieniem. Dla niej nie byłoby różnicy, gdyby sam Pan Bóg zlecił Berii osobiście tę misję. Po przybyciu do Moskwy była słaba, chora, na wpół zagłodzona. Mimo to natychmiast przyłączyła się do gromady mieszkańców stolicy kopiących rowy przeciwczołgowe, które miały uchronić miasto przed siłami pancernymi Guderiana. Pewnego dnia, kiedy pracowali, podniosła głowę i zobaczyła Jego. Samego Stalina! Zjawił się osobiście. Pozdrowił ich, podnosząc zaciśniętą pięść, a potem zniknął w swym samochodzie, równie szybko, jak się pojawił. Ludzi ogarnął entuzjazm. Chwycili mocniej oskardy i łopaty, wzięli się do roboty z wściekłą zajądlnością. — Zrobilibyście wszystko dla towarzysza Stalina, towarzyszo? — spytał szorstko komisarz. — Wszystko! — odpowiedziała Wiktorिया bez wahania. Beria patrzył na nią zimnym, złowieszczym wzrokiem, wreszcie powiedział: — Dobrze! — Potem rzekł wyzywającym tonem: — To misja<sup>3</sup> specjalna, którą musimy podjąć dla ratowania ojczyzny, Wikton<sup>0</sup> Pietrowna. Zadanie na całe życie. Czy rozumiecie? Na całe życie! Nie będzie zbyt niebezpieczne i będziecie żyli dostatnio, ale musicie bezwzględnie dochować tajemnicy. Tak, tajemnicy. To najważniejsze

jest to zadanie tak bardzo tajne, że nie mogę wam zdradzić, na czym ma polegać, dopóki się go nie podejmiecie. — Uśmiechnął się. — Oto dylemat, nieprawdaż, Wiktorio Pietrowna? Nie możecie dowiedzieć się, na czym misja polega, zanim się jej nie podejmiecie. Zostali do niej wybrani jedynie najbardziej oddani członkowie partii. Sam Stalin zaaprobował wasz wybór. Powiedzcie mi absolutnie szczerze, Wiktorio Pietrowna, czy zgodzicie się ją wypełnić bez wahania? Czy potraficie dowieść, że wybór był słuszny? Czy nie zawiedziecie wielkiego Stalina?

Każdy inny Rosjanin byłby już podczas tej rozmowy półżywy ze strachu. Ale wojna stępiła w Wiktorii poczucie lęku i zahartowała ją w poświęceniu dla wodza i partii. Komisarz z jej wsi uratował jej życie. Żałowała swych rodziców, ale nigdy ich przecież naprawdę nie знаła. Wiedziała tylko, że dwadzieścia milionów ludzi sowieckich zginęło, a jej udało się przeżyć. No i widziała na własne oczy Stalina. A teraz on ją wezwał.

— Zgadzam się! — powiedziała stanowczo. Beria kiwnął głową.

— Dobrze! — powiedział i powtórzył z emfazą: — Dobrze! Towarzysz Stalin wiedział, że może na was liczyć. — Nie powiedział natomiast, że gdyby odmówiła, nie wysłaby żywa z gmachu przy placu Dzierżyńskiego.

Beria zadzwonił po herbatę i przez dwie godziny cierpliwie i szczegółowo wyjaśniał Wiktorii, że wkrótce poślubi innego lojalnego sowieckiego człowieka, również wybranego przez generalissimusa. Stało miało zostać poddane intensywnemu szkoleniu językowemu, a po wojnie miano je wsadzić do pociągu jadącego do Polski. Z Warszawy wyemigrują do Ameryki, wraz z rzeką tysięcy wychodźców, jaka popłynie po wojnie do ziemi obiecanej. Zapewni się im tajne źródło pieniędzy.

Mają mieć tylko jedno dziecko i wychować je od kołyski na lojalnego sowieckiego człowieka. Mają je przyuczyć do posłuszeństwa rodzicom, do spełniania wszelkich ich poleceń.

— Jedźcie teraz do domu i zabierzcie swoje rzeczy, Wiktorio Pietrowna, a potem wracajcie tutaj. Wasze szkolenie rozpocznie się mychmiast. Nigdy nie zapominajcie, że wybrał was sam towarzysz Stalin.

Wiktorcia kiwnęła głową i wyszła. Packard zawiózł ją do mieszkania, które dzieliła z ośmioma innymi kobietami. Rudera była pusta, gdyż pozostałe współlokatorki Pracowały. Wiktorcia nie miała żadnych oporów, by opuścić tę norę. Może owa „misja”, której się podjęła, przyniesie jej trochę lepszy los. Jyiała wszakże coś, czego nie mogła zostawić. Spod składanego ozka wyciągnęła małą drewnianą skrzyneczkę zamkniętą na kłódkę.

<sup>a</sup> sznurku na szyi nosiła kluczyk, którym ją teraz otworzyła.



Wewnątrz były dwie tanie błyskotki i oprawny w skórę notatnik Wzięła go i troskliwie umieściła w nędznym woreczku służącym jej za torebkę.

Początkowo myślała, że właśnie ów notatnik był powodem wezwania jej na plac Dzierżyńskiego. Chociaż nie było już łatwo ją przestraszyć, odetchnęła z ulgą, kiedy okazało się, że komisarz nie

o nim nie wie.

Dwa miesiące wcześniej, kiedy Wiktoria przysłała do pracy w budynku Rady Ministrów, przed drzwiami stało na warcie dwóch krasnoarmiejców. Nie starych, bezzębnych dziadów ani chłopczków jakich widywało się wówczas w Moskwie, ale prawdziwych żołnierzy z karabinami. Takich jak ci na froncie. Zatrzymali Wiktorię, dopóki nie poleciła jej wpuścić nadzorczyńni. Ta zaprowadziła ją, ponaglając, do pomieszczenia w piwnicy, do którego przedtem nie wolno jej było wchodzić. Zwierzchniczka wskazała na drzwi.

— Wejść tam i pomóż Ludmile. Musimy szybko skończyć

zamknąć te drzwi na klucz.

Wiktoria zrobiła, co jej kazano. Kiedy weszła do środka, Ludmiła mało nie wyskoczyła ze skóry.

— O, Wiktoria! — krzyknęła. — Chwała Bogu, że to ty. Bałam się, że to któryś z wartowników.

Wiktoria zobaczyła dziwną scenę. Wokół Ludmiły stały skrzynki z aktami. Ale nie zwykłe skrzynki sosnowe ani tekturowe pudła, do których były przyzwyyczajone. Nie. Te wykonano z pięknie obrobionego różanego drewna. Efektowne, gładkie, wypolerowane. Wiktoria nigdy jeszcze nie widziała czegoś równie pięknego. Jedna z tych ślicznych skrzynek najwidoczniej spadła z półki, a jej zawartość leżała teraz rozsypana u stóp Ludmiły.

— Ludmiło — spytała zdumiona Wiktoria, dotykając różanego drewna — co to jest?

Ludmiła przełknęła ślinę.

— Przyniesiono je dopiero parę minut temu. Wiktoria kiwnęła głową.

— Rozumiem... ale co w nich jest? Ludmiła ponownie przełknęła ślinę i podeszła bliżej.

— W tych skrzynkach — szepnęła — są papiery samego Stalina-Wiktorię zatkało.

— Generalissimusa? Ludmiła skwapliwie przytaknęła.

— Tak, Wiktorio. Mamy je ustawić pod ścianą — pokazała-Ta mi się wysliznęła, kiedy ją przenosiłam. — Zniżyła głos do szep tu: — Tak się boję! Co oni mi zrobią, jak się dowiedzą, że upuściła papiery samego Stalina?

Wiktoria pocieszała przyjaciółkę.



Nie bój się, Ludmiło! Spakuję z powrotem tę skrzynkę. A ty zacznij ustawiać pozostałe. Nikomu nie powiemy, że spadła. Tak ją postawimy, że nikt się nie pozna.

— Och dobrze, Wiktorio. Zróbmy tak! — powiedziała Ludmiła i energicznie zabrała się do pracy.

Wiktoria zaś uklękła i zaczęła wkładać rozsypane papiery z powrotem do różanej skrzynki, drżąc z wrażenia na samą myśl, że dotyka czegoś, co miał kiedyś w ręku sam Stalin. Mały oprawny w skórę notatnik okropnie się pobrudził na piwnicznej podłodze. Nie można było dopuścić, żeby ktoś, kto otworzy skrzynkę, znalazł go w takim stanie. Podjęła więc szybką decyzję. Wyczyści go i włoży do skrzynki później, kiedy nadarzy się sposobność. Schowała notatnik do swego nędznego woreczka i zaczęła pomagać Ludmile.

Ale nigdy już nie miała okazji, by go zwrócić. Drzwi specjalnego pomieszczenia zamknięto na klucz i opieczętowano, nie mogła więc tam wejść. A poza tym przywiązała się do małego, oprawnego w skórę tomiku. Była to więź łącząca ją ze Stalinem. A teraz wezwał ją, by podjęła misję trwającą całe życie. Nie mogłaby znieść rozstania z tą książeczką. Zachowała ją.

W rok później, kiedy Wiktoria Kapuścińska i jej mąż schodzili po trapie ze statku na Ellis Island w porcie nowojorskim, jej łono było już wzdęte: pierwszy i jedyny potomek był w drodze na świat.

Pilot, który przejął kontrolę nad *Intrepidem*, był właśnie „ziarnem” zasianym przez Ławrentija Berię.

## Dzień czwarty



*Dzień 4., 00:15 czasu Greenwich, 17:15 miejscowego* **Góra Cheyenne**

— Głęboki siew! — mrucał do siebie pod nosem Tedesco. — musiało być właśnie to...

— Co mówisz? — spytała Strand.

Brwi agenta FBI wyglądały jak dwie bruzdy sięgające „wdowiej kępi włosów na jego czole. Powoli nabrał powietrza w płuca i powiedział:

— Kiedyś mówiło się o głębokim siewie. Krążyły takie pogłoski. Ot, po prostu domysły, od czasu do czasu okazja do żartów u nas w FBI. Zawsze to uważałem za bajeczkę pokutującą od czasów Hoovera. Mit, jak te o jednorożcu czy syrenie. Ale w świetle tego, co się wydarzyło, sądzę teraz, że to musiała być prawda. Chociaż, na Boga, nadal nie chce mi się w to wierzyć!

— Nie rozumiem — powiedział Whittenberg. — Co masz myśli mówiąc o głębokim siewie?

Tedesco raz jeszcze nabrał powietrza w płuca, zanim odpowiedział:

— Do naszego biura, myślę, że podobnie jak do wojska czy innych wielkich instytucji, pomyleni dzwonią częściej, niżby to wynikało z rachunku prawdopodobieństwa. Na przykład od czasu do czasu jakiś świr zapewnia nas, że Edgar Hoover wciąż żyje i czuwa nad biegiem spraw z podziemi gmachu Federalnego Biura Informacji. Pamiętam, że dziesięć czy piętnaście lat temu opowiadano u nas nieprawdopodobną historię. Jakiś facet z ulicy przyszedł do naszego biura w Tulsa i powiedział, że jego rodzice, powojenni imigranci z Bułgarii, byli w rzeczywistości agentami rosyjskim" Utrzymał, że usiłovali go indoktrynować, kiedy był dzieckiem zrobić z niego oddanego komunistę. Wyznał, że po ich śmieć kontaktował się z nim ktoś, kto twierdził, że jest z KGB. Ale fac odparł, że wyrzekł się swoich rodziców, i kazał mu iść do diab ■ A potem, jako dobry Amerykanin, zdecydował się skontaktować z miejscowym FBI. — Tedesco lknął kawy. — Jak łatwo



domyślić, splawiono go, biorąc za kolejnego świra. Ale przy tych osyjskich powiązaniach Kapuścińskiego, wygląda na to, że mógł mówić prawdę.

Sir Izaak słuchał, pocierając powieki. Wtem zerwał się z krzesła i krzyknął: \_\_McKenna!

Tedesco popatrzył pytająco na brygadiera.

— Któż to taki ten McKenna? Strand wyjaśniła.

— Jarrod McKenna znajdował się na pierwotnej liście załogi *Intrepida*. Miał być dowódcą statku. Cztery dni przed startem zachorował na grypę żołądkową, przynajmniej taka była diagnoza. Lodowiec to jego dubler, zastąpił go. — Potrząsnęła gorzko głową. — Grypa żołądkowa! Musiało to być komuś cholernie na rękę. Założę się o rodzinną farmę, że Kapuściński musiał mu wsypać do sałatki z krewetek coś, co tak poskutkowało.

Sir Izaak kiwnął głową.

— Poproszę lekarzy, by jeszcze raz przebadali McKennę. Zobaczymy, czy zachował się jakiś ślad tego, co mu zaaplikował Lodowiec.

Obecnym zrobiło się nieprzyjemnie, kiedy uświadomili sobie, że od lat działał wśród nich zdrajca. Mogły z tego wyniknąć nieobliczalne szkody, nawet nie biorąc pod uwagę sprawy *Intrepida*.

— Domyślam się, co panu teraz chodzi po głowie, generale... — pocieszał Tedesco. — Ale czemuś tak nieoczekiwanemu jak Kapuściński po prostu nie sposób zapobiec. W ogóle nie istnieje możliwość obrony przed tego rodzaju infiltracją. Whittenberg westchnął.

— Miło mi, że pan to tak właśnie ujął. Chciałbym mieć nadzieję, że admirał Bergstrom i prezydent okażą się równie wyrozumiali...

Sięgnął po słuchawkę.

*Dzień 4., 1:30 czasu Greenwich, 3:30 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

W przepastnym wnętrzu Centrum generał porucznik Likadij Popów Pochylał się nad siedzącym przy pulpicie Małyszewem, dowódcą rjsji. Próbował go pozyskać dla swego planu, ale młody jasnowłosy Pułkownik pocił się ze strachu i nie dawał się namówić. W zasadzie **sadzał** się ze swym przełożonym, ale świadomość nieustannej szechobecności w Centrum szefa KGB nie pozwalała mu się decydować.

p ~~~ Posłuchaj mnie, Oleg! — nalegał szeptem krępy generał. — °rwanie wahadłowca to jedna sprawa, a zestrzeliwanie z premedytacją

drugiego to całkiem co innego. Nie sądzisz, że dosyć już przelewani krwi? Nie sposób przewidzieć, jak zareagują Amerykanie. Jeśli wysła z Florydy prom ratunkowy, do ciebie będzie należało odpalenie pocisku antysatelitarne. Wszystko, o co mi chodzi, to parę sekund zwłoki, zanim przyciśniesz guzik aktywizacji. Żeby dać wahadłowcowi czas na wyjście z zasięgu. Musimy powstrzymać to szaleństwo!

Małyszew, typowy Słowianin, był już o krok od wyrażenia zgody kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Kostiaszak, a wraz z nim wysoki chudy mężczyzna z vandyckowską bródką.

— Towarzyszu generale — odezwał się szef KGB — spodziewam się, że znacie się z towarzyszem Pirdilenką.

Iwan Pirdilenko zdjął rękawice i futrzaną czapkę; w tym samym momencie podszedł funkcjonariusz KGB i pomógł uczonemu pozbyć się palta.

— Tak, tak, oczywiście! — powiedział Pirdilenko. — Znamy się z Popowem od wielu lat, prawda, towarzyszu generale? Tamten przytaknął bez entuzjazmu.

— Biorąc pod uwagę, że towarzysz Pirdilenko to ekspert od naszej broni antysatelitarnej — malutki przewodniczący KGB nie przestawał się uśmiechać — pomyślałem, że byłoby, hmm... pozytywne ściągnąć go tutaj z Plesiecka. Pewnie powierzyście mu przygotowanie akcji. Pozwoliłoby to wam skoncentrować się na wyprawieniu z Bajkonuru naszych kosmonautów.

Pirdilenko nie dał Popowowi szansy na odpowiedź.

— Ma się rozumieć, jestem przekonany, że generał z zadowoleniem przekaze mi te sprawy. Czy nie mam racji, towarzyszu Popów? — narzucił się, korzystając z zaskoczenia. — A więc, kto jest odpowiedzialny za śledzenie lotu amerykańskiego wahadłowca i uruchomienie operacji bojowej?

Z ociąganiem Popów wskazał Małyszewa, dowódcę misji.

— O, doskonale! — powiedział z entuzjazmem Pirdilenko. — Nieczęsto dają nam naprawdę wypróbować coś z naszego arsenału-Mam rację, towarzyszu generale?

Popów nie odpowiedział. Obrzucił tylko małego szefa KGB spojrzeniem człowieka, którego pokonano.

*Dzień 4., 1:30 czasu Greenwich, 20:30 miejscowego* **Biały Dom**

Whittenberg zdążył już poinformować admirała Bergstroma-sekretarza obrony i wiceprezydenta o niewiarygodnym odkryciu"

notatnika Stalina w chicagowskiej przechowalni. Teraz relacjonow tę sprawę telefonicznie po raz czwarty — tym razem prezydentów<sup>1</sup>

gł. państwa znajdował się w mieszkalnej części Białego Domu. Wiadomość przyjął z niedowierzaniem.

Rozumiem, że musi pan respektować fakty. Ale mimo wszystko, skąd tu Stalin?

— Właśnie, panie prezydencie — podchwycił Whittenberg — to samo sobie pomyślałem! Wysłałem oryginał drogą powietrzną profesorowi Brennanowi z Uniwersytetu Columbia, żeby mógł zweryfikować swoje wstępne ustalenia. Biorąc wszakże pod uwagę, jaką rzadkością są tego rodzaju dokumenty, weryfikację możemy uznać za czystą formalność.

— O Jezu! Ile razy pomyślę, że w sprawie *Intrepida* już nic obłędniejszego nie może się wydarzyć, to zawsze się wydarza. To już dawno przekroczyło wszelkie granice. Porwanie wahadłowca. Ambasador sowiecki i kilku tam członków Politbiura, którzy nie mają pojęcia, co jest grane. Tajemniczy satelita. A teraz znowu powiązanie ze Stalinem. Czysty obłęd!

— Całkowicie się z panem zgadzam, panie prezydencie. Musimy **wszakże** brać pod uwagę fakty, a one świadczą, że zdrajcą jest Kapuściński. Ustalenie, dlaczego i w jaki sposób wszedł w posiadanie własnoręcznych notatek Stalina, przekracza moje możliwości, ale **notatki** te jednoznacznie wskazują na jego powiązania ze Związkiem Sowieckim. To definitywnie przekreśla wszelkie inne domysły i uwiarygodnia tezę agenta Tedesca.

Prezydent pokręcił głową.

— Więc dobrze, jeśli zdrajcą jest Kapuściński, to cóż się stało z dwoma pozostałymi członkami załogi, z Mulcaheyem i Rod-riąuezem? Jak pan sądzi?

Na drugim końcu linii przez chwilę panowała cisza — Whittenberg brał głęboki oddech.

— Najprawdopodobniej... nie żyją... Prezydent wzdrygnął się.

— Czy w locie *Intrepida* nic się nie zmieniło?

— Nic, panie prezydencie. Pozostaje na tej samej orbicie.

— A więc jeśli rzeczywiście jest uszkodzony, jak pan przypuszcza, °**znacza** to, że Rosjanie muszą tam dotrzeć, żeby go dostać. Prawda?

Tak, panie prezydencie — odpowiedział Whittenberg.

— Czy coś się dzieje na ich polach startowych?

~ Mamy pod stałym nadzorem wszystkie sowieckie kosmodromy. Nie zauważyliśmy żadnej aktywności poza tajemniczym satelitą, który **Wadzieścia** jeden godzin temu wystartował z Plesiecka. Ale muszę Wrócić uwagę, że Rosjanie potrafią wytoczyć raketę z hangaru i uporać<sup>si?</sup> z jej startem bardzo szybko, tak właśnie wysłali owego satelitę. Czy domyślacie się, co to może być? — Głos szefa państwa<sup>1</sup> adzał niezwykłą koncentrację.

szczyt lak już

— Jak już informowałem poprzednim razem, panie prezydencie nie sposób powiedzieć. Z kształtu satelity nic nie wynika, może być pojazdem kosmicznym każdego rodzaju, który po prostu nie pozbył się jeszcze osłony startowej — od satelity wywiadowczego po pocisk antysatelitarny.

Usłyszawszy: pocisk antysatelitarny, prezydent na chwilę zaniemówił. Po czym zapytał:

— A jeśli to rzeczywiście jest pocisk antysatelitarny? Doszło go pełne goryczy westchnienie Whittenberga.

— Nie chciałbym bawić się we wróżkę, panie prezydencie. Ale jeśli to rzeczywiście ASAT, to może z powodzeniem zniszczyć *Constellation* razem z załogą, a na dokładkę *Intrepida*. A my, jak ji powiedziałem, nie bylibyśmy w stanie temu przeszkodzić.

— Hmm. A samolot kosmiczny?

— Kestrel?

— Właśnie. Czy mógłby poradzić sobie z ASAT-em? Ton odpowiedzi Whittenberga był równoznaczny wzruszeniu ramionami.

— ASAT i Kestrel lecące naprzeciw siebie po tej samej, to znaczy odwrotnej, orbicie to byłby istny Meksyk, panie prezydencie. Wszystko zależałoby od tego, który pojazd zdążyłby namierzyć przeciwnika i wystrzelić szybciej.

— Znaczą się... jak pojedynek rewolwerowców?

— Można by tak to nazwać, panie prezydencie.

— Zatem jeśli Kestrel może się przynajmniej bronić, czy nie powinniśmy wysłać go zamiast *Constellation*!

— Moglibyśmy, ale oznaczałoby to stratę czasu. *Constellation* właśnie kończy przygotowania do startu. Za trzy godziny — Whittenberg rzucił okiem na wielki zegarek na swym przegubie, jaki noszą wszyscy piloci — rozpocznie się napełnianie jej zbiorników paliwem. Przygotowywanie Kestrela również jest już w toku, ale będzie gotów do startu najwcześniej w dwadzieścia siedem godzin po pierwszym okienku startowym *Constellation*. Przez ten czas Rosjanie mogliby coś wysłać.

— Nie daje mi pan zbyt atrakcyjnego wyboru, generale! — mruknął prezydent.

— Zgadza się, panie prezydencie. A żebyśmy się dobrze rozumieli ten tajemniczy satelita może naprawdę okazać się pociskiem antysatelitarnym. Jeśli tak, możemy stracić *Constellation* razem z ludźmi-Generał McCormack poinformował już jej załogę o potencjalnym ryzyku. Jeśli wszakże zaczekamy i wyślemy Kestrela, damy Rosjanom dodatkowe dwadzieścia siedem godzin na ściągnięcie *Intrepida* z orbity-Nie mogę ułatwić panu tej decyzji, panie prezydencie. *Constellation* & Kestrel? Zna pan fakty, do pana należy wybór. Co wysyłamy?

295

ion w

?

Prezydent poczuł się dotkliwie samotny. Trzeba było po prostu dokonać wyboru. Bez zaglądania do dokumentów. Bez dalszych ekspertyz. Bez kolejnych konsultacji czy rad. Nadszedł czas decyzji, jego własnej, osobistej decyzji. Wynik tej decyzji mógł się okazać zbawienny lub fatalny w skutkach. Miał ochotę zrobić unik, ale przypomniał sobie, co mówił doktor Sharp o izotopie rubidu i dwudziestu bilionach watów mocy wyzwalanej w jednym impulsie gräsera.

— Wysyłamy *Constellatorni* — rozkazał.

— Tak jest, panie prezydencie.

*Dzień 4., 2:30 czasu Greenwich, 5:30 miejscowego* **Baza Omańskich Królewskich Sił Powietrznych, Maskat, Oman**

Niebo zabarwiło się mroczną purpurą zwiastującą rychły świt. Lądowanie w świetle dziennym byłoby niewybaczalnym błędem, toteż Przewodnikowi Widm spadł kamień z serca, kiedy usłyszał wreszcie pisk kół swego samolotu na pasie lotniska. Wytraciwszy prędkość, skierował pośpiesznie swą maszynę ku zaciemnionemu hangarowi.

W hangarze czekali już omański komendant bazy oraz trzech oficerów amerykańskich: attaché wojskowy miejscowej ambasady w stopniu pułkownika i dwaj doradcy, czasowo odkomenderowani do Omańskich Królewskich Sił Powietrznych.

Baryłkowaty attaché, w pełnym pustynnym rynsztunku polowym i przy broni, nie był zadowolony z obecności komendanta bazy — stanowiło to wszakże cenę za wykorzystywanie sultańskiego terytorium. Choć zły, zdawał sobie sprawę, że właściwie nie ma powodu do irytacji. Bogaty, ale mały i słabo zaludniony sultanat oddzielały od Iranu tylko wody Zatoki Omańskiej. Jego sultańska wysokość, mały brzuchaty jegomość, musiał żyć na co dzień oko w oko z groźnym ajatollahem. Starał się więc mieć jak najmniej Amerykanów na swym terytorium. W sytuacjach podbramkowych nie wahał się jednak — jak to stwierdził sekretarz stanu — wziąć udziału w grze. Kiedy grupa operacyjna Delta przystępowała do zakończonej fiaskiem akcji oswobodzenia zakładników z ambasady amerykańskiej w Teheranie, sultan pozwolił wykorzystać jako punkt etapowy swą wyspę Masira. Ten niepozorny jegomość miał charakter.

Kiedy samolot Przewodnika Widm zbliżył się, jeden z amerykańskich doradców wojskowych wskazał mu latarką drogę do wnętrza ciemnego hangaru, a następnie dał pilotowi sygnał, by wyłączył silniki. Ta sama procedura powtórzyła się z Widmem Dwa, natomiast



Starlifter C-141 i tankowiec KC-10 skierowane zostały do innego hangaru.

Komendant bazy uruchomił mechanizm zamykający drzwi, które zasunęły się w prowadnicach, pograżając wnętrze hangaru w całkowitej ciemności. Dopiero potem włączył oświetlenie. Widok czarnych nietoperzych skrzydeł tak go zaskoczył, że niemal ugięły się pod nim kolana. Przez dłuższą chwilę stał z otwartymi ustami, po czym ostrożnie zbliżył się do samolotu.

— Zdaje pan sobie sprawę, że nie wolno panu nikomu o tym powiedzieć! — rzekł surowo amerykański pułkownik. — Absolutnie nikomu!

Komendant bazy nieprzytomnie kiwnął głową.

— Tak, oczywiście, rozumiem. Nie powiedziano mi, jakiego typu samolotom udzielimy schronienia. — Przełknął ślinę. —

Powiedzcie mi, co to takiego?

Zanim pułkownik zdążył odpowiedzieć, otworzyła się kłapa wlotu pod nietoperzym skrzydłem. Postać w lotniczym kombinezonie i hełmie ochronnym zwinnie zeskokczyła na tarmak.

— Którędy do ubikacji? — zapytała nalegająco.

*Dzień 4., 4:30 czasu Greenwich, 23:30 miejscowego* **Pole startowe 39A, Ośrodek Kosmiczny Kennedy'ego**

W północno-wschodnim narożniku pola startowego 39A odkręcono zawór i płynna zawartość gigantycznego sferycznego zbiornika składowego, mieszczącego trzy miliony dwieście tysięcy litrów, zaczęła wypływać do podziemnego przewodu paliwowego o osłonie próżniowej. Zawartość tę stanowił ciekły wodór oziębiony do temperatury minus dwustu pięćdziesięciu trzech stopni Celsjusza. Jest to płyn niewiarygodnie lekki. Jego litr waży zaledwie sześćdziesiąt gramów, toteż nie potrzeba pomp, by go tłoczyć przewodem. Wystarczy pozwolić, by jego odrobina w szczytowej części zbiornika „wrzała”, czyli parowała, by wynikłe z tego ciśnienie przepchnęło go ku polu startowemu.

Tam paliwo wędrowało przewodem podłączonym na wieży wyrzutni do spodu wahadłowca, skąd wlewało się do wewnętrznego systemu przewodów paliwowych statku oraz do wnętrza pomarańczowego zbiornika zewnętrznego. Przedział wodorowy zbiornika paliwa zaczął się, z bulgotem, wypełniać od spodu. Tankowanie miało zostać zakończone krótko przed startem wyznaczonym n<sup>a</sup>. czwartą trzydzieści rano.

Wtedy jedyną rzeczą oddzielającą minę dywersyjną od miliona czterystu pięćdziesięciu tysięcy litrów ulotnego paliwa miała być cienka warstwa aluminiowej powłoki zbiornika zewnętrznego.

pień 4., 4:30 czasu Greenwich, 20:30 miejscowego Baza Sił Powietrznych Edwards

— Mam bandytę na dwójce, idzie poprzecznie z prawej ku lewej burcie. Odległość pięć-siedem-jeden kilometrów i lekko wzrasta.

— Chcesz regulację orientacji? — spytał Monaghan.

— Nie trzeba — odpowiedział Lamborghini. — W każdym razie jeszcze nie. Przechodzi trawersem. Będę go teraz namierzał stożkiem dziobowym.

Pokręcił rączką kontroli ostrości radaru, w wyniku czego mała antena radarowa w nosie Kestrela nakierowała się na cel. Była nastawna, pozwalała przeczesać przestrzeń bez potrzeby manewrowania kosmolotem.

— Chcesz iść na tego? — spytał Monaghan.

Kestrel mógł się zbliżyć do celu, jeśli posuwali się w zbliżonym kierunku.

— Nie — odpowiedział Lamborghini. — Kąt prosty mógłby być zbyt ostry. Niewiele nam da. Myślę, że na tego powinniśmy teraz użyć Phoenixa.

— Strzelaj! — zakomenderował Monaghan.

Lamborghini nacisnął parę guzików na pulpicie zbrojeniowym i nastawił pocisk na zdalne kierowanie, co oznaczało, że Phoenix będzie podążał za wiązką radaru pokładowego Kestrela, dopóki nie otrzyma innego polecenia. Nacisnął czerwony guzik odpału — błysnęło jasne światło, ale nie było słychać żadnego dźwięku. Potem obaj śledzili, jak biała plamka płomienia znika na nocnym niebie.

— Idzie za wiązką — zauważył Lamborghini. Próbował obrócić antenę radaru bardziej na lewo, żeby utrzymać „bandytę” na ekranie, ale już się nie dawało.

— Daj dwadzieścia stopni na lewą burtę i zniż nos o dziesięć. Bandyta dochodzi do skraju zasięgu skanera.

— Zrozumiałem — powiedział Monaghan i ręcznym sterem odpowiednio nakierował Kestrela.

— W porządku, zbliża się i zdaje się, że będzie jeszcze bliżej. Odległość cztery-pięć-siedem. Przełączam go na własne namierzanie.

Lamborghini przekręcił przełącznik, uruchamiając wmontowany pocisk dopplerowski radar pulsacyjny. Kiedy usłyszał w słuchawkach dźwięk wskazujący, że pocisk namierzył cel, przestawił rączkę kontroli na kierowanie niezależne.

Dwa światelka prawie się zbiegły, kiedy zniknęły za skrajem ekranu, poza zasięgiem radaru Kestrela.

. ~ Zgubiłem go! — utyskiwał Lamborghini. — A wyglądało, że <sup>już</sup> go mam.

~ Najśladzsze jest zawsze to, co tracimy, Wyścigowo! — pocieszał



go Wściekły Pies. — Przez moment był już nasz. Co byś powiedziałe na przerwę?

— Może Phoenix mógł dopaść go sam?

— Nie licz na to! — powiedział Monaghan i szarpnął dźwignię by uruchomić silnik elektryczny. Rozległ się furkot i osłona kabiny symulatora Kestrela uniosła się w górę.

Dwaj lotnicy znajdowali się w supertajnym pomieszczeniu symulacyjnym w Bazie Sił Powietrznych Edwards. Było ono zapchane pulpitemi komputerów. Stało tam też urządzenie symulacyjne przypominające wyglądem karnawałowego konia na szczudłach! Owe szczudła były w rzeczywistości podnośnikami hydraulicznymi mogącymi dowolnie poruszać kajpiną symulatora w górę, w dół i na boki, żeby dawać siedzącym w niej ludziom złudzenie manewrowania.

Lamborghini, swego czasu zastępca dyrektora projektu Kestrel, był z grubsza obznajomiony z tym symulatorem i w ogóle z Wojskowym Ośrodkiem Badań Lotniczych w Edwards, gdzie podlegał testowaniu właściwie każdy samolot bojowy amerykańskich sił powietrznych.

Dwaj piloci wyleźli z symulatora i zdjęli hełmy. Podeszedł do nich sierżant z obsługi technicznej, który czuwał nad pulpitem kontrolnym urządzenia.

— Tym ostatnim razem było blisko, ale się nie udało, panie pułkowniku — powiedział do Lamborghini. — Trudność polega na tym, że w znacznym stopniu ulega się złudzeniu. Powinien pan posłuchać komandora Monaghana i trochę bardziej się zbliżyć przed włączeniem. Wtedy zdążyłby pan namierzyć bandytę, zanim uciekł panu z ekranu.

Lamborghini skrzywił się.

— Zmniejszenie dystansu wymaga zużycia paliwa. Wydawało mi się, że możemy go jeszcze później potrzebować.

— Prawidłowo natomiast przełączył pan pocisk na niezależne kierowanie. Niestety, nasz symulator wykazuje, że w pańskim Phoenixie wyczerpało się paliwo, zanim mogło dojść do kontaktu.

Lamborghini wciąż miał kwaśną minę.

— Poczekaj no tylko do przyszłego roku! — zaproponował Monaghan. — Nie przejmuj się. Wyścigowo. Chodź, postawię ci drinka.

Poszli holem do małej kantyny. Lamborghini ucieszył się, kiedy zobaczył tam maszynę serwującą napój orzeźwiający doktora Peppe-ra. Zasmakował w nim, kiedy stacjonował w Teksasie. Wściekły Pies<sup>es</sup> wrzucił monety, a potem usiedli przy plastikowym stole na plastikowych krzeselkach.

Kiedy tak siedzieli naprzeciw siebie, wydawali się swymi przeciwieństwami: wstrzemięźliwy, kruczowłosy Lamborghini, szczupły

i kanciasty, o precyzyjnych, celowych ruchach — i krągły, zażywny Jylonaghan z permanentnie zaniedbaną rudą irlandzką czupryną i obliczem poznaczonym śladami wszelkich uciech. Pomimo to lubili się nawzajem, a Monaghan wyczuł, że jego kolega po niezbyt udanym treningu zaczyna mieć opory.

— Odpręż się. Wyścigowo! — pocieszał. — Po pierwsze, pewnie w ogóle nie polecimy. A jeśli nawet, to dasz sobie radę. Wierz mi!

Lamborghini zachrząścił lodem w papierowym kubku.

— Obyś miał rację. Dopiero teraz poczułem respekt dla tych, którzy latają na tylnym siedzeniu. Operowanie sprzętem bojowym wymaga o wiele więcej finezji, niż się to wydaje. Niby fajna zabawa, ale korzystanie z systemów i wybór właściwego sposobu trafienia celu to znacznie trudniejsze, niż sądziłem. Wymaga dużego doświadczenia.

— Nie pękaj, Wyścigowo! Jeśli polecimy, *Intrepid* będzie ci pozował nieruchomo. Podlecę tak blisko, że będziesz mógł wpakować Lodowcowi Sidewindera prosto w dupę.

Lamborghini raz jeszcze potrząsnął kubkiem i pomyślał o tym, co powiedziała mu przez telefon Lydia Strand.

— Właśnie, Lodowcowi. Bracie, wciąż nie mogę w to uwierzyć. Ten facet ma przecież DFC. Któż mógłby go podejrzewać? Monaghan wypił do końca napój.

— Prawdę mówiąc, właśnie ja mógłbym; mam niezłe powody. Lamborghini był zaskoczony.

— Ty? Nie wiedziałem, że w ogóle go znałeś. Wściekły Pies kiwnął głową.

— Tak, poznałem go, można by rzec, dość gruntownie... — I opowiedział o zawodach, na których Lodowiec próbował go wciągnąć w śmiertelną pułapkę.

Lamborghiniemu opadła szczeka.

— Powinieneś być komuś o tym powiedzieć. Kiedyś też startowałem o czerwoną flagę. Tam w Nellis całkiem poważnie podchodzą do sprawy bezpieczeństwa.

Monaghan wzruszył ramionami.

— W mojej kamerze strzeleckiej skończyła się taśma tuż przed tym wydarzeniem. Byłem na ich cholernym terenie, potraktowano by mnie jak smarkacza, który użala się, że przegrał.

Lamborghini gwizdnął przez zęby.

— Nie pomyślałem o tym... Domyślam się, że nie zmartwiłbyś się, gdyby Lodowiec napatoczył się nam w celownik, prawda?

Wściekły Pies kiwnął głową, a wyraz jego oczu zmroził i zaskoczył Lamborghiniego, który pomyślał, że jego towarzysz tylko na pozór lekko podchodzi do życia. Spojrzał na zegarek.

— Dowiedziałem się, że do ośrodka łączności w Edwards przekażą

ze SPADOC-u transmisję ze startu *Constellation* i ze spotkania na orbicie. Jeśli chcesz, możemy to obejrzeć. Monaghan przytaknął.

— Chcę, Wyścigowo. — Potem podrapał się po rudej czupry. nie. — Słuchaj, od dawna chciałem cię zapytać, czy masz coś wspólnego z tą włoską firmą samochodową?

Lamborghini zaśmiał się i pokręcił głową.

— Nie, nic. Tylko przypadkowo tak samo się nazywam. Ale wiesz, to zabawne. Facet, który założył tę firmę, Ferruccio Lamborghini, zrobił wcześniej fortunę na produkcji traktorów. Automobilizm był dla niego pewnie czymś w rodzaju hobby. Prawie co tydzień ktoś mnie pyta, czy jestem spokrewniony z tą rodziną od samochodów sportowych. A nigdy nie zdarzyło się, by ktoś zapytał, czy jestem krewnym fabrykanta traktorów.

*Dzień 4., 6:30 czasu Greenwich, 1:30 miejscowego* **Ośrodek Kosmiczny Kennedy'ego**

Podpułkownik lotnictwa morskiego Phillip Heitmann, major lotnictwa Jack Townsend i major sił lądowych Sandford Watkins przeszli izolowanym rękawem ku włazowi *Constellation*. Siwiejącemu Heitmannowi — niegdyś bocznemu obrońcy reprezentacji stanu Michigan — ten przemarsz rampą przypominał wychodzenie z szatni na ważny mecz. Tak samo odczuwał dreszczyk podniecenia. Tym razem widownię stanowiła obsługa naziemna.

Przy wejściu do wahadłowca zdjęli z obuwia wojłokowe pokrowce i wrzucili je do plastikowego worka, trzymanego przez odzianego na białą technikę. Rękaw, którym załoga dostawała się do wahadłowca, był pomieszczeniem sterylnym, tak pomyślanym, by w chwili otwarcia włazu żadna substancja nie przedostała się do wnętrza statku i nie zanieczyściła jego delikatnych urządzeń elektronicznych.

Teraz zaczęły się trudności: umieszczony na wyrzutni wahadłowiec skierowany był dziobem w górę; astronauty musieli więc wykazać spore umiejętności gimnastyczne, by wdrapać się na górny pokład, gdzie znajdowały się fotele lotnicze. Dokonali tego, wzdychając i sapiąc, starając się nie zwracać uwagi na spoczywające na podłodze pomieszczenia załogowego cztery skrzynie z pociskami typu Stinger-

Znalazłszy się wreszcie w swoich fotelach Heitmann i Townsend wyciągnęli pierwszy z trzech grubych skoroszytów zawierających obszerny wykaz rzeczy do skontrolowania przed startem. Większość tej harówki załatwiały komputery, pozostawało jednak sporo spraw, którymi musiała zająć się załoga. Zaczynając tę rygorystyczna

procedurę, Heitmann umieścił skoroszyt w specjalnym uchwycie, by nie zsunął się z pulpitu. Z uwagi na pionową pozycję *Constellation* mógłby bowiem spaść aż na tylną ścianę, trafiając po drodze Watkinsa między oczy.

Specjalista pokładowy Sandford Watkins nie miał zbyt wiele do roboty podczas kontroli przedstartowej, studiował więc w tym czasie instrukcję posługiwania się Stingerami, by upewnić się, czy nie zapomniał żadnego fragmentu procedury aktywizacji i odpalania.

Na zewnątrz, w rękawie, dwaj technicy zamknęli drzwi wjazdu, a następnie włączyli urządzenie elektroniczne, które zablokowało je dwudziestoma ośmioma ryglami. Jeden z nich zawiadomił przez krótkofalówkę o zamknięciu wejścia inżyniera nadzorującego funkcjonowanie systemów w Sali Odpalania Numer Dwa.

— W porządku — powiedział inżynier, który z kolei powiadomił osobę odpowiedzialną za łączność z załogą wahadłowca.

— *Constellation*, tu kontrola startu — powiedział szef łączności. — Wjazd został zamknięty.

Heitmann spojrział na odpowiedni wskaźnik na swym pulpicie — zielone światło potwierdziło otrzymaną informację.

Łącznie tego rodzaju wskaźników — zegarów, wyłączników, przyrządów pomiarowych i kontrolnych — było na pokładzie dwa tysiące czterdzieści.

— Zrozumiałem. Zgadza się: wjazd boczny zamknięty — odpowiedział przez, radio.

*Dzień 4., 8:30 czasu Greenwich, 1:30 miejscowego* **Stacja Sił Powietrznych Falcon, Kolorado**

Generał major Chester McCormack wkroczył do budynku kontroli lotu w CSOC-u. Był zmęczony i nie ogolony. Dopiero co zaparkował swego Talona w pobliskiej Bazie Sił Powietrznych Peterson i nawet nie zdążył zdjąć zielonego kombinezonu lotniczego. Mimo rozkazu Whittenberga, by trochę odpoczął, bardzo niewiele spał przed odlotem z Cape Canaveral.

Senatorowie czy kongresmani odwiedzający pomieszczenie dowództwa lotu w CSOC-u lub jego cywilnym odpowiedniku NASA w Houston dziwią się zawsze, że obiekty te są tak małe. A w telewizji wydają się takie duże! — ciśnie się im na usta.

I tak jest naprawdę. Od czasów programu „Merkury” do dziś pokazuje się je kamerami o szerokokątnych obiektywach, sprawiając więc wrażenie ogromnych, jawnie wymaga tego dramaturgia. Ale w rzeczywistości <sup>sa</sup>. małe. Znacznie większe jest Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów, nie P<sup>o</sup>lega bowiem aż w takim stopniu na komputerach i potrzebuje <sup>lec</sup>ej ludzi do wykonywania zadań.

McCormack podszedł prosto do szefa operacji.

— Jaka sytuacja na trzydziestym dziewiątym? — spytał, mając myśli pole startowe 39A.

Łysy puciołowaty podpułkownik był w stanie odpowiedzieć natychmiast.

— Tankowanie na ukończeniu. Bez problemów. W wyłączniku obwodu ramienia manipulacyjnego znowu coś szwankuje, ale z tym nie powinno być problemu, bo nie przewidujemy jego użycia. W głównym wymienniku ciepła systemu klimatyzacyjnego w pomieszczeniu załogowym zatkała się rura, ale zastępczy działa bez zarzutu. System hydrauliczny głównego hamulca nie funkcjonuje prawidłowo. Może to spięcie w obwodzie kontrolnym, nie sposób w tej chwili powiedzieć. A radiolokacyjne urządzenie odzewowe całkiem wysiadło. Nie wiadomo dlaczego. Krótko mówiąc, nic takiego, co by mogło spowodować odroczenie startu.

W mechanizmie tak skomplikowanym jak wahadłowiec rzadko kiedy wszystko działa bez zarzutu. W praktyce nigdy jeszcze nie zdarzyło się, by przedstartowa kontrola nie wykryła jakichś drobnych usterek. Ale takie usterki są dopuszczalne.

Natomiast poważne, jak wadliwe działanie zaworu zasilania ciepłym tlenem, mogłyby spowodować odłożenie startu.

— A co z planem lotu? — zapytał McCormack.

— Wszystko policzyli w nawigacyjnym. Zostanie załadowany do komputera BFS na piętnaście minut przed startem — informował podpułkownik. — Jeśli start nastąpi zgodnie z planem, z *rendez-vous* nie powinno być żadnych problemów.

— W porządku. — McCormack westchnął i opadł w fotel szefa operacji.

Ten przyjrzał się uważnie swemu zwierzchnikowi. Poszarzała twarz niewiele miała w tej chwili męskiego uroku; na wspaniałej blond czuprynie dostrzegł pierwsze zwiastuny siwizny.

— Wybacz pan mocne słowo, generale — odezwał się współczująco — ale wygląda pan jak sprasowane gówno!

*Dzień 4., 9:00 czasu Greenwich, 4:00 miejscowego* **Centrala CIA, Langley, Wirginia**

Dyrektor CIA stał w oknie swego biura na siódmym piętrze i patrzył w smolistoczną ciemność. W dzień widać stąd było wspaniały wirgiński las, od czasu do czasu jelenia na dalekiej polanie. Teraz panowała nieprzenikniona noc. „Zupełnie jak w tej cholernej aferze *Intrepida*” — przyszło mu do głowy.

Po odprawie w Białym Domu, poświęconej „zdziczałemu” statkowi

kosmicznemu, rozesłał pilną depeszę do szefów wszystkich placówek, <sup>ze</sup>by uzyskać coś — cokolwiek — na ten temat. Nie dostał kompletnie nic. Prawie co godzina dzwonił do niego wiceprezydent, żeby <sup>je</sup> czegoś dowiedzieć, a wiecznie szczerzący zęby w uśmiechu, chudy jak tyczka szef CIA nie miał mu absolutnie niczego do powiedzenia. Czuł się fatalnie. Prawie całe życie pracował w wywiadzie, zaczynał w wojskowym. Bywało już, że natrafiał na mur nie do sforsowania, ale po raz pierwszy czuł się bezradny. Był sfrustrowany, nie mógł spać. Spanie uważał zresztą za nałóg, który udało mu się przezwyciężyć już wiele lat temu.

Ktoś otworzył drzwi bez pukania. Do pokoju wpadł jego zastępca o profesorskim wyglądzie, powiewając trzymaną w rękę depeszą.

— Nie mam pewności, ale chyba coś mamy — powiedział, starając się ukryć podekscytowanie. — Jak to się ma do afery *Intrepida*, trudno powiedzieć. Właśnie przyszło na dyskiecie z Can-berry.

Dyrektor chwycił depeszę, włożył okulary i przebiegł oczami tekst. Dwukrotnie.

— Hmm... — mruknął. — Fałszywy wahadłowiec?

— Tak — potwierdził zastępca. — Donosi informator z Bajkonuru. Australijska SIS twierdzi, że to murowane źródło.

Dyrektor CIA poskrobał się w głowę.

— No, w każdym razie to jest coś. Przekażę to Bergstromowi. Poślij kopię Whittenbergowi do SPACECOM-u. Może będzie Umiał coś z tego wywnioskować.

— Już się robi.

Zastępca wyszedł, a dyrektor sięgnął po bezpieczny telefon, żeby powiadomić o nowinie Biały Dom. Rozmyślił się jednak. Choć miał zaufanie do systemu szyfrującego Oracle, wiadomo było, że specjalne urządzenia elektroniczne zainstalowane w ambasadzie sowieckiej mogą przechwycić siedemdziesiąt procent telefonicznej łączności mikrofalowej Waszyngtonu. Kiedy szło o coś tak ważnego jak źródło w Bajkonurze, szef CIA wołał nie podejmować nawet minimalnego ryzyka. Odłożył słuchawkę i sięgnął po płaszcz. Zawiezie to do Białego Domu osobiście. Wolniej, ale bezpiecznie.

*Dzień 4., 9:00 czasu Greenwich* **Spyglass, pułap: 19 000 metrów ponad lodami Arktyki**

— ICrólicza Noro, tu Spyglass. Jesteśmy na stanowisku. Czekamy, <sup>ze</sup>by sfotografować spotkanie *Constellation* z *Intrepidem*. Powiadomcie nas, bezzwłocznie, gdyby jakieś parametry *Constellation* uległy

<sup>20</sup> — Zdobyć.



zmianie po starcie. Tymczasem poczekamy sobie tutaj i dopilnujemy żeby kawa nie wystygła.

— Zrozumiałem, Spyglass... Mógłbyś mi podać, jaką macie temperaturę na zewnątrz? Pytam z czystej ciekawości.

Sierżant szef służby technicznej przechylił się nad pulpitem, by dokonać odczytu temperatury. Załoga platformy obserwacyjnej wysokiego pułapu 767 przyzwyczajona była do ekstremalnych wahań temperatury.

— Wygląda na minus siedemdziesiąt trzy, Królicza Noro. Oczywiście Fahrenheita.

— Fiu, fiu! — odezwała się Królicza Nora z wnętrza góry Cheyenne. — Znaczy się, wspaniała pogoda! Tkwij tam, gdzie jesteś, Spyglass. Będziemy cię informować na bieżąco o *Constellation*.

*Dzień 4., 9:02 czasu Greenwich, 4:02 miejscowego* **Pole startowe 39A**

Jacob Classen czuł się tak, jakby przebiegł jeden po drugim dwa maratony. I na to wyglądał. Jego biały kombinezon roboczy był poplamiony, twarz zarośnięta, białe jak śnieg włosy wydawały się — pod pomarańczowym kaskiem ochronnym — bielsze niż zwykle. Urządził go tak jego zastępca. Ed Garvey, nie zjawiając się w pracy. Classen sam już nie wiedział, czy wściekać się, czy niepokoić. Był kompletnie wyczerpany, a do startu pozostało niecałe pół godziny — ledwie tyle, by oczyścić pole startowe. Tankowanie było na ukończeniu, a ostatnia kontrola stanu rusztowania przez kierowników brygad w toku. Classen włączył ręczne radio.

— Halo, Alfa, co u ciebie?

— Tu szef Alfy — zaskrzeczało w odbiorniku. — Pomosty jeden, dwa, trzy i cztery — wszystkie czyste.

— Przyjąłem. Czekam na raport, Bravo — komenderował Classen.

— Tu szef Bravo. Pomosty pięć, sześć, siedem, osiem — wszystkie czyste.

— Przyjąłem — powiedział Classen. — Szef Charlie!

— Pomosty dziewięć-dwanaście w porządku. Jacob.

— Dobra jest. Biercie teraz wszyscy dupy w troki i zmywamy się stąd. Jesteśmy opóźnieni o całe wieki.

— Zrozumiałem.

— Zrozumiałem.

— Zrozumiałem.

Kiedy w zasięgu ręki znajdowały się blisko dwa miliony litro\* ciekłego gazu, nie trzeba było ponaglać szefów brygad, by wynosili się z rusztowań. Dokonali już ostatniej kontroli, upewnili się, z\*

nigdzie nie pozostawiono sprzętu ani pracownika, który uległ wypadkowi. Teraz wszyscy zjeżdżali windą. Gdyby Classen miał jeszcze choćby odrobinę energii, przytupywałby nogą ze zniecierpliwienia oczekując na nich przy autobusie. Ale tym razem dawno wypruł z siebie ostatnie rezerwy sił. Pojazd zapełniony już był technikami, którzy czekali, by ten dzień wreszcie się skończył. A raczej noc.

Po kilku minutach z windy wysiadło trzech szefów brygad. Szli szybko w światłach rusztowań w stronę autobusu. Classen wszedł ostatni.

— Ruszaj! — polecił kierowcy, spoglądając na zegarek. Do startu pozostały dwadzieścia dwie minuty. Ledwie zmieścili się w czasie. To już było ryzykowne. Zbyt ryzykowne.

Mike Rossen, technik od hydrauliki na polu startowym 39A, był porządnikiem. Nie chciał jechać do domu brudny i był jednym z nielicznych pracowników, którzy mimo zmęczenia skorzystali z pryszniców i szatni w budynku przy portierni. Kapał się pośpiesznie, żeby zdążyć się przebrać i znaleźć dogodny punkt do obserwacji startu. To była część wynagrodzenia za pracę — oglądać, jak startują te kolosy. Szczególnie nocą. Kto nie był naocznym świadkiem nocnego startu wahadłowca, nigdy nie będzie w stanie pojąć w pełni przerażającej potęgi, jaka się wówczas wywala. Obraz na małym ekranie telewizyjnym w żaden sposób nie oddaje ani gwałtowności pożogi, ani strasliwego grzmotu silników, ani oślepiającej jasności wydobywających się z dysz płomieni. Rossen nie mógł się doczekać, żeby jeszcze raz tego doświadczyć.

Wycierając się, podszedł do szafki, w której trzymał czystą bieliznę. Właśnie sięgał, by ją otworzyć, kiedy dojrzał strużki ciemnej, prawie czarnej substancji u podstawy jednej z pobliskich szafek. Zdziwiony przyjrzał się im bliżej, ale wciąż nie mógł się zorientować, co to jest. Gdyby się na tym nie znał, pomyślałby, że to brudny Płyn hydrauliczny, ale to było niemożliwe. Zaintrygowany otworzył szafkę.

Wypadły z niej skrwawione zwłoki Edwarda Garveya.

Drzwi autokaru otworzyły się i Classen ze swym personelem ""uszyli ku portierni. Choć byli już w bezpiecznej odległości od Wahadłowca, ludzie woleli wsiąść do samochodów i odjechać jeszcze trochę dalej, żeby zwiększyć dystans dzielący ich od niebezpiecznego Potwora pozostawionego na wyrzutni. Zbliżali się właśnie do Wartowni, gdy z szatni wypadł nagi facet krzycząc:

— Na pomoc! Na pomoc! Nieboszczyk! Trup!

Na chwilę stanęli jak wryci. Ale Classen zaraz rozpoznał głos i wszyscy ruszyli ku niemu ławą. Jednocześnie zza rogu wyszedł krzepki wartownik. Classen chwycił Rossena za ramiona i potrząsnął nim.

— Mike! Opanuj się. Co się stało? Tamten wskazał na drzwi.

— Tam, w środku! Trup!

Wszystkich zmroziło. Nie wiedzieli, co robić, dopóki grubo ciosany wartownik nie wyciągnął swego magnum 357 i nie wpadł do szatni. Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy, a potem Classen i jego ludzie usłyszeli, jak funkcjonariusz woła:

— Niech ktoś tu przyjdzie!

Całą masą wtoczyli się do wnętrza, gdzie zobaczyli wartownika klęczącego przy ciele Garveya. Classen stał przez chwilę w stanie całkowitego szoku. Potem powoli ukląkł przy zwłokach i delikatnie dotknął włosów przyjaciela.

— Och, nie! — jęknął.

Wartownik wsadził pistolet do kabury i przebiegł wzrokiem po twarzach obecnych.

— Czy ktoś wie coś o tym? — zapytał.

Wszyscy milczeli oszołomieni, aż w końcu któryś z techników odchrząknął, żeby wydobyć z siebie głos. Był to rybiooki Tony.

— No więc — zaczął ostrożnie — kiedy schodziłem z ostatniej zmiany, widziałem, jak pan Garvey rozmawia z tym inspektorem bhp.

Classen obrócił się jak na sprężynie.

— Inspektorem bhp? Jakim znowu inspektorem? Rybiooki przełknął ślinę.

— Nie wiem, panie Classen. Wjechaliśmy z Billym na pomost dostępu do H-2, wie pan, żeby sprawdzić połączenie. Jakiś facet, nigdy go przedtem nie widziałem, wjechał razem z nami i zaczął coś mierzyć na rusztowaniu. Zapytaliśmy go, co robi, a on powiedział, że jest z Urzędu Bezpieczeństwa i Higieny Pracy, na inspekcji. Widziałem, że miał kartę identyfikacyjną. Classen poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

— Nikt z zewnątrz nie ma prawa znajdować się na terenie w okresie przedstartowym. Chyba o tym wiesz? — Poczul, jak lzy napływają mu do oczu.

Tony zamrugał oczami i ponownie odchrząknął.

— Tak, psze pana. Myślałem, żeby o tym złożyć raport, ale kiedy pan Garvey zaczął z nim rozmawiać, właśnie tutaj, wydawało **fu** się... więc... — Urwał.

Classenowi odjęło mowę. Tony widział, jak „inspektor bhp rozmawia z Garveyem, a teraz Garvey nie żyje. „Cholera! J<sup>ez</sup>U miłosierny! Wybacz mi, Ed. Kiedy zniknąłeś, powinienem był wiedzieć

że coś takiego musiało się wydarzyć. O kurczę, przecież powinienem **pył** wiedzieć!"

— Mówiłeś, że gdzie widziałeś tego inspektora bhp? — zapytał Tony'ego.

— Och, na pomoście dostępu do H-2 — odpowiedział rybiooki.

— Byliście z nim przez cały czas? Tony zaczął się jąkać.

— No więc... psiakrew... nie, panie Classen. Mieliśmy z Billym rozmaite rzeczy do zrobienia przed końcem zmiany. A ten inspektor powiedział, że musi jeszcze trochę pomierzyć. Więc go zostawiliśmy.

— Był sam na dostępie do H-2? — Głos Classena przeszedł niemal w pisk.

— Tak, psze pana.

Classena ogarnęło przerażenie. Spojrzał na zegarek, zerwał się na nogi i chwycił za rękę kierowcę autobusu.

— Chodź ze mną! — rozkazał. — Reszta niech się zmywa!

*Dzień 4., 9:15 czasu Greenwich, 4:15 miejscowego Constellation*

— *Constellation*, tu kontrola startu, zaczynajcie ładować do komputera BFS program lotu OPS jeden.

— Zrozumiałem — potwierdził Heitmann, po czym natychmiast przez telefon pokładowy spytał Townsenda: — Wskaźnik defektów?

— Wskaźnik defektów w porządku — padła odpowiedź; światełko na wskaźniku uwidoczniłoby wadliwe funkcjonowanie systemu sterowania i kontroli.

— Wejdz na SPEC dziewięć-dziewięć PRO — polecił Heitmann.

— Rozkaz! — odrzekł Townsend, naciskając odpowiednie klawisze komputera. — Mam SPEC dziewięć-dziewięć PRO.

— Nanoszę trajektorię startową na CRT dwa — odezwał się Heitmann.

Townsend przyjrzał się, żeby się upewnić — dwie pary oczu to zawsze lepiej niż jedna.

— Potwierdzam trajektorię startową na CRT dwa — powiedział.

— Włącz GPC mod pięć — start! — rozkazał Heitmann. Townsend nacisnął odpowiedni guzik.

GPC mod pięć włączony. Wejdz na OPS jeden-zero-jeden PRO. Townsend wcisnął klawisze. ~~ Mam OPS

jeden-zero-jeden PRO. p "~" Halo, kontrola, tu *Constellation* — powiedział Heitmann. — dogram lotu OPS jeden załadowany.

308

— Zrozumiałem, *Constellation*. Potwierdzam załadowanie C)P\$ jeden.

Od tej chwili kontrolę nad startem przejęły komputery.

*Dzień 4., 9:19 czasu Greenwich, 4:19 miejscowego Pole startowe 39A*

Koła autobusu zapisały przy hamowaniu. Classen wyskoczył i krzyknął do kierowcy:

— Spływaj stąd!

Ponaglanie nie było konieczne — kierowca omal nie wpadł w poślizg, oddalając się pełnym gazem. Classen spojrzął na zegarek i serce podeszło mu do gardła. Czwarta dziewiętnaście — jednaście minut do zapłonu. Zaczął gorączkowo oglądać powierzchnię pomarańczowego zbiornika zewnętrznego w okolicy zaworu. Ruchomy pomost, który zapewniał do niego dostęp, odsunięto już przed godziną — pozostała jedynie pepowina odchodzącej od zaworu rury.

Kiedy ciekły wodór wrze w zbiorniku zewnętrznym i rozszerza się, zamieniając w gaz, musi być z jego wnętrza odprowadzany, zupełnie tak samo, jak parujący płynny tlen. W postaci gazowej wszakże wodór jest wielokrotnie bardziej niebezpieczny niż tlen, dlatego nie wypuszcza się go wprost do atmosfery, a odprowadza szczelnym przewodem do chwili zamknięcia zaworu. W momencie startu owa „pepowina” automatycznie odpada.

Minęło sporo cennych minut, zanim Classen wreszcie to wypatrzył.

O tam. Tuż pod zaworem. Niełatwo było zauważyć — z dołu wydawało się niepozorną kremową kropką. Ale nie było pomarańczowe, nie stanowiło części zbiornika. Classen sięgnął do pasa po radio, żeby poinformować bunkier kontroli o konieczności opóźnienia startu. W tym momencie zorientował się, że w zamieszaniu zostawił je w szatni przy zwłokach Garveya. Nie miał już nawet czasu, by przeklinać własną głupotę.

Jak gazela pognał po tarmakowej nawierzchni do windy. Prz<sup>ci</sup> sunął rączkę dźwigni i stalowa klatka ruszyła w górę. Powolotku. W ślimaczym tempie, doprowadzającym go do szału. Nie przyśpieszała ani trochę, choć cisnął dźwignię co sił, kopał w bezsilnej furii pręty klatki i wrzeszczał: — Zasuway! Ale szła w górę. Powoli, ale wciąż szła. Classen na przemian modlił się i klął — chwilowo miał na to czas.

Gdy dotarł wreszcie na poziom dziewiąty, wyskoczył z windy

1 rzucił się do tablicy rozdzielczej. Szarpnął rączkę dźwigni i ruchome ramię pomostu zaczęło sunąć ku zbiornikowi zewnętrznemu.

309

*Dzień 4., 9:24 czasu Greenwich, 4:24 miejscowego* **Stanowisko Odpalania Numer Dwa, Bunkier Kontroli Startu, Ośrodek Kosmiczny Kennedy'ego**

W pomieszczeniu Stanowiska Odpalania Numer Dwa na tablicy operacyjnej systemów technicznych pola startowego zamrugało czerwone światełko. Obserwujący tablicę inżynier przetarł parę razy oczy w zdumieniu, wreszcie wykrztusił: — Cóż za...? — Sygnał świetlny informował, że ruchome ramię pomostu umożliwiające dostęp do zaworu wodoru nie znajduje się we właściwym, odsuniętym od zbiornika położeniu. Inżynier spojrzął na jeden z czterech wielkich ekranów telewizyjnych, pokazujących *Constellation* na polu startowym, i dech mu zaparło. Porzucając słuchawki i mikrofon, wyskoczył zza swego pulpitu i wrzasnął do kierownika startu: — Szefie! Proszę spojrzeć na środkowy ekran po lewej! Ramię pomostu H-2 obraca się!

Wszyscy obecni w pomieszczeniu skierowali wzrok na ekran, a kierownikowi startu oczy wyszły niemal na wierzch.

— Co za cholera? — powiedział słabym głosem i natychmiast warknął do swego zastępcy: — Myślałem, że Jacob oczyścił pole piętnaście minut temu!

— Bo też oczyścił — odpowiedział nieswoim głosem łysy, przysadzisty zastępca. Wyglądał upiornie.

— Ale ktoś tam jednak musi być! — wściekał się dalej wysoki, chudy kierownik, z dwudniowym zarostem na twarzy. — Połącz mnie z Classenem! Kamera, daj zbliżenie na ramię H-2! Operator systemów pola, zabrać mi to ramię z powrotem na miejsce!

Zastępca zaczął mówić nerwowo do mikrofonu, ale Classena nie było w eterze. Jego małe ręczne radio nadal leżało w szatni.

— Nie mogę się z nim połączyć! — jęknął zastępca.

Inżynier odpowiedzialny za system kamer pokręcił jakimiś gałkami i obraz ruchomego pomostu powiększał się, aż wypełnił cały ekran. Inżynier odpowiedzialny za systemy pola startowego naciskał rozmaite guziki, ale ruchomy pomost wciąż posuwał się ku zbiornikowi.

"T Nie mogę go odsunąć! — krzyknął. — Ktoś nim kieruje ręcznie i rusztowania.

Tam ktoś jest! — wrzasnął lekarz lotu, wskazując na ekran. Rzeczywiście, na ekranie pojawiła się biegnąca pomostem postać w białym kombinezonie. Zatrzymała się przy zaworze.

Dajcie maksymalne zbliżenie! — rozkazał kierownik startu. . Obraz na ekranie powiększył się jeszcze trochę, ale stał się bardziej \*lar nisty, mało czytelny także z uwagi na niezbyt silne oświetlenie pom startowego. Dało się tylko stwierdzić, że człowiek na pomoście

ma na sobie biały kombinezon i pomarańczowy kask... A przecieć tylko jedna osoba na całym polu startowym 39A nosiła poma rańczowy kask!

— To Jacob! — obwieścił zastępca.

— Co on, na miłość boską, tam robi?! — zagrział kierownik startu. I podniósł drżący palec ku wielkiemu czerwonemu guzikowi którego naciśnięcie oznaczało wstrzymanie startu...

*Dzień 4., 9:25 czasu Greenwich, 4:25 miejscowego* **Pole startowe 39A**

Kiedy ramię pomostu sięgnęło ściany zbiornika, Classen pognął nim jak szalony. Dotarłszy do zaworu, ukląkł i wsunął rękę pomiędzy krawędź pomostu i zbiornik. Nie czuł nic, poza przejmującym zimnem nagromadzonej w sąsiedztwie masy ciekłego wodoru. Natrafił palcami na talerzowaty przedmiot. Było oczywiste, że to bomba. Musiała to być bomba. To dlatego Ed Garvey musiał umrzeć. Bo się zorientował. Czy nastawiono ją tak, by wybuchła, kiedy się przy niej majstruje? Classen nie miał zielonego pojęcia o bombach, a o majstrowaniu przy nich nigdy dotychczas nawet nie pomyślał. Ale

mniejsza o to. Tak czy inaczej, musi przecieć spróbować, pomimo że się boi. Cholemie się boi.

Nie dawało się jej dobrze uchwycić z pozycji kłęczącej, więc położył się płasko na brzuchu. Udało mu się, przelożywszy rękę przez krawędź pomostu, namacać obrzeże miny. Zacisnął na nim palce. Jest. Mają. Pociągnął. Nawet nie drgnęła. Szarpnął ponownie, mocniej. Bez skutku. „O Panie, daj mi dość siły!” Teraz! Wziął głęboki oddech, natężając całą wolę i mięśnie. Szarpnął z całych sił, stękając:

— A żeby cię, cholera, a żeby cię...

*Dzień 4., 9:26 czasu Greenwich, 4:26 miejscowego* **Stanowisko Odpalania Numer Dwa**

— On... on coś odrywa od zbiornika... — wyjąkał zastępca. Kierownik startu omal tańczył, przestępując z nogi na nogę. Nie wiedział, co robić. Był jedyną osobą w ośrodku, której powiedziano prawdę, całą prawdę, o *Intrepidzie*. Jeśli teraz odwoła start, na następną szansę spotkania na orbicie przyjdzie poczekać kolejne dwadzieścia cztery godziny. Dałoby to Rosjanom całą dobę przewag<sup>1</sup>-Spojrzał na zegar. Do zapłonu pozostały niecałe cztery minutyj Wszystko kontrolowały już komputery, ale wciąż jeszcze m<sup>o</sup>g odwołać start, naciskając czerwony guzik.

jeśli to zrobi, nie będą w stanie złapać *Intrepida* podczas tego okrążenia — okienko czasowe było zbyt ciasne. Musiał sam podjąć decyzję: mają lecieć czy nie?

— Ma to coś! — wrzasnął zastępca. — Cokolwiek to jest, oderwał to od zbiornika!

*Dzień 4., 9:27 czasu Greenwich, 4:27 miejscowego* **startowe 39A**

Niby potężny strup talerz dał się w końcu oderwać od pomarańczowej ściany — zrazu powoli, potem, kiedy zadziałało prawo dźwigni, odczepił się tak nagle, że Classen omal nie upuścił przedmiotu, który wpadł mu do ręki. Ostrożnie przeniósł go nad krawędzią konstrukcji, przycisnął do piersi i z trudem wstał. Popędził na koniec pomostu i przestawił dźwignię na tablicy rozdzielczej, uruchamiając mechanizm odsuwający ramię.

*Dzień 4., 9:28 czasu Greenwich, 4:28 miejscowego* **Stanowisko Odpalania Numer Dwa**

Personel Stanowiska Odpalania obserwował, jak ramię pomostu stopniowo oddala się od zewnętrznego zbiornika wahadłowca.

— Systemy pola! — wrzasnął kierownik startu, niepomny mikrofonu. — Meldujcie, gdy tylko pomost H-2 znajdzie się w odległości umożliwiającej start!

Inżynier odpowiedzialny za systemy pola sprawdził dane na swym pulpicie.

— Jest już wystarczająco daleko! — powiedział i dodał: — Kaptur upustu tlenu zaczyna się odłączać!

Kierownik startu cofnął palec znad czerwonego guzika. Dygotał jak w febrze.

— W porządku — obwieścił. — W porządku, odpalamy! — Potem przełknął ślinę i błagał omalże z płaczem:

Jacob, wynoś się stamtąd! Spieprzaj stamtąd, do jasnej cholery!

*Dzień 4., 9:28:30 czasu Greenwich, 4:28:30 miejscowego* **startowe 39A**

Ruchomy pomost cofnął się już o kilkanaście metrów, gdy Classen tyszał metaliczny odgłos. Spojrzał w górę i serce w nim zamarło. <sup>s</sup>ona zaworu ciekłego tlenu także odsuwała się od zbiornika —



oznaczało to, że do odpalenia silników pozostała może minuta Spojrzał za siebie, zdecydował, że ramię pomostu odsunęło się  $J_{U2}$  dostatecznie i wyłączył dźwignię. Nie miał już czasu, by użyć windy. Popędził na odległy koniec rusztowania. Wiedział, że pozostało mu tylko jedno wyjście: ratunkowy system ewakuacyjny. Biegł więc ku zawieszonym na linie koszom z metalowej siatki; niczym zawodnik na olimpiadzie zanurkował, głową w dół, do jednego z nich; trzymając wciąż bombę, a drugą ręką zwalniając blokującą kosz dźwignię. Kosz pomknął ku sieci przechwytyjącej.

Był to bardzo prosty system ewakuacji, umożliwiający astronautom w razie jakiegoś wypadku — na przykład wycieku paliwa — szybkie oddalenie się od wahadłowca. Składał się z kilku koszy zawieszonych na linach i ślizgających się po nich na rolkach. Liny biegły pod ostrym kątem z ósmego poziomu rusztowania do lądowiska przy bunkrze odpalania.

Ześlizgnięcie się kosza trwało niecałe trzydzieści sekund; w tym czasie przemieszczał się on w poziomie na odległość czterystu metrów, a zarazem opadał w pionie z wysokości czterdziestu pięciu metrów. Znajdujący się w koszu człowiek doświadczał w ciągu owych trzydziestu sekund przyspieszenia od zera do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę — ale to nie stanowiło problemu. Gorsze było hamowanie — zredukowanie przyspieszenia z osiemdziesięciu kilometrów do zera w ciągu jednej i dwóch dziesiątych sekundy, gdy kosz wpadał w przechwytyjącą siatkę na dole.

Classen wszakże nie miał czasu, by rozważyć swą sytuację w kategoriach fizyki. Jego mózg rejestrował jedynie, że pędzi głową na dół w stalowym koszu, ściskając bombę. Z ogromnym wysiłkiem przekreślił się do normalnej pozycji, gubiąc przy tym kask i powodując rozhuśtanie kosza na boki. Zastanawiał się, co zrobić z tym fantem, który trzymał w ręku. Nigdy dotąd nie rzucał dyskiem. Okazja, by właśnie teraz spróbować, była raczej szczególna. Niezgrabnie uchwycił talerzowaty przedmiot i zacisnął palce na jego obrzeżu, zebrał wszystkie siły i trzymając się drugą ręką krawędzi bujającego się kosza cisnął talerz w ciemność.

Moment zderzenia z nylonową siatką przechwytyjącą Classen zarejestrował jak przez mgłę, ale wydawało mu się, że zanim wyrznią go głową o stalową ścianę, usłyszał odgłos i dostrzegł błysk odległego wybuchu. Przez dłuższą chwilę był zbyt oszołomiony, by ruszyć się z dna wibrującego jeszcze kosza. W końcu wygramolił się przez jego krawędź, czując się słaby jak kocię, i spadł z głuchym łoskotem na ziemię, aż mu dech zapało. Ostatkiem sił zmusił się do wstania i — niby żywy trup — przekuśtykał ostatnie kilka kroków dzielących go od bunkra ochronnego.

Wszedł tam, ślaniając się, i upadł na betonową podłogę własną w chwili, gdy gwałtownie zadrżała ziemia, a ponad jego wyczerpanym

dy :-

ciałem przetoczył się ogłuszający grzmot. Zatkanął sobie uszy rękami, zwinął się w kłębek i kolanami przycisnął ręce do głowy. — Uciszcie ten hałas! — błagał. — Niech ustanie!

*Dzień 4., 9:30 czasu Greenwich, 4:30 miejscowego Constellation*

Klang! Wibracja rozeszła się po sterowni, kiedy wahadłowiec wychylił się do przodu w utrzymujących go na wyrzutni wspornikach.

— Trzy zielone na głównych silnikach! — przekrzykiwał narastający grzmot Townsend.

Odpaliły silniki startowe na paliwo stałe.

— SRB też zielone!

Trzej astronauta poczuli wibracje spowodowane wyzwalającą się pod ich stopami siłą dwóch milionów ośmiuset kilogramów ciągu. Potem obserwowali przez okna sterowni, jak przesuwają się powoli w dół światła pola startowego. *Constellation* zaczęła się wznosić. Heitmann, Townsend i Watkins byli najzupełniej nieświadomi dramatu, do którego doszło tuż obok. Ruchomy pomost znajdował się po przeciwnej stronie zewnętrznego zbiornika, szef łączności zaś — kiedy już ochłonął z szoku wywołanego tym epizodem — nie widział powodu, by denerwować załogę. I tak nie mogliby w niczym dopomóc.

— Będziecie teraz robili beczkę, *Constellation* — powiedział przez radio szef łączności.

— Zrozumiałem — odpowiedział Heitmann. — Właśnie zaczynamy manewr.

Ale choć jego ręce spoczywały na sterach, to nie on, lecz komputery poleciły silnikom obrócić statek kosmiczny do normalnej pozycji „na plecach”. Jednakże zamiast podążyć łukiem nad Atlantyk, *Constellation* pomknęła z grzmotem silników po nocnym niebie na południe.

*Dzień 4., 9:32 czasu Greenwich, 4:32 miejscowego Yeehaw Junction, Floryda*

Seymour Woltman był nocnym redaktorem depech biura Associated Press w Miami. Kluchowaty, ciemnowłosey, rozwidziony mężczyzna w średnim wieku, którego kariera zawodowa była <sup>w</sup> stadium zastoju, a raczej regresu.

Niegdyś Woltman był dobrym reporterem „Heralda”. Cholernie dobrym. Potem bombowym redaktorem. Potem mocno popijającym <sup>re</sup>daktorem. Następnie już tylko mocno popijającym facetem. Zanim <sup>za</sup>czął staczać się po równi pochyłej, był zastępcą naczelnego <sup>w</sup> „Heraldzie”. Teraz nocnym depechowcem.

Ale Woltman postanowił nie dać za wygraną. Udało mu się w końcu opanować nałóg, a dzięki pewnemu znajomemu z dawnych lat miał właśnie szansę na posadę w „Atlanta Constitution”. Wyszedłszy z biura o drugiej nad ranem pojechał do domu, spakował rzeczy i ruszył samochodem na północ, autostradą Florida Turnpike w stronę Atlanty. Zamierzał spędzić weekend u kumpla, a w poniedziałek odbyć rozmowę w sprawie posady.

Woltman zapomniał o zatankowaniu samochodu przed opuszczeniem Miami, z prawie pustym zbiornikiem zjechał więc z autostrady, by szukać stacji benzynowej w miasteczku Yeehaw Junction. Na szczęście w tej malutkiej miejscinie, położonej około stu kilometrów na południe od Cape Canaveral, była czynna całą dobę stacja samoobsługowa.

Właśnie wysiadł z wozu, by zatankować, gdy ujrzał — a raczej odczuł — jej obecność. Ciemność wokół zabarwiła się z lekka żółtawym odcieniem, jakby zaświecił z oddali rząd świateł ulicznych. Ale w Yeehaw Junction nie było latarni.

Woltman spojrział w górę, a to, co zobaczył, zaparło mu dech w piersi. Po niebie przesunął się pomarańczowy płomień. Stał zdumiony i zahipnotyzowany widokiem; dopiero wściekły grzmot sprawił, że podskoczył na pół metra w górę. *Constellation* przekroczyła właśnie barierę dźwięku.

Woltman był zmęczony i wycieńczony, ale jego komórki mózgowe ożyły — naprawdę ożyły — po raz pierwszy od lat. Jako korespondent obsługiwał niegdyś z tuzin startów statków kosmicznych z Cape Canaveral. Wiedział, że NASA nigdy nie wypuszcza swych rakiet na południe, nad zamieszkane obszary. Nigdy. Aż do dzisiaj.

Nie trzeba było być geniuszem, by wywnioskować, że musiało się wydarzyć coś złego. Coś fatalnego. Straszne.

Katastrofálnego. Może ta cholerna rakietka wymknęła się im spod kontroli?

Pomarańczowy płomień widniał jeszcze gdzieś w oddali, a<sup>le</sup> Woltman nie czekał. Wskoczył do swego kombi i popędził z powrotem do biura w Miami. Nigdy dotąd nie był sam autorem depeszy. Teraz miał szansę. To mógł być jego bilet powrotny na górę. O kurczę! Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna mogł dostać się na pierwsze strony gazet.

*Dzień 4., 9:32 czasu Greenwich Intrepid*

Kiedy *Intrepid* przechodził nad zachodnim wybrzeżem Grenlandii-Julian Kapuściński próbował zasnąć, ale sen nie nadchodził—prawie siedemdziesięciu dwóch godzin nękały go na przeroi rozgoryczenie, koszmary, nuda i napięcie.

Wszystkie drzemiące w n



emocje, powściągane od przeszło czterdziestu lat, teraz ożyły. Wymarzył sobie, że kiedy wyląduje *Intrepidem* w Rosji, będzie to dla jego duszy katharsis, zadośćuczynieniem za wszystkie krzywdy i lekceważenia, jakie wycierpiał przez te długie lata. Doświadczył ich od ludzi, którzy byli od niego gorsi. Przewali go Lodowcem. Wszystkim podobało się to przewisko. Ale nie jemu. Porwanie *Intrepida* było okazją do wyrównania rachunków. Za dokuczanie. Za śmierć matki. Za zdradę Felicji. Ale zamiast świętować wypełnienie życiowej — dosłownie życiowej — misji, wpadł w pułapkę uszkodzonego wahadłowca i tkwił niczym zwierzę w klatce, zdany jedynie na to, by czekać... czekać... i jeszcze dłużej czekać. Nadal musiał tłumić w sobie emocje.

Unosił się w lewym fotelu sterowni *Intrepida* niby gwiazda w przestrzeni kosmicznej. Mnogość gwiazd niebieskich nie ekscytowała go ani inspirowała. Siedział tylko i patrzył ponuro przed siebie.

Ze swego usytuowanego do góry nogami punktu obserwacyjnego nad Grenlandią mógł widzieć po prawej stronie słońce wznoszące się nad horyzontem, podczas gdy przed wahadłowcem i wzdłuż jego lewej burty nadal rozpościerała się ciemność. Zdumiewające było, jak daleko mógł sięgnąć wzrokiem z tej swojej zawieszony wysoko nad Ziemią „grzędą”, gdy nie przeszkadzała mu w tym welon zatrutej atmosfery.

To coś było ledwie dostrzegalne, a jednak wyjątkowo bystry wzrok pozwolił mu to zobaczyć. Tam daleko. Tuż nad krzywizną czarnego horyzontu, z odległości pewnie paru tysięcy kilometrów. Rozbłysnęło jak maleńki, malusieńki robaczek świętojański, gdzieś ogromnie daleko. Ale był pewien, że się nie myli.

Kiedy zdał sobie z tego sprawę, poczuł się jak wyrwany z pól snu otrzeźwiająjącym policzkiem. Wydał cichy okrzyk i w przerażeniu wyświetlił sobie na komputerze nawigacyjnym trasę naziemną *Intrepida*. Stwierdził, że znajduje się nad Grenlandią, na kursie wiodącym prosto nad Florydę.

— Nie! — krzyknął. — Nie zrobią tego, nie mogą tego zrobić!

Ale wiedział, że już to zrobili. W odległej pustce dostrzegł zmierzającą mu na spotkanie *Constellation*.

*Dzień 4., 9:33 czasu Greenwich Constellation*

Błysk eksplodujących sworzni wypełnił na ułamek sekundy wiatro-.<sup>o</sup>n. Silniki startowe oddzieliły się od zewnętrznego zbiornika<sup>o</sup>zpczęły długą wędrówkę w dół, by w końcu opaść na spado-<sup>o</sup>me<sup>o</sup> na Morze Karaibskie.



— Halo, CSOC, nastąpiło odłączenie SRB — zakomunikował przez radio Heitmann. — Zwiększamy obroty silników głównych do stu procent mocy.

— Zrozumiałem, *Constellation*. Obserwujemy odłączenie SRf Ładnie stąd wyglądacie.

Odłączenie silników startowych na paliwo stałe opóźniono o czterdzieści pięć sekund, żeby mieć pewność, że spadną do morza, a nie na południowe wybrzeże Florydy.

*Dzień 4., 9:33 czasu Greenwich, 11:33 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

— Meldunek o starcie, towarzyszu generale! — warknął komendant misji Małyszew, trzymając helmfon przy prawym uchu. — Wyszedł z kosmodromu Kennedy'ego kursem jeden-osiem-siedem stopni. Właśnie dostaję jego trajektorię z Centrum Ostrzegania Obrony Powietrznej.

Na ogromnej mapie w projekcji Merkatora nad wschodnią Florydą pojawiła się krótka, świecąca linia. Śniada twarz sekretarza generalnego zbladła. Był oszołomiony.

— Miałeś słuszność, Witalij, podejmując środki zaradcze! — szepnął miękko. — Amerykanie próbują akcji ratunkowej.

Kostiaszak ograniczył się do kiwnięcia głową, a jego ciemna twarz pozostała poważna. Agentowi KGB na Florydzie nie udało się powstrzymać *Constellation*. Teraz będzie ją musiał zestrzelić Pir-dilenko. Woroncki, Kostiaszak i Popów stali za plecami Małyszewa, a obok niego siedział przy komputerze chudy Pirdilenko i walił zapamiętałe w klawiaturę. Nagle przestał; z twarzą pozbawioną wyrazu wpatrywał się w ekran monitora. Rozdrażnionym głosem powiedział:

—; Wygląda na to, że mamy problem.

*Dzień 4., 9:37 czasu Greenwich Constellation*

Wchodzili w ostatnią minutę pracy silników głównych. Kompute pokładowe przytłumiły już o piętnaście procent moc trzech "piekie" nych gigantów, przygotowując się do ich wyłączenia, kiedy w kabin<sup>0</sup> zaczęło błyskać czerwone światelko i wypełnił ją bzyczący dźwięk ostrzegawczy. Townsend sprawdził przyrządy.

— Defekt turbopompy niskociśnieniowej zasilania tlenem siln numer dwa!

317



— Wyłącz dwójkę! — zakomenderował Heitmann.

Przestała funkcjonować jedna z pomp zasilających ciekłym tlenem środkowy silnik główny wahadłowca. Z jakiego powodu — Townsend nie miał pojęcia, ale szybko wcisnął odpowiednie przełączniki, by zamknąć dopływ tlenu i wodoru do komór spalania silnika numer dwa. W tym samym czasie Heitmann popchnął muskularną ręką dźwignie gazu silników numer jeden i trzy, zwiększając ich moc z osiemdziesięciu pięciu do stu procent. Miało to skompensować utratę mocy środkowego silnika.

Nie było niebezpieczeństwa, że *Constellation* nie wejdzie na orbitę. Wahadłowiec był już w trakcie płytkiego nurkowania, by pozbyć się zbiornika zewnętrznego. Defekt silnika mógł co najwyżej spowodować konieczność dodatkowego uruchomienia orbitalnych silników manewrowych (OMS). Nic ponadto.

— Halo, CSOC, tu *Constellation*. Musieliśmy wyłączyć numer dwa. Jakiś problem z turbopompą tlenu. Przełączyłem z auto na sterowanie ręczne i zwiększyłem moc do stu procent na jedyne i trójce.

Minęło kilka chwil, zanim Heitmann usłyszał:

— Zrozumiałem, *Constellation*. Obserwujemy wyłączenie. Jeszcze jakieś problemy? Odbiór.

— Poza tym wszystko w porządku. Przygotowujemy się do odłączenia zbiornika. Ograniczam siłę ciągu do sześćdziesięciu pięciu procent.

Heitmann pociągnął z powrotem dźwignie sterowania silnikami, śledząc, jak odczyt na pulpicie obniża się do „sześćdziesięciu pięciu”.

— Zrozumiałem, *Constellation* — powiedział szef łączności CSOC--u. — Wyłączajcie silniki główne.

Heitmann zredukował gaz i odpalił sworznie uwalniające zbiornik. Następnie, sterując ręcznie, odmanewrował statkiem na bezpieczną odległość od pustego pomarańczowego zbiornika.

— CSOC, tu *Constellation*. Prosimy o wskazówki dotyczące wstępnego uruchomienia OMS. Pilnie.

— Zaczekaj, *Constellation* — przyszła odpowiedź, a po paru sekundach znowu mieli na linii szefa łączności. — Oficer nawigacyjny mówi, żebyście teraz włączyli ręcznie OMS na taki czas, jak to było zaplanowane. Potem, czterdzieści pięć minut pięćdziesiąt osiem sekund od startu, zrobicie to po raz drugi. Będziecie jeszcze musieli dokonać odpalenia korekcyjnego, by spotkać się z *Intrepidem*, ale nie powinno z tym być większego problemu. Zrobimy obliczenia i nie-awem damy wam wskazówki. Jak dotąd, jesteście tam, gdzie „z”eba. Przy okazji, Orzeł Numer Jeden przekazuje wam, chłopaki, Ze Wyłączyciście na medal. Odbiór.

Zrozumiałem — powiedział Heitmann. Ćwiczyli z Townsendem

w symulatorze awaryjne wyłączenie silnika, dopóki nie upewnili się że umięją to robić nawet z zawiązanymi oczami. Teraz przygotowywali się do dokonania ręcznie wstępnego zapł<sub>oni</sub> OMS, a to wymagało pewnej koncentracji. Townsend czuł nad odczytami z komputera nawigacyjnego, Heitmann zaś operował sterami.

— Trzy stopnie w górę! — polecił drugi pilot. — Skręć sześć stopni na lewo... Będę odpalał OMS na mój sygnał... Trzy... dwa... jeden... już!

Townsend nacisnął czerwony przełącznik; silniki włączyły się bezgłośnie.

Ponieważ nie zakończyli jeszcze manewru płytkiego nurkowania, *Constellation* była w rzeczywistości nieco dalej, niż wynikało to z planu lotu.

*Dzień 4., 9:37 czasu Greenwich, 11:37 miejscowego Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów*

— Problem?! — ryknął sekretarz generalny. — Co macie na myśli, mówiąc: problem?

Pirdilenkę opuściła pewność siebie. Był śmiertelnie przestraszony. Wiedział od początku, że coś takiego może się zdarzyć. Właściwie powinien ich ostrzec, że może zaistnieć taka ewentualność. Ale szansa, że zdarzy się to właśnie teraz, była tak mała, minimalna, nieprawdopodobna. A jednak...

— No więc, towarzyszu sekretarzu generalny — zaczął się jąkać — okazało się, że start amerykańskiego wahadłowca ratunkowego jest... hmm, źle zgrany w czasie z ruchem naszego pocisku anty-satelitarnego.

— Co znaczy: źle zgrany w czasie? Mów, dumiu, jasno po rosyjsku! Na czole Pirdilenki pojawiły się kropelki potu. Nabral głęboko powietrza w płuca.

— Kiedy wahadłowiec startuje — wyjaśnił — wchodzi na eliptyczną orbitę. Dotarłszy na wierzchołek tej orbity, odpala rakiety manewrowe, by ją zmienić na kołową. Chciałem użyć pocisku w czasie, gdy *Constellation* będzie się jeszcze wspinała na wierzchołek orbity eliptycznej, a *Intrepid* będzie się jeszcze znajdował w bezpiecznej od niej odległości. Przypomnijcie sobie, towarzysze, jak rozmawialiśmy o tym w Plesiecku. — Odchrząknął. — Jednakże, mmmm... nie wspominałem wówczas o tym, że nasz pocisk, krążąc po swej orbicie, przechodzi podczas każdego okrążenia trzyminutowy „martwy” okres i wówczas nie może wypatrzeć i zaatakować cel • Jeśliby wahadłowiec wystartował właśnie podczas tych trzech min

319

nocisk nie mógłby go dosięgnąć w fazie wznoszenia. I ku mojemu zaszkodzeniu, to się właśnie stało. Teraz *Constellation* znajdzie się w zasięgu pocisku dopiero po spotkaniu z *Intrepidem*.

Sekretarz generalny chwycił chudego naukowca za gardło i potrząsnął nim tak gwałtownie, że tamtemu spadły okulary.

— Martwy okres? Dam ja ci martwy okres, towarzyszu! Wracaj do swojej maszynierii i zestrzel ten cholerny wahadłowiec! Rozumiesz, co mówię? Zestrzel go albo każę cię przywiązać do którejś z tych twoich cholernych rakiet! Masz na to ochotę? I gwałtownie pchnął go z powrotem na krzesło. Pozornie niedbałym ruchem szef KGB schylił się, podniósł z podłogi okulary i podał je Pirdilence.

— Pewnie się wam przydadzą, towarzyszu.

*Dzień 4., 9:50 czasu Greenwich, 2:50 miejscowego Góra Cheyenne*

W bocianim gnieździe SPADOC-u Whittenberg, Dowd i Fairchild śledzili wspólnie lot *Constellation*. Szef sztabu rozmawiał właśnie przez telefon z McCormackiem. Kiedy skończył, zwrócił się do Whittenberga.

— Chet mówi, że mają zrobić ręcznie na orbicie zapłon wracony, a potem policzyć się im skorygowany kurs zbliżeniowy.

Nie ma obawy, żeby mogło nie dojść do spotkania, w najgorszym razie podczas następnego czy kolejnego okrążenia. Mogło być znacznie gorzej.

Sir Izaak kiwnął głową.

— Może wreszcie zacznie nam dopisywać szczęście.

— Miejmy nadzieję! — dorzucił Whittenberg i sięgnął po zielony telefon, żeby poinformować admirała Bergstroma.

*Dzień 4., 10:14 czasu Greenwich Constellation*

— Zapłon! — zakomenderował Heitmann.

Townsend przycisnął czerwony guzik i silniki orbitalnego systemu manewrowego włączyły się na sześćdziesiąt osiem sekund, wyprowadzając *Constellation* z orbity eliptycznej na kołową tak, by uprzedzała odrobinę *Intrepida*.

Townsend spojrzął przez okno. Znajdowali się nad południowym <sup>Ce</sup>anem Indyjskim. Gdzieś tam, niedaleko, był *Intrepid* i — podobnie <sup>Ja</sup>k oni — pędził również na północ z prękością dwudziestu siedmiu tysięcy kilometrów na godzinę.

<sup>Jp</sup> Zdobyć.



*Dzień 4., 10:15 czasu Greenwich, 15:15 miejscowego* **Koundradzka Stacja Radarowa, Obwód Dżezkazgański, Kazachstan**

W południowym Kazachstanie leży ogromne jezioro Bałchasz. Na jego północnym brzegu, w miejscowości Koundradzki, wznosi się budowla przypominająca nieco egipską piramidę. Jest to kompleks radarowy dalekiego zasięgu o fazowanym układzie anten. Piramido-podobna konstrukcja to w istocie gigantyczny przekaźnik i odbiornik, obserwujący niebo za pośrednictwem fal elektronicznych. Dysponując potężnym impulsem, łatwo wykrył oba amerykańskie wahadłowce zbliżające się od południa. Ich obrazy radarowe były identyczne. Dzielilo je w przybliżeniu dwieście kilometrów. Dane obserwacyjne przekazano do Centrum Ostrzegania Obrony Powietrznej w Magnitogorsku, gdzie zostały przetworzone przez komputery i wprowadzone do banku informacji. Rutynowo trafiły do komputerów w Kaliningradzkim Centrum Kontroli Lotów.

*Dzień 4., 10:30 czasu Greenwich, 12:30 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

Pirdilenko stukał teraz w klawiaturę jak szalony. Był tak skoncentrowany, że nie zwracał uwagi na kropelki potu kapiące mu z czoła na wierzch dłoni. Właśnie pojawiła się szansa. Bardzo realna szansa, i nie miał zamiaru jej zaprzepaścić. Amerykanie sfuszerowali odrobinę program lotu — dane radarowe wykazywały, że wahadłowce dzieli pewien dystans. Nie tak znowu duży, zaledwie dwieście kilometrów, ale dosyć, by zaryzykować zestrzelenie. Obawiał się o swe życie, gdyby mu się to nie udało.

Pocisk antysatelitarny znajdował się w tym momencie nad wschodnimi Stanami Zjednoczonymi, wahadłowce zaś przeleciały właśnie nad południową granicą Związku Sowieckiego. Wszystkie trzy pojazdy kosmiczne zdążyły na północ, ku kręgowi polarnemu-Wahadłowce i pocisk zbliżały się do siebie z wzajemną prędkością pięćdziesięciu czterech tysięcy kilometrów na godzinę. Tylko stuprocentowa precyzja obliczeń dawała Pirdilence szansę sukcesu, margines błędu równy był zeru.

— Kiedy zamierzacie przeprowadzić akcję, towarzyszu? — fukną groźnie pochylony nad uczonym Woroncki.

— Spokój! — warknął Pirdilenko. Zabrzmiało to tak surowo, że skarcony sekretarz generalny aż się cofnął. Atmosfera w pokoju by niesłychanie napięta.

Pirdilenko pozwolił sobie na szybki rzut oka na mapę Merkatora-Dwa wahadłowce amerykańskie szły identycznym kursem na północ

*constellation* wyprzedzała *Intrepida* o jakieś dwieście kilometrów. Zgadzało się to z danymi na ekranie jego komputera. W czasie jaki zajęło mu sprawdzenie raz jeszcze obliczeń, wahadłowce przeleciały nad terytorium sowieckim i przecięły północne wybrzeże Syberii. Pocisk antysatelitarny znajdował się teraz nad Grenlandią, także pędząc ku czapie lodowej Arktyki. Wszystkie trzy weszły już w zasięg kompleksu radarowego w Peczorze. Wszystko było gotowe. Mimo brudnych od potu okularów pirdilenko dostatecznie dobrze widział ekran komputera. Szybko uciekały dzielące go od akcji sekundy. Trzydzieści... dwadzieścia... dziesięć... pięć, cztery, trzy, dwie, jedna. Serce mu waliło, kiedy drżącym palcem nacisnął guzik oznaczony napisem AKTYWIZACJA.

*Dzień 4., 10:42 czasu Greenwich* **ASAT**

Głowica bojowa pocisku antysatelitarnego to prawdę mówiąc, rodzaj zwykłej rusznicy w postaci ceramicznego stożka wypełnionego kulkami z nierdzewnej stali wielkości piłek golfowych. Tyle że rusznicy wysłanej w kosmos. Wspomniane kulki nie zawierają materiału wybuchowego — nie muszą. Jedynym elementem eksplodującym głowicy jest plastikowa płytka stanowiąca pokrywę stożka.

Na komendę Pirdilenki z pocisku wysunęły się dwie małe antenki doplerowskiego radaru pulsacyjnego i zaczęły węszyć w eterze za łupem niby sfora psów myśliwskich. Kiedy wysyłany przez nie sygnał wrócił odbity od „zwierzyny”, mikroprocesor stanowiący mózg pocisku natychmiast obliczył odległość, szybkość, czas i wektor przechwycenia *Constellation*. Następnie, z precyzją posuniętą do milisekundy, włączyły się silniki na paliwo płynne i pocisk pomknął ku swemu orbitalnemu celowi.

*Dzień 4., 10:41 czasu Greenwich, 3:41 miejscowego* **Góra Cheyenne**

Porucznik Keith Brunswick był znudzony. Śmiertelnie. Były obrońca uczelnianej drużyny futbolowej lubił, kiedy się coś działo, a w tej zmianie w SPADOC-u jego obowiązki sprowadzały się do oglądania co jakieś czterdzieści pięć minut przekazu telewizyjnego <sup>2</sup> teleskopu Hubble'a — z pewnością nie działo się nic. Obraz <sup>3</sup>Jemniczego satelity w kształcie torpedy na telewizyjnym monitorze za każdym razem taki sam i Brunswick właściwie nie wiedział,

po co ma się mu przyglądać. Powiedziano mu jedynie, żeby nje spuszczał go z oka i dał znać, gdyby stało się coś podejrzanego A skąd masz niby wiedzieć, brachu, kiedy satelita wygląda podejrzenie? „Co za mowa-trawa” — myślał. Z nudów bębnił palcami po pulpicie, spoglądając raz po raz na pusty ekran monitora i na zegar. Był już chyba czas na kolejne przejście, ale tajemniczy satelita wciąż się nie pojawiał. Nie mając nic lepszego do roboty Brunswick zaczął zerkać, co się dzieje u majora siedzącego przy monitorze po lewej stronie. Hasło wywoławcze majora brzmiało Królicza Nora. Kierował samolotem obserwacyjnym Spyglass, krążącym nad Arktyką. Brunswick wiedział, że Spyglass miał sfotografować spotkanie *Constellation* z *Intrepidem*, ale coś tam nie wyszło ze startem *Constellation* i do *rendez-vous* miało dojść dopiero za kilka okrążeń. Niemniej Królicza Nora już ustawiał Spyglassa, by zrobił próbne zdjęcie *Constellation* dla kontroli funkcjonowania systemów.

Spyglass przekazał do SPADOC-u za pośrednictwem satelity telekomunikacyjnego Real Time obraz kontrolny. Dokonano właśnie jego projekcji na wielkim ekranie centralnym. *Constellation* jeszcze się nie pojawiła, ale spodziewano się jej lada sekunda. Z miejsca na którym siedział, Brunswick nie mógł zbyt dobrze obserwować głównego ekranu. Miał z tym trudności podobne do tych, jakich doświadcza widz z pierwszego rzędu w kinie. Zaciekawienie przemogło; począł odchyłać się w kierunku ekranu majora, by lepiej widzieć przekazywany przez Spyglassa obraz — zaniehbując coraz bardziej własny monitor. Patrzył przez kilka sekund czekając, aż coś się pojawi. No i doczekał się! Zjawiła się *Constellation* — ładnie wyglądała na małym ekranie. „O rany, ale się prezentuje!” — pomyślał Brunswick. Major nacisnął parę guzików i obraz kontrolny na dużym ekranie głównym zastąpiła fotografia skrzydlatego wahadłowca.

Brunswick poczuł, że ktoś dotknął jego ramienia.

— Hej, Keith!

Zwrócił twarz w stronę porucznika siedzącego przy sąsiednim monitorze z prawej strony.

— Słucham? — odezwał się.

— Widziałeś to? — spytał porucznik.

— Co? — zainteresował się Brunswick.

— Ten błysk! — wyjaśnił sąsiad, wskazując na jego monitoi Brunswick zadrzał.

— Jaki błysk? — spytał nerwowo.

— Tego satelity, którego śledzisz. Przypadkowo zobaczyłem g° dokładnie w momencie, kiedy się pojawił na twoim ekranie. Zabłyś<sup>0</sup> i satelita zniknął.



grunswickowi załomotało serce. Jego monitor był teraz zupełnie pusty- „O Boże — pomyślał — przegapiłem to!”  
— Mówisz, że błysnęło?

— Tak. Nastąpił jasny błysk i satelita zniknął. Myślę, że musiały **sje** włączyć silniki.

„Silniki! Och, dobry Boże, nie!”

W bocianim gnieździe zadzwonił telefon dowódcy. Whittenberg podniósł słuchawkę.

— Panie generale! — krzyczał Brunswick. — Tu stanowisko dziewięć! Wygląda na to, że satelita, którego śledziliśmy teleskopem Hubble'a, właśnie uruchomił silniki!

Whittenberg wzdrygnął się mimowolnie.

— Kiedy?

— Przed chwilą, panie generale. Nastąpił błysk i on zniknął. Generał spojrzął na trajektorie obu amerykańskich wahadłowców

i rosyjskiego tajemniczego satelity na ekranie. Wszystkie zbiegały się nad kołem polarnym. Chwycił za telefon bezpośredniej łączności z CSOC-iem.

*Dzień 4., 10:43 czasu Greenwich, 3:43 miejscowego* **Połączone Dowództwo Operacji Kosmicznych**

Chester McCormack stał nad szefem łączności, kiedy na pulpicie zabrzączał telefon ze SPADOC-u. Podniósł słuchawkę i powiedział:

— **CSOC.**

Chet! — wrzeszczał Whittenberg. — Właśnie mieliśmy obraz nie zidentyfikowanego satelity! Przed chwilą włączył silniki... Myślę, że to ASAT!

McCormackowi ciarki przeszły po krzyżu. Odepchnął szefa łączności, chwycił z pulpitu mikrofon i wcisnął guzik.

Phil! Jack! Zabierajcie się stamtąd! Leci na was ASAT!

*Dzień 4., 10:43 czasu Greenwich Constellation*

Heitmann i Townsend spojrzeli na siebie. Na obu twarzach malowało się przerażenie.

— Powtórz, CSOC! — zażądał Heitmann.

— Powiedziałem, że leci na was ASAT! Zmieńcie orbitę na wyższą mb niższą, zróbcie cokolwiek, ale uciekajcie stamtąd do diabła! Natychmiast!

324

Heitmanna nie trzeba było dłużej namawiać. Chwycił ręczne stery i obrócił *Constellation* do pozycji umożliwiającej zmian orbity.

— Włącz OMS! — wydał komendę.

Townsend nacisnął czerwony guzik. Silniki zareagowały, ale było już za późno.

*Dzień 4., 10:43 czasu Greenwich* **ASAT**

Impuls z mikroprocesora rozszedł się po obwodach satelity, powodując eksplozję sworzni mocujących osłonę startową. Gdy aerodynamiczna pokrywa odpadła, w słońcu zaśniła ceramiczna głowica bojowa. W chwilę później kolejny impuls zdetonował plastikową podstawę głowicy, rozrywając ceramiczny pojemnik i rozsiewając stalowe kule w chmurę szeroką na trzy kilometry.

*Constellation* i kosmiczny śrut zbliżały się do siebie z wzajemną prędkością czternastu kilometrów na sekundę, do spotkania doszło więc szybko — prawie dokładnie w chwili, gdy Townsend włączył silniki OMS.

Pierwsza stalowa kulka grzmotnęła w dziób *Constellation* z energią kinetyczną pocisku artyleryjskiego kalibru trzech cali, rozłupując na dwoje przednią część wahadłowca i wystawiając sterownię — z której natychmiast uciekło powietrze — na pastwę wrogiej kosmicznej próżni. Zniszczenie statku nastąpiło tak gwałtownie i błyskawicznie, że trzej astronauty nie zdążyli nawet zdać sobie sprawy, co się stało. Już pierwsze uderzenie miłosiernie pozbawiło ich przytomności, zanim ich ciała zostały rozdarte na strzępy z powodu różnicy ciśnień.

Drugi pocisk ASAT-a przebił gładko lewe skrzydło, właściwie nie czyniąc szkód poza wybiciem dziury w jego delikatnej powłoce. Ale trzecia stalowa kula uderzyła w środkową część miękkiego<sup>0</sup> podbrzusza wahadłowca, rozpruwając zbiorniki ciekłego wodoru i tlenu zasilające pokładowe ogniwa paliwowe. Nastąpiła eksplozja<sup>oz</sup> paliwa, która unicestwiła *Constellation*. Kruchy wahadłowiec<sup>oz</sup> padł się na miliard cząstek aluminium, krzemu i plastiku, a<sup>sl</sup> wybuchu rozrzuciła je po czarnym niebie niby popioły grzeba po morzu.

*Dzień 4., 10:43 czasu Greenwich, 5:43 miejscowego* **Biały Dom**

Jezu!

*Mon Dieu!* Boże miłosierny!

Grupka mężczyzn stojących przed telewizorem w Ovaí Office instynktownie cofnęła się od przekazywanego przez Spyglassa obrazu, zaszokowana sceną unicestwienia statku, której właśnie byli świadkami.

Pierwszy doszedł do siebie prezydent.

— Sam! — rozkazał grobowym głosem — Sprawdź, co... co się stało.

Sekretarz obrony sięgnął do telefonu na podręcznym stoliku i połączył się z Pentagonem. Mówił gwałtownie, potem czekał na odpowiedź. Po dalszej, ściszonej wymianie słów podniósł czerwoną twarz.

— Admirał Bergstrom mówi, że to Rosjanie, panie prezydencie. Ten ich tajemniczy obiekt okazał się najwidoczniej głowicą anty-satelitarną. Admirał mówi, że SPACECOM zrobił zdjęcie pocisku w momencie, kiedy go odpalano, by dopadł *Constellation*.

— A więc dobrze! Stało się! — Twarz prezydenta była purpurowa z wściekłości. — Powiedz Bergstromowi, żeby postawił Strategiczne Siły Powietrzne w stan pogotowia drugiego stopnia. Niech Rosjanie zobaczą na swych ekranach radarowych, że napytali sobie biedy!

— Tak jest, panie prezydencie.

Nadal w narastającej furii, prezydent zwrócił się do sekretarza stanu.

— Winstonie, ruszaj i sprowadź tu Jakowlewa! Zwiąż go, jeśli będzie trzeba, albo weź paru marines i każ wyłamać drzwi tej ich choleralnej ambasady! Ale przyprowadź go tu natychmiast! Musimy się dowiedzieć, co się, u diabła, dzieje!

— Idę, panie prezydencie.

— Pojadę razem z panem do ambasady, panie ministrze — ofiarował się wiceprezydent — i pomogę sprowadzić ambasadora.

— Będę panu wielce zobowiązany, panie wiceprezydencie! — poddział ponuro dyplomata. — Pańska pomoc może się przydać.

<sup>1</sup>— Sam!

Sekretarz obrony spojrział znad telefonu. ~~~ Słucham, panie prezydencie?

Powiedz Bergstromowi, żeby wystrzelił ten kosmolot. I niech \*v\*śle, jeśli będzie trzeba, bombowce widma, żeby tylko Rosjanie nie °stali *Intrepida* w swe choleralne łapy!

**MI**

— Tak jest, panie prezydencie!

Prezydent poczuł na swym ramieniu dużą, ale delikatną dłoń.

— Spokojnie, *mon ami* — usłyszał szept. — Spokojnie!

*Dzień 4., 10:44 czasu Greenwich, 3:44 miejscowego* **Góra Cheyenne**

Wszystkich obecnych w wielkiej sali zamurowało. Nikt nie mógł się poruszyć. Nikt nie był w stanie się odezwać. Nie byli przygotowani na coś tak przerażającego: sprostać nagłej śmierci, oglądanej na ogromnym ekranie z odległości paru metrów. Podziało to na nich jak koszmarny sen. Od jednego z pulpitów w pierwszym rzędzie dobiegł szloch.

W bocianim gnieździe zabrzączał zielony telefon. Whittenberg drżącą ręką podniósł słuchawkę i zgłosił się szeptem. Minęła dłuższa chwila, zanim usłyszał głos Bergstroma.

— Widzieliśmy to. Pocisk antysatelitarny, prawda?

Nawet ten stary lew był przygaszony. Whittenbergowi zaschło w gardle. Z ledwością mógł formułować zdania.

— Tak, panie admirale. ASAT. Hubble złapał go kamerą w momencie, kiedy odpalał silniki.

Rozmowa się nie kleiła. Whittenberg usłyszał, jak u Bergstroma zabrzączał inny telefon.

— Poczekaj chwilę! — powiedział admirał.

Przez pewien czas dochodziły jakieś odgłosy z drugiego planu, potem admirał wrócił do telefonu.

— Dzwonił sekretarz obrony. Widzieli wszystko w Białym Domu. Prezydent mówi, żeby wysłać Kestrela i zestrzelić skurwysyna, skoro nie ma innego wyjścia.

— Zrozumiałem, panie admirale. — Ton Whittenberga był niezwykle poważny.

— Zadzwoń jeszcze za parę minut — powiedział Bergstrom — teraz muszę porozmawiać z generałem Dooleyem.

Prezydent stawia Strategiczne Siły Powietrzne w stan pogotowia drugiego stopnia.

Połączenie się urwało. Whittenberg odkładał słuchawkę, kiedy otworzyły się szklane drzwi bocianiego gniazda. Wszedł major kierujący Spyglassem, prowadząc za ramię tonącego we łzach młodego porucznika.

— Panie generale! — powiedział major. — Uznałem, że lepiej będzie przyprowadzić tu tego chłopca. Ma panu coś do powiedzenia-

Whittenberg spojrział na szlochającego Brunswicka i rzekł:

— Sir Izaaku, proszę dać mu krzesło.

327

Fairchild szybko się zakrzętnął i porucznik usiadł, skrywając twarz w dłoniach.

— Co jest, synu? — spytał Whittenberg.

Łamiącym się głosem krępy oficer wyszlochał:

— Panie generale... to ja... ja ich zabiłem! Co? — zapytał z niedowierzaniem Dowd.

Brunswick, szlochając, wykrztusił:

— Byłem na stanowisku dziewiątym. Miałem śledzić obraz nie zidentyfikowanego satelity z teleskopu Hubble'a. To, co robił pan major... odwróciło moją uwagę i zacząłem patrzeć na jego monitor, zamiast na swój. Przegapiłem moment, kiedy satelita włączył silniki. Facet z sąsiedniego stanowiska zauważył to i spytał, czy widziałem. Gdybym uważał... tak jak powinienem, może dałoby się ostrzec ich w porę... O Boże, jakże mi przykro! — I szlochał dalej.

Whittenberg chętnie by się na kimsz wyładował, ale czuł, że nie byłaby to właściwa osoba ani odpowiedni czas po temu.

Położył ciężką dłoń na ramieniu porucznika.

— Nic nie mogłeś zrobić, synu! Oni prawdopodobnie byli już skazani w momencie startu. To nie twoja, to moja wina! Niech pan go zabierze na dół, do ambulatorium — zwrócił się do majora. — Niech mu tam dadzą coś na uspokojenie!

— Rozkaz, panie generale — odpowiedział major i wyprowadził Brunswicka z bocianiego gniazda.

— Bysiu? — zagadnął Whittenberg.

— Słucham, panie generale — odezwał się łagodnie Dowd.

— Zaraz zadzwonię do Che ta. Tyle dał z siebie, żeby wyprawić *Constellation*. Boję się, żeby się nie załamał. Chciałbym, żebyś się do niego udał i... trochę z nim pobyl. Wiem, że się przyjaźnicie. Zadbaj, żeby się trochę przespał. Będzie nam potrzebny w dobrej formie na start Kestrela. Gdyby ci sprawa kłopoty, zadzwoń, a ja pošlę mu lekarza.

— Już się robi, panie generale. I Dowd wyszedł.

— Sir Izaaku! — ciągnął dalej Whittenberg. — Chcę, żeby pan pokierował sprawami w Vandenberg. Proszę mnie informować

o każdym drobiazgu, który by utrudniał wysłanie Kestrela.

— Tak jest, panie generale — odpowiedział miękko Fairchild

I poszedł do swego biura operacyjnego.

Whittenberg przyglądał się przez całe trzydzieści sekund bezpośredniemu telefonowi do CSOC-u. Potem zamknął oczy i powoli Podniósł słuchawkę.



*Dzień 4., 10:44 czasu Greenwich, 2:44 miejscowego* **Baza Sił Powietrznych Edwards**

Obaj byli tak oszołomieni, że mogli się tylko bezmyślnie gapić na wypełniające ekran szczątki. Wreszcie Monaghan pozbierał się na

tyle, by zapytać nieswoim głosem:

— Kto... mówileś... był na pokładzie?

Lamborghini nie od razu odpowiedział. Próbował jakoś się uspokoić. Czuł się równie oszołomiony i porażony jak wówczas kiedy był świadkiem katastrofy *Challenger*. Wahadłowiec to taka wspaniała maszyna, ale jakże krucha. Patrzeć, jak się rozpada na atomy w mgnieniu oka — to było ponad siły.

— Dobrze się czujesz, Pete? — zapytał łagodnie Monaghan. Lamborghini nadal patrzył przed siebie oczami bez wyrazu. Zdobył

się jedynie na słabe kiwnięcie głową.

— Lecimy, Pete. Dotarło to do ciebie? Musimy się tam dostać i przygwoździć tego pierdoleńca. Potrzebuję cię, chłopie!

Teraz nie możesz mnie zawieść!

Lamborghini ponownie kiwnął głową. Tym razem bardziej zdecydowanie.

Monaghan zwrócił się do sierżanta służb technicznych, dyżurującego na stanowisku łączności, równie jak oni wstrząśniętego.

— Gdyby ktoś nas szukał, będziemy w hangarze symulacyjnym. Nie czekał na odpowiedź. Wziął przyjaciela pod ramię i wyprowadził go z budynku.

# I

*Dzień 4., 10:45 czasu Greenwich, 12:45 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

Oczy wszystkich obecnych w Centrum zwrócone były na wyświetloną na ekranie mapę, uwidaczniającą naziemne trasy *Intrepida*, *Constellation* i ASAT-a, zdążające ku arktycznej czapie lodowej. Trasy te pozostawały nadal bez zmian, choć Pirdilenko wiedział, że ASAT uruchomił silniki i zdetonował głowicę bojową. Kiedy pojazd kosmiczny zmieni orbitę, musi upłynąć parę sekund, zanim komputery w Centrum Ostrzegania Obrony Powietrznej przetworzą nowe dane i uwidocznia to odpowiednio na ekranie projekcyjnym-

Sekretarz generalny Woroncki widząc, że orbity się nie zmieniają, zjeżył się jak byk przed szarżą.

— Wasz pocisk antysatelitarny zawiódł, towarzyszu! Co macie teraz do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie? Może nie dotarło do was, co powiedziałem o...

Pirdilenko podniósł rękę na znak, że prosi o ciszę. Nie spuszczał

wzroku z mapy; po upływie kilku sekund zniknęły z niej białe linie oznaczające *Constellation* i ASAT-a.

Nie było wiwatów. Jedynie poruszenie wśród obecnych na sali. Oto przestało właśnie istnieć trzech kolegów, także pionierów podboju kosmosu, choć Amerykanów; prawie wszystkim zrobiło się więc trochę nieswojo. Sekretarz generalny nie podzielał wszakże tej rozterki. Otworzył szeroko oczy i zapytał:

— Zrobione?

Pirdilenko wstał z krzesła. Wróciła mu pewność siebie.

— Ma się rozumieć, towarzyszu sekretarzu generalny. Nieoczekiwanie wahadłowce znalazły się w pewnej od siebie odległości. Nie tak znowu dużej, ale dostatecznej. Udało mi się zaktywizować pocisk pod takim kątem, żeby zniszczył prom ratunkowy nie uszkadzając *Intrepida*.

Strategia Pirdilenki była całkiem prosta. Wprowadził ASAT na orbitę wyższą od tej, po której poruszał się cel. Ataku dokonał pod kątem, z góry, tak by „śrut kosmiczny” zniszczył *Constellation*, a następnie zszedł z kursu *Intrepida*.

— Znakomita robota, towarzyszu! — znowu radował się Woron-cki. — Cały czas wiedziałem, że potraficie tego dokonać.

— Wasze zaufanie to dla mnie prawdziwy zaszczyt! — powiedział zgryźliwie Pirdilenko, wycierając okulary połą białego kitla. — A teraz już sobie pójdę, jeśli nie macie nic przeciwko temu. —

I opuścił pokój.

— Towarzyszu Popów? — zagadnął malutki szef KGB. Posępny generał położył pocieszającym gestem dłoń na ramieniu Małyszewa. Teraz ją cofnął i spojrzał na Kostiaszaka.

— Słucham, towarzyszu przewodniczący? — powiedział znużonym głosem.

— Czy istnieje niebezpieczeństwo, że Centrum Ostrzegania zacznie badać sprawę, hmm... zniknięcia dwóch pojazdów kosmicznych?

Popów westchnął.

— Zapewne. Ale przetworzenie danych zajmie im co najmniej tydzień. Śledzą przecież, było nie było, piętnaście tysięcy obiektów orbitalnych. Może im się wydać podejrzanym, że wahadłowiec ratunkowy wystartował z Florydy na południe. Ale analizowanie tej sprawy potrwa jakiś czas, a żadne dochodzenie nie zakończy się Przed upływem weekendu.

— Doskonale! — powiedział Kostiaszak. — Kiedy wysyłamy Sojuza?

Popów spojrzał na zegarek.

— Bajkonur znajdzie się w dogodnej pozycji mniej więcej za czternaście godzin. Wostow już pewnie załadował mocujący kołnierzyk P<sup>o</sup>d osłonę startową, a nasi kosmonauci kończą zapoznawanie się

<sup>2</sup> Planem lotu.

Kostiaszak skinął głową.

— Moje gratulacje, towarzyszu generale! — Następnie, muskając kłapę szytego w Anglii garnituru, zwrócił się do Woronckiego. — J Widzicie, towarzyszu sekretarzu generalny, dopóki potrafimy prze. widywać rozwój wydarzeń, damy sobie radę z każdym problemem, jaki się pojawi.

Tamten klepnął go po plecach.

— Jak zawsze, masz słuszość, Witalij! Ale muszę ci wyznać, że to napięcie mnie wyczerpało.

— Całkiem zrozumiałe, towarzyszu generalny sekretarzu! — pocieszał go Kostiaszak. — Wiem, że to było dla was ciężkie przejście. Ponieważ pozostało trochę czasu do startu naszego statku kosmicznego z Bajkonuru, pozwólcie, że odwożę was do domu. Będziecie mogli się wykapać i przespać parę godzin we własnym łóżku. Ja będę czuwał nad sytuacją i dopilnuję, żeby przygotowania przebiegały prawidłowo.

Woroncki, który ledwie trzymał się na nogach, nie sprzeciwiał się.

— Znakomity pomysł, Witalij! Jedźmy!

Ruszył ciężko w stronę wyjścia, ale po chwili raptownie się zatrzymał.

— Amerykanie! — zauważył. — Zestrzeliliśmy im wahadłowiec. Mogą zareagować. — W jego głosie znów zabrzmiała obawa.

Kostiaszak uspokajał go:

— Nie martwcie się, towarzyszu sekretarzu generalny. Moi 'ludzie w Waszyngtonie obserwują sytuację bardzo uważnie. Gdyby działo się coś podejrzanego, zostaniemy natychmiast powiadomieni. Poza tym, opanowanie ich wahadłowca to już tylko kwestia godzin.

Były miotacz wzruszył ramionami.

— Doskonale, Witalij. Składam sprawę w twoje ręce. Ruszajmy! Szef KGB zgasił papierosa i uśmiechnął się do Popowa.

— Do zobaczenia wkrótce, towarzyszu generale! Popów nie odpowiedział.

*Dzień 4., 10:47 czasu Greenwich, 4:47 miejscowego* **Baza Sił Powietrznych Wurtsmith, Michigan**

Major Rusty Tipton został ulokowany na resztę nocy w pomieszczeniu alarmowym. Umościł się na tyle wygodnie, na ile było to możliwe, kiedy się śpi w kombinezonie lotniczym. Na szczęście **ni**\* musiał już spać w tych cholernych, podkutych stałą butach lotniczych — udało mu się załatwić parę bucisk z cholewkami, obszyty®<sup>1</sup> u góry specjalnym zaciskającym materiałem, mógł więc zerwać **siC** z pryczy i wzuć je w niespełna dziesięć sekund. Czasami w ciągł pięciu.

331

Członkowie załóg bombowców B-52, tacy jak Tipton, nie żyli jak ludzie normalni, pracujący w dzień, a śpiący w nocy. Ich rutynowy rozkład zajęć mógł obejmować dwadzieścia cztery godziny w powietrzu w jednym z tych wielkich czarnych potworów, czterdzieści osiem godzin na ziemi, następnie dwadzieścia cztery lotu i siedemdziesiąt dwie na ziemi, kiedy to przechodzili szkolenia i treningi, symulacje, odprawy i kontrole przedstartowe, by z kolei spędzić czterdzieści osiem godzin na naprzemiennych startach i lądowaniach. Latali na czarnych potworach. Starych czarnych potworach. Stratofortecach, zbudowanych, zanim urodził się rudowłosy Tipton i jego koledzy piloci.

Załogę Tiptona zrywano już raz po północy na alarm ćwiczebny, miał więc nadzieję, że to chwilowo wystarczy. Po zakończeniu tej zmiany miał jechać na urlop — na Hawaje, gdzie na szczęście było ciepło. Tipton marzył, żeby nic się nie działo, dopóki nie odmelduje się w dowództwie. Ale z tym czterogwiazdkowym skurwielem. Berniem Dooleyem, niczego nie można było być pewnym — trzymał wszystkich bardzo krótko.

Morfeusz miał właśnie wziąć Tiptona w swe objęcia, kiedy nagle z głośnika dobiegł chropawy dźwięk. Były koszykarz z ataku Northwestern odruchowo wysliznął się półobrotem z pryczy, wsunął stopy w buciska i zaciągnął mocujące je paski. Chwycił futrzaną bluzę i dołączył do tłumu bezładnie zbiegającego w dół po rampie ku transporterom ustawionym w jodełkę wzdłuż tarmaku. Kiedy w którymś z pojazdów znalazła się już cała załoga w komplecie, dowódca stuknął w szoferkę i kierowca ruszał. Tipton głęboko wierzył w swą zdolność przetrwania w powietrzu, natomiast przetrwanie dojazdu do samolotu było czymś zupełnie innym. Podczas wojny jądrowej samo wystartowanie było już połową zwycięstwa. Prawdę mówiąc, większość scenariuszy Pentagonu symulujących konflikt atomowy zakładała, że połowa amerykańskich bombowców zostanie zniszczona na ziemi, zanim zdąży wystartować. Oto dlaczego, wysyłając w powietrze ciężkie bombowce, kładziono nacisk na szybkość, szybkość i jeszcze raz szybkość. Tipton był przekonany, że lotnictwo rekrutuje kierowców swych runwayowych transporterów spośród byłych uczestników wyścigów samochodowych.

Pogoda była mroźna. Transporter zatrzymał się z piskiem opon Przed maszyną numer 41/652 z 379 Skrzydła Bombowców. Służba naziemna w zimowych strojach była już na miejscu. Tipton i jego załoga wbiegli po drabinkach włazowych. Ostatni znalazł się na Pokładzie oficer od broni elektronicznej, potem drabinkę odstawiono, a właz zamknięto.

Tipton i drugi pilot podnieśli kciuki, dając znak szefowi służby naziemnej, że są gotowi. Opracowali sobie pomysłowy system za-Płonu ośmiu silników B-52 i jednoczesnego zakładania hełmofonów.

Wszystkie silniki zostały kolejno uruchomione, spod kół wyciągnięć podstawki blokujące i Tipton zaczął kołować, podczas gdy drugi pi lot zaciągał na wiatrochron osłony przeciwodblaskowe.

W warunkach wojny jądrowej wybuch bomby wodorowej, nawet odległy, może łatwo oślepić pilota. Dlatego podczas startu bombowca wiatrochron jest zasłonięty, a pilot nawiguje przez podwójne elektro-optyczne peryskopy, zainstalowane na specjalnych wieżyczkach pod nosem samolotu. Są one wyposażone w filtr podczerwieni i funkcjonują w systemie telewizyjnym o niskim poziomie światła. Umożliwia to pilotowi obserwowanie pasa startowego w nocy, a także w blasku wybuchów jądrowych, do których doszło w bezpośrednim sąsiedztwie (przynajmniej tak się zakłada).

Tipton kołował na miejsce jako czwarty z kolei w linii startowej, kiedy oficer łączności dowiedział się przez radio bardzo wysokiej częstotliwości o obowiązującym stopniu pogotowia. Dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych uważało, że załogi powinny być o tym z góry informowane. Łącznościowiec słuchał sennie komunikatu, dopóki nie dotarło do niego jedno ze słów kodu, które błyskawicznie go otrzeźwiło.

— Szefie! — wrzasnął przez telefon pokładowy.

— Tak? — odezwał się Tipton, mający startować jako następny.

— Łączność z bazy podała Pożar Lasu!

Tipton i drugi pilot spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

— Pożar Lasu? Czy jesteś pewien?

— Całkowicie, szefie! — odpowiedział oficer łączności. Oznaczało to prawdopodobieństwo rzeczywistej akcji bojowej, a bombowce miały się udać na pozycje wyjściowe i czekać na ewentualny sygnał do ataku z Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych w Omaha. Pożar Lasu oznaczał pogotowie tylko o stopień niższe od Błyskawicy, która oznaczałaby, że wojna już wybuchła.

Chociaż samolot przed nim jeszcze nie wystartował, Tipton popchnął dźwignie gazu do przodu i zaczął się rozpędzać. Woda została wstrzyknięta do turbinowych dwuprzepływowych silników Pratt & Whitney TF33-P-3, wywołując ciąg dostateczny, by oderwać stratofortecę od ziemi. W arsenale czarnego potwora znajdowało się dwadzieścia samosterujących pocisków dalekiego zasięgu z głowicami jądrowymi.

*Dzień 4., 11:20 czasu Greenwich, 6:20 miejscowego* **Biały Dom**

Jewgienija Jak owiewa jako jedyne dyplomatę w dziejach spol ten zaszczyt, że został doprowadzony do Białego Domu osób\*

333

rzez wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych i jednego z członków gabinetu. Odziany tylko w koszulę, pośpiesznie naciągnięte spodnie i płaszcz, został dosłownie wepchnięty przez nich obu do Oval Office.

Oszołomiony i półprzytomny, ujrzał scenę, której się nie spodziewał- To, że za biurkiem siedział prezydent Stanów Zjednoczonych, a po jego lewej stronie stał sekretarz obrony, było przy takich okazjach sprawą normalną. Zaskoczyło go natomiast, że po drugiej stronie biurka siedział wysoki, chudy prezydent Francji. Odruchowo skłonił przez nim głowę, mrużąc: — *Monsieur le President*, ale wszystko to mu się nie podobało.

— Żądam wyjaśnień, panie prezydencie! — zwrócił się do gospodarza. — Czemu zostałem porwany przez wiceprezydenta i ministra spraw zagranicznych? To przemoc!

— Niechże pan zamilknie, panie ambasadorze — przerwał mu prezydent — i nie mówi mi o przemocy! Uprzedzałem już pana, że jakiegokolwiek zakusy wobec naszych obiektów kosmicznych zostaną uznane za akt wrogi. Nie posłuchaliście moich ostrzeżeń...

— A więc dlatego zostałem tu doprowadzony siłą? Nadal upiera się pan przy bajeczce o porwaniu wahadłowca? Mówiłem już panu, panie prezydencie, że ministrowie spraw zagranicznych i obrony osobiście zbadali tę sprawę na moją prośbę. Wymyśliliście sobie całą tę historyjkę!

Otworzyły się drzwi, wszedł oficer w randze majora i wręczył sekretarzowi obrony wideokasetę. Ten otworzył szafkę w ścianie gabinetu, odsłaniając telewizor i magnetowid. Włączył urządzenia i włożył kasetę do odtwarzacza.

— Pozwoli pan, panie ambasadorze! — powiedział, prowadząc Rosjanina w stronę odbiornika. — Tę taśmę przygotowało właśnie biuro prasowe Białego Domu z przekazów telewizyjnych udostępnionych przez Dowództwo Sił Kosmicznych Stanów Zjednoczonych.

Nacisnął klawisz i pojawił się obraz. Poprawił okulary w rogowej oprawie i rozpoczął opowieść.

— Oto obraz sowieckiego satelity schwytyany przez teleskop kosmiczny Hubble'a, krążący po orbicie pięćset dziewięćdziesiąt dwa kilometry nad powierzchnią Ziemi. Widoczny tu satelita wystartował <sup>1</sup> kosmodromu w Plesiecku wczoraj o czwartej trzydzieści sześć rano zasu średniego Greenwich. Leciał na wysokości trzystu pięćdziesięciu czterech kilometrów z nachyleniem orbitalnym wynoszącym osiemdziesiąt trzy stopnie.

Obraz się zmienił. Na ekranie pojawił się wspaniały nocny start <sup>wa</sup>hadłowca.

na~~~ To zaś prom kosmiczny *Constellation* z trzema astronautami ^ Pokładzie, startujący dwie godziny temu z Ośrodka Kosmicznego ^ennedy'ego na Florydzie.

Obraz znowu się zmienił.

— A to *Constellation* bezpośrednio po dotarciu na orbitę, słoto grafowana przez jeden z naszych samolotów obserwacyjnych wyso kiego pułapu... A oto rosyjski satelita z Plesiecka. Jak pan **widzi** właśnie włącza silniki, żeby przeciąć drogę *Constellation*. A to...

Widok eksplodującego wahadłowca mówił sam za siebie. **Am.** basador doznał wstrząsu. Przez parę sekund był zaszokowany; kiedy przyszedł do siebie, pojął, że stało się coś bardzo, bardzo złego. Jego mózg pracował gorączkowo. Czyżby ministrowie wprowadzili go w błąd? Nieprawdopodobne. Byłoby to samobójstwo polityczne dwóch członków Politbiura. Jakowlew miał pewność, że **to** nie mogło się zdarzyć. A więc co się stało? To już z pewnością nie jest amerykański chwyt propagandowy. Chyba naprawdę doszło **do** zniszczenia wahadłowca. Ambasador musiał przemyśleć sprawę. Potrzebował czasu, żeby rozwikłać, co się właściwie stało...

— To zostało przez was sfabrykowane! — stwierdził stanowczo. — To tylko jakaś amerykańska sztuczka techniczna...

— Mogę pana zapewnić, że nie, *Monsieur l'Ambassadeur* — przerwał mu lodowatym głosem Francuz. — Byłem świadkiem całego wydarzenia i mogę potwierdzić jego autentyczność. Trzej astronauta amerykańscy zostali zabici. Rozumie pan? Zamordowani. Przybyłem do Stanów Zjednoczonych, żeby zbadać możliwości powrotu Francji do NATO i ów niesłychany czyn bez wątpienia skłoni mój kraj **do** odnowienia pełnego partnerstwa w tym sojuszu. W rezultacie tej zdradzieckiej napaści może nawet dojść do powstania europejsko--amerykańskiego systemu obrony kosmicznej. Cofa ona stosunki francusko-sowieckie o trzydzieści lat. A kiedy inni przywódcy Zachodu dowiedzą się o tym morderstwie, zareagują tak samo. — Zwrócił się do gospodarza i skłonił przed nim czoło. — Panie prezydencie!

Amerikanin odwzajemnił ukłon, a następnie spojrział na Rosjanina.

— A teraz niech mnie pan posłucha, panie ambasadorze. Postawiłem Strategiczne Siły Powietrzne w stan najwyższego, jak na czas pokoju, pogotowia. Nie zdarzyło się to jeszcze od czasu kryzysu kubańskiego. Bombowce są już w powietrzu. Krótko mówiąc, stoicie przed wycelowaną lufą. Jeśli spróbujecie ruszyć *Intrepida*, odpowiemy uderzeniem zbrojnym. Rozumie pan, panie ambasadorze? Zaatakujemy was. Został pan ostrzeżony. Niech pan stąd idzie i przekaże natychmiast tę informację sekretarzowi generalnemu WoronkiemU-Razem z żądaniem pełnego odszkodowania za zniszczony wahadłowiec i zadośćuczynienia dla rodzin zamordowanych astronautów.

Jakowlewowi wydawało się to koszmarem. Nie znajdował słów-Z trudem zdołał pokuśtykać do drzwi i schronić się w swojej limuzynie. Zaszwyzył się bezpiecznie na jej tylnym siedzeniu, dał

rzeżywał scenę, jaka się przed chwilą rozegrała. Zniszczony wahadłowiec Francja z powrotem w NATO. Wspólny, amerykańsko-^uropejski program obrony kosmicznej. Pogotowie drugiego stopnia, perspektywa uderzenia odwetowego. To było jakieś szaleństwo! Musiał to powstrzymać. Trzeba natychmiast wysłać depeszę.

— Dziękuję! — powiedział miękko Amerykanin.

— Mówiłem po prostu prawdę —• odpowiedział Francuz. — Muszę też powiedzieć, że, w świetle informacji naszego wywiadu, może coś być w teorii pańskiego sekretarza stanu.

— Co na to powiesz, Winstonie? — zagadnął prezydent.

Elegancko ubrany mężczyzna wzruszył ramionami.

— Chciałbym się mylić, ale obawiam się, że mam rację. Doszło do wrogiego aktu, o którym przywództwo sowieckie najwyraźniej nie było uprzedzone. Nie mamy wyboru: musimy postawić nasze siły zbrojne w stan pogotowia. Jednakże uważam, że powinniśmy zachować maksymalną ostrożność, dopóki nie ustalimy, co się właściwie wydarzyło i kto naprawdę jest u władzy po drugiej stronie.

— Zgodziłbym się z tym — wtrącił wiceprezydent.

— Ja też — dodał Francuz. Prezydent zwrócił się do dyrektora CIA.

— Bobby, czy masz jeszcze dla nas jakąś wskazówkę w tej sprawie, poza wiadomością, że Rosjanie mają fałszywy wahadłowiec?

Dyrektor był sfrustrowany, tym razem jego słynny uśmiech nie pojawił się na twarzy.

— Mogę tylko powiedzieć, że najdziwniejsze jest to, co się nie stało. Analiza łączności radiowej nie wykazuje niczego niezwykłego. Sowieckie siły zbrojne są na normalnym poziomie gotowości. Wiadomości przechwycone z rozmów telefonicznych na wysokim szczeblu nie odbiegają od normy. Na ile się orientuję, nikt w Rosji nie wie o *Intrepidzie*. Można powiedzieć, że wszystko toczy się jak zwykle.

Prezydentowi nie spodobało się to. Znowu zaczął wpadać w pasję. Mięśnie zagrały na jego pospolitej twarzy.

— To obłęd! Kraj mający pięć milionów ludzi pod bronią i dwadzieścia pięć tysięcy głowic jądrowych, a my nie wiemy, kto nim naprawdę rządzi? To szaleństwo!

Pocierał skronie, nie mogąc się z tym pogodzić.

— Spróbuj zrozumieć, drogi przyjacielu — pocieszał go Francuz — że mamy przecież do czynienia z Rosją!

<sup>22</sup> — Zdobyć.



*Dzień 4., 11:20 czasu Greenwich, 4:20 miejscowego* **Góra Cheyenne**

W bocianim gnieździe SPADOC-u Whittenberg powoli czytał depeszę, którą przyniosła mu Lydia Strand. Wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po zniszczeniu *Constellation*, w dodatku otrzymał raport o zamordowaniu na Cape Eda Garveya i podjętej próbie sabotażu. A teraz znowu to. Jeszcze raz przeczytał wiadomość przesłaną z CIA, potem przekazał depeszę Fairchildowi.

— Falszywy wahadłowiec? — zapytał nieprzytomnie.

— Tak jest, panie generale — potwierdziła Strand. Whittenberg pogładził się wielką czarną dłonią po podbródku.

— To coś nowego. Po co by była Rosjanom atrapa? Wiemy, że ich wahadłowiec działa. Mamy nawet jego zdjęcie w momencie uruchamiania silników hamujących — mówił, dalej gładząc podbródek. — Może chcieli nam zasugerować, że mają więcej wahadłowców, niż sądzimy?

Sir Izaak pyknął z fajki.

— Obawiam się, że tego rodzaju hipoteza nie pasuje do ich zachowań — sprzeciwił się. — Ile razy przeprowadzali próby lądowania wahadłowca, zawsze starali się to robić wtedy, kiedy nie mieli nad głową naszych satelitów wywiadowczych. Mielśmy szczęście, jeśli nam się udało sfotografować kogoś pod gołym niebem. Po co ta makieta, skoro nie chcą pokazywać prawdziwych?

Zapadła cisza. Wszyscy usiłowali doszukać się w tym jakiegoś sensu, ale nic im nie przychodziło do głowy. Przeżyty szok wytrącił ich z równowagi.

— Może ma pan rację, panie generale — odezwała się Strand — ale chyba trzeba wrócić do podstawowego pytania: po co w ogóle robi się atrapy?

Upłynęła dłuższa chwila, zanim Whittenberg odpowiedział:

— Po to, żeby myślano, że coś jest, kiedy tego nie ma.

— Właśnie. A gdzie mieli tę plastikową atrapę? — pytała dalej, stosując metodę sokratyczną.

Sir Izaak podrapał się po orlim nosie.

— W Bajkonurze — rzekł w końcu.

— Tak, panie generale — ciągnęła dalej Strand. — A więc, idąc tropem tego logicznego rozumowania, chcieli, żebyśmy myśleli, że mają wahadłowiec w Bajkonurze, podczas gdy go tam nie było.

Sir Izaak ssał cybuch fajki.

— Ale jak podkreślił generał, mamy fotografię ich wahadłowe odpalającego silniki na orbicie i jego zdjęcie na pasie w Bajkonur parę minut po wylądowaniu. Od tego czasu nikt go nie widział.

Whittenberg odwrócił się i patrzył nie widzącymi oczami na jede

i wielkich ekranów, nadal odwzorowujący trajektorię *Intrepida*. Nie było już na nim szlaków *Constellation* i ASAT-a. Jego umysł odpoczywał, dopóki w podświadomości nie otworzyła się jakaś klapka. Spojrzał bacznie na obecnych.

— A jeśli na tym zdjęciu z Bajkonuru była atrapa wahadłowca? Sir Izaak podniósł brew.

— No, nie bardzo widzę taką możliwość. Oznaczałoby to, że wahadłowiec wylądował gdzie indziej, nie wiem, gdzie mogłoby to być, albo... — zaczął gwałtownie oddychać — albo...

— Albo nie wylądował w ogóle! — dokończyła podekscytowana Strand.

— A to skurwysyny! — wrzasnął Whittenberg. — Majorze, niech pani wyciągnie wszystkie zdjęcia sowieckiego wahadłowca, jakie mamy. Zwłaszcza te, które dostaliśmy w listopadzie, po ostatnim jego locie. Sir Izaaku, niech pan sprawdzi dokumentację orbitalną jego wejścia w atmosferę. Może coś przeoczyliśmy.

*Dzień 4., 11:30 czasu Greenwich Intrepid*

— Nie musisz się martwić — doszedł go z radia stłumiony głos. — Amerykański statek kosmiczny został zniszczony.

— Zniszczony?! — wykrzyknął Lodowiec.

— Zgadza się, *Intrepid*. Jak już mówiłem, czujemy nad sytuacją w Ameryce bardzo uważnie.

Lodowiec zaczerpnął głęboko powietrza.

— Zaimponowaliście mi, Centrum Lotów. To wymagało odwagi.

— Powtórz, *Intrepid*!

— Mniejsza z tym. Kiedy startują wasi?

— Mniej więcej za czternaście godzin. Będziesz gotów?

— Byłem już gotów, kiedy startowałem z Vandenberg, Centrum Lotów. Informujcie mnie na bieżąco. Wyłączam się.

Wyłączył mikrofon i odchylił się w fotelu. „A więc dopierdolili *Constellation* — pomyślał. — Cholera, to wspaniałe! Dali po dupie tym zarozumiałym skurwielom”. Lodowiec pozwolił sobie na uśmiech. Doszedł do wniosku, że polubi Rosję.

*Dzień 4., 13:00 czasu Greenwich, 15:00 miejscowego Kreml*

Aleksander Kulikow, osobisty sekretarz ministra spraw zagranicznych, przeczytał uważnie depeszę. Sprawa była poważna.

Śmiertelnie

338

poważna. Amerykanie oskarżali Związek Sowiecki o zestrzeleni jednego z ich wahadłowców. Francja powróci do NATO. Pogotowi bojowe. „Święty Cyrylu, dopomóż!” — pomyślał Kulikow. Wiedział że musi bezzwłocznie powiadomić ministra, podniósł więc słuchawkę telefonu, ale zanim zdążył się połączyć, otworzyły się drzwi i Kulikow zdrętwiał.

— Witajcie, towarzyszu Kulikow! — powiedział łagodnym tonem szef KGB. — Zimno dzisiaj, nieprawdaż?

Sekretarz ministra siedział zaszokowany, przyglądając się gładko uczesanemu człowieczkowi w dwurzędowym garniturze. Czuł się tak jakby do jego biura wpełzła zmija.

Kostiaszak rozejrzał się za popielniczką, ale w końcu strzepnął popiół na perski dywan, jako że wstrzemięźliwy Kulikow nie palił.

— Poprawcie mnie, jeśli się mylę, towarzyszu Kulikow. Mieliście właśnie dzwonić do waszego ministra do Wilkova, prawda?

Kulikow z ociąganiem kiwnął głową, Kostiaszak zaś uśmiechnął się.

— Jesteście człowiekiem inteligentnym, towarzyszu. Obiecuję, że bardzo wam się opłaci, jeśli powstrzymacie się od tego telefonu.

Kulikow zbaraniał.

— Nie dzwonić? — zapytał.

— Właśnie! — odpowiedział przewodniczący.

— Ale dlaczegoż nie powinienem dzwonić? Sytuacja z Amerykanami zrobiła się poważna. Minister musi zostać natychmiast powiadomiony.

Kostiaszak ponownie strzepnął popiół i przyglądał się swym wypięgnowanym paznokciom.

— Powiedzmy, iż z racji mego stanowiska wiem, że sytuacja nie jest taka, jak się wydaje. I że obecnie informowanie ministra byłoby nierozsądne.

Podobnie jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent Rosjan, Kulikow żywił niechęć wobec tajnej policji, a jego zażyłość z ministrem sprawiała, że zbytnio się jej nie obawiał.

— Przykro mi, ale nie mogę spełnić waszego życzenia, towarzyszu przewodniczący — powiedział rozdrażniony. — Muszę zadzwonić!

Kostiaszak zaciągnął się pallmallem i powoli wypuścił dym.

— Doskonale, towarzyszu. Ale jeśli będziecie się upierać przy skontaktowaniu się z waszym zwierzchnikiem, zmusicie mnie do zaareztowania was pod zarzutem szpiegostwa.

— Szpiegostwa? — wyszeptał Kulikow i twarz mu zbieleła. Szef KGB kiwnął głową.

— Tak, drogi towarzyszu. Może przypominacie sobie, jak odwie-dziliście, och, jakieś trzy lata temu... pewnego waszego przyjaciela-Francuskiego dyplomata, o ile pamiętam. Byłoby lepiej, gdybyś<sup>cie</sup> wówczas poszli do parku namawiać go, żeby zrobił z was szpieg\*-

W mieszkaniu tego dżentelmena od dawna zainstalowany był ojsłuch. Taki dziecinny błąd zrobiliście. 1 to wy, Rosjanin! Czy wasi rodzice niczego was nie nauczyli?

Kulikowowi zaschło w gardle.

— Wiedzieliście?... Wiedzieliście od początku?

Kostiaszak raz jeszcze się uśmiechnął.

Ależ ma się rozumieć, drogi Aleksandrze. Wiecie — pozwolił sobie na chichot — wasi francuscy współpracownicy powinni byli jakoś was podksztąpić w szpiegowskim kunszcie. Wasze próby maskowania się były tak nieudolne, że nadzorujący was nasi ludzie z trudem powstrzymywali się od śmiechu. Doprawdy, to było zabawne!

Kulikowowi nie wydawało się to jednak zabawne.

— Ale dlaczego?... Czemu czekaliście aż do dziś, żeby mi o tym powiedzieć? Nie wiedzieliście, że przekazuję Francuzom dokumenty?

Kostiaszak głąkał swój jedwabny krawat.

— Dobre pytanie. Nie zaaresztowałem was z dwóch powodów. Po pierwsze, doszedłem do wniosku, że MSZ zajmuje się sprawami o niewielkim znaczeniu, a więc i materiały, któreście przekazywali Francuzom, mają niewielkie znaczenie. Po drugie, pomyślałem, że możecie mi się jeszcze przydać. 1 miałem rację.

Kulikow nadal spoglądał nieufnie.

— Co chcecie, żebym zrobił?

— Po prostu odłóżcie słuchawkę i wyślijcie do Jakowlewa depeszę z podpisem waszego ministra. Polećcie mu, żeby nie kontaktował się z Amerykanami i czekał w ambasadzie na dalsze instrukcje.

Kulikow zawahał się.

— Wysłać bez upoważnienia depeszę w imieniu ministra? Nie... tego nie potrafiłbym chyba zrobić.

Szef KGB stanął w wystudiowanej pozie, skrzyżował ręce.

— Mój drogi Aleksandrze. Wybór należy do was. Możecie mi odmówić, wtedy spędzicie noc w lefortowskim więzieniu, czekając na proces. Albo też zrobić to, o co was proszę, i znaleźć się jutro wieczorem w samolocie Air France lecącym do Paryża.

Kulikowowi zrobiło się słabo. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Ledwie dosłyszalnym głosem spytał:

— Do Paryża? Kostiaszak przytaknął.

— No i może znajdzie się jeszcze coś ekstra, co będzie na was czekało w paryskim oddziale Credit Suisse Bank.

Kulikow zamrugał oczami... po czym odłożył słuchawkę i wyciągnął urzędowy blankiet telegraficzny.

*Dzień 4., 13:00 czasu Greenwich, 8:00 miejscowego Miami*

Seymour Woltman nie mógł się nadziwić własnej głupocie. Odjechał ze stacji w Yeehaw Junction zapomniawszy zatankować, toteż jego kombi zgasło, znalazłszy się na autostradzie. Zabrało mu parę godzin zanim był ponownie zdolny do jazdy. Przekonany, że ktoś go przez ten czas wyprzedzi w przesłaniu wiadomości na pierwszą stronę, wrócił do biura i sprawdził depesze — nie było w nich wzmianki o pochodni wędrującej po niebie nad południową Florydą. Może wszyscy spali? Może było pochmurno i niewielu to zobaczyło?

Jakikolwiek był powód, wyglądało na to, że będzie pierwszy. Ułożył tekst, wprowadził go do komputera, wcisnął kod obwodu depesz iskrowych i uderzył w klawisz przekazu.

**BŁYSKAWICZNA... BŁYSKAWICZNA... BŁYSKAWICZNA**

**Z2552DQNTG**

**FL-ROCKET 0179**

**(MIAMI) — NIEZIDENTYFIKOWANY STATEK KOSMICZNY WYSTARTOWAŁ W SOBOTĘ RANO O 4:35 Z OŚRODKA KOSMICZNEGO KENNEDY'EGO PO TRAJEKTORII PRZECHODZĄCEJ NAD POŁUDNIOWĄ FLORYDĄ. PRZELOTY NAD ZAMIESZKANymi OBSZARAMI SĄ SUROWO ZABRONIONE PRZEZ NASA, MOŻE TO WIĘC WSKAZYWAĆ NA DEFECT POJAZDU KOSMICZNEGO. START NIESPRAWNEGO POJAZDU NAD GĘSTO ZALUDNIONymi TERENAMI MOŻE ZAGROZIĆ SETKOM, JEŚLI NIE TYSIĄCOM ISTNIEŃ LUDZKICH. AP 08:03 EST**

W redakcjach gazet i radiostacjach w całym kraju zaterkotały dalekopisy, przekazując redaktorom wiadomość, że jakieś cholerne gówno wyleciało z Cape Canaveral. Ale Woltman wskoczył na pierwszą stronę i nie miał zamiaru z nikim dzielić się tematem. Wyciągnął notatnik, w którym miał zapisane biurowe i domowe telefony wszystkich osób, które — jego zdaniem — warto było znać. Przy niektórych miał nawet numery telefonów ich sympatii. Znalazł stronicę zatytułowaną „NASA” i podniósł słuchawkę.

*Dzień 4., 13:30 czasu Greenwich, 6:30 miejscowego Góra Cheyenne*

Whittenberg wziął stereoskopowe szkła powiększające i poro\* nywał zdjęcia, wreszcie podniósł głowę. — Rozumiem, o co pani chodzi — zwrócił się do Strand. ~" Kiedy je zrobiono?

\_ To po lewej — pokazała Strand — w nocy, bezpośrednio po drugim locie sowieckiego wahadłowca, przeszło trzy lata temu. Tuż po wylądowaniu w Bajkonurze. Jak pan widzi, obraz w podczerwieni jest nieregularny. Jaśniejszy na najbardziej rozgrzanych przednich krawędziach statku, coraz ciemniejszy na dalszych częściach kadłuba.

— Mhm... — zgodził się Whittenberg, uważnie przyjrzawszy się ponownie zdjęciom przez szkła.

— Drugie — ciągnęła Strand — wykonano po ostatnim locie powrotnym sowieckiego wahadłowca w listopadzie, krótko po tym, jak sfotografował go Spyglass podczas odpalania silników hamujących. W przeciwieństwie do tamtego, to nie wykazuje żadnych nieregularności w temperaturze powłoki statku. Jest zupełnie jednakowa na całej powierzchni skrzydeł i kadłuba.

Whittenberg wodził jeszcze przez pewien czas wzrokiem tam i z powrotem, następnie popchnął oba zdjęcia wraz ze szklami na drugą stronę stołu konferencyjnego do Dowda.

— Ma pani rację, majorze — powiedział z roztargnieniem. — Pani wnioski?

— Myślę, panie generale, że dawniejsza fotografia została zrobiona po autentycznym lądowaniu wahadłowca, gdyż przednia krawędź skrzydeł dała jasny obraz. Tam właśnie podczas powrotu w atmosferę wytwarza się najwyższa temperatura. Jednakowy rozkład temperatury na drugim zdjęciu wskazuje, że wywołano ją sztucznie, może elektrycznie czy nawet chemicznie. Krótko mówiąc, idę o zakład, że to zdjęcie atrapy.

Zwróciła szare oczy na Fairchilda.

— Panie generale, czy doszedł pan do czegoś w kwestii trajektorii? Sir Izaak potrząsnął głową.

— Obawiam się, że nie. Miał przejść dokładnie nad naszą stacją radarową w Diego Garcia, ale była właśnie w remoncie.

Wygląda na to, że wszystko, czym dysponujemy, leży tu na stole.

— Jest wyraźna różnica! — zauważył Dowd, przyglądając się Przez szkła. — Spece od fotografii powinni byli chyba sami to wychwycić! — I podsunął zdjęcia Sir Izaakowi.

, A zatem, jeśli ten wahadłowiec z równomiernym rozkładem ciepła to atrapa, a przedtem sfotografowaliśmy prawdziwy... — Whittenberg zawiesił głos.

^ Zatem prawdziwy nie przeszedł przez atmosferę! — dokończył owd. — Wyjątkowo paskudna śmierć... ~7 Czyli co z tego wynika? — dopytywał się Whittenberg. Sir Izaak spojrzął znad fotografii.

Przypomnijcie sobie: zanim doszło do listopadowego startu, <sup>o5</sup>Janie nie wypuszczali wahadłowców ponad rok. Może i poprzez <sup>mo</sup> wydarzyło się to samo.

— Ma pan na myśli, że spłonęły im podczas powrotu w atmosferze dwa kolejne wahadłowce? — zapytał Dowd. Sir Izaak przytaknął.  
— O Jezu! — mruknął Dowd. — To by znaczyło, że mamy problem. Poważny problem. Problem, można by rzec...  
— Fundamentalny! — dopowiedziała Strand. — Jakąś zasadniczą usterkę konstrukcyjną, której nie potrafią usunąć. I pragnąc j-bezskutecznie zresztą, umiejscowić, spalili dwa wahadłowce.

Przez chwilę zastanawiała się.

— To znaczyłoby, że Rosjanie są...

— Za nami — dokończył Sir Izaak.

— Daleko za nami! — dodał Dowd.

Sir Izaak ponownie zapalił fajkę. Był to znak, że coś mu w żarówkopodobnej głowie.

— A więc, skoro nie mają skutecznego wahadłowca ani systemu kierowania bitewnego PRISM, ani gramera, to znaczy, że naprawdę zostali w tyle, jeśli idzie o program SDI... tak dalece w tyle, że nigdy nas nie dogonią. Tak bardzo w tyle...

— Że skłoniło to ich do uczynienia desperackiego kroku — podchwycił Whittenberg. — Czegoś tak desperackiego jak kradzież *Intrepida*, jak próba sabotażu przed startem *Constellation*, a kiedy to zawiodło, posunęli się aż do jej zestrzelenia. Wszyscy na moment zamilkli, przetrawiając tę hipotezę. A potem Whittenberg połączył się z Pentagonem.

*Dzień 4., 14:00 czasu Greenwich, 17:00 miejscowego Kosmodrom Bajkonur*

Główny konstruktor Grigorij Wostow westchnął z ulgą na osłonie startowej zamknęła się wreszcie ostatnia klamra. Silnik Progressa, wraz z przyspawanym do niego kołnierzem, był już bezpiecznie schowany pod aerodynamiczną pokrywę; Teraz można było przytwierdzić ładunek do rakiety startowej SL-14. Wpasowywanie kołnierza do wnętrza osłony zabrało więcej czasu, niż się spodziewał. Zbyt późno zorientował się, że w warunkach Bajkonuru nie ma pokrywy startowej odpowiednich rozmiarów i trzeba było ją sprowadzać samolotem z Plesiec • A to musiało potrwać. Ale teraz wszystko było gotowe, w<sup>1</sup> mógł się odprężyć.

Dowódca startu — karzełkowaty podpułkownik w ciężkim szy lu — podszedł i oznajmił:

— Jeszcze tylko przytwierdzenie do podstawy, towarzyszu tow, a to nie potrwa długo. Poza tym wszystko gotowe.



\_ poskonale. Pośpieszcie się, towarzyszu pułkowniku! A jak tam nasTkosmonauci?

Oficer spojrział na zegarek.

obudzimy ich mniej więcej za pół godziny. Potem końcowa odprawa przedstartowa, posiłek, ubierze się ich w kombinezony "wsadzi do Sojuza.

Wostow skinął głową.

\_\_ Nie ma już ani minuty do stracenia!

*Dzień 4., 15:30 czasu Greenwich* **platforma Obrony Strategicznej Pułap: 688 kilometrów Nachylenie orbitalne: 83 stopnie**

— Czy ktoś mógłby mnie łaskawie poinformować, co właściwie, do cholery, dzieje się tam na dole? — żądał pułkownik David Colquist. — Najpierw nie zjawia się *Intrepid*, teraz znika *Constellation*... Może powiecie, że to sprawka UFO? Colquist, były gimnastyk, dowódca prototypowej platformy SDI, unosił się bezgrawitacyjnie w powietrzu przed mikrofonem w punkcie łączności.

— Mogę tylko powiedzieć, że nie ma to nic wspólnego z UFO, panie pułkowniku — odpowiedział głos ze skrzynki. — Ale nic ponadto. Orzeł Numer Jeden zaleca, by nie korzystać z radia poza rutynowymi raportami. i

— Cóż, proszę nie zapomnieć przekazać Orłu Numer Jeden, żeby pamiętał o naszym istnieniu — powiedział kpiąco Colquist — i o tym, że czekamy na dostawę. Dopóki nie nadejdzie końcowy ładunek, niewiele mamy tu, jak wiecie, do roboty.

Przekażę, panie pułkowniku — zaskrzeczał głos. — CSOC kłącza się.

Colquist wyłączył mikrofon, zawiedziony. Potem odbił się od Podłogi i wykonał salto do tyłu aż pod sufit pomieszczenia.

Cholera! — zaklął. — Nie lubię być niedoinformowany. **E** ~ Tak jest, panie pułkowniku — zawtórował mu oficer łączności'

~7 Prawdę mówiąc, niewiele możemy na to poradzić. Mam tylko

<sup>Zle</sup>JC, że wszystko jest w porządku. ~ Tak — powiedział Colquist, wykonując w zwolnionym tempie ewrót bokiem, żeby

niecو rozluźnić mięśnie. Zdawał sobie sprawę, nieważkość powoduje zanik jego dobrze rozwiniętych mięśni; <sup>^80</sup>

właśnie nie lubił w długotrwałych lotach kosmicznych. — Coś t<sub>eti</sub><sup>m0w1</sup>, że sprawy nie układają się pomyślnie — prychnął. —

Cały Montaż przebiegał zbyt gładko. Wszystko szło jak po maśle.

34S



Należała nam się z przydziału odrobina niefartu i myślę, że właśnie teraz nas spotyka. Zniósłbym to o wiele lepiej, gdyby nam powi\* dziano, co jest grane.

— Tak jest, panie pułkowniku — zgodził się oficer łączności^

— No, nie ma sensu tracić tu czasu. Gdyby ktoś się łączył, będę w pomieszczeniu kontrolnym reaktora.

— Tak jest!

Colquist wykonał piękny skok w pozycji skurczonej, z wyproś, towaniem następnie ciała. A potem podążył na korytarz.

*Dzień 4., 20:00 czasu Greenwich, 23:00 miejscowego* **Kosmodrom Bajkonur**

Zazwyczaj kosmonauci wchodzili do Sojuza z wieży startowej już po ustawieniu rakiety nośnej SL-4 w pozycji pionowej na wyrzutni. Jednakże przetaczanie na miejsce schodni umożliwiającej załodze dostęp do wjazdu, a następnie jej usuwanie wymaga czasu. Żeby więc przyspieszyć sprawę, Lubinin i Jemitow wpełzli do kabiny, kiedy rakietę leżała jeszcze na boku, na transporterze.

Statek kosmiczny Sojuz-T, do którego się wgramolili, wyglądał jak klepsydra zamontowana na krótkiej szerokiej puszcze. W części „puszkowej”, mającej niespełna trzy metry średnicy, znajdowały się urządzenia statku: system napędu, system podtrzymujący warunki do życia, aparatura radiowa — także głosowa — dalekiego zasięgu, komputery pokładowe oraz raketowe silniki hamujące na paliwo płynne. Po dotarciu statku na orbitę wysuwała się stamtąd na odległość dziesięciu metrów para ekranowych płyt baterii słonecznych, zapewniających statkowi energię elektryczną.

Pomiędzy tę puszkę a górną część klepsydry wciśnięta była kapsuła dla załogi na czas startu i powrotu w atmosferę.

Znajdowały się tam właściwie tylko specjalne fotele, pulpity z przyrządami oraz kamera telewizyjna, umożliwiająca oglądanie kosmonautów przez kontrolę naziemną. Po odpaleniu silników hamujących ta część odłączała się od reszty Sojuza i ustawiała w pozycji odpowiedniej do powrotu w atmosferę. Docierała na ziemię podobnie jak dawne kapsuły programów „Merkury”, „Gemini” czy „Apollo”, z jedną wszakże różnicą — miała specjalny kształt, redukujący siły przeciążenia oddziałujące na kosmonautów do najwyżej trzech, czterech g, podczas gdy w kapsułach amerykańskich oraz w sowieckich Wostokach i Woschodach panowały podczas powrotu w atmosferę przeciążeni\* rzędu ośmiu do jedenastu g. Na wysokości siedmiu tysięcy sześciuset metrów kapsuła Sojuza wypuszczała spadochron hamujący, a w sl^ za nim spadochron właściwy. Wreszcie, już na półtora metra

ziemią, odpalano rakietę amortyzującą, łagodzącą uderzenie przy lądowaniu.

Górną połowę klepsydry stanowił przedział orbitalny — sferyczne pomieszczenie mające mniej więcej dwa i pół metra średnicy. Wzdłuż jego ścian wewnętrznych znajdowały się magazyny żywności, sprzętu naukowego i części zapasowych oraz przyrządy. W nim kosmonauci pracowali, jedli i czasami robili sobie przerwy na sen. Owa kulista część miała trzy włazy. Górny był przeznaczony na wypadek połączenia się z innym statkiem na orbicie, spodni prowadził do kapsuły, boczny zaś umożliwiał wyjście na zewnątrz.

Lubinin i Jemitow wpełzli właśnie owym bocznym włazem do przedziału orbitalnego, a stamtąd przedostali się do kapsuły. Zajęło im to sporo czasu, gdyż mieli już na sobie stroje umożliwiające przebywanie w próżni kosmicznej, zajmujące więcej miejsca niż kombinezony używane normalnie w kabinie Sojuza. Byli w nie odziani już przy starcie, żeby nie tracić czasu, relatywnie długiego, gdyby przebierali się na orbicie.

Sojuz był w ogóle bardzo rosyjskim statkiem. Prosty, funkcjonalny, użyteczny — doskonale spełniał swe zadania.

Porównywanie go z amerykańskim wahadłowcem byłoby czymś w rodzaju porównywania gazika z mercedesem. Pierwszy jest tani, drugi kosztowny i elegancki, ale oba nadają się do jazdy po mieście.

Kiedy kosmonauci znaleźli się w środku, zaryglowano właz i zamocowano osłonę startową. Nad przygotowaniami czuwał dowódca startu. Stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, polecił uruchomić lokomotywę, by przewiozła transporter z rakietą startową

**I** połączonym z nią statkiem na pole startowe.

Tak Sojuz, jak i kosmodrom Bajkonur były w jakimś sensie odbiciem jednego z aspektów rosyjskiej natury. Podejmując jakiegokolwiek przedsięwzięcia, Rosjanie na ogół nie przejawiają skłonności do przodowania pod względem jakościowym. Z pasją natomiast hołdują gigantomanii. Lubią mieć wszystko jak największe. Świadczą o tym ich kosmodromy. Kompleks w Bajkonurze ma osiemdziesiąt pól startowych i jest siedem razy większy od Ośrodka Kosmicznego Kennedy'ego, choć ten ostatni nie zalicza się przecież do małych. W Bajkonurze piętrzą się wielkie hangary, na przemian z budynkami urzędowymi i mieszkalnymi, a cały obszar pokrywa sieć torów łączących hangary z polami startowymi.

Lokomotywa ruszyła, a kosmonauci poczuli wibracje.

— A więc zaczynamy podróż, Sergiejju! — powiedział Lubinin, Jarając się, by to zabrzmiało pogodnie.

Jemitow był ponury. Początkowo podobał mu się udział w podaniu amerykańskiego wahadłowca, niewiele jednak pozostało<sup>2</sup> tego nastroju, kiedy dowiedział się od Wostowa o zniszczeniu

*Constellation*. Zawsze podziwiał swych amerykańskich kolegów i na uśmiechało mu się uczestniczenie, w jakiegokolwiek formie, w icfc mordowaniu.

Lubin in zdawał się czytać w jego myślach. Przestał silić się sztuczną wesołość.

— Rozumiem, co czujesz, Siergieju — powiedział smutno. — Alé cóz możemy poradzić?

Jemitow spojrział na starszego kolegę swymi bładoniebieskimi oczyma.

— Nic! — odpowiedział po prostu.

*Dzień 4., 21:00 czasu Greenwich, 16:00 miejscowego Miami*

„Nareszcie” — pomyślał Woltman. W końcu coś się działo. W biurze AP gwarno było od rozmów o nietypowym starcie.

Szef powiadomił biuro Associated Press w Waszyngtonie, które starało się zdobyć materiał w stolicy, podczas gdy Woltman i dwaj inni miejscowi reporterzy szukali go na Florydzie.

Woltman uczestniczył właśnie w telekonferencji zorganizowanej przez biuro prasowe Ośrodka Kosmicznego Kennedy"ego.

Przedtem zadreślał przez cały dzień pytaniami wszystkie znane mu osoby z NASA i niczego się nie dowiedział. Tej sprawy nie dawało się ugryźć. Nikt nie chciał niczego powiedzieć. Ani na Florydzie, ani w Waszyngtonie. Natrafili na tak szczelny mur, że szef biura zaczął mieć wątpliwości, czy w ogóle doszło do jakiegoś startu. Woltman był zadowolony, że udało mu się puścić wiadomość na iskrówkę — zrobił to bez upoważnienia szefa, formalnie niezbędnego. Wiadomość agencyjna wywołała dość wrzawy, żeby postawić w przymusowej sytuacji biuro prasowe Ośrodka. Ze słuchawką w ręku czekał teraz, aż zabierze głos facet od *public relations* z NASA.

— Czy jest ktoś z UPI? — odezwał się głos w słuchawce.

— Jestem — padła odpowiedź.

— AP?

— Obecny i odpowiedzialny za tę hecę — powiedział zgryźliwie Woltman.

— ABC. NBC, CBS są reprezentowane?

— Tak.

— Tak.

— Obecny.

— I ja też jestem — powiedział przedstawiciel „Heralda”. Głos w słuchawce odchrząknął.

— Oto nie przeznaczone do opublikowania oświadczenie bi”

prasowego Ośrodka Kosmicznego Kennedy'ego. Po jego odczytaniu „nie zostaną udzielone odpowiedzi na żadne pytania. „O czwartej trzydzieści rano czasu wschodniego wystartował z OKK pojazd kosmiczny po trajektorii przebiegającej nad południowo-zachodnią Florydą. Start odbył się bez zakłóceń i bez jakiegokolwiek uszczerbku dla ludności cywilnej. Cel i charakter misji związane są z Inicjatywą Obrony Strategicznej, toteż nie mogą zostać ujawnione. Wprawdzie nie praktykowano dotychczas startów nad południową Florydą, jednakże ta szczególna trajektoria, przebiegająca nad rzadko zaludnionymi terenami, nie przedstawiała poważniejszego zagrożenia dla ludności cywilnej. Została ona uzgodniona z Państwowym Dowództwem Sił Zbrojnych". Koniec oświadczenia.

— Jakiego rodzaju był ten statek kosmiczny? — zapytał reporter UPI.

— Jak zapowiedziałem na wstępie, nie jestem upoważniony do powiedzenia czegokolwiek poza oświadczeniem! — odparł stanowczo przedstawiciel biura prasowego.

— Posłuchaj, ważniaku! — warknął Woltman. — Mam przed sobą komunikat prasowy waszego biura sprzed tygodnia. Donosi on, że wahadłowiec *Constellation* ma wystartować w ciągu pięciu dni, żeby wynieść na orbitę teleskop COSMAX i satelitę telekomunikacyjnego. Czy przypadkiem nie o tym statku kosmicznym pan mówił?

Minęło parę chwil, zanim facet od *public relations* powtórzył:

— Nie jestem upoważniony do udzielania odpowiedzi.

Ale Woltman wiedział, jak wyprowadzać ludzi z równowagi.

— Posłuchaj, dziecinko! Jeśli wynajmę helikopter, przelecę nad waszymi polami startowymi i nie zobaczę tam *Constellation*, wyjdiesz na dupka we wszystkich gazetach od Bostonu po Honolulu! Lepiej więc odpowiedz. Powtarzam pytanie: czy to była *Constellation*!

Beztęlesny głos ponownie odchrząknął, a po dłuższej chwili Powiedział ledwie dosłyszalnie:

— Tak.

Woltman aż podskoczył na krześle.

~ Co? Wypuściliście wahadłowiec nad południową Florydę? Czyście zbkikowali? Czyżbyście nigdy nie słyszeli o *Challengerze*? ^co by się stało, gdyby coś źle poszło i przestałoby istnieć centrum Miami? Albo jeszcze lepiej: Palm Beach? Czy coś się rypnęło w biznesie Gwiazdnych Wojen? Czy ma to z tym jakiś związek? Czy jnoże rozpieprzył się reaktor na tej waszej platformie? Co się stało,

aneczku? No powiedz, co jest grane? ~ Tak, co jest grane, bez czarowania! — zawtórował mu <sup>lac</sup>et z ABC.

Wahadłowiec! To chyba wymaga czegoś więcej niż paru słów

odczytanych z kartki! — domagał się reporter z „Heralda”. Poczęstowałeś nas głównym masowej produkcji!

— Nie zamierzam dodać niczego do tekstu oświadczenia! — p<sub>o</sub> wiedział przedstawiciel biura prasowego wyzywającym tonem i p<sub>o</sub> łączenie się urwało.

Woltman patrzył na trzymaną w ręku słuchawkę. O Boże! Więć jednak wahadłowiec! To było więcej, niż mógł kiedykolwiek marzyć. Musiało tak być.

Woltman nie spał już od blisko trzydziestu sześciu godzin, ale to co usłyszał, sprawiło, iż zapomniał o zmęczeniu. Jego umysł pracował intensywnie. Start oznaczał, że były jakieś kłopoty. Pewnie na platformie SDI. Program SDI znajdował się w gestii Pentagonu i Białego Domu. A więc chcąc się dostać do jądra tej sprawy, trzeba było jechać do Waszyngtonu. Nie da się tego zrobić siedząc w Miami. Kiedyś pracował przez dwa lata w stołecznej redakcji „Heralda” i nadal miał tam paru znajomych. Podjął błyskawicznie decyzję. Jedzie do Waszyngtonu, w delegacji lub choćby na koszt własny. To był jego temat i nie miał zamiaru stracić tej szansy. Poszedł rozmówić się z szefem, starając się nie zwracać uwagi, że coś śpiewa mu w duszy: Nagroda Pulitzera...

# Dzień piąty

*Dzień 5., 1:30 czasu Greenwich, 4:30 miejscowego* **Kosmodrom Bajkonur**

Rakiety startowe SL-4 i SL-14 wzbiły się — niby podwójny fajerwerk — czarne niebo. Ich gorące dysze przekreśliły noc dwiema pomarańczowymi smugami.

Główny konstruktor, Grigorij Wostow, powinien teraz przebywać w bunkrze kontrolnym i stamtąd czuwać nad startem. Ale nie było go tam. Stał samotnie na mrozie i przyglądał się, jak dwa płomienne języki stopniowo maleją w dali. Kiedy w końcu zniknęły, wzruszył ramionami i poczłapał na kwaterę. Zrobił chyba wszystko, co mógł.

*Dzień 5., 1:32 czasu Greenwich* **Pułap: 35 700 kilometrów Nachylenie orbitalne: 28 stopni**

Oczami satelity Teal Sapphire, służącego do wykrywania startów rakiet, były soczewki o wysokiej zdolności rozdzielczej, jego sercem zaś — pokładowa mozaika czujników elektrooptycznych. Było ono stymulowane energią promienistą przekazywaną mu przez antenę przeszukującą, wyczuloną na promieniowanie podczerwone. Dzięki temu satelita natychmiast wykrywał zmiany temperatury zachodzące w jego polu widzenia.

Dwa źródła piekielnego gorąca, które wzbiły się z kosmodromu Bajkonur, odcinały się tak wyraźnie od tła mroźnej nocy nad stepami Kazachstanu, że serce satelity niemal oszalało.

*Dzień 5., 1:32 czasu Greenwich, 18:32 miejscowego* **Góra Cheyenne**

Generał brygady John Fairchild śledził rozwój sytuacji siedząc w bocianim gnieździe, kiedy zabrzczał jeden z telefonów.

Podniósł

350

słuchawkę. Dzwonił młody kapitan czuwający nad satelitą Teal Sapphire.

— Wykrycie startu, panie generale! — powiedział. — Kieruje się z Bajkonuru na południe... nie, chwileczkę, muszę to sprawdzić. Obraz się rozdziela. To start podwójny. Dwóch odrębnych rakiet. Za chwilę przekażę panu analizę charakterystyki i dane z zamiaru.

Sir Izaak popatrzył na trajektorię i pozycję *Intrepida* na centralnym ekranie projekcyjnym. Nie miał wątpliwości, co się dzieje. Połączył się telefonicznie z biurem Whittenberga.

— Generale! — zaraportował. — Rosjanie wystartowali. W **dwa** pojazdy.

*Dzień 5., 1:35 czasu Greenwich Intrepid*

W helmfonie Lodowca zatrzeszczało.

— Sojuz i pojazd transportowy pomyślnie wystartowały, *Intrep*<sup>^</sup>. Zdążają ci na spotkanie.

Ogarnęła go radość. Wreszcie pojawiła się szansa sukcesu. Realna szansa.

— Wspaniale! — powiedział przez radio. — Będę ich wyglądał. Rozmawiał z Kaliningradzkim Centrum Kontroli Lotów poprzez

system satelitarny Kosmos 1700, umożliwiający stałą łączność. Było to mniej bezpieczne od bezpośredniego kontaktowania się ze stacjami naziemnymi, ale wydawało się to już bez znaczenia. Poza tym, transmisje nadal były zaszyfrowane.

— Jak mam się porozumiewać z waszymi ludźmi, którzy przylecą Sojuzem? — spytał Lodowiec.

— Na krótkich falach, na tej samej częstotliwości. Ale, uwaga, *Intrepid*<sup>!</sup>. Załoga nie ma urządzenia szyfrującego dostosowanego **do** twojego radia. Będziesz musiał rozmawiać z nimi bez szyfrowania. Ograniczaj kontakty radiowe do niezbędnych.

— Zrozumiałem, Centrum Lotów. — Wtem przyszła mu **do** głowy nowa myśl. — Czy wasi ludzie będą potrzebowali mojej pomocy na zewnątrz statku? Jeśli tak, musiałbym się już przestawiać na oddychanie tlenem.

— Nie, *Intrepid*. Pozostaniesz w wahadłowcu.

— Zrozumiałem, Centrum Lotów. Lodowiec przebiegł wzrokiem czarny horyzont, wypatrując Rosjan.

Ale płomień ich pojazdów były o wiele słabsze niż *Constellati* zbyt słabe, by mógł je dostrzec.

351

*mień 5., 1:38 czasu Greenwich* **Sojuz**

Kosmonauci Wasilij Lubinin i Siergiej Jemitow poczuli, jak ich statek odłącza się od ostatniego członu rakiety startowej SL-4. Byli już na orbicie, więc Lubinin uruchomił mechanizm wysuwający płyty baterii słonecznych. Potem skontrolował funkcjonowanie elektronicznych systemów pokładowych. Niebawem miały zostać włączone silniki manewrowe dla skorygowania lotu, żeby zbliżyć Sojuz do *intrepida*.

*Dzień 5., 1:47 czasu Greenwich, 3:47 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

Dowódca misji, Oleg Małyszew, próbował nie zwracać uwagi na „trojkę”, która stała się już niemal trwałym elementem Centrum. Popów, szef KGB i sekretarz generalny krążyli wokół niego, zachowując się niby mężowie żon mających lada chwila rodzić.

— Wyliczyłem dane do odpalenia korekcyjnego, szefie! — zarapor-tował przez telefon oficer nawigacyjny.

„Dzięki Bogu” — pomyślał wyczerpany Małyszew.

— Doskonale, przekaz je do Sojuza. Najpierw włączymy silniki pojazdu transportowego, a dopiero potem Sojuza. Gotowe?

— Gotowe dla pojazdu transportowego, szefie — odpowiedział oficer nawigacyjny. — To będzie krótki odpał. Od amerykańskiego wahadłowca dzieli go tylko siedemdziesiąt kilometrów.

Małyszew otarł rękawem spocone czoło.

— Znakomicie. Przeprowadźcie manewr według waszego uznania, towarzyszu.

*Dzień 5., 2:03 czasu Greenwich* **Intrepid**

*Intrepid* przeszedłszy „pod spodem kuli ziemskiej”, czyli przeleciawszy wysoko ponad lodowymi pustyniami Antarktyki, wynurzył się z ciemności na światło dzienne. A na jego pokładzie Lodowiec w ludzkiej postaci, w stanie psychozy, wypatrywał w przestrzeni kosmicznej swych wybawców. Centrum Kontroli Lotów poinformowało go, że korekty lotu dokonano bezbłędnie — powinni się więc zjawić lada chwila.

Najpierw zobaczył torpedokształtny pojazd transportowy. Przelewał pod poruszającym się brzuchem do góry wahadłowcem i zniknął Lodowcowi z oczu. Kapuściński ujął ręczne stery i obrócił statek, by

■— Zdobyć...



nie stracić pojazdu z pola widzenia. Zablęsnęły silniczki manewrowe n spodzie transportowca, zatrzymując go o jakieś trzysta metrów **04Intrepida**, nieco powyżej niego. Na widok Sojuza, serce — czy też to co zamiast niego Lodowiec posiadał — zabiło mocniej w jego piersi! A więc, wreszcie są! Wygląda na to, że jednak mu się uda!

Sojuz obrócił się dokoła własnej osi, włączył raketowy silnik hamujący i zatrzymał się niecałe sto metrów od **Intrepida**. Lodowiec skorygował odrobinę ręcznym sterem położenie wahadłowca, tak by krótkofalowa antena kierunkowa na jego dziobie była wycelowana dokładnie na statek rosyjski.

— Halo, Sojuz! Tu **Intrepid**. Czy mnie słyszycie? Odbiór.

*Dzień 5., 2:07 czasu Greenwich* **Sojuz**

Lubinin przełączył radio, odłączył urządzenie szyfrujące i za mówić po angielsku:

— Słyszemy cię, **Intrepid**. Za chwilę kontrola naziemna zdetonuje pokrywę startową pojazdu transportowego. Teraz wyłącz się i poczekaj, aż wyjdziemy ze statku. Radia osobiste w naszych kombinezonach kosmicznych są znacznie słabsze od nadajnika pokładowego, będziemy więc mogli porozmawiać swobodniej. Zrozumiałeś,

**0** co mi chodzi?

— Zrozumiałem, Sojuz. Zastosuję się. **Intrepid** się wyłącza. Lubinin ponownie przełączył radio, włączył z powrotem pokładowe

urządzenie szyfrujące produkcji sowieckiej — mniej wymyślne od amerykańskiego typu Oracle i nie dające się do niego zastosować —

**1** zaczął znowu mówić po rosyjsku:

— Halo, Centrum Lotów, tu Sojuz. Jesteśmy na miejscu. Możecie już odrzucić pokrywę startową pojazdu transportowego.

— Zrozumiałem, Sojuz. Bądźcie gotowi do akcji.

Jemitow obserwował transportowca przez iluminator w kapsule. Zobaczył deszcz iskier od eksplodujących sworznii i szczelinę w osłonie statku. Podniósł w górę kciuk, informując Lubinina, że operacja się powiodła.

— Halo, Centrum — powiedział przez radio Lubinin — nastąpił<sup>0</sup> odłączenie pokryw. Jesteśmy gotowi do działania na zewnątrz statku; oczekujemy na wasz rozkaz.

— Słyszemy was, Sojuz — przysłała odpowiedź. — Możecie wychodzić. Powodzenia!

Lubinin kiwnął głową do Jemitowa, który zaczął oswabadzać się z pasów mocujących go do fotela. Wizjer hełmu miał zamknięty-<sup>ne</sup> oddychał więc normalnym azotowo-tlenowym powietrzem kabiny! ale czystym tlenem z obwodu wewnętrznego swego kombinezonu-

przestawienie się kosmonautów na oddychanie tlenem na dwie godziny przed wyjściem ze statku było niezbędne, aby całkowicie usunąć azot z ich organizmu. W przeciwnym razie przebywanie w niskociśnieniowych kombinezonach powodowałoby tworzenie się w naczyniach krwionośnych bąbelków azotu, niebezpiecznie blokujących krwioobieg. Jemitow pokazał palcem właz. Lubinin spojrział na odpowiedni przyrząd.

— W członie orbitalnym ciśnienie w normie — powiedział. Jemitow poluzował pokrętko i zdjął wieko. Następnie zrobił głęboki

wdech i odłączył się od wychodzących spod fotela przewodów: tlenowego i pokładowej łączności telefonicznej. Przedostał się przez właz do kulistej orbitalnej części statku. Tam podłączył przewód oddechowy do przenośnego zbiornika z tlenem, należącego do wyposażenia kombinezonu. Kiedy małe przyrząd wykazał dopływ tlenu, zaczął znowu oddychać. Obrócił się, zamknął wieko włazu i zajął się urządzeniami zapewniającymi odpowiednie warunki do życia w kabinie. Dopóki nie opuścił statku, nie mógł włożyć plecaka umożliwiającego manewrowanie w próżni kosmicznej. Przesunął dźwignię dekompresji. Powietrze z części orbitalnej statku zaczęła wysysać próżnia zewnętrzna. Kiedy światelko wskaźnika zmieniło się z czerwonego na zielone, poluzował pokrętko włazu górnego i ostrożnie go otworzył. Następnie delikatnie wypchnął na zewnątrz plecak manewrowy, uważając, by nie uderzyć nim o krawędź luku ani nie zgubić linki, na której był przywiązany. Bez niego nie byłby w stanie poruszać się w kosmicznej pustce.

Znalazłszy się poza statkiem, Jemitow zamknął właz i zaczął się mocować z plecakiem manewrowym. Niełatwo było go przywdziać bez pomocy, ale musiał tego dokonać — Lubinin przywracał we wnętrzu Sojuza ciśnienie w członie orbitalnym. Ze sporym wysiłkiem Jemitowowi udało się wreszcie przytroczyć urządzenie manewrowe we właściwym miejscu.

Następnie skontrolował jego funkcjonowanie: działało na zasadzie odrzutu odpowiednio skierowanych strumieni wypuszczanego gazu. Wreszcie odpłynął powoli na niewielką odległość od statku i zatrzymał się. Teraz czuł się już znakomicie, był znowu w swoim żywiole. Zbliżył się do iluminatora kapsuły i pokazał u migi Lubininowi, że wszystko w porządku. Zakomunikował mu to również przez radio.

— Dobrze, Siergieju — odpowiedział starszy kolega. — Zaraz wychodzę.

■ — Zrozumiałem. Zajmę się Amerykaninem.

Jemitow nacisnął manipulator, wypuszczając z plecaka strumień <sup>s</sup>Prężonego azotu, który popchnął go w stronę *Intrepida*. „Cóż za wspaniały statek! — pomyślał. — Bardzo podobny do naszego Wahadłowca, tylko że tamten nie ma takich wielkich, nadających się

do wielokrotnego użytku silników na ogonie". Rosyjskie promy nie były wyposażone w silniki główne — wynosiły je na orbitę rakiety startowej Energia. Miały tylko małe silniki hamujące w części ogonowej Lubinin i Jemitow nie byli szkoleni w ramach sowieckiego programu promowego. Przypuszczali jednak, że awansują, jeśli uda im się porwać amerykański wahadłowiec.

Jemitow zbliżył się powoli do wiatrochronu *Intrepid*. W kabinie paliło się światło. Rozpierała go ciekawość, nie bardzo wiedział czego oczekiwać. Jak też wygląda ten Amerykanin? Wreszcie zobaczył go, siedzącego w lewym fotelu.

Pilot w wahadłowcu nie podniósł ręki w powitalnym geście. Przyglądał się tylko Rosjaninowi swymi czarnymi jak węgiel oczyma, głęboko osadzonymi w ponurej, niemal trupio bladej twarzy. Jemitow chciał mu pomachać ręką, ale się powstrzymał. Przecież ten człowiek zabił dwóch towarzyszy z własnej załogi. Rosjanin poczuł dreszcz, kiedy o tym pomyślał. Wycofał się więc i pozęgłował prosto ku antenie radiowej na dziobie wahadłowca.

— *Intrepid*, czy mnie słyszysz? — zapytał Jemitow.

— Słyszę cię znakomicie — odpowiedział szorstko Lodowiec. — Jaki mamy program?

Jemitow doszedł do wniosku, że Amerykanin nie ma ochoty na pogawędki, zreferował więc tylko pokrótce, w jaki sposób zamocują silnik Progressa i dokonają zapłonu hamującego. Kiedy skończył, upewnił się:

— Czy zrozumiałeś wszystko, co powiedziałem, *Intrepid*?

— Tak, zrozumiałem — otrzymał zwięzłą odpowiedź. — Czy w Bajkonurze wszystko przygotowane?

— Tak, *Intrepid*. Twoje okienko powrotne otworzy się mniej więcej za dziewięć godzin.

— W porządku. A więc do roboty. Mam już dosyć kiszienia się tutaj... Zdaje się, że nadciąga twój kolega.

Jemitow wykonał piruet i zobaczył opuszczającego Sojuza Lubinina.

— Doskonale, *Intrepid* — rzucił Lodowcowi. — Przystępujemy do mocowania kołnierza i silnika. Łącz się z nami, jeśli będziesz musiał.

— Zrozumiałem. *Intrepid* się wyłącza.

Jemitow podążył z powrotem ku Sojuzowi i pomógł Lubininowej założyć na plecy urządzenie manewrowe. Tamten spytał go po rosyjsku-

— Rozmawiałeś z Amerykaninem?

— Tak — odpowiedział cicho Jemitow.

— No i? — nalegał Lubinin.

Tamten zwrócił ku niemu swą delikatną, widoczną przez wizję twarz.

— Mam go w dupie! — powiedział w końcu.

W oczach Lubinina odmalowało się zrozumienie.

— Chodźmy. Nie możemy tracić czasu.

Dwaj kosmonauci podążyli ku pojazdowi transportowemu. Lubinin ciągnął za sobą małe pomocnicze ręczne urządzenie napędowe oraz parcianą linkę holowniczą. Kiedy dotarli, zobaczyli, że pokrywa startowa nie oddzieliła się całkowicie. Jemitow bez trudu oderwał ją *z* końca. Lubinin podważył i wyciągnął zestaw kołnierza z silnikiem, a następnie mały pojemnik z kłamrami.

Wręczył Jemitowowi pomocnicze urządzenie napędowe — zbiornik *z* sprężonym azotem wielkości używanych w akwalungu z. przymocowanymi uchwyty. Podał mu również jeden koniec linki. Sam, trzymając drugi, opłynął dookoła kołnierz mocujący, potem wziął linkę od kolegi, przewlókł ją przez otwór i zacisnął wokół obwodu kołnierza jak popręg u siodła.

— Bierz kłamry. *Ja* się tym zajmę — polecił.

Jemitow wziął od niego pojemnik. Lubinin przywiązał wolny koniec linki do pomocniczego urządzenia napędowego, pozostawiając cztery metry luzu.

— Gotowe! — powiedział przez radio.

Włączył napęd, który szarpnął go — wraz z kołnierzem — w kierunku *Intrepida*.

Dwaj kosmonauci ostrożnie posuwali się ku wahadłowcowi. To *nie był* trening. Rzeczywistość wymagała, by czynili każdy ruch z rozważą i bez pośpiechu, nawet drobny bowiem błąd mógł spowodować niepowodzenie całego przedsięwzięcia.

Kiedy zbliżyli się *do Intrepida*, Lubinin zręcznie przeniósł urządzenie napędowe na *drugą* stronę kołnierza i hamował, wypuszczając niewielkie ilości *gazu*. W ten sposób zatrzymał w końcu kołnierz o parę metrów od *ogona* wahadłowca.

— Doskonała robota, Wasilij! — pochwalił go Jemitow.

— Dzięki, Siergieju. A teraz wsadzimy cały ten kram na miejsce. Tylko ostrożnie, przyjacielu.

Odwiązał linkę, potem chwycili razem za drugi koniec elementu. Każdy ujął jedną ręką dyszę silnika Progressa, drugą zaś operował *dźwignią* własnego urządzenia manewrowego. Delikatnie wsunęli „*?*zszy „*męski*” koniec zestawu do dyszy środkowego silnika głównego *Wahadłowca*. Chociaż części metalowe tarły o siebie, nie było słycać *żadnego* dźwięku. Ale kosmonauci czuli, poprzez rękawice, drgania cementu. Kiedy silnik znalazł się na miejscu, lekko ich odrzuciło.

Gotowe! — oznajmił Jemitow. . ~~~ I pasuje jak ulał! — pochwalił Lubinin, krążąc wokół kołnierza, , y się upewnić, że brzeg drugiego końca oparł się o powierzchnię „*?*zy dyszy wylotowej *Intrepida*.

„*y*ło tak w istocie. A Towarzysz Wostow nie rzuca słów na wiatr! — stwierdził. —

<sup>ter</sup>az załóżmy kłamry!

*Dzień 5., 3:27 czasu Greenwich, 20:27 miejscowego* **Góra Cheyenne**

Szef sztabu Michael Dowd skrobał się po wielkiej, łysej głowie

— Cóż oni, u diabła, robią?

Zdjęcie z samolotu obserwacyjnego Spyglass wyświetlono na centralnym ekranie projekcyjnym w SPADOC-u. Sir Izaak bezwiednie gładził gwiazdkę na swym naramienniku.

— Bez wątplenia przymocowują coś do ogona *Intrepida*. Co i dlaczego nie umiem powiedzieć.

Strand przyglądała się uważnie ekranowi.

— Wygląda to na coś w rodzaju silnika... ale nie miałyby to sensu. Wahadłowiec ma przecież rezerwowe systemy zapewniające funkcjonowanie silniczków OMS.

— No dobrze, cokolwiek się dzieje — zastanawiał się Whitten-berg — jest jasne, że musieli tam się dostać, aby sprowadzić *Intrepida* na ziemię. Sir Izaaku, co z Kestrellem?

— Pojazd startowy prezentuje się znakomicie, panie generale — odpowiedział Fairchild — a instalowanie systemów uzbrojenia jest na ukończeniu. Mniej więcej za dziewięć godzin będziemy gotowi do startu i spotkania na orbicie. — Chudy brygadier pogładził się po orlim nosie i dodał: — Oby nie było za późno...

— Oby — potwierdził ponuro Whittenberg. Sięgnął po czerwony telefon, żeby połączyć się z Białym Domem.

*Dzień 5., 4:14 czasu Greenwich, 6:14 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

Popów, sekretarz generalny Woroncki i przewodniczący KGB Kostiaszak nachylali się przez ramię dowódcy misji, Małyszewa, słuchając głosów z odbiornika.

— Jesteśmy z powrotem w Sojusie — raportował przez radio Lubinin. — Kołnierz mocujący znajduje się na miejscu. Pasuje idealnie. Główny konstruktor spisał się znakomicie.

Popów odetchnął z ulgą.

— Założone zostały klamry sprężynowe, a pilota amerykańskiego poinformowano o procedurze odpalu hamującego.

Wszystko gotowe. Musimy tylko poczekać na okienko powrotne.

— Doskonale, Sojuz. Dobra robota! — odezwał się Małyszew. Bądźcie z nami w kontakcie i spróbujcie odpocząć. Do odpaiu powrotnego macie w przybliżeniu siedem godzin.

— Przyjąłem do wiadomości, Centrum Lotów. Sojuz wyłącza siC-Wypoczęty, odświeżony i pełen werwy sekretarz generalny paln^

Popowa w kark.

357

\_ Dobra nasza, towarzyszu. Już niedługo wahadłowiec będzie nasz. Dokazaliśmy tego!

przysadzisty generał spojrział na niego z irytacją.

„— Tak jest, towarzyszu sekretarzu generalny — potwierdził z odzieniem sarkazmu. — Dokazaliśmy!

Woroncki zwrócił się z kolei do maleńkiego Kostiaszaka.

— Wspaniale, Witalij. Trudno wprost uwierzyć, że już wkrótce będziemy go mieli. Z całym ładunkiem. Jedno błyskotliwe posunięcie umożliwi nam zrównanie się ze Stanami Zjednoczonymi. To był twój pomysł, przyjacielu. Zuchwały, fantastyczny, świetny pomysł. Naprawdę jesteś arcy mistrzem.

Kostiaszak skromnie wzruszył ramionami.

— Mając ich wahadłowiec i jego zawartość — chępił się Woroncki — nie muszę się obawiać o stanowisko sekretarza generalnego. Nikt mi nie będzie w stanie zagrozić!

— Nikt... — zawtórował mu łagodnie małutki przewodniczący.

— A Amerykanie nic już nie mogą zrobić, by nas powstrzymać!

— Absolutnie nic! — potwierdził Kostiaszak z rozbijającym uśmiechem.

*Dzień 5., 6:17 czasu Greenwich, 9:17 miejscowego* **Tankowanie w powietrzu nad Morzem Arabskim opodal wybrzeża Iranu**

Aluminiowy przewód został wyciągnięty z otworu paliwowego nietoperzoskrzydłego samolotu.

— Opileś się po dziurki w nosie, Przewodniku Widm! — powiedział przez radio operator wysięgnika. — Będziemy tu na was czekać, kiedy będziecie wracać. Wykończcie tego skurwysyna.

— Rozumiem, stary — przyszła odpowiedź — i dziękuję. To tacy jak wy torują nam drogę. Będzie to wam zapisane!


Przewodnik Widm wyłącza się.

KC-10 skręcił ku zachodowi, wracając do Omanu. Nieostrzegalne bombowce odlatywały co najmniej na dziesięć godzin, załoga tankowca mogła więc trochę odpocząć na ziemi.

Oba nietoperzoskrzydłe poszły razem w luźnym szyku na północ, ku wybrzeżom Iranu. Od sowieckiego Kazachstanu dzieliło je tylko Państwo szczytów.

*Dzień 5., 6:30 czasu Greenwich, 1:30 miejscowego* **Biały Dom**

. Komitet Wykonawczy Rady Bezpieczeństwa Państwa zgromadził t? w Cabinet Room. Panował ponury nastrój zmęczenia, napięcia



i powstrzymanego gniewu. Admirał Bergstrom rozmawiał półgłosem przez czerwony telefon. Wreszcie skończył i odłożył słuchawkę

— To był generał Dooley z Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych w Omaha. Bombowce widma lecą już nad Iranem panie prezydencie. Po otrzymaniu potwierdzenia rozkazu zajmą wyczekującą pozycję w powietrzu w pobliżu kosmodromu Bajkonur. Jeśli *Intrepid* wylądje, zanim wyślemy Kestrela, bombowce będą w stanie dosięgnąć go bezpośrednio po dotknięciu płyty lądowiska

— Nie jestem pewien, czy pana zrozumiałem, admirale — odezwał się sekretarz stanu. — Czy powiedział pan, że istnieje szansa powrotu *Intrepida* z orbity, zanim wystartuje myśliwiec kosmiczny?

— Tak, panie ministrze, istnieje — odpowiedział Bergstrom.

Bajkonur leży niemal po drugiej stronie kuli ziemskiej w stosunku do Bazy Sił Powietrznych Vandenberg. Zaledwie parę stopni długości geograficznej od tego samego południka. Oznacza to, że nasze okienko startowe z Vandenberg wypada w tym samym czasie co okienko powrotu *Intrepida* do Bajkonuru... zjedna tylko różnicą...

— A cóż to za różnica? — zapytał sekretarz skarbu, głaszcząc swe morsie wąsy.

Admirał zdusił śmierdzące cygaro i wyjaśnił:

— Wahadłowiec ma znacznie szerszy zakres możliwości. Strefa, z której ma szansę powrotu na ziemię, mierzy sobie blisko dwa tysiące kilometrów szerokości. Mieszczą się w niej dwa kolejne okrążenia globu. Jego okienko jest więc dość obszerne. Znacznie węższe natomiast jest okienko Kestrela, którego start ma charakter balistyczny. Mówiąc krótko, *Intrepid* może zejść z orbity, zanim Kestrel będzie w stanie wystartować z szansą przecięcia mu drogi. Dlatego właśnie musimy mieć w rezerwie niewidzialne bombowce.

Sekretarz stanu skrzywił się.

— A jeśli zawiedzie i Kestrel, i bombowce widma?

Złote otoki zdawały się ciążyć admirałowi, kiedy — nabrawszy głęboko powietrza — odparł:

— Okręt podwodny *Tennessee* podpłynął do irańskiego wybrzeża. Jeśli prezydent wyda rozkaz, wystrzeli pocisk balistyczny dalekiego zasięgu Tomahawk, wyposażony w głowicę jądrową o mocy półtorej kilotony. To wystarczy, by unicestwić wszystko, co będzie się znajdowało na pasie lądowania, wraz z kompleksem hangarów wahadłowców oraz przyległą częścią kosmodromu.

— Hmm... — mruknął sekretarz skarbu. — Czy można mieć pewność, że pocisk będzie leciał na tyle precyzyjnie, by trafić w pas lądowania?

Odpowiedź Bergstroma zabrzmiała stanowczo.

— To ulepszona wersja pocisku Tomahawk. Wyposażona w pokładowy mieszany system nawigacyjny inercyjno-topograficzny o wysokiej precyzji. Można nim trafić bez pudła w dowolnie wybrany

obiekt, nadto kierować zdalnie za pomocą nawigacyjnego systemu satelitarnego, a ten jest tak precyzyjny, że dałoby się w razie potrzeby trafić nawet w słup telegraficzny.

— A zatem jeśli to paskudztwo działa tak akuratnie — przekomarzał się sekretarz stanu — czemu nie wyposażyć go w głowicę konwencjonalną?

— Rozważaliśmy to, panie ministrze — powiedział admirał — ale jest zbyt wiele niewiadomych. Pas lądowania ma pięć kilometrów długości i biegnie w kierunku wschód—zachód. Nie wiemy, z której strony nadleci nań *Intrepid*. Nie wiemy też, jak długo na nim pozostanie, zanim zabiorą go do hangaru — przypuszczalnie będą chcieli go schować najszybciej, jak tylko się da. Nie wiemy również, z której orbity wahadłowiec będzie schodził w atmosferę, a Tomahawk potrzebuje pięciu godzin, by dolecieć tam z *Tennessee*. Krótko mówiąc, panie ministrze, gdybyśmy chcieli zastosować broń konwencjonalną, musielibyśmy mieć możliwość jej elastycznego użycia natychmiast po wylądowaniu *Intrepida* i obserwatora na miejscu. Pocisk dalekiego zasięgu nie daje nam takiej gwarancji, dają ją natomiast bombowce widma. Żeby mieć szansę skutecznego użycia pocisku Tomahawk, musimy go wyposażyć w głowicę jądrową.

Nikt nie zabierał głosu przez kilka sekund.

— *Monsieur le President* — powiedział z troską Francuz — muszę zaprotestować przeciw jakiegokolwiek akcji z użyciem broni jądrowej. — Prezydent Francji stał się chwilowo *de facto* członkiem Komitetu Wykonawczego Rady Bezpieczeństwa Państwa; wszyscy słuchali uważnie, co ma do powiedzenia. Pochylając do przodu swą wysoką chudą postać, mówił: — Macie niezaprzeczalne prawo starać się nie dopuścić, by wasz wahadłowiec wpadł w sowieckie ręce. Oraz pełne moje poparcie w zwalczaniu tego aktu piractwa. Ale zaatakowanie Rosji pociskiem nuklearnym to, sądzę, coś całkiem innego. Żaden przywódca sowiecki nie powstrzyma się przed odwetem, pomimo że mają krew na rękach od chwili zniszczenia *Constellation*. A pamiętajmy, że właściwie wcale nie mamy pewności kto w tej chwili jest u władzy na Kremlu. Aprobuję użycie przez was broni konwencjonalnej. Ale pocisk z głowicą jądrową? Nie, drodzy przyjaciele. Błagam, nie podejmujcie takiego kroku. To może unicestwić cywilizowany świat.

— Muszę się zgodzić z naszym gościem, panie prezydencie — powiedział sekretarz stanu. — Zbyt wielu rzeczy nie da się przewidzieć po stronie sowieckiej. Niezależnie od tego, jak bardzo istotny jest *Intrepid* i jego ładunek, jeśli użyjemy broni atomowej, może już nie być odwrotu.

Prezydent poskrobał się po górnej wardze.

— Sam, co o tym myślisz?



Koścista twarz sekretarza obrony wyrażała troskę.

— Panie prezydencie, jeśli wyda pan rozkaz, *Tennessee* Byłbym wszakże za ograniczeniem się do broni konwencjonalnej. Inaczej ryzyko jest istotnie zbyt duże. Przecież głównym celem misji transportowej *Intrepida* było zapobieżenie wymianie ciosów atomowych.

Prezydent uniósł brew i spojrzał na wiceprezydenta. Ten przejechał dłonią po swych krótko ostrzyżonych włosach i kiwnął głową.

— Zgadza się. Powstrzymajmy się od broni atomowej. Natomiast wszystko inne jest dozwolone.

Prezydent westchnął. W jakimś sensie zrobiło mu się źle.

— W porządku, admirale. Proszę polecić *Tennessee*, by wróciła na zwykłą pozycję. Ale niech Strategiczne Siły Powietrzne pozostaną w pogotowiu drugiego stopnia. Skoro Jakowlew nie odzywa się, nie będziemy opuszczać gardy ani o centymetr, dopóki nie dopadniemy *Intrepida* w ten czy w inny sposób.

— Tak jest, panie prezydencie — powiedział Bergstrom i sięgnął po czerwony telefon.

Sekretarz skarbu spojrzał na niego przez stół, zapalając cygaro, i powiedział tonem towarzyskiej konwersacji:

— Hmm, przypuszczam, że jest pan odrobinę zawiedziony, admirale. Prawda?

Bergstrom podniósł głowę i nastroszył brwi.

— Przepraszam, nie dosłyszałem, panie ministrze. Ekspert od pieniędzy wypuścił dym.

— Myślę, że wy, specje od wojska, musicie być rozczarowani, kiedy nie możecie przyłożyć komuś jedną z tych waszych atomówek. Jak się ona nazywa? Tomahawk? Założę się, że czeka pan od lat, by coś takiego wystrzelić. Czy nie mam racji? Bergstrom zerwał się z krzesła jak oparzony i byłby czynnie znieważał ministra, gdyby nie rozdzielał ich hebanowy stół.

Twarz mu poczerwieniała, a głos stał się chrapliwy.

— Niech pan posłucha, panie ministrze. W utarczce z MiG-ami przestrelono mi dupę nad Koreą i spędziłem sześć radosnych miesięcy w północnokoreańskim obozie jenieckim. Zeskrobywałem po katastrofie z pokładu lotniskowca zwęglone wnętrze dzieci, powtarzam: dzieci. Napisałem więcej listów do wdów i sierot, niż jest pan sobie w stanie wyobrazić. A w tym samym czasie sukinsyny takie jak pan siedziały w domu i zrobiły kupę szmalu...

— Wystarczy, admirale! — warknął prezydent.

Pierś Bergstroma nadal rozpierała furia, ale usłuchał najwyższego zwierzchnika sił zbrojnych i bardzo powoli, centymetr za centymetrem, opuścił się z powrotem na krzesło.

Prezydent spojrzał na sekretarza skarbu z niesmakiem.

— Miltonie, przeprosisz admirała!

gyty bankier siedział zaszokowany, z oczami jak spodki, szarpiąc wąsy i paląc nerwowo cygaro.

— No już, Miltonie!

Sekretarz skarbu odchrząknął.

— No, więc. Hmm... Nie zamierzałem pana urazić, admirale. Więc- tego... przepraszam.

Twarz Bergstroma wciąż jeszcze była czerwona.

— Przyjmuję pańskie przeprosiny, panie ministrze. A gdyby ktoś „apytał o moje zdanie w kwestii użycia broni jądrowej, powiedziałbym, że zgadzam się z naszym gościem. Uważam wszakże, że wojsko nie powinno wpływać na politykę. Ma być instrumentem polityki. Moja praca polega na wskazaniu wszystkich możliwości, bez względu na to, jak odrażające mogą być dla mnie samego. Nie sprawiłoby mi uciechy przyładowanie Ruskim atomówką.

Teraz odchrząknął prezydent.

— Pańskie uwagi zostały zrozumiane właściwie, admirale. A zatem, jeśli pozwolicie, zniszczmy wreszcie *Intrepida*... konwencjonalnie.

*Dzień 5., 6:38 czasu Greenwich, 22:38 miejscowego* **Baza Sił Powietrznych Vandenberg**

Sen był nierzeczywisty, równie dziwaczny co przerażający. *Constellation* pływała niczym płód w wypełnionym wodami łożysku, zawieszonym w czarnej pustce. Unosiła się tam. Bezradna. Krucho. Wtem, gdzieś z zewnątrz, uderzyła w łożysko spadająca gwiazda, powodując eksplozję *Constellation* w powodzi białego światła. Lamborghini obudził się z krzykiem, spocony, oddychając gwałtownie. Wyczuł czyjąś obecność w pokoju.

— Dobrze się czujesz, Pete?... Czas wstawać. Głos był łagodny.

— Czy to ty, Wściekły Psie?

— Tak, to ja, Wyścigowo. Chyba wszedłem w złym momencie. Monaghan zapalił światło w kwaterze i rzucił przyjacielowi ręcznik.

— No, chłopie. Na koń! Właśnie powiedziano mi, że Ruscy są już na orbicie. Nie traćmy czasu!

*Dzień 5., 7:30 czasu Greenwich, 9:30 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

Nic nie mogło pohamować euforii Woronckiego. Nosiło go tam <sup>1</sup> z powrotem po korytarzach Centrum. Napotykanym oficerów <sup>1</sup> inżynierów klepał po plecach, żartował. Ludzie z wielkiej sali <sup>2</sup> radością powitali chwilę ulgi po kolejnych dniach nieustannego

napięcia, choć pamięć o losie *Constellation* wciąż jeszcze psuła im nastrój. Skoro jednak cieszył się sekretarz generalny, starali cieszyć się i oni.

Popowa nie było — korzystał z okazji, by się wreszcie wyspać —

gdy Kostiaszak pochylał się nad siedzącym na stanowisku Małysze-wem i zapytał, kiedy wahadłowiec wyląduje w Bajkonurze. Zmęczony dowódca misji spojrzał na zegarek.

— Zakładając, że skorzysta z pierwszego okienka powrotnego powinien być na miejscu mniej więcej za sześć godzin. Kostiaszak przyjął tę wiadomość z zadowoleniem, chwilę zaciągał się dymem, a następnie podszedł do paradującego po korytarzu Woronckiego.

— Towarzyszu generalny sekretarzu! — powiedział. — Przeżyliśmy niesłychaną przygodę... Możemy wreszcie świętować sukces, prawda?

— Bezwzględnie, Witalij! — odparł szczerząc zęby w uśmiechu Woroncki. — Nigdy jeszcze nie było mi tak radośnie.

Nareszcie będę miał w ręku Politbiuro, a świat przekona się, że nikt nie jest w stanie przeciwstawić się Związkowi Sowieckiemu. Wszystkich zatka na wieść, jak pomyslowo przechrzyliśmy Amerykanów. Do pioruna! Tyle się mówiło o ich niezawodnym systemie obrony kosmicznej! No i co? Czyż nie wystrychnęliśmy ich na dudków, drogi przyjacielu?

— Z całą pewnością, towarzyszu sekretarzu generalny! — zgodził się Kostiaszak. — Pomyślałem sobie, że trzeba jakoś uczcić nasz triumf. Warto by chyba było, żebyście z całą pompą powitali tego Amerykanina, kiedy wyląduje w Bajkonurze. Propozycja nieco zaskoczyła Woronckiego, ale już po chwili nie było wątpliwości, że ją zaaprobował i wyteża umysł, by wykorzystać ją jak najpełniej.

— Ma się rozumieć, Witalij! Cóż za spektakl! Niech Politbiuro... co mówię, niech cały świat zobaczy, kto jest bezdyskusyjnym przywódcą społeczeństwa sowieckiego! Kto opanował wahadłowiec amerykański, stanowiący zagrożenie dla naszego kraju!

— Macie rację, towarzyszu sekretarzu generalny. Rozmawiałem z dowódcą misji. Jeśli teraz wyruszyacie, będziecie w Bajkonurze wkrótce po wylądowaniu *Intrepida*. Pomyślcie! Zrobią wam zdjęcie, jak ściskacie amerykańskiego pilota na tle wahadłowca! To będzie bomba! — Widząc, że zafascynował swego zwierzchnika tą wizją, Kostiaszak zadał ostatnie pchnięcie: — Mam tu swój helikopter. Dostarczy was do waszego Iljuszyna, a za niecałą godzinę będziecie już lecieli do Bajkonuru.

Były miotacz uderzył pięścią w otwartą dłoń.

— Znakomita myśl, Witalij! Natychmiast leć. Szef KGB przywołał adiutanta.

— Pułkownik Borysów będzie wam towarzyszył do samolotu. 364

Sekretarz generalny wydawał się zaskoczony. — Nie polecisz ze mną, Witalij? Kostiaszak potrząsnął głową.  
— Myślę, że lepiej będzie, jak tu zostanę, towarzyszu sekretarzu generalny. Byłoby nierozważnie, gdybyśmy obaj w takiej chwili opuścili Centrum Kontroli Lotów.

Woroncki zgodził się z nim.

— Racja. Zawsze myślisz logicznie, Witalij. A więc zobaczymy się po moim powrocie i uczymy razem zwycięstwo.

I na pożegnanie poklepał po ramieniu szefa KGB.

— Z przyjemnością, towarzyszu generalny sekretarzu! — uśmiechał się Kostiaszak. — Rzadko bywa podobna okazja, by świętować.

Woroncki odwzajemnił uśmiech i powiedział:

— Jedziemy, towarzyszu pułkowniku!

Borysów otworzył przed nim drzwi, a następnie odwrócił się i rzucił Kostiaszakowi pytające spojrzenie. Ten zawahał się przez chwilę, po czym szybko, prawie niedostrzegalnie, skinął głową. Pułkownik również kiwnął głową w odpowiedzi.

Wyszedł za Woronckim, pozostawiając kołyszące się coraz wolniej drzwi.

*Dzień 5., 7:30 czasu Greenwich, 0:30 miejscowego* **Góra Cheyenne**

Powróciwszy do swego biura. Whittenberg rozsiadł się w wielkim skórzanym fotelu i zamknął oczy. Był już na granicy ludzkiej wytrzymałości. Cóż jeszcze mogło mu się przydarzyć? Porwanie wahadłowca. Józef Stalin. Agent sowiecki z głębokiego sewu, kontrolujący *Intrepida*. Krwawa ofiara *Constellation*. To więcej, niż ktokolwiek mógłby znieść. Gdybyż mógł wrócić do mniej skomplikowanego świata — powiedzmy, walki powietrznej — żyłoby mu się o wiele łatwiej.

Zabrzączał czerwony telefon, łączący go z Dowództwem Strategicznych Sił Powietrznych. Podniósł słuchawkę i powiedział:  
— Whittenberg.

— Cześć. Rodg — odezwał się głos w słuchawce — tu Bernie. Chyba nikt dotychczas nie sprawił Whittenbergowi takiej przyjemności telefonując.

— Cześć, Omaha. Nie możesz sobie wyobrazić, jak mi miło usłyszeć przyjazny głos.

— Rozumiem cię — powiedział Bernard Dooley. — Rozmawiałem z Bergstromem o sprawie *Intrepida*. Postawił nas w stan pogotowia drugiego stopnia, nie mogę więc zbyt długo blokować linii. Nie miałem okazji pogadać z tobą od czasu przelotu SR-71. Zastanawiałem się, jak to wszystko znosisz.

Po raz pierwszy od dawna Whittenberg roześmiał się.

364

— Czuję się tak, jakbym przemierzał właśnie pięćdziesiąty pierwszy kilometr w biegu na pięćdziesiąt kilometrów. Dooley również się zaśmiał.

— Słyszałem... Bergstrom zdradził mi, że szykujesz Ruskim **mai** niespodziankę.

— Tak — odparł Whittenberg, znowu pełen zawziętości. — Oni zaskoczyli nas z *Constellation*. Nie wiem, czy to oglądałeś, Bernie. T( było okropne, może gorsze od *Challenger*a. Do diabła! Powinien\* był się domyślić, że ten satelita nie wróży niczego dobrego!

Dooley próbował go pocieszyć.

— Dajże spokój, Rodg. Nie zdręczaj się. Twoi chłopcy wiedzieli na co się narażają. Podobnie jak moi z SR-71. Za to nam płacą. Nie' zawsze można mieć szczęście. Zrobiłeś wszystko, co byłeś w stanie zrobić w tej niesamowitej sytuacji.

Whittenberg westchnął.

— Tak. To, co ja byłem w stanie zrobić.

— Przestań! — Głos Dooleya zabrzmiał twardziej. — Dostaniemy teraz tych pieprzonych bolszewików, tylko że oni jeszcze o tym nie wiedzą. Przyszła nasza kolej na niespodziankę. Jeśli twój myśliwiec kosmiczny zawiedzie, to moi niewidzialni chłopcy załatwią *Intrepida*.

Minęła dłuższa chwila, a potem Whittenberg spytał:

— Niewidzialni?... Usłyszawszy to Dooley zdał sobie sprawę, że naruszył tajemnicę wojskową. Najwidoczniej Whittenberg nie należał do grona wtajemniczonych w decyzję użycia bombowców widm.

— Domyślam się, że Bergstrom ci nie powiedział — rzekł w końcu.

— Nie powiedział mi o czym? — Whittenberg nie skrywał ciekawości. Dooley poczuł się głupio, ale doszedł do wniosku, że przyjaciel **ma** prawo dowiedzieć się, co jest grane. Wyjaśnił mu więc, że prototypowe bombowce widma zmierzają właśnie ponad Iranem na północ — ku Bajkonurowi.

■

■

**-tli cm**

Barbara Kelso, od czterech lat sekretarka Whittenberga, była zajęta odrabianiem zaległości w urzędowej korespondencji. Choć jako pracownika cywilnego nie wtajemniczono jej we wszystkie szczegóły afery *Intrepida*, dzięki wrodzonej spostrzegawczości czuła, że coś się szykuje. Toteż wychodząc z domu wzięła ze sobą trochę rzeczy z zamiarem pozostania na posterunku, dopóki sprawa zostanie zakończona.

Na jej biurku zadzwonił telefon.

— Biuro generała Whittenberga — powiedziała do słuchawki miękim akcentem z Missouri.

— Barbara?

— Tak.

365

11

— Tu Peter — powiedział zaskoczony Lamborghini. — Czemu, u licha, siedzisz w biurze po nocy?

— Z tego samego powodu, dla którego pan jest w Vandenberg, Równiku! — odpowiedziała Kelso. — Czy może tym razem w Edwards?

W Vandenberg. Domyślałam się, że nie da się zachować sekretu przed sekretarką generała. Czy mogę z nim rozmawiać? Barbara spojrzała na pulpit. Paliło się na nim czerwone światełko, wskazujące, że Whittenberg rozmawia z Dowództwem Strategicznych Sił Powietrznych.

— Przykro mi, pułkowniku. Rozmawia właśnie z generałem Dooleyem. Pan wie, jak to jest, kiedy ci dwaj zaczną gadać. Czy mam mu powiedzieć, że pan dzwoni?

— Nie — powiedział szybko Lamborghini. — Nie trzeba. Proszę mu tylko przekazać wiadomość.

— Oczywiście.

Przez chwilę zastanawiał się, jak precyzyjnie sformułować to, co miał do powiedzenia.

— Muszę już lecieć. Proszę tylko poinformować generała, że zostawiłem tu kopertę u dowódcy bazy... Gdyby z jakiegoś powodu stało się to konieczne, byłbym zobowiązany, gdyby przekazał ją osobiście Juliet.

Kelso zadrżała, a w gardle zaczęła jej rosnąć wielka kula.

— Powiem mu, Peter.

— Dziękuję, Barbaro.

*Dzień 5., 8:05 czasu Greenwich, 0:05 miejscowego* **Baza Sił Powietrznych Vandenberg**

Lamborghini odwiesił słuchawkę, po czym przez małą poczekalnię wszedł do pomieszczenia, w którym ubierano astronautów przed startem. Monaghan był już w hełmie. Lamborghini kiwnął głową technikowi, który podszedł i ostrożnie włożył mu na głowę hełm ciśnieniowy, a następnie zahermetyzował go, wykonując ćwierć obrotu. Pete otworzył wizjer i podłączył do kombinezonu przewód Przenośnego klimatyzatora wielkości walizki. Potem nałożył rękawice<sup>1</sup> zaśrubował aluminiowe uszczelnienia na przegubach. Obaj z Mona-ghanem przywdziali kompletne hermetyczne pomarańczowe stroje kosmiczne, takie same, w jakich latały załogi Blackbirdów SR-71.

Wyszli z pomieszczeń załogowych i wsiedli do pojazdu, który trwał ich dowieźć do wyrzutni rakiety startowej Tytan 34-D. achali w milczeniu, eskortowani przez dwóch ubranych na biało<sup>2</sup> techników. Przed nimi jechał jeden samochód policji

lotniczej<sup>2</sup> uzbrojonymi wartownikami, za nimi drugi. Konwój zatrzymał

366

się przy otaczającym wyrzutnię rusztowaniu. Lotnicy i technicy cała czwórka weszli do windy. Tytan 34-D stał na wyrzutni, takiej samej, jakich używano na Cape Canaveral, ale przykrytej daszkiem z aluminiowej folii, za\_ staniającej pojazd przed obserwacją rosyjskich satelitów szpiegowskich. Po odtoczeniu ruchomej części rusztowania listki daszka składały się jak wachlarz.

Winda zatrzymała się. Wyszli i przeszli przez pomost w stronę włazu, podobnie jak niecałą dobę wcześniej załoga *Constellation*. Nastrój był jednak inny: służba naziemna w Vandenberg milczała ponuro.

Monaghan i Lamborghini zdjęli ochraniacze butów i weszli do strefy wyjałowionej. Tam odłączyli przewody klimatyzacyjne i pozwolili służbie naziemnej dopomóc sobie we wślizgnięciu się na tandemowe fotele Kestrela. Pierwszy zrobił to Wściekły Pies. Podłączyli swe kombinezony do pokładowych przewodów klimatyzacyjnych i tlenowych, opuścili wizjery. Następnie Monaghan zamknąłabinę. Kiedy na jego pulpicie zapaliło się światelko świadczące, że pojazd jest zamknięty, Wściekły Pies powiedział przez telefon pokładowy:

— Próba łączności.

— Słyszalność stuprocentowa — odpowiedział spokojnie Lamborghini.

Monaghan rozpoczął kontrolę przyrządów.

— Cóżes tak zamilkł, Wyścigowo?

Lamborghini odsunął zamek błyskawiczny, wyciągnął z kieszeni małą fotografię Juliet i dwóch córek. Wcisnął ją pomiędzy wyłączniki na swoim pulpicie kontrolnym. Wreszcie odezwał się:

— Właśnie się zastanawiam...

— Nad czym? — zapytał Monaghan.

— Nad tym, czy Rosjanie mają jeszcze w zanadrzu jakieś anty-satelitarne niespodzianki.

*Dzień 5., 10:07 czasu Greenwich, 12:07 miejscowego* **Bombowce widma nad północnym Iranem**

Wyglądały jak stwory z wiejącej grozą baśni: dwa ogromne czarne nietoperze skrzydła lecące przez chmury. Gdyby historykowi lotnictwa dane było ujrzeć z bliska owe obiekty jakby nie z tej ziemi, prawdopodobnie uznałyby, że przypominają dawne Latające Skrzydło YJ3-49-Istotnie, w pewnej mierze właśnie od niego się wywodziły. Ale Latając<sup>6</sup> Skrzydło zaprojektowano, by zredukować opór aerodynamiczny, bombowce widma stworzono zaś w zupełnie odmiennym celu. Wymy<sup>s</sup>łono je, zaprojektowano i zbudowano po to, by nie dostrzegał ich n

Po drugiej wojnie światowej w wyniku mariażu lotnictwa, radaru, pocisków raketowych i elektroniki zrodził się nowy pewnik: jeśli nieprzyjaciel może cię zobaczyć, to może cię zniszczyć. Był tak oczywisty, że w końcu stał się wyzwaniem i doprowadził do poszukiwań idealnego, a więc niewidzialnego samolotu bojowego. Takiego, którego nie byłyby w stanie wykryć wszechobecne macki nieprzyjacielskiego radaru. Podstawą dla zaprojektowania niedostrzegalnego samolotu była tak zwana zasada 22.

Żeby zrozumieć, na czym polega, trzeba na moment założyć, że światło latarki elektrycznej to wiązka impulsów radarowych. Jeśli usiądziesz w ciemnym pokoju i oświetlisz latarką kartę do gry, na przykład asa pik, światło pada na nią, odbija się od jej powierzchni i trafia do twojego oka. Jeśli zwrócona jest do ciebie płaszczyzną, łatwo ją zobaczyć.

Radar funkcjonuje na bardzo podobnej zasadzie. Kiedy impuls elektroniczny natrafi na powierzchnię, która go odbija, powraca do odbiornika i pojawia się operatorowi na zielonym ekranie. W języku elektroniki, taką powierzchnię odbijającą nazywa się przekrojem skutecznym celu radiolokacyjnego. As pik zwrócony powierzchnią ku wiązce światła latarki stanowi dla niej znakomitą płaszczyznę odbijającą, czyli wysoce skuteczny przekrój celu.

A teraz obróć asa pikowego kantem do wiązki światła. O wiele trudniej będzie go wówczas zobaczyć, gdyż stanie się przekrojem celu

Oniskiej skuteczności. Analogicznie w przypadku radaru. Żeby stać się niewidzialnym, należy po prostu przedstawiać dla nieprzyjacielskiego przekaźnika radarowego przekrój celu radiolokacyjnego o skrajnie niskiej skuteczności.

W teorii jest to proste. W praktyce — trudne. Zwłaszcza gdy chodzi o bombowiec, gdyż bombowce z samej swej natury muszą być masywne. Takie elementy, jak część ogonowa, kadłub, gondole wlotowe silników odrzutowych oraz łopatki wirnika, turbiny przedstawiają nader skuteczny przekrój celu radiolokacyjnego. Żeby zaprojektować bombowiec niewidzialny dla radaru, konstruktor lotniczy musiał wyeliminować, względnie inaczej ukształtować, owe fundamentalne części — a był z tym niemały kłopot. Za cenę piętnastu lat pracy, pięciu miliardów dolarów i kilku katastrof Northrop stworzył sensowny, nadający się do produkcji prototyp. Cel osiągnięto.

Niewy kry walny bombowiec miał kształt bumeranga z poszarpaną krawędzią spływu płata, nadającą mu naprawdę wygląd skrzydła nietoperza. Kadłub owej skrzydłopodobnej konstrukcji był gładki

<sup>1</sup> w najgrubszym miejscu nie dochodził dwóch metrów, poza kabiną dla załogi oraz gondolami silników przylegającymi gładko do Poszycia. Forma pojedynczego skrzydła i gładko dopasowane gondole redukowały przekrój skuteczny radiolokacyjny samolotu, pozwalając

Zdobyc...



wiązkom radarowym „prześlizgiwać się” po nim. Dla dalszego wzmoczenia niskiej skuteczności przekroju, powłoki bombowca nie wykonano z metalu, ale ze skomplikowane ułożonych bezechowych elementów z włókna węglowego, bardziej pochłaniających niż odbijających impulsy radarowe. Dodatkowo całą powierzchnię zewnętrzną samolotu pomalowano substancją wzmagającą absorpcję fal radarowych.

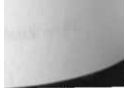
Aby ukryć przed radarem łopatki wirników turbin, powietrze napływające z górnych gondoli wlotowych poprowadzono do czterech silników produkcji General Electric przewodami przebiegającymi na kształt litery S. Zespoły napędowe nie były podwieszane, tak jak w normalnych samolotach, do zewnętrznych wsporników skrzydeł, ale wszczepione wzdłuż spodu krawędzi spływu kadłuba. To także redukowało przekrój skuteczny.

Niewykrywalny bombowiec miał wprawdzie ulokowane wzdłuż krawędzi spływu lotki i stery wysokości umożliwiające mu przechyłanie, wzbijanie się i schodzenie w dół, ale nie został wyposażony w pionowy statecznik ogonowy ani ster do zakręcania. Zastępowało je odpowiednie kierowanie siły ciągu przez dysze wylotowe, pozwalające pilotowi na dowolne manewrowanie samolotem. Owe ruchome dysze ogonowe dawały jeszcze jedną korzyść — pomagały w ukrywaniu gorącego ciągu silnika bombowca i czyniły go mniej narażonym na wykrycie czujnikami podczerwieni czy też przez pociski kierujące się na źródło ciepła.

Choć niedostrzegalne, latające nietoperze skrzydło wcale nie było małe. Jego rozpiętość tylko nieznacznie ustępowała bombowcowi B-52, mogło też unieść do osiemnastu ton uzbrojenia. W przeciwieństwie jednak do B-52 czy FB-111 bombowiec widmo nie miał jednej dużej ładowni bomb czy pocisków ani nie dźwigał ich zawieszonych na zewnętrznych wspornikach. Zamiast tego umieszczono pod jego brzuchem cztery mniejsze ładownie.

Nie był on niewidzialny dla radaru w sensie absolutnym; przedstawiał wszakże na ekranie radarowym punkcik nie większy niż przelatujący sokół. W praktyce więc był nie do wykrycia, pomimo silenia się na wysoki stopień czułości radarów przeszukujących oraz uczulenie operatorów na rozmaite zmyłki i zakłócanie obrazów.

Kabina bombowca widma była nieco odsunięta od przedniej krawędzi skrzydła. Załoga siedziała w mocno odchylonych fotelach-Niebezpieczeństwem tej wygodnej pozycji była pokusa drzemki-Wokół kabiny biegł wiatrochron przypominający świetlik w dachu, dający wspaniały widok na niebo i rozległą perspektywę w kierunku lotu, natomiast widoczność przestrzeni bezpośrednio przed nosem maszyny oraz poniżej niej była co najwyżej słaba bądź żadna. Żeby skompensować tę niedogodność, wyposażono samolot w trzy zain-



stalowane na dziobie kamery telewizyjne, umożliwiające obserwację w kierunkach niewidocznych z kabiny. Załoga, podobnie jak w FB-111 czy Intruderze A-6, składała się tylko z dwóch osób. Dowodził pilot siedzący w lewym fotelu; fotel po prawej zajmował oficer odpowiedzialny za systemy elektroniczne, zajmujący się równocześnie nawigacją, bombardowaniem, łącznością i zakłócaniem elektronicznym. Z uwagi na tę kumulację różnorodnych umiejętności, nieodmiennie nazywano go „Mistrzuniem”.

— Dostaliśmy potwierdzenie, szefie! — powiedział Mistrzunio.

Rozkaz z Pentagonu został przekazany do Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych w Omaha kablem światłowodowym, a stamtąd przez satelitę telekomunikacyjnego Milstar do samolotu Przewodnika Widm. Był zaszyfrowany systemem Oracle i został automatycznie wprowadzony do pamięci mikroprocesora na pokładowym pulpicie łączności. Mistrzunio mógł wyświetlić przekazaną wiadomość na małym monitorze w postaci cyfrowej, wołał wszakże odczytać ją z papierowej taśmy. Nacisnął guzik i po chwili z drukarki termicznej wysunął się wydruk pięciocyfrowych grup kodowych. Posiłkując się notatnikiem leżącym na półeczce na wysokości brzucha, szybko odszyfrował przekaz na kartce. Oderwał ją z bloczka i podał pilotowi. Obaj wyciągnęli z kombinezonów zapieczętowane koperty i rozerwali je. Wewnątrz każdej znajdowała się plastikowa karta, wielkości pocztówki, z wydrukiem. Na obu widniało hasło: Młot Thora.

Przewodnik Widm był zawodowcem. Miał rangę pułkownika, a za sobą dwadzieścia trzy lata służby w Strategicznych Siłach Powietrznych. Był głównym pilotem doświadczalnym programu doskonalenia niewykrywalnego bombowca. Miał spiżowoszarą włosy i twarz głęboko poraną zmarszczkami. Pomimo całego doświadczenia i długich lat treningu nie czuł się właściwie przygotowany na taki moment. Zaszło mu w gardle i przełknął ślinę. Starając się, by w jego głosie zabrzmiała przekonująca pewność siebie, powiedział do kolegi:

— Stwierdzam autentyczność sygnału: Młot Thora!

— Ja również — zawtórował Mistrzunio; major odczuwał wobec swego zwierzchnika weterana rodzaj nabożnej czci, nie zauważył więc ani śladu nerwowości w jego głosie.

Przewodnik Widm przełknął ponownie ślinę i powiedział:

— W porządku, Mistrzuniu. Lecimy do punktu wyjściowego. Tam zaczekamy na rozkaz ataku lub odwołanie. Jak daleko do granicy sowieckiej?

Mistrzunio rzucił okiem na globalny system pozycyjny. Byli nadal w przestrzeni powietrznej Iranu.

— Sto dwadzieścia trzy mile morskie, szefie.

— Dobrze — powiedział spokojnie Przewodnik. — Czy mamy połączenie laserowe z Widmem Dwa?

— Już łapię — powiedział Mistrzuniu, kręcąc gałką. Lotnicy podczas misji bojowych muszą sobie jakoś radzić z surwym wymogiem utrzymywania ciszy radiowej. Okręty na mor mogą czasem obejść tę niedogodność, posługując się sygnałami świetlnymi, ale w lotnictwie rzadko można się uciec do takiej, wymagającej czasu, techniki. By temu zaradzić, bombowiec Przewodnika Widm wyposażono w system łączności za pomocą wiązki laserowej. Można ją było wycelować w siatkę odbiornika na płetwie grzbietowej lecącego obok samolotu. Jak długo łączyła je wiązka laserowa, oba bombowce mogły prowadzić zaszyfrowane rozmowy, jednak trzymanie wiązki na mającej ćwierć metra kwadratowego siatce, podczas gdy oba samoloty, oddalone od siebie o jakieś sto metrów, leciały z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę, było ogromnie uciążliwe. A musiały trzymać odpowiedni dystans, żeby nie stworzyć wspólnego obrazu, dostrzegalnego na ekranie radarowym. Do tego leciały w formacji przestrzennej — Przewodnik wyżej.

— W porządku, szefie, mamy połączenie — powiedział Mistrzuniu — ale mów szybko. Jest trochę turbulencji i w każdej chwili możemy stracić łączność.

Pilot włączył mikrofon.

— Halo, Widmo Dwa. tu Przewodnik. Stwierdzam autentyczny sygnał: Młot Thora.

— Zrozumiałem, Przewodniku — nadeszła odpowiedź. — P twierdzam sygnał: Młot Thora.

— Dobrze — stwierdził pilot weteran. — Zostań niżej w zasięgu lasera. Może będzie trzeba jeszcze się połączyć.

— Rozkaz, Przewodniku. Widmo Dwa wyłącza się.

— W porządku, Mistrzuniu, klamka zapadła. Na wszelki wypad pomódl się już teraz, jeśli umiesz.

Przewodnik Widm przesunął delikatnie drążek sterowy w praw. Nie mógł użyć pedału, gdyż bombowiec nie miał konwencjonalnego steru. Zamiast tego komputery pokładowe ustawiły ruchome wyloty dysz w odpowiedniej pozycji, kładąc wielkie czarne nietoperze skrzydeł w powolny zwrot ku południowej granicy Związku Sowieckiego.

*Dzień 5., 11:03 czasu Greenwich* **Spotkanie Sojuza z Intrepidem**

Wasilij Lubinin ostrożnie przepychał swoje urządzenie man wrowe, stanowiące część kosmicznego ekwipunku, przez właz przy dziale orbitalnego Sojuza. Jemitow był już na zewnątrz i schwył je w chwili, gdy wydostało się z otworu. Przed opuszczeniem

kapsuły Lubinin włączył wzmacniacz radia pokładowego, by przekazywało rozmowy kosmonautów do Kaliningradzkiego Centrum Kontroli Lotów. Następnie wydobyl urządzenie, które miało posłużyć do zdalnego odpalenia silnika Progressa, wyglądające jak ręczne walkie-talkie, i wyszedł ze statku. Znalazłszy się na zewnątrz, kosmonauci pomogli sobie nawzajem przytwierdzić na plecach urządzenia manewrowe.

Lubinin odezwał się do mikrofonu, włączającego się automatycznie na dźwięk głosu:

— Halo, Centrum, tu Sojuz. Czy mnie słyszycie? Odbiór.

— Zrozumiałem, Sojuz. Słyszemy cię. Sprawdź zegarek. Powinien wskazywać trzydzieści trzy minuty do zapłonu powrotnego... — nastąpiła pauza — o, teraz!

— Zrozumiałem, Centrum. Potwierdzam trzydzieści trzy minuty do zapłonu powrotnego. Zegarek funkcjonuje prawidłowo. Udajemy się teraz do statku amerykańskiego, żeby dokonać ostatnich przygotowań.

— Zrozumiałem, Sojuz. Będziemy was monitorować. Powodzenia.

— Dziękuję, Centrum. Chodźmy, Siergiej — powiedział, zwracając się do Jemitowa. — Trzeba wyprawić Amerykanina w drogę.

Dwie postacie w strojach kosmicznych uruchomiły swe urządzenia napędowe i — niby dwa trzmielce przefruwające z kwiatka na kwiatek — przemierzyły pustkę dzielącą je od *Intrepida*, zatrzymując się nad jego dziobem. Spoza wiatrochronu patrzyły czarne oczy Lodowca. Lubinin przemówił do niego po angielsku:

— Słuchaj, *Intrepid*. Zbliża się czas twojego zapłonu powrotnego. Masz ustawić statek w odpowiedniej do tego pozycji. Ciąg i synchronizacja powinny być takie same, jak przy użyciu silników hamujących wahadłowca. Będziemy odliczali i tym oto urządzeniem — podniósł do góry małe pudełko — uruchomimy zdalnie silnik, który zainstalowaliśmy w dyszy ogonowej. Nastawimy regulatory czasowe tak, żeby sworznie eksplodujące automatycznie puściły w chwili, gdy będziesz miał wchodzić w atmosferę. Jak rozumiem, twój komputer pokładowy może sprowadzić cię na pas lądowania bez pomocy z zewnątrz.

— Racja — odparł Lodowiec. — Komputer nawigacyjny może tego dokonać. A teraz zejdźcie mi z drogi — zamierzam zamknąć drzwi i od razu ustawić statek w pozycji powrotnej.

— Doskonale — powiedział Lubinin.

Dwaj Rosjanie oddalili się od wahadłowca i przyglądali z podziwem, jak zamykają się drzwi ładowni i statek wykonuje powolny piruet, przybierając odpowiednią pozycję. Był teraz ustawiony „do góry nogami” i tyłem, z dziobem lekko zwróconym ku ziemi. Włączenie silnika Progressa miało go zarazem przyhamować i popchnąć w dół.

Kiedy statek był już ustawiony, Lubinin i Jemitow zbliżyli się do części ogonowej. Jemitow żałował, że nie mają dość czasu, by wejść

do *Intrepida* i zwiedzić go. Pocięsział się, że będzie do tego okazja później, po wylądowaniu.

Lubinin skontrolował zegarek i dokonał w pamięci koniecznych obliczeń. Od zapłonu dzieliło ich siedemnaście minut. Przyjął trzy minuty na pracę hamującą silnika. Dalsze pięć na zmianę pozycji wahadłowca przed wejściem w atmosferę. Kolejne trzy jako margines bezpieczeństwa. Oznaczało to łącznie dwadzieścia osiem minut do odpalenia sworzni eksplodujących.

— Na mój znak nastaw regulatory czasu na dwadzieścia osiem minut, Siergieju.

— Rozkaz.

— Trzy... dwa... jeden... teraz!

Każdy z kosmonautów nastawił po dwa regulatory, rozmieszczone w równych odstępach wokół krawędzi dyszy głównego silnika. Chodziło o to, by wszystkie cztery sworznie eksplodowały mniej więcej w tym samym czasie.

Wewnątrz *Intrepida* Lodowiec „karmił” pokładowy komputer nawigacyjny danymi dotyczącymi powrotu na ziemię. Było to urządzenie nader wymyślne. Wszystko, co miał do zrobienia pilot, ograniczało się do wprowadzenia do niego danych określających szerokość i długość geograficzną miejsca, gdzie chciał wylądować, oraz włączenia elektronicznego autopilota. Pilot automatyczny opierając się na danych z komputera sterował statkiem podczas powrotu przez atmosferę, dokonywał zwrotów hamujących i podchodził do lądowania. *Intrepida* wyposażono również w system automatycznego lądowania, ale mógł on funkcjonować tylko wspólnie z mikrofalowym systemem lądowniczym TACAN, zainstalowanym na lotnisku. Tym się Lodowiec jednak nie przejmował. Uważał, że potrafi dokonać lądowania manewrując ręcznie. Nie miał obaw. Wiedział, że jest asem.

*Dzień 5., 11:20 czasu Greenwich, 3:20 miejscowego* Baza Sił Powietrznych Vandenberg

— Halo, Kestrel, tu kontrola startu.

— Słyszemy was — odpowiedział Monaghan.

— Mamy wiadomość z CSOC-u w Kolorado. W ciągu paru minut zapadnie decyzja, czy startujecie, czy nie. Zbliża się właśnie pierwsze okienko powrotne dla *Intrepida*. Jeśli nie podejmie odpalenia hamującego na tym okrążeniu, będziecie go mieli w swym zasięgu na następnym.

— Nie możemy się wprost doczekać — powiedział przez radl Monaghan. — Tak się wystróić i nie polecieć nigdzie, to by nie mia sensu...

*Dzień 5., 11:31 czasu Greenwich, 14:31 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

Dowódca misji Małyszew patrzył uważnie, jak zegar cyfrowy odmierza upływający czas. Spoczone kosmyki jasnych włosów znówu lepiły mu się do czoła.

— Cztery minuty do zapłonu! — powiedział przez radio.

— Zrozumiałem, Centrum — zaskrzeczał z głośnika głos Lubini-na. — Wszystko gotowe.

Kostiaszak zwrócił się do Popowa, którego wymiętoszony mundur przypominał worek.

— Już niedługo, towarzyszu generale. Czyż to nie wspaniała chwila? Popów uniknął spojrzenia mu w oczy.

— Pożyjemy, zobaczymy, towarzyszu przewodniczący!

*Dzień 5., 11:35 czasu Greenwich* **Spotkanie Sojuza z Intrepidem**

— Trzydzieści sekund! — zatrzeszczało w słuchawkach Lubinina.

— Trzydzieści sekund, *Intrepid*. — przekazał Lubinin. — Jesteś

gotów?

— Pewnie! — odpowiedział z irytacją Lodowiec. — Byłem gotów już od wielu dni. Komputer nawigacyjny ustawiony.

Tylko zapalcie.

Lubinina, patrząc na zegarek, odliczał, Jemitow zaś trzymał palec **nad** czerwonym guzikiem urządzenia do zdalnego zapłonu.

— Siedem... sześć... — Stopniowo w głosie Lubinina dawało się odczuć coraz większe napięcie. — Pięć... cztery... trzy...

dwa... jeden... ognia!

Jemitow wcisnął guzik. I nic się nie stało.

*Dzień 5., 11:34 czasu Greenwich, 4:34 miejscowego* **Góra Cheyenne**

W bocianim gnieździe SPADOC-u było tłoczno. Whittenberg, Fairchild, Dowd i Lydia Strand obserwowali, jak wydłuża się naziemny <sup>S</sup>lak spotkania Sojuza z *Intrepidem*. Migające światełko na projekcji ^apy wskazywało, że oba statki znajdują się nad południowym "acyfikiem — poza zasięgiem stacji radarowych do śledzenia przestrze-?l kosmicznej zainstalowanych przez SPACECOM na Hawajach i na "Wyspach Marshalla. W trosce o zapewnienie kontroli nad całym °bszarem okienka powrotnego wypełniono tę martwą strefę, wysyłając o owego zakątką mórz południowych okręt obserwacyjny NASA.

Szef sztabu Dowd utrzymywał łączność telefoniczną z monitorami

radarowymi znajdującymi się piętro niżej, Whittenberg zaś dzierżył w ręku słuchawkę bezpośredniego telefonu do admirała Bergstroma. Sir Izaak i Strand obserwowali zielony ekran CRT.

— Według moich obliczeń otwiera się właśnie ich pierwsze okienko powrotne — oznajmił Sir Izaak. — Mogą rozpocząć powrót w ciągu najbliższych dwóch minut.

Whittenberg przekazał opinię Fairchilda Bergstromowi, a potem sekundy wlokły się, dopóki nie minęły dwie minuty. Dowd po raz ostatni porozumiał się z działem monitorów i oznajmił:

— Żadnych zmian na orbicie, panie generale!

— Zaczekajmy jeszcze minutę, żeby mieć pewność — polecił Whittenberg.

Prześlimaczyło się kolejne sześćdziesiąt sekund.

Dowd ponownie odbył rozmowę telefoniczną, potem stwierdził:

— To pewne, panie generale. Nie doszło do odpalenia powrotnego na tym okrążeniu.

— Dobrze. Zadzwoń do CSOC-u i powiedz McCormackowi, że Kestrel wystartuje. — Następnie powiedział do słuchawki:

— Nie było odpalenia powrotnego na tym okrążeniu, admirale, więc wysyłamy Kestrela.

*Dzień 5., 11:36 czasu Greenwich* **Spotkanie Sojuza z Intrepidem**

— Odpalaj, Siergieju, odpalaj! — nalegał Lubinin.

— Staram się! — wrzeszczał Jemitow, naciskając raz czerwony guzik.

— Cóż tam macie za problem? — warknął Lodowiec. Lubinin zaklął.

— Nie wiemy, *Intrepid*. Coś nie działa... Siergiej, co się stało. Jemitow zaniechał dalszych prób.

— Nie wiem, Wasilij — powiedział podenerwowany. — Może to jakiś defekt tego urządzenia, a może w odbiorniku albo w urządzeniu zapłonowym silnika Progressa.

Lubinin zaklął ponownie.

— Wracaj do Sojuza i znajdź zapasowe urządzenie do zdalnego zapłonu. Ja wyłączę regulatory czasowe na sworzniach eksplodujących. Potem musimy spróbować jeszcze raz.

*Dzień 5., 11:37 czasu Greenwich, 13:37 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

— Co znaczy: nie działa? — nalegał Kostiaszak. Popów miał dość.

375

— Skąd, do diabła, mam wiedzieć? — wściekł się w odpowiedzi. — Ta cholera nie chce odpalić! Wiem dokładnie tyle, co i wy!

Powściągliwość przewodniczącego nagle znikła. Bez *Intrepida* na ziemi rosyjskiej jego plan musiałby zakończyć się fiaskiem.

— Co możemy zrobić? — spytał żałośnie. Popów westchnął.

— Niewiele. Skontaktuję się z głównym konstruktorem i zapewnię mu łączność z Sojuzem. Może coś na to poradzi, ale wątpię. Teraz wszystko zależy od kosmonautów. Niewykluczone, że potrafią znaleźć przyczynę, ale muszą to zrobić szybko. Pozostało tylko osiemdziesiąt siedem minut do następnego okienka powrotnego.

Kostiaszak opanował się. Powiedział sobie, że musi rozegrać tę partię do końca. Wezwał pułkownika Borysowa i gwałtownie skreślił coś na kartce.

— Dopilnuj, żeby tę wiadomość przekazano do samolotu towarzysza sekretarza generalnego. <sup>H</sup>

— Już się robi, towarzyszu przewodniczący!

*Dzień 5., 11:44 czasu Greenwich, 14:44 miejscowego* **Bombowce widma**

— Przyszła jakaś wiadomość, szefie! — powiedział Mistrzunio. — Sekundę!

Szybko rozszyfrował jednowyrazowy komunikat i wręczył pilotowi kartkę.

— Cholera! — Przewodnik Widm, spojrzawszy na nią, skrzywił się. Na kartce widniało: czekać.

Dwa czarne nietoperze skrzydła latały wyczekująco po czworokącie w sowieckiej przestrzeni powietrznej w pobliżu punktu, z którego miały wyruszyć, by dokonać nalotu. Znajdowały się o jakieś czterysta kilometrów od Bajkonuru. Pozostawały niedostrzegalne dla radaru, a szansa, że ktoś je zobaczy, była wysoce nieprawdopodobna, gdyż stepy Kazachstanu przykrywała kołdra ogromnych cumulonimbusów. Dwa bombowce latały w luźnej formacji na wysokości dziewięciu kilometrów; Przewodnik nieco wyżej. Dzielili je odległość około stu metrów. Zanurzały się w kłębiaste chmury i wynurzały z nich. Co Prawda latanie w chmurach nie należy do przyjemności ze względu na zawirowania powietrza, niemniej jednak dodatkowa możliwość ukrycia się była im bardzo na rękę.

— Czy mamy połączenie laserowe? — spytał Przewodnik Widm.

— Już się robi, szefie! — odpowiedział Mistrzunio. Pilot włączył mikrofon.

Hało, Widmo Dwa, tu Przewodnik. Dostaliście wiadomość? Tak jest, Przewodniku.

376



— Dobrze. Wygląda na to, że będziemy musieli kisić się tu przez dalsze dziewięćdziesiąt minut. Kryjmy się w chmurach, jak długo się tylko da, dopóki nie przyślą nam rozkazu z Omaha. Widocznie wahadłowiec nie zaczął jeszcze schodzić z orbity.

— Zrozumiałem, Przewodniku — brzmiała odpowiedź. — Dostosujemy się.

*Dzień 5., 12:10 czasu Greenwich* **Spotkanie Sojuza z Intrepidem**

Z małego otworu w podstawie silnika Progressa sterczała antena jego urządzenia zapłonowego.

— Podstawa silnika jest szczelnie zamknięta — powiedział znużonym głosem główny konstruktor Wostow. — Nie ma dostępu do jej wnętrza. Jedyne, co możecie zrobić, to sprawdzić, czy antena nie obluźowała się w gniazdku zapalnika.

Lubinin sięgnął i delikatnie poruszył cienkim drutem.

— Wydaje się, że siedzi mocno, towarzyszu główny konstruktorze. Wostow milczał przez chwilę.

— Może urządzenie do zdalnego zapłonu ma defekt. Trzeba więc użyć zapasowego. Spróbujcie podejść z nim do anteny najbliżej, jak tylko się da. I pamiętajcie, że antena musi je widzieć.

Lubinin westchnął.

— Tak jest, towarzyszu główny konstruktorze.

A wewnątrz *Intrepida* Lodowiecomalże nie dostał szału. Wiedział jedynie, że nie doszło do zapłonu, po czym eter wypełnił się paplaniem po rosyjsku, którego nie rozumiał. W jego polu widzenia, nad dziobem statku, pojawił się Jemitow.

— Czemu nic się nie dzieje? — dopytywał się Lodowiec.

— Coś nie gra w urządzeniu zapłonowym. Spróbujemy jeszcze raz. — Jemitow spojrzął na zegarek. — Za czterdzieści trzy minuty. Użyjemy zapasowego.

Lodowiec nie był zadowolony.

— A w ogóle, jak się nazywasz? — spytał Rosjanina. Jemitow zawahał się. Czarne oczy Amerykanina były odpychając<sup>6</sup> zdawały się przewiercać go na wylot. Odpowiedział ostrożnie:

— Siergiej.

— Aha. A więc mam ci coś do powiedzenia, Siergieju. Jemitow poczuł chłód.

— A cóż takiego masz mi do powiedzenia? Lodowiec spojrzął na niego twardo.

— Tym razem nie spierdol roboty, dobrze?

*Dzień 5., 12:10 czasu Greenwich, 14:10 miejscowego* **Odrzutowiec sekretarza generalnego**

Prywatny Iljuszyn sekretarza generalnego był luksusowym samolotem, podzielonym na trzy części. Przednią stanowił salonik wyposażony w niewielki bar. Środkową — umeblowany na zamówienie gabinet. Ogonową — sypialnia. Jedną z największych przyjemności Woronckiego było składanie tym odrzutowcem oficjalnych wizyt w zachodnich stolicach. Radowała go pompa, z jaką witano go na lotniskach, a jego żonę — zakupy u Harrodsa czy u Saksa na Fifth Avenue z kartą kredytową American Express. Czasami latał też nim na ryby nad jezioro Bajkał, zazwyczaj bez żony, w innym damskim towarzystwie.

Barman serwował właśnie sekretarzowi generalnemu trzecią wódkę, kiedy zjawił się kapitan samolotu z wiadomością. Woroncki zapoznał się z notatką i podniósł wzrok na pilota.

— To od towarzysza Kostiaszaka. Przekazuje, że zdaniem generała Popowa lepiej będzie sprowadzić amerykański wahadłowiec na ziemię podczas następnego okrążenia. Wylądować więc w Bajkonurze mniej więcej o szóstej po południu. A na którą planujemy tam nasz przyłot?

— W przybliżeniu w tym samym czasie, jeśli nie opóźnią nas przeciwne wiatry — odpowiedział pilot.

Sekretarz generalny uśmiechnął się, popijając z kieliszka.

— Wspaniale! Może jednak uda nam się zobaczyć, jak będzie lądował.

*Dzień 5., 12:37 czasu Greenwich, 4:37 miejscowego* **Baza Sił Powietrznych Vandenberg**

Niby piasku w klepsydrze na chronometrze cyfrowym Lambor-ghiniego szybko ubywało czasu dzielącego ich od startu.

Kiedy pojawiło się na nim 00:00:00, usłyszał komendę „Zapłon!” i poczuł wibrację dudniących silników Tytana 34-D.

Tytan miał podobny do wahadłowca system napędowy, złożony z dwóch rakiet startowych na paliwo stałe zainstalowanych po obu stronach centralnie ustawionego silnika na paliwo płynne. Kiedy wszystkie trzy człony funkcjonowały, dawały łącznie przeszło półtora miliona kilogramów ciągu.

Wibracje nasiliły się, przypominając Lamborghiniemu start wahadłowca *Antares*, którym odbył kiedyś lot rozpoznawczy.

Prawdę powiać, było to zniechęcające przeżycie. Teraz doświadczał jednak iszczę silniejszych wrażeń — chwilami wydawało mu się, że siedzi 80°ym tyłkiem na rakiecie. Dostrzegł, że rusztowanie wyrzutni znika z pola widzenia i usłyszał:

— Start, Kestrel! Wystartowaliście. Wszystko przebiega prawidłowo. Przełączam was na CSOC. Pomyślnych łowów!

— Zrozumiałem — odpowiedział Monaghan — i dzięki!

Lamborghini odczuł przyspieszenie, a jednocześnie siła bezwładności przydusiła go do fotela. Tytan 34-D gwałtownie nabierał szybkości, dziurawiąc nocne niebo i popychając w górę wskazówkę machometru. Wraz ze wzrostem prędkości Lamborghiniemu — roztrzęsionemu zestrzeleniem *Constellation* — zdawała się powracać pewność siebie. Doszedł do wniosku, że podoba mu się pomysł zgotowania Rosjanom niespodzianki. Nadszedł czas wyrównywania rachunków. Wyrzwał przez boczne okno i stwierdził, że pomimo panującej nocy może dostrzec krzywiznę Ziemi.

— Jak się czujesz, Wyścigowo? — zapytał Monaghan.

— Nieźle, Wściekły Psie. Dopadnijmy tych skurwieli. Monaghanowi spodobała się stanowczość, z jaką to powiedział

— W porządku, chłopie.

*Dzień 5., 12:40 czasu Greenwich, 14:40 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

Oficera łącznikowego, czuwającego nad działalnością Centrum Ostrzegania Obrony Powietrznej, wyrwało z letargu bipanie terminalu komputerowego. Podobnie jak wszyscy skupił uwagę na czynnościach związanych ze zbliżającym się powrotem z orbity *Intrepida*, alarm był zaś ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał. Natychmiast począł stukać w klawiaturę, a kiedy na ekranie pojawiły się dane, wrzasnął:

— Wykrycie startu, towarzyszu dowódco! Popów, Kostiaszak i Małyszew spojrzeli po sobie.

— Gdzie? — dopytywał się ten ostatni. Oficer łącznikowy dalej stukał gwałtownie w klawiaturę.

— Wyszedł z kosmodromu Vandenberg... chwileczkę... kurs jeden -osiem-siedem stopni. Nanoszę to na mapę.

Uderzył w odpowiednie klawisze i na mapie pojawiła się krótka, wychodząca z Kalifornii linia trasy naziemnej, daleko na południe od pozycji *rendez-vous* Sojuza i *Intrepida*. Te ostatnie przecięły właśnie koło arktyczne, zdążając ku południowemu Pacyfikowi, by podjąć tam następną próbę odpalenia powrotnego.

— Co to jest? — domagał się wyjaśnień Kostiaszak.

— Nie mam pojęcia — odparł Popów. — Ale jeśli wydaje wam się, że Amerykanie zamierzają siedzieć z założonymi rękami, kiedy zestrzeliliśmy im jeden wahadłowiec, a drugi usiłujemy sobie przy włączycy, to jesteście niespełna rozumu. Przewodniczącemu błysnęły oczy, ale pohamował się.

— Ile czasu zostało do następnej próby powrotu?

379

Popów spojrzął na zegar.

— Dwadzieścia trzy minuty. Wydaje się, że rakieta amerykańska zbliży się do naszych statków mniej więcej w tym czasie, kiedy będziemy dokonywać odpalenia.

*Dzień 5., 12:40 czasu Greenwich, 5:40 miejscowego* **Góra Cheyenne**

Strand obserwowała monitor, na którym pojawiły się dane o starcie Kestrela przekazywane przez CSOC.

— Rakiety startowe odłączyły się od Tytana — oznajmiła. — Jak dotąd, idzie dobrze.

Naziemne drogi wszystkich trzech pojazdów kosmicznych na wielkim centralnym ekranie projekcyjnym kierowały się na południe i zbliżały do równika. Kestrel miał go przeciąć pierwszy, ale Sojuz i *Intrepid* szybko go doganiały, gdyż rozwijały większą prędkość.

*Dzień 5., 12:43 czasu Greenwich* **Kestrel**

Wściekły Pies poczuł drgania. Spojrzął na tablicę kontrolną.

— Odłączyła się rakieta startowa na paliwo płynne — powiedział przez radio. — Uwolniliśmy się od busterów. Ustawiam obecnie orbitalne odpalenie silników.

Kestrel, oswobodzony od Tytana, który wyniósł go na orbitę, miał teraz polegać na silnikach własnego orbitalnego systemu manewrowego OMS.

— Zrozumiałem, Kestrel — odezwał się szef łączności z CSOC--u. — Podchodzicie do odpalenia wprowadzającego na orbitę.

Monaghan sprawdził wskaźnik orientacji pozycji, by się upewnić, że jest w położeniu odpowiednim do odpalenia naprowadzającego i że włączony został automatyczny pilot. Komputer nawigacyjny był podłączony do autopilota i miał uruchomić silniki OMS, by wprowadzić ich na właściwą orbitę. Wściekły Pies nie dotykał ręcznych sterów, zdając się całkowicie na komputery.

— A więc stało się, Wyścigowo!

— Możesz na mnie liczyć — odpowiedział Lamborghini. Program lotu przewidywał, że Kestrel zostanie wprowadzony na ten sam wektor orbitalny co Sojuz i *Intrepid*, ale trzysta dwadzieścia kilometrów za nimi i dwadzieścia pięć kilometrów niżej. Jego strategia utiała polegać początkowo na zachowaniu pewnej odległości, by się Ustrzec przed bronią antysatelitarną, którą mógł przywieźć ze sobą

380

Sojuz. Z dystansu trzystu kilometrów Lamborghini miał wyszuk < *Intrepida* radarem dalekiego zasięgu i zaatakować go pociskami tvn Phoenix. Następnie Kestrel miał się zbliżyć, by dokonać inspekcji zniszczonego wahadłowca i ewentualnie dokończyć dzieła Sidewin derami.

Poruszając się po niższej orbicie, kosmolot mógł dopaść wahadłowiec na tej samej zasadzie co sprinter biegnący po wewnętrznym torze na wirażu.

Nie przewidywano próby uszkodzenia ani abordażu *Intrepida* Monaghan i Lamborghini mieli go po prostu zlikwidować, sprawić by zniknął z nieba.

*Dzień 5., 12:53 czasu Greenwich* **Spotkanie Sojuza z *Intrepidem***

— Co zrobili?! — krzyknął Lodowiec.

— Właśnie to, co ci powiedziałem, *Intrepid* — wyjaśniał cierpliwie Lubinin. — Dostaliśmy z Centrum Lotów wiadomość, że Amerykanie wysłali jakiś pojazd z kosmodromu w Vandenberg. Zbliża się do nas po tej samej trajektorii. Centrum Lotów pyta, czy masz pojęcie, co to może być?

Lodowiec wyteżył umysł, aż zaczął się pocić. Co to mogło być? Na pewno nie pocisk antysatelitarny. Zniszczono je wszystkie zgodnie z traktatem. Poza tym nie wysyłano ich z urządzeń startowych, takich jak w Vandenberg, ale z lecącego w powietrzu myśliwca F-15. Jeszcze jeden wahadłowiec? Niemożliwe. Nie byliby w stanie przygotować następnego w ciągu paru dni. A więc nie mógł to być pojazd załogowy. Do lotów załogowych Stany Zjednoczone używały wyłącznie wahadłowców. A zatem co? Jakiś zaimprovizowany ASAT? A może fotograficzny satelita wywiadowczy? Tak, chyba tak. To by miało jakiś sens.

— Przekaż Centrum, że nie mam pewności, ale domyślam się, że zbliża się satelita wywiadowczy, by sfotografować z bliska, co się tu dzieje.

Lubinin nie był przekonany, ale powiedział:

— Bardzo dobrze! — I poinformował Kaliningrad. Lodowiec niecierpliwił się.

— Kiedy znowu spróbujecie uruchomić silnik hamujący?

— Za jedenaście minut — odpowiedział Jemitow.

— Dobrze — powiedział Lodowiec. — Zanim zdążą coś zdziałać tym pojazdem z Vandenberg, cokolwiek to jest, mnie już tu nie będzie.

— Tak — przyznał Lubinin. — Ciebie już nie będzie...

*p-ień 5-*, 12:58 czasu Greenwich **Kestrel**

Kiedy silniki OMS przestały pracować, Monaghan odpalił osłone startową przykrywającą Phoenixy, spoczywające na wspornikach nad skrzydłami. Następnie uruchomił silniczki sterujące, umożliwiające manewrowanie myśliwcem kosmicznym.

Trzy statki poruszały się teraz po orbicie omalże jednakowym kurs<sub>ur</sub>sem w kierunku południowego Pacyfiku. Przodem podążał *Intrepid*, blisko za nim Sojuz. A trzysta czterdzieści siedem kilometrów z tyłu K<sub>estrel</sub>.

— Rozejrzyj się, Wyścigowo. Zobacz, co się da znaleźć.

— Rozkaz! — powiedział Lamborghini i zajął się pot<sup>^</sup>znym doplerowskim radarem pulsacyjnym A WG-14. Obracał ręcznie <sup>^</sup>as<sub>as</sub>ką anteną szczelinową na stożku dziobowym Kestrela w poszuki<sub>wan</sub>ju celu: wahadłowca zdrajcy. Zataczał kręgi, bombardując prze<sub>strze</sub>ń impulsami elektromagnetycznymi z radaru LTV, ale pokł<sup>^</sup>owy ekran informacji taktycznej pozostawał pusty.

— Nie mogę nic znaleźć, Wściekły Psie. W słuchawkach Monaghana zatrzeszczało.

— Halo, Kestrel, tu CSOC. Powiadomcie nas o sytuacji.

— Jeszcze nic nie mamy — odpowiedział Monaghan. — D<sub>(.)</sub>roj<sub>ero</sub> szukamy radarem. Macie coś dla nas?

— Poczekajcie! — rozkazał szef łączności. — Okręt rad<sub>io</sub>owy NASA już znalazł *Intrepida*. Poczekamy, aż wejdziecie w 2<sub>as</sub>ie<sub>g</sub>. W porządku. Już was mamy! Jesteście dwa-jeden-siedem kilometr<sub>ów</sub> za *Intrepidem* i jeden-siedem poniżej. Wasz ślad naziemny bli<sub>ę</sub>nieco na zachód od celu. Notujecie to?

— Tak jest, CSOC — powiedział Monaghan, odchylając Ke<sub>stre</sub>ia odrobinę w prawo. — Spróbuj teraz. Wyścigowo! Lamborghini dalej zamiatał eter anteną.

— Coś mam!

— To muszą być oni! — wrzasnął Wściekły Pies. — "Izimy ich, CSOC.

— Przyjąłem do wiadomości, Kestrel — odpowiedział szef łączności z Kolorado. — Orzeł Numer Jeden mówi, żebyście str<sub>ze</sub>iaii najszybciej, jak tylko się da.

— Rozkaz — posiedział Lamborghini, włączając napę<sup>^</sup>n elektronicznych Phoenixów. — Trudno powiedzieć z takiej odległ<sup>^</sup> Wściekły Psie, ale na ekranie mamy dwa obrazy.

— Pewnie oni — odezwał się Monaghan. — Założę się, że je<sub>den</sub> duży, a drugi mniejszy.

— Tak, ale bardzo blisko siebie.

— Domyślam się, że ten duży to Lodowiec — zastanawia <sub>sj</sub>e Monaghan — a ten mały robaczek to Sojuz. Dla pewności lep<sub>iej</sub> załatw oba.

382

— Rozkaz — odpowiedział Lamborghini. — Chociaż wydaje się że byłoby wstyd rozwalić Sojuza. Ci Rosjanie prawdopodobnie wykonują po prostu rozkazy.

— Racja. Pewnie, że wstyd — zgodził się Monaghan. — A teraz załatw tych skurwiele.

Lamborghini przełączył Phoenixa na system kierowania radarem AWG-14, następnie wcisnął rozmaite klawisze na tablicy uzbrojenia, wyznaczając każdemu pociskowi cel i priorytyzację celów. Ustawił oba Phoenixy na sterowanie zależne; większą część morderczej drogi miały odbyć prowadzone przez radar Kestrela. Na koniec zdjął pokrywę zabezpieczającą czerwony guzik i wcisnął go, uaktywniając głowice bojowe. Na ekranie informacji taktycznej zaczęły mrugać dwa robaczki, wskazujące, że pociski zostały namierzone na cele zgodnie z przeprowadzoną priorytyzacją. Teraz pozostało mu tylko nacisnąć czerwony guzik ręcznego sterowania.

— Namierzylismy ich, Wściekły Psie.

— Bierz ich! — rozkazał Monaghan.

Z białym błyskiem pierwszy Phoenix zeskoczył z lewego skrzydła. Monaghan instynktownie zamrugał oczami, a Kestrel zachybotał się lekko. Komputer kierujący ogniem szybko przywrócił właściwą pozycję pojazdu, umożliwiając mu odzyskanie stabilności dla oddania następnego strzału. Po upływie paru chwil drugi Phoenix pomknął w ślad za pierwszym. Monaghan zobaczywszy, jak dwie białe kropki nikną w oddali, powiedział:

— Boże! Wyścigowo, to niesamowite! Niczego nie było słyhać. Lamborghini patrzył na ekran.

— Z odczytu wynika, że od uderzenia w cel dzieli nas pięć minut trzydzieści sekund.

*Dzień 5., 13:00 czasu Greenwich* **Spotkanie Sojuza z Intrepidem**

— Pięć minut do odpalenia powrotnego — powiedział przez radio Lubinin.

Znajdowali się z Jemitowem niespełna dwadzieścia metrów od ogona *Intrepida* — tak blisko silnika Progressa, na ile się odważyli-Mogli tylko mieć nadzieję, że zapasowe urządzenie do zdalnego zapłonu będzie funkcjonowało prawidłowo.

— Jeśli tym razem zapali, *Intrepid*, amerykański statek nie zdąży zapobiec twojej ucieczce.

— Lepiej się upewnij, że zadziała — odpowiedział Lodowiec. —; chciałbym schodzić z orbity razem z wami, chłopcy, w kapsule Sojuza-

Lubinin nie powiedział mu, że jeśli im się nie uda, byłoby lepiej dla nich wszystkich pozostać na orbicie. Sekundy wlokły się we wnętrzu *Intrepida*. Lodowiec spostrzegł, że znowu zaczyna się pocić. Małe kropelki unosiły się, zawieszane w powietrzu, wokół jego twarzy. Tym razem musiało się udać. Sukces jego życiowej misji zależał teraz od krzemowej pastylki wewnątrz ręcznego urządzenia. Zadziała, czy też nie? Nie szeptał modlitw. Klął. W gruncie rzeczy był dewotem, choć ateistą. Jego bogiem stała się misja — rezultat ostatecznego, całkowitego podporządkowania się matce.

*Dzień 5., 13:05 czasu Greenwich* **Kestrel**

Lamborghini nie mógł oderwać oczu od ekranu. Phoenixy mknęły ku swym celom z prędkością czterech tysięcy kilometrów na godzinę. Zbliżały się do nich gwałtownie.

— Sześćdziesiąt sekund do uderzenia w cel — powiedział zduszonym głosem. — Przełączam je teraz na niezależne kierowanie.

Nacisnął odpowiedni guzik na tablicy uzbrojenia, uaktywniając własne pokładowe anteny radarowe pocisków. Od tej chwili, w końcowej morderczej fazie lotu, kierowały się na cel same.

— Czterdzieści sekund! — oznajmił Lamborghini.

*Dzień 5., 13:05 czasu Greenwich* **Spotkanie Sojuza z Intrepidem**

— Siedem... sześć... pięć... — odliczał po raz ostatni Lubinin — cztery... trzy... dwa... jeden... ognia!

Jemitow wcisnął czerwony guzik i silnik Progressa wybuchnął. Przed nimi, bezgłośnie wyrzucając z siebie wieżę żółtego płomienia.

— Jest zapłon! — krzyknął Lubinin, a *Intrepid* zaczął się oddalać.

Wibracje wywołane pracą prowizorycznie zainstalowanego silnika <sup>w</sup>Prawiły Lodowca w stan niemal seksualnego odprężenia. Wresz-<sup>C</sup>e — po długim czekaniu — znowu zdążył do celu. Instynktownie Wyrżał jeszcze przez okno, jakby mógł zobaczyć pojazd, który amerykańskie wysłali z Vandenberg.

*Zdobyć.*



*Dzień 5., 13:06 czasu Greenwich* **Kestrel**

Lamborghini patrzył w ekran jak zahipnotyzowany.

— Jak sytuacja? — spytał Wściekły Pies.

— Trzydzieści sekund! — padła odpowiedź, a zaraz potem: \_

Poczekaj no, a to co takiego?

— O co chodzi? — dopytywał się Monaghan. Lamborghini parokrotnie zamrugał oczami, żeby się upewnić, czy / dobrze widzi.

— Słuchaj, Wściekły Psie! Złapałem trzeci obraz na radarze!

— Co? Trzeci?

— Tak, trzeci — potwierdził Lamborghini. — Oddala się od dwóch pozostałych i staje coraz wyraźniejszy. Wzrasta jego odległość i... schodzi w dół.

— A co z pozostałymi? — spytał Monaghan. Lamborghini był zdenerwowany.

— Wciąż nieruchome. Pierwszy Phoenix uderzy w ciągu pięciu sekund.

*Dzień 5., 13:06 czasu Greenwich* **Spotkanie Sojuza z Intrepidem**

Jemitow przyglądał się niebieskimi oczyma, jak wahadłowiec maleje coraz bardziej w oddali.

— Udało się, Wasilij, udało się! — krzyknął radośnie. Lubinin miał właśnie zawtórować podnieconemu rodakowi, kiedy ponad ramieniem towarzysza, zauważył w oddali biały błysk. Zaskoczony, pokazał go dłonią w rękawicy.

— Siergieju... Coś tam zobaczyłem...

Jemitow odwrócił się, by spojrzeć za siebie, i ujrzął, jak pobliski Sojuz eksploduje bezgłośnie, rozrywając się świetlicie w gąszcz odłamków, rozpryskujących się we wszystkich kierunkach.

*Dzień 5., 13:06 czasu Greenwich* **Kestrel**

— Trafiliśmy jeden! — krzyknął Lamborghini. — I drugi!

— A co z trzecim? — dopytywał się Monaghan. Lamborghini przyjrzał się ekranowi.

— Dalej tam jest... jego odległość wzrasta... a wysokość spada-Nie rozumiem. Skądże mógł się wziąć?

385

Odpowiedź była niesłychanie prosta. Jednym z celów, który Lamborghini zniszczył prototypowym Phoenixem VII wartości stu dwudziestu ośmiu milionów dolarów, była odrzucona pokrywa startowa, zabezpieczająca podczas transportu silnik Progressa oraz kołnierz mocujący. Zdążyła już oddryfować półtora kilometra od obu statków, dając wyrazisty obraz radarowy.

Sojuz znalazł się zaś dokładnie pomiędzy Kestrelą a *Intrepidem*. Motylokształtne baterie słoneczne sowieckiego statku przeszkodziły Lamborghiniemu — podczas przeczesywania przestrzeni radarem — w odnalezieniu wahadłowca. Kiedy po odpaleniu powrotnym *Intrepid* oddalił się, wyłaniając spoza zasłaniającego go dotąd Sojuza, radar *Kestrela* pochwycił go — jednak zbyt późno, by zaprogramować go jako cel Phoenixów.

— Odległość nadal wzrasta — Lamborghini jeszcze się bronił przed zaakceptowaniem docierającej do jego świadomości gorzkiej prawdy. — Wściekły Psie... zdaje się, że Lodowiec daje nogę...

Monaghan nie tracił czasu na myślenie. Irlandzkie geny i cztery tysiące godzin przelatane na myśliwcach sprawiły, że kierował nim teraz jedynie czysty instynkt.

— Do dupy! — zaklął, odłączając autopilota od komputera kierującego ogniem. Szybko przekreślił Kestrela do góry nogami i zawrócił. Skontrolował wskaźniki, by upewnić się, że pojazd jest właściwie ukierunkowany. Po czym, bez zwłoki, wcisnął guzik uruchamiający silniki OMS.

Poczuwszy wibrowanie statku, Lamborghini krzyknął:

— Co robisz, do jasnej cholery?!

— Próbuję dogonić tego skurwysyna! — odparł Monaghan wcisnięty w fotel działaniem siły bezwładności.

*Dzień 5., 13:00 czasu Greenwich, 17:00 miejscowego MiG-29 nad stepami Kazachstanu*

Cóż za radość! To dopiero było latanie! Porucznik Fiodor Tupielow rzucił swego MiG-a 29 w błyskawiczną podwójną beczkę, rycząc ze szczęścia. Młody pilot był jednym z najlepszych absolwentów akademii wojskowej we Frunzem, kurs pilotażu ukończył z pierwszą |°katą. Biegłość — poparta aktywnością partyjną oraz faktem, że

J<sup>o</sup>go ojciec był aparaczką partyjnym wysokiego szczebla \_

sprawiła, że Tupielow otrzymał znakomity przydział. Latał na Wyjątkowo nowoczesnym MiG-u 29 w 77 Pułku Myśliwców Przechwytyjących, stacjonującym w rejonie Morza Czarnego, w Tbilisi Rzadko tego rodzaju zaszczyt przypadał ludziom tak młodym \_

386

w całym pułku było tylko dwóch pilotów w stopniu porucznika. Samoloty tak wymyślne i kosztowne powierzano zazwyczaj starszym bardziej doświadczonym lotnikom.

A cóż to był za myśliwiec! Atletycznie zbudowany, jasnowłosy Tupielow często się przechwalał, że chętnie by poleciał do zajętego ponownie Afganistanu, by mieć szansę zmierzyć się z którymś z przecenianych pakistańskich F-16. Był wszakże zaledwie młodszym oficerem, toteż rzadko miał sposobność wycisnięcia ze swego MiG-a pełnych możliwości. Sprzęt był kosztowny; więc pomimo doskonałych świadectw narzucano mu stale ścisłe ograniczenia. Był nieustannie kontrolowany, od startu do lądowania, z powietrza albo z ziemi. Podczas każdego lotu treningowego mówiono mu, kiedy ma wystartować, kiedy dołączyć do formacji i od niej odłączyć, jaki manewr i kiedy przećwiczyć, kiedy wracać. Wszystko, co robił, wykonywał na jednoznaczny rozkaz. Nie miał dotychczas sposobności, by polatać swobodnie — by poczuć, że on i samolot stanowią jedno.

Aż do dzisiaj.

Odebrał właśnie świeżo wyprodukowany myśliwiec z zakładów obsługi lotniczej w Celinogradzie i leciał do Tbilisi. Nowiutki MiG wyposażony był w komplet pocisków AA-10 i Afid, a także w dodatkowe zbiorniki paliwa, umożliwiające mu pokonanie trzech tysięcy kilometrów. Samolot Tupielowa był jedynym nad stepami Kazachstanu, spowitymi kołdrą zesztukowaną z ogromnych cumulo-sów. Młody pilot miał wreszcie swój dzień: przemykał się wąwozami pomiędzy czołami chmur burzowych, robił beczki, wzbijał się w górę i bawił w berka z poduszkami obłoków. Ogromnie go to radowało. Zawsze marzył o takim właśnie lataniu, a teraz spełniały się jego sny.

Ale Tupielow nie należał do ludzi, których nierozwaga może popchnąć za daleko. Gnając ponad chmurami i wokół nich, pomyślał o niebezpieczeństwie zderzenia się w powietrzu z innym samolotem. Spojrzał na mapę i stwierdził, że wleciał właśnie do nowego sektora kontroli powietrznej 23-D. Nastawił radio na odpowiednią częstotliwość i włączył mikrofon. — Halo, kontrola lotów sektora dwa-trzy-Romeo, tu MiG siedem--siedem-echo, czy mnie słyszycie? Odbiór.

— Zrozumiałem, siedem-siedem-echo — powiedział bezosobowy głos. — Słyszemy cię. Odbiór.

— Lecę zgodnie z planem obrony powietrznej numer dziewięć--siedem-wicher-fala z Celinogradu do Tbilisi, kursem dwa-trzy-dwa, na wysokości ośmiu tysięcy metrów — powiedział Tupielow. Stosuję się do przepisów dla lotu z widocznością ziemi. Czy jest jakiś ruch powietrzny w tym obszarze? Odbiór.

— Poczekaj chwilę — odezwał się głos, przywodzący na myśl robota, a po upływie paru sekund: — Nie, siedem-siedem-echo. N# ma ruchu powietrznego w twoim sektorze poza odrzutowcem

pasażerskim Aeroflotu. Leci siedemdziesiąt kilometrów na wschód od ciebie, na wysokości jedenastu tysięcy metrów, w rejsie do New Delhi kursem jeden-pięć-siedem.

Siedemdziesiąt kilometrów na wschód, a Tupielow leciał na zachód. Miał przed sobą całkowicie wolną drogę.

— Zrozumiałem, kontrolo lotów dwa-trzy-Romeo. Dziękuję. MiG siedem-siedem-echo wyłącza się.

Ale kontrola naziemna jeszcze nie skończyła.

— Zauważyliśmy, że chwilami zbaczasz z kursu. Czy masz jakieś kłopoty z samolotem?

W pytaniu czaiła się groźba, więc Tupielow stał się czujny. Kontrolerzy naziemni z reguły bywali wścibscy i arogancy. Zachowywali się, jakby byli właścicielami przestrzeni powietrznej. Tupielow nie zamierzał zadrażniać, wołał odpowiedzieć pojednawczo. Tak, żeby uniknąć kłopotów i móc się dalej cieszyć lataniem w chmurach. Włączył więc mikrofon, starając się, by wypowiedź zabrzmiała autorytatywnie.

— Nie mam problemów, tylko wypróbuję funkcjonowanie nowego samolotu — oświadczył zgodnie z prawdą. — Proszę o zezwolenie na operowanie na moim kursie pomiędzy pułapem dwunastu i siedmiu tysięcy metrów.

— W porządku, siedem-siedem-echo. Masz zezwolenie, ale zaleca się, byś nie odchodził od planu lotu.

Znaczyło to: żadnych pętli i żadnych zawrotów. Natomiast jeśli tylko utrzymasz kurs na Tbilisi, możesz hulać do woli, dopóki nie wejdiesz w zasięg kontroli radarowej swego pułku. A więc, wszystko zgodnie z przepisami.

— Dziękuję, kontrolo lotów dwa-trzy-Romeo. MiG siedem--siedem-echo zastosuje się do instrukcji. Wyłączam się.

Młody pilot uśmiechnął się. Najwidoczniej potraktowano go poważnie. Na tyle, że mógł się jeszcze trochę nacieszyć lataniem.

Leciał właśnie wierzchem kłębiastego pola chmur na pułapie ośmiu tysięcy metrów. Przed nim wypiętrzały się do wysokości piętnastu tysięcy metrów dwa ogromne czoła burzowe, a pomiędzy nimi utworzył się wielki kanion. Tupielow delectował się tym widokiem. Pchnął dźwignie gazu i ruszył w górę, w środek tego kanionu. Na wysokości jedenastu tysięcy metrów wyrównał i posuwał się, zataczając pomiędzy białymi wełnistymi ścianami chmur, muskając to jedną, to drugą. Sprawiało mu to ogromną radość. Zagłębiwszy się w kanion pchnął samolot w powolną beczkę. Był właśnie w trakcie tego akrobatycznego manewru — w pozycji głową na dół — kiedy dwa wielkie czarne nietoperze skrzydła wypadły z hukiem ze ściany chmur, przemknęły po obu stronach jego myśliwca 'zagłębiły się w drugą ścianę kanionu, znikając równie szybko, jak się pojawiły.

*Dzień 5., 13:05 czasu Greenwich, 17:05 miejscowego* **Bombowce widma**

Gdyby Przewodnik Widm nie był tak silnie przykrępowany pasami do fotela, chyba by z niego wyskoczył.

— O kurwa! — wrzasnął, a potem zwrócił się do swego towarzysza: — Widziałeś?

Mistrzuniu wlepił oczy w ekran kamery dziobowej.

— Tak — odpowiedział drżącym głosem. — Wydaje mi się, że zobaczyłem nawet jakieś pociski pod skrzydłami!

Przewodnik wydał z siebie jeszcze jedno, pełne wyrazu: — O kurwa! Potem przełknął ślinę i spytał:

— Czy mamy łączność laserową? Mistrzuniu pokręcił nerwowo gąbką i powiedział:

— Jest, szefie!

Pilot włączył mikrofon.

— Halo, Widmo Dwa, tu Przewodnik. Widziałeś to?

— Czy widziałem? — przyszła poirytowana odpowiedź. — Omalże nie odłupałem mu jego pieprzonego ogona!

Przewodnikowi żołądek podszedł do gardła.

— Wspaniale! Tylko tego było nam jeszcze potrzeba! Czy zauważyłeś, co to było?

— Nie — powiedział zakłopotany Widmo Dwa. — To się stało zbyt szybko. MiG-29? Może Su-27? Trudno powiedzieć. W każdym razie miał podwójny ogon, tego jestem pewien. Był najwyżej ze trzy metry od mojego wiatrochronu. Myślisz, że nas zlokalizowali?

— Nie wiem. Zaczekaj. — Przewodnik poczuł, że się poci, zwracając się do majora: — Złapałeś coś?

Mistrzuniu przyjrzał się swoim przyrządom.

— Nic, szefie. Tablica zagrożeń wykazuje tylko działanie normalnego radaru przeszukującego. Żadnych promieni rentgenowskich ani innych szykan.

— Mój Mistrzuniu mówi, że nie jesteśmy namierzeni ani nie poszukuje nas żaden pocisk ziemia—powietrze, ani powietrze—powietrze — powiedział Przewodnik do Widma Dwa. — Łapie tylko normalny radar nawigacyjny.

— Mój mówi to samo. Skąd więc wiedzieli, gdzie nas szukać?

— A skąd, do cholery, miałbym wiedzieć! — powiedział Przewodnik przez zęby. — Słuchaj, lepiej się rozdzielmy i przeprowadźmy manewr uchyleniowy. Jeśli Omaha nada sygnał do ataku, podejdziesz do celu od południa, a ja od północy. Zostań w chmurach tak długo, jak będziesz mógł. Mogą nas szukać, a założę się, że nie złapią nas radarem.

— Rozkaz, Przewodniku. Do zobaczenia w Muskacie. Jeśli każą nam atakować, przyładuj, gdzie trzeba.

389

\_ O to możesz być spokojny, Widmo Dwa. Powodzenia. Wyłączam się.  
Skończywszy rozmowę, Przewodnik powiedział przez telefon pokładowy:

\_ W porządku, Mistrzuniu. Nie wiem, jak nas znaleźli, ale

wygląda na to, że zostaliśmy zlokalizowani. Jeśli nawet, musimy się trzymać planu akcji. Myślę, że jak długo będziemy przebywać w chmurach, nic się nam nie stanie. Jeśli dostaniemy rozkaz ataku, Widmo Dwa podejdzie od południa, a my od północy. Miej oko na tablicę zagrożeń.

— Rozkaz, szefie.

Przewodnik popchnął do przodu drążek kontrolny i obrócił ster. Samolot zareagował i zaczął ciężki, nurkowy zwrot ku północnemu wschodowi.

*Dzień 5., 13:06 czasu Greenwich, 17:06 miejscowego MiG-29*

Fiodor Tupielow próbował wyrównać lot, ale miał z tym kłopoty — wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po gwałtownym przestraszaniu. A kiedy szok rozładował się w szloch, stało się to prawie niemożliwe. Cóż to było, na miłość boską? Te wielkie, czarne, złowieszcze stwory, które zjawily się nie wiadomo skąd i omal nie pożarły jego MiG-a. Były jak nie z tego świata. Tupielow wczepił się w drążek sterowy obu rękami. Nigdy jeszcze nie przeżył takiej paniki. Zmusił się do głębokiego, rytmicznego oddychania. To pomogło. Poczul się lepiej. Parę głębokich oddechów i powoli zaczął przychodzić do siebie. Odzyskał panowanie nad sobą i nad samolotem. Przebijając się przez chmury, przypomniał sobie zasadę wpajaną mu w szkole lotniczej. Najpierw określ problem, a potem spróbuj go rozwiązać.

Przede wszystkim, co to było? Nie przypominały niczego, z czym kiedykolwiek się zetknął. Nawet nie pomyślał o UFO — to pojęcie było mu obce. Wiedział, że te latające czarne nietoperze skrzydła, choć dziwaczne, były realne. A zatem, jeśli znajdowały się w rosyjskiej przestrzeni powietrznej, musieli wiedzieć o nich naziemni kontrolerzy ruchu lotniczego — przecież w Związku Sowieckim nikt nie wystartuje bez dopełnienia obowiązkowych formalności. Jeśli tak było, to kontroler z sektora 23-Romeo popełnił grube zaniedbanie — albo był niewiarygodnie głupi, albo rozmyślnie go okłamał. Kiedy ta myśl wykryształizowała się w umyśle Tupielowa, strach ustąpił miejsca wściekłości. Wpadł w gwałtowną, zapiekłą, ślepią furię. Włączył mikrofon.

— Halo, kontrola lotów sektora dwa-trzy-Romeo, tu MiG siedem-■siedem-echo. Czy mnie słyszysz? Odbiór.

390

Po chwili usłyszał znudzony głos.

— Zrozumiałem cię, siedem-siedem-echo, słyszę cię. Odbiór. Tupielow rozpoznał kontrolera, z którym rozmawiał poprzednio

— Halo, kontrola lotów. W trakcie naszej poprzedniej rozmowy powiedziałeś mi, że nie ma w pobliżu mnie żadnego ruchu lotniczego!

Minęła chwila, zanim usłyszał go ponownie.

— Potwierdzam, siedem-siedem-echo. Mam cię na ekranie **na** wysokości jeden-jeden-zero-siedem-osiem metrów, na kursie dwa-dwa-dziewięć stopni. Nie ma ruchu w twojej okolicy, poza lotem pasażerskim Aeroflotu, o którym już cię informowałem.

Twarz Tupielowa spurpurowiała.

— Słuchaj, ty dumny ośle! Przed chwilą cudem uniknąłem kolizji z dwoma nie zidentyfikowanymi samolotami. Prawie się o nie otarłem. Czemu mi o nich nie wspomniałeś?

W głosie kontrolera zabrzmiało zakłopotanie.

— Mówisz, że byłeś bliski kolizji?

— Tak, dumniu! Ile razy mam ci powtarzać? Omal nie zginąłem przez twoje niedbalstwo!

Nastąpiła przerwa, zanim kontroler znowu się odezwał.

— Jesteś w błędzie, siedem-siedem-echo. Na ekranie poza twoim samolotem nie ma nic.

— W błędzie! Mógłbym ich dotknąć, gdybym zechciał. Czy pospaliście się tam na dole? A może pogłupieście? Albo i jedno, i drugie!

Tym razem pauza była dłuższa, po czym Tupielow usłyszał inny głos.

— Halo, MiG siedem-siedem-echo, tu komendant ruchu powietrznego sektora dwa-trzy-Romeo. Zgłaszacie, że byliście bliscy kolizji?

Fakt, że rozmawia z komendantem kontroli naziemnej, nieco ostudził furję Tupielowa. Niemniej, obstawał przy swoim.

— Tak jest, towarzyszu komendancie. Dokładnie tak było.

— Opiszcie mi ten samolot — rozkazał komendant.

— Były dwa — sprecyzował Tupielow. — W kształcie delty. Koloru czarnego. Nie widziałem oznakowań. Bardzo duże. Większe od bombowca Tu-22. Chyba wielkości Tupolewa-160.

Na chwilę zapanowała cisza.

— Wielkości bombowca Tu-160?

— Tak jest, towarzyszu komendancie — odpowiedział Tupielow. Głos dochodzący przez radio zabrzmiał zgryźliwie.

— Słuchajcie, MiG siedem-siedem-echo! Skoro widzimy wasz samolocik, czy nie wydaje wam się, że zobaczylibyśmy dwa wielkie samoloty o rozmiarach bombowców?

Tupielow stał się ostrożny.

— Tak jest, towarzyszu komendancie, tak mi się wydaje. Czy to znaczy, że ich nie widzicie?

— Właśnie próbuję wam to wbić do głowy, siedem-siedem-

„echo — odparł komendant. — Nie mamy na ekranach żadnego w ogóle samolotu w pobliżu waszej pozycji, z wyjątkiem odrzutowca Aëroflotu, który jest od was daleko. Jak to wyjaśnicie?

— Nie umiem tego wytłumaczyć, towarzyszu komendancie — powiedział zaskoczony Tupielow. — Mogę tylko powiedzieć, co widziałem. Dwa bardzo duże samoloty. Z jednym z nich omal się nie zderzyłem. Przez radio dobiegł pomruk.

— Czy nie cierpicie na niedotlenienie, siedem-siedem-echo? Tupielow aż się wzdrygnął na tę sugestię.

— Absolutnie nie, towarzyszu komendancie. Mój aparat tlenowy funkcjonuje bez zarzutu.

Kolejny pomruk.

— Wasz planowy lot wskazuje, że jesteście z 77 Pułku Myśliwców Przechwytyjących w Tbilisi. Zgadza się?

— Tak jest, towarzyszu komendancie.

Głos komendanta kontroli naziemnej stał się twardy.

— Rozkazuje się wam zatem, byście kontynuowali wasz planowy przelot. Kiedy przybędziecie na miejsce, wasz przełożony będzie już miał mój raport o waszych halucynacjach. Na przyszłość zalecałbym powstrzymywanie się od wódki przed pilotowaniem naszego sowieckiego samolotu.

— Ależ, towarzyszu komendancie! — protestował Tupielow. — Ja naprawdę widziałem...

— Nasz radar widzi lepiej niż wy waszymi zapijaczonymi przekrwionymi oczami, siedem-siedem-echo! Fakty są takie: was widzę na ekranie, a nie widzę tych dwóch wielkich jak bombowce samolotów, z którymi, jak twierdzicie, prawie się zderzyliście. Skończcie więc z tymi halucynacjami, wyłączcie się, a po powrocie do Tbilisi zgłoście się natychmiast do raportu u swego przełożonego! Radzę, żebyście byli trzeźwi. Sektor dwa-trzy-Romeo wyłącza się.

Tupielowa ogarnął innego rodzaju strach. Taki raport oznaczałby koniec jego wojskowej kariery, zanim się jeszcze na dobre zaczęła. Żałował teraz, że nie trzymał języka za zębami... Chociaż, nie. Przecież widział na własne oczy te dwa samoloty, czymkolwiek były. To znaczy, że nadal muszą gdzieś tu być. Czemu więc, u diabła, ci cholerni durni kontrolerzy ich nie widzą? Tupielow był inteligentnym młodym człowiekiem, więc szybko podjął decyzję, zdając sobie sprawę, że to jego ostatnia szansa. Jeśli miał uniknąć wezwania na dywanik i wyrzucenia ze służby za pijaństwo, musiał odszukać te tajemnicze samoloty i zaraportować o ich pozycji. Spojrzał na przyrządy i błyskawicznie obliczył czas i odległość dzielące go od miejsca niedoszłej kolizji. Zewnętrzny zbiornik był już prawie pusty, ale własny zbiornik myśliwca pełen paliwa. To, co miał zrobić, było pogwałceniem rozkazu kontroli naziemnej. Przestępstwem karanym



przez sąd wojenny. Ale cóż miał do stracenia? Czyż więzienie mogło być gorsze od upokarzającego usunięcia z lotnictwa? Tupielow doszedł do wniosku, że obie możliwości są równie odrażające. Przełknął ślinę, odkalapultował pusty zbiornik zewnętrzny. Śmignął swym myśliwcem, dokonując zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni, i rozpoczął polowanie na czarne latające nietoperze skrzydła.

*Dzień 5., 13:08 czasu Greenwich Intrepid*

Lodowiec poczuł wibracje, kiedy silnik Progressa przestał pracować. Jeszcze nigdy w życiu nie doznał takiej ulgi. Cokolwiek wysłali z Vandenberg Amerykanie, nie byli już teraz w stanie powstrzymać *Intrepida*. Mniej więcej za pięćdziesiąt pięć minut wylądował w Baj-konurze. Wrócił szczęśliwie do domu. Włączył silniczki manewrowe i obrócił statek do pozycji odpowiedniej, by wejść w atmosferę. Sworznie utrzymujące na miejscu silnik Progressa miały już wkrótce eksplodować.

*Dzień 5., 13:08 czasu Greenwich Kestrel*

— Monaghan! — Głos generała majora Chestera McCormacka wibrował w słuchawkach. — Co za wariacki numer próbujecie tym razem wykreślić?

— Nie trafiliśmy *Intrepida*, Orle Numer Jeden — informował spokojnie Wściekły Pies — więc go gonimy. Proszę mi podać współrzędne kosmodromu Bajkonur.

— Nie zostaliście upoważnieni do... Monaghan tracił opanowanie.

— Niech pan da spokój. Orle Numer Jeden! Nie mam czasu na pańskie biurokratyczne pieprzenie. Kiedy wrócimy, będzie pan miał prawo kazać mnie zamknąć, nie będę oponował. Ale jeśli mamy złapać tego skurwysyna Lodowca, muszę mieć te koordynaty natychmiast!

— Posłuchajcie mnie, komandorze...

— Pan wybaczy, panie generale — przerwał McCormackowi Lamborghini — ale Wściekły Pies ma rację. Dokonałszy odpalenia, by zejść z orbity i tego już nie sposób zmienić. Jeśli mamy nie zmarnować szansy dopadnięcia *Intrepida*, współrzędne potrzebne są nam natychmiast.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Dobrze, zaczekajcie.

393

Minęło znowu trochę czasu, zanim ponownie usłyszeli głos McCor-macka.

— Koordynaty kosmodromu Bajkonur wynoszą czterdzieści siedem stopni czterdzieści jeden minut północnej i sześćdziesiąt sześć stopni jedenaście minut wschodniej.

Monaghan szybko wprowadził liczby do komputera nawigacyjnego i włączył autopilota. Natychmiast obaj astronauty zaobserwowali zmianę w pozycji Kestrela oraz krótką, ośmiosekundową pracę silnika OMS. Monaghan dokonał uprzednio odpalenia powrotnego „na wycucie” — teraz pilot automatyczny skorygował kurs pojazdu, ukierunkowując go na Bajkonur.

— Jaki macie plan działania? — spytał Orzeł Numer Jeden.

— Spróbujemy ponownie zlokalizować *Intrepida* radarem — odpowiedział Monaghan — a potem zobaczymy, czy uda nam się zbliżyć do niego na tyle, żeby wystrzelić Sidewindery, zanim zbyt długo rozgrzejemy się w atmosferze. Jeśli nie, to postaramy się go dopaść później, już po przejściu przez „czarną dziurę”.

Znowu minęło nieco czasu, zanim McCormack zapytał zrezygnowanym głosem:

— Aprobujesz to, Pete? Lamborghini westchnął.

— Za późno już na zmiany, panie generale. Zresztą, nie mamy wyboru, jeśli chcemy dopaść *Intrepida*. Bez względu na ryzyko.

Z kolei westchnął McCormack.

— Skoro będziecie lądować w Rosji, nie zaniedbajcie zniszczyć potem Kestrela. Powiedziałbym, że szanse, żebyście się stamtąd wydostali, są niemal zerowe.

— Tak jest, panie generale — odpowiedział Monaghan. — A teraz, jeśli pan pozwoli, chcielibyśmy trochę zapolować.

Dobra, Wyścigowo, włączaj radar.

*Dzień 5., 13:10 czasu Greenwich, 6:10 miejscowego Góra Cheyenne*

Whittenberg, Fairchild, Dowd i Lydia Strand w osłupieniu przysłuchiwali się transmisji rozmowy McCormacka z Kestrellem. Nie przyszło im do głowy, że Lamborghini i Monaghan zapędzą się w pogoni za *Intrepidem* aż w sowiecką przestrzeń powietrzną. To była szaleńcza decyzja. Ale cóż mogli na to poradzić?

Gdyby Whittenbergowi trzydzieści sekund wcześniej przyszło do głowy, że Monaghan może się poważnie na takie wariactwo, byłby go odwiódł od tego, informując o bombowcach widmach. Ale teraz i tak było już na to za późno. A Whittenberg nie był skłonny wspominać o niewidzialnych przez radio bez ważnego powodu.

Rosjanie mogli przecież rozszyfrować rozmowę. Ostatnio wydawało się wręcz, że nie ma dla nich rzeczy niemożliwych. A teraz jeszcze Kestfel leciał do nich, w sam środek jaskini lwa. Whittenberg czuł jak przytłacza go depresja. Pomyślał, że Lamborghiniego można jui spisać na straty.

— Wściekły Pies! — mruknęła półgłosem Strand. Whittenberg spojrział na nią.

— O co chodzi, majorze? Strand wzruszyła ramionami.

— O ile pamiętam, hasło wywoławcze komandora Monaghana brzmi: Wściekły Pies... Myślę, że to wszystko tłumaczy... Generał kiwnął głową.

— Też tak sędzę.

Potem milczał dłuższą chwilę, aż wreszcie powiedział:

— Nie powinienem był wysłać Pete'a.

*Dzień 5., 13:11 czasu Greenwich, 17:11 miejscowego MiG-29*

Fiodor Tupielow był z powrotem w okolicy, gdzie spotkał czarne nietoperze skrzydła. Naziemna stacja radarowa wykryła, że zawrócił, i kontroler miał właśnie przez radio ostre rozkazy i podłe groźby. Ale Tupielow podjął już decyzję. Wyłączył więc odbiornik, żeby jazgot z ziemi nie rozpraszał jego uwagi.

A zatem, cóż teraz robić? Mógł ruszyć w pościg w kierunku, w którym oddaliły się wówczas tajemnicze samoloty, ale czuł, że nie byłby to krok właściwy. Pamiętał, jak kiedyś podczas świąt wybrał się z ojcem na Syberię zapolować na renifery.

Znaleźli na śniegu tropy niewielkiego stada. Popędliwy Fiodor ruszył ich śladem. Ale stary jakucki przewodnik szybko przywołał chłopca do porządku.

— Przecież nie chcesz iść tam, gdzie one już były — wyjaśnił — a tam, dokąd idą teraz.

Stary myśliwy poprowadził ich na prawo, prostopadle do kierunku marszu zwierząt. I prawie nie błędząc, dopadli reniferów, które — pasąc się — zatoczyły koło.

Tupielow pomyślał, że to całkiem niezła strategia na tę okazję, i ostro skręcił myśliwcem w prawo. Zrobił ze sto kilometrów na południe, następnie spróbował szukać w kierunku południowo--wschodnim, dopóki paliwo nie wyczerpało mu się na tyle, by się rozejrzeć za miejscem do lądowania. Ogarnęła go panika. Ale nie miał już odwrotu. Włączył dopalacze.

*Dzień 5., 13:17 czasu Greenwich, 15:17 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

— Sworznie mocujące klamry silnika eksplodowały — skrzeczał głos z odbiornika — więc obróciłem statek, żeby zobaczyć, czy silnik wy dostał się z kołnierza. Stwierdziłem, że tak się stało. Nie powinno zatem być żadnego problemu z wchodzeniem w atmosferę.

Głosem pełnym ulgi Małyszew powiedział:

— Znakomicie, *Intrepid*. Bądź z nami w kontakcie aż do „czarnej dziury” radiowej.

— Zrozumiałem, Centrum Lotów — odpowiedział Lodowicz. Dowódca misji spojrział na Popowa. Ten skinął głową. Małyszew

włączył mikrofon i spytał:

— *Intrepid*, czy możesz nam powiedzieć, co się stało z załogą Sojuza? Urwała się z nimi łączność zaraz po tym, jak doszło do twojego odpalenia powrotnego.

— Nie mam pojęcia, Centrum Lotów — odparł spokojny głos. — Może to sprawka tego amerykańskiego statku kosmicznego z Van-denberg.

— Tak... być może, *Intrepid* — powiedział gorzko Małyszew. Popów zakrył oczy dłońmi.

— Wasilij... Siergiej... — szeptał żałośnie.

Coś mu mówiło, że nie żyją. Coraz więcej krwi miał na swych rękach.

*Dzień 5., 13:20 czasu Greenwich* **Kestrel**

Silnik OMS zgasł, kiedy wyczerpało się paliwo.

— Cholera! — zmartwił się Wściekły Pies. Bez paliwa nie mieli szans dogonić *Intrepida*.

— Możesz mu dosunąć już teraz, Wyścigowo? Lamborghini przyjrzał się ekranowi informacji taktycznej.

— Jest w odległości dwustu kilometrów, na samej krawędzi zasięgu Sidewindera. Bardzo bym nie chciał zmarnować kolejnego pocisku. Jak blisko możemy do niego podejść po przejściu przez „czarną dziurę”?

— Pewnie całkiem blisko — odpowiedział Monaghan. — Kestrela da się skierować nieco bardziej stromym torem niż wahadłowiec. Według komputera nawigacyjnego możemy to zrobić również nad Bajkonurem. Będziemy jeszcze mieli szansę.

— Byłbym więc za tym, żeby się wstrzymać i dopaść go po „czarnej dziurze”. Myślę, że jeśli teraz spróbujemy, zmarnujemy pocisk.

396

serca.

I

:h

I

— W porządku, zdecydowałeś — powiedział Wściekły Pies. Zapadło milczenie. Lamborghini słyszał bicie własnego serca. Nadal nie chciało mu się wierzyć, że schodzą w dół na terytorium sowieckie. Opadły już z niego emocje typowe dla walki powietrznej — skręcający wewnątrz strach przed śmiercią, pomieszany z radością, że wciąż się żyje.

— Słuchaj, Leroy! — powiedział.

Nie mieli w zwyczaju zwracać się do siebie używając chrzestnych imion, było to więc znaczące.

— Słucham, Peter! — odpowiedział, naśladując go, Monaghan.

— Ty naprawdę jesteś „wściekły”, nie uważasz? Monaghan nerwowo zachichotał.

— Masz rację. Regularny wariat, zgodnie z urzędowymi zaświadczeniami. — Po czym dodał, nieco poważniej: — Myślę, że powinienem być cię spytać, czy grasz dalej, zanim włączyłem zapłon powrotny.

Lamborghini zaśmiał się nerwowo.

— A ja myślę, że nie ma sensu żałować tego, co się nie odstanie. Zresztą trochę już na to za późno. Codziennie rano ubieram się na niebiesko i zdaję sobie sprawę, co to oznacza.

— Pewnie — zgodził się Monaghan. — Niemniej jednak, gdybyś miał ochotę wysiąść już teraz, mną się nie przejmuj.

Lamborghini ponownie zaśmiał się nerwowo.

— Dzięki, ale chyba jeszcze się z tobą trochę pobawię, o ile nie masz nic przeciwko temu.

*Dzień 5., 13:20 czasu Greenwich Intrepid*

Lodowiec przelatywał właśnie nad Antarktyką, czyniąc przygotowania do wejścia w atmosferę. Całą procedurę wykonywał z pamięci jak maszyna, którą — prawdę mówiąc — właściwie był.

Najpierw usunął nie zużyte paliwo z orbitalnych silników manewrowych, które sparaliżował Rodriguez. Ponieważ prawie wcale nie pracowały, sporo paliwa musiał wyrzucić za burtę. A trzeba było uwolnić wahadłowiec od nadmiaru płynów, żeby właściwie wyważył go do wejścia w atmosferę. Na szczęście Rodriguez nie zniszczył odpowietrzacza, zaworu ani obwodu odprowadzającego.

Następnie ustawił we właściwym położeniu przełączniki. Włączył automat przeciwpoślizgowy, wyłączył sterowanie kołem dziobowym, skierował dane dotyczące lotu do komputera nawigacyjnego, dane dotyczące dopuszczalnego spożycia do komputera medycznego, główną pompę hydracyny ustawił na funkcjonowanie normalne.

Na koniec skorygował pozycję wahadłowca, kierując jego nos k

górze pod kątem trzydziestu dwóch stopni. Zapewniało to właściwe ułożenie na podbrzuszu krzemowych płytek, umożliwiających przetrwanie straszliwego tarcia o atmosferę podczas „czarnej dziury”.

*Dzień 5., 13:23 czasu Greenwich, 17:23 miejscowego MiG-29*

Porucznik Fiodor Tupielow zaczął wpadać w posępną desperację. Dręczyły go przygnębiające myśli o celi więziennej. Dzięki dopalaczom szybko pomknął sto kilometrów na południe, a teraz leciał powoli zygzakiem, co pewien czas zagłębiając się w chmury, ku południowemu wschodowi. Ani śladu po tajemniczych samolotach. Żałował, że podczas rozmowy z kontrolerem radaru poniosły go nerwy, ale było już za późno. Poza tym po prostu nie był w stanie pohamować gniewu po wydarzeniu, które wstrząsnęło nim do głębi.

Dalej szukał. Ilekroć jego myśliwiec wlatywał w lukę między chmurami, rzucał baczne spojrzenia na wszystkie strony, rozglądając się za czarnymi nietoperzymi skrzydłami. Nigdzie ich nie było. Włączył radar pokładowy i przeszukiwał przestrzeń przed nosem MiG-a, ale na ekranie nic się nie pojawiało. Obraz celi więziennej coraz natrętniej gościł w jego wyobraźni... I nagle — tak, to on! Na dziesiątce. Jakies dwa tysiące metrów niżej.

Myśliwiec Tupielowa zagłębił się na chwilę w chmury, a kiedy się z nich wynurzył — tajemniczego samolotu znów nie było. Rzucił MiG-a w lot nurkowy skręcając w lewo, by skierować go tam, gdzie wydawało mu się, że widział nietoperze skrzydło. Czyżby naprawdę wyobraźnia płatała mu figle? A może rzeczywiście cierpiał na niedotlenienie? Nie. Odrzucił obie te hipotezy. Wzrok miał znakomity, a system tlenowy funkcjonował doskonale. Widział to... czymkolwiek było.

Ponownie włączył radar pokładowy. I tym razem na ekranie nic się nie pojawiało. Cholera. Gdzie się podziało to diabelne straszdyło? Wargi młodego pilota zaczęły drżeć, kiedy nagle czarne nietoperze skrzydło wystrzeliło z niewielkiego obłoku ponad nim, na dwójce, lecąc tym samym kursem. Tupielow wrzasnął z ulgą i rzucił swego myśliwca w górę. Znalazł się około trzystu metrów za tajemniczą maszyną i jakies sto metrów wyżej.

Szczęka opadła mu pod maską tlenową, kiedy przyglądał się niesamowitemu widokowi. Cóż to, u diabła, było? Ten samolot nie przypominał niczego, z czym się kiedykolwiek zetknął. Nie miał statecznika pionowego ze sterem kierunku na ogonie ani gondoli silnikowych — o ile mógł się zorientować. Rozglądał się za oznakowaniami, ale był zbyt daleko z tyłu, by rozróżnić na skrzydłach matowe, czarne na czarnym tle litery USAF. A gdzie podziało się

drugie nietoperze skrzydło? Nieważne. Miał jedno w polu widzenia, to wystarczyło. Włączył radio.

— Halo, kontrola lotów, sektor dwa-trzy-Romeo, tu MiG siedem-siedem-echo. Czy mnie słyszycie? Odbiór.

Nie czekał długo na odpowiedź.

— Halo, siedem-siedem-echo! Tu komendant sektora dwa-trzy-Romeo. Możecie uważać się za aresztowanego! Rozkazuję wam wylądować natychmiast na najbliższym lotnisku! Jasne?

— Nie mogę zastosować się do tego rozkazu, towarzyszu komendancie — odpowiedział Tupielow. — Zlokalizowałem jeden z tych tajemniczych samolotów, z którymi prawie się zderzyłem. Siedzę mu właśnie na ogonie.

— Mam dość waszych halucynacji, siedem-siedem-echo! Mam was na ekranie i w waszym sąsiedztwie nie ma żadnego samolotu. Rozumiecie mnie?

Tupielow nie dowierzał. Jak mogło go nie być na radarze? Przecież był tutaj, przed nim. I to nie była halucynacja.

— Nie rozumiem, towarzyszu komendancie. Mam go w polu widzenia niecałe trzysta metrów przed sobą. Jak już wcześniej meldowałem, jest w przybliżeniu wielkości bombowca Tupolew-160.

— Przestańcie się wygłupiać! — wrzeszczał komendant stacji radarowej. — Słuchajcie, siedem-siedem-echo...

— Nie! — uciął Tupielow. — To wy posłuchajcie, komendancie! Myślę, że to wy jesteście pijani. Mam w tej chwili w polu widzenia wielki nie zidentyfikowany samolot. Żądam, żebyście mnie połączyli z waszym przełożonym, bym mógł mu złożyć raport o tym, co widzę. Jesteście w sposób oczywisty niekompetentny i niezdolny do pełnienia waszych obowiązków!

— Już nie żyjecie, siedem-siedem-echo! Osobiście dopilnuję, żebyście stanęli przed sądem wojennym i zostali rozstrzelani! Nie ma tam żadnego nie zidentyfikowanego samolotu!

Tupielow usłyszał desperację w głosie komendanta, zagrał więc swoją kartę atutową.

— Doskonale, towarzyszu komendancie. Nie dajecie mi wyboru. Jeśli mnie nie połączycie z waszym zwierzchnikiem, zestrzelę ten nie istniejący samolot. Zrozumieliście? Zestrzelę go. — Zresztą to mój obowiązek jako pilota myśliwca przechwytyjącego. A potem, kiedy komisja śledcza znajdzie szczątki tego nie istniejącego samolotu, będziecie musieli wyjaśnić, dlaczego nie potrafiliście zlokalizować waszym radarem tak dużego obiektu latającego. Wówczas zobaczymy, którego z nas powieszają... A teraz połączcie mnie z waszym przełożonym. Natychmiast!

Po dłuższej pauzie nadeszła opanowana już odpowiedź:

— Poczekajcie no chwilę... Łączę was z Centrum Ostrzegania Obrony Powietrznej.

*Dzień 5., 13:30 czasu Greenwich Intrepid*

Lodowiec obserwował, jak wskaźnik temperatury zewnętrznej posuwa się stopniowo w górę. Znajdował się sto dwadzieścia tysięcy metrów ponad powierzchnią Ziemi, poruszając się z prędkością dwudziestu sześciu tysięcy czterystu kilometrów na godzinę i płytki powłoki rozgrzewały się coraz bardziej. Odrzucił za burtę paliwo pozostałe w zbiornikach manewrowych silników kontrolnych, żeby polepszyć wyważenie statku, a następnie nadmuchał swój anty-przeciążeniowy kombinezon ciśnieniowy oraz przełączył sterowanie na autopilota. W ciągu pięciu minut miał wejść w „czarną dziurę”, powierzył więc na razie kierowanie wahadłowcem komputerom.

*Dzień 5., 13:30 czasu Greenwich Kestrel*

Monaghan nacisnął wyłącznik i wsporniki, które przedtem utrzymywały Phoenixy nad skrzydłami, odpadły. Lamborghini obserwował, jak oddryfowały w górę od pojazdu. Czuł, jak ciśnienie wewnątrz jego kombinezonu wzrasta.

— Na zewnątrz jest coraz goręcej — powiedział Monaghan. — Kiedy będziemy schodzili w dół, mam zamiar wykonać manewr na kształt litery „S” nieco ciaśniej, niż to zaprogramowano, i podejść do *Intrepida* w trakcie „czarnej dziury”. Przepuszczalnie nie będziemy mieli dość czasu, żeby go znaleźć, zanim gdzieś wylądujemy, trzymaj więc radar w pogotowiu.

— Możesz na mnie liczyć, Wściekły Psie.

*Dzień 5., 13:28 czasu Greenwich, 16:28 miejscowego Sowieckie Centrum Ostrzegania Obrony Powietrznej*

W bocianim gnieździe Centrum Ostrzegania pułkownik Walery Leonów czuł się zgnębiony, zawiedziony i zmęczony. Mundur miał wymięty, a falujące siwe włosy rozczochrane. Wciąż był „do tyłu”, porając się ze stertą papierków spowodowaną fiaskiem polowania sprzed kilku dni na tego cholernego amerykańskiego szpiegowskiego Blackbirda. Musiał wyjaśniać wszystkim generałom z Sił Obrony Powietrznej, dlaczego nie udało mu się go zestrzelić. A jakby tego nie było dosyć, Amerykanie oszaleli i zwiększyli swą gotowość bojową w niewiarygodnie wysokim stopniu. Na wielkim ekranie Przedstawiającym półkulę północną nie mniej niż setka amerykańskich samolotów — bez wątplenia bombowców i tankowców —

<sup>26</sup> — Zdobyć.



krążyła ponad czapą lodową Arktyki. Po co, nie miał pojęcia. Nie otrzymali żadnego urzędowego powiadomienia o manewrach, a w rosyjskich audycjach BBC — których potajemnie słuchał w domu — nic nie mówiono o napięciach międzynarodowych. Nie mógł zrozumieć, co ich skłoniło do tak masowych, nie zapowiedzianych ćwiczeń. W każdym razie wzmożona aktywność bombowców amerykańskich wymagała podwyższonej gotowości sowieckiej. To mu zabierało mnóstwo czasu, a w rezultacie coraz bardziej zalegał z tą całą papierkową robotą.

Zabrzączał telefon. Leonów podniósł słuchawkę i powiedział poirytowanym tonem:

— Tak. O co chodzi?

— Towarzyszu pułkowniku — raportował jeden z kontrolerów — mam na linii komendanta radaru sektora dwa-trzy-Romeo w Kazachstanie. Twierdzi, że ma na swym obszarze niezwykłą sytuację, która wymaga waszej konsultacji.

Leonów westchnął.

— Dobra. Połącz go.

Nastąpiła seria trzasków i buczeń, zanim usłyszał ludzki głos:

— Towarzyszu pułkowniku?

— Tak. Czego chcecie?

— No więc, towarzyszu pułkowniku... Mówi major Kubasów z sektora dwa-trzy-Romeo w Kazachstanie. Mam tu, hmm, dziwną sytuację, która, jak sądzę, wymaga waszej ingerencji.

„Tylko tego mi brakowało! — pomyślał Leonów. — Jeszcze jedno wariactwo”.

— Dobrze — powiedział. — Mówcie, o co chodzi.

Major zrelacjonował mu incydent, oczywiście w taki sposób, by Tupielów wyszedł na pomyłonego.

— Upiera się, by go z wami połączyć, towarzyszu pułkowniku! — zakończył Kubasów.

— Od tygodnia tkwię tu w obłądnie — powiedział Leonów zrezygnowanym głosem. — Już do tego przywykłem. Dajcie mi go na linię.

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

W słuchawce zapiszczało, wreszcie poinformowano Leonowa, że ma połączenie.

— Halo, MiG siedem-siedem-echo, tu pułkownik Leonów, dyżurny oficer dowodzący Centrum Ostrzegania Obrony Powietrznej. Powiedziano mi, że chcecie ze mną mówić.

Dopiero po chwili młody głos przebił się przez zakłócenia na linii-

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Mówi porucznik Fiodor Tupielów z drugiej eskadry 77 Pułku Myśliwców Przechwytyjących. Leciałem z rutynowym zadaniem transportowym z Celinogradu do Tbilisi i o mało nie doszło w chmurach do kolizji mojego myśliwca

z dwoma nie zidentyfikowanymi samolotami. Poinformowałem o tym kontrolę radarową sektora dwa-trzy-Romeo, a tam powiedziano mi, że nie ma w tym obszarze żadnych samolotów poza moim i kazano mi lądować w bazie. Towarzyszu pułkowniku! Ponieważ czułem, że sytuacja jest poważna, nie zastosowałem się do rozkazu i podjąłem poszukiwania. Zlokalizowałem jeden z tych samolotów i pozostaję z nim obecnie w kontakcie wzrokowym.

„Hm... — pomyślał Leonów. — Nie wygląda na pomyłonego”.

— Zaczekajcie chwilę, siedem-siedem-echo! — powiedział i zadzwonił, by dano mu natychmiast zbliżenie sektora dwa-trzy-Romeo na wielkim ekranie projekcyjnym. — Mam was na ekranie, na południowy zachód od kosmodromu Bajkonur. Zgadza się?

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

— Nie widzę żadnych samolotów w waszym sąsiedztwie. A wy mówicie, że macie tę maszynę w zasięgu wzroku?

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku! — odpowiedział Tupielow. Pułkownik poskrobał się po siwej, sfalowanej czuprynie. Doszedł

do wniosku, że to intrygujące.

— Opiszcie mi ją! — polecił.

— Rozkaz, towarzyszu pułkowniku! Nie jest podobna do niczego, co kiedykolwiek widziałem. Jakby w kształcie delty, ale wydłużonej. Czarna. W przybliżeniu wielkości bombowca Tu-160. Nie ma śmigła, ale też nie widzę gondoli silników odrzutowych.

— Hm... Dziwne. Ma jakieś oznakowania na skrzydłach czy na ogonie? — spytał Leonów.

Tupielow zwlekał chwilę z odpowiedzią.

— Nie, towarzyszu pułkowniku. Poza tym, nie ma statecznika ogonowego.

Do tej chwili Leonowem powodowała wyłącznie ciekawość. Dopiero kiedy usłyszał o braku statecznika — nagle wszystko stało się przerażająco jasne. Od razu nabrały sensu i te bombowce amerykańskie nad Arktyką, i owe „niewidzialne” samoloty nad Kazachstanem. Nawet to wcześniejsze wtargnięcie Blackbirda. To niewiarygodne! Ojczyźnie groził atak! Leonów spojrział raz jeszcze na ekran z samotnym MiG-iem i serce podeszło mu do gardła.

— Poruczniku! To jest amerykański niewidzialny bombowiec!

Tupielowa oszołomiło. Nigdy przedtem nie słyszał o takim bombowcu. Tylko wyższych oficerów informowano o tak zaawansowanych wytworach techniki amerykańskiej.

— Przepraszam, towarzyszu pułkowniku! Nie wiem, co to takiego...

— To amerykański samolot wojskowy tak zaprojektowany, żeby nie można go było wykryć radarem! — krzyknął Leonów.

—■ No i nie można! Zestrzelcie go! Natychmiast go zestrzelcie!

*Dzień 5., 13:32 czasu Greenwich, 17:32 miejscowego* **MiG-29**

— Zestrzelcie go! Natychmiast go zestrzelcie! — zatrzeszczało w słuchawkach Tupielowa.

— Rozkaz, towarzyszu pułkowniku! — odpowiedział. Młodemu pilotowi zaczęły drżeć ręce. „Dobry Boże — pomyślał. Naprawdę mam zestrzelić amerykański bombowiec!” Starał się opanować nerwy i pamiętać, czego go nauczono. Pociski! Należy użyć pocisków! Tupielow zredukował gaz, pozwalając, by zwiększyła się odległość pomiędzy nim a czarnym nietoperzym skrzydłem. Kierowane radarem pociski AA-10, jakimi dysponował, musiały przelecieć c najmniej dwa kilometry przed uaktywnieniem głowicy bojowej. Oddalił się więc na cztery kilometry, tracąc z oczu cel, który zniknął w chmurach. Utrata kontaktu wzrokowego zmartwiła go, więc włączył monoimpulsowy radar pokładowy zainstalowany w dziobi myśliwca, wycelowanym dokładnie w ogon bombowca.

*Dzień 5., 13:32 czasu Greenwich, 17:32 miejscowego* **Bombowiec Widmo Dwa**

Oficer od systemów elektronicznych usłyszał w słuchawce melodyjny sygnał, a zaraz potem na tablicy zagrożeń pojawiło się ostrzeżenie wizualne.

— Zostaliśmy zlokalizowani, szefie! W paśmie I. Na razie nie namierzył nas jeszcze żaden pocisk.

— Cholera! — zaklął pilot, któremu pot zaczął spływać z czoła. — Może nie mają z nami kontaktu wzrokowego?

— Miejmy nadzieję! — powiedział Mistrzuniu nieswoim głosem.

— No, zobaczymy, czy uda się nam ich pozbyć.

Pilot popchnął drążek do przodu i zakręcił wolantem tak ostr~ jak tylko mógł.

*Dzień 5., 13:33 czasu Greenwich, 17:33 miejscowego* **MiG-29**

Tupielow otworzył usta ze zdumienia. Wiedział, że radar pokładowy jest dokładnie wymierzony w cel, a na ekranie nie było ani śladu odbicia wiązki radarowej. Nigdy go nie informowano o bombowcach widmach, nie miał więc pojęcia o ich prawdziwych możliwościach, a wiedział, że samolot jest bardzo duży. Przecież go widział, a teraz miał w bezpośrednim zasięgu radaru. A mimo to ekran pozostawał pusty. „To niemożliwe” — pomyślał.

A jednak było możliwe. Gdyby Tupielow trafił wiązką skierowaną z góry dokładnie w płetwę grzbietową samolotu, otrzymałby odbicie na ekranie. Ale sygnały radarowe docierające z boku były odchylane albo wchłaniane.

— No, mówże, człowieku! — domagał się przez radio pułkownik. — Czy już go zestrzełeś?

Tupielow przełknął ślinę.

— Nie rozumiem, towarzyszu pułkowniku. Siedzę mu na ogonie, a moje pociski nie mogą go namierzyć.

— Jakie masz uzbrojenie?

— AA-10, towarzyszu pułkowniku.

— Mówiłem ci — ofuknął go Leonów — że tego bombowca nie można złapać radarem. Masz jakieś inne pociski?

— Tak, towarzyszu pułkowniku. Afidy, kierujące się na źródło ciepła.

— Więc ich użyj, durniu!

— Rozkaz, towarzyszu pułkowniku!

Tupielow nadal to zagłębiał się w chmury, to z nich wylaniał. Rozglądał się za tajemniczym samolotem, ale ten gdzieś zniknął. Serce w nim zamarło, dopóki nie wyszedł go niżej, jak skręca w prawo. Nie miał zamiaru ponownie stracić go z oczu, więc włączył dopalacze, by zmniejszyć odległość do dwóch kilometrów. Jeszcze raz nakierował myśliwiec dziobem na ciężko poruszający się samolot i zaktywizował pociski typu Afidy, czule na podczerwień. Ale i one nie zadziałały — strumień wydechowy bombowca przesłonił obraz ciepły jego silnika.

Tupielow poczuł się bezradny.

— Moje Afidy również nie potrafią go namierzyć, towarzyszu pułkowniku!

Leonów jęknął.

— A więc użyj działka, człowieku! Masz przecież działko! Młody pilot ruszył teraz śladem celu lecącego serpentynami, nie spuszczając go z oka. Nie pomyślał dotychczas o swym dwudziesto-trzymilimetrowym działku, nie wiedział nawet, czy jest nabite. Odbezpieczył je i poczuł ulgę, kiedy zapaliło się zielone światło, poświadczając, że jakiś sumienny mechanik załadował magazynek przed odlotem z Celinogradu.

Nacisnął czerwony guzik na drążku sterowym, by przygotować działko do strzału. Poczul wibracje przechodzące przez fotel — sprawiły one, że w Tupielowa wstąpił dziwny spokój. Przyglądał się niezgrabnemu, desperacko próbującemu się ukryć bombowcowi. Doprawdy, żaloszny widok. Nie był to godny przeciwnik dla jego zwinnego MiG-a.

Pociągnął do siebie drążek i pchnął myśliwiec w górę, dopóki nie znalazł się cztery kilometry ponad nietoperzym skrzydłem. Pamiętając

0 instrukcjach, przesunął teraz dźwignię do przodu i zaatakował lotem nurkowym cel — Boże, ależ był wielki! — kierując nań celownik wyświetlony na wiatrochronie. Czekał, aż zbliży się na odpowiednią odległość. Dopiero wtedy nacisnął czerwony guzik.

*Dzień 5., 13:34 czasu Greenwich, 17:34 miejscowego* **Bombowiec Widmo Dwa**

Pilot zaczynał już mieć nadzieję, że wiązką radarową trafiono ich przypadkowo, przy przeszukiwaniu przestrzeni, kiedy poczuł wibrację

1 usłyszał gwałtowne odgłosy rozpruwających jego kruchy samolot kul dwudziestotrzymilimetrowego działka.

Największa zaleta bombowca widma — niewykrywalność radarem — była zarazem przyczyną jego słabości w pozostałych, podporządkowanych temu celowi dziedzinach. Postawiono wyłącznie **na** nią, z uszczerbkiem dla szybkości i zdolności manewrowania. Toteż gdy zdarto z niego zasłonę nie widzialności, bombowcowi pozostał • jedynie przedśmiertny taniec. Kiedy pierwsze pociski dosięgły kadłuba z wielowarstwowych włókien, pilot wiedział, że to już koniec. Zniszczeniu uległy zbiorniki paliwa, przewody hydrauliczne, elektronika i komputery pokładowe. Obaj członkowie załogi zobaczyli, że tablica kontrolna zwariowała, zanim rzuciła ich na nią siła odśrodkowa. Wielki ptak wymknął się spod kontroli i wpadł w korkociąg.

— Mistrzuniu! — nalegał pilot Widma Dwa przez telefon pokładowy. — Nadaj sygnał! A potem katapultuj się! Katapultuj! Katapultuj!

Jego towarzysz nacisnął guzik wysyłający błyskawiczny, z góry ustalony sygnał do satelity łączności wojskowej, a następnie sięgnął pod fotel i szarpnął dźwignię katapultowania. Fragment sufitu nad nim zniknął z głuchym dźwiękiem, a potem z hukiem eksplodowało urządzenie katapultujące. Wystrzelił wraz z wyposażonym w napęd raketowy fotelem przez dziurę nad głową.

*Dzień 5., 13:34 czasu Greenwich, 17:34 miejscowego* **MiG-29**

Tupielow przyglądał się zafascynowany, jak z grzbietu gigantycznego nietoperzego skrzydła wydobywają się małe kłębuszki czarnego dymu. Następnie rzucił myśliwiec w górę, wykonując ciasną pętlę, gotów — jeśli będzie trzeba — do ponownego ataku. Szybko jednak stwierdził, że to zbyt bezcelne. Dryfujący samolot przechylił się, a **następnie** zaczął powoli opadać w śmiertelnym korkociągu.

— Trafiłem go! — wrzasnął Tupielow. — Trafiłem go, towarzyszu pułkowniku! Spada!

405

Usłyszał przez radio ryk radości.

— Znakomicie, poruczniku! Wspaniale! Mam naniesioną waszą pozycję i natychmiast wysyłam ekipę poszukiwawczą.

— Zrozumiałem, towarzyszu pułkowniku. Widzę otwierający się spadochron... o, i drugi.

— Wspaniale! — entuzjazmował się Leonów. — Ekipa schwyta jeńców. A teraz, poruczniku... myślę, że niebawem kapitanie, czyście mówili, że spotkaliście dwa takie bombowce?

— Zgadza się, towarzyszu pułkowniku.

— A gdzie się podział drugi? Zaskoczył Tupielowa.

— Nie wiem, towarzyszu pułkowniku. Miałem szczęście, że tego udało mi się znaleźć. Drugiego nie dojrzałem. Musiały się rozdzielić po spotkaniu ze mną.

Minęło parę sekund, zanim pułkownik ponownie się odezwał.

— Posłuchajcie uważnie, poruczniku. Nie wiemy tego na pewno, ale te niewykrywalne bombowce mogą być uzbrojone w bomby jądrowe. Postarałem się, żeby pomógł wam w poszukiwaniach 61 Pułk Myśliwców Przechwytyjących z Bałchaszu, ale zanim dotrą na miejsce, upłynie co najmniej czterdzieści pięć minut. Musicie sami znaleźć szybko ten drugi bombowiec.

— Rozkaz, towarzyszu pułkowniku. Ale zaczyna mi brakować paliwa.

— Chrzah paliwo! — ryknął Leonów. — Znajdź ten drugi samolot! Znajdź go!

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

Tupielow podjął na nowo przeszukiwanie chmur zygzakiem, gdyż nie miał innego pomysłu. Tym razem skierował się ku północnemu wschodowi.

*Dzień 5., 13:35 czasu Greenwich, 17:35 miejscowego* **Przewodnik Widm**

Przewodnik Widm nadal kontynuował manewr uchyleniowy na północny zachód od Bajkonuru, kiedy oficer od elektroniki wręczył mu zwięzłą rozszyfrowaną wiadomość. Pilot rzucił okiem na wyraz na kartce i spojrzał na swego towarzysza.

— W porządku. Mistrzuniu. Potwierdzili rozkaz. Atakujemy. Kiedy wylądować wyhadłowiec?

Tamten sprawdził w notatkach i w komputerze nawigacyjnym, potem porównał z własnym programem lotu i przeliczył ponownie na kalkulatorze osobistym Hewlett-Packard 41C.

— Wygląda na to, że za dwadzieścia cztery minuty. W punkcie wyjścia będziemy za jedenaście minut, a stamtąd dzieli nas od celu

siedemnaście. Zajmie nam to więc łącznie dwadzieścia osiem minut Oznacza to, że wahadłowiec będzie przebywać na pasie przez cztery minuty, zanim tam dotrzemy, zakładając oczywiście, że dysponujemy ścisłymi danymi o czasie jego lądowania... Poza tym... na pętanie się tutaj w kółko zmarnowaliśmy mnóstwo paliwa. Wcale nie mam pewności, czy starczy nam go, by dolecieć na powrotne spotkanie z tankowcem.

— Nie zajmujemy się zbyt wieloma sprawami naraz — sprzeciwił się Przewodnik. — Teraz podaj mi tylko kurs na punkt wyjścia.

Mistrzuniu przyjrzał się przyrządom.

— Przejdź na jeden-pięć-cztery, szefie.

— Zrozumiałem — odpowiedział pilot, przystępując do zwrotu Latali na obszarze, gdzie warstwa chmur była grubsza, nabrali

więc przekonania, że ich samolot ponownie stał się niewidzialny. Przewodnik Widm od lat był związany z doskonaleniem prototypu niedostrzegalnego bombowca. Znał możliwości swego samolotu, a także możliwości sowieckiego systemu radarowego. Nadal nie umiał sobie wytłumaczyć, jak mogło dojść do wizualnego zlokalizowania ich przez myśliwiec. Miał pewność, że nie wykryto ich radarem — gdyby Rosjanie potrafili ich jakoś zobaczyć na swych ekranach, już dawno zmiotliby ich z nieba. Czuł instynktownie, że jak długo przebywają w chmurach, są bezpieczni.

— To lubię — odezwał się Mistrzuniu, mając na myśli pokrywę chmur. — Szkoda, że musimy porzucić tę osłonę, żeby dokonać nalotu. A co zrobimy, jeśli nad celem krążyć będzie zgraja myśliwców?

Przewodnik wzruszył ramionami.

— Jeśli tak się zdarzy, zobaczymy, czy mamy wahadłowiec w polu widzenia, potem wycofamy się w chmury i wyślemy mu prezent z pomocą komputera Norden. Byłby to długi strzał, biorąc pod uwagę, że trzeba trafić z dużą precyzją, ale też najlepsza rzecz, jaką w takim przypadku moglibyśmy zrobić. Nie ma sensu tracić bombowca, nie mówiąc już o własnej dupie, jeśli nie byłoby szansy dotarcia nad cel.

Mistrzuniu kiwnął głową. Obu mężczyznom nie zbywało na brawurze, ale też zdawali sobie sprawę z dotkliwych ograniczeń swego samolotu, kiedy stawał się widoczny. A przecież nawet bombowiec B-1, mogący rozwijać szybkość macha dwa, dysponujący zdolnością manewrową zapewnianą przez zmienny skos skrzydeł i wyposażony w systemy obronne, nie miałby na otwartej przestrzeni zbyt wielu szans przeciw sforze myśliwców.

— Ciekaw jestem, co się dzieje z Widmem Dwa — mruzczał oficer od elektroniki, myśląc o swym koledze Mistrzuniu z bliźniaczego bombowca.

— Zapewne podchodzi właśnie do punktu wyjściowego od swojej strony — powiedział Przewodnik uspokajającym tonem.

rali

407

*Dzień 5., 13:40 czasu Greenwich, 8:40 miejscowego* **Gabinet Room w Białym Domu**

— Psiakrew! — zaklął Bergstrom, odkładając z impetem słuchawkę.

— Co się stało? — zażądał wyjaśnień prezydent. Twarz admirała spurpurowiała.

— Dzwonił generał Dooley z Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych w Omaha. Dostali właśnie sygnał radiowy z jednego z bombowców widm. Wygląda na to, że został zestrzelony.

Szef państwa zagłębił się w fotelu.

— Cóż jeszcze może się teraz wydarzyć? — powiedział znękany głosem.

— Powiedziałbym, że już niewiele! — odezwał się wiceprezydent.

— Według generała Dooleya otrzymana wiadomość wskazuje, że bombowce zostały rozpoznane wizualnie przez rosyjski myśliwiec — dodał Bergstrom. — Wtedy rozdzieliły się i próbowały uniknąć wykrycia, pozostając w chmurach. Wedle tego, co może powiedzieć Dooley, drugi bombowiec widmo nadal znajduje się w powietrzu.

— Zostały zlokalizowane wzrokowo? — dopytywał się wiceprezydent.

— Tak, panie prezydencie.

— Hm... Skąd Rosjanie wiedzieli, gdzie spojrzeć? — spytał sekretarz stanu.

— Pojęcia nie mam, panie ministrze — utyskiwał admirał. — Wiedziałem, co mogą te bombowce, i nie przypuszczałem, że może być jakiś sposób, żeby je złapać radarem. Możemy się tylko pocieszać, że ten zestrzelony rozbije się, uderzając o ziemię, w drobny mak.

*Dzień 5., 13:37 czasu Greenwich* *Intrepid*

*Intrepid* zagłębiał się w piekło czarnej dziury radiowej, a Lodowicz uważnie obserwował przyrządy. Szczególnie bacznie wskaźnik ciśnienia powietrza. Kiedy odczyt doszedł do czterystu osiemdziesięciu Paskali — odpowiadających blisko pięćdziesięciu kilogramom na metr kwadratowy — oznaczało to, że przepływ powietrza nad lotkami jest już dostateczny, by wahadłowiec reagował nań przechylem. Gdy wskaźnik przekroczył dziewięćset sześćdziesiąt paskali, Lodowicz wiedział, że statek zareagowałby także i na stery.

Znajdował się teraz na pułapie siedemdziesięciu tysięcy metrów Ponad Oceanem Indyjskim. Na tej wysokości prawie w ogóle nie ma atmosfery i tylko ogromna prędkość wahadłowca, wynosząca dwadzieścia cztery tysiące kilometrów na godzinę, wytwarzała dość



ciśnienia powietrza nad skrzydłami, by z pojazdu kosmicznego przekształcił się w samolot.

Lodowiec przestawił wskaźnik tempa zmiany wysokości na maksymalny, następnie wyłączył pilota automatycznego i przeszedł na ręczne sterowanie wahadłowcem. Wprawdzie autopilot mógł dalej czuwać nad schodzeniem, ale Lodowiec lubił sterować sam. Skontrolował odczyty wysokości i czasu na ekranie komputera nawigacyjnego. Zszedł już na sześćdziesiąt tysięcy metrów, a do lądowania pozostało szesnaście minut.

Delikatnie przesunął drążek, by wprowadzić *Intrepida* w pierwszy z czterech zaplanowanych esowych manewrów hamujących.

*Dzień 5., 13:37 czasu Greenwich* **Kestrel**

Monaghanowi waliło serce. Ze wskazań przyrządów wynikało, że z pojazdem kosmicznym wszystko jest w porządku, ale cały wiatro-chron wypełniała luna o pomarańczowym odcieniu. Termometr zewnętrzny wskazywał, że temperatura powierzchni Kestrela zbliża się do tysiąca stopni Celsjusza. Monaghan czuł, że system chłodzenia jego kombinezonu kosmicznego pracuje intensywniej niż zwykle.

— Cholera! — mamrotał Wściekły Pies. — To wygląda zupełnie inaczej niż w wahadłowcu. Tam płomienie nie są tak... blisko.

— Na pewno — zgodził się Lamborghini, który czuł, że jest mu coraz goręcej, ale nie był pewien, czy to nie złudzenie. — Wściekły Psie, coś mi przyszło do głowy.

— No, cóż takiego? — zapytał Monaghan. Lamborghini poczuł pot na górnej wardze.

— Dziobowy czujnik podczerwieni. Zastanawiam się, jak on znosi gorąco podczas wchodzenia w atmosferę. Czy się od tego nie zepsuje.

— Zobaczymy — powiedział Monaghan głosem, w którym zabrakło charakterystycznej dla niego pewności siebie.

Lamborghini postanowił zmienić temat.

— Cholera! Chciałbym wiedzieć, co to był za obiekt, który poza Sojuzem mieliśmy na radarze i który trafiliśmy Phoenixem.

— Nie czas teraz, by płakać nad rozlanym mlekiem — powiedział w zadumie Wściekły Pies. — Może to było jakieś fałszywe echo albo jakiś kawał kosmicznego szmelcu. A może zawiódł ten cholerny system. Któż, u diabła, może wiedzieć?

— Pewnie — smutnie zgodził się Lamborghini. Monaghan sprawdził coś w komputerze nawigacyjnym.

— Dobra, Wyścigowo. Uważaj. Zaczynamy teraz zwroty esami-Mam zamiar skutecznie to jak się należy, jeśli chcemy zrobić panu Lodowcowi niespodziankę.

Zaczął posługiwać się drążkiem sterowym jak wirtuoz, tnąc rzadkie powietrze właściwymi krawędziami tak, by Kestrel wyhamowywał nieco szybciej niż *Intrepid*.

Lamborghini spojrział w dół i zobaczył, że przelatują nad wybrzeżem Pakistanu.

*Dzień 5., 13:47 czasu Greenwich, 17:47 miejscowego* **Przewodnik Widm**

Mistrzuniu dokonał dwukrotnej kontroli odczytu globalnego systemu pozycyjnego na komputerze nawigacyjnym.

— Jesteśmy prawie w punkcie wyjściowym, szefie. Przejdź na jeden-dziewięć-siedem... teraz. Właśnie go mamy. Siedemnaście minut do celu.

— Zrozumiałem — odpowiedział Przewodnik i obrócił wolant, żeby wyrównać samolot przed końcowym rajdem bombowym.

— Mistrzuniu, zamierzam pozostać w chmurach na pięciu tysiącach metrów, a na trzynaście minut od celu zacząć schodzić na sześćset metrów, żeby dokonać nalotu.

— Nie pękaj, szefie — odezwał się Mistrzuniu. — Daj mi tylko dane, a ja utworzę nam drogę jak ta lala.

Jeszcze raz sprawdził coś na komputerze nawigacyjnym.

— Szesnaście minut do celu... szybkość cztery-cztery-dwa węzły.

*Dzień 5., 13:48 czasu Greenwich, 15:48 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

— Statek dobrze reaguje na stery — rozległ się z odbiornika głos Lodowca. — Mniej więcej za dwanaście minut będę lądował. Wysokość pięć-dwa tysiące metrów, szybkość jeden-dwa-dziewięć--dziewięć-dwa kilometry na godzinę.

— Doskonale, *Intrepid*! — odpowiedział dowódca misji Ma-łyszew. — Podaję ci warunki w strefie lądowania: gęste chmury, cumulonimbusy na pułapie czterech tysięcy metrów, wiatr z północnego wschodu o prędkości siedemnastu kilometrów na godzinę.

Nastąpiła chwila ciszy, zdradzająca zachwianie się pewności siebie Lodowca.

— Nie podoba mi się pokrywa chmur, ale niewiele można na to poradzić. Ponieważ nie dysponujecie mikrofalowym systemem lądowania, będę miał mało czasu, by trafić na pas wizualnie. To oznacza, że muszę polegać niemal wyłącznie na komputerze nawigacyjnym. Czy współrzędne, któreście mi dali, są precyzyjne?

— Idealnie precyzyjne, *Intrepid*.

\*

— Miejmy nadzieję. Wiatr wieje od północnego wschodu, zatem podejść od zachodu.

— Z uwagi na pogodę nie wyślemy ci samolotu na spotkanie, *Intrepid*. Mógłbyś się z nim zderzyć w chmurach. Czy jesteś pewien, że dasz radę wylądować? — zapytał Małyszew.

— Jestem — padła po chwili z odbiornika beznamiętna odpowiedź.

*Dzień 5., 13:48 czasu Greenwich, 16:48 miejscowego* **Sowieckie Centrum Ostrzegania Obrony Powietrznej**

Na ekranie projekcyjnym pułkownika Leonowa nadal widać było tylko MiG-a 29 Tupielowa. Myśliwce z 61 pułku miały przylecieć dopiero za trzydzieści minut, a drugi amerykański bombowiec czaił się gdzieś tam, niewidoczny. Kto wie, może było ich więcej? Ta myśl doprowadzała pułkownika do pasji. Jak się bronić przed czymś, czego nie można zobaczyć?

Sfrustrowany, włączył mikrofon.

— Masz coś jeszcze, Tupielow?

— Nie, towarzyszu pułkowniku — odpowiedział żałośnie młody pilot. — Obszar jest całkowicie pokryty chmurami burzowymi, nie mogę w ogóle znaleźć w nich prześwitów. Wzbiłem się na piętnaście tysięcy metrów, żeby wyszukać dziury w pokrywie chmur, ale na nic się to zdało. Nie wiem nawet, czy bombowiec amerykański jest tu gdzieś w pobliżu... a paliwa zostało mi tylko na dwadzieścia minut.

— Tym się nie przejmuj. Zostań tam tak długo, jak możesz. Jesteś upoważniony do katapultowania się, jeśli będziesz musiał.

— Rozkaz, towarzyszu pułkowniku.

Na pulpicie Leonowa zabrzączał inny telefon.

— Tak? — odezwał się szorstko, podniósłszy słuchawkę.

— Towarzyszu pułkowniku! — powiedział jeden z kontrolerów radarowych — mam na linii stację kaspijską. Złapali dwa, hmm... niezwykle obiekty, które właśnie wleciały w sowiecką przestrzeń powietrzną z Afganistanu.

— Cudownie! — parsknął Leonów. — Czego takiego właśnie mi w tym momencie brakowało! Co to za samoloty?

— Dwa obiekty, towarzyszu pułkowniku. Jeden wyprzedza drugi o jakieś trzysta kilometrów. Lecą niemal dokładnie na północ, na wysokości pięćdziesięciu dwóch tysięcy metrów, z szybkością... — kontroler odchrząknął — z szybkością w przybliżeniu macha trzynaście.

Leonowowi wydało się, że nie dosłyszał.

— Podajcie jeszcze raz pułap i prędkość!

— Pięćdziesiąt dwa tysiące metrów, macha trzynaście, towarzyszu pułkowniku.

Macha trzynaście? To znaczy trzynaście tysięcy kilometrów na godzinę! Czy ktoś tutaj zwariował?

— Proszę spojrzeć na mapę, towarzyszu pułkowniku — powiedział kontroler.

Leonów pokręcił galką na pulpicie i na ekranie pojawił się w powiększeniu znaczny obszar Republiki Kazachskiej. Na północnym zachodzie znajdował się jakiś samolot państwowy — nadający swój sygnał identyfikacyjny i lecący na południowy wschód z prędkością około tysiąca kilometrów na godzinę — ale pułkownik w ogóle nie poświęcił mu uwagi. Zamiast tego spojrzął na południe, gdzie — istotnie — znajdowały się dwa nie zidentyfikowane obiekty latające, poruszające się na północ z niewiarygodną szybkością na niesłychanej wysokości. Leciały dwa razy wyżej i cztery razy szybciej niż amerykański szpiegowski Blackbird. Nie miały balistycznych cech pocisków międzykontynentalnych, ale nie przypominały też żadnych samolotów, jakie kiedykolwiek widział, czy o jakich istnieniu wiedział. Dla Leonowa była to ostatnia kropla przepełniająca miarę — te nie zidentyfikowane obiekty, czymkolwiek były, musiały mieć wrogie zamiary. Domyślał się, że — podobnie jak bombowce widma — stanowiły bez wątpienia jakiś rodzaj awangardy hordy nieprzyjacielskich bombowców unoszących się nad kołem polarnym. Kto wie? Amerykanie mogą w każdej chwili wysłać swoje pociski międzykontynentalne. Leonów sięgnął po telefon łączący go bezpośrednio z dyżurnym dowódcą Sowieckich Strategicznych Sił Rakietowych. Kiedy podniósł słuchawkę, drżała mu ręka. Czuł, że nie ma wyboru — musi zalecić uprzedzenie Amerykanów w zadaniu pierwszego ciosu.

*Dzień 5., 13:49 czasu Greenwich, 17:49 miejscowego* **Centrum Dowodzenia Sowieckich Strategicznych Sił Rakietowych, Czelabińsk**

Struktura dowodzenia i kontroli Sowieckich Strategicznych Sił Rakietowych była typowo rosyjska, czyli — innymi słowy — bizantyjska. Jedna hierarchia, złożona z zawodowych wojskowych, zajmowała się samymi rakietami. Zupełnie zaś inny pion — stanowiący specjalny departament Komitetu Bezpieczeństwa Państwa — miał pieczę nad głowicami jądrowymi. Ten podział kompetencji występował także na szczeblu każdej podziemnej wyrzutni rakietowej. Jedna komórka dowódcza składała się z dwóch oficerów odpowiedzialnych za napełnienie paliwem i odpalenie pocisku, gdyby z Centrum Dowodzenia w Czelabińsku Przyszedł odpowiedni rozkaz i jego potwierdzenie. Drugą stanowiło dwóch oficerów KGB odpowiedzialnych za głowice bojowe. Wojskowi mogli więc wysłać raketę, ale bez uzbrojonej głowicy, co nie miałoby zbytniego sensu. Bez współdziałania obu komórek pocisk "ie mógłby wybuchnąć.

Podział ten obowiązywał również na wierzchołku piramidy dowodzenia strategicznymi siłami raketowymi. W czelabińskim Centrum, pod wieloma względami podobnym do kwatery głównej amerykańskich Strategicznych Sił Powietrznych w Omaha, rezydowali zarówno dyżurny generał dowodzący siłami raketowymi, jak i dyżurny generał KGB. Siedzieli obok siebie w bocianim gnieździe nad ogromną salą zdominowaną przez wielką mapę wyświetloną na ekranie projekcyjnym. Na pulpicie w bocianim gnieździe zadzwonił telefon bezpośredniej łączności z Centrum Ostrzegania. Dyżurny generał KGB odłożył „Prawdę” i podniósł słuchawkę.

— Centrum Dowodzenia — powiedział rutynowo.

— Towarzyszu generale, tu Centrum Ostrzegania Obrony Powietrznej. Wykryliśmy dwa nie zidentyfikowane obiekty, które właśnie wtargnęły w sowiecki obszar powietrzny z Afganistanu... Wydaje się, że mogą to być jakieś pojazdy kosmiczne, powracające w atmosferę. Nadto jeden z naszych myślicieli przechwytyjących właśnie zestrzelił w Kazachstanie niewidzialny bombowiec amerykański, a nad Arktyką krąży setka innych bombowców amerykańskich, gotowych do akcji. Wygląda na to, towarzyszu, że ojczyźnie grozi atak. Atak jądrowy! Uważam, że powinniśmy uderzyć pierwsi, dopóki nie jest jeszcze za późno!

— Powiedzieliście, niewidzialny bombowiec? — spytał generał.

— Tak jest, towarzyszu. Trzeba natychmiast ogłosić alarm Potrójnego Czerwonego Omikrona i powiadomić Radę Wojenną Komitetu Centralnego — stwierdził Leonów.

— Z pewnością. Postąpiliście słusznie, informując nas, towarzyszu. Natychmiast zarządzam alarm.

Leonów był zaskoczony tonem, jakim rozmawiał z nim generał.

— Towarzyszu generale! — nalegał. — Domagam się, byście działali bez zwłoki.

Odpowiedź była szorstka.

— Nie pouczajcie Strategicznych Sił Raketowych, jak mają wypełniać swoje obowiązki, towarzyszu!

Przywołany do porządku pułkownik zaczął się tłumaczyć.

— Ma się rozumieć, towarzyszu generale. Chciałem tylko powiedzieć...

— Dobrze już, dobrze, wyłączcie się. Zajmę się tą sprawą.

— Jak sobie życzycie, towarzyszu generale... — powiedział, cokolwiek zaskoczony, Leonów.

Zażywny generał KGB odłożył słuchawkę i powrócił do lektury „Prawdy”, na moment przed zjawieniem się w bocianim gnieździe swego dyżurnego współpartnera w dowodzeniu.

— No i jak się teraz czujesz, Władimir? — zapytał wchodzącego z troską.

Żyłasty generał wojsk raketowych żałośnie westchnął. Trzymał się za brzuch i był zielony na twarzy.

— Obawiam się, że gorzej. Nie wiem po prostu, co się stało. Rano czułem się znakomicie i nagle dostałem sraczki. Prawie nie wychodzę z toalety.

— Pewnie coś zjadłeś — powiedział przyjacielskim tonem generał KGB.

Wojskowy aż jęknął.

— Arkady, proszę cię, nie mów o jedzeniu! Ale to nie może być powód. Niczego dziś nie miałem w ustach poza herbatą. Obaj piliśmy z tego samego samowara, a tobie nic nie dolega. Pamiętasz, sam nalewaliśmy.

— Rzeczywiście — przyznał ten z KGB. — Może powinieneś pójść do ambulatorium?

Specjalista od rakiet wydał pomruk.

— Mam pozwolić tym naszym konowałom eksperymentować na sobie? Piękne dzięki! Wolę już poczekać do końca służby, a potem pójść do kliniki partyjnej, do prawdziwego lekarza.

— Pewnie, tak będzie najlepiej — zgodził się generał w mundurze z zielonego sukna.

Władimir ostrożnie usiadł i przyjrzał się swemu zażywnemu współżyrującemu. Dotychczas wydawał mu się niemiły i zadzierający nosa, a dziś — taki uprzejmy i współczujący. Może niesprawiedliwie go ocenił.

— Arkady... jestem ci zobowiązany, że pracujesz za nas obu, kiedy jestem... niedysponowany.

Tamten wzruszył ramionami.

— Nie ma sprawy.

Twarz Władimira pozieleniała jeszcze mocniej.

— Jak tam dzisiaj, spokojnie?

— Najzupełniej. Właśnie odebrałem rutynowy raport z Centrum Ostrzegania. U nich też nic się nie dzieje.

Władimir kiwnął głową, jęknął i pośpiesznie wyszedł.

Generał KGB poklepał się po kieszeni na piersi. Miał tam fiolkę z pastylkami, którą dał mu sam towarzysz przewodniczący. Jedną z nich już wykorzystał.

*Dzień 5., 13:52 czasu Greenwich* **Kestrel**

Podczas walki i w innych bardzo stresujących momentach Wściekły Pies Monaghan zwykł się nieco odprężyć, powtarzając ten sam nieparlamentarny zwrot z naciskiem na ostatni wyraz. Kiedy ujrzał pokrywające szczelnie teren ogromne cumulonimbussy, pofolgował temu nawykowi.

— Śmierzący skurwiel! Śmierzący skurwiel! Śmierzący skurwiel!

— O co chodzi, Wściekły Psie?

— Śmierzący skurwiel! Słuchaj, Wyścigowo, zdaje się, że nie mamy wyboru. Nad Bajkonurem leży pokrywa chmur grubości jakichś dziewięciu tysięcy metrów. Lodowiec jest pewnie gdzieś tam przed nami, ale nie sposób znaleźć go wzrokiem w tej zupie. A jeśli mamy wyrównać i przejść do lotu ślizgowego, nie możemy zbyt operować radarem. Lamborghini z tylnego siedzenia nie miał dobrej widoczności na wprost, musiał więc polegać na tym, co mówił pilot.

— Cóż więc mamy robić?

— Przestaję hamować — powiedział Monaghan, a Lamborghini poczuł, że pojazd kosmiczny przeradający się w samolot pochylił się do przodu. — Zrezygnuję z ostatniego hamującego zwrotu esowe-go — kontynuował Wściekły Pies — i puszczę Kestrela szeroko po półkolu. Zabierze nam to wprawdzie trochę czasu, ale pozwoli zachować szybkość i energię kinetyczną.

— A po co nam szybkość i energia kinetyczna? — zapytał Lamborghini.

— Żeby pozostać w powietrzu, dopóki Lodowiec nie wylądaje. Schodząc, zrobimy po łuku sto osiemdziesiąt stopni.

Spróbuję tak to wyliczyć, że kiedy zakończymy manewr, znajdziemy się pod pokrywą chmur i zostanie nam jeszcze tyle pary, by przelecieć nad kosmodromem. Może uda nam się dostrzec go na ziemi i wykończyć. Po powrocie przez atmosferę *Intrepid* będzie prowokująco rozgrzany; powinno ci się udać namierzyć go Sidewinderami.

Lamborghini zazwyczaj nie był entuzjastą pomysłów Mona-ghana, musiał wszakże podziwiać, jak błyskawicznie umie on dokonywać analizy sytuacji. Poza tym nie mieli, rzecz jasna, czasu na wnikliwą dyskusję.

— To brzmi rozsądnie, Wściekły Psie. Zasuważ.

— Tak jest! — powiedział Monaghan i lekko przechylił Kestrela na lewe skrzydło. Lecieli z prędkością macha trzy i trzy dziesiąte i zeszli już na pułap dwudziestu siedmiu tysięcy metrów.

*Dzień 5., 13:51 czasu Greenwich, 17:51 miejscowego* **Przewodnik Widm**

— Trzydzieści minut do ataku bombowego — zameldował Mistrzunio omal śpiewnie. — Wysokość pięć tysięcy metrów, prędkość podróżna cztery-trzy-dziewięć węzłów.

— Zrozumiałem — powiedział Przewodnik, popychając drążek do przodu. — Zaczynamy schodzić. Bądź w pogotowiu.

— Jestem, szefie — odpowiedział Mistrzunio, jednocześnie po raz któryś z rzędu sprawdzając funkcjonowanie systemów bojowych.

415

*Dzień 5., 13:52 czasu Greenwich, 17:52 miejscowego* **Wieża kontrolna, pas lądowania wahadłowców, kosmodrom Bajkonur**

Grigorij Wostow ciężko dyszał i kłął, nim wreszcie zdołał wyleźć schodami na oszkloną platformę wieży kontrolnej. Dziwił się, czemu nie pomyślano o zainstalowaniu tam windy.

— Dzień dobry, towarzyszu główny konstruktorze — przywitał go dyżurny kontroler. — Powiedziano mi, że przyjdziecie. Minęło trochę czasu, zanim tęgi Wostow był w stanie poprosić o lornetkę.

— Naturalnie, towarzyszu — powiedział usłużnie kontroler, zdejmując tę, którą miał zawieszoną na szyi. — Proszę korzystać z mojej.

Wostow wziął ją, nie zadając sobie trudu, by podziękować.

— Czy macie łączność z Kaliningradem? — wysapał.

— To ten telefon — wskazał kontroler.

Wostow kiwnął głową, następnie podniósł do oczu zeisowską lornetkę.

*Dzień 5., 13:55 czasu Greenwich Intrepid*

*Intrepid* — wychodząc z czwartego, ostatniego esowego hamowania — ciągle jeszcze leciał nad najwyższymi wypustkami cumulusów. Lodowiec nie spuszczał teraz oka z komputera nawigacyjnego. Musiał trafić na pas za pierwszym razem, polegając jedynie na komputerze, wskaźniku wysokości i szybkości pionowej i innych przyrządach pokładowych; nie miał możliwości powtórzenia tego manewru.

Wahadłowiec znajdował się właśnie w ostatniej fazie podchodzenia do lądowania — był o pięć minut i osiemdziesiąt osiem kilometrów od pasa lądowania, lecąc z prędkością dwóch tysięcy siedmiuset kilometrów na godzinę i gwałtownie schodząc w dół z wysokości dwudziestu dwóch tysięcy pięciuset metrów. Lodowiec gospodarował teraz starannie energią kinetyczną statku, wykorzystując jego szybkość i wzniesienie na siłę nośną i pokonywanie odległości. Musiał to robić precyzyjnie, żeby starczyło rezerw na krytyczny manewr wyrównania lotu kolosa tuż przed dotknięciem ziemi.

Przesunął drążek w prawo i delikatnie nacisnął prawy pedał steru. Nakierował wahadłowiec tam, gdzie powinien być pas.

Kiedy strzałka wysokościomierza zeszła na osiemnaście tysięcy metrów i *Intrepid* dał nurka w głąb czola chmur burzowych, kombinezon Lodowca był mokry od potu.

27 — *Zdobyć.*



*Dzień 5., 13:55 czasu Greenwich, 17:55 miejscowego* **MiG-29**

Fiodor Tupielow zamierzał już dać za wygraną. Wedle obliczeń, paliwa miał na dwanaście, najwyżej trzynaście minut, a nie chciał katapultować się z wysokości szesnastu tysięcy metrów. Obawiał się, że zamarznie. Pal diabli pułkownika! Postanowił, że poświęci jeszcze pięć minut na poszukiwania, a potem zejdzie lotem nurkowym pod chmury i rozejrzy się za jakimś miejscem, by wylądować.

*Dzień 5., 13:55 czasu Greenwich, 17:55 miejscowego* **Przewodnik Widm**

Czarne nietoperze skrzydło wychynęło z chmur na wysokości czterech tysięcy metrów. Przewodnik i Mistrzunio uważnie przyglądali się ekranom kamer dziobowych, chcąc znaleźć pas lądowania, ale było zbyt pochmurno i mgliście, by go zlokalizować.

— Daj powiększenie! — rozkazał Przewodnik.

Jego towarzysz pokręcił gałką i obrazy na wszystkich trzech ekranach przybliżyły się.

— Ciągle go nie widzę — narzekał Mistrzunio.

— Pozostaniemy na tym kursie — mruknął Przewodnik. — Jakie odczyty?

Mistrzunio spojrzął na przyrządy.

— Wysokość trzy tysiące czterysta metrów i schodzimy. Prędkość cztery-cztery-dwa węzły. Dziewięć minut do zrzucenia bomb. Według komputera wszystko przebiega rutynowo.

*Dzień 5., 13:58 czasu Greenwich, 17:58 miejscowego* **Intrepid**

Lodowiec kłął. Był wciąż w chmurach. Wedle wskazań wysokościomierza zeszedł już prawie na cztery tysiące metrów. Od pasa dzieliło go trzynaście kilometrów. Właśnie zaczynał wchodzić w ostatnią fazę podchodzenia do lądowania na ślepo, a to oznaczało niesłychanie mały margines na skorygowanie boczne, jeśli był źle ustawiony, gdy *Intrepid* miał teraz spadać prawie jak kamień, nie dając niemal żadnych możliwości manewrowania. Popchnął do przodu drążek sterowy, ustawiając wahadłowiec tak, by schodził lotem ślizgowym pod kątem dwudziestu dwóch stopni — siedem razy bardziej stromo niż samoloty pasażerskie. *Intrepid* pokonał ostatnie jedenaście kilometrów w ciągu zaledwie osiemdziesięciu sekund. Gdyby nie trafił na pas, byłoby jaja-Nawet ktoś o przydomku Lodowiec miał więc powody do niepokoju-

Wskaźnik prędkości pokazywał sześćset pięćdziesiąt osiem kilometrów na godzinę, kiedy wahadłowiec wynurzył się z chmur.

— Udało się! — krzyknął sam do siebie Kapuściński.

Leciał niemal idealnie na pas. Potrzebna była jedynie kosmetyczna korekta. Żaden problem dla takiego pilota, jak on. Pchnął odrobinę drążek w lewo i użył lewego steru. Troszkę też zmniejszył hamowanie, by utrzymać dwudziestodwustopniowy kąt schodzenia. Zrobił to bezbłędnie.

Nakierowawszy wahadłowiec, ponownie go wyważył, obserwując pilnie odczyt wskaźnika wysokości i prędkości pionowej na wiatro-chronie. A pas pędził mu na spotkanie.

*Dzień 5., 13:59 czasu Greenwich, 17:59 miejscowego* **Wieża kontrolna w Bajkonurze**

— Jest! — krzyknął Wostow. Odłożył lornetkę i sięgnął po telefon.

— Popów! Już go widzę! Wyląduje za parę sekund! Kontroler nie odzywał się, robiąc po pięć zdjęć na sekundę trzydziestopięciomilimetrową kamerą Nikon z napędem elektrycznym.

*Dzień 5., 14:01 czasu Greenwich, 18:01 miejscowego* *Intrepid*

1500... 1200... 1000... Wyglądało, jakby wysokościomierz nie mógł nadążyć we wstecznym biegu. Na sześciuset metrach Lodowiec pociągnął mocno drążek do siebie i zwiększył hamowanie, wprowadzając wahadłowiec w końcowy manewr lądowania. Podniósł mu dziób, zmniejszając kąt schodzenia do półtora stopnia. Wytracał resztki wysokości i energii kinetycznej. Odbezpieczył podwozie. Wszystko, jak dotąd, szło dobrze. Za czternaście sekund miał dotknąć ziemi. Leciał z prędkością czterystu trzydziestu kilometrów na godzinę na wysokości trzydziestu metrów. Nacisnął odpowiedni guzik, wysuwający trójkołowe podwozie.

*Intrepid* rozwijał prędkość czterysta kilometrów na godzinę, kiedy Lodowiec poczuł, że tylne koła dotknęły tarmakowej nawierzchni pięciokilometrowego pasa lądowania na kosmodromie Bajkonur. Włączył pełne hamowanie aerodynamiczne i delikatnie poluzował do przodu drążek sterowy. Przednie koło zapisać, dotknąwszy pasa. W tym momencie Lodowiec uruchomił spadochron hamujący. W ślad za nim rozwinął się spadochron główny — gwałtowne hamowanie popchnęło pilota odrobinę do przodu. *Intrepid* ciągle jednak toczył się. Wylądował z pełnym ładunkiem — dodatkowe obciążenie wymagało większej niż normalnie siły hamującej. Kiedy prędkość



spadła do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, Lodowiec przycisnął pedały hamulców podwozia. Wahadłowiec zwolnił... jeszcze bardziej... i jeszcze... aż w końcu zatrzymał się zaledwie osiemdziesiąt metrów przed końcem pasa. Spadochron hamujący opadł, sflaczał na tarmak, niby balon, z którego uszedł gaz.

— Hurra! — wrzasnął Kapuściński. Rozpierała go radość, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie zaznał. To lądowanie było rodzajem spełnienia — wyzwoliło uczucia zepchnięte dotychczas w głęboką piświadomość.

— Udało się, mamol! Zrobiłem to!

— ze ią.

*Dzień 5., 14:02 czasu Greenwich, 18:02 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

— Jedzie po pasie coraz wolniej. — Głos Wostowa dochodzi z odbiornika. — Nadal jedzie... jedzie... jedzie. Dobry Boże!

Wyjedz poza pas!... Chwileczkę... nie. Hamuje gwałtownie. Teraz. Ta zatrzymał się. Udało się. Wyłądował!

W całej sali rozległy się wivaty. Popów wznosił oczy ku niebu potem — wyczerpany — padł na fotel. Uczucie ulgi było w Centrum niemal namacalne. Kostiaszak klepnął Popowa po plecach.

— Spisaliście się dobrze, towarzyszu generale! Należą się wa gratulacje, zresztą jak wszystkim tutaj.

Popowa nie obchodziło, co sobie myśli ten pieprzony kurdupel.

— Jesteście nadto uprzejmi, towarzyszu przewodniczący! — wiedział zgryźliwie.

*Dzień 5., 14:02 czasu Greenwich, 18:02 miejscowego* **Przewodnik Widm**

— Myślę, że to to — powiedział chłodno Przewodnik Widm wskazując cienką białą linię na ekranie.

— Chyba tak — zgodził się Mistrzuniu. Przewodnik przyjrzał się uważniej.

— Nie jestem pewien, czy to cel, ale zaczynam nalot. Wyrównuj" na sześciuset metrach. — Mówiąc to, pociągnął do siebie drążek. Żadnych łobuzów?

Mistrzuniu popatrzyl na tablicę zagrożeń.

— Nie ma nic, szefie.

— Widocznie nadal dopisuje nam szczęście — stwierdził Przewodnik Widm głosem pełnym nadziei.

— Za cztery minuty zrzucamy bomby — powiedział niemalz szczebiotliwie Mistrzuniu. — Szybkość cztery-sześć-cztery węzły-

419

Dzień 5., 14:01 czasu Greenwich, 18:01 miejscowego **Kestrel**

Kiedy myśliwiec kosmiczny wyskoczył z chmur, wysokościomierz Monaghana wskazywał trzy tysiące pięćset sześćdziesiąt dwa metry.

— Pieprzony skurwiel! Pieprzony skurwiel! Pieprzony skurwiel! — wrzeszczał zdesperowany Monaghan — Wyścigowo, obawiam się, że nie damy rady. Szybkość spadła nam poniżej sześciuset węzłów... Nie możemy za długo szybować. Gdzie, do cholery, jest ten pas lądowania?

Lamborghini przeszukiwał horyzont swym sokolim wzrokiem. Widoczność nie była dobra z powodu zachmurzenia, do tego słońce już zachodziło. Na szczęście nie padało.

— Myślę, że *Intrepid* jest nad kosmodromem. Tam, daleko. Monaghan wyteżył wzrok, ale nie mógł niczego dojrzeć.

Pomyślał,

że Wyścigowa ma jakiś teleobiektyw wmontowany w ślepie.

— Nie widzę go — powiedział przegranym tonem. — Ale jakoś musimy to zrobić. Będzie go lepiej widać, kiedy wyląduje. Skoncentrował uwagę na ziemi, żeby zlokalizować pas lądowania. I wówczas zobaczył dziwny obiekt przecinający pod kątem rozwartym kurs, którym lecieli. Coś, co wyglądało jak wielka czarna płaszczka torpikalna pełzająca po piaszczystym dnie oceanu. Wściekły Pies natychmiast położył Kestrela w lekki skręt w lewo, żeby Lamborghini mógł to zobaczyć, i szedł równoległe z dziwnym samolotem.

— Hej, Wyścigowo! Czy ty też to widzisz?

Lamborghini spojrział w dół i — choć zaskoczony — natychmiast zdał sobie sprawę, co to jest. Widział to kiedyś w hangarze w Bazie Sił Powietrznych Nellis podczas supertajnej odprawy z generałem Whittenbergiem. Szybko sobie wszystko skojarzył i uporządkował. Pamiętał, co powiedziała mu sekretarka Whittenberga: „Rozmawia z generałem Dooleyem. Wiesz, jak to jest, kiedy ci dwaj zaczną gadać!” Dooley to znaczyło Strategiczne Siły Powietrzne, czyli bombowce...

— Wściekły Psie! To jest...

— Niewidzialny bombowiec?

— Tak. Widziałem go kiedyś w Nellis. Założę się, że przysłało go SAC, żeby zniszczył *Intrepida*, gdyby nam się nie udało.

— Ja to pieprzę! — wściekł się Monaghan. — Czemu ten skurwiel McCormack nic nam o tym nie powiedział?

Umysł Lamborghiniego pracował intensywnie.

— Nie było powodu. Przecież nas nie miało być tutaj. Chyba pamiętasz?

— Pewnie — poświadczył potulnie Monaghan, a kiedy przemyślał sytuację, spytał: — Myślisz, że warto usiąść mu na ogonie?

420

Spojrzał na wysokościomierz, przekonując się, że zeszli już na trzy tysiące metrów. Oceniał, że bombowiec widmo był około dwóch tysięcy metrów niżej.

— Nie — odpowiedział szybko Lamborghini. — Jeśli złapią nas radarem naziemnym, zwrócimy uwagę na samolot. Lepiej odłączmy od niego. Może nasz obraz radarowy odwróci uwagę Rosjan.

Wściekły Pies z trudem oderwał wzrok od czarnej płaszczy, która tymczasem wyprzedziła ich już o kilka kilometrów.

„Boże, cóż za dziwaczna konstrukcja!”

— Dobrze, masz rację. Wyośmy się stąd i znajdziemy sobie jakieś płaskie miejsce do wylądowania.

Miał już położyć Kestrela w skręt na prawo, kiedy — niecałe czterysta metrów przed nimi — coś wypadło z rykiem z chmur.

*Dzień 5., 14:02 czasu Greenwich, 18:02 miejscowego **MiG-29***

Tupielów wystrzelił z chmur, nurkując na pełnym gazie, a potem wyrównał, by rozejrzeć się za miejscem do lądowania.

Radar naziemny powinien mu pomóc, bez względu na to, co mówił pułkownik. Zaczął przepatrywać teren, kiedy — święty Cyrylu! — wreszcie był, tuż pod nim. Podekscytowany, włączył mikrofon.

— Towarzyszu pułkowniku! Znalazłem drugi bombowiec amerykański!

— Wspaniale, Tupielów! — zachłysnął się Leonów. — Natychmiast go zestrzel! On może być uzbrojony w bomby jądrowe!

Pamiętając, że pociski sterowane radarem okazały się bezużyteczne, Tupielów znowu rzucił swego MiG-a do ataku nurkowego. Starł się, by czarne monstrum znalazło się w kole jego celownika. Nie myślał teraz o niczym poza drugą flagą amerykańską, która zostanie wymalowana na kadłubie jego myśliwca. Delikatnie popchnął do przodu dźwignie gazu — czarne nietoperze skrzydło zaczęło rosnać mu w oczach.

*Dzień 5., 14:02 czasu Greenwich, 18:02 miejscowego **Kestrel***

— A to co?! — wrzasnął Lamborghini, starając się coś dojrzeć ponad ramieniem Monaghana.

— O kurwa! Chyba Suchoj-27. Nie, poczekaj chwilę. To nie Su-27. To MiG-29... Właśnie bierze się muszkę bombowiec widmo! Wyścigowo, zobacz, czy nie dałoby się potraktować go Sidewin-derami.

Lamborghini oblał się potem. Już wcześniej, podczas schodzenia, przetestował czujnik podczerwieni i stwierdził, że jego obawy były słuszne: rozgrzana powłoka Kestrela wypaczała jego działanie. To, co pokazywał ekran taktyczny, było więc do chrzanu. Krople potu pokryły mu czoło.

— Do diabła! Czujnik podczerwieni jest spierdolony! — powiedział zdesperowany. — Wściekły Psie, opuść dziób! Wyceluj dokładnie w jego dupę!

— Zrozumiałem! — odpowiedział Monaghan i popchnął drążek sterowy do przodu.

Lamborghini nastawił Sidewindery na niezależne kierowanie i wciągnął płytki krzemowe pokrywające gondole pocisków na skrzydłach. Wszystko, co mógł wymyślić, to wysłać pociski licząc na to, że same namierzą własnymi czujnikami rurę wydechową w ogonie MiG-a. Nacisnął czerwony guzik; Sidewinder z lewego skrzydła wyskoczył i zapalił, a w dwie sekundy po nim prawy.

Kosmiczna wersja Sidewindera różniła się od konwencjonalnej tym, że nie miała aerodynamicznych stateczników pionowych, potrzebnych do stabilizacji lotu w atmosferze. Taki pocisk w powietrzu był jak strzała bez upierzenia na końcu bełtu — chybotął się. Mógł się jednak utrzymywać na właściwym kursie ukierunkowanym odrzutem. Gdy wszakże chybotanie stawało się coraz większe, mikroprocesor pokładowy coraz gorzej kompensował ruch pocisków. Toteż kiedy szarpnęły, przyspieszając, aż do końcowego nakierowującego odrzutu z dyszy ogonowej — pierwszy Sidewinder nie mógł nadążyć z kompensacją i zbliżając się do MiG-a zbczył z kursu.

— Kurwa! — wrzasnął Wściekły Pies. — Jeden oszalał! I widzę smugi pocisków z działa!

*Dzień 5., 14:02 czasu Greenwich, 18:02 miejscowego* **MiG-29**

Tupielow przyciskał właśnie spust działa na drążku sterowym, kiedy w jego kabinie rozbłysła eksplozja. Instynktownie uchylił się, ale — zanim zdołał rozpoznać sytuację — jego myśliwiec szarpnął się gwałtownie i zaczął koziołkować.

Tupielow mocował się z drążkiem sterowym i pedałami, ale widział tylko na przemian ziemię i chmury, wirujące coraz gwałtowniej. Szukał po omacku rączki katapulty, ale obroty myśliwca stały się tak szybkie, że siła odśrodkowa wypchnęła go z fotela, tak że zawisł na pasach swej uprzęży. Próbował wzywać pomocy przez radio.

— SOS! — krzyczał. — Siedem-siedem-echo spada!

Wreszcie udało mu się zacisnąć palce na rączce i szarpnął ją tak mocno, jak tylko potrafił.

*Dzień 5., 14:03 czasu Greenwich, 18:03 miejscowego* **Kestrel**

— Dopadliśmy go! — wrzasnął Monaghan. — Dopadliśmy! Z trudem, ale wykończyliśmy. Drugi Sidewinder odciął mu pionowe stateczniki ogonowe. Wpadł w korkociąg!

Lamborghini wydał westchnienie ulgi.

— Są jeszcze jacyś bandyci? I pomyślał, że nic już nie mogliby na to poradzić. Monaghan szybko rozejrzał się wokół.

— Niczego nie widzę. Z tego MiG-a wystrzelił spadochron. Spojrzał za oddalającym się bombowcem widmem.

— Dołóż temu skurwysynowi Lodowcowi! — krzyknął za nim. — Wykończ go!

*Dzień 5., 14:04 czasu Greenwich, 18:04 miejscowego* **Przewodnik Widm**

Na brzuchu niewidzialnego bombowca obróciła się usztywniająca część pokrycia, odsłaniając podwieszoną gondolę wielkości wanny, przesłoniętą taflą szkła cynkowo-siarkowego. Wewnątrz niej znajdowała się wycelowana zgodnie z kierunkiem lotu kamera AAQ-9, widząca w podczerwieni, oraz sprzężony z nią precyzyjnie laser glinogratyowy. Załoga wewnątrz bombowca pozostawała w błogiej nieświadomości bitwy powietrznej rozgrywającej się za ich ogonem — w ogóle nie zauważyli MiG-a, który podchodził do ataku szerokim zakolem. Mistrzunio pochylił twarz nad ekranem kamery podczerwieni i nastawił ją na dwukrotne powiększenie.

— Chyba go mam... — odezwał się przez telefon pokładowy. — Skręć ku lotnisku o cztery stopnie.

Odczuł manewr samolotu i skorygował ustawienie kamery, żeby wciąż była wycelowana na ten sam punkt.

— Tak, to musi być on. Jezu, jaki gorący jest ten wahadłowiec! — dodał, oglądając wspaniały obraz statku w podczerwieni. Przewodnik obserwował środkowy ekran telewizyjny.

— Też go widzę. Jaka odległość?

Mistrzunio naprowadził krzyż celownika na jaśniejący obiekt i nacisnął guzik laserowego dalmierza. Tuż nad celownikiem pojawił się na ekranie odczyt cyfrowy.

— Dwadzieścia trzy kilometry. Utrzymuj szybkość i wysokość. Otwieram przegrody uzbrojenia i aktywizuję system kontrolny rażenia.

Głos majora zdradzał coraz większe napięcie. Zawsze zastanawiał się, jak będzie wyglądała prawdziwa wojna.

423

Otworzyły się klapy czterech przegród bombowych i komputer polecił laserowi namierzyć *Intrepida* wiązką niewidzialnych promieni. Od tego momentu, bez względu na manewry bombowca, laser nie spuszczał wahadłowca z oka, każdy bowiem ruch samolotu korygowany był odpowiednim obrotem gondoli laserowej podwieszanej pod jego brzuchem.

— Odległość piętnaście kilometrów, skreć dwa stopnie w prawo — polecił Mistrzunio. — Zmniejsz prędkość do trzy-pięć-zero.

— Dwa stopnie w prawo — powtórzył Przewodnik. — Prędkość trzy-pięć-zero. Powiedz mi, kiedy włączysz auto. Mistrzunio podłączył komputer kontrolujący system rażenia do autopilota.

— Włączyłem — powiedział rzeczowo, nie spuszczać wzroku z ekranu.

Komputer kierujący rażeniem, przetworzywszy dane dotyczące czasu, prędkości i odległości od celu, błyskawicznie i precyzyjnie wyliczył miejsce zrzucenia bomb.

Informacja została przekazana automatycznemu pilotowi, który poprowadził samolot dokładnie według tej instrukcji. Załoga miała kłopot z głowy. Byli już tylko pasażerami.

— Sześć kilometrów do zrzucenia bomb... pięć... cztery... — *Intrepid* na ekranie stawał się coraz większy — trzy... dwa... jeden... bomby naprzód!

Osiem bomb typu Mk 83 Paveway wypadło gładko z uchwytów. Samolot, który stał się lżejszy o cztery tony, gwałtownie podskoczył.

Każdą z bomb firma Texas Instruments Paveway wyposażyła we własny system kierowania; symptomem, poświadczającym, że się włączył, było wysunięcie się stateczników ogonowych. Każda miała na nosie „ryjek” w kształcie muchomora, zawierający krzemowy układ detekcyjny dostrojony do długości fali pokładowego lasera, wynoszącej jeden i sześćdziesiąt cztery tysięczne mikrona. Wyczuwał on odbicie wiązki laserowej od *Intrepida* i przekazywał informację własnemu komputerowi pokładowemu bomby lecącej łukiem przez powietrze. Komputer natychmiast przystosowywał stateczniki ogonowe tak, by tor lotu pocisku przecinał odbitą wiązkę laserową, a jednocześnie przebiegał po stronie wahadłowca.

Niby stado powietrznych rekinów, węszących za „laserową krwią”, bomby spadały, by dopaść swą ofiarę.

*Dzień 5., 14:06 czasu Greenwich, 18:06 miejscowego Intrepid*

Lodowiec jeszcze nie odpiął mocujących go do fotela pasów — zabierał się właśnie do rutynowej kontroli funkcjonowania systemów

4?S



po wylądowaniu. Pozwolił sobie jednak na rozejrzenie się wokół i stwierdził, że usiadł na końcu pasa. Dawniejszych wahadłowców nie wyposażano w spadochrony hamujące. Gdyby nie miał go *Intrepid*, niewątpliwie wyjechałby poza tarmakową nawierzchnię. Zobaczył grupę pojazdów, błyskających sygnałami świetlnymi, dążących drogą dojazdową ku runwayowi. „Jadą powitać swego nowego bohatera” — pomyślał i zaczął się zastanawiać, jak potraktują go Rosjanie. Ciekawe, jak go urządzią? Cholera, gdyby zechciał, mógłby pewnie zamieszkać na Kremlu...? Przypuszczał, że dostałby teraz od nich wszystko, czego by tylko zapragnął. Ponieważ on Julian Kapuściński — dokonał właśnie największego aktu porwania w dziejach piractwa.

Najpierw dojdzie zapewne do konferencji prasowej. Jest po temu okazja! W końcu, dał niewąsko popalić tym cholernym Amerykanom. Za to, co zrobili jego matce. I za to, co jemu zrobiła Felicja. Przez wszystkie te lata musiał postępować według ich reguł po to, by zachować swoją tajemnicę. Teraz wyrównał z nimi rachunki. Pomyślcie tylko. Lodowiec, odznaczony przez samego prezydenta, zwoła na Kremlu konferencję prasową i powie Amerykanom, jak zrobił z nich durmiów. Tak, to będzie duża przyjemność.

W momencie gdy Kapuściński zastanawiał się nad swoją przyszłością, nadleciała pierwsza bomba. Minęła *Intrepida* o włos i grzmotnęła w runway. Siła wybuchu wstrząsnęła wahadłowcem tak gwałtownie, że Kapuściński upadł twarzą na pulpit kontrolny, rozbijając szklany ekran komputera nawigacyjnego i parę lampek kontrolnych. Uderzenie oszołomiło go. Z najwyższym trudem próbował dźwignąć zakrwawioną głowę z uszkodzonych przyrządów. Ostatnią rzeczą jaką zarejestrował jego umysł, zanim uciekło z niego życie, był widok potłuczonego, pokrwawionego szkła sterczącego z monitora komputera nawigacyjnego.

Trzy dalsze bomby nadleciały zaraz po pierwszej i rozerwawsz miękkie aluminiowe poszycie wahadłowca niby harpunny ciało wiele ryba, eksplodowały w jego ładowni. Wybuch rozniósł szeroko wnętrza *Intrepida*. Cztery następne obróciły to, co jeszcze zostało z wahadłowca, w stos pogrzebowy Franka Mulcaheya, Geralda Rodrigueza i pułkownika Juliana Kapuścińskiego.

*Dzień 5., 14:06 czasu Greenwich, 18:06 miejscowego* **Wieża kontrolna w Bajkonurze**

Porwany ogólną euforią, Wostow obserwował całą armię pojazdów pędzących ku wahadłowcowi, a kontroler dalej pstrykał zdjęcia

*A1f,*

kamerą firmy Nikon. „Cóż za wyczyn! — pomyślał Wostow. — Co za sukces!” Czuł już niemal zapach swego fotela w Politbiurze.

Napawał się triumfem, kiedy nagle — nie wiadomo skąd — pojawiło się w powietrzu dziwaczne niesamowite czarne nietoperze skrzydło i poszybowało nad pasem, a w tym samym momencie *Intrepid* eksplodował.

Wybuch wstrząsnął wieżą — wyleciała jedna z wielkich szyb, a podmuch rzucił Wostowa i kontrolera na podłogę.

— Alarmuj baterię obrony przeciwlotniczej, durniu! — wrzasnął główny konstruktor. — To nalot!

*Dzień 5., 14:06 czasu Greenwich, 18:06 miejscowego* **Przewodnik Widm**

— Precyzja! Jak byka w oko! — darł się Mistrzuniu. — Załatwiliśmy go, szefie! Rozpieprzyliśmy w drobny mak! Dobry Jezu, nic z niego nie zostało, tylko dym!

— Wspaniały strzał, Mistrzuniu! Wspaniały strzał! A teraz zmywajmy się stąd. Wyślij wiadomość. Juhuhu!

Przewodnik Widm pociągnął drążek sterowy do siebie i czarne nietoperze skrzydło wzbilo się ku zbawczej kryjówce we wzdętych chmurach.

*Dzień 5., 14:07 czasu Greenwich, 18:07 miejscowego* **Kestrel**

Po zestrzeleniu MiG-a Monaghan wypatrzył równy skalisty płaskowyż o urwistych stokach i skierował tam Kestrela, by wylądować. Lecieli teraz z prędkością nie większą niż sześćset kilometrów na godzinę i zeszli już na siedemset pięćdziesiąt metrów.

— Wściekły Psie, widzę jakiś dym nad kosmodromem! — powiedział podeksycytowany Lamborghini. — Może go załatwili?

— Boże! Mam nadzieję! Teraz nie możemy się tym zajmować. Mam zamiar spróbować usiąść na tym płaskowyżu przed nami.

Odezwał się specyficzny dźwięk sygnalizujący zagrożenie.

— Wściekły Psie, namierzono nas!

— O, kurwa!

Lamborghini rozejrzał się po niebie nad głową, ale nie zobaczył żadnych bandytów. Wtedy spojrzął w dół i zamarł. To leciało stamtąd. Małe zwinne światełko ciągnące za sobą ogon dymu. Ostatni raz widział coś takiego nad Thai Binh w Północnym Wietnamie.

— Wściekły Psie! Leci na nas z dołu pocisk ziemia—powietrze na dziewiątce!

426

Monaghan spojrział w dół i poczuł się absolutnie bezradny. Samolot nie miał napędu — nie mógł się wzbić, nie mógł manewrować. Byli jak kłoda w wodzie.

— Trzymaj się, **Wyścigowo!** — powiedział piskliwie.

To, czego chciał spróbować, było szalone, ale nie potrafił wymyślić niczego innego. Patrzył, jak punkcik rośnie, staje się coraz większy — i w ostatnim możliwym momencie szarpnął dźwignię koło swego fotela. Spadochron hamujący wykłębił się z ogona Kestrela, hamując szybkość pojazdu, a jednocześnie Monaghan pchnął go do lotu nurkowego.

Pocisk nie zdążył się dostosować i świsnął obok nich, eksplodując po paru chwilach. Ani Monaghan, ani Lamborghini nie widzieli wybuchu, gdyż lecieli teraz pionowo w dół.

Płaskowyż pędził na nich. Monaghan odpalił spadochron hamujący i Kestrel zaczął spadać jeszcze szybciej.

— Jesteśmy na miejscu, Wyścigowo! — krzyknął Wściekły Pies, wysuwając podwozie. Kiedy płaskowyż wypełnił cały wiatrochron, pociągnął drążek sterowy z całej siły do siebie, kładąc samolot w ogromnie stromy manewr przyziemienia.

Koła dotknęły ziemi — Lamborghini poczuł, jak podskakują po nierównym terenie. Trzęsło nim na tylnym siedzeniu niemiłosiernie. Ale już po chwili dało się odczuć, że Kestrel wytraca szybkość. „Boże! Ależ majster z tego Wściekłego Psa! Za jednym zamachem udało mu się zrobić unik przed pociskiem ziemia—powietrze i wylądować bez pomocy silnika w górzystym terenie”.

Monaghan zaś miał satysfakcję, jakby udało mu się ujeździć dzikiego konia; Kestrel toczył się już z prędkością zaledwie stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Był zadowolony, szczyrzył zęby w uśmiechu.

Ale raptem, pośrodku płaskowyżu, wjechali na teren o łagodnym spadku. Ku zaskoczeniu pilota zaczęli zjeżdżać w dół coraz szybciej, tak że koła chwilami nie dotykały podłoża. Wreszcie podwozie nie wytrzymało i odpadło z trzaskiem, a kosmiczny myśliwiec ześlizgiwał się dalej, aż zaczął koziołkować, napotkawszy przeciwległy stok.

Monaghan nie dawał za wygraną i klnąc, odruchowo mocował się z drążkiem. Nie miał jednak wpływu na bieg wydarzeń.

W wiatro-chronie wirowało niebo, a potem — ku ich przerażeniu — skalne ściany, zdające się obejmować ich coraz mocniej.

— O Boże! Pete! Przepraszam cię...! — krzyknął Monaghan. A zaraz potem spadli na kamienisty grunt Kazachstanu.

*Dzień 5., 14:08 czasu Greenwich, 16:08 miejscowego* **Kaliningradzkie Centrum Kontroli Lotów**

— Wahadłowiec został całkowicie zniszczony! — żalił się głos z odbiornika. — To był jakiś ogromny samolot. Zjawił się nie wiadomo skąd, zrzucił parę tuzinów bomb i zniknął. Są też straty w pojazdach i ludziach z obsługi naziemnej.

Straszliwa, okropna masakra!

Lament Wostowa dosłownie zwałił z nóg na fotel biednego Popowa.

— Nie do wiary! — mamrotał przygnębiony. — Wszystko poszło na marne! Nasz trud, niebezpieczeństwa, na jakieśmy się narażali, śmierć kosmonautów... Wszystko poszło na marne!

Zaskoczyło go przyjacielskie klepięcie w plecy przez malutkiego przewodniczącego KGB.

— Nie warto się przejmować, towarzyszu generale! — pocieszał go Kostiaszak. — Przejęcie nietkniętego *Intrepida* przestało już być sprawą istotną.

Popów spojrzał nań z niedowierzaniem.

— Przestało być istotne? Co, u diabła, chcecie przez to powiedzieć? Zginęło dwóch naszych kosmonautów! Zabito dwóch amerykańskich! A wy mówicie, że to się już nie liczy?

Malutki przewodniczący z czarującym uśmiechem wyciągnął złotą papierosnicę.

— Naturalnie szkoda, że zginęli. Ale zapewniam was, że wahadłowiec przestał być sprawą istotną... Papieroska, towarzyszu generale?

Popowowi odjęło mowę. Sięgnął po pallmalla.

*Dzień 5., 14:15 czasu Greenwich, 18:15 miejscowego* **Odrzutowiec sekretarza generalnego**

Pilot Iljuszyna, zbliżając się do Bajkonuru, ujrzał już z daleka ciemny pióropusz. Mimo zmierzchu nie miał wątpliwości, że to dym. Zaskoczony, połączył się przez radio z wieżą kontrolną kosmodromu.

— Halo, wieża w Bajkonurze, halo, wieża w Bajkonurze, tu Alfa-Złoto-Jeden, czy mnie słyszycie? Odbiór.

— Słyszemy cię, Alfa-Złoto-Jeden. Odbiór.

— Podchodzę do was z północnego zachodu. Szybkość pięć--osiem--trzy kilometry, wysokość dwa--trzy--zero--zero metrów. Widzę nad wami dym. Co się stało? Odbiór.

Przez chwilę nie było odpowiedzi.

— Nie możemy udzielić wam informacji. To jest obszar zamknięty, nie jesteście upoważnieni.

— Nie jesteśmy upoważnieni? — powtórzył rozbawiony pilot. — Posłuchaj, dupku! Tu Alfa-Złoto-Jeden. Nie domyślasz się, kogo mam na pokładzie?

— To nie moja sprawa, Alfa-Złoto-Jeden. Nie zostałem upoważniony

do udzielania ci jakiegokolwiek informacji o tym, co masz w polu widzenia.

„Cóż za biurokraci” — pomyślał z niechęcią pilot.

— Doskonale, wieżo w Bajkonurze. Porozmawia z wami osobiście mój pasażer. Szybko zmienicie zdanie!

Przekazał stery drugiemu pilotowi i wyszedł z kabiny. Zastał sekretarza generalnego czytającego, przy kolejnym kieliszku wódki, doniesienia Białego TASS-a.

— No i co, jak tam? Dolatujemy? — Partyjny dostojnik miał drobne kłopoty z wysławianiem się.

— Prawie, towarzyszu sekretarzu generalny. Czy mógłbym poprosić was na chwilę do sterowni? Chciałbym wam coś pokazać.

„Wahadłowiec pewnie już wylądował — pomyślał Woroncki. — Szkoda, że nie zdążyliśmy na czas, ale warto obejrzeć go z lotu ptaka”.

— Ma się rozumieć — powiedział, odstawiając kieliszek.

Sekretarzowi generalnemu nie było dane dotrzeć do kabiny pilotów. Kiedy podnosił się z kanapy, eksplodował kilogram plastiku umieszczony potajemnie w komorze podwozia przez pułkownika Borysowa. Wspaniały samolot zamienił się w pomarańczową ognistą kulę na mrocznym niebie.

*Dzień 5., 14:15 czasu Greenwich, 9:15 miejscowego* **Biały Dom**

Zabrzącał telefon Bergstroma. Admirał podniósł słuchawkę. Słuchał dłuższą chwilę, potem odchylił się w fotelu i skierował wzrok na sufit. W pokoju pełno było dymu z cygar.

— Dopadli go! — powiedział w końcu. — Drugi bombowiec widmo go załatwił. Dostaliśmy wiadomość: GOL. Oznacza całkowity sukces.

Członkowie Komitetu Wykonawczego Rady Bezpieczeństwa Państwa odetchnęli z ulgą.

— A co z Kestrem? Co z jego załogą? — spytał wiceprezydent. Bergstrom potrząsnął posępnie głową.

— Któż, u diabła, może wiedzieć? Pewnie nie żyją.

*Dzień 5., 15:07 czasu Greenwich* **Pułap: 206 kilometrów Nachylenie orbitalne: 83 stopnie**

Znowu przechodzili nad Arktyką ku Oceanowi Indyjskiemu. Lubinin raz jeszcze spojrzął na zegarek na przegubie, chociaż nie miało to już żadnego znaczenia. Przyglądał się rozrzucenym wokół nich

szczętkom Sojuza. Początkowo wydawało mu się, że mieli szczęście wychodząc bez szwanku, kiedy statek został trafiony pociskiem — teraz wszakże zastanawiał się, czy nie lepiej było umrzeć gwałtownie.

Spojrzał na swego towarzysza. Jemitow miał czerwoną twarz i przyspieszony oddech. Wkrótce przestanie oddychać i zsinieje — nie miał już tlenu w zbiornikach, została mu tylko resztką w kombinezonie.

— Od paru minut mój wskaźnik jest już czerwony, Wasilij... Ile tobie zostało czasu?

Lubinin spojrzął na licznik.

— Na jakieś trzy minuty, Siergieju.

Jemitowowi coraz trudniej było mówić — duszenie się to bolesny sposób umierania.

— Skoro musi się umrzeć... cóż lepszego dla kosmonauty... od śmierci w kosmosie... wraz z przyjacielem...

Lubinin ścisnął dłoń Jemitowa w niezgrabnej rękawicy.

— Wasilij... — Jemitow był już siny i ledwie mógł coś wyszeptać. — Cieszę się, że odchodzę pierwszy... Zawsze bałem się umierać samotnie...

Lubinin poczuł, że uścisk dłoni Jemitowa nagle osłabł, ale jej nie puszczał. Z kieszonki w rękawie kombinezonu wydobyl małą złotą ikonę na łańcuszku. Dała mu ją kiedyś babcia i zawsze potajemnie zabierał ją ze sobą w kosmos.

— Nie bój się, przyjacielu — powiedział łagodnie do martwego kolegi. — Wkrótce znów będziemy razem.

*Dzień 5., 16:00 czasu Greenwich, 17:00 miejscowego* **Wilkowo nad Morzem Czarnym**

Minister obrony z przyjemnością wychylił kryształową czarę. Było rozkosznie ciepło. Leżąc nad brzegiem basenu wypili już wraz z ministrem spraw zagranicznych dwie butelki mocnego wina.

— Ach... — westchnął minister spraw zagranicznych, wysuszywszy swą czarę. — Nie ma to jak dobre wino mołdawskie.

Czy nie mam racji, Konstantinie?

— Całkowitą, drogi przyjacielu — odpowiedział minister obrony. — Cóż za uroczę popołudnie. Bardzo cię proszę, zostań u mnie na kolacji.

— Z największą przyjemnością, Konstantinie! — skwapliwie przystał stary dyplomata.

— Wydałem dyspozycje, żeby nam podano bażanta. A po kolacji obejrzymy sobie amerykańskie filmy na wideo.

— Wspaniale, Konstantinie. Niezrównany z ciebie gospodarz! — Minister spraw zagranicznych pociągnął kolejny łyk wina i zachichotał. — Wyobrażasz sobie, jak zimno musi być w Moskwie? Dobrze zrobiliśmy, przyjeżdżając tu na weekend.

— To był niegłupi pomysł — zgodził się szef wojska.

W tym momencie doszło ich głośnie walenie w drzwi, ale nie zwrócili na nie uwagi, słysząc kroki śpieszącego do wejścia służącego. Jednakże po chwili dały się słyszeć dalsze hałasy — podniesione głosy i tupot ciężkich butów na marmurowej posadzce. Obaj ministrowie podnieśli głowy i ujrzeni idącego ku nim od strony domu generała KGB w asyście ośmiu umundurowanych funkcjonariuszy, uzbrojonych w pistolety maszynowe Kałasznikowa AK-47. Oddział szybko ustawił się w ordynku przy końcu basenu.

Dwaj członkowie Politbiura wstali na ten widok, próbując wyglądać na tyle oficjalnie, na ile się dało w kąpielówkach.

— Co to ma znaczyć?! — ryknął minister obrony. — Cóż wy tu, do diabła, robicie?

— Jestem z Komitetu Bezpieczeństwa Państwa — powiedział spokojnie generał. — Wy, towarzyszu, i towarzyszu minister spraw zagranicznych jesteście aresztowani.

— Aresztowani? — warknął stary dyplomata. — A na jakiejże to podstawie zamierzacie nas aresztować?

Generał miał gotową odpowiedź.

— Jesteście oskarżeni o zdradę stanu. A ściśle mówiąc, o podżeganie do wojny i narażanie ojczyzny na uderzenie atomowe oraz

**0** nieudolność w chronieniu jej przed atakami bombowców amerykańskich.

— To jakiś obłąd! — ryknął stary wojskowy i przywołał Kozaka ze swej ochrony osobistej. Zza pleców funkcjonariuszy wyłonił się gorylowaty facet w mundurze sierżanta, wymachując rewolwerem. Nie można było odmówić mu lojalności ani odwagi. Otworzył ogień

1 zdołał powalić dwóch żołnierzy z obstawy KGB. Wykazał wszakże brak rozsądku tym frontalnym atakiem, gdyż salwa sześciu pozostałych pistoletów Kałasznikowa rozerwała go na strzępy. Wpadł do basenu, którego krystaliczna woda zabarwiła się wkrótce jego krwią.

Dwaj ministrowie stali zaszokowani. Nie stawiając oporu dali sobie założyć kajdanki i zaprowadzić do czekającego przed daczą opancerzonego samochodu.

*Dzień 5., 22:37 czasu Greenwich, 00:37 miejscowego **Kreml***

Kiedy z cebulastych kopuł Kremla zniknęły śnieżne czapy, zabłysły w nich odbicia latarni. Nocna sceneria była jak z baletu „Dziadek do orzechów”.

Jedenastu skwaszonych ludzi, którzy zasiedli wokół wielkiego stołu konferencyjnego, nie miało wszakże głowy, by delektować się jej pięknem. Wszyscy byli zirytowani wezwaniem na nagłe posiedzenie

Biura Politycznego, dezorganizujące im niedzielny wieczór. Zwołano je dobrze po północy z powodów, o których nie zostali dotychczas poinformowani.

Siedzieli utyskując, kiedy otworzyły się drzwi biura sekretarza generalnego i do sali wszedł przewodniczący KGB Witalij Kostiaszak, niosąc pod pachą trzy grube aktówki. Usiadł u szczytu stołu, na miejscu zwyczajowo zarezerwowanym dla sekretarza generalnego. Niejedne brwi uniosły się w górę na takie naruszenie protokołu.

— Towarzysze! — powiedział Kostiaszak zbolalym głosem. — Wybaczenie, że zostaliście tu wezwani tak nagle. Ale kiedy wypoczywałem dzisiaj na daczce, doszły do mojej wiadomości informacje

o pewnych wydarzeniach, świadczące niepodważalnie, że od kilku dni narażano w sposób skandaliczny bezpieczeństwo naszej ojczyzny. Tak! Najżywotniejsze interesy Związku Sowieckiego zostały wystawione na szwank na skutek najpotworniejszej intrygi, jaką kiedykolwiek uknuto w dziejach naszego państwa. Intrygi wręcz niesłychanej! Zebranych zaskoczyła gwałtowność i siła tej wypowiedzi. Zmieszani patrzyli jeden na drugiego.

— Cóż to za potworny spisek, towarzyszu przewodniczący? — zapytał tęgi minister rolnictwa.

Kostiaszak postukał piallmallem o blat stołu, następnie powoli, jakby od niechcenia, zapalił go, pozwalając, by napięcie rosło.

— Dziś rano skontaktował się ze mną pewien patriota. Sowiecki patriota, który, nie bacząc, że się naraża osobiście — miał dość odwagi, by się zgłosić i wyjawić tę zdradziecką zbrodnię przeciw ojczyźnie i naszej partii... Stało się coś niewiarygodnego. Otóż, sekretarz generalny Woroncki, przywódca naszej partii i naszej ojczyzny, na własną rękę — Kostiaszak rozejrzał się po zebranych — porwał i sprowadził na kosmodrom Bajkonur amerykański wahadłowiec kosmiczny!

Obecni wydali zduszone westchnienia i zaczęli półgłosem wymieniać między sobą uwagi. Po chwili zabrał głos minister górnictwa.

— Ukradł Amerykanom wahadłowiec? Nie rozumiem. Po co?

— W jaki sposób?

Kostiaszak pochylił się do przodu.

— Dlaczego to zrobił, wydaje się oczywiste. Jak wszyscy wiemy, pozycja sekretarza generalnego stała się niepewna od czasu, kiedy straciliśmy oba nasze wahadłowce, *Burana* i *Susłowa*. Rozmawiałem osobiście na ten temat z każdym z was, towarzysze. Woroncki poważił się na desperacki akt piractwa uważając najwidoczniej, że porwanie amerykańskiego wahadłowca umocni jego pozycję. Bez wiedzy i aprobaty Biura Politycznego czy Komitetu Centralnego nadużył władzy, by wymusić na Ministerstwie Spraw Kosmicznych wyegzekwowanie swego zdradzieckiego planu... To wyjaśniałoby, po co to zrobił, towarzyszu. Żeby odpowiedzieć na pytanie, jak to

28 — Zdobyc.



przeprowadził, postawię przed wami patriotę, który odważnie zgłosił się i wyjawiał tę podłą zbrodnię.

Skinął głową pułkownikowi Borysowowi. Otworzyły się drzwi i pojawił się w nich krępy patriota.

— Towarzyszu generale poruczniku Likadiju Popów! — zaczął beznamiętnym głosem Kostiaszak. — Sprowadziłem was przed oblicze moich kolegów z Biura Politycznego, byście mogli dać świadectwo, że sekretarz generalny Woroncki, działając nielegalnie, na własną rękę, wprowadził w jakiś sposób swego agenta na pokład amerykańskiego wahadłowca kosmicznego *Intrepid* i zmusił was, byście wykorzystali wasze stanowisko dyrektora operacyjnego lotów kosmicznych do sprowadzenia owego statku kosmicznego na kosmodrom Bajkonur. — Bawiac się wykonanym z kości słoniowej guzikiem swego dwurzędowego garnituru, Kostiaszak ciągnął dalej: — Jesteście tu, żeby zeznać, że sekretarz generalny Woroncki spiskował i działał w zмовie z Iwanem Pirdilenką z kosmodromu w Plesiecku, żeby zestrzelić inny wahadłowiec, który Amerykanie wysłali, chcąc zapobiec utracie porwanego statku. Zostało to dokonane z pogwałceniem traktatu antysatelitarnego, zawartego ze Stanami Zjednoczonymi.

Jesteście tu również, towarzyszu, by zeznać, że wahadłowiec *Intrepid* rzeczywiście wylądował w Bajkonurze. — Kostiaszak sięgnął do jednej z teczek i wyjął plik zdjęć przedstawiających lądowanie *Intrepida*. Rzucił je na stół i każdy z członków Politbiura wziął jedno do ręki. — Wreszcie, towarzyszu generale, jesteście tu, by zaświadczyć, że przez ostatni miesiąc sekretarz generalny Woroncki i jego nikczemni współpracownicy — grożąc użyciem broni — zmusili was do współpracy. I że tylko z wielkim narażeniem osobistego bezpieczeństwa udało wam się skontaktować dziś rano ze mną w mojej daczce i powiadomić o tym przestępstwie. Czy jesteście gotowi oświadczyć, towarzyszu generale, że wszystko, co tutaj powiedziałem, to stuprocentowa prawda?

Popów nie był głupcem. Gdyby odpowiedział: Nie, towarzyszu przewodniczący, to, co powiedzieliście, jest nieściste — zostałby poddany bolesnym przesłuchaniom, a następnie przewieziony do kazamatów więzienia lefortowskiego. Natomiast potwierdzając prawdziwość słów Kostiaszaka, mógł liczyć na lepszy los. Stwierdził więc:

— Tak, towarzyszu przewodniczący, to prawda. Szef KGB wypuścił z ulgą ogromny kłęb dymu.

— Zaslugujecie na pochwałę, towarzyszu generale! — powiedział z szacunkiem. — Ojczyzna wiele wam zawdzięcza!

Tęgi minister lotnictwa wziął do ręki zdjęcie *Intrepida* lądującego na pasie w Bajkonurze.

— To nie do wiary! — powiedział półgłosem. — Absolutnie niewiarygodne. Porwaliśmy amerykański wahadłowiec kosmiczny? To przechodzi wszelkie wyobrażenie. Jestem głęboko dotknięty, że

zrobiono to bez naszej wiedzy. Ale kiedy się nad tym zastanawiam... nie widzę niczego złego w przywłaszczeniu sobie amerykańskiego statku kosmicznego. Prawdę mówiąc, nie jest to pomysł, który bym potępiał.

W Kostiaszaka wstąpiła dzika bestia.

— Ach, ty dumny bałwanie! Myślisz, że to świetny kawał, co? Niewinny figiel uczniaka? — Z kolei zwrócił się do Borysowa: — Wprowadzić pułkownika!

Drzwi otworzyły się ponownie i wszedł zażywny człowiek w średnim wieku o siwych falujących włosach w mundurze pułkownika wojsk przeciwlotniczych. Trzęsły się pod nim kolana.

— Towarzyszu pułkowniku Leonów — odezwał się uprzejmie Kostiaszak — czy pełniliście dziś obowiązki oficera dyżurnego w Centrum Ostrzegania Obrony Powietrznej w Magnitogorsku?

Pułkownik odchrząknął.

— Tak jest, towarzyszu przewodniczący.

— Bądźcie tak uprzejmi i opowiedzcie nam, co się wydarzyło dziś po południu.

Leonów przełknął ślinę. Nigdy jeszcze nie czuł się tak wystraszony.

— Dobrze, towarzyszu — zaczął ostrożnie. — Kiedy obejmowałem dziś służbę w Magnitogorsku, stwierdziłem nadzwyczajnie wysoki stopień gotowości amerykańskich sił strategicznych. Ponad sto ich bombowców i tankowców zajmowało pozycję nad lodami Arktyki, niemal na skraju zasięgu pocisków samosterujących, w które są wyposażeni. — Leonów ponownie przełknął ślinę. — Nigdy jeszcze nie widziałem tak wysokiego stopnia ich gotowości. Było to dla mnie zaskakujące, gdyż nie zostałem powiadomiony normalnymi kanałami o żadnych ćwiczeniach wojskowych. Jak wiecie, towarzysze, uzgodniliśmy z Amerykanami, że informujemy się nawzajem o manewrach na poważniejszą skalę. Z uwagi na ów brak powiadomienia, nasze myśliwce w północnych okręgach zostały postawione w stan alarmowy... Następnie, dziś po południu, jeden z naszych myśliwców przechwytyjących wykrył dwa niewidzialne bombowce amerykańskie w sowieckiej przestrzeni powietrznej w pobliżu Bajkonuru.

— Niewidzialne bombowce? — zapytał wiekowy ideolog partyjny.

— Tak, towarzyszu ministrze — odparł pułkownik. — To samoloty tak skonstruowane, żeby nie można ich było wykryć radarem. Muszę z łałem powiedzieć, że istotnie udały się Amerykanom. Gdyby nasz pilot nie natknął się na nie przypadkiem i nie zobaczył ich, nie wiedzielibyśmy, że się tam znajdują.

— To nadzwyczaj niepokojące! — odezwał się grubym głosem zażywny minister górnictwa.

— Kontynuujcie, towarzyszu pułkowniku! — polecił Kostiaszak.

— Tak jest, towarzyszu. Nasz pilot zobaczył te bombowce i udało mu się jeden z nich zestrzelić...

— Wspaniale! — wykrzyknął minister rolnictwa, wznosząc potężną pięść. — Cóż za sukces sowieckiej obrony przeciwlotniczej!

— Zgoda, towarzyszu. Ale było pochmurno i pilot stracił z oczu drugi bombowiec... W tym samym czasie nasza stacja radarowa nad Morzem Kaspijskim dostrzegła dwa niezwykle obiekty wlatujące w sowiecką przestrzeń powietrzną z Afganistanu. Poruszały się niesłychanie wysoko, z niewiarygodną prędkością. Dopiero później udało nam się stwierdzić, że był to amerykański wahadłowiec oraz jakiś mniejszy pojazd kosmiczny, ale wówczas tego nie wiedziałem. Owe nie zidentyfikowane obiekty oraz niewidzialne bombowce doprowadziły mnie do przekonania, że nie zasygnalizowana obecność samolotów amerykańskich nad Arktyką to nie ćwiczenia. Uznałem, że może oznaczać niespodziewany atak na Związek Sowiecki. Powiadomiłem więc Centrum Dowodzenia Strategicznych Sił Rakietowych i zaleciłem ogłoszenie alarmu Potrójnego Czerwonego Omikrona.

— Potrójnego Czerwonego Omikrona?! — warknął szczupły minister nauki w okularach. — To przecież zalecenie uderzenia wyprzedzającego.

— Zgadza się, towarzyszu ministrze — przyznał Leonów. — Ale w świetle faktów wydawało mi się, że nie mam innego wyboru.

Minister nauki rozwścieczył się.

— Jestem członkiem Państwowej Rady Wojennej. Czemu nie zostałem poinformowany?

— Doskonałe pytanie, towarzyszu! — powiedział Kostiaszak. — Ja również jestem członkiem Państwowej Rady Wojennej i też nie zostałem poinformowany. Dlaczego tak się stało? Co o tym myślicie, towarzyszu pułkowniku?

Leonów zaczął się jąkać.

— Nie mam pojęcia, towarzyszu. Mogę tylko powiedzieć, że dyżurny dowódca Strategicznych Sił Rakietowych w randze generała został powiadomiony zgodnie z obowiązującymi przepisami i powiedział, że zarządzi alarm Potrójnego Czerwonego Omikrona.

— Ale w takim wypadku powinienem zostać poinformowany poprzez specjalny system łączności — powiedział z zajądłością minister nauki. — Podobnie jak i wy, towarzyszu przewodniczący.

— Z całą pewnością! — zgodził się Kostiaszak. — To byłoby wszystko, towarzyszu pułkowniku. Dobrze wypełniliście wasz obowiązek. Możecie odejść.

Leonów niemal pędem opuścił salę.

— A więc, jesteście w domu! — powiedział jadawicie Kostiaszak. — Został porwany amerykański wahadłowiec, amerykańskie bombowce gotują się do zaatakowania nas pociskami dalekiego zasięgu, a niewidzialne bombowce penetrują sowiecką przestrzeń powietrzną! — Zwrócił się do ministra rolnictwa: — Czy nadal uważacie, że to był niewinny żart?

Tęgi minister szeroko rozsiadł się w fotelu.

— No, ale w końcu nic takiego się nie stało...

— Nic się nie stało? — warknął Kostiaszak.

Wyciągnął następny plik fotografii i rzucił je na stół. Członkowie Politbiura podnieśli je i zobaczyli czerniejące kratery po bombach na bajkonurskim pasie oraz porzrzucone wokół kawałki części ogonowej i podwozia *Intrepida*.

— Drugi niewidzialny bombowiec rozpieprzył wahadłowiec w drobny mak. A Amerykanie niewątpliwie byli gotowi zrobić więcej, żeby nie dopuścić, by wpadł w nasze ręce. Czy nadal porywanie wahadłowców podoba się wam, towarzyszu ministrze?

Indagowany rozparł się w fotelu jeszcze bardziej, ale milczał. Tylko oczy błyszczały mu spod krzaczastych brwi.

— Niemniej jednak podjęte środki wydają się nader ostre, jak na utratę wahadłowca — wyraził opinię minister górnictwa.

— Można by oczekiwać protestów, nawet gróźb. Tak właśnie zareagowaliśmy, kiedy ten zdrajca Bielenko uciekł MiG-iem 25 do Japonii. Ale wysyłać samoloty bojowe w głąb terytorium sowieckiego? I podprowadzać tak blisko bombowce z bronią jądrową? A wszystko z powodu jednego wahadłowca? To mnie zarówno dziwi, jak niepokoi.

— Słusznie — zgodził się Kostiaszak. — Ale wiem od wywiadu, że ten szczególny wahadłowiec wiozł na pokładzie ważne elementy dla ich platformy kosmicznej. Ogromnie ważne składniki, mające związek z technicznym przełomem, jakiego w tym zakresie dokonali. Były tam części niesłychanie zaawansowanego komputera oraz jakiś izotop potrzebny do czegoś, co się nazywa...

— Kostiaszak starannie sprawdził w notatkach — laserem promieni gamma.

— Ach — powiedział szczupły minister nauki — to wyjaśnia, czemu podjęli tak wyjątkowe środki, żeby go zniszczyć. — Patrzył przez chwilę w zamyśleniu w sufit, potem zdjął okulary. — Gdybyśmy się znaleźli w podobnej sytuacji, niewykluczone, że bylibyśmy zmuszeni do równie desperackich kroków.

— Z pewnością! — zgodził się Kostiaszak. — Tym bardziej że Amerykanie łatwo się podniecają i bywają nieobliczalni. Znacznie bardziej niż Afgańczycy. Właśnie dlatego to, co zrobił Woroncki, było takie groźne. Próbując umocnić własną pozycję, niemal wciągnął nas w wojnę nuklearną z Amerykanami. Popelnił szaleństwo, towarzysze! Zbrodnicze szaleństwo! Minister rolnictwa nie miał zamiaru poddać się tak łatwo. Pochylił się do przodu, kładąc na stole muskularne ręce.

— Wydaje wam się, że uwierzymy, iż sekretarz generalny Woroncki, działając całkowicie na własną rękę, spiskował bez naszej wiedzy, aby porwać amerykański wahadłowiec? Uważam, to za niemożliwe. Jeśliby rzeczywiście tak było, Amerykanie narobili by gwałtu. Gdzież są ich protesty? Ich groźby? Wrzaski oburzenia piętnujące akt porwania?

— Macie absolutną słuszość, szanowny towarzyszu — odparł Kostiaszak. — Woroncki nie działał sam. Miał współników. Amerykanie zaś istotnie, jak to określiliście, pieklili się. — Poprawił jedwabny krawat, a potem zwrócił się do Borysowa: — Wprowadzić więźniów!

Drzwi-otworzyły się ponownie. Tym razem wepchnięto przez nie dwie postacie w kajdankach. Postawny minister obrony nie miał na sobie, jak zazwyczaj, świetnego munduru z hektarem wstążek i medali, a minister spraw zagranicznych — włoskiego garnituru ani borsalina. Obaj byli w zgrzebnej, szarej, wełnianej odzieży przysługującej pensjonariuszom zarejestrowanym w lefortowskim więzieniu.

— Co to wszystko ma znaczyć?! — ryknął minister obrony.

— Żądam, żeby natychmiast zdjęto ze mnie te łańcuchy! — zawtórował mu minister spraw zagranicznych.

Kostiaszak, nieporuszony, otworzył energicznie aktówkę.

— Ministrze obrony, Konstantinie Żołobow, jesteście oskarżeni o zdradę stanu. Zarzuca się wam celowe zatajenie ostrzeżenia przekazanego przez Strategiczne Siły Rakietowe, zalecającego zarządzenie alarmu Potrójnego Czerwonego Omikrona, po to, by nie dopuścić do wykrycia przez Radę Wojenną waszej zdrady. Stoicie też pod zarzutem zaniedbań w obronie ojczystych granic przed bombowcami amerykańskimi, które zrzuciły bomby na sowiecką ziemię. Obwinia się was o narażanie kraju na konflikt nuklearny. Czy macie coś na ten temat do powiedzenia?

Minister obrony tak gwałtownie mocował się z kajdankami, że wyglądało, jakby miały pęknąć.

— Co się tutaj dzieje?! — krzyknął. — Jaki alarm? Co za bomby? To jakieś szaleństwo! To spisek!

— Założyłbym się, że nic nie wiecie również o porwaniu wahadłowca? — kpił prowokacyjnie Kostiaszak.

— O czym?! — wrzasnął minister obrony głosem pełnym niedowierzania.

Kostiaszak skinął głową Popowowi.

— Towarzyszu generale?

„O, do diabła” — pomyślał Popów. Dasz kopiejkę, zabiorą ci rubla! Wybacz, stary druhu, ale nie mam wyboru. Niechętnie wzruszył ramionami i powiedział:

— To właśnie minister obrony groził mi rewolwerem. Naprawdę się bałem.

— Nie do wiary! — zachnął się minister nauki.

— Zabrać go! — rozkazał Kostiaszak.

— Likadij! Co ty mówisz?! — wrzeszczał minister obrony, starając się rozerwać kajdanki, ale jeden ze strażników KGB walnął go pałką w żołądek i stary żołnierz runął bezwładnie na podłogę. Wywleczono go z sali.

— A jeśli idzie o was, ministrze spraw zagranicznych — zapienił

się Kostiaszak — chciałbym, żebyście wyjaśnili teksty depesz, jakie uzyskaliśmy z MSZ. Borysów rozdał kopie.

— Pierwsza jest od ambasadora Jakowlewa. Donosi o podejrzaniach Amerykanów, że Związek Sowiecki komunikuje się z ich wahadłowcem kosmicznym. W waszej odpowiedzi stwierdzacie, że wy oraz minister obrony zbadaliście tę sprawę i że nie ma mowy o żadnej łączności — wierutne kłamstwo, w życiu nie słyszałem gorszego. Następna depesza od Jakowlewa donosi o wściekłości Amerykanów z powodu zniszczenia ich wahadłowca *Constellation*, który wysłali, by przechwycić *Intrepida*. Ambasador ostrzega, że grożą odwetem militarnym. A wy, co robicie? Wysyłacie to! — Kostiaszak potrząsnął trzymaną w ręku kartką. — Zalecamie naszemu czcigodnemu ambasadorowi, żeby nic nie robił i nabrał wody w usta! Żeby milczał!

— Dwie pierwsze depesze są autentyczne — powiedział stary dyplomata. — Minister obrony i ja rzeczywiście badaliśmy tę sprawę i nie stwierdziliśmy niczego podejrzanego. Nic nie wiem o dwóch pozostałych.

— A więc dopuściliście się wprowadzenia w błąd naszego ambasadora. A nie znane wam rzekomo dokumenty pochodzą z centrum łączności MSZ. Instrukcje dla Jakowlewa zostały przez was podpisane. Jakże więc możecie twierdzić, że nic o nich nie wiecie?

— Naprawdę nie wiem — upierał się stary dyplomata. — Wszystkimi depeszami przychodzącymi i wychodzącymi z mojego biura zajmuje się mój osobisty sekretarz. Wystarczy go zapytać, a powie wam, że dwie ostatnie są sfabrykowane. Kostiaszak parsknął śmiechem.

— Macie na myśli Aleksandra Kulikowa, tego, który zawsze usługiwał wam na posiedzeniach Politbiura?

— Tak! — odpowiedział gniewnie minister. — Sprowadźcie go tutaj, a powie wam, że to wszystko jest wysane z palca!

— Nie powoływałbym się na jego świadectwo, towarzyszu ministrze. Wasz sekretarz to francuski szpieg.

Wszyscy obecni ponownie wstrzymali oddech, kiedy Kostiaszak wyciągnął i położył na stole kolejną teczkę.

— Tutaj jest wszystko. Stenogramy z konspiracyjnych spotkań z francuskimi „dyplomatami”, nagrania z podsłuchu, zdjęcia, przekazywane informacje. Dosłownie wszystko. Wasz sekretarz osobisty współpracował ściśle z Francuzami.

Minister nie zamierzał ustąpić.

— Domagam się, żeby sprowadzić tu Kulikowa jako świadka!

— Niestety — powiedział cicho Kostiaszak — nie ma takiej możliwości. Zanim dowiedziałem się dziś rano o tym spisku, Kulikow uciekł samolotem Air France do Paryża. Oficerowie z kontroli paszportowej twierdzą, że miał wizę wyjazdową z waszym podpisem.

Widać było, że usłyszawszy to, stary dyplomata aż się ugiął. Zrozumiał, że opuściło go szczęście, tak długo pozwalające mu przetrwać.

— Wyprowadzić! — zarządził Kostiaszak.

Nie chcąc narażać swego starego ciała na uderzenia, minister spraw zagranicznych wyszedł bez sprzeciwu. Wyglądał niewiarygodnie słabo.

— Widzicie więc, towarzysze, co się stało. Pośród nas działał człowiek, któremu władza odebrała rozum. Woroncki doprowadził ojczyznę na krawędź wojny nuklearnej. Gdyby nie odważne działanie generała Popowa, strach pomyśleć, do czego mogłoby to doprowadzić.

Minister nauki potrząsnął głową i zwrócił się do Popowa.

— Możecie być z siebie dumni, towarzyszu generale. Muszę przyznać, że nielatwo w to wszystko uwierzyć. Musimy sprowadzić tu i poddać przesłuchaniu sekretarza generalnego Woronckiego.

Kostiaszak spuścił oczy i przyciszonym głosem powiedział:

— Niestety nie jest to możliwe. Minister nauki podniósł brwi.

— Nie jest możliwe?

— Właśnie tak, towarzyszu — odparł Kostiaszak żalobnym tonem. — Otrzymałem wiadomość, że samolot sekretarza generalnego rozbił się, podchodząc do lotniska przy kosmodromie Bajkonur. Nikt się nie uratował. Najwidoczniej Woroncki leciał tam, żeby osobiście czuwać nad sytuacją. Niestety, nie stanie przed obliczem sowieckiego wymiaru sprawiedliwości. Wiadomość zaszokowała zebranych. Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie odezwał się minister górnictwa.

— Zastanówmy się zatem, co należy zrobić?

— Podzielał wasze uczucia wobec tak niewybaczalnej zdrady, towarzyszu — powiedział ponuro Kostiaszak. — To był zawstydzający rozdział naszej historii. Ale stosunki z Amerykanami nadal są napięte. Byłbym za bezzwłocznym wysłaniem listu do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Poinformujemy go, że nowe kierownictwo Związku Sowieckiego całkowicie odcina się od wrogich akcji podjętych przez dotychczasowego sekretarza generalnego. Poprosimy o wycofanie bombowców i wezwiemy do spotkania na szczycie, by okazać naszą dobrą wolę. Musimy działać szybko!

Minister górnictwa kiwnął głową.

— Zgadzam się — powiedział — ale najpierw musimy wybrać nowego sekretarza generalnego.

— To prawda — przyznał Kostiaszak. — I muszę wam wyznać, że w obliczu tak poważnego kryzysu, jako strażnik i obrońca interesów partii, nie widzę innej kandydatury na to stanowisko... — tu dla efektu zrobił pauzę — jak moja własna.

Kwadrans później Witalij Kostiaszak wyszedł z sali konferencyjnej Biura Politycznego jako nowy sekretarz generalny KPZS.

Po zgłoszeniu własnej kandydatury przez szefa KGB pozostali członkowie Politbiura spojrzeli na puste fotele ministrów obrony i spraw zagranicznych, a potem na Kostiaszaka siedzącego u szczytu stołu, na miejscu zarezerwowanym dla sekretarza generalnego.

Zrozumieli. Rzucono im rękawice. Gdyby chcieli spróbować usunąć Kostiaszaka z tego fotela, oznaczałoby to walkę na śmierć i życie z człowiekiem dysponującym potwornym aparatem KGB. A przegranie takiej konfrontacji oznaczałoby, i to dosłownie, utratę wszystkiego. Nie uśmiechało im się ryzykowanie swych dacz, zagranicznych garniturów, ziłów, bogato wyposażonych mieszkań, dostępu do specjalnych klinik, sympatii płci odmiennej (a choćby i tej samej). Toteż klika zasiadająca w sali konferencyjnej zdecydowała, że ten młody facet, Kostiaszak, będzie całkiem dobrym sekretarzem generalnym. Wybór był jednomyślny.

Po pośpiesznym toaście, spełnionym szampanem, Kostiaszak wysłał pułkownika Borysowa do kremlowskiego centrum łączności z listem do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Następnie zabrał Popowa do swego prywatnego biura na krótką rozmowę w cztery oczy.

— Powinniście być aktorem, towarzyszu generale! — powiedział ze szczerym podziwem.

— Nie miałem wielkiego wyboru! — odpowiedział otwarcie Popow.

Kostiaszak kiwnął głową.

— Naharowaliście się ciężko, towarzyszu, a mamy jeszcze wiele do omówienia. Teraz jesteście z pewnością zmęczeni. Mój szofer odwiezie was do domu. Powiedźcie żonie, że nowy sekretarz generalny jest jej zobowiązany za to, że tak długo nie miała z was żadnego pożytku.

Popow kiwnął głową, ale nie wychodził.

— Nie chcę się wtrącać, ale trochę się dziwię. A co z Pirdilenką? Wspomnieliście o nim. A z Wostowem? Obaj mają przyjaciół i stosunki. Mogą mówić, narobić kłopotu.

Nowy sekretarz generalny westchnął z zadumą i wyjrzał przez okno.

— Widzę, towarzyszu generale, że nie przekazałem wam tragicznych nowin. Helikopter, którym towarzysz Pirdilenko wracał do Plesiecka, rozbił się... a towarzysz Wostow zginął podczas amerykańskiego nalotu na Bajkonur.

Popowa zatkało.

— Zginął podczas nalotu? Przecież rozmawialiśmy z nim później...

— Towarzysz główny konstruktor został zabity podczas nalotu — powtórzył Kostiaszak. Potem odwrócił się i spojrzał Popowowi



w oczy. — Wiem, wydaje się to wam odrażające, towarzyszu generale, ale u nas, w wywiadzie, określamy to krótko: oba końce w wodę...

Popów choć całkowicie oszołomiony, kiwnął głową na znak, że rozumie. Z niepokojem przyglądał się małemu człowieczkowi.

— A co będzie ze mną? Czy jestem jednym z tych końców? Nowy sekretarz generalny odpowiedział łagodnie, kładąc dłoń na zwalistym barku generała.

— Nie, towarzyszu, nie obawiajcie się. Widzicie, Wostowa i Pir-dilenkę rozpierała ambicja, a poza tym jak sami wspomnieliście, mogli sprawiać kłopoty. Natomiast wy nie jesteście przesadnie ambitni. Nie stanowicie więc zagrożenia dla moich planów.

Popów odetchnął z ulgą. Ale sumienie nie pozwalało mu wymazać z pamięci tych, którzy stracili życie.

— Wydaje mi się, że osiągnęliście to, czegoście chcieli: stanowisko sekretarza generalnego. Muszę się już z wami pożegnać, żeby powiadomić rodziny kosmonautów Lubinina i Jemitowa o ich śmierci.

Kostiaszak wziął Popowa pod ramię i odprowadził do drzwi.

— Towarzyszu generale! Podczas całej tej awantury podziwiałem waszą troskę o podwładnych. Będzie jeszcze okazja, by dłużej pogadać, ale zanim się rozstaniemy, muszę wam na pożegnanie przekazać dwie myśli. Po pierwsze, nie bierzcie za dobrą monetę tego wszystkiego, co się działo w ostatnich dniach — nie zawsze jest tak, jak się wydaje. A po drugie, nie myślcie pod żadnym pozorem, że zrobiłem to wszystko dla zaspokojenia samolubnych ambicji. Przekonacie się jeszcze, że jestem, podobnie jak wy, patriotą... Dobrej nocy, towarzyszu generale!

I Kostiaszak zamknął drzwi za osłupiałym Popowem.

Pozostawszy sam, nowy sekretarz generalny podszedł do wielkiego wykuszowego okna i przysiadł na podokiennej ławie.

Wyciągnął ze złotej papierośnicy ostatniego pallmalla i zapalił go zapalniczką Dunhilla. Potem spojrzął na plac cerkiewny. Stwierdził, że śnieg przestał padać. Latarnie już pogaszono, a na niebie rozstępowały się chmury, odsłaniając migocące gwiazdy.

Kostiaszak odchylił się do tyłu, kontemplując ten widok. Miłe odprężenie ogarniało całe ciało. Rozpamiętywał burzliwe wydarzenia ostatnich pięciu dni, a kiedy się zrelaksował, sięgnął pamięcią głębiej w przeszłość, aż do czasów, gdy studiował w Princeton. Zajmował się wówczas nie tylko biografią prezydenta Franklina Roosevelta. Badał również szczegółowo życie i pisma florenckiego notabla i dyplomaty, który nazywał się Niccolò Machiavelli.

Zawsze uważał, że historia potraktowała tego szesnastowiecznego polityka po macoszemu, gdyż z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu jego imię stało się synonimem podstępnego, zdradzieckiego postępowania. W rzeczywistości wszakże Machiavelli był niesłychanie zdolnym

urzędnikiem państwowym o wzniosłych ideałach, a w działaniach, które podejmował, kierował się czystym pragmatyzmem. Zastanawiając się nad wydarzeniami minionego tygodnia, nowy sekretarz generalny przypomniał sobie zwłaszcza jeden ustęp z arcydzieła Machiavelle-go, z którym zapoznał się podczas studiów i właśnie teraz zastosował w praktyce: „Przeto książę, zmuszony umieć posługiwać się dobrze naturą zwierząt, powinien spośród nich wziąć za wzór lisa i lwa, albowiem lew nie umie unikać sidła, a lis bronić się przed wilkami. Trzeba przeto być lisem, by wiedzieć, co sidła, i lwem, by postrach budzić u wilków”.

*Dzień 5., 23:53 czasu Greenwich, 18:53 miejscowego* **Pentagon**

Sierżant służby technicznej Jack Donley z Korpusu Łączności Armii Stanów Zjednoczonych siedział głęboko w fotelu, popijając kawę i przeglądając najnowszy numer „Sports Illustrated”. Płowłosy były baseballista miał się właśnie na dobre zadomowić na tej zmianie i zabrać do czytania artykułu o drużynie Chicago Cubs ze swego rodzinnego miasta, kiedy dalekopis nagle się ożywił. Terkotanie szybko piszącej drukarki tak zaskoczyło Donleya, że omal nie rozlał kawy. Spojrzał na zegarek i zdziwił się jeszcze bardziej. Cóż to, u diabła, mogło być? Do cegodzinnej rutynowej kontroli funkcjonowania połączenia brakowało aż trzydziestu siedmiu minut. A tymczasem drukarka nie przestawała terkotać.

Sierżant wstał i podszedł do niej. Zobaczył, że wypływa z siebie strumień wyrazów pisanych cyrylicą. Dopiero wtedy dotarło do niego, że to nie test. Że połączenie działa naprawdę. Jezu! Zadzwoził po tłumacza.

Donley był dyżurnym operatorem „gorącej linii” dalekopisowej, łączącej Waszyngton z Moskwą. Zainstalowana po kryzysie wywołanym przez sowieckie rakiety na Kubie miała umożliwić szybkie bezpośrednie kontakty pomiędzy prezydentem Stanów Zjednoczonych a najwyższym kierownictwem Związku Sowieckiego. Początkowo była to linia kablowa, ale z czasem zastąpiono ją doskonalszym systemem, wykorzystującym jako przekaźniki satelity telekomunikacyjne Molnia i Intelsat. Wprawdzie Hollywood wpoił fałszywe przekonanie, że gorąca linia to połączenie telefoniczne — w rzeczywistości jednak była urządzeniem dalekopisowym, którego funkcjonowanie kontrolowano co godzina. Rosjanie nadawali nim po rosyjsku, Amerykanie po angielsku.

Po raz pierwszy skorzystano z gorącej linii na większą skalę w czerwcu 1967 roku, podczas arabsko-izraelskiej wojny sześciodniowej. Wymieniali wówczas parokrotnie oświadczenia prezydent

Lyndon Johnson i premier Aleksiej Kosygin. Umożliwiło to obu przywódcom sondowanie — bez zwłoki towarzyszącej pośrednictwu normalnych kanałów dyplomatycznych i bez obawy przekłamania informacji — jak daleko można się posunąć nie wywołując wojny światowej. Było to ważne udogodnienie w warunkach szybko narastającego kryzysu.

Zjawił się tłumacz; mól książkowy w okularach, w randze porucznika marynarki — w cywilu doktorant na wydziale języków nowożytnych Uniwersytetu Georgetown

— Co tam macie? — spytał niedbale.

— Ni cholery nie wiem, panie poruczniku — odpowiedział Don-ley. — Czemu pan sam nie przeczyta? Ja powiadomię dyżurnego oficera sztabu generalnego i szefa ośrodka łączności.

— Racja — powiedział porucznik i natychmiast zasiadł do przekładu. Oficerowie zostali powiadomieni, tłumacz skończył pracę, a Donley

błyskawicznie wpisał tekst przekładu do końcówki komputera. Zrobiwszy to, nacisnął odpowiedni guzik, przesyłając tekst na drugą stronę Potomacu, do drukarki w Situation Room Białego Domu. Tekst brzmiał:

**molnia II**

**łącze 4/2353 gmt**

**list 1/1**

**do: prezydenta stanów zjednoczonych ameryki od: komitetu centralnego kpzs panie prezydencie,**

**niecałą godzinę temu doszło do wiadomości kc, że sekretarz generalny woroncki — działając przestępczo, bez naszego upoważnienia — dokonał aktu powietrznego piractwa wymierzonego przeciw usa.**

**stwierdziliśmy mianowicie, że zorganizował porwanie amerykańskiego wahadłowca i zniszczenie innego.**

**kc kpzs wyraził wprawdzie w swoim czasie energiczny sprzeciw wobec waszej tzw. platformy obrony strategicznej, która stanowi pogwałcenie obowiązującego traktatu o wyrzeczeniu się broni antysatelitarnej, nie usprawiedliwia to jednak w żaden sposób wspomnianych pirackich działań sekretarza generalnego woronckiego.**

**przesyłamy ten list, by wyrazić nasze potępienie owego nielegalnego, samowolnego czynu.**

**w związku z tą sytuacją bez precedensu oraz dążąc do złagodzenia aktualnego napięcia podjęliśmy następujące kroki:**

**wszystkie sowieckie samoloty wojskowe pozostaną na lotniskach aż do odwołania, aby dać wyraz naszym pokojowym intencjom.**

**ciała i mienie amerykańców zabitych podczas ataku zostaną zwrócone najszybciej, jak to będzie możliwe.**

**amerykanom, którzy przeżyli atak, udzieli się odpowiedniej pomocy medycznej, po czym również zostaną odesłani.**

443

umożliwi się amerykańskiemu zespołowi ekspertów dokonanie inspekcji szczątków amerykańskiego sprzętu zniszczonego przez sowiecką obronę przeciwlotniczą podczas waszego ataku na kosmodrom bajkonur.  
związek sowiecki godzi się wypłacić odszkodowania — stanom zjednoczonym za utracone wahadłowce oraz rodzinie zabitego lotnika.

sekretarz generalny woroncki zginął w wypadku lotniczym, zanim mógł zostać postawiony przed sądem, ministrowie spraw zagranicznych i obrony związku sowieckiego zostali zwolnieni ze swych obowiązków za dwulicowość jako współwinni tego kryminalnego spisku.

niniejszy tekst przesła się równocześnie ambasadorowi jakowlewowi, który nie wiedział o wspomnianej nielegalnej działalności. komitet centralny mianował nowym sekretarzem generalnym kpzs witalija kostiaszaka, dotychczasowego przewodniczącego kgb; proponujemy, by odbył pan z nim spotkanie na szczycie, dla dalszego złagodzenia napięć pomiędzy naszymi państwami. jak już wspomniano, kc był całkowicie nieświadom przestępczych czynów popełnionych przez byłego sekretarza generalnego; działamy zdecydowanie, by naprawić skutki tej tragedii; przepraszamy stany zjednoczone i składamy kondolencje rodzinie zabitego lotnika.

podpisano: komitet centralny komunistycznej partii związku sowieckiego  
koniec wiadomości

Wpisawszy tekst do komputera, płowowłosy Donley zwrócił się do dyżurnego oficera sztabu generalnego, brygadiera piechoty morskiej. Głosem wyższym o trzy oktawy od normalnego spytał go:

— Cóż to się właściwie, do diabła, dzieje, panie generale?

# Dzień szósty

*Dzień 6., 17:00 czasu Greenwich, południe czasu miejscowego* **Biały Dom**

Prezydent przejrzał się w lustrze i poprawił sobie krawat.

— Czy jesteś pewien, że tak właśnie należy to załatwić, Harry? — zapytał lakonicznie.

Harry Funkweiler, nieco wyzywająco ubrany sekretarz prasowy Białego Domu — niegdyś zastępca szefa marketingu w firmie samochodowej kierowanej przez prezydenta — powiedział:

— Bez względu, panie prezydencie. Po pierwsze, nikt nie uwierzyłby w całą tę cholerną prawdę. A po drugie, nie znamy jeszcze wszystkich faktów. Wyzlibyśmy na dupy wołowe, gdybyśmy ujawnili to, co wiemy, a Ruscy zmieniliby front i przedstawili inną wersję. Niech pan po prostu wyjdzie i powie, że mieliśmy poważne problemy z wahadłowcem lecącym na platformę SDI, więc musieliśmy wysłać wahadłowiec ratunkowy ponad południową Florydę. Niestety, również w tym wypadku doszło do komplikacji i astronauta zginęli. Proszę powiedzieć, że to wszystko dotyczy bezpieczeństwa państwa i zgodzić się tylko na trzy pytania... a jeszcze lepiej na dwa.

Prezydent nie wiedział, co o tym myśleć. Zawsze polegał na ocenie Funkweilera. Był to najlepszy spec od środków masowego przekazu — umiał sprawić, że tańczyły, jak im zagrał. Okazał się wielce pomocny w prowadzeniu zwycięskiej kampanii wyborczej. Ale prezydent ciągle jeszcze miał trudności z wymigiwaniem się prasie. Był zdania, że to się może źle skończyć. Zwrócił się do sekretarza stanu, jedyne poza Funkweilerem doradcy uczestniczącego w rozmowie.

— Co o tym myślisz, Winstonie?

Jako były student Henry'ego Kissingera, dyplomata rzadko miew skrupuły, wykpiwając się prasie.

— Zgadzam się z Harrym, panie prezydencie, choć z innych powodów. Myślę, że musimy wstrzymać się z wyjawieniem kulis całej

tej sprawy, dopóki nowe kierownictwo rosyjskie nie umocni swej pozycji. Wówczas będziemy mogli zrewidować ocenę sytuacji. Prezydent westchnął.

— Hm... Cóż, dobrze. A więc trzymajmy się tego. Kiedy wchodzę na wizję, Harry?

Funkweiler spojrzął na zegarek firmy Spiro Agnew — okaz kolekcjonerski — który nosił na przegubie.

— Za siedem minut, panie prezydencie.

Trzej mężczyźni wyszli z Oval Office, kierując się do East Room.

Seymour Woltman siedział wśród dziennikarzy, nie ogolony, wydzielając nieprzyjemny zapach. Nie był już nawet w stanie przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz golił się i brał prysznic. Choć w East Room tłoczyli się reporterzy, krzesła po obu stronach Woltmana były puste. Woń, jaką rozciąła, zapewniała mu wygodę.

Był zmęczony, ale zadowolony. Wyprawa do Waszyngtonu okazała się dobrym pomysłem. Żywił głębokie przekonanie, że to jego nieustanne nękanie wszystkich, których znał w NASA, w Pentagonie i w Białym Domu wymusiło w końcu zwołanie tej konferencji prasowej. Powiedziano im, że prezydent złoży krótkie oświadczenie dotyczące startu wahadłowca, a potem odpowie na parę pytań.

Woltman zauważył, że wszyscy wstają. Podniósł się i zobaczył prezydenta idącego po czerwonym chodniku w stronę podium.

Przechodząc długim korytarzem prezydent mijał liczne wiszące na ścianach portrety. Wizerunki Waszyngtona, Jeffersona i Lincolna zdawały się groźnie na niego spoglądać, kiedy tak szedł obok nich, niosąc w ręku gotowy komunikat dla prasy. Przygotowany tekst nie zawierał całej prawdy. Czyli był kłamstwem.

Wspiął się na podwyższenie i stanął twarzą w twarz z reflektorami i kamerami telewizyjnymi. Przez te elektroniczne okna mógł mówić do stu milionów Amerykanów, których nazywał swoim „Szefem”.

Rzucił okiem na gotowe oświadczenie i milczał przez parę chwil, powracając myślą do portretów Waszyngtona, Jeffersona i Lincolna. Prześladował go zwłaszcza gniewny wyraz twarzy Lincolna — to z jego powodu zwlekał. Pomyślał sobie, że poprzednicy zasługują na coś lepszego niż zdawkowy komunikat prasowy. „Szef również. Zdecydował się. Przedał na pół przygotowany tekst i wyszedł przed podium.

Operator wysięgnika, zaskoczony tym nieoczekiwanym manewrem, pośpiesznie przesunął kontaktronowy mikrofon nad głowę

prezydenta. Zgromadzeni dziennikarze, zaintrygowani teatralnym gestem rezygnacji z gotowej wersji komunikatu, wyciągnęli szyje.

— Panie i panowie! — powiedział zmęczonym głosem prezydent. — Opowiem wam coś zupełnie niewiarygodnego. Przez następne czterdzieści pięć minut zgromadzeni dziennikarze, a wraz z nimi cała Ameryka, słuchali jak urzeczeni — w ciszy, z szeroko otwartymi ustami, starając się nic nie uronić z relacji prezydenta. A ten opowiadał ze szczegółami, jak urodzony w Stanach Zjednoczonych agent sowiecki porwał *Intrepida*, jak Rosjanie zniszczyli *Constellation*, jak Strategiczne Siły Powietrzne zostały postawione w stan pogotowia drugiego stopnia, jak wysłano do Rosji dwa bombowce widma i jak jeden z nich rozbił w drobny mak *Intrepida*, jak doszło do przewrotu pałacowego na Kremlu i jak wreszcie odwołał do baz gotowe do akcji bombowce.

Kiedy skończył, wrócił na podwyższenie, wypił łyk wody i powiedział:

— Czy są jakieś pytania?

Przez pełne dziesięć sekund zaszokowani dziennikarze nie zdołali wydobyć z siebie głosu. A potem rozpętało się na sali istne piekło.

# W trzy tygodnie później

## **Punkt kontrolny Charlie, sektor amerykański Berlina Zachodniego**

Pułkownik amerykański o wyglądzie, z którym mógłby zrobić karierę jako dubler Arnolda Schwarzeneggera, odwiesił słuchawkę telefoniczną i wyszedł z budki wartowniczej.

— Możemy iść, panie generale — powiedział do Whittenberga. — Tylko proszę pamiętać, by nie przekraczać białej linii.

— W porządku — odpowiedział generał.

Pułkownik kiwnął głową wartownikowi i szlaban uniósł się w górę.

— Chodźmy po nich! — powiedział Whittenberg, zwracając się do major Lydii Strand i starszego sierżanta Tima Kelly.

Cała trójka wkroczyła na pas ziemi niczyjej — skrawek terenu w sercu Berlina, gdzie Wschód i Zachód spotykały się geograficznie i ideologicznie, nie bez problemów. Wraz z nimi szedł pułkownik oraz wojskowa ekipa medyczna.

Whittenberg zobaczył, że po drugiej stronie podnosi się bariera, przepuszczając samotnego oficera sowieckiego, który ruszył ku nim. Wydało mu się to dziwne, gdyż wiedział, że Rosjanie chadzają raczej grupowo, zwłaszcza w drażliwych sytuacjach, takich jak ta. Tymczasem niewysoki, krępy wojskowy podszedł, wyciągnął rękę i zapytał z silnym akcentem:

— Czy generał Whittenberg? Czarny olbrzym uściśnął mu dłoń.

— Tak, jestem Whittenberg. A z kim mam przyjemność?

— Marszałek Likadij Popów, minister obrony Związku Sowieckiego. Przybyłem jako osobisty wysłannik sekretarza generalnego Kostiaszaka, by dopilnować, żeby przekazanie waszych ludzi przebiegło w sposób was satysfakcjonujący.

— Popów? — powiedział pytająco Whittenberg. — To pan był dyrektorem operacyjnym sowieckich lotów kosmicznych?

Krępy Rosjanin wruszył ramionami i spuścił głowę, by ukryć

29 — Zdobyć.



zadowolenie na wieść, że już wówczas był figurą dość ważną, by mieć u Amerykanów swe *dossier*.

— Istotnie zajmowałem się tym uprzednio, panie generale, nowe obowiązki objąłem niedawno.

Whittenberg kiwnął głową.

— Domyślam się... Możemy przejść do rzeczy?

— Ależ oczywiście — odpowiedział Popów i dał znak wartownikowi przy wschodniobrzeźni szlabanie.

Jako pierwszy pojawił się mężczyzna w szarym kombinezonie, z ręką na temblaku.

— Przekazuję panu — rzekł marszałek — jednego z członków załogi waszego zestrzelonego bombowca. Przekona się pan, że wszyscy wasi ludzie byli dobrze traktowani i że nikt ich nie przesłuchiwał.

— Miło mi to słyszeć — odrzekł Whittenberg.

Gdy pilot Widma Dwa przeszedł przez białą linię, przejął go pod opiekę pułkownik.

— Z kolei przekazujemy wam dwóch rannych lotników. Jednego z bombowca, drugiego z małego kosmolotu. Muszę przyznać, że ten myśliwiec kosmiczny był dla nas prawdziwym zaskoczeniem. Nie mieliśmy pojęcia, że pracujecie nad czymś takim.

Whittenberg kiwnął głową.

— Ośmielę się jednak powiedzieć, panie marszałku, że my czuliśmy się znacznie bardziej zaskoczeni niż wy.

Popów nie podjął tematu. Ponownie dał znak wartownikowi. Teraz sowieccy sanitariusze przenieśli przez granicę dwie pary noszy.

— Będziecie zadowoleni z opieki medycznej, jaką im zapewniono. Whittenberg patrzył na zbliżające się nosze.

— Czy można przynieść ich najpierw tutaj? — zapytał.

— Jak pan sobie życzy — odpowiedział Popów, wydając odpowiednie polecenie, po czym zwrócił się ponownie do

Whittenberga: — Za chwilę dostarczymy wam zwłoki ofiary katastrofy waszego kosmolotu.

Whittenberg ponownie kiwnął głową i podszedł do pierwszych noszy, które przejęli na białej linii wojskowi sanitariusze amerykańscy. Nie rozpoznał ранnego.

— Jak się nazywasz, synu? — spytał.

— McKinley, panie generale — otrzymał ledwie słyszalną odpowiedź. — Kapitan Jack McKinley. Byłem Mistrzuniem na Widmie Dwa.

Whittenberg poklepał go po ramieniu.

— Dobrze się spisałeś. Dostaliśmy twój meldunek. Mistrzuniu uśmiechnął się.

— Miło się o tym dowiedzieć, panie generale.

449

— Teraz już wszystko będzie dobrze. Przyjdę do ciebie później. Generał cofnął się, a sanitariusze ponieśli nosze ku ambulansowi, zaparkowanemu za amerykańskim szlabanem.

Następnie przekazano drugie nosze. Obandażowana twarz Petera Lamborghiniego rozjaśniła się słabym uśmiechem na widok czarnego wielkoluda, ciemnowłosej pani major i sierżanta o głowie jak pocisk.

— Panie generale... Lydia... Tim... naprawdę cieszę się, że was widzę.

Whittenberg wziął go za rękę.

— Miło cię widzieć, Pete. Juliet i córki czekają we Frankfurcie nad Menem. Polecisz tam do szpitala wojskowego.

Lamborghini patrzył nieprzytomnie.

— To dobrze — powiedział potulnie. Strand nie mogła się powstrzymać.

— To, co zrobił komandor Monaghan, to było szaleństwo! Lamborghini popatrzył na nią, potem na Whittenberga.

— Powiedźcie mi... to, co widzieliśmy, to był bombowiec widmo, prawda?

Whittenberg był zdziwiony.

— Wygląda na to, że Rosjanie trzymali cię oddzielnie, kiedy cię schwytali... Tak, to był niedostrzegalny bombowiec. Widziałeś go?

Lamborghini mówił powoli, z trudem.

— Schodząc, straciliśmy z oczu *Intrepida* w chmurach. To była gęsta zupa. Próbowaliśmy odszukać go na ziemi, ale nie potrafiliśmy. Zobaczyliśmy bombowiec widmo, kiedy miał go właśnie zestrzelić jakiś MiG. Załatwiliśmy tego MiG-a... Powiedźcie, czy bombowiec wykonał zadanie?

— Rozpieprzył *Intrepida* w drobny mak — powiedział Whittenberg. — I myślę, że zawdzięczamy to właśnie wam.

Lamborghini z wysiłkiem poruszył głową, by rzucić okiem na przykryte ciało, przekazywane właśnie Amerykanom.

— Po zestrzeleniu MiG-a omal nie trafił nas pocisk ziemia—powietrze, ale Wścickły Pies nas ocalił... Sam zginął, jak uderzyliśmy o ziemię.

Whittenberg, Strand i Kelly popatrzyli na siebie nawzajem. Nie potrafili sobie wyobrazić, w jaki sposób Monaghan mógł uchronić Kestrela od trafienia pociskiem ziemia—powietrze.

— Wypoczywaj i nie przejmuj się, Pete — polecił generał. — Znakomicie się spisaliście. Kiedy wydobrzejesz, opowiesz o tym osobiście prezydentowi i mnie przy okazji. Na razie zawieziemy cię do Frankfurtu. Lydia i Tim będą ci towarzyszyć. Sanitariusze ponieśli nosze ku ambulansowi. Strand i Kelly poszli razem z nimi. W końcu Whittenberg i Popów zostali sami.

— Mam nadzieję, że jest pan zadowolony — powiedział Rosjanin.

— Tak, panie marszałku. Wygląda na to, że pułkownik Lamborghini miał szczęście, że nie zginął.

— Wyjątkowe! — zgodził się Popów. — Powiedziano mi, że doznał wstrząsu mózgu, ma połamane żebra, staw biodrowy i kość policzkową; miał też wewnętrzny krwotok. Trzeba było dokonać operacji chirurgicznej, by zredukować nacisk na płuco. Zdaje się, że jesteście zaprzyjaźnieni — zauważył dociekliwie.

Whittenberg upewnił się, że Lamborghini jest już bezpieczny na amerykańskim terytorium, zanim odpowiedział:

— Ma pan rację. To mój oficer wywiadu.

Popów okazał zdziwienie. Dało to Whittenbergowi pewną satysfakcję: Rosjanie wściekną się, że wymknął im się z rąk szef wywiadu SPACECOM-u. Marszałek to zauważył.

— Muszę panu powiedzieć, generale, że w pełni potwierdza pan swoje pochlebne *dossier*.

Whittenberg uniósł brwi.

— Dziękuję. Staram się. Popów wyciągnął rękę.

— Chyba załatwiliśmy już sprawę, generale. To był zaszczyt, spotkać się z panem. Mam nadzieję, że poinformuje pan prezydenta, że przekazaliśmy waszych ludzi tak, jak należało.

Whittenberg podał mu dłoń.

— Zrobię to, panie marszałku. Prezydent prosił, by przekazać od niego pozdrowienia nowemu sekretarzowi generalnemu.

— Przekażę!

Popów skłonił się, odwrócił i odszedł.

— Panie marszałku! — zawołał za nim Whittenberg. Rosjanin zatrzymał się i odwrócił.

— *Da!*

— To był Kapuściński, prawda?

Popowa zaskoczyło to pytanie. Przez chwilę wahał się. Wreszcie powiedział cicho:

— *Da!*

Whittenberg kiwnął głową i zasalutował. Popów odwzajemnił ten gest.

# Po roku

## Château Fleur d'Eau, Genewa

Wiceprezydent — obecnie prezydent elekt — z roztargnieniem poprawiał polana w kominku ozdobnym pogrzebaczem z brązu, wznecając niewielkie kaskady wirujących iskier, które odbijały się w jego wyrazistych oczach. Myślami był wszakże daleki od gorejących węgielków — nadal próbował przetrwać to, co powiedział mu właśnie sekretarz generalny.

Prezydent, wiceprezydent i sekretarz generalny znajdowali się w wykładanej dębowym drewnem komnacie Château Fleur d'Eau w zalesionej okolicy Genewy. W tym samym pomieszczeniu, w którym doszło kiedyś do pierwszego spotkania Reagana z Gorbaczowem. Obecny szczyt miał całkiem inny charakter. Zdominowany był duchem Zmiany. Już choćby dlatego, że z nowym sekretarzem generalnym spotkali się obaj prezydenci, zarówno odchodzący, jak nowo wybrany. Także dlatego, że mógł się odbywać bez kłopotliwej obecności tłumaczy, gdyż Kostiaszak mówił płynnie po angielsku. Nie chodziło nawet o dyskrecję — dobierano wszak tłumaczy godnych zaufania — ale o krepującą obecność podczas rozmowy dodatkowej pary oczu i uszu, utrudniającą szczerą wypowiedź. Nowy sekretarz generalny władał angielskim tak biegle, że trzej mężowie stanu mogli się obejść bez świadków. Mówił też całkiem otwarcie.

To, co właśnie powiedział, spowodowało, że wiceprezydent na chwilę zaniemówił. Odstawił pogrzebacz.

— Twierdzi pan zatem, panie sekretarzu generalny, że porwanie *Intrepida* zostało ukartowane wyłącznie po to, by obalić pańskiego poprzednika?

Kostiaszak wypuścił kłęb dymu.

— Zgadza się, panie wiceprezydencie.

Wiceprezydent potrząsnął głową, a blask kominka zamigotał w jego stalowoszarych, krótko obciętych, połyskliwych włosach.

— To niesłychane! Niewiarygodne. Zawsze zdawałem sobie

sprawę, że wy, Rosjanie, jesteście narodem spiskowców — ale aż do tego stopnia! Strach pomyśleć. Dobry Boże, czy nie zdawał pan sobie sprawy, że byliśmy o włos od wojny? Rozważaliśmy nawet zniszczenie *Intrepida* głowicą jądrową. — Pan chyba nie wiedział, co czyni! — powiedział twardo prezydent. — Doprowadzić dwa kraje na włos od rozpętania wojny atomowej, to nie do pomyślenia. A pan to robił, i to dla zaspokojenia osobistych ambicji. To niewybaczalne, panie sekretarzu generalny, i niegodne. Musi pan być niespełna rozumu!

Kostiaszak ponownie wypuścił kłąb dymu.

— Pozwólcie mi skończyć, panowie! Zapewniam was, że poza wami oraz moim ministrem obrony nikt, dosłownie nikt na świecie, o tym nie wie. A ufam, że mogę polegać na waszej dyskrekcji, gdyż leży ona w waszym najlepszym interesie. — Nachylił się i wziął sobie czekoladkę z patery stojącej na stoliku do kawy. — Proszę, byście panowie nie osądzali mojego postępowania jako jedynie przejawu ambicji, ale potraktowali je jako wyrachowane posunięcie w szerszym kontekście. Prezydent zwrócił ku niemu swą twarz zawodowego sierżanta.

— O jakież szerszy kontekst panu chodzi?

— Oba nasze kraje, panie prezydencie, są wprzęgnięte w nieubłagany kierat, z którego nie ma ucieczki. Niczym pies, kręcący się za własnym ogonem — im szybciej podążamy, tym bardziej oplakane są tego skutki.

— Ma pan na myśli wyścig zbrojeń? — zapytał wiceprezydent.

— Zgadza się! — odparł Ukrainiec.

— Jeśli chce pan wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za wyścig zbrojeń, panie sekretarzu generalny — powiedział ironicznie prezydent — powinien pan spojrzeć w lustro.

Kostiaszak wzruszył ramionami.

— Możemy tracić czas, panie prezydencie, wytykając się nawzajem palcami. To prawda, że Związek Sowiecki wydaje ogromne sumy na zbrojenia — ale musi pan pamiętać, że dwukrotnie najeżdżano nas w tym stuleciu i że wielka wojna ojczyźniana kosztowała nas dwadzieścia milionów ofiar. Gdyby coś takiego przydarzyło się Ameryce, może patrzyłby pan na to z innej perspektywy.

— Dobra, dobra — powiedział znieczepliwiony prezydent. — Ku czemu pan zatem zmierza?

Kostiaszak rozwinął czekoladkę.

— Jestem, panie prezydencie, komunistą z przekonania. Pomimo że kształciłem się w waszym kraju, zdecydowanie odrzucam wasz słaby i zdegenerowany system eksploatacji ekonomicznej. Jestem wszakże również pragmatykiem — nauczyłem się, że wasz kraj ma pewne zalety i przewagi, którym Związek Sowiecki nie jest w stanie sprostać.

— Nie chrzǎń pan! — odezwał się prezydent.

Ukrainiec zignorował tę uwagę. zdałem

— Kiedy dokonaliście przełomu technicznego w kosm<sup>1\*</sup>.<sup>16</sup> równać. sobie sprawę, że nie możemy wam w tej dziedzinie z<sup>y</sup>l  
mnie Przekonały mnie o tym lata spędzone w Princeton. Ni'cwanie tego wyścig do Księżyca. Szaleństwem byłoby dla nas  
ry<sup>1</sup> J, wielkie łeb w łeb ze Stanami Zjednoczonymi. Bez względu na to. ^ byśmy, uruchomilibyśmy rezerwy, jestem  
przekonany, że zaW<sup>sk-c</sup> —

g<sup>ra</sup>

choćby nieznacznie, wam ustępowali. To nie jest rów<sup>13</sup>. "jakiegoś

Niestety, ugruntowany ~<sub>vaj</sub> szansy pajomości

Kostiaszak patrzył w ogień

czasu sposób myślenia kierownictwa sowieckiego nie d<sup>\*1^3</sup> j wyzyskania mych doświadczeń z okresu studiów, mojej ^?Via

tech-Ameryki. Zareagowało ono na wasze przełomowe **Osiąga** szukać niczne w typowo rosyjski sposób, którego  
przyczyn mo<sup>^</sup>ano na jak już wspomniałem, w najazdach, jakich niedawno d<sup>\*1^0</sup> s<sup>miczne</sup> naszą ziemię. Zwiększono  
ogromnie środki na badania stanie i na budowę statków kosmicznych. Gorbaczow nie by/ znalazły stłumić owych  
konserwatywnych militarystycznych sił, k U<sup>yjε</sup> ^ckiego, oparcie w „nieświętym przymierzu" ministra Gosplanu W<sup>1^1</sup> Nawet  
ministra obrony Zołobowa i ministra spraw zagraniczny<sup>^</sup>gzny tej gdyby nie zginął i utrzymał się u władzy, musiałby być p<sup>•</sup>  
p<sup>o</sup>itbiuro trójcy. Ale zabito go, a do władzy doszedł Woroncki. . strugą zostało zdominowane przez militarystów —  
niesłabn<sup>\*\*m^</sup> popłynęły wydatki na cele wojskowe. j<sup>osztów</sup>

Szczególnie uciążliwe było połączenie zwiększonych ^fganis-zbrojeń kosmicznych i kosztów ponownego wkroczenia <S<sup>^</sup>  
siedmiu tanu. Wydatki na cele wojskowe wzrosły do dwudzieS<sup>tp1</sup> j-ocent? procent naszego budżetu. Wasze, zdaje się,  
wynoszą sześ<sup>^</sup> ^

— Sześć i pół — skorygował prezydent. eieñ.\_

— Sześć i pół! — powtórzył cicho Ukrainiec, patrząc ^ ^ stanie Mój kraj znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Nie byliśm<sup>^</sup>  
zesnym dorównać wam technicznie, nie mogliśmy podolać jed<sup>\*1</sup> jństanie wydatkom na wojskowy program kosmiczny,  
wojnę w A<sup>\*-^3</sup> zaczęła i utrzymywanie wielkiej armii. Nasza struktura społecz<sup>^</sup>tiaszak

pękać. Matki nie miały już czym nakarmić dzieci

s<sup>tko</sup> wy

^gf-aniczen

zwrócił twarz ku Amerykaninowi. — A pomimo ws<sup>^</sup> zrobiliście to niesłychane głupstwo! Prezydent wyprostował się w  
fotelu.

— O co chodzi?

— Odmówiliście negocjacji na temat jakichkolwiek zbrojeń kosmicznych.

Prezydent omalże wybuchnął śmiechem. -amierza

— Panie sekretarzu generalny! Jeśli pan, właśnie pan -. wyrzekł skłonić mnie jakimiś sentymentalnymi bajeczkami, żebym  
pan to

....., „---j,.....^**uym**

w drodze rokowań naszej kosmicznej tarczy obronnej,

454

sobie wykombinował. Stany Zjednoczone nigdy nie będą negocjować z pozycji słabszego. Prowadzimy konsekwentną politykę zmierzającą do stworzenia i rozwijania Systemu Obrony Strategicznej. Już go zbudowaliśmy, teraz go doskonalimy. Jak widać, pańskie studia w Princeton nie dały wiele. Pan nas w ogóle nie rozumie.

Kostiaszak długo zaciągał się pallsallem, a potem powoli wypuszczał dym. Patrzył przez chwilę na Amerykanów, aż wreszcie odezwał się jadownicie:

— To pan, panie prezydencie, kompletnie mnie nie rozumie. Było w jego głosie coś niepokojącego. Twarz prezydenta zaczęła drgać.

— Jak to? — spytał ostrożnie.

— Pan woli pertraktować z pozycji siły, panie prezydencie. Całkiem słusznie. My, Sowieci, mamy respekt dla siły. Uważamy ją za cnotę, do silnych odnosimy się z szacunkiem. Niestety jednak, przełom techniczny, jakiegoście dokonali, budzi nie tylko podziw. Wyzwała też poczucie autentycznego zagrożenia, głęboki strach. Stwierdzam kategorycznie, że jeśli nie dojdziemy do jakiegoś porozumienia, ograniczającego wasz program obrony kosmicznej, popchnie pan Związek Sowiecki do posunięć desperackich.

Prezydent skrzywił się.

— Związek Sowiecki nie ma powodu obawiać się naszego systemu obronnego — powiedział spokojnie.

— To całkowicie błędne podejście — skomentował krytycznie Ukrainiec. — W naszym odczuciu, taka tarcza obronna nad waszymi wyrzutniami pocisków balistycznych zakłóca równowagę opartą na pewności zniszczenia się nawzajem.

Gdybyście zaatakowali nas pierwsi, nie byłibyśmy zdolni do skutecznego odwetu. A Rosja nie może być na to narażona — już nigdy więcej. Jeśli będziecie dalej doskonalili waszą platformę kosmiczną, nie zahamuję naszych wydatków na zbrojenia, choć i tak nie będziemy w stanie wam dorównać. Nie dacie mi wyboru. Zmusicie mnie do kroków... bez precedensu... — Zamilkł.

— Jakież to kroki ma pan na myśli? — zapytał wiceprezydent. Sekretarz generalny sięgnął do swej eleganckiej skórzanej teczki,

wyciągnął tekturową aktówkę, a z niej kolorowe zdjęcie, które położył na stoliku. Fotografia przedstawiała plac Czerwony, w tle widać było kopuły Kremla. Na pierwszym planie stał major KGB obok dwustulitrowego pojemnika na olej, pomalowanego w jaskrawe — czerwone, białe i niebieskie — pasy. Amerykanie obejrzeni zdjęcie.

— I cóż? — zapytał prezydent.

Kostiaszak wyciągnął drugą fotografię. Był na niej ten sam major KGB, tym razem w cywilu. Stał obok furgonetki ford z otwartymi drzwiami. Wewnątrz niej dało się dostrzec taki sam kolorowy

pojemnik. Ale w tle nie było już kopuł kremłowskich — stał tam, wyraźnie widoczny, Biały Dom.

Prezydent poczuł, jak włosy podnoszą mu się na karku.

— Do czego pan zmierza? — zapytał ostro. Ukraińiec poprawił jedwabny krawat.

— Zdumiewające, jak małe można dziś produkować bomby nuklearne. Nawet taką termojądrową z superciężkiego wodoru o sile pięćdziesięciu kiloton. Z łatwością można zredukować ich rozmiary tak, by się mieściły do zwykłego pojemnika na olej.

— Sekretarz generalny westchnął. — Wy, Amerykanie, tacy jesteście dumni z waszych „otwartych” granic i z tego, że można swobodnie, bez żadnych ograniczeń, podróżować po waszym kraju. A niech tam. To wasza sprawa. Mogę tylko powiedzieć, że macie fatalnie nieszczelne granice. Handlarze narkotyków z Ameryki Południowej szmuglują do was zakazane towary tonami, może nie? A wy nie jesteście w stanie ich powstrzymać. Pojemnik na olej, który widzicie na zdjęciu, został wyladowany ze statku handlowego w meksykańskim porcie Vera Cruz, potem przeleciał w prywatnym samolocie na lądowisko pustynne w stanie Utah. Następnie przewieziono go tą furgonetką na parking turystyczny w pobliżu pańskiej rezydencji, panie prezydencie... Nikt nie ruszył palcem, by przeszkodzić memu agentowi. Przeciwnie, pewien uprzejmy policjant z patrolu drogowego w stanie Nebraska dopomógł mu, kiedy złapał gumę.

Obaj Amerykanie zaniemówili. Małutki Ukraińiec, do niedawna tak pełen uroku, spojrzął na nich twardo.

— Jeśli dalej będziecie doskonalić system SDI, panie prezydencie, nie będę miał innej możliwości poza znalezieniem różnorodnych sposobów przesyłania bomb jądrowych. Oznaczałoby to lokowanie ich wcześniej na waszym terytorium, żeby ominąć ową tarczę kosmiczną. Nie sztuka zaparkować samochód z autentyczną bombą jądrową w pobliżu Białego Domu, Pentagonu, baz wojskowych czy nowojorskiego Parku Centralnego.

— Nie ośmieliłby się pan! — powiedział ostrożnie prezydent. Kostiaszak bawił się jak gdyby nigdy nic złotym paskiem swego zegarka marki Piaget.

— Któż może wiedzieć, czy już tego nie zrobiłem? Prezydent zerwał się z krzesła.

— Nie mógłby pan!

Ukraińiec mówił teraz łagodnie, znów był czarujący.

— Oczywiście, że nie, panie prezydencie. Próbuję tylko pokazać, do czego mogłoby dojść, gdybyście nadal starali się zapędzić mnie w sytuację bez wyjścia. Wiem, że jest pan kompetentny, jeśli chodzi o samochody, ale czy niczego nie nauczył się pan z historii? Broń palna wyeliminowała luk. Karabin maszynowy kawalerię. Na niego receptą stał się czołg. A na czołg lotnictwo. Co pana skłania do przekonania, że nie da się znaleźć sposobu na wasze Gwiezdne Wojny?



Dwaj Amerykanie popatrzyli po sobie.

— A co pan oferuje w zamian? — spytał wiceprezydent.

— Typowa reakcja biznesmena — powiedział Kostiaszak, gasząc papierosa. — Dobrze się składa. A więc, jeśli zechcecie zahamować doskonalenie waszej platformy kosmicznej, uczynię wam bardzo atrakcyjną propozycję. Naprawdę wyjątkowo atrakcyjną!

Obie głowy zwróciły się ku niemu wyczekująco.

— Wal pan — powiedział prezydent — słuchamy! Kostiaszak nie dał się prosić.

— Proponuję moratorium na testowanie i używanie w przestrzeni kosmicznej wszelkich broni kosmicznych w obu państwach, przy czym badania na ziemi pozostaną dozwolone: ile dusza zapragnie. Zgodzimy się na pięćdziesięcioprocentową redukcję broni strategicznych. Ponadto chcę zredukować siły Układu Warszawskiego, tak by odpowiadały siłom NATO pod względem liczby żołnierzy, pojazdów bojowych, samolotów i dział. Wszelkie wojska sowieckie powyżej owej relacji jeden do jednego zostaną albo zdemobilizowane, albo wycofamy się na wschód od Uralu. Natychmiast wycofamy się z Afganistanu pod nadzorem ONZ, a poparcie dla ruchów wyzwoleniczych w Ameryce Środkowej, na Kubie i w Afryce ograniczymy do minimum. Nadto przedsiębiorstwom amerykańskim zostaną zaoferowane atrakcyjne warunki na zasadach *joint-venture* w celu wyzyskania zasobów naturalnych Syberii; będą one mogły wywozić za granicę zapracowane zyski. Wreszcie, przestrzeganie wszelkich warunków tego układu będzie poddane najsurowszej kontroli na miejscu.

Wiceprezydent spojrział na niego z niedowierzaniem. Siły Układu Warszawskiego znacznie przewyższały siły NATO.

— Zrównanie sił Układu Warszawskiego z NATO i pięćdziesięcioprocentowa redukcja broni strategicznych? Przecież sam pan powiedział, że Gorbaczow nie mógł sobie poradzić z waszymi konserwatystami. Czemu mielibyśmy uwierzyć, że panu udadzą się takie cięcia w wojsku?

Kostiaszak przez dłuższą chwilę patrzył w ogień.

— Nieświęte przymierze konserwatystów, o którym wspominałem, nie ma już możliwości działania, a mój wpływ na wojsko jest obecnie zupełnie wyjątkowy. Ale jeśli nie dojdziemy do porozumienia szybko, sytuacja może ulec zmianie i pojawią się nowe siły konserwatywne.

Prezydent spojrział na wiceprezydenta, człowieka, który miał wkrótce zostać jego następcą.

— Znasz mój stosunek do SDI — powiedział — ale to ty jesteś prezydentem elektem. To musi być twoja decyzja. On może w każdej chwili utracić władzę — wskazał na Ukraińca — i wówczas trzeba będzie zaczynać wszystko od nowa. Poza tym mam niemiłe uczucie, że ktoś nas szantażuje.

Kostiaszak rozwinął następną czekoladkę.

— Mogę panów zapewnić, że jeśli wyjdziemy z tego pokoju nie dobiwszy targu, to albo stracę władzę, albo będę zmuszony do zastosowania strategii prewencyjnego szmuglowania bomb jądrowych — powiedział, wskazując leżące na stoliku zdjęcia, i włożył sobie do ust czekoladkę. Potem wstał i podszedł do stojącego przy kominku prezydenta elekta. — Odkładałem to spotkanie na szczycie, żeby znać wynik waszych wyborów, bo chciałem mieć do czynienia z kimś, kto będzie sprawował urząd przez dłuższy czas. Przedłożyłem panu propozycję i nader jasno przedstawiłem, jaki pan ma wybór. Muszę położyć kres szaleńczym wydatkom wojskowym mojego kraju, wyzyskać nasze zasoby w sektorze cywilnym. Nie będę jednak w stanie tego dokonać bez zawarcia porozumienia, ograniczającego wasze zbrojenia kosmiczne. Proszę mi wierzyć, możliwość, którą przedstawiłem, uważam, tak jak panowie zresztą, za odrażającą. Ale sięgnę po nią, jeśli się nie dogadamy.

Wiceprezydent wziął pogrzebacz i na nowo doprowadził do porządku ogień w kominku. Był biznesmenem, jak prezydent. Ale znacznie lepiej od niego znał historię. Podczas studiów w West Point zajmował się szczegółowo operacją „Barbarossa” — fatalnie zakończoną inwazją Hitlera na Związek Sowiecki. Toteż wiedział, że kiedy Rosjan przyprzeć do muru, potrafią walczyć zaciekle jak straceńcy. Gdy jednostki pancerne Wehrmachtu zbliżyły się do Kremla, nie wahali się tracić dziesięciu swoich, żeby w zamian zabić jednego Niemca. To prawda, że respektują siłę, ale zapędzeni w ślepa uliczkę stają się niebezpieczni. Chyba zbyt niebezpieczni. Uzbrajając się w tarczę kosmiczną pozbawiającą ich atomowej potęgi można było sprowokować ich do desperackich czynów.

Szturchnął po raz ostatni węgle w kominku i odstawił pogrzebacz. Spojrzał Ukraincowi w śniadą twarz i spytał:

— Żadnych ograniczeń badań prowadzonych na ziemi?

— Żadnych. Dotyczy to także badań doświadczalnych — odpowiedział Kostiaszak. — Chodzi tylko o stosowanie ich wyników.

— Jednakowa ilość broni konwencjonalnej w Europie, wycofanie się z Afganistanu i zredukowanie do połowy broni strategicznych?

— Jednakowa, wycofanie i redukcja do połowy — jak echo powtórzył sekretarz generalny.

— Pełna inspekcja na miejscu?

— Pełna inspekcja.

Amerikanin zastanowił się chwilę i dodał:

— Drakońska inspekcja, i to wszelkimi środkami? Kostiaszak kiwnął głową.

— Drakońska!

Prezydent elekt wytarł palce z popiołu i wyciągnął dłoń.

— Zgoda! — powiedział.

## Epilog

Komandor Leroy Monaghan z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych został odznaczony pośmiertnie Medalem Honorowym Kongresu. Pochowano go z pełnymi honorami wojskowymi na Cmentarzu Państwowym Arlington, wraz z majorem Frankiem Mulcaheyem i Geraldem „Jerrym” Rodriąquezem.

Pułkownik Julian Kapuściński został pośmiertnie zdegradowany i pozbawiony wszelkich odznaczeń.

Komisarz Ławrentij Beria zasadził w amerykańskiej glebie, niczym nasiona, dwadzieścia trzy małżeńskie pary szpiegowskie. Trzy spośród nich nie miały dzieci. Potomstwo dwóch zmarło młodo, dwunastu zasymilowało się w społeczeństwie amerykańskim, trzech skończyło w zakładach dla umysłowo chorych — nie mogąc uporać się ze sprzecznościami pomiędzy wpływem środowiska a instrukcjami otrzymanymi od rodziców. Tylko trzy „zapуściły korzenie” i wydały owoc. Jednym z „owoców” był właśnie Lodowicz. Drugi jest obecnie sierżantem w plutonie kablowym Wojskowej Szkoły Łączności w Gordon, w stanie Georgia. Trzeci pracuje jako urzędnik w dziale zagranicznym Departamentu Handlu w Waszyngtonie. Dwaj ostatni nie są więc szczególnie obiecujący, nie mają też dostępu do ważnych tajemnic państwowych. Rangą i pozycją nie umywają się nawet do Lodowca.

Nowy prezydent został zaprzysiężony i — dzięki konserwatywnym powiązaniom — zdołał uzyskać akceptację Kongresu dla nowego traktatu rozbrojeniowego. Porozumieniu temu sprzyjało NATO, mające znów w swych szeregach Francję. W nabożnym zdumieniu patrzyli Europejczycy, jak oddziały sowieckie opuszczają pozycje, na których były już od dawna zadomowione, wycofując się za Ural. Większość tych wojsk zdemobilizowano. Setki międzykontynental

nych pocisków balistycznych, sowieckich i amerykańskich, wyciągnięto z silosów i zniszczono. Na terenie Rosji działało tyle jednostek inspekcyjnych, że pewien amerykański sierżant miał żartem powiedzieć: „Wystarczy, żeby jakiś czerwonoarmijec pierdnął, a już wiemy, jaki barszcz jadł na obiad”.

Generał Rodger Whittenberg oczekiwał dymisji w formie niezbyt zaszczytnego przeniesienia w stan spoczynku. Był więc zaskoczony, kiedy nowy prezydent po odejściu na emeryturę admirała Bergstroma powierzył mu szefostwo Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Od czasu do czasu wymieniał prywatne listy z sowieckim ministrem obrony.

Na placu Czerwonym pożegnano uroczyście kosmonautów Wasilija Lubinina i Siergieja Jemitowa. Ich rodzinom wydano specjalne pozwolenie, by nadal mieszkały w Gwiezdnym Miasteczku. Wdowa po Jemitowie urodziła córeczkę, której dała na imię Nadia.

Porucznika Fiodora Tupielowa odznaczono tytułem Bohatera Związku Sowieckiego i awansowano na kapitana.

Wszystkim członkom załóg bombowców widm przyznano Srebrną Gwiazdę.

W Moskwie stopniowo coraz łatwiej można było kupić lodówkę czy telewizor. Polepszyło się też odrobinę zaopatrzenie w żywność. Przeciętna mieszkanka stolicy Związku Sowieckiego nie musiała już tracić na zakupy dwóch godzin dziennie — wystarczyła jej już teraz godzina i dwadzieścia minut.

Przedstawiciele McKinsey & Co. i innych amerykańskich firm konsultingowych zaczęli częściej latać do Moskwy.

Lydia Strand — pomimo poważnej redukcji personelu SPACE-COM-u — dalej tam pracowała. Znajdowała się na liście osób przewidzianych do awansu na podpułkownika.

Peter Lamborghini wyzdrowiał. Powoli, ale przyszedł do siebie. Chciano go odznaczyć Medalem Honorowym Kongresu, lecz odmówił. Po tym szalonym rajdzie uważał, że nie zasługuje na odznaczenie równie wysokie jak to, które przyznano Monaghanowi. Zaproponowano mu więc Distinguished Flying Cross, który — na nalegania Whittenberga — przyjął.

Specjalnym rozkazem szefa Sztabu Generalnego Lamborghini został mianowany dowódcą 388 Skrzydła Taktycznego Myśliwców

F-16, stacjonującego w Bazie Sił Powietrznych Hill w stanie Utah. Jego żonie, Juliet, prezydent powierzył stanowisko zastępcy Prokuratora Generalnego Stanów Zjednoczonych w Salt Lake City.

Jak wiadomo, przyczyną całej afery *Intrepida* było spłonienie podczas powrotu w atmosferę dwóch kolejnych sowieckich wahadłowców, *Burana* i *Susłowa*. Na tragicznie paradoksalną, gorzką ironię zakrawa fakt, że oba te statki kosmiczne nie miały żadnych poważniejszych wad i powinny były funkcjonować znakomicie.

Tuż przed startem każdego z nich pewien agent KGB — odziany w biały kitel technika i mający dostęp do rusztowania — wylał trochę kwasu siarkowego na kruche płytki krzemowe na podbrzuszu wahadłowca. Wystarczyło, by kwas oddziałał korozyjnie na parę zaledwie płytek — ich utrata tworzyła szczelinę, dzięki której tarcie powietrza rozdzierało warstwę ochronną, jakby otwierając „zamek błyskawiczny” na spodzie statku. Dochodziło w rezultacie do wystawienia miękkiego aluminiowego poszycia na temperaturę rzędu tysiąca stopni Celsjusza, która szybko je stapiała, rozrywając wahadłowiec. Ten zabieg spowodował śmierć czterech niewinnych kosmonautów oraz zniszczenie dwóch wspaniałych statków kosmicznych. Witalij Kostiaszak działał bezwzględnie, wprowadzając w życie swój zuchwały plan, mający wyprzeć „nieświęte przymierze” z Politbiura i skierować Rosję na nowe tory. Utrata *Burana* i *Susłowa* oraz śmierć ich załóg stanowiły, jego zdaniem, cenę wartą zapłacenia; była niezbędnym posunięciem strategicznym, wymuszającym na sekretarzu generalnym Woronckim desperacki — a zarazem jakże nęcący — krok sprowadzenia *Intrepida* na rosyjską ziemię. A kiedy wahadłowiec amerykański wylądował w Bajkonurze, przyszła kolej na ostateczne pchnięcie.

To była skomplikowana partia szachów, niepodobna do żadnej innej gry. A mały arcy mistrz często zastanawiał się, czy zyskałby uznanie w oczach Roosevelta i Machiavellego.

r

## Propozycje wydawnicze PRIMY

Ross Macdonald - ODSZUKAĆ OFIARĘ

'N

„Odszukać ofiarę” zapoczątkowuje cykl powieści jednego z najwybitniejszych, obok Raymonda Chandlera, twórców amerykańskiej powieści detektywistycznej — Rossa Macdonalda. Bohaterem większości z nich jest prywatny detektyw z Los Angeles — Lew Archer. W postać tę dwukrotnie wcielił się Paul Newman w filmach „Ruchomy cel” i „Basen tonących”. Wydawnictwa ISKRY i CZYTELNIK prezentowały niektóre powieści z dorobku Macdonalda, m.in. „Z tamtej strony dolara”, „Lewe pieniądze”, „Pasiasty karawan”, „Błękitny młoteczek”. Seria PRIMY to książki nie znane dotąd polskim czytelnikom.

Kiedy Lew Archer odnajduje śmiertelnie ранego młodego mężczyznę na poboczu autostrady, zostaje mimowolnie wplątany w serię zabójstw. Tłem szybko po sobie następujących wydarzeń jest małe miasteczko w samym środku kalifornijskiej Central Valley. Śledztwo prowadzone przez Archera komplikuje dodatkowo jego konflikt z miejscową policją. Kluczem do wyjaśnienia zagadki okaże się tajemnicze zaginięcie pięknej dziewczyny...

Kolejne spotkanie z bohaterem dwóch najgłośniejszych powieści Jacka Higginsa — „Orzeł wylądował” i „Orzeł odleciał” — Liamem Devlinem, poetą i bojownikiem IRA, który w **1943** roku wraz z grupą niemieckich komandosów usiłował porwać Winstona Churchilla z rezydencji w Norfolk.

Tym razem Devlin musi współpracować z brytyjskim wywiadem. Jego zadanie — przekonać piękną Tanie Voroninowa, córkę wysokiego oficera KGB, by pomogła mu zidentyfikować Michaiła Kelly, zawodowego zabójcę, który stał się niewygodny zarówno dla Wschodu jak Zachodu.

Przez ponad dwadzieścia lat Kelly, znany jako Cuchulain, siał terror i niepokój w Irlandii, mordując równie skutecznie co niespodziewanie po obu stronach granicy, wodząc IRA i Brytyjczyków za nos. Teraz Cuchulain przygotowuje się do najbardziej spektakularnej misji w swojej karierze — zamachu na życie papieża Jana Pawła II... Czy Devlin zdoła mu przeszkodzić?

Jack Higgins — KONFESJONAŁ

J



## Jack Higgins — WSTĄPIĆ DO PIEKŁA

Amerykański inżynier Matt Brady, oskarżony o morderstwo prostytutki, ucieka z więzienia i na własną rękę poszukuje rzeczywistego sprawcy zbrodni. Trop prowadzi go przez labirynt londyńskiego świata przestępczego, podejrzanych sekt religijnych i ekskluzywnych domów publicznych udających szacowne kliniki.

Komu zależy na śmierci Matta? Kto zaplanował jego uwięzienie i skazanie na dożywocie? Z pomocą młodej aktorki Anne Dunning, jedynej osoby, która wierzy w jego niewinność, Brady musi znaleźć odpowiedź na te pytania — zanim ponownie znajdzie się w rękach policji. Jedynym śladem, jakim dysponuje jest wspomnienie niesamowitej twarzy, którą dojrzał kiedyś we mgle...

## Trevanian-SHIBUMI

Światowy bestseller numer jeden w 1979 roku. Powieść, której akcja rozgrywa się na trzech kontynentach i na przestrzeni blisko pół wieku, niezwykle koktajl stylów Fredericka Forsytha, Roberta Ludluma i Jamesa Clavella. W USA sprzedano ponad trzy miliony egzemplarzy książki, która nie schodziła z list bestsellerów przez wiele miesięcy!

Nikołaj Hel, urodzony w Szanghaju z matki Rosjanki i ojca Niemca, wychowany przez japońskiego generała, człowiek, który osiągnął *shibumi*, mistyk, filozof, mistrz sztuki miłości i sztuk walki, uchodzi za najbardziej niebezpiecznego zabójcę na świecie. To właśnie do niego zwraca się o pomoc Hannah Stern, uciekając przed superpotężną, złowieszczą organizacją nazywaną Firmą Matką — nadzorującą polityków, armię, a nawet CIA i Narodową Agencję Bezpieczeństwa.

Nikołaj musi stawić czoło przeciwnikowi dysponującemu nieograniczonymi zasobami i możliwościami, używając do tego metod równie niekonwencjonalnych, jak umiejętności, które posiadał praktykując przez lata japońską grę *go*...